

MALWINA
CHOJNACKA

CASANDRA

To ona przed nimi ostrzegąta.
Teraz spotka ją okrutna kara...

LIRA
WYDAWNICTWO

MALWINA
CHOJNACKA

CASANDRA

LIRA
WYDAWNICTWO

*Moim Rodzicom Elżbiecie i Tadeuszowi Chojnackim
w podziękowaniu za ogrom miłości i wsparcia*

Wszystkie przedstawione w powieści postaci są fikcyjne. Jakikolwiek podobieństwo do istniejących osób jest przypadkowe. Miejscowość Janiszewo jest fikcyjna i nie ma nic wspólnego z istniejącą miejscowością o tej nazwie.

*Wybaczenie to ulga dla serca.
Człowieczeństwo składa się z wybaczenia.*

Iga Bernard

MAKS

22 MAJA – BIELANY (WARSZAWA)

Sygnał pędzącej karetki jest już potwornie głośny. Przepycham się przez tłum otaczający stary, dziesięciopiętrowy blok, w którym mieszka mój ojciec. Gula w gardle rozsadza mi grdykę. Tłum z psami, dziećmi i zakupami w wypchanych reklamówkach obserwuje, jak strażacy na wysięgniku próbują dostać się na balkon na trzecim piętrze. Mój ojciec od kilku dni nie odbiera telefonów. To ja rozpętałem aferę ze ściągnięciem karetki i straży miejskiej. A policja wezwała straż pożarną. Przez smród, na który od dwóch dni skarżyli się sąsiedzi. Coś jak rozkładające się śmieci, odór gnijącego na słońcu mięsa. Nie mam kluczy do mieszkania ojca, bo zmienił zamki rok temu. Już wtedy zaczął się dziwnie zachowywać, ale zauważyłem to dużo później. Starość zmienia ludzi. Rzadko wychodzą z domu, gromadzą drobne przedmioty, jakby miały przydać się na tamtym świecie.

Huczą mi w głowie wyrzuty sumienia. Ale to on powinien je mieć. Rozwiódł się z moją matką, gdy miałem kilkanaście lat. Związał się z pielęgniarką, którą poznał na jednym ze wspólnych dyżurów. Po latach został sam jak palec. Druga żona odeszła, a ja miałem już swoje życie, mozolnie budowane na luksusowym osiedlu pod Warszawą. Nie chciał ze mną zamieszkać. I ja tego nie chciałem. Został w swoim ciasnym mieszkaniu w bloku na Bielanych. Teraz z zapartym tchem obserwuję, jak strażacy dostają się na jego balkon. Wciąż mam nadzieję, że znajdą go żywego, że może nie ma go w mieszkaniu, może wyszedł gdzieś w nocy, zgubił telefon i, do jasnej cholery, stracił pamięć?! Strażak wybija szybę drzwi balkonowych. Czuję, jak elegancka, droga koszula lepi mi się do ciała. Zaciskam w dłoniach kluczyki do samochodu. Zaparkowałem dwie ulice dalej, bo pod blokiem zebrał się tłum, ludzie mają widowisko. Smród z coraz większą siłą zalewa ulicę. Powietrze stoi. Ludzka ciekawość jest obrzydliwie lepka, natarczywa. Mam wrażenie, że gapią się także na mnie.

Dociera do mnie, że ojciec mógł leżeć martwy w mieszkaniu kilka dni. Byłem na urlopie z żoną i dziećmi. Polecieliśmy na Kanary, nie miałem pojęcia, że coś się stało. Przecież kobieta, która miała się nim opiekować, twierdziła kilka dni temu, że wszystko jest w porządku. Teraz do niej również nie mogłem się dodzwonić. Przyjechałem na miejsce prosto z lotniska, żonę i dzieci wsadziłem do taksówki i wysłałem do domu. Wanda Bielenda mieszka na tym samym piętrze co ojciec. Płacę jej co miesiąc ładną sumkę za robienie mu większych zakupów, sprzątanie i gotowanie. Sama to zaproponowała, gdy spotkałem ją kiedyś obok windy. Jest koło siedemdziesiątki, konkretna i sympatyczna. Ojciec nie miał nic przeciwko, żeby wpadała do niego i ogarniała mieszkanie. Przez rok był spokój. Odwiedzałem go raz w tygodniu. Zawsze było czysto, lodówka pełna. Czasem zastawałem Wandę. Ona mówiła dużo, ojciec bardzo mało. Wpatrywał się tępo w ekran wyciszzonego telewizora. Ale na miliony moich pytań zawsze odpowiadał tak samo. Niczego nie potrzebuje. Jest wszystko w porządku. A na koniec prawie szeptem: „Daj mi spokój. Idź już. Nie przychodź tu tak często. Ona tego nie lubi”. Osiemdziesiąt siedem lat to nie jest wiek, gdy zawsze mówi się superlogicznie i z sensem. Potem przychodziłem coraz rzadziej. Mam miliony spraw na głowie. Dwoje dzieci. Kredyt we frankach na dwupoziomowy apartament z ogródkiem. Myśli o ojcu gdzieś tam były w tyle w głowy, ale ulatywały. Teraz serce łomocze mi w piersiach i wciąż modlę się w myślach, żeby znaleźli go żywego.

Policyjna taśma broni wejścia na klatkę schodową. Kilka osób na sąsiednich balkonach obserwuje, co się dzieje na balkonie mojego ojca. Spoglądam w okna mieszkania jego sąsiadki. Zasłonięte, pozamykane, mimo że na zewnątrz ponad trzydzieści stopni. Może jej także coś się stało? Może dlatego od wczoraj nie odbierała moich telefonów? I nie otworzyła mi godzinę temu, chociaż waliłem pięściami w jej drzwi i krzyczałem, powodując spore zamieszanie na klatce schodowej? Gdzie jest ta kobieta?! Dlaczego nie dała mi znać, że z ojcem nie jest dobrze?! Przecież płaciłem jej tyle kasy, za opiekę, za zakupy dla niego, za sprzątanie! Mój telefon brzęczy wepchnięty w tylną kieszeń lnianych spodni. To facet z administracji osiedla, do którego telefonowałem ponad godzinę temu.

– Pan Maksymilian Hoffman? Chyba pana widzę. Stoję po drugiej stronie ulicy. Mam złe wiadomości... niestety... znaleźli go...

– Mogę wejść do mieszkania? Muszę zobaczyć ojca, zanim...

– Policja mówi, że absolutnie nie może pan tam wejść. Naprawdę lepiej, żeby pan tego nie oglądał...

IGA

20 STYCZNIA – ŻOLIBORZ (WARSZAWA)

Andrzej właśnie bierze prysznic. Jesteśmy razem niecałe dwa miesiące. Wciąż go poznaję i wciąż jest dla mnie zagadką. Lubię jego zapach, zwłaszcza rano, gdy przeciąga się i drapie moje ciało nieogolonymi policzkami. Pierwszy raz jestem w związku, w którym kompletnie się zatracam, w którym obecność mężczyzny jest jak tlen, bez którego nie da się oddychać. Nigdy wcześniej nie przeżywałam czegoś takiego. Mam trzydzieści sześć lat i ani jednego dobrego związku w przeszłości. Moja siostra Olga twierdzi, że dojrzałam i wije gniazdko. Wciąż szaleją we mnie wątpliwości, wciąż pojawia się strach, że coś zepsuję, zniszczę, tak jak wcześniej.

– Dopiero niedawno uświadomiłem sobie, że jestem DDA. Boję się, że wszystko... rozwalę... mów mi... Od razu dawaj mi znać, gdy będzie ci źle ze mną... obiecujesz? Obiecuj mi... obiecuj... – Szeptał mi dziś rano, wsuwając język w moje ucho. Lizał je powoli, zmysłowo.

Całował zagłębienie pomiędzy moimi piersiami. Smakował skórę wokół mojego pępka. Przeciągał każdą sekundę, robiąc mi językiem kółka na podbrzuszu. Wszedł we mnie, gdy nie byłam już w stanie myśleć. Gdy ściany naszej sypialni zaczęły falować. Po kilkunastu minutach zasnął.

Otwieram szafę. Moje sukienki rozwieszono kolorystycznie, swetry ułożone jak pod linijkę. Andrzej zagląda do sypialni, wycierając włosy granatowym ręcznikiem. Ociekający wodą, uśmiechnięty. Bardzo wysoki blondyn o sylwetce pływaka i zielonych oczach. Rok ode mnie młodszy. Mała blizna na brzuchu po zagojonej niedawno ranie, tatuaż ważki pod lewym żebrem.

– Zrobiłem ci porządek w szafie, chyba jesteś zła?

– Przyzwyczajam się, że mój facet to pan porządnicki.

Wtulam się w niego. Pachnie migdałowym płynem do kąpielii. Gdy wsuwa dłonie pod mój jedwabny szlafrok, słyszymy dzwonek do drzwi.

– Udawajmy, że nas nie ma... – Andrzej nie chce wypuścić mnie z rąk, ale jestem szybsza.

Spoglądam przez wizjer, ale nie widzę nikogo na korytarzu. Uchylam drzwi. Dostrzegam duże pudełko owinięte w brązowy papier i szczelnie oklejone taśmą.

– Co to jest? – słyszę jego głos za plecami.

– Chyba do ciebie? Dziwne, że kurier nie chciał, żeby coś mu podpisać.

Próbuję unieść pudełko, ale jest dość ciężkie. Widzę z boku odrobinę rozmazane litery: „ANDRZEJ BIELENDĄ – ulica Krasińskiego... Warszawa”. Błyskawicznie wyjmuję mi paczkę z rąk i zanoszą ją do gabinetu. Czekam na niego w kuchni, próbując skupić się na drobnych czynnościach. Wydaje mi się, że rozmawia z kimś przez telefon, ale mówi tak cicho, że nie rozpoznaję słów. Kręcę się po przedpokoju, udając przed sobą, że nie staram się podsłuchiwać. W końcu Andrzej otwiera drzwi gabinetu i widzi mnie z pustą filiżanką po kawie w ręku, rozczochraną i przejętą. Patrzy na mnie nieprzytomnym wzrokiem, bez uśmiechu. Już ubrany w ulubione džinsy i trochę pogniecioną koszulę.

– Co się stało? Co jest w tym pudełku? Kto ci to przysłał?

Idzie do kuchni i nalewa sobie do szklanki wodę z kranu.

– Powiedz coś! Od kogo ta paczka?!

– Chyba od mojej matki.

– Prezent?

– To nie prezent. To jeszcze jeden problem, który muszę rozwiązać i nie wiem jak, Iga...

Po prostu nie wiem jak...

KSENIA

18 STYCZNIA – BIELANY (WARSZAWA)

Przez śpiący mi w oczy śnieg prawie nic nie widzę. Czuję, że przemokły mi zamszowe kozaki

i łzy zbierają mi się w kącikach oczu. Cały ostatni tydzień rozwalił mnie emocjonalnie, więc teraz nawet drobiazg sprawia, że rozpadam się na kawałki. W windzie próbuję zmusić twarz do uśmiechu. Przeglądam się w małym, pomazanym czarnym markerem lustrze i widzę przemęczoną twarz przedwcześnie postarzałej trzydziestolatki. Mam nadzieję, że tym razem mi się uda i nie będę musiała szukać kolejnego ogłoszenia o wynajęciu pokoju. Jestem pewna, że mają mnóstwo chętnych, więc muszę wypaść jak najlepiej. Chcę wyglądać jak spokojna lokatorka bez nałogów. Mam stałą pracę. Nie piję, nie palę. Nie mam zwierząt. I nie imprezuję w domu. W ogóle nie imprezuję, mogę dodać, ale może to zabrzmi podejrzanie. Wysiadam na trzecim piętrze i rozglądam się nerwowo. Mieszkanie jest tuż obok windy. Po pierwszym dzwonku otwiera mi siwa kobieta. Elegancka, niemodna bluzka, granatowe dżinsy, serdeczny uśmiech. Dała ogłoszenie w internecie, że szuka lokatorki do mniejszego pokoju. Niski czynsz. Bez kaucji. Tylko jeden przystanek od liceum, w którym pracuję.

– Proszę wejść. Czekałam na panią. – Wanda Bielenda uśmiecha się szeroko. – Gdy mi pani napisała, że uczę w szkole, to niech pani sobie wyobrazi, odwołałam inne chętne na ten pokój.

Przedpokój jest ciasny i zagracony. Z dużego pokoju dobiega dźwięk rozkręconego na cały regulator telewizora. A mały pokój, ten, który chce wynająć ta kobieta, jest cudowny! Spodziewałam się meblościanki i obrzydliwych tapet, a tymczasem jest urządzony przytulnie i nowocześnie. Białe ściany. Granatowa kanapa i nowoczesny fotel w podobnym kolorze. Białe biurko i biała szafa. Mały, nowiutki telewizor zawieszony na ścianie. W oknach żaluzje.

– Chciałam upewnić się co do ceny... Naprawdę tak tanio i bez kaucji?

– Naprawdę. Zrobiłam tu niedawno mały remont. Mój kot uwielbiał tu zaglądać i trochę zniszczył poprzednie meble. Teraz już tego problemu nie będzie. Musiałam go uspić. Bardzo chorował. Mogę mówić ci na ty? Masz piękne imię.

– Oczywiście! Czyli już się pani zdecydowała?

– Możesz się wprowadzić w każdej chwili, jak podpiszesz umowę i zapłacisz mi za pierwszy miesiąc. Gotówką. A potem już przelewy na konto.

– Oczywiście! – powtarzam, nie wierząc w swoje szczęście.

Zaczynam mieć nadzieję, że to nowy początek lepszego etapu w moim życiu! W sylwestra przypadkowo odkryłam, że facet, z którym od niedawna randkowałam, jest żonaty. Tydzień później właściciel kawalerki, w której mieszkałam od pół roku, próbował mnie zgwałcić. Wparował do mnie wieczorem bez uprzedzenia, otwierając drzwi własnym kluczem, akurat gdy brałam prysznic. Zorientowałam się, że jest w mieszkaniu, gdy owinięta kusym ręcznikiem wyszłam z łazienki. Jestem pewna, że mnie podglądał i dlatego tak szybko miał erekcję i tak obrzydliwie się ślinił. Przydusił mnie swoim ciałem, które śmierdziało tanimi fajkami, i zaczął obrzydliwie obmacywać. Na szczęście był tak pijany, że szybko osłabł. Cudem mu się wyrwałam i półnaga zaczęłam szukać telefonu w torebce. Gdy jakoś się pozbierał, zwymiotował mi na dywan i wytoczył się z powrotem na klatkę, mamrocząc coś pod nosem. Nigdy nie przypuszczałam, że coś takiego może mi się przytrafić! Nie wyglądał na zbrojeńca, gdy podpisywaliśmy umowę najmu. Trzęsłam się od płaczu, próbując usunąć jego wymiociny z podłogi. W końcu wybrałam numer telefonu Magdy, o kilka lat ode mnie starszej koleżanki z pracy, wuefistki. Przyjechała w ciągu godziny. Przeniosłam się na kilka dni do niej, ale jej partnerka nie była zachwycona. Kursując po mieście od jednego mieszkania do drugiego, bo udzielam korepetycji z języka angielskiego, intensywnie szukałam ogłoszeń o pokoju do wynajęcia. I wreszcie się udało, gdy byłam już totalnie załamana albo cenami wynajmu, albo standardem.

Wanda Bielenda zaprasza mnie do swojego pokoju. Salon jest zagracony, ale bardzo czystutki. Podoba mi się, że jest tu mnóstwo książek, obrazów. Drapak dla kota, którego już nie ma.

– I już przez jakiś czas żadnego nie będzie – odzywa się, widząc moje spojrzenie. – Za dużo mnie to kosztowało. Za bardzo się do niego przywiązałam, a on robił, co chciał.

Zastanawiam się, czy ma rodzinę, ale głupio mi pytać. Najważniejsze, że oprócz niej nikt tu nie mieszka. Pokazuje mi łazienkę, w której remont na pewno by się przydał, ale przecież mam płacić takie grosze, że nie powinnam narzekać. W kuchni stara boazeria wygląda dość przygnębiająco, a kuchenka gazowa ma wyłączony jeden palnik.

– Jak widzisz, nie ma luksusów. Ale cena wynajmu dopasowana jest do standardu mieszkania.

Chodzę wcześniej spać. Więc raczej po dwudziestej drugiej nie hałasujemy i nie robimy sobie na złość. Jeżeli chodzi o odwiedziny, to nie mam z tym problemu. Nawet jak będziesz chciała przemocować raz na jakiś czas... mężczyzną... znajomego...

– Nie będę chciała. Właśnie zakończyłam związek i mam zamiar od tego wszystkiego odpocząć.

– Od czego?

– Od mężczyzn.

– Rozumiem. Ale skończyłaś trzydzieści lat. Wpisałam przed chwilą do naszej umowy twój PESEL. Ten odpoczynek nie powinien trwać długo... Przepraszam. To tylko głupie gadanie starej baby.

Tego samego dnia wieczorem rozpakowuję rzeczy w moim pokoju. Jestem tak podekscytowana, że w ogóle nie chce mi się spać. Meble pachną nowością, mają jeszcze nieodklejone sklepowe metki. Nawet jasnobrązowe panele wyglądają jak położone całkiem niedawno. Gdy kłękam na podłodze, żeby ułożyć na dolnej półce w szafie pudełka z butami, dostrzegam coś pomiędzy listwą podłogową a szafką nocną. Zapalam nowoczesną lampkę przy łóżku. Sięgam w zagłębienie listwy i próbuję to coś wyjąć, wydłubać. Gdy mi się udaje, zamieram ze strachu. To duży paznokieć, złamany w kilku miejscach, z ciemnoczerwoną smugą i resztką perłowego lakieru. Obracam go z obrzydzeniem w dłoniach, wciąż nie wierząc, że jest realny. Mam nadzieję, że to tylko tips. Kiedyś miałam tipsy, ale zakładanie ich i zdejmowanie w gabinecie kosmetycznym było męczarnią. Jednak to coś nie wygląda jak tips. Wygląda jak poszarpany, ludzki paznokieć! Zastanawiam się, kto tu wcześniej mieszkał? Dlaczego właścicielka, zamiast wyremontować kuchnię czy łazienkę, zainwestowała w remont tylko tego pokoju? Wyrzucam paznokieć do kosza na śmieci w kuchni. Za oknami śnieżna zadymka. Temperatura w Warszawie spadła do minus piętnastu stopni. Zakopuję się pod kołdrą. Na pewno jest jakieś racjonalne wytłumaczenie, może mi się coś wydawało, może to nie był ludzki paznokieć, tylko... Zасыpiam... Wykończona całym cholernym stresem ostatnich tygodni. Zасыpiam, wciąż mając wrażenie, że ktoś mnie obserwuje.

MAKS

24 MAJA – BIELANY (WARSZAWA)

Siedzę na ławce na wprost bloku, w którym zmarł mój ojciec. Daria stoi nade mną. Odwracam głowę, żeby nie widzieć jej zatroskanego spojrzenia.

– Chodźmy już! Proszę cię... Dziś już nic nie możemy zrobić...

Coś przyciąga mnie do tego bloku, chociaż wcześniej nie znosiłem tu przyjeżdżać. Wpatruję się w rozbitą szybę drzwi balkonowych na trzecim piętrze. Nie mogę tam wejść, nie mogę wezwać szklarza. Na drzwiach wejściowych taśmy policyjne. Wyniki sekcji będą za kilka dni. Wygląda na to, że mój ojciec zamknął drzwi mieszkania od środka, zanim zmarł, a to wyklucza pewnie udział osób trzecich. Był starym człowiekiem, którego organizm przypominał tykającą bombę zegarową. Ale przecież nie wyleciałem sobie na Kanary, zostawiając go na pastwę losu! Darłem się na policjantów, a potem zacząłem płakać. Patrzyli na mnie bez zbytniego zainteresowania. To się zdarza. Umiera stary człowiek i znajdują go dopiero po kilku dniach, bo rodzina ma go w dupie. Tłumaczyłem im, że płaciłem jego sąsiadce za opiekę nad nim i powinni ją znaleźć. Przecież ona ma klucze do mieszkania, które teraz należy do mnie! Dlaczego jej telefon jest poza zasięgiem?! Wyjechała?!

– Poczekajmy na wyniki sekcji zwłok – odezwał się aspirant Sobiecha. – Nikt nie zgłosił zaginięcia Wandy Bielendy. Z tego, co wiemy od administratora budynku, mieszkała sama. Na razie nie mamy powodu, żeby jej szukać.

– Jak to nie macie powodu! Płaciłem tej kobiecie za opiekę nad ojcem! Zostawiła go, chociaż potrzebował pomocy! Kurwa mać!

– Po pierwsze, proszę uważać na słowa, a po drugie, nie wiemy, jaka jest prawda. Zlecił pan opiekę nad ojcem kobiecie, która skończyła siedemdziesiąt lat. Sprawdzimy oczywiście szpitale, popytamy sąsiadów. Może musiała nagle wyjechać?

Nie wierzyłem, że cokolwiek zrobią, choć absurd całej sytuacji był widoczny gołym okiem! Mój ojciec zmarł ze starości, a ja, idiota, po prostu zleciłem opiekę nad nim osobie, która się do tego absolutnie nie nadawała! Chciałem tylko z nią porozmawiać, żeby uciszyć wyrzuty sumienia.

– Maks, to nie ma sensu. Za godzinę odbieram dzieci ze szkoły.

– To jedź, a ja tu zostanę.

– Nie zostawię cię. Przeżyłeś szok i...

Urywa, bo z klatki bloku, w którym zmarł mój ojciec, wytacza się monstrualnie gruba kobieta. Nigdy wcześniej jej tu nie widziałem, ale przecież nie znam wszystkich sąsiadów. Trzyma w ramionach popiskującego ratlerka.

– Ja pana znam! – Idzie prosto w moją stronę, uśmiechając się serdecznie i pokazując żółte, niezbyt proste zęby. – Zofia Zawiaślak. Pan jest synem pana Jakuba z trzeciego piętra?

– Tak...

– Straszna tragedia! Wszyscy tu nie możemy uwierzyć w to, co się stało! Często widywałam pana Jakuba, jeszcze zanim...

– Zanim co?

– Zanim ona... Nie powinien pan... Powinien pan wynająć profesjonalną opiekunkę do ojca, a nie ją!

Daria zsuwa okulary przeciwsłoneczne. Patrzy na monstrualnie otyłą kobietę, jakby spadła z księżycy.

– Chciałam pana ostrzec. Wiele razy chciałam powiedzieć, że nie powinien pan pozwolić, żeby ona zajmowała się pana ojcem.

– To dlaczego pani mi tego nie powiedziała?!

– Bo nigdy nie mieliśmy okazji porozmawiać. Mówiłam panu „dzień dobry” z dziesięć razy, ale pan nigdy nie odpowiedział. Mijaliśmy się tu wiele razy, na korytarzu, jechaliśmy razem windą...

Mam wrażenie, że zwariowałem, że blok, przed którym siedzimy, wyrzusza się, że jest jak kurewski statek kosmiczny wypełniony obcymi organizmami, których nie rozumiem i których się boję.

– O czym pani mówi! Nigdy wcześniej pani nie widziałem!

– Przepraszam za męża. – Daria zaciska paznokcie na moim ramieniu. – Przeżył szok, stracił ojca... Sama pani widziała, co tu się działo...

– Stałam tuż przy taśmie policyjnej... w pierwszym rzędzie. – Zofia Zawiaślak wzdycha, a krople potu na jej czole lśnią i spływają maleńkimi kanalikami wzdłuż wielkiego, garbatego nosa.

Nigdy w życiu nie spotkałem tak brzydkiej kobiety, więc gdybym ją widział wcześniej, na pewno bym to zapamiętał!

– Czy pan wie, że mój balkon sąsiaduje z balkonem tej kobiety? To zaledwie pół metra... Gdyby pan zrobił duży... tak... duży krok... bo pan jest wysoki... to mógłby pan tam wejść i sprawdzić... – zaczyna szeptać mi do ucha.

– Nie rozumiem, co miałbym sprawdzić?!

– Mógłby pan sprawdzić, czy Wanda Bielenda żyje! Przecież nie otwiera drzwi i nie odbiera telefonów! Może ona... tak jak pana ojciec... Wie pan... jest gorąco... upało... Na jutro zapowiadają trzydzieści pięć stopni.

– Przed chwilą oskarżała ją pani, że przyczyniła się do śmierci mojego ojca, a teraz sugeruje, że ona też nie żyje?!

– Po prostu nie wiem... Nie rozumiem, co tu się dzieje. Nikt nas nie słucha... Pisaliśmy do administracji skargi na tę kobietę. Nikt nie zareagował! Olali nas, proszę pana, a teraz...

– Nie wejdę przez pani balkon do jej mieszkania! Zresztą tam wszystko jest pozamykane na cztery spusty, a szyby jej nie rozbiję! Wezwijcie sobie straż pożarną!

– Maks, chodźmy już. Musimy po dzieci... – Daria mruga do mnie.

– Niech pan spojrzy... Niech pan uniesie głowę i spojrzy na jej balkon. – Zofia Zawiaślak zaczyna znowu szeptać mi do ucha. – Drzwi balkonowe są odrobinę uchylone. Wejdzie pan na ten balkon i lekko je popchnie. Nie trzeba rozbijać szyby. Wejdzie pan do jej mieszkania i sprawdzi, czy wszystko jest w porządku. Może znajdzie pan jakiś ślad? Przecież ta kobieta przyczyniła się do śmierci pana ojca! Pan Jakub mógł żyć jeszcze długie lata! I ja wiem, i pan wie, że to nieludzkie, żeby zostawić starszego człowieka potrzebującego pomocy! Zajmie to panu z dziesięć minut. Wróci pan tak samo... przez mój balkon. To tylko trzecie piętro. Wystarczy nie patrzeć w dół...

Szept tej kobiety jest coraz cichszy. Daria już jej nie słyszy, bo idzie w stronę naszego samochodu, rozmawiając przez telefon.

– Przecież nie ma pan lęku wysokości. Jest pan wysportowany. Wystarczy męska, konkretna decyzja. To jest pan winien swojemu ojcu, prawda?

Spoglądam w górę. Drzwi balkonowe rzeczywiście wyglądają na minimalnie uchylone. Wystarczy nie patrzeć w dół. Muszę się dowiedzieć, co się stało! Muszę, bo wyrzuty sumienia zniszczą mi mózg!

IGA

21 STYCZNIA – SADY ŻOLIBORSKIE (WARSZAWA)

Lodowaty wiatr wdziera mi się pod puchowy płaszcz i zrywa kaptur. Rozwiewa włosy, które dawno powinnam podciąć, bo sięgają prawie do pasa. Andrzej spóźnia się prawie pół godziny i nie przysłał mi jeszcze żadnej wiadomości. Posiedziałam chwilę w zaparowanej od ludzkich oddechów kafejce przy Krasińskiego i idę na spacer do parku Sady Żoliborskie. Żeby za dużo nie myśleć, żeby zmarznąć i w ten sposób zyskać rozsądną perspektywę. Chcę, żeby mój związek był normalny. Po raz pierwszy w życiu zależy mi, żeby czegoś nie spieprzyć, nie zniszczyć własnym egoizmem i własnymi schizami. To ja zaproponowałam wspólną terapię dla par i Andrzej natychmiast się zgodził. Znalazłam terapeutkę z ogromnym doświadczeniem i mam nadzieję, że ona podpowie nam, o czym pamiętać, co pielęgnować i kiedy odpuszczać. Zmarzniętymi palcami piszę mu wiadomość, że jestem w parku.

Po dziesięciu minutach dostrzegam jego sylwetkę na końcu alejki. Macha do mnie, uśmiechnięty, zrelaksowany, w granatowej puchówce i jasnych džinsach.

– Przepraszam! Pomyliły mi się godziny! Jesteś na mnie zła?

– Nie. – Parskam śmiechem, bo robi minę chłopca, który nabroił i wie, że jego czarujący uśmiech naprawi wszystko.

– Spóźnimy się na terapię? Może ją przełożymy?

– Nie spóźnimy się i nie przełożymy. Chyba że zmieniłeś zdanie?

– Skąd! Złapałem taksówkę i właśnie na nas czeka. Przepraszam... Byłem na spotkaniu, na prezentacji... Urwałem się... I więcej ci nie powiem, bo jeszcze nie zdecydowałem, czy wejść w ten biznes, czy nie...

– Czyli chcesz mieć przede mną tajemnice? Powiesz pani psycholog od razu na wejściu, że są sprawy, o których nie chcesz mi mówić. – Z uśmiechem grożę mu palcem.

– Uznałem, że za wcześnie jeszcze, żeby analizować, czy wchodzić w ten biznes, czy nie. I pomyślałem, że to może być dla ciebie nudne. Nie mam przed tobą żadnych tajemnic. Sama wiesz.

– A paczka od twojej matki? Powiesz mi w końcu, co w niej było?

– Jakieś zdjęcia z mojego dzieciństwa. Nie wiem, po co mi to przysłała. Potem o tym porozmawiamy.

Wrusza ramionami, udając obojętność. Jednak widzę, że coś jest nie tak. Zrobił się nagle spięty i ewidentnie stracił humor.

Terapeutka to miła, siwa, obcięta na jeża kobieta. Jej gabinet jest nowoczesny i przytulny. Słucha mnie uważnie, gdy opowiadam o naszym związku.

– Czyli są państwo ze sobą od sześciu tygodni. Poznaliście się podczas pracy w hotelu na Mazurach. Pani była wtedy związana z żonatym współnikiem pana Andrzeja, tak?

– Ukrywaliśmy nasz związek z wielu powodów. Teraz w końcu możemy być razem bez zatajania, kręcenia.

– Czy podniecało was, że kradniecie godziny dla siebie? Czy kręciło was niebezpieczeństwo z tym związane?

– Pani żartuje, prawda?!

– Iga... – Andrzej ściska mi rękę, wygląda jak zbudzony z głębokiego snu.

– Nie żartuję. Niektóre pary uwielbiają to ryzyko, ryzyko nakrycia, wyjścia na jaw ich romansu...

Przez to ich pożycie seksualne jest barwniejsze...

– Nasze pożycie seksualne jest idealne! – mówię szybko. – Jest idealne właśnie teraz, gdy nie musimy się niczego bać. uprawiamy seks kilka razy w tygodniu, i to nie to jest problemem.

– A co jest problemem? – Kobieta uśmiecha się do mnie ciepło.

– Gdy byłam nastolatką, lekarze sugerowali, że mam borderline. To się stało po mojej próbie samobójczej, chociaż niedawno do mnie dotarło, że tak naprawdę wcale nie chciałam się wtedy zabić. Weszłam na dach bloku. Stałam tam godzinę i nie skoczyłam. To był mój krzyk o pomoc. Nic więcej. Zawieźli mnie do psychiatryka. Nie chciałam brać leków. Gdy pielęgniarki dawały mi jakieś tabletki, to wyrzucałam je do kibla, gdy nikt nie widział. Uważałam, że sama sobie poradzę. Wypuścili mnie w końcu, bo widzieli, że funkcjonuję normalnie. Jadłam, dobrze spałam i mnóstwo czytałam. Tylko nie chciałam z nikim gadać, ani z lekarzami, ani z dziewczynami z mojej sali. Może to wszystko się stało, bo miałam koszmarne dzieciństwo. Andrzej tak samo. Straciłam rodziców, gdy miałam dwanaście lat. Wypadek w górach. Trochę mi potem odbiło. Krewni się mną zajęli, ale... Urodziłam dziecko jako piętnastolatka. Rodzina mnie zmusiła, żebym oddała córkę do adopcji. Odnalazłam ją cudem kilka tygodni temu i...

Nie mogę już mówić dalej. Zrywam się z obitego brązowym pluszem krzesła i rozpaczliwie szukam drzwi, bo zaczynam się dusić.

– Iga... – Andrzej przytula mnie z całej siły.

Myślałam, że jestem silna, a jestem krucha jak lalka z porcelany. Dlaczego rozpadam się na kawałki, gdy wszystko w moim życiu się układa?! Mam wspaniałego faceta, który szaleje na moim punkcie, moja odnaleziona córka cały czas łąknie kontaktu ze mną... A ja histeryzuję...

– Zróbmy dziesięć minut przerwy. – Terapeutka podaje mi pudełko z chusteczkami.

Andrzej zamyka się ze mną w małej toalecie.

– Schodzi z ciebie cały stres ostatnich tygodni. Teraz widzę, że ta terapia to dobry pomysł, chociaż wcześniej nie byłem przekonany.

Wracamy do gabinetu i siadamy przed tą kobietą, trzymając się za ręce.

– Zacznijmy od pana – zwraca się do Andrzeja z uśmiechem. – Pani Iga wspomniała, że pana dzieciństwo było trudne.

– To za mało powiedziane. Nie znam mojego ojca. Moja matka była alkoholiczką. W wieku dwunastu lat trafiłem do domu dziecka, a potem do rodzin zastępczych.

– Czy ma pan kontakt z matką?

– Sporadyczny. Nic nie czuję do tej kobiety. Od czasu do czasu pomagam jej finansowo, ale mam wrażenie, że interesują ją tylko moje pieniądze. Nie chcę analizować moich przeżyć z domu dziecka i opowiadać, jak bardzo...

– Jak bardzo co?

Palce Andrzeja zaciskają się na mojej dłoni.

– Jak bardzo za nią wtedy tęskniłem. I jak bardzo jej nienawidzę.

KSENIA

19 STYCZNIA – BIELANY (WARSZAWA)

W pokoju nauczycielskim jest taki tłum, że tylko cudem udaje mi się znaleźć wolne krzesło przy oknie i przycupnąć na nim z kubkiem kawy w dłoni. Bardzo źle spałam w nocy, a następne godziny będą długie i męczące. Staram się jednak znajdować jakieś pozytywy tego gównianego dnia. Plussem na pewno jest kasa, bo dziś dostanę wypłatę w szkole językowej na Ursynowie, w której dorabiam sobie popołudniami.

– Która to kawa? – Jakaś męska dłoń dotyka mojej zaciśniętej na kubku.

To Olgierd. Jest wuefistą i rzadko wpada do pokoju nauczycielskiego, bo ma swój kantorek tuż obok sali gimnastycznej. Ale dziś jest rada pedagogiczna. Potężny i bardzo pewny siebie facet, którego staram się unikać, bo mi się po prostu strasznie podoba.

– Czwarta.

– Podobno się przeprowadziłaś.

Ma na sobie dres w kolorze zgniłej zieleni. Słyszałam, że codziennie rano biega i znowu przygotowuje się do jakiegoś maratonu. Miałam odpocząć od mężczyzn, nie myśleć o nich, nie zaprzętać sobie głowy randkami, seksem i całym tym cholernym targowiskiem próżności, uwodzeniem i byciem uwodzoną, Tinderem, randkami w ciemno, randkami ze znajomymi koleżanek i ciągłym zastanawianiem się, co jest ze mną nie tak. Bo musi być coś nie tak, skoro zawsze trafiam źle.

– Znalazłam pokój do wynajęcia przystanek od naszej szkoły. Za grosze. To prawdziwy cud!

– Szczęściara. Ja wynajmuję kawalerkę w Ząbkach. Wiesz, jak wygląda rano dojazd na Bielany?

– Sam wynajmujesz?

– Odkąd dziewczyna mnie rzuciła, siedzę tam sam jak palec.

Gdybym wiedziała, że usiądzie obok mnie na radzie pedagogicznej, ubrałabym się bardziej seksownie. Ale wczoraj nie zdążyłam rozpakować wszystkich ciuchów. Przypomina mi się kobiecy paznokieć, który znalazłam wbity między framugę a panel podłogowy. Może to jednak tips, a moja bogata wyobraźnia stworzyła coś, czego nie było? Olgierd dotyka mojej dłoni, żeby wyjąć mi z niej mały długopis.

– Mogę? Muszę chociaż udawać, że zapisuję coś w kalendarzu, bo dyrektorka właśnie się na mnie gapi.

Szepczemy jak dwójka niesfornych uczniów. Robię głupią minę, gdy Olgierd kładzie mi rękę na kolanie i nachyla do mojego ucha. Próbuję nie chichotać, bo właśnie omawiany jest poważny problem z jedną z naszych najlepszych uczennic.

– Beata Sokolnicka była wizytówką naszego liceum. Jeżeli uczennicę można nazwać wizytówką. Laureatka olimpiad językowych, świetna z angielskiego... prawda, pani Kseniu?

– Tak.

– Niestety, od jakiegoś czasu bardzo się zmieniła. Opuszcza lekcje, nie przynosi zwolnień lekarskich... a jej wychowawczyni, nasza pani Ula, jest właśnie na zwolnieniu lekarskim z powodu zagrożonej ciąży. Skierowałam ją na rozmowę do pani pedagog, ale...

– Ona nie powiedziała ani jednego słowa... – Anna Kołacz, drobna brunetka w okularach, wzdycha teatralnie. – Naprawdę mnie to zdumiało, bo Beata zawsze była gadułą. Taką naszą iskierką, przecież pamiętacie państwo... Sami mówiliście, że zawsze pierwsza zgłasza się na lekcjach, że gra główne role w szkolnych przedstawieniach.

– Już nie. – Polonistka unosi głowę znad dziennika. – Zrezygnowała z kółka teatralnego tuż przed świętami Bożego Narodzenia.

– Powiedziała dlaczego? I dlaczego ja o tym nie wiem? – Dyrektorka marszczy brwi.

– To są zajęcia nieobowiązkowe, więc nie sądziłam, że należy to zgłosić.

– Wszystko, co dotyczy naszych uczniów, jest ważne! Zwłaszcza takich uczennic jak Beata Sokolnicka! To głównie dzięki jej międzyszkolnym osiągnięciom nasze liceum było w czołówce rankingów! O tak zdolnych i pracowitych uczniów należy dbać w szczególności! Czy wiedzą państwo, że ona w ogóle nie zjawiła się w szkole po przerwie świątecznej?! A dziś jest dziewiętnasty styczeń! Nie przychodzi na lekcje od ponad dwóch tygodni!

– Ja próbowałam... – odzywam się niepewnie. – Mnie to zaniepokoiło jakiś tydzień temu. Dzwoniłam do niej i się nagrałam. Do jej mamy także.

– Oddzwoniła do pani?

– Nie. Wypytywałam jej koleżanki. Jedna mówiła, że pewnie Beata źle się czuje, bo nie pisze do nich i nie dzwoni.

– Ja także dzwoniłam do Wioletty Sokolnickiej. I także zostawiłam kilka wiadomości. Powinna nam donieść lub przesłać zwolnienie lekarskie, jeżeli Beata jest chora. A tu cisza... Zresztą z tą panią zawsze był dość utrudniony kontakt.

– Podobno jest bardzo zapracowana. Sama wychowuje córkę. – Olgierd wchodzi jej w słowo, czego dyrektorka nie znosi. – Mnie także zmartwiło, że Beata przestała zjawiać się na zumbie, ale pomyślałem, że ma na głowie maturę i nie ma już na to czasu.

– Wszyscy się zgadzamy, że zachowanie Beaty jest absolutnie niepokojące, zwłaszcza że nasza uczennica ma w tym roku zdawać maturę. Niestety, jak wspomniałam, jej wychowawczyni jest

na dłuższym zwolnieniu lekarskim. Nie wyznaczyłam jeszcze zastępcy, ale ktoś powinien sprawdzić, czy Beata rzeczywiście jest chora, czy jej matka wie, że dziewczyna od ponad dwóch tygodni nie pojawia się w szkole i co się w ogóle dzieje w tym domu.

Dyrektorka zsuwa okulary w niemodnych oprawkach na czubek nosa. Przegląda dziennik.

– Ulica Wrzeciono... Kto z państwa niedaleko mieszka? Kto mógłby tam podjechać dziś lub najpóźniej jutro i sprawdzić, co się dzieje?

– Ja chyba mieszkam najbliżej. Mogę sprawdzić, popytać... Beata zawsze mnie lubiła, miałyśmy świetny kontakt. Pożyczałam jej powieści w języku angielskim – mówię cicho.

– Też mieszkam niedaleko – odzywa się Olgierd, a ja spoglądam na niego osłupiała. – Jeżeli pani dyrektor zwolni nas dziś z rady pedagogicznej, to możemy jechać tam już teraz. Jest paskudna pogoda, pani Ksenia nie ma samochodu, a ja mam. Sprawdzimy, co się dzieje, i damy znać.

– Dobrze. Jest siedemnasta, a my mamy jeszcze sporo spraw do omówienia. W takim razie zwalniam dziś z rady pedagogicznej panią Ksenię i pana Olgierda, którzy udadzą się do miejsca zamieszkania uczennicy klasy czwartej C w celu sprawdzenia jej niepokojących nieobecności. Proszę zaprotokołować. A państwa zapraszam jutro do mnie rano przed lekcjami z informacją na piśmie, czego się państwo dowiedzieliście i jakie kroki powinniśmy podjąć.

Zapinam sweter i staram się nie patrzeć w stronę Olgierda. Nie wiem, dlaczego skłamał, że mieszka na Bielanych, ale sprawił mi ogromną przyjemność. Czuję, że mu się podobam i nie mam mu nawet za złe, że położył mi rękę na kolanie. To był raczej przyjacielski gest, a nie chamskie obmacywanie. Przynajmniej tak sobie wmawiam, wsiadając do jego starego volvo zaparkowanego na tyłach szkoły.

MAKS

24 MAJA – BIELANY (WARSZAWA)

Koszula lepi mi się do pleców, dłonie drżą jak w delirium. Przeceniłem siłę własnych mięśni. Wprawdzie mam ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i na studiach trenowałem dżudo, ale teraz jestem facetem po czterdziestce z niewielkim brzuchem. Balkon Zofii Zawiaślak zagracony jest tak, że ledwo się na nim mieszczę. Ona obserwuje mnie ze swojego pokoju, dłubiąc sobie w zębach zapałką. Gdy wszedłem do jej mieszkania, uderzył mnie zapach gotowanego kalafiora. Przez zagracony salon poprowadziła mnie na balkon, na którym stoję teraz, trzęsąc się ze strachu. Odległość z jej balkonu do balkonu Wandy Bielendy to więcej niż pół metra! Słońce świeci mi prosto w kark. Mam wrażenie, że jestem idiotą, potwornie zagubionym po śmierci ojca. Jego ciało nie powinno gnić w upale kilka dni w zamkniętym na cztery spusty mieszkaniu! To moja wina, że umarł samotnie! To moja wina, że nikt mu nie pomógł, gdy umierał!

– Proszę nie patrzeć w dół. Niech pan patrzy na poręcz i balustradę!

Oczywiście, że natychmiast spoglądam w dół i zalewa mnie lodowata fala strachu. Dzieciaki bawią się w piaskownicy. Leniwe, majowe, upalne przedpołudnie. Idealny moment, żeby przeleźć przez barierkę na balkon tej kobiety i wejść do jej mieszkania. Jeżeli nie spadnę. Jak spadnę, to się zabiję! Pode mną betonowy chodnik i wejście na klatkę. Moja żona jest już w samochodzie i wciąż gada przez telefon. Nie przyznałem się jej, co zamierzam zrobić. Powiedziałem jedynie, że chcę chwilę pogadać z sąsiadką ojca. Teraz odehciewa mi się wariackich popisów akrobatycznych grożących śmiercią. Odwracam się. Widzę oczy tej kobiety. Z uśmiechem patrzy prosto na mnie. Wachluje się programem telewizyjnym.

– Musi się pan dowiedzieć, co się naprawdę stało! A jeżeli ona go zabiła?! Sam pan mówił, że pana okłamała! Wmawiała panu przez telefon, że wszystko jest w porządku, a tymczasem pana ojciec umierał w samotności! Chociaż tyle może pan dla niego zrobić... Po prostu odkryć prawdę i znaleźć winnego tej sytuacji... Bo nie pan jest tu winny. Przecież pan jej płacił za opiekę nad ojcem, i to niemało!

– Rozmawiała pani z nią przed jej zniknięciem?

– Z nią się nie dało normalnie rozmawiać! Ignorowała wszystkich sąsiadów! Nie odpowiadała nawet na „dzień dobry”. Widziałam ją może z tydzień temu przez chwilę, gdy wyszłam z psem. Chciałam wsiąść z nią do windy, ale nie przytrzymała mi drzwi. Zatrzasnęła mi je przed nosem. Miło,

prawda?

– Miło. – Zaciskam dłonie na balustradzie.

Przypomina mi się moja matka. Jej krótkie siwe włosy, pomarszczone dłonie, lekko skośne oczy za grubymi szklami okularów. Gdy zmarła, byłem na stypendium w Belgii. Udawała przede mną, że wszystko jest w porządku, że narodził się na jelicie grubym to nic groźnego. Łykałem te opowieści przez telefon z naiwnością siedmiolatka. Powinienem jeździć z nią po lekarzach, szukać najlepszej terapii, być z nią po prostu i jej słuchać. Znowu zbiera mi się na płacz. Dałem dupy już dwa razy. A teraz jeszcze histeryzuję, bo muszę przedostać się z jednego balkonu na drugi.

– Niech mi pani da jakieś rękawiczki. Najlepiej jednorazowe, gumowe. Nie chciałbym zostawić śladów. Mam nadzieję, że to wszystko zostanie między nami.

– Oczywiście!

Przynosi mi zafoliowane opakowanie z gumowymi rękawicami w środku. Znowu opieram dłonie o balustradę balkonu. Teraz w rękawicach ślizgają mi się i ogarnia mnie strach. Pełźnie po karku i rozlewa się pod pachami.

– Wszystko w porządku? – Kobieta patrzy na mnie pełna napięcia.

Przekładam nogę przez balustradę. Wpatruję się w balkon przede mną. Jakiś gołąb tuż przed moim nosem zrywa się do lotu. Wychylam się jeszcze bardziej. Wiatr rozwiewa mi włosy. Modlę się, żeby nikt nie zobaczył, co robię, bo może pomyśla, że chcę skoczyć, że jestem samobójcą. Udaje mi się złapać za balustradę balkonu Wandy Bielendy za pierwszym razem. Wszystko okazuje się dziecinnie proste, a ja wciąż mam pewnie ciśnienie z dwieście na sto. Zofia Zawiślak wtacza się na swój balkon i nie spuszcza ze mnie wzroku. Uśmiecha się szeroko.

– Wiedziałam, że się panu uda! Ojciec byłby z pana dumny! Przecież robi pan to dla niego. Niech pan teraz popchnie drzwi balkonowe i zajrzy do środka. I niech pan się stara niczego nie dotykać!

Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać. Gdy popycham drzwi balkonowe i nieporadnie wchodzę do środka, o mało nie tracę równowagi, bo wpadam na potężny drapak dla kotów z jakiegoś cholernego filcu i drewna. Zaplątany w długą firankę, mam wrażenie, że walczę z jakimś cieniem. Znowu serce łomocze mi jak oszalałe. Próbuję cokolwiek wyczuć, ale w pokoju nie śmierdzi, tak jak w mieszkaniu mojego ojca, chociaż jest duszno, bo wszystkie okna są zamknięte. Na stole przykrytym kremowym obrusem stoi więdnący i gnijący bukiet róż, na fotelu leżą robótka i druty, jakby ktoś rzucił je w pośpiechu.

– Pani Wando?

Jestem pewien, że ktoś jest w mieszkaniu, chociaż nie słyszę tu żadnego dźwięku, tylko hałas z ulicy. Idę do kuchni i widzę garnek z jakąś zupą na kuchence. Mam ochotę otworzyć okno, bo zaduch tutaj jest o wiele silniejszy i ciężko mi się oddycha. Ale wiem, że nie mogę. Muszę sprawdzić wszystkie pomieszczenia i znowu wrócić przez balkon. Ta zupa mnie niepokoi. Gdyby wyjechała na dłużej, nie zostawiłaby żarcia na wierzchu w taki upał. Zawsze wydawała mi się racjonalna i konkretna. Pamiętam, jak rozmrażała ojcu lodówkę, jak sprawdzała daty ważności na jogurtach, które lubił.

– Pani Wando? Jest pani tutaj?!

Wiem, że zrobiłem głupio. Posłuchałem tej tłustej wariatki. Dałem się podpuścić, a ona ma zabawę, jakąś rozrywkę w swoim nudnym życiu. Gdy brzęczy mój telefon, prawie dostaję zawału ze strachu. To Daria. Piszę jej krótką wiadomość, żeby dała mi piętnaście minut.

– Pani Wando?!

Uchylam drzwi do mniejszego pokoju. Zdumiewa mnie, że jest tak nowocześnie urządzone. Białe ściany, granatowe meble, drogie żaluzje. I wtedy ją dostrzegam. Serce skacze mi do gardła. To nie jest sąsiadka mojego ojca. To młoda, naga dziewczyna nienaturalnie skulona na podłodze. Mokre włosy, zamknięte oczy, wymiociny tuż obok jej policzka. Błyskawicznie sprawdzam jej puls, ale w gumowych rękawiczkach trudno cokolwiek wyczuć. Jej ciało jest sinoblade, pełne pieprzyków, ciężkie, chociaż jest mała i chuda. Gdy wyszarpuję telefon z kieszeni spodni, upada na podłogę tuż obok jej stóp z paznokciami pomalowanymi na jaskrawy pomarańcz. Wygląda jak dziewczynka. Chryste, nie wiem, co robić, bo wydaje mi się, że jeszcze żyje! Jąkam się i płaczę, gdy wzywam pogotowie. Nie jestem pewien, jaki tu jest numer mieszkania. Klęczę z jej głową na kolanach, modląc się, żeby otworzyła oczy.

Jakiś kobiecy głos pyta mnie przez telefon o szczegóły, czy jest z dziewczyną kontakt, czy oddycha. Nic nie wiem, nic nie potrafię sprecyzować, bo wydaje mi się, że świat oszalał! Rozglądam się po pokoju, widzę stertę jej ubrań na kanapie, otwartą szafę i dużo opakowań po lekach na szafce nocnej. Kim ona jest, do cholery?! Przecież Wanda Bielenda zawsze twierdziła, że mieszka sama, i nie wspominała, że ma wnuczkę! Odgarniam dziewczynie włosy z czoła, bardzo długie, czymś zlepione, i to na pewno nie wodą. To jej wymiociny tworzą dziwną maź na jej ramionach. Nałykała się czegoś?! Taka młoda?! Zdejmuję rękawiczki i znowu sprawdzam jej puls. Słyszę sygnał karetki pogotowia. Wiem, że powinienem wstać i otworzyć drzwi, ale ogarnia mnie potworna niemoc. Wydaje mi się, że się duszę, a ten mały, nowoczesnie urządzony pokój staje się śmiertelną pułapką. Jedna z powiek dziewczyny drży i z kącika oka wypływa łza. Modlę się, żeby przeżyła!

IGA

22 STYCZNIA – ŻOLIBORZ (WARSZAWA)

Gabinet Andrzeja w wynajmowanym przez nas mieszkaniu na placu Wilsona to najmniejszy pokój, urządony niemal ascetycznie. Ozdobne, dębowe biurko, na którym teczki z dokumentami ułożone są z matematyczną precyzją. Czarny, nowoczesny fotel, na którym teraz Andrzej kręci się, nie spuszczać ze mnie wzroku. Nieogolony, tylko w dżinsach, rozczochrany. Wiem, że pochłania go koncepcja nowego biznesu, codziennie przeprowadza kilkanaście rozmów telefonicznych po polsku i angielsku. Jest świetnym specjalistą w dziedzinie hotelarstwa i marketingu, studiował w Polsce i w Holandii. Teraz, oderwany od laptopa, patrzy na mnie trochę nieprzytomnym wzrokiem. Mam na sobie tylko kusy, jedwabny szlafrok z wyhaftowanym chińskim smokiem. Przesuwam dłonią po jego klatce piersiowej, lubię czuć pod palcami jego mięśnie. Natychmiast chwyta mnie za przegub i wsuwa moją dłoń w swoje spodnie. Przywieram do niego całym ciałem.

– Chcę wiedzieć, co się dzieje – mówię cicho.

– Nie rozumiem?

– Chcę wiedzieć, co nie daje ci spać, bo wiem, że w środku nocy znikasz w swoim gabinecie, czasem na kilka godzin.

– W nocy mam najlepsze pomysły.

– Tu nie chodzi o biznesowe pomysły. Dlaczego do niej nie zadzwonisz albo jej po prostu nie odwiedzisz i nie zapytasz, o co chodzi?

– Musimy o niej rozmawiać?

– To jest twoja matka...

– To jest kobieta, która tylko mnie urodziła! Nie zrobiła i nie robi nic z tego, co powinna robić matka!

– Skoro coś ci przysłała, to może szuka z tobą kontaktu?

– Ma mój numer telefonu i wie, że zawsze może do mnie zatelefonować. A robi to co kilka tygodni, gdy kończy się jej kasa. Być może znowu tak jest, ale daje mi znać w mniej subtelny sposób niż zawsze!

– Nie rozumiem?

– Nie rozumiesz?

Andrzej sięga po jedno z pudełek leżące pod biurkiem. To paczka, którą przyniósł kurier kilka dni temu. Wysypuje jej zawartość na podłogę. Stosy zdjęć, kolorowych fotografii sprzed mniej więcej trzydziestu i dwudziestu kilku lat. Kucam na podłodze i szybko je przeglądam. Kręcone blond loki, śmieszne sztruksowe spodnie na szelkach... mały Andrzej karmiący wiewiórkę w parku, mały Andrzej na plaży, mały Andrzej siedzący pod stołem i obłożony książkami dla dzieci, mały Andrzej w indiańskim pióropuszu wychylający się z wanny. Wyrwane z albumu zdjęcia z resztkami taśmy klejącej w rogach i co najgorsze, co uderza mnie natychmiast, na każdym zdjęciu Andrzej ma przekute oczy. Prawdopodobnie małymi nożyczkami.

Siada obok mnie na podłodze i opiera się plecami o ścianę.

– Teraz rozumiesz? Bardzo się napracowała, musiała je powyrywać z kilku albumów. Mogła

napisać mi wiadomość, że chce kasy, zamiast bawić się w takie rzeczy. Chciała mi dowalić i jej się udało.

– Był do tego dołączony jakiś list? Co ona chciała ci przekazać? Może się starzeje i po prostu...

– Nie było żadnego listu. Tylko pudło z moimi zdjęciami wyrwanymi z albumów. Na każdym mam wydłubane oczy. Miło.

– Skąd wiesz, że to paczka od niej?

– A od kogo?! U niej w mieszkaniu były te albumy! A z tego, co wiem, mieszka sama. Nie mam tylko pojęcia, skąd miała mój nowy adres. Nie kontaktowałem się z nią chyba od Bożego Narodzenia.

Wstaje i idzie w stronę drzwi, depcząc rozrzucone zdjęcia. Jedno z nich przyklepia mu się do bosej stopy. Legitymacyjne, malutkie, Andrzej z grzywką zaczesaną na bok, biała koszula. Ma na nim jakieś jedenaście lat. Też nie ma na nim oczu. Wydłubane, przedziurawione szpilką na wylot z jakąś chorą zawziętością.

– Muszę iść do łazienki. Zaraz wrócę.

Wychodzi z gabinetu, zostawiając mnie osłupiałą i pełną współczucia. Wiem, że mieszkał z matką do dwunastego roku życia, ale wciąż piła i urządziła libacje. Jak mi opowiadał, im był starszy, tym bardziej wstydził się jej zachowania, zwłaszcza że zdarzało się jej leżeć na trawniku przed ich blokiem i rzygać. W końcu sam, z wypchanym książkami tornistrem, pojechał do Domu Dziecka im. Maryny Falskiej kilka przystanków od jego osiedla. Powiedział, że nie może się uczyć w domu, i zapytał, czy może tam zostać. Był małym kujonem, zamkniętym w sobie chłopczykiem, który bardzo długo udawał, że w jego domu nie dzieje się nic złego. Oczywiście opieka społeczna bardzo się przejęła, ograniczono tej kobiecie prawa rodzicielskie, ale jak mi mówił, niewiele ją to obeszło. Zaliczył kilka rodzin zastępczych, a w końcu rewelacyjnie napisał maturę i zdał na studia, sporadycznie odwiedzając matkę, która, gdy zorientowała się, że syn robi karierę, zaczęła wymuszać na nim pomoc finansową. Słyszę szum wody w łazience. Biorę do ręki pudełko, do którego zapakowano zdjęcia. Spoglądam na adres nadawcy, ale nie ma nigdzie żadnej naklejki. Czy tej kobiecie na starość kompletnie odbiło?! Andrzej jest bardzo wrażliwy, chociaż starannie to ukrywa. Zrywam się z klęczek i biegnę do przedpokoju. Pukam w drzwi łazienki.

– Mogę wejść? Co się dzieje?

– Nic się nie dzieje.

– Nie wygłupiaj się! Otwórz! Proszę cię! Dlaczego się zamknąłeś?!

Po dłuższej chwili otwiera. Wyciera się kąpielowym ręcznikiem, nie patrząc mi w oczy. Spoglądam na jego rozgrzane po kąpieli ciało.

– Twoja matka się starzeje... Nie warto się tym przejmować.

Nie jestem w stanie powiedzieć nic więcej, bo zaczyna całować mnie z zachłannością, która przez sekundę mnie przeraża. Boleśnie gryzie mi wargi. Tak głęboko wsuwa mi język, penetrując moje podniebienie, że nie mogę złapać tchu.

– Przestań!

Jest przerażony bardziej ode mnie. Nerwowo mruga powiekami, delikatnie dotyka mojej twarzy.

– Przepraszam, Iga... Przepraszam... Chryste, leci ci krew, przepraszam... Nie wiem, co mi odbiło...

Skrzywiona oglądam się w lustrze. Andrzej delikatnie, mokrym ręcznikiem zmywa mi krew z brody.

– Przepraszam... Nie wiem... nie wiem, co się ze mną dzieje...

– Ale ja wiem! Związałam się z wampirem. Wszystko się zgadza.

– Co się zgadza? Tylko to się zgadza, że kręcisz mnie tak jak żadna kobieta... nigdy...

– Drogo to cię będzie kosztowało.

Przytulam się do jego nagiego ciała. Wciąż jest bardzo podniecony. Widzę, że oczy mu błyszczą, uspokoił się, rozluźnił.

– Jestem twoim niewolnikiem. Jaka będzie pokuta?

– Dowiesz się w sypialni.

Po chwili zapominamy o zdjęciach z dzieciństwa rozrzuconych na podłodze w jego gabinecie, o mojej spuchniętej wardze, o naszych traumach, sekretach, koszmarach. Przywiązuję jego muskularne

ramiona do ramy łóżka moim jedwabnym paskiem od szlafroka. Naga siadam na nim okrakiem. Wodzi za mną wzrokiem, uśmiechając się szeroko.

– Dlaczego się śmiejesz? Powinieneś się mnie bać, bo teraz będzie kara!

– Bardzo czekam na tę karę. Jeżeli nie mogę używać rąk, to czy mogę użyć języka?

– Jeszcze nie wiem. Pomyślę...

Gdy jego penis jest już we mnie i zaczynam kołysać się w rytmie, który kocham, Andrzej jęczy cicho. Widzę, jak naprężają mu się ramiona. Jeden z pasków pęka. Jego uwolniona prawa dłoń zaczyna pieścić moje piersi, sunie wokół talii, mocno ugniata moje pośladki. Odchylam się do tyłu, wyginam ciało w napięty łuk, unoszę się na udach i opadam. Po chwili krzyczymy oboje, w tym samym momencie, w tej samej sekundzie. Spleceni ze sobą, mokrzy od potu. Znowu szczęśliwi.

KSENIA

19 STYCZNIA – BIELANY (WARSZAWA)

Wioletta Sokolnicka z telefonem w dłoni rzuca nam uważne spojrzenia. Przysiedliśmy na skórzanej kanapie w jej salonie i oboje zaczynamy czuć się trochę głupio. Ta kobieta już prawie dwadzieścia minut monologuje przez telefon, rzucając terminami bankowymi. Gdy na chwilę odwraca się w stronę okna, Olgierd wznosi oczy do nieba. Zastanawiam się, czy jej córka jest w mieszkaniu, czy usłyszała w przedpokoju, jak się przedstawiamy? Ale oprócz monologu matki Beaty słyhać tylko tykanie zegara w kuchni. Gdy zniecierpliwiony Olgierd chce w końcu coś powiedzieć, Wioletta Sokolnicka kończy rozmowę przez telefon.

– Państwo jesteście z liceum mojej córki, tak?

– W szkole właśnie odbywa się rada pedagogiczna i martwią nas wszystkich nieobecności Beaty. Chcieliśmy zapytać, co się dzieje. Czy jest chora?

– Nie jest chora. Miałam państwa zawiadomić, ale jakoś wyleciało mi to z głowy.

– Zawiadomić o czym?

– Beata nie będzie jeszcze przez jakiś czas chodzić do szkoły, ale oczywiście potem nadrobi wszystkie zaległości.

– W takim razie poprosimy o przesłanie do szkoły zwolnienia lekarskiego, i to jak najszybciej. – Wchodzę jej w słowo.

– No cóż... Może uda się takie zwolnienie załatwić u psychologa lub psychiatry, ale nie wiem... Spróbuję...

Wymieniamy z Olgierdem spojrzenia. Także wstajemy, nie za bardzo wiedząc, co powiedzieć.

– Czy możemy przez chwilę porozmawiać z Beatą? Może to po prostu stres przed maturą? Może to wszystko ją zwyczajnie przerosło... skoro wspomniała pani o wizycie u psychologa.

– Ona nic wam nie powie, więc żadna rozmowa z nią nie ma sensu. Myślicie, że nie próbowałam przemówić jej do rozsądku?! Zainwestowałam w nią mnóstwo pieniędzy! Zajęcia dodatkowe, korepetycje, treningi...

– Treningi? – Olgierd szybko wchodzi jej w słowo. – Beata jest świetna z wufu, ale nie miałem pojęcia, że coś trenuje?

– Ona jest ze wszystkiego świetna... była...

– Czy to załamanie nerwowe? Depresja? – zasypuję ją pytaniami, ale kobieta kręci głową.

– Przestała się do mnie odzywać dwa tygodnie temu... Właściwie nie tylko do mnie, bo nie wiem, czy do kogokolwiek wypowiedziała chociaż jedno słowo... Nie wychodzi z mieszkania, prawie nic nie je. Ja muszę pracować, nie mogę być z nią non stop... Myślałam, że chłopak ją rzucił i dlatego wciąż leży w łóżku i patrzy w sufit... Ale to trwa za długo...

– Czyli jest w swoim pokoju? – Zaczynam mieć nadzieję, że jednak uda mi się z nią porozmawiać.

– Cały czas jest w swoim pokoju. Gdy czegoś ode mnie chce, to nie mówi, tylko pisze na kartkach i zostawia w widocznych miejscach.

– Czy córka wytłumaczyła pani, dlaczego tak dziwnie się zachowuje?

- Napisała na kartce...
- Może nam pani powiedzieć, co napisała? Co jej jest?
- Opętał ją diabeł. Tak napisała...
- Na pewno jest jej potrzebna profesjonalna pomoc... Dobry psychiatra...
- Ona nie chce psychiatry! Chce pomocy, ale nie od psychiatry! Uważa, że może jej pomóc tylko jedna osoba!

– Kto taki? – Gwałtownie przełykam ślinę.

Zaczynam czuć się dziwnie w tym mieszkaniu, z moją uczennicą zamkniętą w drugim pokoju. Dlaczego ta kobieta, skoro tak świetnie zarabia i jest kierowniczką oddziału banku, mieszka z córką w tym starym bloku w takiej ciasnocie?

– Kto jej zdaniem może jej pomóc? – Olgierd nie daje za wygraną.

– Egzorcysta. Tak mi powiedziała. Nie wiem, gdzie ich szukać. Podobno niektóre Kościoły udostępniają listy tych ludzi, ale... Nie jestem wierząca, nie wiem, jak pytać, kogo pytać... Sprawdzałam w internecie, ale...

W sąsiednim pokoju rozlega się jakiś hałas. Jakby ktoś gwałtownie przesuwiał meble. Po chwili słychać mocne uderzenie o ścianę. Cichy jęk.

– Co to jest?! Co tam się dzieje?! – Olgierd natychmiast otwiera drzwi do przedpokoju.

Uderzenia o ścianę stają się głośniejsze. I znowu jęk. Wybiegamy do przedpokoju. Zaczynam szarpać za klamkę drzwi do pokoju Beaty. Zatarasowała je czymś, prawdopodobnie biurkiem. Olgierd błyskawicznie mnie odsuwa i uderza w drzwi ramieniem. Raz za razem.

MAKS

25 MAJA – BIAŁOLEKA (WARSZAWA)

– Potrzebujesz dobrego adwokata! – Daria kręci się po naszej łazience, starając się nie patrzeć w moją stronę. Rzygam kolejną godzinę, a ona wciąż monologuje.

Kilka godzin zeznawałem w komisariacie. Tak. Wszedłem do mieszkania tej kobiety przez balkon. Nie włamałem się! Wszedłem! Proszę zaprotokołować, że wszedłem! Przecież płaciłem tej kobiecie za opiekę nad moim ojcem, który sam umierał w mieszkaniu, a ona zniknęła! Nie chciałem zrobić jej krzywdy! Chciałem sprawdzić, co się dzieje! Nie miałem pojęcia, że będzie tam jakaś dziewczyna, która nałykała się tabletek! Skąd wiem, że to tabletki? Widziałem jakieś opakowania na szafce nocnej w jej pokoju!

– Myślisz, że ona przeżyje? – Rozsiadam się wykończony na wykafelkowanej podłodze. Mam na sobie tylko spodnie od piżamy. Moja żona patrzy na mnie z odrazą.

– Kto?!

– Ta dziewczyna, którą uratowałem.

Daria gasi papierosa w umywalce i zaczyna zmywać makijaż.

– Wiesz co... Ja się przede wszystkim zastanawiam, co będzie z tobą, a nie z nią! Z twoją karierą! Z naszym życiem! Odbija ci po śmierci ojca! Włamałeś się do mieszkania tej kobiety, przechodząc jeszcze tam przez balkon i ryzykując życie! Dlaczego nie powiedziałeś mi ani słowa o tym, co zamierzasz zrobić?! Jaki to miało sens?!

– To miało jakiś sens... Będzie miało, jeżeli ta samobójczyni przeżyje... To przeznaczenie! Jakaś siła pchała mnie do tego mieszkania...

– Przestań opowiadać takie idiotyzmy!

Jej twarz bez makijażu wygląda staro. Wąskie usta, zmarszczki w kącikach oczu. Opadające powieki.

– Przepraszam. Przeżywasz żalobę, straciłeś ojca... Powinieneś może pójść do psychologa, żeby takie sytuacje się nie powtarzały.

Daria nie przestaje mówić, ale wciąż rzuca okiem na telefon. Stara się być troskliwą żoną, ale przecież w każdej chwili może zadzwonić ważny klient, gotowy zapłacić miliony za apartament w centrum Warszawy.

– Nie potrzebuję ani adwokata, ani psychologa! Uratowałem dziewczynę, która chciała popełnić samobójstwo!

– Włamałeś się do mieszkania obcej kobiety! Mogłeś się zabić! Mogłeś spaść z trzeciego piętra! W dodatku przecież nie miałeś pojęcia, że ta samobójczyni tam jest! Naprawdę nie pomyślałeś, co by było, gdybyś spadł?! Przecież masz dzieci! Rodzinę!

Zauważyłem, że od jakiegoś czasu kłócimy się coraz częściej. Nawet podczas pobytu na Kanarach mieliśmy ciche dni, bo awanturowałem się, gdy Daria prowadziła na plaży długie rozmowy przez telefon, zostawiając mnie z dziećmi na leżakach. Bo przecież przeszkadzały jej nasze wrzaski i chichoty. Szła wzdłuż oceanu z telefonem przy uchu kompletnie obojętna na cudowny krajobraz dookoła. Teraz wpycha mi coś do ręki. To wizytówka.

– Tu jest numer do dobrej pani psycholog. Zadzwoń do niej i umów się na wizytę. Może nie będziesz musiał brać żadnych antydepresantów.

– Nie mam zamiaru nic brać, ja...

– Adwokata sama ci znajdę. Mam nadzieję, że policja weźmie pod uwagę fakt, że przeżyłeś szok w związku ze śmiercią ojca i stąd to twoje dziwne zachowanie.

– Daria... – Próbuję spojrzeć jej w oczy, ale unika mojego spojrzenia. – Czy ty...?

– Tak?

Znowu stara się dyskretnie spojrzeć na telefon. Obraca go w dłoniach. Denerwują mnie jej czerwone szpony, które zrobiła sobie niedawno.

– Masz kogoś?

Nie wiem, dlaczego nagle przyszło mi do głowy, że żona, z którą jestem od dwudziestu lat, zaczęła mnie zdradzać. Ostatnio różne myśli przychodzą mi do głowy. I nie mogę spać. Odkąd znaleziono ciało mojego ojca, nie przespałem całej nocy. A jak już udaje mi się zapaść w niespokojną drzemkę, to dręczą mnie koszmary.

– Zwariowałeś?!

Teraz już wiem, że kłamię. Boi się moich pytań.

IGA

23 STYCZNIA – ŻOLIBORZ (WARSZAWA)

Moja córka Irenka kręci się po kuchni naszego żoliborskiego mieszkania i nie przestaje gadać. Ma niesamowity wdzięk, uroku dodaje jej pieprzyk nad górną wargą. Dokładnie w tym samym miejscu co mój.

– Chcę studiować historię sztuki jak ty, mamo. Głupio nie mieć studiów... Muszę się wziąć za siebie, bo wcześniej to sama wiesz, jak ja żyłam...

– Jak? – Uśmiecham się, stawiając przed nią talerz z odgrzаныmi pierogami.

To oczywiście dzieło mojej siostry Olgi, która co jakiś czas podrzuca nam swoje kulinarne cudowności. Ja nie gotuję. Nie umiem. Żaden mężczyzna, z którym byłam, nie żądał ode mnie, żebym gotowała. Andrzej czasem próbuje coś upichcić, ale zabiera się do tego tak metodycznie i z taką skrupulatnością, że często skręca mnie z głodu, gdy on godzinami nie chce wpuścić mnie do kuchni. Ale trzeba przyznać, że zaczyna być kulinarnym mistrzem, zwłaszcza w kuchni śródziemnomorskiej.

– Mamo, słuchasz mnie?

– Słucham cały czas. Uważam, że studia to świetny pomysł. Gdybyś potrzebowała pieniędzy...

Wciąż ciężko mi uwierzyć, że ją znalazłam, że istnieje, że jest tak realna, że swoją energią zajmuje całą przytulną kuchnię. Odkrywam ją każdego dnia. Jej poglądy na świat, na życie, na mężczyzn. Urodziłam w wieku piętnastu lat. Krewni podpisali papiery adopcyjne, a ja nie do końca wierzyłam, że ją stracę. Ale straciłam na wiele lat. Tak długo jej szukałam! To stało się moim jedynym życiowym celem. Szukałam córki, która została adoptowana przez inną rodzinę i jak się okazało, mieszkała całkiem niedaleko. Nie miała świadomości, że rodzona matka jej szuka, że jest gotowa poruszyć niebo i ziemię, żeby ją znaleźć. Pokłóciłyśmy się do tej pory tylko raz. Gdy zaczęła się lekceważąco wypowiadać o swoich adopcyjnych rodzicach. Uświadomiłam jej, że ci ludzie ją kochają.

Chociaż być może jej nie rozumieją i nigdy nie rozumieli. Obraziła się. Wyszła bez słowa z mojego mieszkania. Ale po kilku godzinach zadzwoniła, szczebiocząc, jak gdyby nigdy nic. Po tygodniu przyznała mi rację.

– Mogę dać ci moje książki. Historia sztuki, antropologii kulturowej...

– Czego? – śmieje się teraz, dojadając pierogi. – Jezu... wiem, że jestem tępa i mam braki. Ale chcę być taka jak ty...

– Bądź po prostu sobą. Naprawdę nie jestem dobrym wzorem do naśladowania.

– Mam zajebistą mamę... mamę. Jak patrzę, jak ty się ubierasz, jak mówisz, jak poprawiasz włosy... Nie dziwię się, że faceci za tobą szaleją.

– Kto ci naopowiadał takich głupot?

– Ciocia Olga.

Będę musiała pogadać z moją siostrą w cztery oczy. Jej nadgorliwość czasem mnie przeraża. Dzwoni do mnie kilka razy dziennie, podobnie jak do mojej córki. Wypytuje, czy wszystko jest w porządku, przywozi nam jedzenie, które gotuje w ilościach hurtowych. Tak jakby nadrabiała lata, gdy byłyśmy sobie bardzo obce.

Kilka godzin później oglądam swoją twarz w łazienkowym lustrze. Drobnie zmarszczki w kącikach oczu, piegi, spierzchnięte wargi. Kim teraz jestem? Kim chcę być? Jak ma wyglądać moje życie? Mam trzydzieści sześć lat i jestem w związku, który pierwszy raz w życiu zaczyna mnie obchodzić. Wcześniej faceci pojawiali się i znikali. Porzucałam, a nawet raz czy dwa razy byłam porzucana. Bałam się przywiązywać do mężczyzn, raniłam, żeby nie być zranioną.

Słyszę Andrzeja w przedpokoju. Dopiero wrócił z kilku biznesowych spotkań. Uśmiechnięta wychodzę z łazienki. Obserwuję go, jak strząsa śnieg z granatowej, puchowej kurtki. Bez słowa obejmuję go w pasie i przywieram do niego całym ciałem.

– Koszmarnie zmarzłem...

– Jesteś lodowaty... Kolacja prawie czeka...

– Cudownie! Zrobiłaś?

– Nie zrobiłam, ale popatrzę, jak ty ją szykujesz. Lodówka jest pełna. Za to zrobię ci grzańca... takiego jak...

Głos zamiera mi w gardle. Zaskoczona obserwuję Andrzeja, który marszczy brwi i opiera się o ścianę, zamiast zdjąć kurtkę i buty.

– Byłem u niej. U matki. Bałem się do niej zadzwonić, więc poszedłem.

– Dlaczego się bałeś?!

– Nie wiesz, co się z nią kiedyś działo. W jakie wpadała stany.

– Wy tłumaczyła ci, dlaczego zniszczyła twoje zdjęcia z dzieciństwa? Co jej odbiło?!

– To nie ona.

Andrzej idzie do kuchni i otwiera wielką lodówkę. Wyrzuca jakieś produkty na blat, prawie nie patrząc.

– Właśnie się dowiedziałem, że zaczęła wynajmować mniejszy pokój jakimś sublokatorom. Uważa, że to jedna z nich. Nie zapłaciła czynszu za ostatni miesiąc i ukradła mojej matce parę drobiazgów, zanim się wyprowadziła. W tym stary album z moimi zdjęciami.

– Rozumiem, że ta dziewczyna mogła zwinąć jakąś biżuterię, ale zdjęcia... wątpię. Mam nadzieję, że twoja matka ma numer dowodu osobistego tej złodziejki i że zgłosiła kradzież na policji.

– Nie zgłosiła.

Obserwuję go, jak z jakąś niezrozumiałą zawziętością kroi chleb, smaruje masłem kromki i metodycznie układa na nich plasterki sera.

– Nie słucha mnie! Robi, co chce! Nie wiem, czy ma numer dowodu tej sublokatorki! Nie mam pojęcia, co jej strzeliło do głowy, żeby wynajmować jeden pokój! Ma emeryturę, co jakiś czas przelewam jej spore kwoty...

– Może jednak nie starcza jej na opłaty, na czynsz... Teraz wszystko podrożało...

– Nie rozumiesz jednego. – Andrzej podsuwa mi talerz z kanapkami. – Płacę jej czynsz, prąd, za kablówkę i internet. Wszystko przepisałem na mnie, bo wiecznie była zadłużona. Cztery lata temu

narobiła długów w spółdzielni. Nie miałem o tym pojęcia! Raz przypadkowo otworzyłem skrzynkę na listy, bo tak była zapchana. Chcieli zrobić licytację komorniczą mieszkania, bo przestała płacić czynsz. Wisiała im jakieś czterdzieści tysięcy. Nie pisnęła mi o tym ani słowem... Co pół roku przelewam jej duże kwoty... od lat. A ona narobiła takich długów! Zapłaciłem to w ostatniej chwili...

– Przecież przez wiele lat była uzależniona od alkoholu. Teraz pije?

– Pewnie zdrowie jej siadło i dlatego mniej chla. Wydawało mi się przez jakiś czas, że jest z nią lepiej... zaczęła dbać o siebie...

Nagle wychodzi z kuchni i idzie do sypialni. Rozpina koszulę. Zdejmuje ją powoli i wiesza w szafie. Obserwuję grę mięśni na jego brzuchu, szerokie ramiona, smukłe dłonie. Śmiałam się kiedyś, że ma dłonie pianisty, a jego palce potrafią doprowadzić mnie do orgazmów, od których jestem uzależniona. Kładzie się na łóżku i splata dłonie pod głową. Zamyka oczy.

– Jeżeli chcesz być teraz sam...

– Nie chcę być sam. Chodź tu do mnie, Iga... Po prostu mnie przytul... i nic nie mów.

Przywieram do niego na naszym wielkim, rustykalnym łóżku. Gładzi mnie po włosach.

– Ciągle mam wyrzuty sumienia, ciągle wydaje mi się, że robię coś złe. Staram się pomóc tej kobiecie...

– Matce...

– Matce... chociaż nie zasługuje, żeby tak ją nazywać.

– Nie przeprosiła cię nigdy, że przez nią trafiłeś do domu dziecka?

– Nie. Kiedyś stwierdziła, że to dobrze mi zrobiło, bo gdybym został z nią, tobym się stoczył. Jak ona. W sumie ma rację.

Milczymy przez chwilę.

– Może ja powinnam z nią porozmawiać? Może ktoś z zewnątrz powinien uświadomić jej, co ci zrobiła. Chciałabym ją poznać...

– Nie chcę, żebyś ją poznała! To zły pomysł!

– Ale posłuchaj... Przecież to w końcu twoja rodzina. Jeżeli traktujesz poważnie nasz związek...

– Właśnie dlatego, że traktuję go poważnie, chcę ci tego oszczędzić! Nie chcę, żebyś myślała, że jestem podobny do tej kobiety, że mogę skończyć jak ona, że mam coś z nią wspólnego, że mam jej osobowość, charakter, jej cechy, jej...

Głos załamuje mu się na chwilę. Zaczynam rozumieć, jak bardzo matka, której podobno nienawidzi, jest dla niego ważna. I jest do niej podobny! Czuję to. Muszę ją poznać i muszę uświadomić jej, co mu zrobiła, co zrobiła z jego życiem i wciąż robi! Nawet ten głupi dowcip ze zdjęciami z jego dzieciństwa! Ktoś inny olałby to i zapomniał. Ale nie Andrzej. Cholernie go to zabolalo... Ma wspaniałego syna, któremu o mało nie zniszczyła życia, i nie potrafi tego docenić! Ale ja jej uświadomię, co mu robi! Przywieram do niego całym ciałem. Mam wrażenie, że muszę go bronić przed tą kobietą i przed toksycznymi myślami o niej.

KSENIA

19 STYCZNIA – BIELANY (WARSZAWA)

Beata ma rozciętą wargę i guza na czole. Spocona, skulona na podłodze, w przepoconej piźniamie uderza głową o ścianę raz za razem. Przerażona chwytam ją za ramiona.

– Olgierd, wezwij pogotowie!

Jej matka klęka przy niej zapłakana.

– Zaraz jej przejdzie. Robiła tak wcześniej.

– Robiła wcześniej i pani nic nie zrobiła?! – wrzeszczę do niej, wciąż obejmując Beatę za ramiona.

Słyszę w przedpokoju Olgierda, który wzywa pogotowie. Wciąż tulę do siebie moją uczennicę i staram się ją uspokoić. Sterty książek na biurku pomazane flamastrami. Zerwane żaluzje, uschnięte kwiaty w doniczkach. Beata uspokaja się w moich ramionach. Jej ciało się rozluźnia. Olgierd pochyla się nad nami. Podaje mi zmoczony ręcznik.

– Wytrzymaj jej usta. A pani niech spakuje jej najpotrzebniejsze rzeczy. Piżamę, bieliznę, kosmetyki. Na pewno zostanie tam na noc.

– Gdzie zostanie na noc?! – Sokolnicka spogląda na niego oszołomiona. – Nie pozwolę, żeby gdzieś ją zabrali! Niech tylko dadzą jej coś na uspokojenie!

– Przecież to poważna sprawa – tłumaczę. – Pani sobie nie radzi z opieką nad córką! Skoro takie ataki zdarzały się wcześniej, a pani nic nie zrobiła! Beata od dwóch tygodni nie pojawia się w szkole! Gdybyśmy tylko wiedzieli, co się dzieje! Przecież mamy dobrego psychologa!

Odsuwa mnie i wyciera córce zakrwawione usta. Przykłada jej ręcznik do czoła. Słysząc dźwięk domofonu.

– Pogotowie przyjechało – rzuca Sokolnicka. – Zajmą się moją córką, więc chciałabym już państwa pożegnać. Miło, że się o nią martwiliście, ale nie życzę sobie, żebyście byli przy jej badaniu. I ona także sobie tego nie życzy. Prawda, kochanie?

Dziewczyna kiwa głową, wciąż wpatrzona w jeden punkt na ścianie. Posłusznie wychodzimy, mijając na korytarzu sanitariuszy w czerwonych kombinezonach. W windzie chce mi się płakać. Nie mogę uwierzyć, że jedna z moich uczennic jest w takim stanie! Co się z nią stało?!

– Albo stres, albo dragi – mówi cicho Olgierd, uruchamiając samochód. – Mogła się od czegoś uzależnić. Nie wyobrażasz sobie, co gówniarze potrafią zażywać. Są w stanie uzależnić się nawet od tabletek na katar czy na alergię. Niejedno już widziałem.

Patrzę na ledwo widoczny w zadymce śnieżnej bielański blok, w którym mieszka, i migające światła karetki tuż przy wejściu do budynku. Ogarnia mnie potworne przynębnienie. Jedna z moich najzdolniejszych uczennic... Nie wiem, czy szybko dojdzie do siebie, czy da radę zdać maturę? Chciała studiować anglistykę... Taka zdolna i inteligentna. Wyjątkowa.

– To wszystko jest tak nierealne... aż trudno w to uwierzyć! Dlaczego powiedziała swojej matce, że jest opętana przez diabła?

– Pewnie mówiła jej różne bzdury. To dragi. Postawią ją na nogi. Nie martw się. Musimy jeszcze napisać sprawozdanie dla dyrektorki. Słyszałaś, że jutro rano ma być na jej biurku. Ona nie uznaje maili. Proponuję, żebyśmy zrobili to u mnie. A potem cię oczywiście odwiezę do domu. Co ty na to?

– Dobrze.

Dojeżdżamy pod apartamentowiec, w którym Olgierd wynajmuje kawalerkę. Jego mieszkanie mieści się na parterze. Nowocześnie urządzone, ale widać, że mieszka tu facet, który nie jest w stanie ogarnąć wszystkiego. Parskam śmiechem, gdy zestresowany błyskawicznie zgarnia rozrzucone dresy z kanapy i upycha je w szafie.

– Sorry... nie wiedziałem, że będę miał gości.

Białe ściany z kostką imitującą cegłę, wielki telewizor, rowerek treningowy, jakieś puchary i dyplomy na szafkach i na parapecie.

– Chcesz wina? Piwo też mam.

– Sobie też nalej. Wezwiesz mi taksówkę. Usiądź i zostaw już te ubrania. Wiem, że większość facetów nie uznaje szafy i lubi mieć ciuchy pod ręką.

– Tak się znasz na facetach? Jesteś z kimś teraz?

– Nie jestem. Mieliśmy napisać coś na temat Beaty. Nasze wnioski i przemyślenia. Ale przecież nic nie wiemy. Nie mamy pojęcia, czy to narkotyki, czy choroba?

Olgierd kładzie laptop na kuchennym stole. Przysuwa mi kieliszek. Sobie także nalał do pełna.

– Może najpierw coś napiszemy, a potem będziemy pić? Mam okropnie słabą głowę.

– To dobrze. – Znowu obejmuje mnie ramieniem. – Musisz najpierw się zrelaksować po bardzo ciężkim dniu.

Ma gorące dłonie, które zaczynają wpełzać mi pod sweter. Powinnam się bronić, ale nie mogę i nie chcę. Całuje mnie żarłocznie, mocno, namiętnie. Językiem penetruje moje podniebienie. Wsuwa mi dłoń między nogi. Odsuwa stół i bierze mnie na ręce. Nigdy nie byłam z tak potężnym facetem. Bez słowa kładzie mnie na kanapie i zaczyna się rozbierać. Obserwuję go w milczeniu. Jego białe, potężne ciało, muskularne ramiona, spory brzuch. Gdy staje przede mną całkiem nagi, widzę, że natura obdarowała go naprawdę hojnie.

– Teraz ty. Rozbieraj się.

– Najpierw wino.

Znika na moment. Nieporadnie ściągam sweter przez głowę. Wiem, że jeszcze mogę się wycofać, zbyć wszystko żartem, wyśmiać go. Ale nie chcę. Myślałam, że teraz długo będę sama, a tymczasem kolega z pracy, który w moim mniemaniu jest prawdziwym ciachem, ma na mnie ochotę. Jest zabawny i seksowny. Słyszę, że włączył jakieś rockowe ballady. Gdy wraca do mnie z dwoma kieliszkami wina w rękę, leżę na kanapie już tylko w majtkach i staniku. Cieszę się, że włożyłam czerwoną bieliznę. Po kilkunastu minutach jest we mnie. Metodyczny i brutalny. Mocno się poci. Przewraca mnie na brzuch, nie pytając, czy mam ochotę na tego typu seks, czy nie. Ściany jego mieszkania wirują mi przed oczami. Nie podoba mi się, że zaczyna coraz mocniej klepać moje pośladki. Moje pożądanie wyparowało.

– Przestań!

Nie przestaje. Czuję jego dłonie między nogami. Czuję, że chciałby penetrować mnie wszędzie. Panicznie boję się bólu. Zalewa mnie strach. Próbuję się wyrwać i Olgierd nieruchomieje na moment.

– Przestań! Puść mnie! Przestań! Zostaw mnie, do cholery!

MAKS

27 MAJA – BIAŁOŁĘKA (WARSZAWA)

Kręcę się po naszym dwupoziomowym mieszkaniu niezdolny do skupienia się na czymkolwiek, nieogolony, w podkoszulku i spodniach od piżamy. Włączam ogromny telewizor zawieszony na ścianie i natychmiast ściszam dźwięk. Powinienem zająć się organizacją pogrzebu, ale przecież nie mam pojęcia, kiedy wydadzą ciało ojca. Daria zostawiła na stole mnóstwo wizytówek. Psycholog, adwokat, firma pogrzebowa i firma sprzątająca. Przecież trzeba będzie posprzątać mieszkanie. Jego zwłoki rozkładały się kilka dni. Zamiast dzwonić i cokolwiek załatwiać, myślę o dziewczynie, której uratowałem życie. O jej chudym, drobnym nagim ciele. O długich rzęsach rzucających cienie na blade policzki. Lekarka, która ją cuciła, zanim przyjechała policja, powiedziała mi, że to był ostatni moment. Jeszcze godzina lub dwie i znalazłbym trupa. Miotam się po salonie, przypominając sobie strzępy rozmowy lekarki z policjantami. Jeden z nich otworzył torebkę rzuconą na łóżko. Znalazł jej dowód osobisty. Drugi coś zapisywał w notatniku. Czy wymówił jej imię? Nazwisko? Pamięć mi szwankuje. Byłem wtedy przerażony, bo bałem się, że ona umrze, że już umiera... Klęczałem przy niej, obserwując lekarke i dwóch sanitariuszy. Gdy się zachłysnęła i zaczęła kaszleć, zrozumiałem, że się udało. Nagle doznaję olśnienia. Alina... tak... jeden z policjantów wymówił półgłosem jej imię, spoglądając na dowód osobisty... Alina... nazwisko... teraz nazwisko... przypomnij sobie jej nazwisko! Nalewam sobie wody do szklanki i piję łączywie. Ten mały pokój, jej nagie ciało na podłodze, które przed przyjazdem pogotowia przykryłem narzutą ściągniętą z łóżka, i ten tłum... bo pokój taki mały, ciasny, wąski. Dwóch policjantów stojących przy oknie, lekarka, sanitariusze i ona... próbująca coś powiedzieć... załzawione oczy, resztki wymiocin w kącikach warg. Alina Galner! Moja pamięć mnie nie myli. Muszę wiedzieć, jak się czuje! Może wie coś o kobiecie, która opiekowała się moim ojcem i zniknęła! Przecież u niej mieszkała! Podekscytowany sięgam po telefon. Staram się zignorować ból znowu rozsadzający mi klatkę piersiową. Staram się skupić na działaniu, a nie na użalaniu się nad sobą. Właśnie straciłem ojca i odkryłem, że żona mnie zdradza. Prawdziwi faceci, którzy mają jaja, nie płaczą. Ojciec powtarzał mi to kiedyś, gdy przy nim spadłem na placu zabaw z rozpędzonej karuzeli. Miałem siedem lat. Rana na kolanie rwała jak cholera. Ale nie płakałem przy nim. Zabrał mnie na spacer do parku i poczułem się ważny, bo przecież rzadko miał czas. Poczułem w sobie jakąś euforię i rozpędziłem się sam na tej karuzeli, tak kurewsko szczęśliwy. I spadłem. Nie płakałem przy nim. Bo przecież rzucił gazetę na ławkę i podbiegł do mnie przerażony. *Przecież prawdziwi faceci, co mają jaja, to nie płaczą. Dobrze, tato. Tak, tato. Widziałeś, żeby piłkarz, który przewraca się na boisku, płakał? Nie, tato! Płaczesz? Nie, tato! Masz jaja? Tak, tato!* W domu, przy matce, w łazience, gdy przemywała mi ranę na kolanie, oczywiście szlochałem z bólu. Przy ojcu nie. Teraz też nie będę płakał. Ostatni frajer, którego robiąca karierę żona zdradza i okłamuje. W sumie nie dziwię się, że sobie kogoś znalazła. Prawie ze sobą nie sypiamy...

Ostatni seks? Pół roku temu? Zamyślam się, logując się na jednym z portali społecznościowych. Szukam Aliny Galner. Chcę wysłać jej wiadomość. Takie panienki jak ona wrzucają pewnie do sieci wystylizowane zdjęcia z mocnym makijażem. A ja widziałem ją zarzyganą, zapłakaną, umierającą. Robi mi się jej żal. Skoro mieszkała u tej starej wariatki, może próbowała zaczepić się w stolicy? A może to jej rodzina? Ale gdyby tak było, to raczej nie zniknęłaby bez śladu? Nigdy mi nie mówiła o dzieciach, wnukach. Ta jej gruba sąsiadka także nie miała pojęcia, że ktoś jeszcze jest w mieszkaniu. Gdy przerażony wychodziłem z bloku mojego ojca, dogoniła mnie przy piaskownicy. Zapewniała, że nie miała pojęcia, że w mieszkaniu jej sąsiadki jakaś dziewczyna próbowała popełnić samobójstwo. Była pewna, że to jakaś sublokatorka, bo ktoś jej mówił, że Wanda Bielenda wynajmuje mniejszy pokój.

Wreszcie jest! Poznaję ją! Alina Galner uśmiecha się do mnie na profilowym zdjęciu. Bez makijażu, krzywy ząb z przodu, czapka z daszkiem na bakier, jamnik w ramionach. Studentka historii. Coraz bardziej podekscytowany przeglądam jej zdjęcia. Czasem z koleżankami na piwie na Starym Mieście. Zawsze uśmiechnięta. Dwadzieścia cztery lata. Oddycham głęboko. Zaczynam pisać do niej wiadomość na czacie. Nie wiem, czy nie wpadnie do spamu, ale trudno. Jestem pewien, że to ona! Chcę tylko wiedzieć, jak się czuje i co wie na temat kobiety, u której mieszka. Przez chwilę myślę, co napisać, żeby jej nie przestraszyć. Nie jestem pewien, czy mnie pamięta. Przecież była półprzytomna i minęły trzy dni. Czy jest wciąż w szpitalu, czy już w domu? Może wróciła do tego mieszkania, w którym ją znalazłem? Nie mogę jej przestraszyć, bo niczego się nie dowiem. Zaczynam pisać.

Cześć. Nazywam się Maksymilian Hoffman. Mam nadzieję, że czujesz się lepiej, bo gdy cię znalazłem w mieszkaniu pani Wandy, byłaś nieprzytomna. To ja wezwałem pogotowie. Daj koniecznie znać, czy wszystko u Ciebie w porządku. Martwię się także o panią Wandę, bo zniknęła, a opiekowała się moim ojcem, który mieszkał na tym samym piętrze. Niestety, mój tata zmarł pięć dni temu. A z nią wciąż nie ma kontaktu. Jej numer jest ciągle poza zasięgiem. Dlatego wszedłem do jej mieszkania. Może wiesz, co się z nią dzieje? Ona ma wciąż klucze do mieszkania mojego ojca.

Grzecznie i bez wielkich emocji. Nie chcę jej wystraszyć. Wysyłam. Wpatruję się jeszcze chwilę w telefon. Oglądam zdjęcia Aliny. Na jednym z nich w białej sukience na ramiączkach i w wianku z polnych kwiatów pozuje na łące. Widzę zarys jej dziewczęcych piersi. Wydaje mi się, że nie ma stanika. Czuję, jak mój penis twardnieje, a dziewczyna na zdjęciu zaczyna uśmiechać się prowokująco. Idę do łazienki. Zdejmuję podkoszulek i spodnie od piżamy. Jestem już tak podniecony, że nie myślę o niczym innym, tylko o niej. Po kilku minutach jest po wszystkim. Odpływa ze mnie całe napięcie, cały ból. Wycieram ciało szorstkim ręcznikiem nerwowymi ruchami. Wracam do salonu. Spoglądam na telefon. I serce zaczyna łomotać mi jak oszalałe. Jest jedna wiadomość.

Cześć. Wysłałam już ze szpitala. Dzięki za pomoc. Byłam na imprezie i pomieszałam trochę drinki. No i się masakrycznie strulałam! Też się martwię o panią Wandę. Jak chcesz, to do mnie zadzwoń.

I jej numer telefonu. Dzwonię natychmiast, czując radość, ekscytację... i podniecenie.

IGA

28 STYCZNIA – ŻOLIBORZ (WARSZAWA)

Moje wiersze trafiają do ludzi. Pisałam je w momentach bardzo trudnych i bardzo radosnych. Nie wiem, czy poetka to zawód? Ale dlaczego nie może stać się moim zawodem to, co wypływa ze mnie, z mojego wnętrza, z mojej duszy? Dwa tygodnie temu Andrzej zrobił mi profesjonalną stronę w internecie. Opłacił nawet pozycjonowanie, wynajął grafika. *Iga Bernard Poezje*. Umieścił tam dwadzieścia moich wierszy i czasami dodaje nowe. Wysłał je do wydawców. Wątpiłam, czy ktoś się odezwie. Ale wczoraj odkryłam w spamie wiadomość. Wydawnictwo Aramis. Małe, niszowe. Napisał do mnie Piotr Rajmer, który je założył. Zaproponował spotkanie następnego dnia w kameralnej restauracji na Starym Żoliborzu. Nie zdążyłam nawet pochwalić się Andrzejowi, bo wrócił bardzo późno

z kolejnej biznesowej kolacji. Wziął prysznic i zasnął. Muszę zacząć układać sobie życie zawodowe. Andrzej jest dla mnie wzorem. Skończył dwa kierunki studiów. Zna trzy języki. Ciągłe się dokształca i mierzy wyżej. Przez dwa ostatnie lata zarządzał luksusowym hotelem na Mazurach. Hotelarstwo stało się jego pasją.

Nerwowo kręcę się po parku tuż przy restauracji. Przyszłam za wcześnie, bo wynajmujemy mieszkanie przy placu Wilsona, dziesięć minut stąd. Owijam się beżowym płaszczem, poprawiam fantazyjny kapelusz. Wchodzę do kawiarni punktualnie o piętnastej. Na ścianach wiszą lustra w grubych, złożonych ramach, stare zegary, kryształowe żyrandole. Rozsiadam się na jednym z wygodnych krzeseł obitych trochę spłowiałą tkaniną. Piotr Rajmer zjawia się piętnaście minut później. Wysoki, szpakowaty, grube czarne zrosnięte brwi, bardzo elegancki i bardzo szczupły. Przeprasza mnie kilka razy.

– Pani wybaczy... jechałem metrem i wagon stanął nagle na dwadzieścia minut. A potem prawie tu do pani biegłem... nie chciałem pisać wiadomości... wolałem osobiście przeprosić.

– Nie musi pan przepraszać. I przejdźmy na ty.

Wygląda jak elegancki, lekko podstarzały Włoch. Podoba mi się jego fioletowy szalik zamotany pod szyją, piaskowy garnitur, staromodny, ale bardzo drogi zegarek. Poczytałam o nim trochę przed spotkaniem. Dobiega pięćdziesiątki, ma doktorat i wykłada na wydziale polonistyki. Wydawnictwo założył dwa lata temu, wcześniej organizował wystawy i wernisaże w Muzeum Literatury. Mówi dużo i ciekawie. Komplementuje moje wiersze. Ale nie jestem nastolatką, która czeka na pochwały i się w nich pławi. Zdaję sobie sprawę z tego, że mam wiersze lepsze i gorsze.

– Są prawdziwe, emocjonalne. Pełne nieuchwytniej energii. Chciałbym je wydać. Mam już nawet pomysł, jak powinna wyglądać okładka. Oczywiście najpierw ustalimy warunki umowy.

– Przejdźmy do konkretów. Ile mam zapłacić, żebyś wydał mój tomik?

Moje trochę bezczelne pytanie go deprymuje. Lekko marszczy brwi, ale wciąż się uśmiecha. Jest naprawdę przystojnym facetem z przedwojenną klasą. Takich już się nie spotyka. Może w filmach. Domyślam się, że jego studentki się w nim podkochują.

– Nie wyraziłem się jasno. Przepraszam. Moje wydawnictwo nie działa na zasadzie self-publishingu. Płacę zaliczki moim autorom. Na razie mam ich trzech, i są to sami mężczyźni. Dwaj dość wiekowi, a jeden to mój student.

– Czyli przeważały to, że jestem kobietą?

– Udam, że to nie jest złośliwe pytanie. – Zaczyna się śmiać. – Ale rzeczywiście, cieszę się, że odkryłem drugą Poświatowską. I to nie jest komplement na wyrost. Twoje wiersze są nowoczesne i współczesne. Czasem szalone. Najlepsze są erotyki. Bardzo osobiste. Poruszające. Zazdroszczę mężczyźnie, dla którego je pisałaś. Intuicyjne, instynktowne, niedoskonałe. To jest ich siłą. Myślę, że mają szansę dotrzeć do wielu odbiorców, ale trzeba odpowiednio je sprzedać. Wszyscy wielcy poeci byli uwodzicielscy... Jesienin miał pięć żon... Poświatowska przeglądała się w oczach mężczyzn, rozkochiwała i porzucała... Baudelaire nosił różowe rękawiczki i czerwony krawat... Oscar Wilde miał długie włosy, a swoje pokoje przyozdabiał pawimi piórami. Seksualność była ich siłą. Dlatego fascynowali i przykuwali uwagę. Znalazłem to w tobie, Iga.

Zakłopotany bawi się mikroskopijną łyżeczką do kawy.

– Nie chcę, żeby to zabrzmiało, jak nie powinno zabrzmieć... Wyrażę teraz prawdę obiektywną, którą myślę, że słyszysz zarówno od kobiet, jak i od mężczyzn. I w tym, co powiem, nie ma żadnego podtekstu ani drugiego dna. Jesteś oszołamiąco atrakcyjną kobietą, a w dzisiejszych czasach pisarz czy poeta sprzedaje nie tylko swoją twórczość, ale także swój wizerunek. Twój wizerunek przyciąga natychmiast. Zdjęcia na twojej stronie internetowej są hipnotyzujące.

Rozmawiamy przez chwilę, ustalając wysokość zaliczki. Mało kto dziś stawia na poezję. Ale on uważa, że moje wiersze mają potencjał, że ludzie zaczną o nich mówić i mówić będą także o mnie. Oczy mu błyszczą, zaczyna gestykulować. Dopytuje się, czy mam jeszcze czas, i zamawia dla nas po kieliszku białego wina.

– Masz niezwykle styl ubierania się. Coś pomiędzy Tamarą Łempicką a Fridą Kahlo. To także jest atut. Bycie poetką to nie jest zawód. To styl życia.

Piotr przysuwa swoje krzesło trochę bliżej. Chce pokazać mi w telefonie motyw graficzny, który można wykorzystać na okładce tomiku moich wierszy. Za ogromnymi oknami, osłoniętymi śnieżnobiałymi, muślinowymi firankami, powoli zapada zmrok. Kilka metrów dalej w parku dostrzegam znajomą sylwetkę. Postawiony kołnierz płaszcza z wielbłądziej wełny, wilgotne od śniegu blond włosy, trzydniowy zarost. Andrzej obserwuje mnie bez uśmiechu. Z dziwnym napięciem w oczach.

KSENIA

20 STYCZNIA – BIAŁOŁĘKA (WARSZAWA)

Jest druga w nocy. Opatulona kocem na kanapie w mieszkaniu Olgierda wypijam kolejny kieliszek wina. Nie wybiegłam z jego kawalerki po dość brutalnym akcie seksualnym, bo przeproszał mnie milion razy. Gdy zaczęłam się nerwowo ubierać, rozplakał się, a ja nigdy nie widziałam płaczącego faceta. Upewniał się, czy nie zrobił mi krzywdy. Twierdził, że tak na niego działałam, że przestał się kontrolować, że przestał logicznie myśleć. Błagał mnie, żebym nie wychodziła, dopóki się nie pogodzimy. Słuchałam go, wypijając jeden kieliszek wina za drugim. Olgierd, gdy już się upewnił, że nie jestem na niego zła i nic mi nie jest, zamówił dwie pizze. Zjadł prawie wszystko, bo ja kompletnie straciłam apetyt.

– Jesteśmy kumplami, prawda, Ksenia? Przysięgam, że nigdy cię nie dotknę. Zapomnijmy o tym...

Nie jestem zwolenniczką brutalnych eksperymentów w seksie, zwłaszcza podczas pierwszego razu, co on także zrozumiał i znowu zrobił się czerwony. Zapewniał mnie, że jego poprzednia dziewczyna to lubiła i dlatego pomyślał, że nie ma w tym nic złego.

– Hej, cały czas myślisz, jaki ze mnie kutas, co? Bo masz minę, jakbyś...

– Myślę o Beacie. Nie mogę uwierzyć w to, co się z nią stało! Najlepsza uczennica, wygadana, elokwentna, ambitna! I mogła się od czegoś uzależnić? Dlaczego nie zauważyłam, że coś się z nią dzieje?! Bo przecież nic się nie działo! Tylko nagle przestała przychodzić do szkoły!

– Nie obwiniaj się. To może być choroba psychiczna. Przemęczenie i stres. Plus dragi. Kiedyś trenowałam chłopaka do zawodów. Zostawał po treningach i jeszcze sam ćwiczył. Zdobywał medal za medalem. Złoto i srebro. Trenował coraz ciężej i coś w nim nagle pękło. Chciał więcej i więcej.

– Nie wiem, co pękło w Beacie, mam tylko nadzieję, że szybko się pozbiera i nie zawali matury. Szkoda mi jej. Ta jej matka jest naprawdę dziwna. Jej córka przestała wychodzić z domu i przestała jeść, a ona udawała, że nic się nie dzieje i że problem sam się rozwiąże! Rozumiesz to?!

– Nie. I jeszcze to gadanie o egzorcyście! Niby racjonalna kobieta, pracuje w banku, a wierzy w takie bzdety!

– Napiszemy w naszym szkolnym raporcie o matce? Może z nią też powinna porozmawiać nasza pani psycholog?

– Nie mam pojęcia, czy Dominika jest w stanie tu pomóc. – Olgierd wzrusza ramionami. – Dziewczyny, które trenuję, mówiły mi, że tylko wysłuchuje i przytakuje. Tak, niestety, wygląda pomoc szkolnego psychologa.

Gadamy jeszcze godzinę, próbując znaleźć jakieś sensowne rozwiązanie. Ale co może dwójka nauczycieli? Beata skończyła już osiemnaście lat, jej matka zapewniła jej opiekę lekarską. Możemy tylko czekać na diagnozę.

– Na pewno w szpitalu zrobią jej test na obecność narkotyków w moczu. Może chciała uczyć się po nocach i potrzebowała jakiegoś speeda?

Nagle dzwoni mój telefon. Przestraszona, bo przecież jest prawie druga w nocy, wygrzebuje go z torebki, którą wcześniej rzuciłam na dywan. Nie poznaję tego numeru.

– Halo?

Szmary, jakiś szept, szuranie.

– Halo?!

– Oni tu przyszli... szukają jej... Boże, ja nie wiem, jak oni tu weszli!

– Halo, kto mówi?!

Olgierd zrywa się z kanapy.

– Co się dzieje?!

– Wydaje mi się, że to głos matki Beaty, ale nie jestem pewna... – szepczę mu, zasłaniając telefon dłonią.

– Jest w szpitalu z córką?

– Chyba jest w domu... Halo?! – krzyczę do telefonu. – Słyszysz mnie pani?! Co się stało?! Kto jej szuka?! Kto jest u pani w mieszkaniu?!

Połączenie się urywa. Kilka razy wybieram numer, z którego dzwoniła do mnie Wioletta Sokolnicka. Włącza się tylko poczta głosowa.

MAKS

29 MAJA – ŚRÓDMIEŚCIE (WARSZAWA)

– Mój mąż przeżył załamanie nerwowe po śmierci ojca, którego zwłoki znalazł po kilku dniach po powrocie z urlopu. Za wszelką cenę próbował się dowiedzieć, gdzie jest kobieta, która brała pieniądze za opiekę nad moim teściem i niestety przestała odbierać nasze telefony. Stąd jego nieracjonalne zachowanie i wtargnięcie do mieszkania Wandy Bielendy. Tu jest zaświadczenie od psychologa. – Daria kładzie na dębowym biurku kilka kartek.

Tłusty adwokat, który bierze grubą kasę za konsultacje, w skupieniu odczytuje to, co napisał psycholog.

– Chodzi nam o to, żeby policja nie oskarżyła mojego męża o włamanie do mieszkania obcej kobiety! Nie zniszczył zamków w drzwiach i jeszcze pomógł młodej dziewczynie, która właśnie tam potrzebowała pilnej pomocy lekarskiej!

– Dziwny zbieg okoliczności. Pani mąż zjawił się tam w ostatniej chwili... Gdyby nie on, cała ta sytuacja mogła skończyć się dla niej tragicznie.

– To chyba świadczy na jego korzyść, prawda? Natychmiast wezwał pomoc! Robił wszystko, żeby ją uratować!

– Ale jej nie znał? Nigdy wcześniej jej nie widział?

– Nie!

– Czy mogłaby pani pozwolić mężowi, żeby się wypowiedział?

– Przeżywa żałobę i dlatego mówi niewiele.

Oboje patrzą teraz na mnie, czekając, co powiem. Marzę, żeby wytrzymać jakoś do jutra. Jutro spotkam się z Aliną Galner. Miała bardzo miły głos przez telefon i podziękowała mi za wezwanie karetki. Na szczęście nie zrobili jej płukania żołądka. Tłumaczyła, że zabalowała na wieczorze panińskim przyjaciółki. Nie musiała mi tego mówić, bo jestem obcym człowiekiem, ale cieszę się, że mi ufa. Zabrała swoje rzeczy z mieszkania Wandy Bielendy, bo boi się tam mieszkać. Najwyżej straci kaucję. Zatrzymała się u koleżanki. Zaproponowała mi spotkanie w ulubionej wegańskiej knajpie na Żoliborzu.

– Panie Maksymilianie? – Głos adwokata wybudza mnie z zamyślenia. – Jak się pan czuje?

– Średnio, szczerze mówiąc. Moja żona powiedziała panu już naprawdę wszystko. Śmierć ojca była dla mnie szokiem. Prawie w ogóle nie śpiam. Nie możemy nawet zorganizować pogrzebu, bo czekamy na wyniki sekcji zwłok. Nie rozumiem, dlaczego policja nie szuka Wandy Bielendy?! Tylko oskarża mnie o włamanie do jej mieszkania!

– To nie policja pana oskarża.

– Nie rozumiem?

– Skontaktował się ze mną adwokat reprezentujący syna tej kobiety.

– Wanda Bielenda nie miała rodziny! Nigdy nie mówiła, że ma syna!

– To, że panu o czymś nie mówiła, to nie znaczy, że tak nie było. Jej syn także jest zmartwiony zniknięciem matki, ale przede wszystkim włamanie do jej mieszkania po jej zniknięciu wydaje mu się bardzo podejrzane.

– Nie włamałem się! Wszedłem tam... martwiąc się właśnie o tę kobietę! A gdzie on wtedy był?

Kto to w ogóle jest?! Zainteresował się losem siedemdziesięcioletniej matki dopiero, jak zniknęła?! Pewnie to jakiś menel, degenerat, który liczy, że po matce odziedziczy mieszkanie!

– Maks! – Daria dotyka mojego ramienia. – Posłuchaj, co pan mecenas ma nam do powiedzenia!

– Z tego, co wiem od jego pełnomocnika, mecenasa Mariusza Stępnia, pan Andrzej Bielenda jest bardzo zmartwiony nagłym zniknięciem swojej matki i oczywiście także tym, że jej sublokatorka próbowała popełnić samobójstwo.

– To nie była próba samobójcza... Rozmawiałem z Aliną Galner przez telefon i wszystko mi wytłumaczyła... – przerywam mu natychmiast.

Zapada cisza.

– Nie mówiłeś mi, że masz numer telefonu tej dziewczyny! Przecież jak przyjechała karetka, to była nieprzytomna... Maks, popatrz na mnie... Coś jeszcze przede mną ukrywasz?! Czego jeszcze mi nie powiedziałaś?!

IGA

28 STYCZNIA – ŻOLIBORZ (WARSZAWA)

– Coś się stało? Co ty tu robisz? – Podbiegam do Andrzeja, a obcasy moich kozaków ślizgają się na oblodzonych kałużach.

– Przerwałem ci randkę?

Ma zaczerwienione z zimna policzki i lodowate dłonie, bo nie włożył rękawiczek. Nie patrzy mi w oczy. Wpatruje się w budynek restauracji, z której właśnie wychodzi Piotr Rajmer, mocując się z czarnym parasolem. Śnieg zaczyna sypać już tak mocno, że zlepia mi rzęsy i osadza się na wargach.

– Jeżeli spotykam się z jakimś facetem w restauracji, to musi być randka? To właściciel wydawnictwa Aramis. Zaproponował, że wyda moje wiersze. Nie rozumiem twojego zachowania, bo jest potwornie głupie!

– To wyglądało jak romantyczne spotkanie... Poszedłem się przejść do parku i wtedy zobaczyłem w oknie restauracji ciebie z tym człowiekiem...

– W taką pogodę poszedłeś na spacer? Powiem ci jedno... i nie będę tego więcej powtarzać. Przerabiałam to w każdym związku, w którym byłam! Chorobliwa, zaborcza, niczym nieuzasadniona zazdrość! Sprawdzenie mnie! Śledzenie! Nasz związek miał być inny! Miał być lepszy!

Wyrwam mu się i próbuję biec, ale dogania mnie błyskawicznie.

– Przepraszam... Iga, poczekaj... Wrócimy razem do domu i...

– Nie wracam do domu! Jadę do Olgi. Mam siostrę, którą poznałeś, mam córkę, którą poznałeś... A ty nie chcesz, żebym poznała twoją matkę! Jedyną bliską ci osobę! I to jest normalny związek?! Traktujesz mnie poważnie? Wmawiasz mi, że cię zdradzam, bo poszłam na kawę omówić zawodowe sprawy! To nie tak miało wyglądać! Nasz związek miał być inny niż wszystkie poprzednie, popierdolone, chore związki w moim życiu!

Zostawiam go na chodniku i biegnę w stronę stacji metra. Oczywiście dzwoni do mnie, gdy jestem na peronie, ale wyłączam telefon. Muszę ochłonać. Dawno nie miałam ataku i wiem, że teraz właśnie mnie dopadł. Mogłam porozmawiać z nim spokojnie. Zależy mu na mnie, więc jest zazdrosny. Ale już przerabiałam zaborcze, toksyczne związki.

Olga nie jest zaskoczona, gdy wpadam do niej bez uprzedzenia. Natychmiast zaprasza mnie do środka i proponuje jaśminową herbatę i sernik domowej roboty. Lubię jej mieszkanie na Nowym Mieście.

– Pokłóciliście się? Andrzej dzwonił do mnie przed chwilą. Martwił się, że nie odbierasz. Chciał się upewnić, czy do mnie dotarłaś.

– Zaczyna się to samo co w moich poprzednich związkach! Kontrolowanie i sceny zazdrości! Gdy on znika na cały dzień, bo ma biznesowe spotkania, to ja do niego nie wydzwaniam, nie sprawdzam!

– Poznałam kilku twoich byłych i przy nich Andrzej jest zajebistym ideałem. Ambitny, przystojny i chyba zapomniałaś, co dla ciebie zrobił! Wcale się nie dziwię, że jest zazdrosny, i nie robiłabym z tego problemu.

Włączam mój telefon. Trzy nieodebrane połączenia od niego i dwie wiadomości:
Przepraszam, kochanie. Wiem, że przesadziłem. Proszę cię, odbierz.

Podjadę po ciebie. Przepraszam. Daj tylko znać, o której mam być.

- Opanuj się, ochłoń i odpisz. Nie wiedziałam, że Andrzej ma samochód.
- Na razie wypożyczył na miesiąc volvo... Nie chodzi tylko o jego zazdrość.
- A o co?
- O jego matkę.

Opowiadał jej o dziwnej paczce ze zdjęciami z jego dzieciństwa. O tym, co mu zrobiła, jak niemal zniszczyła mu życie. I o tym, że chciałabym z nią porozmawiać, ale wołałabym nie robić tego za jego plecami.

– Dziwisz się, że Andrzej nie chce, żebyś ją poznała? Wstydzi się! Sam ci mówił o tym wstydzie, prawda? Gdy leżała na chodniku pod blokiem, jak był w podstawówce, a on prosił sąsiadów, żeby mu pomogli, bo chciał, żeby wstała i wróciła do domu... Iga... on ma ten wstyd w sobie cały czas.

- Podobno ona już nie pije.
- Chodźcie na terapię. Powinniście poruszyć temat jego matki.
- Byliśmy na razie raz, bo Andrzej wiecznie nie ma czasu. Nie potrafi się otworzyć przy tej terapeutce i odpowiadał jej półsłówkami. Do niego naprawdę czasem ciężko dotrzeć. Jest bardzo zamknięty.

– To może jemu przydałaby się terapia indywidualna. Musisz być cierpliwa, a wiem, że cierpliwość nie jest twoją mocną stroną.

Mój telefon znowu dzwoni. Odbieram po pierwszym sygnale.

– Iga... – słyszę jego schrypnięty głos. – Proszę cię... daj mi tylko znać, o której po ciebie przyjechać. Porozmawiajmy w domu. Dobrze?

- Dobrze. Przyjedź tu za dwie godziny.
- Jasne! Będę!

– No, tak już lepiej. – Olga unosi kciuk do góry. – Trzeba było mu powiedzieć, że zapraszam go na kolację. Zafiksowałaś się w sprawie jego matki, a może po prostu daj mu trochę czasu. Nie naciskaj na niego.

– Nienawidzę tej kobiety! Wyobrażasz sobie, jak wyglądało jego dzieciństwo?! Mówił mi, że czasem chował się w piwnicy, siedział tam na jakichś kartonach ze słoikami i się uczył, bo w mieszkaniu trwały nocne libacje. Brał koc ze sobą, bo tam potwornie wiało od okien. I nawet tam nie miał spokoju! Bo jego matka gromadziła w piwnicy zapasy alkoholu i jej pijani znajomi często tam zaglądali! A teraz płaci jej rachunki, czynsz, wszystko!

– To tylko świadczy, jak dobrym jest człowiekiem. Nie miałam w ogóle pojęcia, że to tak wyglądało.

– Myślę, że mogło wyglądać jeszcze gorzej. Na pewno nie powiedział mi wszystkiego.

– Dorosłe dziecko alkoholika, syndrom DDA... czytałam o tym. Często wyrastają na niezdrowo ambitnych pracoholików. Przecież on nie miał wzoru w dzieciństwie, nie miał pojęcia, na czym polega zdrowy, normalny związek. A co z jego ojcem?

- Zniknął z życia jego matki, jak Andrzej był niemowlakiem. Tylko tyle wiem.
- Nie zepsuj tego. Nie traktuj go tak jak innych swoich byłych.

Moja siostra bardzo się przejmuje moim życiem uczuciowym. Może dlatego, że swojego na razie po rozwodzie właściwie nie ma? Jej syn nastolatek mieszka z jej byłym mężem. Obie jesteśmy pokręcone, chwiejne emocjonalnie. Dwie godziny później w samochodzie pozwalam, żeby Andrzej mnie objął i pocałował. W milczeniu jedziemy na Żoliborz. Sypie śnieg. W mieszkaniu odkrywam bukiet róż na stole w salonie i kolację, na którą przygotował to, co lubię. Risotto z kurkami, małe tapas. I butelka chianti tuż obok wazonu.

– Nic nie mów... – Całuje mnie delikatnie. – Nic nie mów.

Jego nieogolone policzki drapią mi szyję. Rozpina mi sukienkę, coraz bardziej nerwowymi ruchami. Wsuwam mu dłonie pod biały, góralski sweter, ale nie jesteśmy w stanie rozebrać się do końca. Unosi mnie mocno i opiera o ścianę. Rozpinam mu dzinsy, mocuję się ze skórzanym paskiem. Naga do pasa, z piersiami unoszącymi się pod wpływem jego pocałunków, których skóra napina się i lśni. W sypialni opadamy na łóżko, szarpiąc swoje ubrania, zrywając bieliznę. Skupieni tylko na sobie, na momencie, gdy staniemy się jednym ciałem. Rozkosz rozpełza się pomiędzy moimi udami, wspina się wyżej. W dole brzucha staje się kwiatem, pulsującym i krzyczącym o więcej. Czuję go w środku coraz mocniej, coraz głębiej. On jednocześnie penetruje językiem moje gardło. Lekko gryzie moje wargi, liże uszy. Przygniata mnie całym ciałem, gdy dochodzi. Suwak jego dzinsów wbija mi się w pępek. Zaczynam się śmiać. Zlizuję mu pot z szyi.

– Wykończysz mnie... emocjonalnie... fizycznie... – szepcze mi do ucha i też się śmieje. – Rozgryzłaś mnie... Nie poszedłem na żaden spacer. Gdy zaparkowałem pod naszą kamienicą, zobaczyłem, że idziesz roześmiana, w tym swoim kapeluszu, w stronę parku... Poszedłem za tobą i...

– Stałeś godzinę na mrozie, obserwując, jak rozmawiam z tym facetem? I to jest normalne?

– Oszalałem z miłości... Nigdy nie byłem tak zazdrosny... W poprzednich związkach to nawet...

– No? – Przesuwam dłonią po jego klatce piersiowej, która lśni od potu.

– Moja poprzednia dziewczyna miała pretensje, że nie jestem zazdrosny. Próbowła tę zazdrość wywołać w bardzo dziecinny sposób.

Patrzy mi w oczy. Widzę w nich blask, który tak lubię. Jest w końcu sobą. Otwiera się, chociaż niespecjalnie mam ochotę słuchać teraz wspomnień na temat jego byłej.

– Czasami... po prostu nie do końca wierzę, że chcesz ze mną być. Możesz mieć każdego, Iga... Doskonale o tym wiesz...

– Nie chcę każdego. Chcę ciebie. Zjedzmy coś, bo umieram z głodu.

Unosi się na łokciach. Jest tak cholernie pociągający z tymi rozczochranymi włosami, spocony, tylko w rozpiętych dzinsach.

– Gdy czekałem na ciebie w samochodzie, zadzwoniłem do niej.

– Do kogo?

– Do matki. Powiedziałem, że chcę, by poznała kobietę, którą kocham. Zaprosiła nas do siebie na jutro. Zdziwiła się, bo nie przedstawiłem jej nigdy swojej dziewczyny. Ja po prostu nie wiem, jak będzie wyglądało to spotkanie. Bywa chwilami dziwna. Ale wydaje mi się, że już nie pije.

– Bardzo się cieszę... bardzo... Chcę być dla ciebie ważna.

– Nikt nie jest dla mnie tak ważny jak ty... Nikt... po prostu nikt.

KSENIA

20 STYCZNIA – BIELANY (WARSZAWA)

– Przepraszam, że do pani zadzwoniłam w środku nocy... – Sokolnicka zapala papierosa drżącymi rękami. – Po ich wyjściu chwyciłam za służbowy telefon, który leżał na stole... Nikt nie odbierał, więc wybrałam numer do pani.

Nerwowo zaciąga się papierosem. W szlafroku i bez makijażu wygląda starzej niż kilka godzin temu. Na stole niedopity kieliszek wina. Ślady odcisniętych butów na jasnej wykładzinie. Razem z Olgierdem przysiedliśmy na kanapie w mokrych od śniegu kurtkach.

– Wróciłam z kliniki przed północą. Beata jeszcze tam zostanie... zrobili jej test na obecność narkotyków w moczu. Nic nie wykazał. Nie zrobiła sobie żadnej krzywdy. Dali jej coś na uspokojenie, na wyciszenie. Zostałam z nią, dopóki nie zasnęła. Poprosiłam lekarzy z pogotowia, żeby zawieźli ją właśnie tam... mam prywatny abonament. Wróciłam taksówką do mieszkania... roztrzęsiona... bo lekarze mieli do mnie pretensje, że nie zadziałałam wcześniej... Chyba nie zamknęłam drzwi wejściowych na klucz.

Kobieta zaczyna się trząść od płaczu. Bez słowa zrywam się z kanapy i obejmuję ją mocno.

– Gdy wyszłam z łazienki w szlafroku, usłyszałam jakieś głosy w salonie. Pomyślałam, że to

rozmawiają sąsiedzi za ścianą... bo tu ściany są takie cienkie. Ale gdy ich zobaczyłam, myślałam, że mam halucynacje! Że mi się wydaje!

– Kogo pani zobaczyła?

– Parę... ubrani na czarno... to znaczy... on miał siwe włosy związane w kucyk i czarną kurtkę... a ta kobieta... Jezu, pewnie myślicie, że mi odbija!

– Wcale tak nie myślimy. Proszę mówić dalej.

– Zaczęłam krzyczeć ze strachu! Groziłam, że wezwę policję! Ten mężczyzna powiedział tylko, że jak będę wrzeszczeć, to coś się stanie mojej córce. Wiedzieli, że jest w klinice!

– Widziała ich pani przedtem? Czego od pani chcieli? – Olgierd zasypuje Sokolnicką pytaniami.

– Może to jacyś sąsiedzi? Może widzieli karetkę podjeżdżającą pod blok?

– Nigdy wcześniej ich nie widziałam! Znali nawet nazwę ulicy, na której jest klinika!

– Musieli jechać za ambulansem. Powiedzieli pani, skąd znają Beatę i czego chcą?

– Nie! Grozili mi... ja... Zaczęłam się potwornie bać. Otoczyli mnie... ta kobieta stanęła przy drzwiach pokoju tak, żebym nie mogła pobiec do kuchni po telefon. Cały czas do mnie mówili... żeby przekazać Beacie, że tu byli! Że wiedzą o niej wszystko!

– Co to znaczy?! Musi pani porozmawiać z córką... zapytać, skąd zna tych ludzi.

– Widział pan, w jakim Beatka jest stanie? I ja mam ją straszyć?!

Sokolnicka zrywa się z kanapy i zapala kolejnego papierosa. Gdy zaczynam się zastanawiać, czy nie zmyśliła sobie tej całej nocnej wizyty dwójki nieznanym ludzi, dostrzegam pręgę na jej przegubie.

– Co to jest?

– Chciałam wybiec z pokoju... Ten mężczyzna chwycił mnie za przegub, szarpaliśmy się... Byłam chora ze strachu! Ale ta kobieta kazała mu mnie puścić i wyszli... A ja pięć razy sprawdzałam, czy zasunęłam zasuwę, jak wyszli. Pięć razy!

– Czyli ta para na pewno zna Beatę... Wiedzieli, gdzie mieszka, i wiedzą, gdzie została umieszczona. Powiedziała to pani policji? – pyta cicho Olgierd.

– Jakiej policji? Dwie osoby weszły do mojego mieszkania w nocy i wyszły! Nic nie ukradli i w sumie nic mi nie zrobili! Co miałam powiedzieć policji?! Zwłaszcza że jak wróciłam od Beaty, to wypiałam dwa kieliszki wina!

– Rozumiem.

– Przepraszam, że tu państwa ściągnęłam w nocy... Mój... partner jest za granicą, a przyjaciółka nie odbierała telefonu. To wszystko jest... wydaje się tak nierealne, ale tak właśnie było... Kazali przekazać mojej córce, że wiedzą o niej wszystko!

– Może dzwoniли do niej wcześniej? Może trzeba przekazać lekarzom, że ktoś może ją nękać?

– Pojadę tam rano. Nie wiem, czy w klinice nie zabrali jej telefonu... Mówili, że trzeba odciąć Beatkę od różnych bodźców, bo może przeczytała coś w internecie, i to wywołało atak... Ale powiem im... nie wiem, czy mi uwierzą, ale im powiem!

– Czy możemy zajrzeć na chwilę do pokoju Beaty? – przerywa jej Olgierd. – Może tam znajdziemy ślad tej dziwnej znajomości? Przecież pani córka twierdziła, że jest opętana!

– Tak powiedziała... raz...

– Może to oni. Całkiem możliwe, że wmówili jej to...

– Kiedy?! Jak?! Beata nie jest naiwna! Jest bardzo inteligentna, bardzo! Ale dobrze, sprawdzimy to, zróbmy coś... cokolwiek! Boże, zróbmy coś!

Idziemy za Sokolnicką do pokoju jej córki. Zbliża się trzecia nad ranem. W pokoju Beaty panuje potworny bałagan. Przewrócone krzesło, ślady krwi na ścianie. Na tapczanie sterta ubrań, rozrzucone kosmetyki. Biurko zavalone książkami. To nie tylko podręczniki. Horrorzy po angielsku i coś jeszcze. Wpatruję się w tytuł – Sztuka manipulacji. Prawie na każdej stronie zdania podkreślone długopisem.

– Przepraszam za ten bałagan. Jeżeli chodzi o jej laptop, to leży pod oknem, ale na pewno trzeba znać hasło, żeby go uruchomić. Rok temu złapała mnie, że coś w nim przeglądałam, i teraz już nie mam dostępu. Była potwornie wściekła.

– I skryta. – Kiwam głową, przeglądając książki na biurku. – Ale taka zrobiła się od niedawna. Uczę ją od ponad trzech lat. Nie rozumiem, dlaczego nie zauważyłam wcześniej symptomów.

– Nikt na to nie zwrócił uwagi. – Olgierd przerywa mi szybko. – Pracuję z nastolatkami. Jednego dnia mają świetny humor, sypią dowcipami, a drugiego nie odzywają się wcale i patrzą na ciebie, jakby chcieli cię zabić.

Sięgam po niewielki laptop rzucony na łóżko. Wiem, że może dać nam odpowiedź na wszystkie pytania... co dręczyło Beatę, co ją interesowało, czym żyła. Ale szansa, że uda nam się to sprawdzić, jest minimalna. Na ekranie laptopa rozbłyskuje tapeta z prośbą o wpisanie hasła.

– Boże... Boże... – Głos Sokolnickiej załamuje się na chwilę.

Domyślam się, co chce powiedzieć. Olgierd pochyla się nade mną. Oboje zdumieni wpatrujemy się w ekran. To zdjęcie. Para ubrana na czarno. Mężczyzna w puchowej kurtce, z siwym kucykiem i niewielką brodą. Dobrze po pięćdziesiątce. Obok niego chuda kobieta w podobnym wieku i w czarnym płaszczu. Siwe włosy związane w ciasny, koński ogon. Wąskie usta. Zero makijażu. Za nimi jakiś ceglany budynek otoczony zardzewiałym ogrodzeniem.

– To są ci ludzie! To oni! To właśnie oni!

MAKS

30 MAJA – ŻOLIBORZ (WARSZAWA)

Alina Galner wygląda na szesnaście lat, ale wiem z mediów społecznościowych, że skończyła dwadzieścia cztery. Siedzimy w ogródku żoliborskiej knajpy z widokiem na budynek Teatru Komedia i czuję, jak całe napięcie ostatnich dni znika, rozpuszcza się jak lody w pucharkach, w których rozsmakowuje się para tuż obok. Zapominam, że od tygodnia prawie w ogóle nie sypiam. Zapominam, że podejrzewam żonę o romans. Słucham Aliny i świat wydaje się całkiem znośny. Zwłaszcza że wyraźnie mnie polubiła, skoro tak mi się zwierza. Chuda, drobna. Długie, kasztanowe włosy zamotane w kok na czubku głowy. Gdy ją zobaczyłem, od razu rozpoznałem sukienkę w polne kwiaty, którą miała na jednym ze zdjęć na portalu społecznościowym. Ta sukienka działa na mnie tak, że czuję narastające podniecenie.

– Sanitariusze powiedzieli mi, że zarzygałam cały pokój. Ale jak przyszłam po kilku dniach po moje rzeczy do mieszkania pani Wandy, to wszystko lśniło, rozumiesz? Żadnych rzygów, okno otwarte, łóżko posłane. W kuchni też czyściutko i w łazience! Czyli ona tam była!

– Wątpię! Prawdopodobnie posprzątał jej syn.

– Mieszkałam tam dwa miesiące i nigdy nie mówiła, że ma syna!

– Mój adwokat twierdzi, że skontaktował się z nim jego pełnomocnik. Ten facet nazywa się Andrzej Bielenda. No i cóż... mogę mieć kłopoty, bo włamałem się do mieszkania jego matki, żeby sprawdzić, czy coś się jej nie stało. Wychodzi na to, że to ja troszczę się bardziej o jego matkę niż on.

– To mu to, kurwa, powiedz! Umów się z nim i mu uświadom dwie rzeczy! Po pierwsze, jego matce przecież mogło się coś stać, więc niech zacznie jej szukać! A po drugie, ruszał moje rzeczy! Wszedł do mojego pokoju niby posprzątać moje rzygi, ale przecież ja mogłam sobie nie życzyć, żeby obcy człowiek...

– Coś ci zginęło?

– Nie... chyba nie... Ja się pakowałam w jakimś dziwnym transie. Boję się tego mieszkania... Było puste i śmierdziało. Chociaż ktoś posprzątał... To jakaś schiza chyba jest... No nie wiem, jak to nazwać. Pewnie to przez to, co się stało twojemu ojcu. Przecież on tam za ścianą na tym samym piętrze leżał kilka dni... i ja czułam ten zapach, ale myślałam...

Dotyka mojej dłoni. Czuję, jak penis rozpycha mi spodnie. Alina Galner jest tak niesamowicie pociągająca. Dawno żadna kobieta tak mi się nie podobała. Ma głos dojrzałej kobiety, a ciało nastolatki. Niesamowita mieszanka.

– Sorry... Wiesz, że ja byłam w tym tłumie wtedy pod blokiem, jak przyjechała straż pożarna? Potem poszłam na imprezę. Ale najpierw stałam i patrzyłam, jak wynoszą ciało twojego ojca. Wszyscy przez kilka dni myśleli, że to ze zsypu tak... ten smród... bo chociaż ten zsypan jest nieczysty, to kiedyś ktoś tam wrzucił zdechłego psa... Przepraszam...

Patrzy mi w oczy i uśmiecha się ciepło.

– Też straciłam tatę. Siedem lat temu. Głupi wypadek.

Ma skośnie, szarobrazowe oczy i długie rzęsy. Idealna cera, musnięte słońcem policzki i czoło. Mam wrażenie, jakbyśmy znali się od lat.

– Strasznie... okropnie to mną wstrząsnęło... – mówię cicho. – Mam do siebie pretensje, że on umierał sam... Jakby ktoś był przy nim i wezwał karetkę, to na pewno by przeżył. Miał prawie dziewięćdziesiąt lat, ale świetnie się trzymał.

– Nigdy go nie widziałam, ale pani Wanda coś wspominała, że wpada do jakiegoś sąsiada i u niego sprząta. Ale sam wiesz, jak to jest... niespecjalnie chciało mi się jej słuchać. Truła mi wiecznie, że wracam w środku nocy i że nie sprzątam po sobie w kuchni i w łazience. I tak zamierzałam stamtąd się wynieść, bo jedyną zaletą mieszkania u niej były niskie opłaty.

– Ktoś ją odwiedzał? Co ona robiła całymi dniami? Miała znajomych?

– W ogóle nie interesowało mnie jej życie, więc jakoś nie zwracałam uwagi na to, co robi. Byłam zadowolona, jak jej nie było w mieszkaniu, a często jej nie było. Pewnie ma jakichś znajomych. Może do nich pojechała, tylko dziwne, że teraz nie odbiera telefonu.

– Mija już ponad tydzień od mojej ostatniej rozmowy z nią. To mnie bardzo niepokoi. Zawsze odbierała, gdy dzwoniłem. Miałem wrażenie, że można jej ufać. Naprawdę dbała o ojca. Chciałbym tylko wiedzieć, dlaczego...

– Dlaczego co? Mów... Czasem dobrze się wygadać. Wiesz, co ja robiłam, gdy mój tata zmarł? Gadałam...

– Policja przekazała mi aparat taty i ostatni telefon, jaki on wykonał, był właśnie do niej... Ostatni... O jedenastej wieczorem siedemnastego maja... A pięć dni później znaleziono go martwego! Na pewno źle się poczuł, ale ta kobieta nie odebrała... Jego telefon leżał pod łóżkiem. Chyba próbował wstać...

Kawiarniany ogródek pulsuje słońcem, hałasem rozmów, muzyką dochodzącą z wnętrza. Czuję, jak bardzo moja lniana koszula jest przepocona. Za to Alina w promieniach majowego słońca wygląda coraz piękniej. Łśni niezwykłą młodzieńczą naturalną urodą.

– Wiesz co... tu nie ma specjalnie warunków, żeby pogadać. A ja pomieszkuję u kumpeli. Ale ona jest teraz u swojego chłopaka. Moglibyśmy napić się u mnie wina i pogadać. Robię wysmienitą sangrię.

Nie do końca wierzę w to, co słyszę, ale świat nagle wydaje mi się cudowny. Dziewczyna, którą znam od dwóch godzin, zaprasza mnie do siebie. Czuję się znowu młody, znowu świat ma prawdziwe kolory. Pełen spontan? Dlaczego nie? Mam za godzinę odebrać dzieciaki z pływalni, ale coś wymyślę. Na razie liczy się tu i teraz.

– Zostawię samochód na płatnym parkingu. Odbiorę go jutro... skoro mamy pić sangrię... Na Kanarach piłem sangrię. Uwielbiam ją!

– No widzisz! – Alina śmieje się chrapliwie. – Mamy wiele wspólnego! Poza tym uratowałeś mi życie! Muszę się odwdziaczyć! Idziemy do mnie!

IGA

29 STYCZANIA – BIELANY (WARSZAWA)

Wysiadamy z windy na trzecim piętrze bloku na Bielanych. Uśmiecham się do Andrzeja. Czuję, jak bardzo jest spięty. Ma cienie pod oczami, jest starannie ogolony, ubrany na luzie, ale jak zawsze z tą swoją niewymuszoną elegancją. Zrezygnowałam dziś z kapelusza i z mocniejszego makijażu. Pół godziny temu kupiliśmy w najlepszej żoliborskiej cukierni spory kawałek sernika. Mija nas monstrialnie gruba kobieta w rozpiętej puchówce. RzUCA nam wścibskie spojrzenie i schodzi powoli, trzymając się poręczy. Matka Andrzeja otwiera drzwi po drugim dzwonku. Uderza mnie natychmiast ich niezwykle podobieństwo. Takie same regularne rysy twarzy i zielone oczy. Siwe włosy spięta w kok. Ubrana w niemodną, krzywo wyprasowaną granatową marynarkę i sprane džinsy, wyciąga do mnie rękę z uśmiechem.

– Dzień dobry, kochani, wchodźcie do środka.

– Mamo, chciałem... To moja dziewczyna...

Tłoczmy się w ciasnym przedpokoju obitym drewnianą boazerią. Andrzej pomaga mi zdjąć płaszcz.

– Bardzo się cieszę, że przyszedliście razem. Moja sublokatorka jest w pracy, więc porozmawiamy sobie spokojnie.

Bierze ode mnie pudełko z ciastem. Zaprasza do salonu. Rozsiadamy się na kanapie. Andrzej nie wypuszcza mojej dłoni. Czuję jego napięcie. Ale przecież jego matka zachowuje się całkiem normalnie. Rozstawia na stole filiżanki z herbatą.

– A więc jesteś dziewczyną mojego syna?

– Iga jest dla mnie kimś więcej... – przerywa jej szybko Andrzej.

– Długo jesteście razem?

– Prawie dwa miesiące – odpowiadam szybko.

– No cóż... Nie dziwię się, że mój syn się zakochał. Jesteś bardzo ładna.

– Dziękuję.

– Nie dziękuj. Uroda może być przekleństwem. Nie tylko błogosławieństwem. Ze mną tak było.

Ile masz lat?

– Mamo...

– Nie rozmawiam teraz z tobą, tylko z nią. Skoro zdecydowałaś, że powinnam ją poznać, to musi być dla ciebie ważna.

– Jest ważna.

– No właśnie. – Nie spuszcza ze mnie wzroku. – Mój syn nigdy mi się nie zwierza. Do tej pory nie mówił mi ani słowa o swoim prywatnym życiu.

– Dziwisz się? – przerywa jej szybko.

– W tym wieku już mnie nic nie zdziwi. – Rzuca szybko i znowu patrzy na mnie. – Czuję, że masz na niego ogromny wpływ, i tylko o jedno chciałam cię poprosić. Nie skrzywdź go. Jak będziesz go miała dość, to po prostu od niego odejdz.

– Mamo! – Andrzej nagle wstaje z kanapy. – Miałem tylko nadzieję, że spędzimy godzinę w miłej atmosferze. Ale się przeliczyłem!

– Poczekaj – mówię cicho. – Rozumiem, że twoja mama troszczy się o ciebie...

– Ona się troszczy? Zakładając, że nasz związek skończy się źle, bo jesteś złą kobietą?!

– Nie wiem, jaką ona jest kobietą. Ale widzę, jak wygląda. Takie kobiety robią z mężczyznami, co chcą. – Wanda sypie sobie cukier do kawy, nie przestając monologować. – Jesteś cholernie wrażliwy. Znam cię... ja cię znam...

– Znasz mnie?! Naprawdę?! – Jego oczy stają się coraz ciemniejsze. – Jakim cudem wydaje ci się, że mnie znasz? Pamiętasz cokolwiek z mojego dzieciństwa? Pamiętasz na przykład moje dziesiąte urodziny?

– Nie – słyszymy po chwili cichą odpowiedź.

– Nie pamiętasz, co tu się działo w dniu, gdy skończyłem dziesięć lat?! Zaprosiłaś chyba ze czterdzieści osób! Okolicznych meneli i ich znajomych! Po dwóch godzinach wystawili mnie na klatkę schodową w piżamie, bo płakałem! Wiesz, dlaczego płakałem, mamo?

– Nie.

– Zamknąłem się w moim pokoju... zatarasowałem drzwi krzesłami... chciałem odrobić lekcje. Bardzo trudne zadanie z matematyki! Byłem pewien, że jako jedyny w klasie je rozwiążę. I wiesz, co się stało?! Pamiętasz to w ogóle?!

Andrzej błądy z wściekłości stoi pod ścianą. Jego matka wpatruje się w staromodną cukiernicę. Nie patrzy mu w oczy.

– Jeden z twoich znajomych wszedł do mojego pokoju. Nie pomogła barykada z krzesel! Chwiał się na nogach, bełkotał... Wiesz co, do cholery, zrobił?! Ten żaloszny chuj rozpiął spodnie i nasikał na mój tapczan! I na zeszyt do ćwiczeń z zadaniem matematycznym, które właśnie rozwiązałem! Świetnie się bawił! Jego dwóch kolegów także. We trójkę stali nade mną i rechotali! Gdzie byłaś wtedy, mamo?!

– Nie pamiętam.

– No właśnie! Nie pamiętasz nic z mojego życia, ale mówisz, że mnie znasz?! – Andrzej zaczyna śmiać się nerwowo. – W szkole musiałem powiedzieć, że zgubiłem zeszyt do ćwiczeń. I za to zresztą dostałem uwagę. A nie miałem kasy na nowy. Ciebie to nie obchodziło, prawda? Nie obchodziło cię, że ten, kto rozwiąże to zadanie, zakwalifikuje się do udziału w międzyszkolnym konkursie! Miałem szansę, ale nie mogłem pokazać nikomu mojego zeszytu, bo śmierdział szczykami twojego kochanka!

Andrzej wkłada kurtkę. Nie chcę, żeby to spotkanie tak się skończyło! Spoglądam na jego matkę. Niech ta kobieta coś powie! Niech wydusi z siebie, że żałuje, że przeprasza! Ale milczy.

– Pożegnamy się teraz – mówi Andrzej po chwili. – To był głupi pomysł, żeby zapraszać do mojego życia osobę, która straciła prawa rodzicielskie i nic z tym nie zrobiła. Takich epizodów w moim życiu było tysiące. Nie wiedziałem, co przyniesie kolejny dzień! Nigdy nie byłem pewien, co zrobisz... w jakim będziesz stanie... nigdy...

Chwytam go za rękę. Ma lodowate dłonie.

– Andrzej... poczekaj... usiądź... porozmawiajmy normalnie... minęło tyle lat...

Wysuwa dłoń z mojej dłoni. Bez słowa wychodzi do przedpokoju. Słyszę trzaśnięcie drzwiami. Zostaję sama z tą kobietą. W milczeniu obserwuję jej zgarbione plecy, jej niedbały kok, pomarszczone dłonie.

KSENIA

23 STYCZNIA – BIELANY (WARSZAWA)

Jestem pewna, że Olgierd mnie unika. Pewnie uznał, że należy jak najszybciej zapomnieć o naszym nieudanym seksie, a sprawa Beaty została załatwiona. Przecież złożyliśmy na biurku dyrektorki szczegółowy opis naszej interwencji. Uczennica jest w trakcie leczenia. Nie napisaliśmy ani słowa o tym, że ktoś próbował zastraszyć jej matkę. Przecież tej zestresowanej i zapracowanej kobiecie mogło się coś wydawać. Zadzwoiła do mnie po wypiciu trzech kieliszków wina. Wciąż nie chce mi się wierzyć w to, co usłyszałam! Może wcześniej widziała zdjęcie te dziwnej pary w laptopie córki i coś jej się przywidziało? Powtarzałam jej kilka razy, żeby wezwała policję, skoro ktoś ją nachodzi. Ale odmówiła. Może także czuje, że to, co opowiada, jest tak nierealne, że być może przysnęła po winie, i to był jakiś koszmar senny?

Od kilku dni jestem przemęczona i smutna. Wioletta Sokolnicka przesłała mi na maila skan zwolnienia lekarskiego córki i zanoszą się na to, że będzie to naprawdę długie leczenie. Dyrektorka po rozmowie z nami zdecydowała, że to ja przejmę tymczasowo wychowawstwo w czwartej G, czyli w klasie Beaty, i to mnie przeraża. Nigdy jeszcze nie miałam wychowawstwa. To dodatkowe obowiązki i koszmarne ilości papierkowej roboty. Muszę przeanalizować ich oceny ze wszystkich przedmiotów, bo zbliża się zebranie z rodzicami. Teraz wchodzę na moment na salę gimnastyczną, gdzie uczennice z mojej klasy skończyły trening cheerleaderek. Obserwuję dziewczyny, które niby trochę znam, bo przecież uczę je angielskiego czwarty rok, ale teraz mam wrażenie, że nie znam ich wcale. Na przykład wysoka i chuda Jagoda Jańczak. Na moich lekcjach cichutka jak myszka. A teraz po treningu śmieje się histerycznie i trąca jedną z koleżanek w ramię, bo na salę wchodzi grupa chłopaków z innej klasy. Zaczynają się głupie docinki. Rzuca nawet do jednego jakieś niecenzuralne słowo, ale gdy mnie dostrzeżę, milknie przestraszona.

– Jagoda!

Podbiega do mnie z płonącymi policzkami. Spocona, w białym T-shircie i w krótkiej, czerwonej spódniczce. Blondynka z długim nosem, kiepską cerą i z aparatem na zębach.

– Pani profesor! Bardzo przepraszam! Wyrwało mi się!

– Przepróż tego chłopaka, a nie mnie.

– Jemu nie przeszkadza, jak go nazywam głupim fiutem. I tak ciągle przysyła mi jakieś słabe memy. Dostanę uwagę za słownictwo?

– Jeżeli jeszcze raz usłyszę, że kogoś tak nazywasz, to tak. Mogę obniżyć ci ocenę ze sprawowania. Ale nie o tym chciałam z tobą rozmawiać. Przyjaźnisz się z Beatą Sokolnicką, prawda?

- Siedziałam z nią we wrześniu w ławce, ale to było wieki temu.
- Pokłóciłyście się? Martwię się o nią. I zastanawiam się, co się mogło stać.
- Ona jest w psychiatryku?

Kilkunastu uczniów na sali gimnastycznej rozpoczyna mecz koszykówki. Wrzeszczą tak, że nie słyszę własnych myśli. Wiem, że plotki szybko się rozchodzą, a Beata jest dość znana w szkole: konkursy, akademie, spektakle.

- Sama się przyznała. Wysłała wiadomość do Kaśki już z tej kliniki.
- Do ciebie nie pisze?

– Zablokowała mnie, gdzie się dało. Bo powiedziałam jej prawdę w oczy, gdy zaczęło jej odbijać.

– Nie chcę wnikać w wasz konflikt. Czy Beata chodziła na jakieś dodatkowe zajęcia, ale poza szkołą? Z kim mogła się spotykać? Mam na myśli osoby dużo starsze od was. Może ktoś coś powiedział... Dużo o sobie wiecie, klasa jest przecież mała... a jej mama i ja bardzo się martwimy.

Nie mogę jej powiedzieć, że jakieś osoby wtargnęły w nocy do mieszkania Wioletty Sokolnickiej, ale para, którą ta kobieta opisała, musiała być ważna w życiu jej córki. Przecież umieściła ich zdjęcie jako tapetę w laptopie.

– Zrobiła się bardzo tajemnicza, mnie nic nie mówiła, bo już powiedziałam pani profesor, że się pokłóciłyśmy. Zobaczyłam ją kiedyś, jak... to było obrzydliwe trochę...

– Co takiego?

– Poszłam z kumpelą na początku września na wyprzedaż do galerii. Do tej koło metra w centrum. I gdy kumpela poszła się odlać, czekałam przy schodach ruchomych. No i zobaczyłam wtedy Beatę wjeżdżającą po tych schodach z jakimś facetem... objęci i tak dalej. On był strasznie stary! Miał z pięćdziesiąt lat, jak nie więcej. Jak mnie zobaczyła, to przestali się całować. Z jęczyczką.

Słysząc gwizdek. Dostrzegam Olgierda w granatowym dresie. Udaje, że mnie nie widzi. Tłumaczy coś grającym w koszykówkę chłopakom.

– Powiedziała ci, kto to jest?

Próbuję ukryć, że zszokowała mnie ta wiadomość. Przecież ona zaledwie trzy miesiące temu skończyła osiemnaście lat!

– Robiłam sobie z niej potem jaja i dlatego się na mnie obraziła. Powiedziała mi, że tego nie zrozumie, bo jestem za głupia. A gdy chciałam się dowiedzieć, co to za facet i gdzie go poznała, to napisała mi, że w teatrze. Okazało się, że to aktor! Gdyby randkowała z jakimś celebrytą, to nawet jakby był stary, to jeszcze bym zrozumiała. Ale ten facet wcale nie jest znany. To znaczy gra w Warszawie w teatrze i w jakimś serialu, ale wielkiej kariery nie zrobił.

– Jak się nazywa?

Obserwuję Olgierda, który siada na drewnianej ławce po drugiej stronie sali. Nagle widzę, że wyjmując z kieszeni spodni telefon i unosi do góry. Patrzy prosto na mnie.

– Oskar Fijał. Kojarzy go pani profesor?

– Nie. Czy oni nadal... są ze sobą?

– Jejku, no nie wiem! Ale widziałam, że on jeszcze niedawno wrzucał u siebie na profilu zdjęcia takie... wie pani... jego ręka i kobieca ręka z pierścionkiem. To był taki pierścionek, jaki od pół roku nosiła Beata. Z oczkiem. Kojarzy go pani profesor?

Kiwam głową. Żegnaj się z nią szybko i wyjmuję wyciszony telefon z torebki. Zawsze wyłączam dźwięk w szkole, bo przecież musimy dawać dobry przykład uczniom, a oni nie mogą używać komórek podczas lekcji. Widzę wiadomość od Olgierda.

Podpytałem o Beatę chłopaków. Bo jeżeli to narkotyki, to może kojarzą dilerą. Czasem diluje jeden z uczniów. Już to przerabialiśmy pięć lat temu. Ale zaklinali się, że to nie to. Beata zaczęła praktykować jakieś rytuały.

Spoglądam na Olgierda, który obserwuje mnie po drugiej stronie sali gimnastycznej.

Jakie rytuały?! – piszę.

Znaki. Cała jej szafka jest nimi pokryta. Przyjdź do mnie za pół godziny. Po meczu.

Otworzyłeś jej szafkę?! Nie możemy tego robić!!

Nie musiałem otwierać. Pękła i wysypało się wszystko... pokażę ci...

Co?

Kamienie. Ze znakami.

MAKS 30 MAJA – ŻOLIBORZ (WARSZAWA)

Jej ciało jest właśnie takie, jak sobie wyobrażałem. Drobne piersi, pęczniejące pod wpływem moich pocałunków, delikatne, miękkie trójkąty. Od razu, gdy weszliśmy do mieszkania jej przyjaciółki, rzuciła sukienkę i została tylko w stringach. Objęła mnie w pasie i polizała w szyję. Jak zwierzątko. Jak dzika samiczka, która dobrze wie, co czuje mój penis. Zaprowadziła mnie za rękę do sypialni, gdzie na skotłowanym łóżku wzięłem ją od razu, bez wstępów i bez zbędnej czułości. Rozpiąłem szybko spodnie, gdy sięgnęła po paczkę prezerwatyw leżącą na parapecie. Musiałem ją mieć natychmiast, wykorzystać ten moment aż do końca. Zanim zmieni zdanie. Zanim się obudzę. Nigdy nie zdradziłem żony. Nie pamiętam, kiedy czułem taką falę pożądania. Musiałem natychmiast wejść w nią i poczuć, jak bardzo jest ciasna. Jak mój penis rozpycha ją, niemal rozrywa. Zaczęła drżeć, gryźć moje ramię, szarpać mnie za włosy. Dzika, z ostrymi paznokciami, niepokorna. Jak kotka. Doszedłem błyskawicznie i spocony, ledwo żywy, przydusiłem ją swoim ciałem.

Teraz wciąż zaciska chude nogi wokół moich bioder. Liże moje ucho. Cała w moim pocie. W pokoju jest potwornie gorąco. Tuż za otwartym oknem wychodzącym na plac Wilsona słyszę przejeżdżające samochody i tramwaje, śmiech dzieci, gruchanie gołębi.

– Jesteś niezły... naprawdę. – Alina wysuwa się z moich objęć.

Nie mogę przestać na nią patrzeć. Wygolony wzgórek łonowy, blizna po wycięciu wyrostka, płaski opalony brzuch, tak doskonały, że jego doskonałość jest nierealna.

– Masz papierosy? Papieros po seksie smakuje najlepiej.

Zrywa się z łóżka i klęka pod szafą. Zalotnie wypina chudy tyłek. Znowu pragnę w nią wejść i nie wiem dlaczego, mam ochotę zrobić jej krzywdę. Złać porządnie za to, że zaczynam się staczać. Przypadkowy seks z obcą dziewczyną? Ja? Nigdy wcześniej! Wyzywająca, bezczelna, doskonała. O takiej kobiecie zawsze marzyłem. Daria nigdy nie lubiła seksu. Po prostu czekała nieruchoma, aż skończę. Tak zrobiłem jej dwoje dzieci.

– Spieszysz się?

Siada na mnie okrakiem i wyjmuję mi z ręki telefon.

– Spokojnie, Maks... Jest młoda godzina... Chcę, żebyś jeszcze mnie wylizał, zanim sobie pójdiesz.

Rozbiera mnie, bo leżałem w rozpiętych spodniach. Unoszę się na łokciach. Rzuca mój telefon na parapet.

– Życie jest krótkie. A ty najmłodszy nie jesteś. Ile masz lat?

– Czterdzieści pięć.

– Szybko doszedłeś.

Prowadzi mnie nagiego do kuchni. Wąska, ze zlewem zawalonym naczyniami, pety na talerzykach, puszki po piwie, stare szafki.

– Zrobię ci sangrię. Jeżeli chodzi o robienie laski, to może następnym razem. Pasuje ci?

– Kiedy będzie następny raz?

Młodość jest jej siłą, młodość daje jej beczelną pewność siebie. Kręci się po kuchni, gdy ja oparty o ścianę obserwuję ją w niemym zachwycie.

– Ile masz dzieci? Dwójka?

– Tak. Jula ma dwanaście, a Kacper dziesięć.

– Idealna rodzina – mamrocze pod nosem, wlewając wino do wielkiego, szklanego dzbanka. – To dlaczego posuwasz nastolatki?

– Nie jesteś nastolatką! – Zaczynam wpadać w panikę.

Może Alina kłamie? Może jest młodsza?!

– Jaja sobie z siebie robię, Maks... – Podchodzi do mnie i wpycha mi język do ust. – Napijemy się teraz. I wyślesz wiadomość do żony, że wypadło ci coś ważnego. Bo chyba znowu dzwoni, co?

Rzeczywiście, moja komórka brzęczy w sypialni. Z trudem wypuszczam ją z objęć. Obserwuje bez słowa, jak odbieram telefon od Darii.

– Maks... – Głos mojej żony brzmi jak z oddali. – Są wyniki sekcji zwłok twojego ojca! Musimy jechać na komendę! Gdzie jesteś?! Dzwoniłam chyba dziesięć razy! Gdzie jesteś?! Maks?!

– Nie wiem – mówię z trudem, bo Alina obejmuje mnie w pasie.

Zaczyna bawić się moim penisem. Wyjmuje mi telefon z rąk. Popycha mnie na łóżko. Klęka przede mną. Bierze go do ust. Zaczyna ssać.

IGA

29 STYCZNIA – BIELANY (WARSZAWA)

Tykający zegar w jej kuchni budzi mnie z letargu. Zmarznięty gołąb tupie na parapecie. Siadam na wprost tej kobiety przy stole przykrytym spłowiałym obrusem.

– Andrzej wciąż panią kocha.

– Naprawdę?!

– Gdyby tak nie było, zerwałby z panią kontakt. Dlaczego nie ma pani w sobie ani grama empatii?

– Mam... Mój syn... On nie rozumie... Musiałam go chronić. Dlatego zgodziłam się, żeby mi go odebrali.

– O czym pani, do cholery, mówi?! Przed czym pani go chroniła?!

– Przed nimi... przed...

– Przed sobą?

– Nic nie rozumiesz... zupełnie nic... Nie wiesz, jak wyglądało moje życie.

Podchodzi do ciemnobrązowej meblościanki zajmującej całą ścianę. Otwiera jedną z szuflad. Wyjmuje jakieś wypchane koperty. Mój telefon wibruje w torebce. Domyślam się, że to Andrzej. Obserwuję, jak jego matka w skupieniu wysypuje z kopert i teczek jakieś wycinki z gazet.

– Co to jest?

– Pracowałam jako nauczycielka w liceum w małej nadmorskiej miejscowości. To był taki stary, poniemiecki budynek. Przed wojną mieszkała tam jakaś bogata rodzina, konie hodowali, takie kuce szetlandzkie, a po wojnie szkołę zrobili... No sama popatrz...

Pochyliam się nad nią. Pożółkłe wycinki z gazet sprzed trzydziestu kilku lat. „KURIER CODZIENNY – JANISZEWO. ŻEŃSKIE LICEUM IMIENIA OLGI BOZNAŃSKIEJ ZNOWU NAJLEPSZE W WOJEWÓDZKIM KONKURSIE OLIMPUS”.

– Uczylałam tam matematyki. Taka dziura nad morzem. Andrzej tam się urodził i spędził pierwszych pięć lat. Dopiero potem przenieśliśmy się tu, do Warszawy. Na Bielany. Po mnie Andrzej jest taki zdolny... po mnie... Moje uczennice były zawsze...

– Nie obchodzą mnie pani uczennice! Niech pani skupi się na synu, bo całkiem go pani straci.

Wciąż przegląda poźółkle wycinki z gazet, wciąż skupiona na przeszłości, na swoich lokalnych sukcesach. Nie mam pojęcia, co chce mi udowodnić! Nie wiedziałam, że była nauczycielką. Myślałam, że nie ma żadnego wykształcenia.

– Nie idź jeszcze.

– Naprawdę muszę. Porozmawiam z Andrzejem. Ale on ciągle wyciąga do pani rękę, a pani nie rozumie, co mu zrobiła. Czy to taki problem, żeby go po prostu przeprosić... porozmawiać szczerze? On pani wybaczy... jestem pewna...

– Nie wybaczy! Powiedz mu tylko jedno... przekaż mu tylko jedno, bo jak mu o tym mówię, to on nie słucha. Przekaż mu, że oni nie zapominają... żeby na siebie uważał. Niech tu nie przychodzi!

– Nie chce go pani oglądać?! To pani jedyny syn!

– To nie jest ważne, czego ja chcę... ważne, żeby o nim zapomnieli. Niech tu nie przychodzi... Nie chcę, żeby miał coś ze mną wspólnego. Tak jest lepiej... bezpieczniej...

Jestem pewna, że zwariowała! Gdy słyszę nagle zgrzyt klucza w zamku, odsuwam się od drzwi przestraszona. Do mieszkania zagląda niewysoka, chuda szatynka w puchowej kurtce oprószonej śniegiem.

– To moja sublokatorka Ksenia Dembska – mówi Wanda.

Wygląda jak wybudzona z głębokiego snu. Mamrocząc coś do siebie, wraca do salonu i chowa stare, pękate koperty z powrotem do szuflad. Spoglądam na jej lokatorkę, która strzepuje śnieg z wełnianej czapki i uśmiecha się do mnie nieśmiało.

– Dzień dobry. Jestem Iga Bernard, partnerka syna pani Wandy. Jak się pani u niej mieszka?

– Pani Wanda jest bardzo miła. Naprawdę.

Obie spoglądamy na starszą kobietę, która teraz zbiera talerze z niedojedzonym ciastem ze stołu. Zupełnie nie zwraca na nas uwagi.

– Martwimy się o nią z Andrzejem. Czasem mówi dziwne rzeczy. Ktoś ją w ogóle odwiedza?

– To trochę krępujące, bo te osoby często siedzą u niej do późna, czasem nawet do północy.

– Jakie osoby?

– Mieszkam chyba dziesięć dni na razie, a oni zjawiają się u niej właściwie co drugi wieczór.

– Kto? Kim są ci ludzie?

Mój telefon znowu dzwoni. Próbuję znaleźć go w torebce. Ksenia błyskawicznie znika w swoim pokoju. Kilka minut później znajduję granatowe volvo Andrzeja zaparkowane pod blokiem. W ogóle na mnie nie patrzy. W uszach ma słuchawki. Bębni palcami w kierownicę. Siadam obok niego i chwytam go za przegub.

– Możemy jechać? – Wyjmuje słuchawkę z ucha.

– Powinieneś znaleźć jej dobrego psychologa. I nie powinieneś przejmować się tym, co mówi, bo to pewnie choroba.

– I tak się nie zgodzi, ale jasne, spróbuję.

Wracamy w milczeniu do domu. Obserwuję go, jak w jasnych džinsach, białym swetrze i na bosaka szykuje kolację w kuchni. Wciąż wydaje mi się, że tak mało o nim wiem. Ale po jego dzisiejszym wybuchu tylko jedno pytanie rozsadza mi umysł. Gdy nalewa mi wino, muskam jego dłoń.

– Muszę cię o coś zapytać. To ważne.

– Jasne. Pytaj. Przepraszam cię za tę awanturę u mojej matki. Mogłem ci oszczędzić szczegółów. Nie chcę, żebyś o tym myślała i litowała się nade mną.

– Tu nie chodzi o litość!

– No to słucham.

– Czy kiedykolwiek... Czy kiedykolwiek, gdy byłeś mały, gdy mieszkałeś jeszcze z matką, ktoś zrobił ci krzywdę...? Mam na myśli fizyczną... bicie i... nie tylko to...

Unosi głowę. Patrzy mi w oczy.

– Jej znajomi byli bardzo rozrywkowi. Często urządzali sobie zabawę moim kosztem, ale nie... nie dostałem nigdy w mordę ani w tyłek, nikt mnie nie gwałcił i nie molestował. Raz mnie jeden kopnął i spadłem z półpiętra. Bo nie chciałem go wpuścić do naszego mieszkania. Szarpnął drzwi, gdy je uchyliłem. Złapał mnie za szyję... wyciągnął na korytarz. I kopnął. Straciłem ząb. Na szczęście był

mleczny. Popychali mnie czasami. Ktoś raz mnie może szarpnąć... to tyle, jeżeli chodzi o przemoc.

Wstaję z krzesła i przytulam się do niego z całej siły.

– Poradzę sobie z tym... Tylko bądź ze mną. Bądź zawsze po mojej stronie.

– Jestem po twojej stronie. I zawsze będę.

KSENIA

24 STYCZANIA – BIELANY (WARSZAWA)

Jest niedziela i nie mam zamiaru wstawać z łóżka. Zakopana pod kocem, rozczochrana, z laptopem na kolanach sprawdzam prace moich uczniów. Wciąż myślę o Beacie. Wczoraj zadzwoniłam do jej matki i zostawiłam wiadomość. Zaniepokoiły mnie te kamienie. Gładkie, jakby oszlifowane przez morskie fale, z namalowanymi na nich znakami. Olgierd był pewien, że to runy. Drzwiczki szafki były wygięte. Łatwo było je otworzyć. Zabrałam jeden i leży na mojej szafce przy łóżku. Bardzo chciałabym porozmawiać z Wiolettą Sokolnicką i nagrywam się jej kolejny raz. Nie mam pojęcia, czy wie o związku córki z tym aktorem. Facet jest starszy od niej o ponad trzydzieści lat. Przekopałam cały internet i udało mi się znaleźć tylko dwa wywiady z nim w jakichś lokalnych gazetach.

Słyszę dzwonek do drzwi. Pukanie. Domyślam się, że pani Wanda wyszła. Często jej nie ma, co jest dość zaskakujące jak na osobę w jej wieku. Czasem bywa milcząca i mam wrażenie, że męczy ją moja obecność. A czasem rozgaduje się i żartuje. Śmiała się, gdy opowiedziałam jej, jak przeraził mnie paznokciec, który znalazłam w moim pokoju pierwszego dnia. Opowiadała mi, że poprzednia lokatorka miała fioła na punkcie tipsów. Jeden z nich musiał jej odpaść razem z kawałkiem paznokcia. Znowu słyhać dzwonek i pukanie. I jeszcze raz. Otwieram drzwi swojego pokoju opatulona kocem. Ta zima tak na mnie działa i te koszmarnie opady śniegu. Znowu dzwonek do drzwi. Ten, kto się tak dobija, jest absolutnie przekonany, że ktoś jest w środku. Nie spodziewam się żadnych gości i niewiele osób na razie wie, że wynajęłam tu pokój.

– Pani Wando?

Bałagan na stole. Jakieś zdjęcia, pożółkłe koperty i kalendarze. Znowu dzwonek. Zaglądam do kuchni. Nigdzie jej nie ma. Coraz bardziej zdenerwowana spoglądam przez wizjer. Za drzwiami stoi jakiś facet koło trzydziestki w beżowym płaszczu. Zakładam łańcuch i uchylam je na kilka centymetrów. Korytarz tonie w półmroku. Mężczyzna jest bardzo wysoki, ma jasne włosy, regularne rysy twarzy.

– Kim pani jest?

– To ja powinnam zapytać, kim pan jest. Przecież to pan zadzwonił do drzwi!

Robi krok do tyłu. Światło na klatce się zapala. Automatyczny czujnik działa. Jest tak przystojny, że czuję, jak gorący rumieniec zalewa mi policzki. Barczysty, zielone oczy, błękitne dżinsy.

– Przepraszam, że panią wystraszyłem. Nazywam się Andrzej Bielenda.

– Pan jest synem pani Wandy?

On też się uśmiecha. Ma piękne zęby. I jakieś ciepło w sobie, które trudno zdefiniować. Przypomina mi skandynawskiego aktora z serialu o wampirach. Uchylam drzwi. Zapraszam go do środka. Ogromnie żałuję, że się nie umalowałam i że nie umyłam włosów. Ale nie miałam pojęcia, że stanę oko w oko z takim przystojniakiem, który na dodatek jest niesamowicie elegancki.

– Mama wynajęła pani pokój?

– Tak. Mieszkam tu prawie od tygodnia. Pani Wandy nie ma. Nie mam pojęcia, kiedy wróci. Może jak pan do niej zadzwoni?

– Już dzwoniłem. Nie odbiera.

– To może pan zaczeka w jej pokoju? Napije się pan herbaty albo kawy?

Chcę, żeby był tu jak najdłużej. Nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje. Nigdy nie czułam czegoś takiego przy żadnym mężczyźnie, chociaż kilka razy naprawdę byłam zakochana.

– Nie chciałbym pani przeszkadzać. Nie mam pojęcia, o której mama wróci... A ona jest trochę nieprzewidywalna... – odzywa się do mnie Andrzej, uśmiechając się tak, że miękną mi kolana. – Czyli mama dała ogłoszenie, że szuka sublokatorki?

– Dokładnie tak. Bardzo się ucieszyłam, że wybrała właśnie mnie, bo cena wynajmu była

naprawdę atrakcyjna. Wiem, że już komuś wynajmowała ten pokój, ale na szczęście tamta dziewczyna się wyprowadziła.

– Czy wie pani, co się stało z jej poprzednią lokatorką?

– Nie rozumiem.

– Wystraszyłem panią? Przepraszam. Po prostu mama czasem zaskakuje mnie swoimi pomysłami.

– Naprawdę jestem uczciwą osobą! Pracuję jako nauczycielka angielskiego w liceum przystanek stąd... Ja naprawdę...

Zaczynam wpadać w panikę! Ten facet wygląda na troskliwego syna, który w dodatku ma pieniądze. Pewnie będzie chciał wybić z głowy matce wynajmowanie pokoju i znowu zostanie na lodzie!

– Niech pani się nie denerwuje. Czuję, że tym razem mama trafiła na uczciwą lokatorkę. Zwłaszcza że pani jest nauczycielką. Tak jak ona kiedyś.

– Nigdy pan nie poznał tej dziewczyny, która mieszkała tu przede mną?

Potrząsa głową.

– Czy ona zabrała też klucze? Zniknęła bez płacenia? Jak się nazywa?

Andrzej wyjmuje dzwoniący telefon. Sprawdza coś i wycisza go po chwili.

– Pracowałem dwa lata poza Warszawą. Na Mazurach... no cóż... z mamą z pewnych względów mam raczej rzadki kontakt. Ale wróciłem i próbuję naprawić nasze relacje, chociaż nie jest łatwo. Ta dziewczyna podobno zostawiła jej na stole w kuchni swoją parę kluczy, łącznie z tymi do skrzynki i do piwnicy.

– Miała dostęp do piwnicy? Szczęściara. Bo pani Wanda nie dała mi klucza do piwnicy, a pytałam, bo chciałam tam trzymać rower. Na razie jest u mojej koleżanki.

Spoglądam na jego barczyste ramiona. Ubrany w kremowy sweter, starannie ogolony, jest tak niesamowicie pociągający, że czuję, jak fala gorąca rozplywa mi się między nogami. Otulona kocem, w dresie, bez makijażu jestem na pewno dla niego zupełnie przezroczysta.

– Czy myśli pani...? – Andrzej zastanawia się przez moment. – Może ta dziewczyna trzymała tam część swoich rzeczy?

– W tej piwnicy? Powinien pan zapytać mamę. My naprawdę rzadko rozmawiamy. Pani Wanda jest bardzo skryta. Opowiadała mi tylko o kocie... który zdechł niedawno.

– Gdzie jest ten klucz?

W kuchni zachowuje się jak u siebie. Przegląda szafki. Otwiera szuflady. Dostrzegam mały kluczyk zawieszony na kołku przytwierdzonym do boazerii.

– Może to ten?

Natychmiast po niego sięga. Po chwili wkłada kurtkę w przedpokoju.

– Chce pani ze mną zejść? Mogę namówić mamę, żeby mogła pani przechowywać tam swój rower. Ale musi pani rzucić okiem, czy się zmieści. Zapewne są tam jakieś słoiki, pudła... Zresztą, nie mam pojęcia... Byłem w tej piwnicy chyba z trzy lata temu. Chce pani pójść ze mną?

Czuję, że cokolwiek mi zaproponuje, to natychmiast się zgodzę. Gdy zakładam kozaki i kurtkę z kapturem, obserwuje mnie w milczeniu. Otwiera przede mną drzwi wejściowe. Nie mam pojęcia, dlaczego zaczynam się bać.

MAKS

30 MAJA – BIELANY (WARSZAWA)

Ostatnio moje życie to czekanie. Czekanie, które powoduje, że trzęsę się w środku, nie mogę się skupić, a obsesyjne myśli rozsadzają mi czaszkę. Trzecią godzinę siedzimy na korytarzu bielańskiego komisariatu, aż przyjedzie ktoś ważny i z nami porozmawia. Daria ściska moją spoconą dłoń i już nie pyta, gdzie spędziłem popołudnie, dlaczego wyłączyłem telefon i zapomniałem odebrać dzieci z zajęć. Opieram głowę o ścianę i przymykam oczy. Na lnianych spodniach mam ślady własnej spermy. Zeszmacam się. Coś mnie opętało. Zamiast myśleć o martwym ojcu, myślę o Alinie.

– Zapraszam państwa na drugie piętro. Pokój numer siedemnaście. – Aspirant Warda pochyła się nad nami.

Dlaczego robią takie ceregiele? Stary człowiek umarł. Miał prawie dziewięćdziesiąt lat. I tak miał szczęście, że żył długo i był w miarę sprawny.

– Proszę usiąść. – Jakiś potężny facet w mundurze wskazuje nam krzesła.

Przedstawia się i podaje swój stopień, ale natychmiast zapominam, co mówi. W jego gabinecie jest klimatyzacja. Częstoje nas wodą.

– Niestety, mam dla pana bardzo złą wiadomość, która oczywiście poprowadzi śledztwo w sprawie śmierci pana ojca i w sprawie zaginięcia Wandy Bielendy na zupełnie inne tory.

– Nie rozumiem?

– Mamy już wyniki sekcji zwłok Jakuba Hoffmana. – Mężczyzna spogląda w ekran swojego komputera. – Bezpośrednią przyczyną śmierci było podanie mu w formie wlewu dożylnego substancji o nazwie pankuronium. To środek powodujący zwiótczenie mięśni. Dostał potężną dawkę, która spowodowała paraliż i zatrzymanie akcji oddechowej w ciągu trzydziestu sekund.

– Pan pomylił wyniki sekcji zwłok z wynikami innej osoby!

– Niestety, nie.

– Ojciec umierał sam! Drzwi do jego mieszkania były zamknięte na zasuwę! Jakim cudem miałyby to sobie podać?! Wlew dożylny?! I co, znaleźliście tam kroplówkę i wenflon?!

– Nie. Natomiast w raporcie z sekcji zwłok opisane jest miejsce na jego ciele, wkłucie dożylnie, żyła lewej dłoni, dość duże zasinienie i ślad po igle.

– Może był w przychodni, dostał jakiś lek? Wrócił do domu i stracił przytomność? Nie mogło tak być?

– Nie mogło tak być, ponieważ ilość substancji, którą mu wstrzyknięto, działa w ciągu trzydziestu sekund. Poza tym znaleźliśmy na jego ciele ślady świadczące o tym, że pana ojciec się bronił.

– Bronił przed kim?!

– Zdarta skóra w okolicach ust, na brodzie... być może ktoś zakleił mu usta taśmą, żeby nie krzyczał. A po wszystkim zerwał tę taśmę. Oprócz tego zadrapania na przegubach rąk zasinienia. Doszło do szarpaniny. Bronił się, chociaż na pewno osoba, która zadała mu śmierć, była od niego silniejsza.

– Boże... – Daria zaczyna płakać.

– Czyli pan mi teraz sugeruje, że mój ojciec został zamordowany we własnym mieszkaniu?! Przez osobę, która zna się na medycynie i zapewne ojciec ją znał, bo nie było śladów włamania?

– Tak właśnie podejrzewamy. Rozmawialiśmy z administratorem budynku, mając nadzieję, że łatwo namierzemy mordercę pana ojca. Ale kamery są tylko przy wejściu do budynku.

– Pan doskonale wie, że jedyną osobą, która miała klucze do mieszkania mojego ojca, była Wanda Bielenda, która zniknęła! Gdzie ona jest?! Przecież możecie namierzyć jej telefon!

– Tak zrobiliśmy.

W grubych szklach jego okularów odbija się słońce atakujące świeżo wyczyszczone okienne szyby. Mam wrażenie, że się duszę, że śnieżnobiałe ściany przysuwają się do mnie i zabierają powietrze.

– Czy może pan otworzyć okno?

– Mogę podkręcić klimę.

– Maks... chcesz jeszcze wody? – Daria przysuwa mi szklanke.

– Nie wierzę, że ona mogła to zrobić. Ma prawie siedemdziesiąt lat. Sam pan powiedział, że... to był ktoś silny, kto...

– Pana ojciec w chwili śmierci miał metr siedemdziesiąt osiem wzrostu i ważył osiemdziesiąt dwa kilogramy. Skontaktowaliśmy się z jego lekarzem prowadzącym z miejscowej przychodni. Pan Jakub miał problemy z ciśnieniem i od lat brał na to leki. Oprócz tego lekkie zaburzenia krążenia w nogach, niewielkie zwyrodnienie kręgosłupa. Jak na człowieka, który skończył w tym roku osiemdziesiąt siedem lat, to naprawdę niezbyt poważne dolegliwości. To właśnie nas zaniepokoiło. Stąd ta sekcja. Jeżeli chodzi o kobietę, która miała się nim opiekować, to wczoraj znaleziono jej telefon. Spróbowaliśmy odtworzyć jej ostatnie połączenia, ale to już jest tajemnicą śledztwa.

– Macie jej telefon, a gdzie ona jest, do kurwy nędzy?!

– Nie mogę zdradzać szczegółów śledztwa. W każdym razie Wanda Bielenda ma status osoby zaginionej.

– Może ta kobieta widziała mordercę i jest przerażona? Dlatego się ukrywa? – Daria przerywa mi nagle i patrzę na nią osłupiały.

– Przestań jej bronić, do jasnej cholery!

– Nie bronię jej. Głośno myślę.

– Nie możemy państwu zdradzać wszystkich szczegółów śledztwa. Potwierdził nam pan, że z mieszkania pana ojca nic nie zginęło. Tak więc nie był to napad rabunkowy. Czy pana ojciec miał wrogów? Coś go ostatnio niepokoiło? Na coś albo na kogoś się skarżył?

Próbuję przypomnieć sobie ostatnie tygodnie i moje rzadkie wizyty. Cieszyłem się, że jego sąsiadka przejęła opiekę i nie musiałem o nim myśleć.

– Miał pan dobry kontakt z ojcem?

– W miarę dobry. Nie sądzę, żeby miał wrogów. A jego znajomi prawie wszyscy zmarli. Chyba ze trzy lata temu zmarł jego najlepszy przyjaciel. Lucjan Nowicki. Także mieszkał na Żoliborzu. Poznali się jeszcze w Janiszewie.

– Gdzie?

– To mała nadmorska miejscowość. Koło Łeby. Ojciec pracował tam jako lekarz. Urodził się w Kołobrzegu.

– Rozumiem. Pan też stamtąd pochodzi?

– Dlaczego pan o mnie pyta? Niech pan, do cholery, zapyta Andrzeja Bielendę, gdzie, do kurwy nędzy, jest jego matka?!

– Maks... nie krzycz... usiądź... – słyszę zaniepokojony głos Darii, ale jej sylwetka się rozmazuje.

Przez moment moja żona ma podwójną twarz, rozciągnięte do sufitu czoło, szminkę aż na brodzie. Próbuję rozpiąć koszulę. Coś jest nie tak! Wszystko wybrzusza się i wiruje. Zaczynam z trudem łapać powietrze.

IGA

3 LUTEGO – ŚRÓDMIEŚCIE (WARSZAWA)

Śnieg się roztopił. Brudna breja spływa szarymi strumieniami po chodnikach. Ale pogoda nie przygnębia mnie jak zawsze, bo czuję, że nareszcie w moim życiu zawodowym coś się dzieje. Ostatnio piszę dużo wierszy wieczorami, gdy Andrzej zamknięty w gabinecie prowadzi biznesowe rozmowy w trzech językach. To dzięki niemu stałam się bardziej ambitna. Wcześniej życie przepływało mi przez palce, bo miałam tylko jeden cel. Chciałam odnaleźć córkę, którą mi zabrano, gdy byłam nastolatką. Pieniądze pojawiały się i znikwały. Podobnie jak mężczyźni w moim życiu. I tak samo jak choroba, którą zdiagnozowano u mnie dwa lata po stracie mojej córeczki. Nie mam już myśli samobójczych. Nie mam wahań nastrojów. Bo ją znalazłam! Jest znów w moim życiu. Już właściwie dorosła kobieta, która zachowuje się chwilami jak mała dziewczynka. Zdumiewa mnie więź, która nas łączy, chociaż przecież dopiero się poznajemy. Często wpada do naszego mieszkania, Andrzej zachowuje się wtedy rewelacyjnie. Po wspólnej kolacji po prostu znika w gabinecie, a my gadamy w sypialni, czasem do drugiej nad ranem. Kilka razy zdarzyło się, że usnęła z głową na moich kolanach, ufna, bezpieczna i szczęśliwa. Nigdy wcześniej nie czułam tak bezgranicznej miłości i takiego wzruszenia.

Teraz uśmiecham się do siebie, gdy próbuję omijać brudne kałuże. Wszędzie walentynkowe dekoracje, zalew kiczu, serduszek, róż plastikowych, papierowych, gumowych, pierników w kształcie serc. Poprawiam kapelusz, bojąc się, że zerwie go wiatr. Jak na skrzydłach biegnę na spotkanie z moim wydawcą. Podpisałam umowę z Piotrem Rajmerem, którą Andrzej oczywiście dokładnie przeanalizował. Okazało się, że ma sporą wiedzę prawniczą, bo na studiach miał wykłady z prawa autorskiego. Zwrócił mi uwagę na kilka zapisów, ale Rajmer okazał się skłonny do negocjacji. Oboje wiemy, że poezja to nie jest coś, co się dobrze sprzedaje w dzisiejszych czasach. Jednocześnie tak bardzo chcę mieć coś swojego, co daje mi i artystyczną satysfakcję, i pieniądze, i tym czymś może być przecież moja twórczość. Nie chcę być wciąż na utrzymaniu Andrzeja. Chcę pomóc finansowo mojej córce,

bo zamierza za pół roku zdawać na studia. Na razie zaczęłam opłacać jej konsultacje u znanego profesora historii sztuki. Oczywiście na początku był oszołomiony jej ignorancją. Ale moja córka ma taki urok osobisty, że owinęła go sobie wokół małego palca.

– Tym razem to ty się spóźniłaś. – Piotr mruga do mnie, gdy zdyszana wpadam do małej kawiarni na Chmielnej, w której umówiliśmy się na rozmowę w sprawie promocji tomiku moich wierszy.

Szarmancko pomaga mi zdjąć płaszcz. W kawiarni jest duszno, ale przytulnie. Ciemne, drewniane meble, ogromne okna wychodzące na odremontowane podwórko. Przepięknie odnowiona kamienica. Założyłam obcisłą szarą sukienkę. Bardzo podkreśla mój duży biust i dość szerokie biodra. Do tego duże kolczyki w stylu boho, delikatny makijaż. Odkąd jestem z Andrzejem, nie zwracam specjalnej uwagi na spojrzenia mężczyzn. Niech się gapią. Komplementy nie robią już na mnie wrażenia.

– Mam rewelacyjną wiadomość i chciałem opowiedzieć ci o tym osobiście. – Rajmer uśmiecha się tajemniczo, bawiąc się łyżeczką do kawy. – Rozesłałem twoje wiersze znajomym, zwłaszcza tym z kręgów teatralnych. I udało się!

– Co się udało?

– Premiera tomika wierszy połączona z wieczorem poetyckim! Mam już reżysera i miejsce! Trwają rozmowy z jednym z aktorów.

– Wkręcasz mnie!

– To nie żart! Wiem, że to brzmi jak bajka, bo to twój debiut. Ale wierz mi... twoja poezja jest tak zmysłowa, że uwodzi wszystkich.

– Gdzie odbędzie się premiera?

– Zaraz podam ci szczegóły. Chciałbym, żebyś ty także wzięła w tym udział. Wiem, wiem, nie jesteś aktorką, ale masz charyzmę. Przemyśl to! Wystąpisz z profesjonalnymi aktorami. Jednym z nich jest Oskar Fijał. Na pewno go kojarzysz. Koło pięćdziesiątki, grywa w serialach. Ma ciepły, głęboki głos. Z drugim trwają rozmowy i są dość trudne, bo to gwiazdor. A właściwie wydaje mu się, że już jest gwiazdorem, chociaż na pewno ma zadatki.

– Czyli kto?

– Daniel Wierzbicki. To ten młodszy. – Pokazuje mi jego zdjęcie w telefonie.

Bardzo chudy brunet koło trzydziestki, włosy zaczesane do tyłu, długi nos. Na czarno-białej fotce ma na sobie tylko dzinsy, uniesione ramiona, wygolone włosy pod pachami. Spodnie opadają mu tak nisko, że odsłaniają nie tylko zapadnięty brzuch, ale też podbrzusze.

– On ma recytować moje wiersze?! Nie wygląda na amatora poezji! Szczerze mówiąc, na pierwszy rzut oka to narcyz.

– Masz rację. Napisałem do niego i odesłał mnie do agentki. Wysłałem jej twoje wiersze i jest zachwycona. Spróbuje go przekonać, bo jej zdaniem to będzie wydarzenie medialne.

– To znaczy?

– Daniel Wierzbicki pokaże się z trochę wrażliwszej strony, bo ostatnio ktoś mu zrobił zdjęcie na stacji metra, jak, no cóż... oddawał mocz na jedną z ławek i na nogawkę siedzącego na niej pasażera. To było koło północy. Ale ktoś go rozpoznał. Zrobił zdjęcie. Wysłał do gazet. Zwłaszcza że Wierzbicki po załatwieniu potrzeby fizjologicznej postanowił się zdrzemnąć na peronie.

– Czyli chła i ćpa. Jakiś celebryta idiota ma recytować moje wiersze?

– Iga... to dla nas szansa! O Wierzbickim mówią i piszą. Więc zaczną automatycznie mówić i pisać o tobie!

– W jakim kontekście zaczną mówić?! Wszyscy się domyślą, że to zagrywka pijarowska! Nikt nie uwierzy, że on kocha poezję! Podejrzewam, że jak wejdzie na scenę, to zacznie bełkotać do mikrofonu, no i zostanie gwiazdą wieczoru... i będą mówić tylko o nim.

– O tobie też będą mówić! Nawet jeżeli ten idiota znowu zaprezentuje podbrzusze albo odleje się na scenie. Wystarczy, że się pokażesz i wszyscy o nim zapomną!

– Chcę, żeby cały ten cyrk miał głębszy sens. Cały dochód z tego wieczoru poetyckiego powinien pójść na cel charytatywny. Możemy zrobić nawet licytację egzemplarzy z dedykacją czy kolacji ze mną.

– Ale to doskonały pomysł! Masz na oku jakąś fundację?

– Mam! Demeter. Fundacja dla kobiet, ofiar przemocy.

KSENIA

24 STYCZNIA – BIELANY (WARSZAWA)

Andrzej w ogóle nie zwraca uwagi na chłód wciskający się nam pod ubrania ani na to, że dwie żarówki zawieszzone w piwnicznym korytarzu rzucają sine światło na ceglane ściany.

– To chyba tu. – Zatrzymuje się przy zamkniętych na kłódkę drzwiach z namazanym czarną farbą numerem mieszkania jego matki.

– Pani Wanda nie będzie zła? Może powinniśmy na nią poczekać?

– Nie mam czasu. Chciałbym to sprawdzić jak najszybciej... – tłumaczy, otwierając kłódkę przy drzwiach. – A poza tym... Mama pewnie pani tego nie powiedziała, ale to ja jestem właścicielem tego mieszkania. Gdy była taka możliwość, to wziąłem kredyt i wykupiłem je od spółdzielni. Potem mama je zadłużyła, ale to już zupełnie inna historia.

Jestem już absolutnie pewna, że nie mam zamiaru wracać do tej piwnicy i na pewno nie będę trzymać tu roweru. Długi, ponury, brudny korytarz. Maleńkie, wąskie okna. Zastanawiam się, czy są tu szczury... W końcu Andrzejowi udaje się otworzyć drzwi. Oświetla wnętrze telefonem. Dostrzegam stare, drewniane sanki i kilka dużych słoików. I coś jeszcze. Ogromny, prawie dwumetrowy krzyż ze spróchniałego ciemnego drewna oparty o jedną ze ścian.

– Co to jest, do cholery? – Andrzej próbuje go przesunąć, brudząc sobie dłonie i kalecząc się w palec. – Kurwa! Przepraszam...

– Mam chusteczki! – Sprawdzam kieszenie kurtki. – To pewnie drzazga. Musi pan odkazić ranę. Chodźmy stąd! Na pewno nie będę korzystać z tej piwnicy... Wracajmy na górę!

Podaję mu chusteczki, którymi owija sobie krwawiącą dłoń. Próbuje nieporadnie lewą ręką zamknąć kłódkę, ale wyjmuję mu bez słowa klucz z dłoni i sama to robię. W windzie nie odzywamy się do siebie. W mieszkaniu pani Wandy błyskawicznie przekopuję szafki w łazience, żeby znaleźć plaster i coś do odkażenia. Słyszę, jak rozmawia z kimś przez telefon w jej pokoju. Gdy mnie widzi, błyskawicznie kończy rozmowę. Bez słowa obejmuję jego dłoń, oglądam głębokie zadrapanie. Przemycam ranę i nalepiam plaster.

– Dziękuję. Mówmy sobie na ty. Jestem Andrzej.

– Ksenia.

– Nie mam pojęcia, co robi ten krzyż w piwnicy, ale to pewnie kolejne dziwactwo mojej matki.

– Nie zauważyłam, żeby była specjalnie religijna...

Urywam, bo słyszymy dźwięk klucza w zamku. Pani Wanda zagląda do salonu. Sztuczne futro oprószone śniegiem, szara, wełniana czapka, zaparowane okulary. Patrzy na syna. Nie ma w jej oczach radości.

– Po co tu przyszedłeś? Przyszedłeś węszyć, gdy mnie nie ma?!

– Martwię się, mam! Dlaczego nie powiedziałaś mi...

– Co miałam ci powiedzieć? Miałam powiedzieć, co się naprawdę dzieje?!

Andrzej patrzy na nią osłupiały, podtrzymując swoją skaleczoną dłoń. Widzę, jak blednie, jak próbuje dotknąć jej ramienia, ale ta kobieta wrywa mu się i krzyczy.

– Puść mnie! Nie przychodź tu nigdy więcej! Nie chcę cię tu oglądać! – Odpycha go za całej siły i wybiega z pokoju.

Słyszymy ją teraz w kuchni. Otwiera i zamyka szafki. Już nie krzyczy, ale mówi do siebie.

– Mam...!

Serce mi pęka, bo on już tam idzie i stara się mówić do niej łagodnie, spokojnie. Chociaż przecież ta kobieta najwyraźniej oszalała! Zaczynam wpadać w panikę. Jeżeli zacznie się jej pogarszać, będę musiała szukać znowu stancji! Z trudem hamuję łzy. Zamykam się w swoim pokoju. Cały czas nasłuchuję. Nie rozróżniam słów. Potem słyszę jej szloch. Może dał jej jakieś leki? Dlaczego nie powiedział mi, że jest chora?! Po dwudziestu minutach słyszę ciche pukanie.

– Proszę! – odzywam się ze ściśniętym gardłem.

Andrzej uchyla drzwi.

– Przepraszam, że musiałaś być tego świadkiem. Mama czuje się lepiej. Gdybyś jednak chciała się wyprowadzić, to oczywiście zrozumieć.

– Na razie nie mam się gdzie wyprowadzić. Czy ona...?

– To starość. Nic więcej. Mama nie jest groźna. Bardzo cię lubi... i ja jestem, szczerze mówiąc, spokojniejszy, gdy ktoś taki jak ty z nią mieszka.

– Ale...

– W związku z tym mam pewną propozycję. – Siada na krześle na wprost mojej kanapy i przeczesuje włosy palcami. – Nie będziesz musiała płacić ani grosza za pokój. To znaczy, jak ustaliłaś to z mamą, będziesz jej przelewać pieniądze na konto, ale natychmiast ci je zwrócę. W zamian za drobną przysługę.

– Jaką?

– Chciałbym, żebyś dzwoniła do mnie co jakiś czas i mówiła mi, co się z nią dzieje. Zwłaszcza czy ktoś ją odwiedza i co to za ludzie? Ona w ogóle nie chce ze mną rozmawiać.

– Jak tu mieszkam to chyba trzy razy wieczorem miała gości. Para w średnim wieku. Słyszałam tylko ich głosy, bo kładłam się już spać. Bardzo się kłócili, ale ja po prostu kupiłam sobie stopery do uszu, więc szybko zasnęłam.

– W takim razie chciałbym, żebyś teraz starała się jednak usłyszeć, o czym rozmawiają... jej goście.

Jego oczy przeszywają mnie na wylot. Jestem pewna, że jego spokój jest udawany.

– Dlaczego nie wynajmiesz jej po prostu profesjonalnej opiekunki? – pytam szeptem, bo z przedpokoju dochodzi jakiś hałas.

– Dlatego, że się nie zgadza. I być może ma rację. Jest w świetnej formie fizycznej jak na jej wiek, ale chciałbym mieć pewność, że ludzie, z którymi... którzy ją otaczają... nie są... Niech ta rozmowa zostanie między nami, dobrze?

Wyjmuje portfel z kieszeni dżinsów. Chcę protestować, bo przez moment wydaje mi się, że chce mi zapłacić. On jednak tylko kładzie wizytówkę na moim biurku.

– Tu jest mój numer telefonu. Prześlij mi w esemesie swój numer konta. Oczywiście jeżeli pomożesz mojej mamie w zakupach czy sprzątnięciu, to będzie mi bardzo miło. Ale przede wszystkim chcę wiedzieć, z jakimi ludźmi ma kontakt. Kto jej tak miesza w głowie, kto ją odwiedza i po co. Gdybyś się z nią zaprzyjaźniła, byłoby jeszcze łatwiej... i lepiej.

– Rozumiem.

Spogląda na mnie z wdzięcznością. Chciałbym, żeby teraz usiadł na kanapie tuż obok i mnie pocałował. Jego propozycja wcale nie wydaje mi się dziwna. Martwi się o matkę, która traktuje go okropnie.

– Dziękuję. Bardzo mi pomagasz. I dziękuję za opatrunek. Będziemy w kontakcie. Spróbuję odnaleźć tę jej poprzednią lokatorkę... i jeszcze... Nie mów jej, że zajrzeliśmy do piwnicy, dobrze?

– Jasne.

Gdy wychodzi, sięgam natychmiast po wizytówkę, którą mi zostawił. Pachnie jego wodą toaletową. Widnieje na niej tylko jego nazwisko i numer telefonu. Odkładam ją na parapet. Zamykam oczy. Wsuwam dłoń pod koc, pomiędzy nogi. Zapominam o swojej samotności, o kompleksach, o wszystkim, co mnie dręczy. Jednym palcem wyczarowuję rozkosz, którą on mógłby mi dać. Przecież mnie potrzebuje. W końcu ktoś mnie potrzebuje. Nareszcie!

MAKS

2 CZERWCA – ŚRÓDMIEŚCIE (WARSZAWA)

Za trzy dni pogrzeb mojego ojca. Daria załatwiła wszystkie formalności. Nie miałem siły wybierać trumny. Noc jest dla mnie udęką. Wyrzuty sumienia wpełzają do serca i umysłu jak kłające węże. Mój ojciec został zamordowany, gdy opalałem się na plaży na Kanarach. Zdradziłem żonę, gdy ona próbowała być wspierająca i czuła. Owszem, szósty zmysł mówi mi, że ona także kogoś ma, ale gdzieś to w sobie zakopałem. I jestem tylko ja. I ból. Codziennie piję. Niewiele, ale to uniemożliwia

prowadzenie samochodu. Jestem na urlopie. Wiadomość, że zamordowano mi ojca, rozeszła się lotem błyskawicy. Znajomi piszą i telefonują. Nie odpowiadam. Czekam tylko na jeden telefon. Od Aliny. Ale mimo że nagrałem się jej kilkanaście razy i napisałem na czacie, ona milczy. Postanawiam coś zrobić. Nie być frajerem, który tylko pograża się w bólu. Półprzytomny z niewyspania, w wygniecionych ciuchach i na lekkim rauszu wyszukuję w internecie agencję detektywistyczną. Pierwsza, która mi wyskakuje, to agencja Kormoran. Skoro mają biuro w centrum Warszawy, to mają kasę. Jeżeli mają kasę, to mają wielu klientów. Skoro mają wielu klientów, to są skuteczni. Niewiele się zastanawiając, zamawiam taksówkę i tam jadę.

Przyjmuje mnie zupełnie niepozorny facet, łysy jak kolano, w okularach. Nigdy nie zwróciłbym na niego uwagi. A może w tej branży właśnie o to chodzi. Rozsiadam się na wprost jego biurka. Częstojuje mnie kawą, ale odmawiam. Wypiłem już cztery plus dwa piwa. Jest dopiero południe.

– Właśnie dowiedziałem się od policji, że mój ojciec został zamordowany. We własnym mieszkaniu, we własnym łóżku, w nocy. Osiemdziesiąt siedem lat. Pan rozumie?!

– Proszę mówić dalej. Jak zginął? Policja kogoś podejrzewa?

– Zginął w potworny sposób... Wlew dożylny pankuronium. Końska dawka. Nie znaleźli żadnych śladów mordercy. Przynajmniej tak mi mówią. Ktoś potem zamknął drzwi od wewnątrz. Nie wiem, jak się wydostał. Ojciec próbował walczyć, są ślady na ciele...

– Które piętro?

– Trzecie.

– Jakież inne możliwości wejścia do mieszkania? Rusztowanie?

– Nie... ale... – Doznaję nagle olśnienia. – Balkon! Balkon ojca sąsiaduje z balkonem jego sąsiadki, której płaciłem za opiekę! Ta kobieta zniknęła! Rozmawiałem z nią przez telefon dwa dni przed powrotem do Polski! I zapewniała mnie, że z ojcem wszystko jest w porządku!

– Pana ojciec już wtedy nie żył?

– Zaraz, niech pomyślę... to w ogóle dziwne, że policja mnie o to nie zapytała, tylko pan!

– Policja zwykle podejrzewa członków najbliższej rodziny, gdy zostaje zamordowany starszy człowiek. Często chodzi o spadek. Pan jest jedynym spadkobiercą?

– Chyba tak. Ale ojciec nie był szaleńczo bogaty. A ja mam pieniądze. Sporo zarabiam, moja żona także.

– Wróćmy do mojego pytania. Czy ta kobieta pana okłamała i twierdziła, że pana ojciec żyje i ma się dobrze, gdy już leżał martwy w mieszkaniu?

– Wydaje mi się, że jednak nie. Data zgonu to prawdopodobnie noc z osiemnastego na dziewiętnastego maja. Rozmawiałem z nią siedemnastego maja koło południa... Zresztą policja znalazła jej telefon, ale nie chcieli mi powiedzieć, gdzie i w jakich okolicznościach.

– Czyli można założyć, że ona także nie żyje? Rozmawiał pan z kimś z jej rodziny? Mają jakieś podejrzenia? Szukają jej?

– Ona chyba ma tylko syna. I co ciekawe, nigdy mi o nim nie wspomniała. Myślałem, że jej syn... no wie pan... jakiś degenerat, który olewa starą matkę. Tymczasem dowiedziałem się, że siedzi w biznesie hotelarskim od lat, ma pieniądze. Wynajął adwokata. Pewnie też jej szuka.

Nie mówię mu, że wszedłem do mieszkania Wandy Bielendy i uratowałem Alinę. Uważam to za nieistotny szczegół. Chcę tylko wiedzieć, kim jest skurwysyn, który w tak okrutny sposób zamordował mojego ojca!

– Ojciec nie miał wrogów. To emerytowany lekarz. Z mieszkania nic nie zginęło.

– Czyli wygląda to jak zemsta.

– Zemsta? Za co?! Ojciec nigdy nikomu nie zrobił nic złego! Przecież mówię, że był lekarzem! Nawet ordynatorem przez kilka lat, w szpitalu w Białogórze.

– Jaka specjalizacja?

– Psychiatria.

– Były pacjent? Pacjentka?

– Niemożliwe! Ojciec dwadzieścia lat temu przeszedł na emeryturę. Pacjenci chyba go lubili. Przynajmniej tak mówił, ale to było lata temu.

– Jaki miał pan kontakt z ojcem? Znał pan jego znajomych, przyjaciół?
– Poznałem tylko jednego. Bywał często u ojca. Także lekarz. Poznali się jeszcze w Janiszewie.
– Gdzie?
– Taka nadmorska miejscowość. Tam się urodziłem, ale ojciec szybko... Z tego, co mówiła mama, zaczął ją zdradzać. Tak więc jak miałem piętnaście lat, to się rozwiedli, i mama zabrała mnie do Pruszkowa, do dziadków.

– Pana ojciec także wyjechał z Janiszewa?
– Pewnie nie miał możliwości rozwijania kariery, to wyjechał. W Warszawie poznał drugą żonę. Nie mieli dzieci. I też był rozwód, ale rozstali się w zgodzie.

– Ma pan z nią kontakt? Wie, że pana ojciec nie żyje?
Olśniewa mnie dopiero teraz, że powinienem ją zawiadomić! Ale nie mam do niej numeru telefonu. I chyba nigdy nie miałem.

– Anna Komornicka. Nie wiem, czy pan ją znajdzie. Pracowała jako pielęgniarka w tym samym szpitalu co ojciec... psychiatryczny w Białoleńcu. Młodsza od niego o jakieś dwadzieścia lat. Zawsze lubił młodsze kobiety.

– Zaczniemy od niej i od jego znajomych. Chciałbym mieć także dostęp do korespondencji mailowej pana ojca, jeżeli taką posiadał. Jeżeli nie zna pan hasła, wystarczy mi adres mailowy.

Drżącymi palcami zapisuję mu adres na kartce. Domyślam się, że nie wszystkie jego metody są legalne, ale nic mnie to nie obchodzi. Wypełniam jeszcze jakieś ankiety i podpisuję wymagane zgody. Gdy widzę kwotę zaliczki, zaczynam się pocić, ale wyjmuję kartę kredytową.

– Była żona pana ojca pracowała jako pielęgniarka, a mamy tu śmierć przez wlew dożylny. Dziwny zbieg okoliczności. Jednocześnie to starsza kobieta. I jak pan twierdzi, rozstali się w zgodzie. Myślę, że testament odpowie nam na kilka pytań.

– Jeżeli się o niej wyrażał, to bardzo złośliwie. Ale o mojej matce także... już taki był...

– Ta, która się nim opiekowała przed śmiercią, nie skarżyła się? Nie zauważył pan nic dziwnego, nic niepokojącego?

Próbuję przypomnieć sobie ostatnie tygodnie. Jak Wanda Bielenda krzątała się po mieszkaniu taty, jak wkładała konwalie do małych wazoników, myła maliny i podsuwała mu na spodku. A on milczał. Zapadał się w sobie. Nie chciał, żebym tam się zjawiał, gdy ona miała wpaść. Uważałem, że to starość. Lekceważyłem to. A teraz zastanawiam się, czy się nie bał? Czy nie zaczął przeczuwać, że zginie zamordowany w tak okrutny sposób? Tuż przed wyjazdem na Kanary wpadłem na moment z niewielkimi zakupami. Był sam. Siedział na fotelu, wpatrzony w balkon, na którym gruchały gołębie. Znowu rzucił im zeschniętą kromkę chleba, chociaż prosiłem, żeby tego nie robił. Bo wracały na jego balkon i srały.

– Nie idź jeszcze, synu.

Moją odpowiedzią był monolog o pakowaniu się przed urlopem i o tym, jak bardzo jestem zajęty.

– Jestem złym człowiekiem, i to wróci.

– Bzdura, tato! Jesteś dobry.

– Zło wróci. Zawsze wraca.

To były jego ostatnie słowa, które usłyszałem. Gdy zgrzytnął klucz w zamku, wiedziałem, że to pani Wanda. I poczułem ulgę. Poklepałem go po ramieniu i wyszedłem. Błyskawicznie wypierając z pamięci jego słowa.

IGA

10 LUTEGO – ŚRÓDMIEŚCIE (WARSZAWA)

Olga wierci się na obitym wytartym pluszem niewygodnym krześle w kawiarnianej sieciówce w centrum i sypie do filiżanki ogromne ilości cukru. Wydaje mi się, że tej zimy moja siostra jeszcze bardziej schudła i przybyło jej zmarszczek.

– Wiem, jak wyglądam. – Macha ręką. – Zwłaszcza przy tobie. Więc mi tu nie gadaj, że powinnam o siebie dbać. Jestem w szale tworzenia. To pierwszy tom, tym razem coś dla starszych

dzieciaków. Fantasy. Strasznie mnie wciągnęło. Gdy piszę, jestem jak na haju. Nic więcej mnie nie obchodzi.

Moja siostra od lat pisze książki dla dzieci. Przeczytałam wszystkie i uważam, że ma wielki talent.

– Wiem, co teraz powiesz. – Zakłada nogę na nogę. – Dlaczego nie piszę dla dorosłych? Może za jakiś czas spróbuję. U mnie to wszystko idzie wolniej niż u ciebie. Ty błyskawicznie znalazłaś wydawcę, a teraz jeszcze to przedstawienie.

– Wieczór poetycki. Zazdrościsz mi?

– Jasne, że tak! I chyba nikt tak ci nie kibicuje jak ja! O przepraszam... zapomniałam o Andrzeju! A co nasz przystojniak na to, że jego ukochana wystąpi na scenie z dwoma aktorami? W tym jeden to prawdziwa gwiazda.

– Celebryta. Nie gwiazda. Zagrał w jednym serialu. Andrzej uważa, że to świetny pomysł na promocję, a na tym się zna.

– Nie jest już zazdrosny?

– Pracuje nad sobą.

Nie mówię jej, że ostatnio wydaje mi się myślami bardzo daleko. Gdy go pytam, czy wszystko w porządku, zawsze potakuje. Znika na wiele godzin, bo trwają jakieś negocjacje pomiędzy firmami, ale obiecał, że niedługo zdradzi mi wszystko. W co zamierza zainwestować i co tak zaprzęta jego myśli.

Po rozmowie z Olgą biegnę na pierwszą próbę. Prywatny teatr w dawnej sali kinowej mieści się na wprost Pałacu Kultury. Ogromnie się denerwuję, ale staram się maskować emocje. Piotr już na mnie czeka. Z różą w ręku, z zaczerwienionymi policzkami, elegancki w staromodnym stylu.

– Reżyser zaraz dojedzie. Napisał mi, że stoi w korku. Oskar już jest... a Wierzbicki...

– Zrezygnował?

– Jeszcze go nie ma. Podejrzewam, że będzie się spóźniał, więc musimy zacisnąć zęby i to wytrzymać. Ale dzięki niemu mamy już pierwszą wzmiankę o naszym przedstawieniu.

Piotr pokazuje mi coś w telefonie. Portal plotkarski. Zdjęcie Daniela Wierzbickiego rozpartego tylko w dżinsach na czerwonej kanapie.

– To jest miniwywiad. Pada w nim twoje nazwisko, co mnie bardzo cieszy.

– *Wiersze Igi Bernard są zajefajne, dlatego wszedłem w to od razu...* – czytam na głos. – Zapytali go w tym wywiadzie, dlaczego odlał się w metrze na oczach kilkunastu osób?

– Nie zapytali. Ratuje swój wizerunek. Zwłaszcza że jak sikał, to zniszczył jakiemuś facetowi spodnie. I pojawiły się pytania, pod wpływem jakich substancji był?

Piotr urywa. W ciasnym teatralnym korytarzu ozdobionym oprawionymi plakatami z przedstawień czuć lodowaty podmuch. Ktoś właśnie otworzył oszklone drzwi wejściowe. Od razu go poznaję. Bardzo wysoki, chudy, nieogolony, puchowa kurtka, fioletowa śmieszna czapka. Daniel Wierzbicki lustruje mnie od stóp do głów.

– Niezły kapelusz.

– Jestem Iga.

– Wiem. Poznaję. Niezła laska z ciebie... Iga.

– Mało oryginalne, ale dzięki. Zaczynamy?

– Jeszcze nie ma reżysera... – Piotr nerwowo spogląda na telefon. – Ale chodźmy na salę. Poznasz Oskara.

Ogarnia mnie trudne do sprecyzowania przecucie, że mój wieczór poetycki może się okazać porażką. Przecież nie mam zielonego pojęcia, jak recytować wiersze, jak prezentować się publicznie! A reżyser tego widowiska chyba traktuje cały ten cyrk jak chałturę. Nie wspomnę już o Wierzbickim, który z telefonem w ręku rozsiada się w pierwszym rzędzie, pólżąc na jednym z siedzeń i kompletnie nas ignorując. Jedyne Oskar Fijał wydaje się sympatyczny i najbardziej zaangażowany. Wysoki, łysiejący, barczysty, ubrany w drogi sweter i dżinsy pokazuje mi podkreślone linijki w tekście scenariusza. Zadaje mnóstwo pytań, ma sporo ciekawych pomysłów. W końcu zjawia się spóźniony reżyser, dobiegający sześćdziesiątki brodaty grubas, i możemy zaczynać. Okazuje się, że są problemy ze światłem, z nagłośnieniem. Mój głos drży, gdy mówię do mikrofonu. Mam wrażenie, że niektóre

uwagi Wierzbickiego brzmią kpiąco. To typ zarozumiałego skurwiela, który traktuje protekcyjnie atrakcyjne kobiety. Marzę o przerwie, o tym, żeby znów napić się kawy i zadzwonić do Andrzeja. Żeby mu się poskarżyć, że wmanewrowano mnie w jakąś dziwną sytuację, która na pewno zakończy się porażką. Bardzo zależy mi na licytacji po spektaklu, ale czy ktoś w ogóle weźmie w tym udział? Czy kogoś obchodzi fundacja dla kobiet ofiar przemocy, która pilnie potrzebuje środków finansowych, bo wymówiono jej lokal?

– Iga! Teraz ty! Nie śpij, do chuja jasnego, bo tracimy cenny czas! – słyszę głos reżysera i reflektor świeci prosto na mnie.

Nie jestem przyzwyczajona do tak ostrego światła. Prawie nic nie widzę. Próbuję recytować jeden z moich wierszy, który znam na pamięć, ale urywam. Ktoś wchodzi na pustą salę teatralną. Drzwi skrzypią głośno, a obcasy tej dziewczyny stukają tak mocno, że wpatruję się w jej sylwetkę jak zahipnotyzowana. Piotr, siedzący samotnie w pierwszym rzędzie, także unosi się zaskoczony.

– Co pani tu robi?! Mamy próbę! Kim pani jest?! Pani nam przeszkadza...

Dziewczyna jest bardzo wysoka. Koński ogon, kiepska cera, puchowy płaszcz z kapturem obszytym futrem. W ogóle nie reaguje na uwagi Piotra. Wchodzi po drewnianych schodkach z boku sceny. Idzie w naszym kierunku. Jej oczy są zimne, bez wyrazu. Zaczynam się zastanawiać, czy nie jest fanką Wierzbickiego, bo on także wpatruje się w nią osłupiały.

– Co pani...? – Reżyser podchodzi do niej szybkim krokiem, ale dziewczyna błyskawicznie go wymija.

Staje przed Oskarem, który jest śmiertelnie blady. Zaczynam się domyślać, że ją zna, bo nie wydaje się zaskoczony. Dziewczyna uderza go w twarz.

– Wiesz, co jej zrobiłeś?! Wiesz, co się z nią dzieje?! – krzyczy. – Zostawiłeś ją, porzuciłeś, kurwa! A byłeś jej pierwszym facetem! Rozumiesz to?!

– Niech pani zejdzie ze sceny! Oskar, znasz ją?!

Robi się małe zamieszanie. Nie mogę przestać na nią patrzeć. Jest tak wściekła, że cała się trzęsie. Błada, łzy w kącikach oczu rozmazały jej kredkę na powiekach.

– Może zrobimy małą przerwę? – pytam cicho.

Oskar chwyta dziewczynę za łokieć. Nie rozumiem, dlaczego nie jest wściekły. Schodzą ze sceny, szepcząc nerwowo. Po chwili słyszę trzaśnięcie drzwiami. Opadam na jedno z siedzeń w pierwszym rzędzie. Daniel wyjmuje papierosy i częstuje wszystkich, chociaż wokół pełno tabliczek o zakazie palenia. Tylko ja odmawiam.

– Nieźle się, kurwa, zaczyna. – Wierzbicki z gracją wyjmuje bardzo drogą zapalniczkę z kieszeni dżinsów. – Jeszcze nie wiesz, że Oskar lubi licealistki. Nawet niepełnoletnie. Koneser.

KSENIA

29 STYCZNIA – BIELANY (WARSZAWA)

Gdy dostrzegam ją na osiedlowym bazarku, wydaje mi się, że śnię. Przepycham się przez tłumek tuż przy stoiskach z warzywami i próbuję ją dogonić. Jest coraz więcej ludzi, bo to sobota i rzesze emerytów wybrały się na zakupy.

– Beata! Zaczekaj!

Widzę, że podcięła włosy. Sięgają jej teraz zaledwie do ramion, ufarbowane na intensywny mahoń. Bardzo blada, zero makijażu, zadrapanie na czole.

– Nie wiedziałam, że już wyszłaś ze szpitala! Tak się cieszę! Kiedy wracasz do szkoły?

Zaczynam zasypywać ją pytaniami, rozglądając się, czy nie ma gdzieś jej mamy. Ale najwyraźniej jest sama. Ubrana w starą kurtkę moro i spodnie od dresu. W dłoniach płócienna torba, z której właśnie wysypują się jabłka.

– Pomogę ci! – Kucam natychmiast i próbuję łapać jabłka turlające się w stronę błotnych kałuż.

– Niech pani profesor tego nie zbiera. Nie trzeba... naprawdę...

– Cieszę się, że czujesz się lepiej. Masz teraz chwilę? Chciałabym z tobą porozmawiać. Bardzo się o ciebie martwiłam.

– Nic mi nie jest. Już mi przeszło.

Udaje mi się ją przekonać, żebyśmy poszły na herbatę i na ciastko. Niedaleko bazarku, przy Hali Marymonckiej, jest kawiarnia. Biały, malowniczy budynek, wielkie lustro, stare świeczniki.

– Chciałam ci powiedzieć, że bardzo się cieszę... bo wyglądasz dużo lepiej niż ostatnio. Mam nadzieję, że szybko wrócisz do szkoły. Tyle osób za tobą tęskni.

– Nikt za mną nie tęskni. Wciąż dostaję od nich wiadomości, że jestem pierdolniętą świruską.

– Kto ci tak pisze?!

– Wiem, co pani chce zrobić. Tak wygląda zwierzenie się nauczycielce... to znaczy pani profesor... Wszystko, co powiem, użyje pani przeciwko mnie!

– Jeżeli poprosisz mnie o dyskrecję, to nikomu nie powiem ani słowa. Bardzo się o ciebie martwię! Twoja mama zresztą także. I ta wizyta... ci ludzie, którzy u niej byli i pytali o ciebie... To ją przestraszyło.

– Jest histeryczką. Coś jej się wydawało.

Nie chcę jej mówić, że próbowaliśmy z Olgierdem uruchomić jej komputer. Nastolatki w jej wieku mają hopla na punkcie prywatności.

– Ta para koło pięćdziesiątki... kobieta i mężczyzna... Domyślasz się, kim oni są? Dlaczego w nocy przyszli do twojej mamy? Jeżeli masz problemy, możesz mi o tym powiedzieć.

– Nawet jeżeli powiem, to pani i tak nic nie może zrobić.

– Co to za ludzie? Gdzie ich poznałaś?

Zastanawiam się, jak jej powiedzieć o kamieniach, które znaleźliśmy. Część z nich jest wciąż w moim wynajętym pokoju na szafce nocnej.

– Beata, jeżeli masz jakiś problem, możesz mi powiedzieć. Gdzie ich poznałaś? Powiesz mi chociaż tyle?

Za wielkimi oknami robi się szaro, chociaż to dopiero druga po południu. Czuję się tak cholernie bezradna. Nie mam pojęcia, jak do niej dotrzeć!

– Coś ci powiem... W twoim wieku, w klasie maturalnej, miałam podobne problemy jak ty.

– Skąd pani profesor wie, jakie mam problemy?!

– Cała klasa mnie odrzuciła. Śmiali się ze mnie, bo moja mama nosiła aparat słuchowy... mówiła niewyraźnie.

Zapada cisza. Nie wiem, po co jej to mówię, bo to znowu boli. A chciałam zapomnieć.

– Ze mnie nikt się nie śmieje. Próbują mi złośliwie dowalić. Raczej mi zazdroszczą. To znaczy zazdrościli. Bo miałam szóstki ze wszystkiego.

– Jesteś inteligentna i bystra. Wróc do szkoły, bo będziesz miała zaległości. Wiem, że masz zwolnienie aż do połowy lutego. Ale wróc jeszcze przed feriami. I pamiętaj o studniówce. Powiesz mi, kim są ci ludzie? Twoja mama była przestraszona, naprawdę nie powinni nachodzić jej w nocy.

Beata zagryza wargi. Metodycznie wyciska łyżeczką torebkę od herbaty.

– Gdzie ich poznałaś?

– Zbór Świętego Marcina.

– Zbór?

– Muszę już iść, pani profesor!

Nie daje mi dojść do słowa. Kładzie dwie pięćdziesiątki na stoliku.

– To za herbatę, pani profesor. Proszę się mną nie przejmować. Już nic mi nie jest!

MAKS

5 CZERWCA – BIAŁOŁĘKA (WARSZAWA)

Gdy widzę ją na pogrzebie mojego ojca, serce zaczyna walić mi jak oszalałe i budzę się z letargu, w który zapadałem na ostatnie dwa dni. Myślałem, że już nigdy jej nie zobaczę, bo nie odpowiedziała na żadną moją wiadomość. A teraz tu jest. Na cmentarzu w tłumie żałobników, w upale. Daria zaciska palce wokół mojej dłoni. Trumna z ciałem mojego ojca powoli, na ozdobnych linach, spuszczana jest do grobu. Dwóch potężnych mężczyzn sprawnie zdejmuje zamocowania. Znowu widzę Alinę między

drzewami. Chuda, w czarnej sukience na ramiączkach. Nie ma stanika, w dłoniach trzyma bukiet stokrotek. Wydaje mi się, że mam halucynacje. Zdejmuję okulary przeciwsłoneczne. Udaję, że wycieram łzy. Ona wciąż tam jest. Patrzy prosto na mnie. Włosy zamotane na czubku głowy, w uszach potężne koła. Penis twardnieje mi tak, że rozsadza prawie obcisłe, czarne spodnie. Fala pożądania rośnie. Nie potrafię skupić się na słowach przejętego księdza. Dyskretnie się rozglądam. Sporo osób przyszło na pogrzeb człowieka, który właściwie nie miał już przyjaciół. Są sąsiedzi z jego bloku, na przodzie tej grupy ta potężna kobieta, której nazwisko wyleciało mi z głowy. Są moi znajomi z firmy, są koleżanki Darii i jej rodzice. Pełne współczucia spojrzenia. Szepty. Alina stoi samotnie, pomiędzy nagrobkami z czarnego marmuru, jakby przypadkiem przechodziła i zatrzymała się, bo zobaczyła otwarty grób. Nierzeczywista i idealna. Chciałbym ją teraz posiąść bez słów, bez gry wstępnej, posuwać ją tak mocno, żeby krzyczała. Chciałbym zrobić to na oczach mojej żony, na oczach tych ludzi, wśród tych grobów, bez zdejmowania jej ubrania, bez pocałunków, bez...

– Maks? – szept Darii jest coraz bardziej natarcywy. – Maks... to już koniec... Pomodliłeś się? Możemy iść?

Kiwam głową. Cieszę się, że nie ma z nami dzieci. Daria nie chciała, żeby zrezygnowały z trzydniowego wyjazdu na zieloną szkołę ze względu na pogrzeb dziadka. Mojego ojca nie lubiły, widywały go rzadko i pewnie trochę się go bały. Rozglądam się jeszcze raz. Pojawił się nawet facet z agencji detektywistycznej, ale był tylko na mszy w kościele. Nie złożył mi kondolencji. Wymieniliśmy spojrzenia. Policja nadal nic nie wie... albo nie chcą mi nic mówić. Jutro otwarcie testamentu ojca. Chcę to wszystko mieć z głowy. I chcę poczuć Alinę, jej język oblizujący moje jądra. Nigdy nie spotkałem tak bezpruderyjnej kobiety. Czuję radość i euforię, bo znowu patrzy prosto na mnie, gdy podtrzymywany przez Darię idę w kierunku cmentarnej bramy. Gdy wsiadamy do samochodu, mój telefon brzęczy w kieszeni spodni. Dyskretnie spoglądam na ekran.

Tęsknie za tobą i za twoim kutasem.

Chowam telefon do kieszeni. Przez następne dwie godziny ze smutnym uśmiechem przylepionym do twarzy wysłuchuję kondolencji podczas konsolacji. Daria zadbała o wszystko. Jest kawa, herbata, soki, małe kanapki. Ludzie ubrani na czarno, zbici w niewielkie grupy, szepczący, rzucający mi współczujące spojrzenia.

Nie miałem pojęcia, że z drugiej strony potężnego cmentarza znajduje się nowoczesny budynek bez szyldu. Wielka sala, szwedzkie stoły, dyskretna muzyka. Dostrzegam Alinę przy jednym z filarów z filiżanką kawy w dłoniach. Bezcelnie się na mnie gapi, wiedząc, że nie potrafię oderwać wzroku od jej małych piersi, bo sutki prawie przebijają materiał czarnej sukienki. Założyła zwyczajne, czarne gumowe japonki, a materiał tej kiecki płącze się jej między nogami. Oblizuje usta. Odstawia filiżankę na marmurowy parapet. Rozglądam się, czując, jak serce łomocze mi w uszach. Daria rozmawia ze swoimi koleżankami kilkanaście metrów dalej. Pokazuje im coś w telefonie. Idę za Aliną w stronę toalet, które znajdują się po lewej stronie w wąskim korytarzu. Na szczęście nie spotykam nikogo, bo moja twarz lśni od potu. Policzki palą. Alina otwiera drzwi do toalety dla niepełnosprawnych. Wchodzę natychmiast za nią, rzucając jeszcze raz szybkie spojrzenie na korytarz. Drżącymi palcami zamykam zasuwę. Pomieszczenie jest spore, za otwartym oknem słychać ptaki śpiewające na cmentarzu. Alina zamyka okno. Gdy to robi, wsuwam dłoń pod jej sukienkę, ściskam piersi, gryzę w szyję. Odkrywam, że nie założyła majtek. Wypina chudy tyłek, opierając się o wmontowany wysoko w ścianę nowoczesny sedes. Rozpinam rozporek, czując, że nie wytrzymam dłużej, że czaszka mi pęknie, nie tylko nabrzmiały penis. Uderzam ją mocno w pośladki. Wchodzę w nią bez pieszczot, bez czułości. Oszalały z wściekłości, bo budzi we mnie coś, czego w ogóle nie rozumiem. Szarpnię ją za włosy. Dochodzę błyskawicznie, brudząc sobie spodnie i jej sukienkę. Ciężko dysząc, opieram się o ścianę.

– Skąd wiedziałś?

– Nekrologi są wszędzie. Zmarł wybitny specjalista w dziedzinie psychiatrii. Ordynator oddziału zaburzeń nerwicowych.

– Nie zmarł. Został zamordowany.

Alina wygładza sukienkę. Przegląda się w przybrudzonym lustrze. Zapinam spodnie.

– Posłuchaj... – Próbuję ją objąć, ale błyskawicznie wysuwa się z moich ramion. – Nie chciałem ci zrobić żadnej krzywdy... Nie wiem, co się ze mną dzieje... Od śmierci ojca nie jestem sobą.

– Nie wiem, kim jesteś, ale to mi się podoba.

– Nie jesteś na mnie zła? Uderzyłem cię kilka razy i chyba pierwszy raz w życiu miałem ochotę na tak ostry seks.

– Uderzyłeś mnie w tyłek. To się nie liczy. Przestań ciągle przeproszać, bo to nie jest sexy. Czy policja coś wie? Wpadli na jakiś trop? Kto mógłby chcieć zabić twojego ojca?

– Nie wiem. – Ochlapuję twarz lodowatą wodą. – Wanda Bielenda ma status osoby zaginionej. Pewnie wezwą cię na przesłuchanie, bo u niej mieszkałaś. Nie wiem, czy już wiedzą, że doszłaś do siebie po tym zatruciu. Działają, kurwa, tak strasznie wolno, że wynająłem detektywa.

– Nie szkoda ci kasy?!

– To jedyne, co mogę zrobić dla ojca.

– Nic nie możesz dla niego zrobić, bo jemu już jest totalnie lotto!

– Zrobię to dla siebie. Nie byłem przy matce, gdy umierała na raka. Sprawę z moim starym też zawałem, bo jego ciało rozkładało się kilka dni, gdy opalałem się na Kanarach, i ja...

Siadam na wykafelkowanej podłodze, trzęsąc się od szloch. Alina patrzy na mnie bez uśmiechu. Czuję jej pot zmieszany z moim. Dotyka mojego policzka.

– Moim zdaniem to wina tej kobiety. Zrobiła coś twojemu ojcu i spierdoliła z mieszkania. Zawsze wydawała mi się dziwna. Pojebana, wstrętna starucha. Pewnie to syn jej pomaga. Kryje ją albo dał jej kasę, żeby wyjechała.

– Tak myślisz?

– A nie? Może chciała okraść twojego starego i ją na tym przyłapał? A jej syn... czy ty wiesz o nim wszystko?

– Co to znaczy wszystko?

– Niedawno był współwłaścicielem luksusowego hotelu na Mazurach, który cały poszedł z dymem... Dziwne, nie?

– Myślisz, że chciał wyłudzić ubezpieczenie?

– Nie wiem, co myśleć. Facet, z którym prowadził ten biznes, poszedł siedzieć, a on nie.

Podejrzane, co?

– Skąd to wiesz?

– Umieam czytać i umiem łączyć fakty. On coś ukrywa i jak chcesz znaleźć mordercę ojca, to zacznij od niego. Przecież to bardzo logiczne, Maks.

IGA

14 LUTEGO – ŻOLIBORZ (WARSZAWA)

Nigdy jakoś specjalnie nie celebrowałam walentynek. Często dostawałam z tej okazji prezenty od mężczyzn, z którymi akurat byłam, ale z tego, co pamiętam, w ogóle nie rewanżowałam się im i właściwie olewałam to święto. Teraz jest inaczej. Odezwała się we mnie romantyczna część mojej duszy. Kupiłam ozdobne świece, nowy obrus, dwie butelki dobrego wina. Zamówiłam catering z restauracji, bo w gotowaniu nie jestem mistrzynią, a poza tym potwornie mnie to nudzi. I jeszcze wybrałam prezent dla Andrzeja. Szwajcarski zegarek, bardzo w jego stylu, kosztujący kosmiczne pieniądze. Wydałam na niego połowę kasy z odprawy z poprzedniej pracy. To Andrzej był wtedy moim szefem. To on zadbał, żeby wszyscy pracownicy otrzymali odprawy w wysokości trzymiesięcznych pensji oraz wypłatę z ubezpieczenia, gdy hotel, którym zarządzał, przestał istnieć. Coraz rzadziej myślę o miejscu, w którym się poznaliśmy. Staram się nie wracać do koszmarnych wspomnień, chociaż wiem, że będę musiała. Za jakiś czas, gdy ruszy proces i rozpoczną się ponowne przesłuchania świadków. Ale teraz nie chcę o tym myśleć. Oglądam z uśmiechem ozdobne pudełko. To chyba mój pierwszy prezent dla niego. Wiem, że za moment będzie w mieszkaniu i nasz wieczór zapowiada się ekscytująco. Wciąż mamy tak mało czasu dla siebie. Moje próby odbywają się teraz prawie codziennie, bo na początku

marca premiera tomiku i wieczór w teatrze, na który Piotr Rajmer ma zamiar ściągnąć kilkunastu dziennikarzy z literackich i plotkarskich portali. Plus znajomych z uczelni, znajomych aktorów i celebrytów.

Najbardziej interesuje mnie aukcja już po gali. Byłam ostatnio w siedzibie fundacji Demeter, w której w zeszłym roku pracowałam jako wolontariuszka. Nowa prezeska Agnieszka Sałacka musiała przenieść siedzibę fundacji do małej klitki na Tarchominie. Dwa ciasne pokoje i małe biurko z komputerem. Dom niedaleko Chotomowa, w którym mogły schronić się prześladowane przez partnerów czy mężów kobiety, jest wprawdzie dofinansowywany przez gminę, ale po ciężkiej zimie wymaga remontu. Dach przecieka, są awarie prądu. Widziałam zmęczone oczy Agnieszki, bo przecież ma małe dziecko, więc nie jest w stanie ogarniać wszystkiego tak, jakby chciała. Przelałam na konto fundacji sporą kwotę w styczniu, ale sama nie mam regularnych dochodów. Tak więc licytacja kolacji ze mną może być jakimś ratunkiem. Słyszę dzwonek do drzwi i błyskawicznie otwieram, pewna, że to Andrzej. Ale w progu widzę drobną, niższą ode mnie trzydziestolatkę w puchowej kurtce. Wydaje mi się, że ją już kiedyś widziałam.

– Dobry wieczór – jąka się lekko. – Czy zastałam Andrzeja Bielendę?

– Jeszcze go nie ma. My się chyba znamy? Pani jest sublokatorką jego mamy?

– Tak. Nazywam się Ksenia Dembska. Poznałyśmy się u pani Wandy dwa tygodnie temu.

– Coś się jej stało?!

– Nie, spokojnie, nic się nie stało... To znaczy pan Andrzej prosił mnie, żebym mówiła mu... informowała go, jeżeli w mieszkaniu jego mamy będzie dziać się coś dziwnego.

Spogląda na nią zaskoczona. Andrzej nie powiedział mi ani słowa, że prosił tę dziewczynę o takie rzeczy!

– Dzwoniła pani do niego?

– Chciałam się nagrać dziś rano, ale miał zapchaną pocztę głosową. Ostatnio, gdy był u pani Wandy, zostawił mi ten adres na wszelki wypadek.

Pokazuje mi skrawek gazety z naszym adresem. Wpuszczam ją do mieszkania, proponuję herbatę.

– Państwo jesteście zajęci... Zapomniałam, że dziś walentynki.

– Przejdźmy na ty. Jestem Iga.

Kobieta siada na brzegu kanapy, trzymając wciąż swoją kurtkę na kolanach.

– Nie powiesz mi, co się stało?

– Wolałabym porozmawiać z Andrzejem... Prosił o dyskrecję. Poczekam na niego, jeżeli mogę, chyba niedługo będzie, prawda?

Jestem coraz bardziej wściekła na Andrzeja. Ostatnio prawie w ogóle nie rozmawialiśmy o jego matce, ale to nie znaczy, że się nią nie przejmuję i że o niej zapomniałam. Może powinnam zadzwonić do niego i zapytać, kiedy raczy się zjawić, ale z przekory tego nie robię. Obserwuję Dembską, która nerwowo bawi się suwakiem swojej kurtki.

– Może coś zjesz? Zamówiłam pyszne jedzenie.

– Nie, no skąd, dziękuję, naprawdę. Chcę tylko porozmawiać z nim w cztery oczy.

Zaczynam rozumieć, że mam być wyłączona z tej rozmowy. Moja wściekłość rośnie. Nie podoba mi się jej zażyłość z moim mężczyzną i to, że nie miałam o tym zielonego pojęcia. Nie potrafię sobie znaleźć miejsca. Kręcę się przy oknie, próbując włączyć muzykę. Zalewa mnie fala gorąca. Nie umiem się skupić. Gdy po chwili słyszę zgrzyt klucza w zamku, natychmiast biegnę do przedpokoju. Ksenia zrywa się z kanapy i idzie za mną. Zaskoczony Andrzej z bukietem róż i ozdobnym pudełkiem stoi w drzwiach i patrzy to na nią, to na mnie.

– Odwiedziła nas właśnie Ksenia – mówię przez zęby, odbierając od niego kwiaty. – Sublokatorka twojej mamy. Nie chciała mi powiedzieć, co się stało.

– Dobry wieczór. – Andrzej spogląda na nią, marszcząc brwi. – Coś się stało? Coś z...?

– Nic strasznego się nie stało. Chciałam tylko porozmawiać w cztery oczy. Umówiliśmy się, że...

– Zapraszam do mojego gabinetu. Dziękuję, że przysłałaś.

Andrzej wymija mnie w przedpokoju. Spoglądam na nich osłupiała, z bukietem róż, który kłuje

mi palce. Idą w stronę jego gabinetu, szepcząc coś do siebie. Czuję się jak idiotka. Odsunięta, wypchnięta z jego świata, do którego wstęp ma tylko ta młodsza o kilka lat ode mnie nijaka kobieta. Nie sądziłam, że stanie się to tak szybko. Mam do siebie pretensje, że za bardzo się zaangażowałam, za szybko uwierzyłam, że ten związek ma sens. Rzucam bukiet róż tuż obok pudełka z prezentem. Wkładam płaszcz, kapelusz, poprawiam makijaż. Wybieram w telefonie numer Daniela Wierzbickiego. Odbiera po pierwszym sygnale.

KSENIA

14 LUTEGO – ŻOLIBORZ (WARSZAWA)

Gdy przysuwa sobie krzesło do kanapy, na której przycupnęłam, czuję bijące od niego ciepło. Ma sweter w kolorze ciemnego piasku, taki sam odcień mają jego włosy, które przeczesuje nerwowo dłonią.

– Powiedz mi, co się dokładnie stało.

– Przepraszam, że zjawiłam się tak bez uprzedzenia... Ale naprawdę próbowałam się z tobą skontaktować.

– Coś cię zaniepokoiło? Moja matka zachowywała się dziwnie? Piła?

– Nie. Ona w ogóle nie pije alkoholu. Na pewno nie ma go w mieszkaniu, bo przeszukałam wszystkie szafki, schowki, gdy jej nie było. Tak jak prosiłeś.

– Dziękuję. Nie wiesz, ile dla mnie znaczy, że mogę na ciebie liczyć.

– Wczoraj wieczorem znowu miała gości. Zjawili się, gdy już zasypiałam. Staram się już nie spać ze stoperami w uszach, tak jak wcześniej.

Nie chcę, żeby słyszała nas Iga Bernard. Zaczynam się zastanawiać, czy nie podsłuchuje w przedpokoju. Gdy otworzyła mi drzwi wejściowe, odjęło mi mowę. Jest tak piękna! W białej sukience z dużym dekoltem, z tymi włosami prawie do pasa. Ma wszystko to, czego ja nie mam. Talię, biust, długie nogi, pełne usta.

– Usłyszałam głos jakiegoś mężczyzny. I to mnie zbudziło. Mówił bardzo głośno, a twoja mama próbowała chyba go uspokoić. Włożyłam szlafrok i przemknęłam do łazienki. Było dobrze po północy, bo spojrziałam na telefon.

– Co mówił ten człowiek?

– Wydawało mi się, że ten jego monolog wykrzykiwany był w jakimś szale. Ciągłe gadał o dniu sądu... Słowa „dzień sądu” powtórzyły się kilkanaście razy. Pytał, czy twoja mama pamięta, co zrobiła.

– Nagrałaś ich rozmowę?

– Siedziałam w łazience, więc się nie dało, bo drzwi od pokoju twojej mamy były przymknięte. Musiałabym stanąć w przedpokoju. Mogliby się zorientować. Przesiedziałam w łazience chyba z godzinę. Staralam się wszystko zapamiętać. Twoja mama płakała... Błagała tego mężczyznę, żeby jej uwierzył... Nie wiem w co... Słyszałam co drugie, co trzecie słowo. Ta kobieta, która z nim była, także chciała jakoś go uspokoić. Mówiła, że twoja mama wszystko rozumie... że podejmie odpowiednią decyzję.

– Ci ludzie pojawiali się już wcześniej w jej mieszkaniu?

– Nie, chyba nie. Wcześniej przychodziła do niej taka grupa starszych osób. Twoja mama tłumaczyła mi, że grają w brydża. A ja w to nie wnikałam. Ale tym razem... ta awantura... Zastanawiałam się, czy nie wejść do pokoju i nie zacząć krzyczeć, żeby dali jej spokój. Ale gdy już się zdecydowałam, to nagle zapadła tam cisza. Ten mężczyzna zobaczył światło w łazience. Twoja mama tłumaczyła mu, że ma sublokatorkę, że przecież wspominała, że nie mieszka sama. Szarpnął za klamkę. Byłam zamknięta od środka. Tak się bałam!

Gdyby nie Andrzej, zaczęłabym szukać innego pokoju do wynajęcia. Ale wtedy stracilibyśmy kontakt. Nie byłoby żadnego pretekstu, żeby się spotkać, żeby porozmawiać w cztery oczy. Teraz dotyka mojej dłoni. Gładzi ją delikatnie kciukiem. Uspokajam się od razu. Chcę mu pomóc, wiem, że mnie potrzebuje. Martwi się o matkę, bo przecież ona nie jest do końca normalna.

– Byłam chora ze strachu. Ale na szczęście odpuścił. Szybko się pożegnali i wyszli. Ale zanim

to się stało, ten mężczyzna zajrzał do mojego pustego pokoju! Obserwowałam jego cień, bo drzwi do łazienki są częściowo oszklone... On tam zniknął na chwilę!

Z trudem łapię powietrze. Prawie wcale nie spałam. Chciałam dzwonić do Andrzeja w środku nocy, ale poczekałam do rana. I tak nie odbierał, gdy półprzytomna biegłam do pracy na pierwszą lekcję. Przez kolejne godziny wyjmowałam telefon i sprawdzałam co kilkanaście minut. W końcu wieczorem postanowiłam podejść do niego i opowiedzieć mu o wszystkim.

– W moim pokoju jest mały stolik, leżał na nim mój portfel z dowodem osobistym. Mógł do niego zajrzeć, zrobić zdjęcie! Wiedzą, kim jestem! Wiedzą...

– Może ten człowiek chciał tylko sprawdzić, czy pokój jest pusty? Przepraszam cię za to, co się stało. Przepraszam cię za znajomych mojej matki, którzy nie dają ci spać. Jeżeli chcesz się wyprowadzić, to ja to rozumiem. Pomogę ci znaleźć pokój... pomogę w przeprowadzce.

– Nie! Zaraz mi przejdzie. Jestem cholernie przemęczona. Dostałam wychowawstwo klasy maturalnej. I moja najlepsza uczennica miała atak... załamanie nerwowe... Bardzo to przeżyłam, bo to świetna uczennica.

– Rozumiem.

– Gdy oni wyszli, zajrzałam do pokoju twojej mamy. Chciałam sprawdzić, czy nic jej nie jest. Ale była spokojna. Przeprosiła mnie za hałas i obiecała, że to się więcej nie powtórzy, że gdy będą dzwonić do drzwi, to ich nie wpuści... Mnie też poprosiła o to samo. „Nikogo nie wpuszczaj. Nawet listonosza czy kuriera. Mam wścibskie sąsiadki, im też nie otwieraj”. Powiedziała jeszcze, że mogę jedynie otworzyć drzwi, jak zapuka Jakub Hoffman. Ten starszy sąsiad, bo podobno robi mu często zakupy.

– Powiedziała, jak się nazywają ci ludzie, którzy ją odwiedzili? Skąd ich zna?

– Nie... Gdy próbowałam pytać, zbyła mnie. Rzuciła, że to przeszłość się odzywa. Czy coś w tym stylu... Ale ta para... Oni na pewno byli od niej sporo młodszy... Słyszałam tylko ich głosy...

– Dziękuję ci. Gdy pojawią się znowu, dzwoń do mnie natychmiast. Niezależnie, czy to będzie w nocy, czy w dzień. Ostatnio mnóstwo ludzi do mnie dzwoni, rozkręcam firmę i mam dużo spotkań... dlatego czasem jestem nieuchwytny.

– Rozumiem. Twoja dziewczyna pewnie jest zła, że zepsułam wam wieczór walentynkowy?

– Iga? – Andrzej wygląda jak wybudzony z głębokiego snu. – Wytłumacz jej.

Otwiera drzwi. Przedpokój tonie w półmroku. Salon także.

– Iga? – Andrzej zapala światło.

Rozgląda się, marszczy brwi, wchodzi do kuchni. Czuję, jak narasta w nim zdenerwowanie, wręcz panika. Wiem, że muszę szybko zniknąć, zanim zaczną mnie obwiniać. Szybko wkładam kurtkę. Wyciągam z kieszeni mokre od śniegu rękawiczki.

– Iga?!

Wychodzę bez słowa pożegnania. Wychodzę, żalując, że nie jestem nią. Że nie jestem z nim. Marznąc na przystanku tramwajowym, myślę o mieszkaniu na Bielanach, w którym boję się spać, i o krzykach starej kobiety, której przeszłość wciąż nie daje spokoju.

MAKS

6 CZERWCA – ŚRÓDMIEŚCIE (WARSZAWA)

– Poznaje pan tę kobietę? Zrobiłem jej dyskretnie zdjęcie podczas pogrzebu pana ojca. – Edwin Janicki, właściciel agencji detektywistycznej Kormoran, odwraca w moją stronę ekran laptopa.

Jestem pewien, że zobaczę twarz Aliny, jej sylwetkę częściowo skrytą za nagrobkami, jej prowokujący uśmiech i bukiet stokrotek, który przyniosła na pogrzeb. I który zostawiła w kiblu dla niepełnosprawnych, gdzie uprawialiśmy spazmatyczny seks. Ale to nie ona. To Anna Komornicka. Była żona mojego zmarłego ojca. Starannie uczesane na pazia blond włosy, czarna sukienka, czarny szal, perły. Duża elegancka wiązanka w dłoniach.

– To moja była macocha. Nie miałem pojęcia, że była na pogrzebie. Nie dostrzegłem jej w tłumie i na pewno nie składała mi kondolencji.

– Dobrze ją pan zna?

– Słabo. Była związana z ojcem chyba z osiem lat. Wcześniej także miała męża, i też lekarza. Chyba mnie nie lubiła.

– Trochę to dziwne, że nie podeszła do pana po pogrzebie... Miał pan z nią jakiś konflikt?

– Nigdy. Może jest wkurwiona, że ojciec nic jej nie zostawił? Dziś rano byłem u notariusza. Nie wymienił jej w testamencie, chociaż niby dla czego miałby to robić? Rozwiedli się dziewięć lat temu. Sprzedali duże mieszkanie na Mokotowie i podzielili się kasą. Ojciec zdecydował się zamieszkać w tym starym bloku na Bielanych. Bo tanio i winda. Wcześniej nie miał windy i musiał wdrapywać się na trzecie piętro.

– Czy pana nie zdziwiło, że rozwiódł się z żoną, mając siedemdziesiąt osiem lat?

Obaj wpatrujemy się w ekran laptopa. Musiała być kiedyś niezłą dupą. Pewnie dlatego tak szybko omotała ojca.

– Zdziwiło mnie, bo mało który facet chce być sam w tym wieku. Ale nie zwierzał mi się. Postawił mnie przed faktem dokonanym. Tak jak kupno małego mieszkania w syfiastym bloku na Bielanych. Uparł się, więc tylko pomogłem mu w przeprowadzce.

– Czyli nie zostawił jej nic w testamencie. Pan jest głównym spadkobiercą?

– Nie tylko ja. Ojciec oprócz mieszkania na Bielanych miał spore oszczędności. Prawie dwa miliony.

– Ładna sumka. Tak więc kogo jeszcze obdarował? Wnuki?

– Nie. To jest zastanawiające, bo mój ojciec nigdy nie był religijny, ale pięćset tysięcy ma otrzymać jakaś fundacja... Zaraz, zapisałem sobie... – Przeszukuję skórzaną teczkę, w której mam potworny bałagan.

Wiem, że muszę się ogarnąć. Jutro wracam do pracy. Moja firma wygrała właśnie przetarg na organizację nagłośnienia podczas największego koncertu rockowego w te wakacje.

– Tu sobie zapisałem. – Kartkuję stary notes. – Zbór Świętego Marcina. Fundacja religijno-historyczna. W życiu o niej nie słyszałem. Ojciec nie interesował się historią i był niewierzący. Trochę dziwne, prawda? Może odbiło mu na stare lata, ale nie mam pojęcia, czy testament da się podważyć?

– Z jaką datą został złożony u notariusza?

– Chyba dwa czy trzy lata temu. Pięćset tysięcy to nie jest mało i jak będzie trzeba, to spróbuję się z nimi procesować. Może zrobili mu jakąś wodę z mózgu?

– Przejrzał pan już rzeczy w mieszkaniu ojca? Policja zabezpieczyła już ślady?

– Zabrali jego laptop i telefon. Ale podałem panu jego adres mailowy.

– Mój informatyk nad tym pracuje. Propozycje haseł, które pan podał, okazały się nietrafne.

– Rozumiem. Jutro już będę mógł wejść do jego mieszkania. Muszę wynająć jakąś firmę sprzątającą. Przecież... tam musi być już robactwo. Rozkładał się kilka dni.

Znowu nie spałem w nocy. Myślałem o Alinie, o jej drobnych piersiach, o jędrnych, małych pośladkach. Wygląda jak nastolatka, jak dorastająca dziewczynka. Tylko myśli o niej sprawiają, że znowu chce mi się żyć.

– Proszę przynieść mi wszystkie dokumenty, które pan znajdzie w jego mieszkaniu. Oczywiście sprawdzę tę fundację i jej powiązania z pana ojcem. Na razie dotarłem tylko do jednej zaskakującej rzeczy.

– To znaczy?

– Pana ojciec i zaginiona Wanda Bielenda znali się wcześniej. Trzydzieści lat temu pracowali w tej samej miejscowości. Janiszewo, nad Bałtykiem, niedaleko Łeby. Pan wyjechał stamtąd z matką, gdy miał kilkanaście lat. Możliwe, że ją pan tam widywał, że odwiedzała pana rodziców?

– To żart, tak?! Przecież ojciec powiedziałby mi, że poznali się lata temu! Ona także! Dlaczego mieliby to ukrywać?! I co to, kurwa, za zbieg okoliczności, że na starość kupił mieszkanie w bloku, w którym mieszkała ona?! Na tym samym piętrze!

– To raczej nie był zbieg okoliczności, ale celowe działanie. Myślę, że w Janiszewie możemy znaleźć odpowiedź. Ale koszt moich usług wzrośnie.

– Po co pan chce tam jechać? Tam nic nie ma! Tylko dwa sklepy na krzyż, liceum i szpital

psychiatryczny. Dziura! To nie jest nadmorski kurort!

– Nie mam zamiaru jechać tam na wczasy. Pan, jak wyczuwam, nie był tam od ponad trzydziestu lat. Sporo się zmieniło.

– Wolałbym, żeby pan sprawdził Andrzeja Bielendę, zamiast tam jechać!

– Z przyjemnością to zrobię. Zwłaszcza że on także spędził tam dzieciństwo.

Spoglądam na niego coraz bardziej osłupiały. Mój mózg pracuje wolno, jakby był pokryty jakąś mazią. Nie wiem, co utrudnia mi racjonalne myślenie. Przecież dziś jestem tylko niewyspany, ale trzeźwy.

– Dobrze. Niech pan tam jedzie. Ile mam panu przelać?

Przez chwilę sprawdza coś w laptopie. Gdy podaje mi kwotę, o mało nie spadam z krzesła. Gdyby nie przetarg, który wygrała moja firma, wyszedłbym od niego, trzaskając drzwiami. Ale teraz mnie stać. Mam nadzieję, że znajdzie coś ważnego. Chcę, żeby ten, kto zabił mojego ojca, dostał dożywocie! Mój stary był, jaki był, ale nie zasługiwał na taką śmierć. Nie wierzę, że policja cokolwiek zrobi. Gdy umiera tak stary człowiek, nikogo to nie obchodzi. Nawet gdy to morderstwo!

IGA

15 LUTEGO – STARE MIASTO (WARSZAWA)

Trzecia w nocy. Irlandzki pub niedaleko Starówki. Daniel Wierzbicki jest już tak nawalony, że z trudem trzyma się na nogach. Znowu w tej idiotycznej, fioletowej czapce, w dżinsach, które przy każdym ruchu spadają mu z bioder, odsłaniając skrawek slipki i wygolone podbrzusze. Kilka osób go tu rozpoznało, co sprawiło mu oczywiście niesamowitą przyjemność. Nie mam pojęcia, czemu ma tyle fanek. Wysoki, lekko przygarbiony, za długi nos, za szeroka szczęka i za wąskie usta. Za mało męski. Nie mój typ. W pubie jest coraz tłoczniej. Siedzimy na wysokich, barowych stołkach, wyglądając zapewne jak para. W końcu są walentynki. W mojej białej sukience zupełnie tu nie pasuję. Większość gości jest w dresach lub dżinsach. Nie lubię takich miejsc, gdzie ludzie ocierają się o siebie, a piwo leje się strumieniami. Na podeście przygrywa jakaś rockowa kapela. Starzy, długowłosi faceci udają młodzieńców, zapocone podkoszulki, dziwaczne pogo i perkusja, która co jakiś czas zagłusza słowa Wierzbickiego. Stara się podtrzymać konwersację, ale język mu się płacze.

– Skąd się wzięłaś? Piszesz zajebiste wiersze, a nigdy wcześniej o tobie nie słyszałem.

– Też o tobie wcześniej nie słyszałam. To znaczy usłyszałam, jak odlałeś się w metrze i pisały o tym brukowce.

– Złośliwa jesteś... Lubię takie ostre... – Kładzie mi dłoń na kolanie, ale zdejmuję ją natychmiast.

– Jedziemy do mnie?

– Po co?

– No a po co zadzwoniłaś? Wyglądasz na taką, która często i łatwo daje dupy.

– Jestem pod wrażeniem, jak wyszukane komplementy potrafisz mówić kobiecie.

Wpatruję się w zaśniewany plac Zamkowy za szybą, na kolumnę Zygmunta otuloną białą mgłą. Niedaleko mieszka moja siostra. Do Nowego Miasta to dziesięć minut na piechotę. Mam zamiar u niej przenocować. Wyłączyłam telefon. Chcę na chwilę zapomnieć, że kocham człowieka, który jest dla mnie jedną, wielką tajemnicą. Nigdy nie byłam zazdrosna. Teraz jestem tak bardzo, że wywołuje to u mnie agresję. Chcę ukarać Andrzeja za to, co mi robi.

– Chcesz komplementów? Mogę je mówić, ale potem mi obciągniesz.

– Nie wysilaj się, bo nie warto!

Mam dość. Myślałam, że się rozerwę, posłucham jakichś filmowych plotek, pogadam o naszym przedstawieniu złożonym z moich wierszy. Podpytam go o awanturę podczas próby i o dziewczynę Oskara, która chyba jest nastolatką. Ale Wierzbicki jest monotematyczny. Źle mnie zrozumiał.

– No, czego ty, kurwa, chcesz od życia, co? O co ci, kurwa, chodzi?! – wrzeszczy za mną kilkanaście minut później, gdy w kapeluszu i w płaszczu narzuconym na ramiona idę szybkim krokiem w stronę placu Zamkowego.

Daniel próbuje mnie dogonić, w biegu zapinając kurtkę, ale marnie mu to idzie. Jest potwornie

ślisko, a on ledwo trzyma się na nogach. Odwracam się przez ramię. Jeżeli się przewróci, to nie mam pojęcia, czy wstanie. Kilka razy na dłużej zniknął w toalecie. Bardzo możliwe, że piwo zmieszał z czymś jeszcze.

– Iga! Stój, kurwa, mówię, no!

– Wezwę ci taksówkę. – Zatrzymuję się i podtrzymuję go za ramię.

– Dobra, jedźmy do mnie... Spodoba ci się... Będziesz chciała więcej...

Milknie, bo kilku potężnych kiboli wytacza się z monopolowego. Idą w naszą stronę. Rozglądam się nerwowo. Plac Zamkowy jest zupełnie pusty. Żadnych przechodniów. Żadnych zabłąkanych turystów. Żadnego patrolu policji. Otaczają nas. Nie mam czasu wyjąć telefonu, gdy Daniel dostaje pięścią w twarz. Przewraca się na oblodzony chodnik. Kaszle. Serce wali mi jak oszalałe.

– Zostawcie go. – Staram się, żeby w moim głosie zabrzmiał beztronski ton. – Nie ma przy sobie kasy. Spłukał się przy mnie. Nie jestem tania.

– A ile bierzesz? – Najwyższy z kiboli dotyka mojego podbródka.

– Dam ci zniżkę. – Uśmiecham się.

KSENIA

17 LUTEGO – BIELANY (WARSZAWA)

Jest wściekła. Widzę to wyraźnie, bo znam ją ponad pięć lat. Zaciska wąskie usta. Potężna kobieta z niemodną trwałą. Dyrektorka szkoły, w której pracuję.

– Niepotrzebnie poruszyła pani temat Beaty Sokolnickiej na godzinie wychowawczej!

– Nie poruszyłam w ogóle tego tematu. Mówiłam ogólnie, że powinniśmy mieć w sobie więcej empatii i zrozumienia dla słabości innych, bo sami nie jesteśmy doskonali! Ani razu nie padło jej imię i nazwisko!

Zastanawiam się, który z moich uczniów jej doniósł, co mówiłam na godzinie wychowawczej? Nagrywają mnie? Śmieją się ze mnie za moimi plecami?! Byłam przekonana, że mnie lubią!

– Uczniowie doskonale rozumieli, o kim pani mówi! Załamanie nerwowe naszej najlepszej uczennicy to nie jest sprawa, którą należy publicznie roztrząsać!

– Chciałam, żeby wykazali minimum zrozumienia dla jej sytuacji! Wiem, że od jakiegoś czasu Beata dostaje od nich wulgarne esemesy i memy!

– Czyli jednak ją miała pani na myśli, a próbuje mi pani tu mydlić oczy! Jeżeli Beata dostaje te wiadomości, to proszę indywidualnie rozmawiać z ich nadawcami, a nie robić z tego aferę! Młodzież w tym wieku miewa głupie pomysły. Pani debiutuje dopiero w roli wychowawczynie. To pierwsze wychowawstwo w pani życiu zawodowym, prawda?

Im bardziej się staram, tym jest gorzej. Spędziłam cały weekend, poprawiając przedmaturalne testy i czytając książki, jak docierać do nastolatków. Moje życie prywatne już nie istnieje. Olgierd mnie unika i w sumie wcale się nie dziwię. A moje koleżanki albo ostro balują, albo są zajęte, bo mają małe dzieci. Zresztą wcale nie mam tak wielu znajomych. Myślałam, że gdzieś wyjadę na ferie, które zaczynają się za tydzień, ale szkoda mi kasy i nie za bardzo mam z kim. Od jakiegoś czasu zrobiłam się chorobliwie oszczędna. Marzę o własnym mieszkaniu, ale na razie odłożyłam tylko kilkadziesiąt tysięcy. I pewnie czeka mnie wynajmowanie pokoi przez następne kilka lat. Dyrektorka wciąż monologuje, a ja myślę o Andrzeju. Postanowiłam codziennie wysyłać mu wiadomości, takie maleńkie sprawozdania, co robi jego mama i jak się czuje. Domyślałam się, jak bardzo się o nią martwi i jak trudno jest mu złapać z nią kontakt. Ale ja mu pomogę! Naprawię ich relację, bo przecież to wspomniały człowiek, a ta kobieta już nie pije! A poza tym, gdy będę pisać codziennie, będzie musiał odpowiedzieć, zaproponować kolejną rozmowę w cztery oczy, a może zaprosi mnie do siebie, gdy nie będzie tam jego dziewczyny? Trochę boję się Igi, bo ma w sobie coś niepokojącego, jakąś energię, której nie rozumiem. Oczywiście wiem, co on w niej widzi. Te duże cycki i długie włosy i ten pieprzyk nad górną wargą. Może to była modelka, chociaż jest bardziej krągła niż te dziewczyny wieszaki. Andrzej wysłał mi na razie tylko jedną wiadomość od czasu naszej rozmowy w walentynki. Zwykle „dziękuję” dziś o siódmej rano, ale serce zabiło mi tak mocno, że już nie będę musiała pić kawy.

– Czy pani mnie słucha? Proszę przekazać klasie, że zmieniliśmy dzień i godzinę próby poloneza w hotelu Mini Milord na Okęciu.

– Tak, już zapisuję.

– Jutro o godzinie siedemnastej. Jedzie pani autobusem z uczniami spod szkoły godzinę wcześniej. Ja także będę na miejscu, żeby dogadać z obsługą hotelową szczegóły. Razem z pani klasą pojedzie także pan Olgierd Domagała.

– Nie mogę jechać z nimi sama?

– Jeden nauczyciel na piętnastu uczniów przy wyjściach poza szkołę. Nie zapoznała się pani jeszcze z procedurami bezpieczeństwa? Pan Olgierd już został poinformowany. Czy Beata Sokolnicka będzie na studniówce? Jeżeli tak, to powinna być także na próbie. Ale przecież wciąż jest na zwolnieniu, więc...

– Zadzwońię do niej. Chciałabym, żeby przysłała.

Godzinę później łapię Olgierda na dyżurze na pierwszym piętrze podczas przerwy obiadowej. W zielonym dresie, z dwudniowym zarostem i tak samo niewyspany jak ja.

– Mam być twoim aniołem stróżem. Na studniówce także. To będzie uroczy wieczór. Na przemian tłuste żarcie i sprawdzanie kibli, czy nasza młodzież nie pije – śmieje się.

– Pewnie przeniosą się potem do jakiegoś klubu i tam będą pić na umór. Tak wyglądała moja studniówka.

– A gdzie balowałaś?

– W Radomiu.

– Ja w Łodzi. Niewiele pamiętam.

Spogląda na moje chude nogi, bo założyłam dziś dzinsową spódnicę do kolan. Chcę wypracować własny styl, odkąd zobaczyłam, jak ubiera się Iga Bernard. To nie jest tak, że staram się ją naśladować, ale już wiem, że Andrzej lubi takie, które eksponują swoją kobiecość.

– O której dziś kończysz? Chciałbym o czymś pogadać.

– Nie możemy teraz? Dziś nie mam korepetycji, ale muszę przysiąść nad testami. Robię też uprawnienia egzaminatora maturalnego.

– Ambitna jesteś. Ale to ważne. Mówiłaś, że mieszkasz koło szkoły. Może zaprosisz mnie na kawę?

– Dziś nie dam rady. Ale o której jutro kończysz? Odwołali mi korki z powodu grypy.

– Dobra. Jutro o czternastej u ciebie. Wyślij mi dokładny adres.

– Powiesz mi tylko w skrócie, o co chodzi? Bo zaczynam się martwić.

– Chodzi o szafkę Beaty, tę przy sali gimnastycznej. Mówiłem naszemu ciciowi, żeby ją naprawił. No i przyszedł do mnie z mordą.

– Dlaczego?

Olgierd rozgląda się nerwowo. Korytarz prawie opustoszał. Zaczynają się lekcje.

– Znalazł w niej szczura powieszzonego na drucie.

– Co ty pieprzysz?!

– Ksenia, ciszej... Szczurem się nie przejąłem, bo wiem, na co stać niektórych gówniarzy, ale tam był jeszcze list.

– Do kogo?

– Do Beaty. Ze względu na jej stan nie sądzę, że powinna go czytać...

Zostawia mnie osłupiałą na korytarzu i zbiega po schodach. Bezmyślnie wpatruję się w gabloty ze zdjęciami naszych uczniów z ostatnich klasowych wycieczek. Dostrzegam roześmianą Beatę na tle Dworku Chopina w Żelazowej Woli. To był wrzesień. Wtedy jeszcze się uśmiechała.

MAKS

7 CZERWCA – BIELANY (WARSZAWA)

Postanowiłem przyjechać tu sam, chociaż moja żona wielkodusznie zapewniała mnie, że pomoże mi w porządkach w mieszkaniu zamordowanego ojca. Grzecznie odmówiłem. Czuję, że Daria tylko

udaje empatię. Tak naprawdę pochłaniają ją praca i romans. Dziś rano podsłuchałem jej rozmowę w łazience, bo od jakiegoś czasu zawsze zabiera telefon właśnie tam. Przebijający się przez szum wody chichot i kilka czułych słówek. Przez chwilę zastanawiam się, kim on jest. I wytłumaczenie jest tylko jedno. To jakiś młody, ambitny wilczek z agencji nieruchomości. Widziałem ich zdjęcia na stronie internetowej. Profesjonalne uśmiechy, białe koszule i białe zęby. Wszyscy młodszy od niej co najmniej o dziesięć lat. Dlatego tak pokochała tę pracę, dlatego tak się wkręciła. Wsiadam z windy i rozglądam się niepewnie po klatce schodowej. Nie ma już nekrologów mojego ojca, które wisiały na każdym piętrze i które musiała rozwiesić ta uczynna, pulchna sąsiadka. Jakieś dzieciaki zbiegają z wrzaskiem po schodach. Na drzwiach mieszkania ojca nie ma już policyjnych taśm. Rozglądam się jeszcze raz. Wciąż mam wrażenie, że ktoś obserwuje mnie przez wizjer. Na piętrze są jeszcze trzy mieszkania. Nie mam pojęcia, dlaczego naciskam dzwonek do drzwi Wandy Bielendy. Serce zaczyna walić mi jak szalone, gdy słyszę jakieś szuranie. Otwiera mi kobieta, której uroda zapiera mi dech w piersiach. Długie, ciemnoblond włosy, pieprzyk nad górną wargą, pełne usta, mały nos i duże piersi. Kolorowa sukienka na ramiączkach. Pięknie opalona, ozdobne koła w uszach.

– Słucham?

– Dzień dobry. Nazywam się Maksymilian Hoffman. Myślałem, że tu mieszka pani Wanda Bielenda? Była sąsiadką mojego zmarłego ojca... Słyszałem, że zaginęła. Zajmowała się moim tatą przed jego śmiercią. I chciałem zapytać, czy cokolwiek wiadomo?

– Nadal nic nie wiemy. Proszę wejść.

Odsuwa się, żeby wpuścić mnie do środka. Zastanawiam się, kim, do cholery, jest ta zajebista laska? Czy syn Wandy wynajął to mieszkanie? To rodzina? Mieszkanie jest wysprzątane i wywietrzone. Dostrzegam uchylone drzwi do pokoju, w którym jeszcze niedawno mieszkała moja Alina. W dużym pokoju drzwi balkonowe otwarte na oścież, jakieś teczki na stole, rozrzucone zdjęcia. Siadamy w fotelach naprzeciwko siebie.

– Nazywam się Iga Bernard. Jestem partnerką Andrzeja, syna Wandy. Bardzo się o nią martwimy. Minęły trzy tygodnie i policja wciąż nic nie wie.

– Policja sprawdziła monitoring okolicznych ulic, dane logowania telefonu, użycie kart kredytowych, zgłoszenia ze szpitali dotyczące wypadków?

– Tak. Wanda pobrała dużą kwotę z konta dwa dni przed zniknięciem. Jej telefon znaleziono w koszu na śmieci przy bulwarach wiślanych. Jej płaszcz, w kieszeni którego był portfel, leżał w krzakach pod mostem Poniatowskiego. Wczoraj Andrzejowi przekazano tę informację i... boimy się, że... wszystko wskazuje na to, że popełniła samobójstwo.

– Bardzo mi przykro. Czyli nie wyjechała? Nie zabrała walizki, nie spakowała się? Tylko po co ten płaszcz latem?

– Nie wiem. Dziwi nas tylko to, że dwa dni wcześniej wypłaciła z banku czterdzieści tysięcy. Może chciała wyjechać, ale ktoś na nią napadł? Bo tych pieniędzy w portfelu nie było.

– A monitoring nad Wisłą?

– Sprawdzają. To wiele godzin nagrań. Mamy wielką nadzieję, że nie skoczyła z mostu, bo są one monitorowane na bieżąco... ale mogła nocą wejść do wody.

– A telefon?

Iga Bernard zakłada nogę na nogę. Ma na stopach piękne błękitne sandały na koturnie. Wąskie rzemyki oplatają opalone łydki. Andrzej Bielenda jest, kurwa, zajebistym szczęściarzem, skoro na niego poleciała. Chciałbym z nim porozmawiać, wygarnąć mu parę rzeczy. Na przykład to, że powinien lepiej zajmować się matką, która najwyraźniej ma nierówno pod sufitem.

– Wiadomo, do kogo zadzwoniła po raz ostatni przed zaginięciem?

– Tak. Ostatni telefon był do pana.

IGA

15 LUTEGO – ŚRÓDMIEŚCIE (WARSZAWA)

Dostrzegam jego wysoką, muskularną sylwetkę. Rozpoznaję płaszcz z wielbłądziej wełny. Przepycha się przez tłum ludzi w komisariacie na Dzielnej, zdenerwowany, z oczami zaczerwienionymi z niewyspania. Zrywam się krzesła, na którym przycupnęłam po przesłuchaniu. Mam ślady krwi na płaszczu, rozmazany makijaż. Gniotę kapelusz w dłoniach, z trudem powstrzymuję łzy.

– Iga?! – Przytula mnie tak mocno, że tracę na sekundę oddech.

Ogląda moją twarz, marszczy brwi.

– Coś ci zrobili?! To twoja krew?!

– Nie! Nic mi nie jest.

Jest szósta rano. Sobota. Karnawał. Warszawa się bawi. Nie mam pojęcia, dlaczego, gdy zaatakowano mnie i Daniela, na placu Zamkowym nie było żadnego patrolu. Karetka zabrała Wierzbickiego na chirurgię na Barską i nie odbiera telefonu. Wiem, że będę miała problemy, bo jeden ze skurwieli, którzy nas otoczyli, może przeze mnie stracić oko. Zaproponowałam im seks w bramie. Po kolei. Ale najpierw poprosiłam o butelkę piwa. I o małe sam na sam z tym najwyższym, którego tatuaże na łysej czaszce tworzyły dziwaczne kręgi. Wciąż jeszcze czuję jego ślinę na szyi. Wypiłam pół butelki z nim na spółkę. Obrzydliwe, tanie piwo. Rozpięłam mu spodnie. Kucnęłam. Zarechotał, opierając się o ścianę kamienicy ozdobioną ogromnym graffiti. Błyskawicznie odwróciłam butelkę. Uderzyłam o płytę chodnikową i zrobiłam zamach. Celowałam między jego oczy. Resztki piwa zmieszały się z jego krwią. To wszystko chlusnęło także na mnie. Cała śmierdzieć. Żółto-czerwone zacieki na moim płaszczu wyglądają jak skrzydła motyla. Uciekłam głębiej, za bramę, w stronę podwórka, które okazało się pułapką. Wszędzie domofony, których przyciski włączałam trzęsącymi się palcami, krzycząc jak oszalała. Udało mi się uruchomić telefon. To ich wystraszyło. Rozpierzchli się po Starówce, nie próbując nawet ratować krwawiącego w bramie kumpla. Bałam się tylko o Daniela. I wezwałam karetkę tylko do niego.

– Nic mi nie zrobią – kończę swoją opowieść, gdy Andrzej jest coraz bledszy. – Powiedziałam policjantom, że leczyłam się psychiatrycznie, jak miałam siedemnaście lat. Na oddziale zamkniętym. Mam stare karty wypisu. Sam przecież wiesz!

– Zadzwoń do znajomego adwokata. To była samoobrona. O nic nie mogą cię oskarżyć! Na pewno żaden z nich nic ci nie zrobił?!

Potrząsam głową. Przytula mnie. Przez chwilę siedzimy w milczeniu.

– Przepraszam. Wiem, że życie ze mną to huśtawka. Jeżeli się rozmyśliłeś, jestem to w stanie zrozumieć.

– Wiesz, co do ciebie czuję. Myślałam, że to ty masz wątpliwości? Umówiłaś się z innym, spędziłaś z tym facetem pół nocy.

– W pubie! Gadając o pierdołach i słuchając występu jakiegoś zespołu! Nienawidzę być ignorowana! Zapraszasz do swojego życia obce osoby, a ja... Kim dla ciebie jestem?! No kim?!

– Wszystkim! Przez pół nocy zastanawiałem się, gdzie jesteś! Jeżeli chcesz mnie ukarać, to nie wyłączaj chociaż telefonu, bo to nieludzkie! Dzwoniłem do Olgi. Też się o ciebie bała.

Robi mi się głupio. Ze zmęczenia ślaniam się na nogach. Gdy szukamy samochodu, który Andrzej zaparkował na tyłach placu Bankowego, dostaję wiadomość od Daniela.

Waleczna z ciebie laska. Dzięki. Mam wybity ząb i pękniętą wargę. Wypisałem się na własne życzenie, bo po chuj mi badanie krwi? Jadę do chaty. A po południu dentysta.

Wysyłam uspokajającą wiadomość Oldze. Andrzej na światłach kładzie mi dłoń na kolanie.

– Jestem zazdrosna, a to znaczy tylko jedno. Jesteś pierwszym w moim życiu mężczyzną, którego kocham. Będzie ci ze mną ciężko.

– Mogę powiedzieć to samo. Jest ci ze mną ciężko, i to czuję. I kocham cię jak wariat, Iga.

– To dlaczego nie powiedziałeś mi ani słowa, że wtajemniczyłeś Dembską w sprawy swojej matki? Dlaczego zamknęliście mi drzwi przed nosem? Może także chciałabym wiedzieć, co się dzieje? W końcu to twoja matka! Najbliższa ci osoba!

– Ty jesteś najbliższą mi osobą – mówi, parkując samochód pod naszą kamienicą. – Nie powiedziałem ci, że... że płacę jej sublokatorce, żeby ją obserwowała, żeby była czujna, uważna na to, kogo zaprasza i co robi... bo mi jest głupio. Po prostu. Wydawało mi się, że ta dziewczyna zadzwoni do mnie może raz w miesiącu, może dwa. Nie przypuszczałem, że wpadnie do nas bez uprzedzenia.

– Co chciała ci powiedzieć? Co to była za jakaś cholerna tajemnica?!

– Przeraziła ją kłótnia mojej matki ze znajomymi. Nocna awantura.

– Pili? To była jakaś libacja?

– Na szczęście nie. Ale nie wiem, jak długo moja matka wytrwa w trzeźwości. Dlatego cieszę się, że ta dziewczyna u niej mieszka. Co jakiś czas sprawdza jej szafki, półki, kosz na śmieci, piwnicę. Wiesz, czego szuka.

– Wiem. Tylko jest jeden problem.

– Jaki problem?

– Nie wiem, czy możesz ufać tej dziewczynie. Straciła dla ciebie głowę.

KSENIA

18 LUTEGO – BIELANY (WARSZAWA)

Stawiam przed nim filiżankę z kawą na trochę rozchybotanym małym stoliku. Olgierd rozsiada się na krześle w moim pokoju w mieszkaniu pani Wandy i od razu przestrzeni jest jakby mniej, ściany się kurczą. Poci się w wełnianym swetrze, więc przykręcam kaloryfer.

– Ona jest w mieszkaniu? – pyta cicho.

– Kto?

– Ta stara, z którą mieszkasz?

– Nie mów o niej w taki sposób. Nie ma jej. Wyszła po zakupy. Proponowałam, że je za nią zrobię, bo jest strasznie ślisko, ale jest okropnie uparta.

– Bardzo dobrze, że jej nie ma. Musimy się zastanowić, co zrobić.

– Z czym?

– Czemu jesteś taka rozkojarzona? Zakochałaś się? – wzdycha i wyjmuję z kieszeni dzinsów brązową, niewielką kopertę. – To jest ten list, który znalazłem w szafce Beaty, i może lepiej, żebyśmy nie zostawiali na nim odcisków palców.

– Dlaczego?!

– Bo ktoś grozi jej śmiercią! Sama przeczytaj!

Zakładam moje wełniane, śmieszne rękawiczki i wyjmuję sporą kartkę z koperty. Wydrukowany na niej tekst wygląda trochę jak wiersz. Ktoś wybrał dziwaczny, ozdobny, staromodny krój pisma.

– Jak się umiera przez powieszenie, gdy pętla zaciska się na szyi, a oddech staje się skarbem, o który walczysz? Jak się umiera, gdy wiesz, że śmierć jest karą za to, że nie robisz tego, co powinnaś zrobić, żeby ocalić nas wszystkich? Jak się umiera ze świadomością, że mogłaś zrobić dużo, a nie zrobiłaś nic? Czy jesteś z nami, czy przeciw nam? Czy wiesz, że jedyną karą za takie zachowanie jest śmierć? Bo my nie zapominamy. Nie wybaczymy. Śmierć bolesna jest karą. To twoja kara za bunt. Nie wygrasz. Nie schowasz się nigdzie. Ucieczki nie ma. Zdechniesz – wvczytam na głos lekko schrypniętym głosem. – To jakiś głupi żart!

– Żart? Czyli ktoś ewidentnie, mówiąc eufemistycznie, nie lubi naszej najlepszej uczennicy, bo jak połączysz to z powieszonym szczurem... wisiał na drucie. W szafce było pełno krwi, ale koperta z listem była w foliowej torebce przyklejona od wewnątrz.

– Sam mówiłeś, że tę szafkę łatwo otworzyć, bo drzwiczki się wygięły. To idiotyczny żart! Nie mów ani słowa Beacie, bo wiesz, w jakim ona jest stanie! Mam wielką nadzieję, że zjawi się

na studniówce, ale nie możemy...

– Wiem, kto to zrobił. Przecież na szkolnych korytarzach jest monitoring. Pogadałem z cieciem, a on z agencją ochrony.

– Dyrektorka wie?!

Znowu usłyszę, że nie nadaję się na wychowawczynię, bo zapewne cały ten idiotyczny żart z listem i szcurem to pomysł którejs z złośliwych koleżanek Beaty. Przecież dostawała już od nich obrzydliwe esemesy!

– Nie wie! Ani cieć, ani faceci z agencji ochrony nie chcą mieć żadnych problemów. Powiedziałem im, że to pewnie żart jednego z gówniarzy, i zgadzali się ze mną, dopóki nie obejrzelśmy filmu z monitoringu...

– Bo?!

– Bo, kurwa, żaden uczeń tego nie zrobił!

– Ktoś z zewnątrz! Ktoś z innej szkoły?! Niedaleko jest podstawówka...

– Uważasz, że takich sformułowań, jak w tym liście, mógłby użyć jakiś uczeń z podstawówki?

Nie! To ktoś z naszej kadry pedagogicznej!

– Zwariowałeś?!

– Też myślałem, że mam jakieś przywidzenia! Na filmie widać tylko jedną osobę, która otwiera szafkę Beaty o siódmej osiemnaście rano! I ta osoba miała habit!

– Niemożliwe! Ona?!

– Tylko jedna z naszego cudownego grona pedagogicznego nosi habit, prawda? Siostra Joanna Soliman.

To nie mieści mi się w głowie! Siostra zakonna, która uczy religii w naszym liceum od trzech lat?! Pulchna, sympatyczna, dowcipna. Zanim ją zatrudniono, frekwencja na lekcjach religii była śladowa. Ale zjednała sobie spore grono nawet tych wątpiących. Nie ma osoby, która by jej nie lubiła, bo jej nie da się nie lubić. Prowadzi szkolny chór, który odnosi sukcesy, bo ma doskonały słuch, głos i świetnie gra na gitarze. Siostra Joanna?!

– Porozmawiajmy z nią... ale może widziałeś na monitoringu kogoś innego w habitcie?

– Nie! Obejrzałem ten film na zwolnionych obrotach kilkanaście razy. Rozpoznałem jej twarz.

MAKS

7 CZERWCA – BIELANY (WARSZAWA)

W mieszkaniu mojego ojca panuje potworny zaduch. Otwieram szeroko okna. Staram się nie patrzeć w kierunku starej kanapy, na której znaleziono to, co z niego zostało. Chcę wziąć tylko dokumenty i zdjęcia. Całą resztą zajmie się firma sprząająca. Oczywiście policja zabrała jego laptop oraz telefon i zapewne szybko tego nie odzyskam. Zaczynam wpadać w panikę, gdy widzę na małym stoliku oprawione zdjęcie moje z Darią i dziećmi. A więc umarł, patrząc w twarz swojego jedynaka, który go zawiódł. Znowu boli mnie serce. Rozpinam dwa guziki koszuli pod szyją. Boję się siadać na czymkolwiek w jego mieszkaniu. Wszędzie może być jego krew. Albo robactwo, albo larwy, dla których zwłoki rozkładające się w upale to... Słyszę dzwonek do drzwi. Zaskoczony spoglądam przez wizjer, wycierając spocone czoło. To Iga Bernard, z którą pożegnałem się pięć minut temu. Też spogląda w ten cholerny wizjer, czując, że ją obserwuję. Trochę kpiący uśmiech, przepięknie zarysowane piersi pod delikatną sukienką w stylu boho. Otwieram natychmiast.

– Pomyślałam, że nie powinien pan być teraz sam.

– Wszystko jest w porządku.

– Czyżby?

Znowu czuję jej orientalne perfumy. Mam ochotę przycisnąć ją do ściany i zerznąć na stojąco, ale tylko uśmiecham się nieśmiało.

– Szkoda, że żona z panem nie przyjechała. Nie powinien pan być teraz sam – odzywa się melodyjnym głosem, rozglądając się po salonie. – A więc pana ojciec umarł tutaj?

– Tu go zamordowano.

– Myśli pan, że to Wanda? Albo ktoś, kogo znali oboje?
– Nie wiem. Już nic nie wiem. Chciałbym porozmawiać z pani partnerem... z panem Andrzejem, bo nie mam pewności, ale możliwe, że już kiedyś się poznaliśmy...
Unosi piękne brwi. Mierzy mnie wzrokiem, który przeszywa mnie na wylot.
– Gdzie się poznaliście? Może na Mazurach? Andrzej zarządzał tam hotelem przez dwa ostatnie lata.
– Nie... wcześniej... dużo wcześniej... Chyba pochodzimy z tej samej miejscowości nad morzem. Wydaje mi się, że mój ojciec i jego matka poznali się lata temu w Janiszewie.
– Na jakiej podstawie tak się panu wydaje?
Nie mówię jej, co odkrył wynajęty przeze mnie prywatny detektyw. Nie chcę, żeby jej facet wiedział, że zacząłem naprawdę węszyć.
– Czy mogłaby mi pani podać chociaż adres mailowy pana Andrzeja?
Bez słowa sięga po długopis leżący na stoliku. Urywa skrawek gazety i pisze na nim adres mailowy Bielendy. Chowam kawałek papieru do kieszeni spodni. Obserwuję ją, jak kołysząc biodrami, kręci się po pokoju, w którym zamordowano mojego ojca. Bezczelnie pewna siebie, roztaczająca wokół tak zmysłową aurę, że ciężko mi się skupić. Nie mam siły protestować. Chcę tylko na nią patrzeć.
– Co jest w tych szafkach? – Otwiera drzwi meblościanki ze sklejką, nie pytając nawet o pozwolenie.
Jej tupet mnie oszałamia. Tak jak pełne, sterczące pośladki, których widok mnie hipnotyzuje. Cały czas do mnie mówi. I wyjmuję z szafek i szuflad koperty, albumy i teczki.
– Powinien pan wszystko przejrzeć. Może tam znajdzie pan odpowiedź? Oboje jej szukamy, bo mnie także martwi to, co się stało. Policja sugerowała, że Wanda miała coś wspólnego ze śmiercią pana ojca, ale przecież wiemy, że to bzdura!
– Skąd niby to wiemy? – Opadam na kanapę, próbując nadażyć za tym, co do mnie mówi.
Marzę, żeby usiadła mi na kolanach i rozpięła mi spodnie. Żeby go ssała i bawiła się nim dłonią. Tak jak moja Alina. Tymczasem mogę tylko marzyć o niej i zastanawiać się, jaka jest w łóżku.
– Co to jest? – Rzuca jedną z wypchanych kopert na moje kolana. – To było w albumie. Może policja myślała, że to zdjęcia?
– A to nie zdjęcia?
– Chyba nie... Otwórz i sprawdź.
Nie pamiętam, żebyśmy przeszli na ty. Siada obok mnie na kanapie i zakłada nogę na nogę. Jej udo ociera się o moje i przeszkadza mi myśleć racjonalnie. Drżącymi palcami otwieram kopertę. Widzę mnóstwo banknotów. Zaczynam liczyć. Odkładam je na stolik. I liczę jeszcze raz. Czterdzieści tysięcy. Iga Bernard patrzy na mnie z pytaniem w oczach.

IGA

21 LUTEGO – TARCHOMIN (WARSZAWA)

Andrzej uparł się, że mnie zawiezie, i mam nieustające wrażenie, że nie przestał się martwić, czy mi nie odbija. Często przygląda mi się ukradkiem. Odwołał kilka biznesowych spotkań i przez to możemy spędzać ze sobą trochę więcej czasu. Dziś jedziemy do siedziby fundacji Demeter na Tarchominie, omijając korki i klucząc, bo nawigacja w jego telefonie zaczyna wariować.

– Dzwonił do mnie mój znajomy adwokat. Policja o nic cię nie oskarży. Powinni być ci wdzięczni. Facet, który uderzył Wierzbickiego, był poszukiwany za rozbój z użyciem niebezpiecznego narzędzia. Zatrzymali też czterech pozostałych, na razie na czterdzieści osiem godzin. Dzięki nagraniom z monitoringu. Każdy z nich coś ma za uszami, więc mam nadzieję, że posiedzą dłużej i... nie będą się mścić.

Parskam śmiechem.

– To jest dla ciebie śmieszne? Wiesz, jak to się mogło dla ciebie skończyć?! Jeszcze gorzej niż dla Wierzbickiego!

– Napadli na nas w centrum miasta, a nie w szczerym polu! Każdemu mogło się to zdarzyć! Poza

tym nie byłam sama.

– Byłaś z jakimś naćpanym aktorem, którego musiałaś bronić przed zgrają kiboli! Dlaczego tylko tobie zdarzają się takie sytuacje?! Na szczęście ten facet, którego uderzyłaś butelką, nie straci oka, ale zostanie mu blizna do końca życia.

– I bardzo dobrze! Nie rozumiem, o co masz do mnie pretensje? Miałam się nie bronić?!

– Cieszę się, że się broniłaś, ale wolałbym, żebyśmy byli w kontakcie, jak wychodzisz w nocy się zabawić.

– Pięknie to ująłeś. Poetycko! To zdanie zajebicie mnie ocenia! Gdy umawiam się na rozmowę ze znajomym o naszym projekcie, to znaczy, że „idę się zabawić”!

– Sporo wypiliście. I zapomniałaś, jak byłaś ubrana?

Znowu się kłócimy po kilku dniach względnego spokoju. Gdy ktoś chce mnie kontrolować, dostaję szału. Już tak mam.

– Ubrałam się tak dla ciebie! Zapomniałeś? Czy wygodniej ci nie pamiętać? Przygotowałam cudowne walentynki, ale mnie olałeś!

– Przepraszalem za to wiele razy.

Hamuje gwałtownie na światłach i prawie uderzam głową o szybę.

– Oszalałeś?! Co się z tobą dzieje?!

Przyglądam mu się przestraszona, bo go nie poznaję. Wciąż mam wrażenie, że coś ukrywa, że nie mówi mi wszystkiego.

– Co u twojej matki? Pisała do ciebie ta myszka?

– Jaka myszka?

– Wygląda jak myszka! Ta nauczycielka, która u niej mieszka.

– Nie pisała.

Na tyle go znam, żeby wiedzieć, jak się zachowuje, gdy nie mówi prawdy. Jak zmienia mu się głos, jak bledną mu policzki, jak mruży oczy. Gdy parkuje na ulicy, na której mieści się fundacja, i chce otworzyć drzwi samochodu, chwytam go za rękaw.

– Pokaż mi swój telefon!

– Słucham?

– Chcesz, żebyśmy sobie ufali? Ja także pokażę ci mój i poczytasz sobie wiadomości od Wierzbickiego. Neutralne. Zwyczajny kumpelski bełkot.

– Nie chcę tego czytać.

– Ale ja chcę przeczytać, co napisała ci ta dziewczyna, która podobno do ciebie wcale nie pisze!

Wyjmuje telefon z kieszeni płaszcz. Podaje mi hasło. To moje imię i nazwisko. Unoszę głowę zaskoczona. Przeglądam jego wiadomości. Jest tego mnóstwo, ale bez trudu znajduję te od Dembskiej, które oznaczył po prostu „Ksenia”. Pisz do niego codziennie. Marszczę brwi, rozpinam płaszcz.

– Iga, spieszyło ci się...

– Już mi się nie spieszy. – Przesuwam palcem po ekranie. – *Twoja mama dziś wstała o szóstej. Nie miała gości. Czysto. Zero butelek. Wiem, że trudno Ci z nią rozmawiać, ale chętnie pomogę, bo już mnie lubi. Może wpadłbyś w niedzielę? Najlepiej sam. Zaproponowałam, że upiekę z nią sernik. Ucieszyła się. Będziemy czekać obie.*

– Iga, to jest...

– Okłamałeś mnie! Tu jest twoja odpowiedź! Świetnie! Wpadnę w niedzielę o piętnastej. Rozumiem, że ukryłeś to, bo nie zostałam zaproszona?!

Rzucam mu telefon na kolana. Wsiadam z samochodu, trzęsąc się ze złości. Biegnie za mną i próbuje chwycić mnie za ramię.

– Chciałem dziś ci o tym powiedzieć!

– Nie wierzę! Nienawidzę kłamstw i nienawidzę kontroli. A wszystko to właśnie dostaję! Ten związek nie ma sensu! Wiem, dlaczego ta dziewczyna cię pociąga!

– Mówisz straszne bzdury! Nadajesz znaczenie rzeczom bez znaczenia!

– Może dla ciebie nie ma znaczenia, że mnie okłamujesz! Dla mnie ma!

– Bałem się kolejnej awantury! Ona pisze do mnie codziennie! Nie prosiłem jej o to!

– No właśnie! Przymiła się, a tobie to się podoba! Bo jest moim przeciwieństwem! Spokojna! Cicha! Normalna! Bo ja normalna nie byłam i nigdy nie będę!

Wchodzę do szarego, potężnego bloku, w którym teraz mieści się siedziba fundacji Demeter. Andrzej wpycha się do windy tuż za mną i czuję jego oddech na szyi.

– Porozmawiajmy spokojnie w domu.

– Nie mamy o czym. To nie ma sensu!

– Moja miłość do ciebie nie ma sensu?!

– A czy ma sens to, co ja czuję? Ma to dla ciebie jakieś znaczenie? Wiem, że czasem czuję za mocno, za bardzo, za intensywnie! Dlatego uwolnię cię od siebie... bo będziemy cierpieć oboje!

KSENIA

22 LUTEGO – OKĘCIE (WARSZAWA)

Hotel Mini Milord wygląda jak budowla ze snu szalonego architekta. Różowo-biała fasada, pofalowany dach, nowobogacki kicz, za metalowym płotem kawał pola, a dalej pasy startowe Lotniska Chopina. Studniówka w takim miejscu nie jest droga, a hotel oprócz widocznych gołym okiem wad ma także zalety. To na przykład wielka sala restauracyjna z ozdobnymi filarami, podest dla orkiestry i didżeja. Stół przeznaczony dla grona pedagogicznego ustawiono tuż obok stolika dyrekcji. Oczywiście nie wszyscy nauczyciele się pojawili, ale wychowawcy muszą być, w związku z tym siedzę tuż obok Olgierda w białego w niemodny garnitur. Dwa dni temu awansował na zastępcę wychowawcy mojej klasy, bo zdaniem dyrekcji zupełnie sobie nie radzę. Wiem, że mu głupio, ale nie mógł odmówić.

Ubrałam się elegancko, w czarną sukienkę do kolan z długim rękawem i czarne szpilki, ale makijaż chyba nie wyszedł mi za dobrze. Malowałam się w ostatniej chwili, bo całe dzisiejsze popołudnie spędziłam, próbując podsłuchać rozmowę w pokoju pani Wandy. Tym razem drzwi zostały szczelnie zamknięte i rozmawiali półgłosem. Naliczyłam dziewięć osób. Wszyscy ubrani na czarno. Kim oni są?! Niewiele od niej młodszy, przejęci, poważni. Doskonale wiedziała, że nie będzie mnie przez cały wieczór i pół nocy i dlatego ich zaprosiła. Dwie kobiety dojrzałam w kuchni, gdy zakładałam kozaki w przedpokoju. Szeptaly, rzucając mi podejrzliwe spojrzenia. Napisałam wiadomość Andrzejowi, że w mieszkaniu jego matki trwa dziwne spotkanie, ale nie mogę trzymać ręki na pulsie, bo muszę być na studniówce mojej klasy. Na razie nie odpisał. Może dlatego, że jutro ma wpaść na sernik, który mam upiec z jego matką. Gdy o tym myślę, serce wali mi jak oszalałe. Jestem wdzięczna losowi, że go spotkałam. Jest cudownym człowiekiem! Związał się tylko z nieodpowiednią kobietą i dlatego cierpi. Moim zdaniem to przez nią ma smutne oczy. Takie kobiety jak Iga Bernard po prostu bawią się mężczyznami. Nie wiedzą, czym jest miłość. Widziałam jej stronę w internecie, przeczytałam sobie jej wiersze. Straszna ekshibicjonistka. Bez żadnej moralności, bez zasad! Jeden z jej wierszy to ewidentnie hymn na cześć penisa jakiegoś mężczyzny, chociaż to słowo nie pada, ale można się domyślić. Zastanawiałam się, czy pisała to o Andrzejku? Gdy o tym myślałam wczoraj wieczorem, moja ręka znowu zabłąkała się pod koc i zaczęłam wsuwać sobie palec do środka. Zastanawiam się, jakim jest kochankiem... Czy jest delikatny, czy brutalny?

– Wcale się nie dziwię, że tego nie jesz. – Olgierd spogląda na łykowatego kurczaka z marchewką, którego nawet nie tknęłam.

– Chcesz moją porcję?

– Miałem nosa i na szczęście zjadłem kolację przed wyjściem z domu. Tani hotel równa się tanie żarcie.

Polonez na szczęście się udał i nasi maturzyści robią sobie zdjęcia przy zastawionych stołach, chichocząc nerwowo. Doskonale wiem, że dzisiejszy wieczór w hotelu Mini Milord ma być tylko preludium do prawdziwej imprezy, na którą zamierzają się wyrwać stąd koło północy. Spoglądam na twarze moich uczennic, na ich ostre makijaże, fantazyjne koki, kolorowe suknie wieczorowe. Zastanawiam się, dlaczego wszystkie odrzuciły Beatę, dlaczego nie ma wśród nich już żadnej przyjaciółki? Napisała mi wczoraj wiadomość, że jednak nie przyjdzie na studniówkę i zrobiło mi się bardzo przykro. Nie wspomniałam jej ani słowem o tym, co znaleźliśmy w jej szafce. Chcę najpierw

porozmawiać z siostrą Joanną Soliman. Nie wiem jeszcze, jak zacząć tę rozmowę, bo wciąż nie mogę uwierzyć w to, co zrobiła! Teraz siedzi na wprost mnie. Korpulentna, z mocno zaczerwienionymi policzkami, uśmiechnięta. Zagaduje nauczyciela matematyki, kończąc swoją porcję gotowanego kurczaka. Zawsze wydaje się w świetnym humorze. Dziś także z zapalem poprowadziła występ chóru.

– Szkoda, że jedna z moich uczennic nie zdecydowała się przyjść na studniówkę – mówię dość głośno i kilka osób spogląda w moją stronę.

Obserwuję reakcję siostry Joanny, ale widzę, że spokojnie wyciera usta serwetką i sięga po dzbanek soku.

– Mówisz o Beacie Sokolnickiej? – odzywa się dość głośno Olgierd, dotykając mojego kolana pod stołem.

– Tak.

– Jak ona się czuje? Nie doszła jeszcze do siebie po tym załamaniu nerwowym? – Kilka osób zarzuca mnie pytaniami.

Nauczyciele kochają plotkować o swoich uczniach, a tygodniowy pobyt najlepszej uczennicy w szpitalu psychiatrycznym to powód do niekończących się analiz i dywagacji. Siostra Joanna w ogóle nie zabiera głosu. W pewnym momencie bez słowa wstaje od stołu i przepycha się przez tańczący tłumek w stronę toalet. Szybko kończę rozmowę i idę za nią, mając nadzieję, że uda się nam porozmawiać w cztery oczy. Ale widzę, że omija toalety i prawie biegnie w stronę tylnego wyjścia. Otwiera szerokie, podwójne drzwi prowadzące na parking. Owiewa mnie lodowate powietrze.

– Siostro!

Nawet się nie odwraca. Wybiegam za nią na zewnątrz i dostaję ataku kaszlu, bo ostre, mroźne powietrze wdziera mi się do płuc. Siostra Joanna chwyta mnie nagle mocno za ramię. Przestraszona, odwracam się, bo ściska mnie tak, że syczę z bólu. Wskazuje jakieś sylwetki na parkingu. Gdy śnieg opada, zdumiona rozpoznaję Beatę w białym futerku i fantazyjnych kozakach uwieszoną na ramieniu mężczyzny w beżowym płaszczu. Łysiejący, uśmiechnięty pięćdziesięciolatek poprawia drogi szalik zamotany pod szyją. Jest w wieku jej ojca, ale wyglądają i zachowują się jak para. Roześmiani idą w stronę głównego wejścia do hotelu.

– Szatan zasiewa kłokol. Gromienie jego grzechu przewiny odkupi!

Jej szept wbija mi się w czaszkę. Nie jestem pewna, czy usłyszałam te słowa, czy to było przywidzenie? Przez moment czuję jej kwaśny oddech na policzkach. Jej uścisk słabnie. Bez słowa się odwraca. Znika wewnątrz hotelu. Przestraszona, wracam na salę restauracyjną, ale tam jej nie ma. Muzyka na chwilę przestaje grać. Milkną rozmowy. Roześmiana Beata w zielonej połyskującej wieczorowej sukni wchodzi na salę. Rozpoznaję mężczyznę, który jej towarzyszy. To aktor, o którym wspominała jej przyjaciółka. W ciemnym garniturze, z białą muchą. W ogóle nie przeszkadza im, że wszyscy się na nich gapią. Zaczynają tańczyć, gdy słychać pierwsze taktę *Can't Help Falling in Love* Presleya.

MAKS

8 CZERWCA – BIAŁOŁĘKA (WARSZAWA)

Czaszka pęka mi od wrzasków moich dzieciaków. Zapomniały już o prośbach Darii, żeby „nie męczyć tatusia, bo dziadziuś umarł”. Szarpia się na tylnym siedzeniu mojego samochodu, wpychając sobie gumę do zucia we włosy. Na szczęście, gdy parkuję przy bramie, milkną, nie mogąc się doczekać, żeby wydostać się na zewnątrz. Kupiłem im niedawno wielki, dmuchany basen i wynająłem faceta złotą rączkę z sąsiedztwa, który mi to cudo postawił w ogrodzie. Mam nadzieję, że Julia i Kacper za szybko go nie zniszczą i spędzą w nim, wrzeszcząc i oblewając się wodą, całe dzisiejsze popołudnie.

– Tato! Kim jest ta pani?! Znasz ją?! – Moja córka przylepia nagle nos do szyby i wywała język.

Dostrzegam Alinę tuż przy wjeździe do garażu i serce zaczyna walić mi jak oszalałe. Uśmiecha się beczelnie, ubrana w dżinsowe kuse szorty i czarny T-shirt zawiązany nad pępkiem. Gdy widzę jej opalony brzuch i chude ramiona, dziękuję losowi, że Daria jest na szkoleniu. Jestem pewien, że natychmiast domyśliłaby się, co czuję do tej dziewczyny.

- To znajoma z mojej firmy. Asystentka...
- Asystentka czego?
- Nie czego, tylko kogo, przygłupi głupku! – Julka wysiada z samochodu i podbiega do Aliny. –

Dzień dobry! Mamy lody! I tiramisu!

- Z przyjemnością skorzystam. – Alina mruga do mnie, podając jej rękę.

Wpuszczam dzieciaki do domu i mój uśmiech gaśnie.

- Po co, do cholery, tu przyszłaś?! Mogłem być z żoną!
- Ktoś mi niedawno mówił, że planuje rozwód?
- Muszę to zrobić z głową, bo mamy spory majątek do podzielenia.

– Coś ci pokażę. – Alina wyjmuje telefon i podsuwa mi pod nos. – Zrobione dziś przed południem.

Na zdjęciach jest para. Kobieta w bikini i jakiś brodaczek w markowych kąpielówkach rozłożeni przy niewielkim basenie, w tle nowoczesny budynek i parasole. Facet smaruje jej plecy balsamem. Na kolejnym zdjęciu wsuwa jej dłoń w majtki. To moja żona. Poznaję jej znamię na lewym udzie i fikuśne okulary przeciwsłoneczne.

– Uroczy hotel z basenem nad Zalewem Zegrzyńskim. Może to przerwa w szkoleniu, chociaż żadnych szkoleń dziś tam nie ma. Masz takie rogi, Maks, jak stąd do... – Alina, żując gumę, pokazuje mi kolejne zdjęcia.

- Skąd masz te zdjęcia?! Kto je zrobił?!

– Zrobił je ktoś, kto ma wobec mnie dług wdzięczności! Poprosiłam, żeby trochę pojeździł za twoją Daria.

- Nie rozumiem, kurwa, po co?!

- Po to, żebyś się szybko rozwiódł! Bo chcę cię mieć tylko dla siebie!

– Ciszej, Alina... – Rozglądałam się nerwowo. – Skąd, do cholery, ten człowiek wiedział, jak wygląda moja żona?!

– Misiu, nie zadawaj głupich pytań – śmieje się chrapliwie. – Powiedziałeś mi niedawno, w jakiej agencji nieruchomości pracuje twoja puszczańska Daria! Agencja Jax, nie?!

- Tak.

– Daria Hoffman, doradca do spraw nieruchomości! Zdjęcia i nazwiska agentów są na ich stronie. Twoja żona zajebiście na nich wygląda, ale fotki mocno przerobione. Zdradza cię i masz już dowody! Bez przerwy spędza czas z tym kolesiem z pracy, z tym swoim przydupasem! Namierzenie ich to nie był żaden problem! Mój kumpel pojechał za nimi, misiu, gdy skończyli prezentację apartamentu na Chłodnej! A wiedział o otwartej prezentacji tego wypasionego mieszkania, bo info było na ich stronie. Zrobił im po dwóch godzinach fotki przy basenie przez szybę, gdy sobie przysiadł w hotelowej knajpie nad Zalewem. Oczywiście mógłbyś mi jakoś podziękować!

- Za co?

- Teraz możesz wnieść pozew o rozwód z jej winy!

- Czulem, że od jakiegoś czasu daje dupy innemu, ale nie miałem żadnej pewności.

– Teraz masz! Ładna z nich para! Fajnie się ustawiła! Stary w domu z dziećmi, a ona luz-blues z kochankiem na oko od niej młodszym z dziesięć lat. Na pewno to trwa od dłuższego czasu. Rozwód musi być z jej winy! Nie bądź ciągle takim frajerem, Maks! Prześlę ci te fotki i melduj się u adwokata.

- Nie mam teraz głowy do tego... Niedawno pochowałem ojca...

- Chcesz z nią trochę pograć i zebrać więcej dowodów? Dobry pomysł!

- Dlaczego tak ci zależy, żebym się rozwiódł?

- Bo cię, kurwa, kocham! Chcę, żebyś był tylko mój! – Alina śmieje się chrapliwie.

- Ciszej... ciszej... Okna na taras są otwarte...

Rozglądałam się jeszcze raz. To koszmarnie uczucie odkryć, że się jest zdradzonym, chociaż przecież ja także zabawiałem się z inną kobietą. To jak odkrycie, że najbliższa ci osoba wbiła ci nóż w plecy i przekręca jeszcze rękojeść od czasu do czasu. Co z tego, że moja miłość do Darii to już przeszłość? Łączą nas dzieci i miliony wspomnień. A teraz kłamstwa. Moje i jej. Siebie z łatwością rozgrzeszam, bo jestem pewien, że to ona pierwsza zaczęła. Intuicja mnie nie myliła!

– Zaprosisz mnie do środka? Właśnie wyznałam ci miłość, a ty masz to centralnie w dupie!

– Jasne! Wejdz! – Staram się uśmiechnąć.

Na złość własnej żonie chciałbym się kochać teraz z Aliną na naszym małżeńskim łóżu, w naszej designerskiej sypialni, którą Daria urządzała wiele miesięcy. Ale tym razem w ogóle nie myślę o seksie. Myślę o bólu, który rozlewa się między moimi żebrami. I o ojcu. O jego tajemnicach, które nie dają mi spać.

IGA

22 LUTEGO – ŻOLIBORZ (WARSZAWA)

– Drobne kłamstwa zmieniają się w większe kłamstwa. Gdy widzisz, jak łatwo jest kogoś okłamać, brniesz w to dalej. Takie jest życie. Tacy są ludzie. Ty też taki jesteś – mówię, pakując walizkę.

Andrzej śledzi każdy mój ruch. Część moich ubrań wyrzuciłam z szafy na łóżko. Kolorowe sukienki w stylu boho, cygańskie spódnice, bluzki, swetry, bieliznę. Jest druga w nocy. Zrobił kolację, próbując coś tłumaczyć. Ale nie chciałam nic jeść, chociaż żołądek ścisza mi się z głodu.

– Przeprowadzę się na razie do mojej siostry. Potem znajdę coś większego.

– Chcesz mnie zostawić przez jakieś głupie kłamstwo?! Nic nie zrobiłem... Wiesz, że się staram... Kocham cię... Robiłem... Zrobię wszystko... Zaczęliśmy chodzić na terapię!

– Byliśmy tylko trzy razy, bo wiecznie nie miałaś czasu! Chyba podświadomie czułeś, że nasz związek jest bez szans! Oboje jesteśmy za bardzo pieprzni, za bardzo poranieni!

– Nie pozwolę ci odejść! Nie tak!

– Będziesz się ze mną szarpał?! Siłą mnie zmusisz, żebym została?!

Wrzucam ubrania byle jak do walizki. Mam już dość tłumaczenia. Muszę być jak najdalej od niego, bo zwariuję. Zastawia mi drzwi do przedpokoju. Na bosaka, tylko w dżinsach i w koszuli, której rękawy podwinął do łokcia. Dotykam jego ramienia.

– Przesuń się! Daj mi po prostu odejść bez hysterii... Nie bądź jak inni!

– Nie wiem, jacy byli inni! Ale chcę, żebyś mnie wysłuchała... Błagam, Iga, daj mi pół godziny...

Zrezygnowana siadam na łóżku. To jak déjà vu. Przeżywałam już taką scenę z innym facetem. Zawsze jest tak samo! Andrzej siada obok mnie. Działa na mnie jak zawsze. Gra mięśni na jego ramionach. Rozczochrane włosy. Drobne zmarszczki. Długie rzęsy.

– Wiem, że zawałem sprawę z terapią, ale wrócimy na nią! Zadzwoń do terapeutki i nas zapisz! Rozmawiajmy. Krzycz na mnie! Możesz mnie wyzywać, tylko nie odchodź, bo to mnie zabije!

– Przeżyjesz!

– Nie kpj! Wiem, że nie jest ci ze mną łatwo, ale staram się... Zrozum... Staram się otworzyć i mówić ci jak najwięcej... Ale wszystkiego nie mogę...

– O czym ty, do cholery, mówisz?! Nie mogłeś powiedzieć mi od razu, że Dembska codziennie zasypuje cię wiadomościami?!

– Chcę tylko, żebyś trzymała się jak najdalej od mojej matki.

– To bardzo miłe. Bardzo. – Wstaję z łóżka.

Natychmiast do mnie podchodzi. Obejmuje w talii.

– Nic nie rozumiesz! To dla twojego dobra!

– Andrzej, to jakaś paranoja!

Nie mam siły mówić, bo całuje mnie w usta. Wsuwa język pomiędzy moje wargi. Coraz mocniej, natarczywiej. Próbuję się wyrwać, ale jego ramiona oplatające moją talię są jak z żelaza. Dziwne ciepło rozlewa się między moimi udami.

– Chcesz pożegnalnego seksu? – pytam między jednym pocałunkiem a drugim.

Popycha mnie na łóżko. Wsuwa mi dłoń pod sukienkę, jednym ruchem rozrywając rajstopy. Rozpina dżinsy. Po chwili liże mnie w środku tak, że krzyczę. Jego język jest we mnie coraz głębiej. Coraz intensywniej. Gdy we mnie wchodzi i przysuwa moje biodra do swoich, dochodzimy w tym samym czasie. Opętani namiętnością, spoceni, ledwo żywi. Gdy leżę nieruchomo na łóżku, zaczyna gładzić moje włosy, szyję.

– Powiem ci coś, ale nie śmieję się ze mnie... Nie śmieję się jak inni... Kiedyś...

– Z czego mam się nie śmiać?

Milczy przez moment. Po chwili słyszę jego szept.

– Wiesz, czym jestem synem? Wiesz, dlaczego nigdy nie mówiłem ci o moim ojcu?

Zaskoczona potrząsam głową.

– Chcesz wiedzieć, kim był? Powiem ci... w końcu to z siebie wyduszę... Był księdzem w parafii Świętego Marcina w Janiszewie... Wiem, jak to brzmi... Dlatego moja matka piła przez tyle lat. Syn księdza! Widzisz, jakie to chore? Słyszysz?!

Ma szkliste oczy. Obejmuję go w pasie. Całuję w szyję.

– O tym bałeś się mi powiedzieć?

Teraz jest jak mały chłopiec, który się do mnie przytula, zanurzając twarz w moich włosach. Otwieranie się to dla niego zawsze bolesny proces. Zakopał w sobie wszystko. Miliony wspomnień. Mroczne dzieciństwo w niewielkiej miejscowości nad morzem i jego matka, samotna nauczycielka. Ksiądz organizujący spotkania co piątek. Dla wierzących dorosłych. Charyzmatyczny. Uważał, że kuria nie docenia jego pomysłów, miał ich mnóstwo – jak umacniać wiarę, jak ją przekazywać, jak oczyszczać ze złego. Organizował na plebanii ceremonie. Tak to nazywał. Zapraszał pary i młode kobiety. Mówił dużo. Zadziwiał teologiczną wiedzą i pasją, którą widać było w każdym geście i w jego oczach. Chciał oczyszczać ludzi z wszelkiego zła. Był pewien, że to możliwe. Ale wymagało to wielu spotkań. Czasem indywidualnych sesji.

– Poniosło go podczas jednej z nich i tak zostałem poczęty. Moja matka zaprzeczyła, gdy kiedyś zapytałem, czy to był gwałt. Ukrywała, kto jest ojcem jej dziecka, ale ludzie zaczęli się domyślać. Bo im byłem starszy, tym bardziej byłem do niego podobny, a ona przecież nikogo nie miała, ani męża, ani partnera. Mało pamiętam... wszystko jak przez mgłę. Miałem pięć lat, gdy nagle w nocy zdecydowała, że przenosimy się do Warszawy. Potwornie lało, jak wyjeżdżaliśmy. Tylko to pamiętam. I jeszcze to, że przy pakowaniu zginęło kilka wagoników mojej drewnianej kolejki. Strasznie rozpaczałem, bo wtedy marzyłem, żeby być maszynistą jak dziadek. Tylko to pamiętam. I słowa „bękart księdza”... co jakiś czas... w sklepie... na ulicy. Ojca nie pamiętam wcale... bo go w moim życiu nie było, chociaż mieszkał dwa kilometry od nas.

Przytulałam się do niego całym ciałem. To jeden z niewielu momentów, gdy mówi o sobie, bo nienawidzi tego robić.

– Nie wiem, co tam się działo po naszym wyjeździe. Chyba było jeszcze gorzej. Organizował jakieś dziwne ceremonie na wydmach. Jestem dzieckiem grzechu... dlatego jestem tak popierdolony... dlatego moja matka mnie nienawidzi. Zawsze mi się wydawało, że pije przeze mnie. Bo musiała mnie urodzić, a nie chciała.

– Może ona cię nienawidzi, ale ja cię kocham. Może oni też się kochali? Tego przecież nie wiesz?

– Ona w ogóle nie chce o nim rozmawiać. Nigdy nie widziałem jego zdjęć. Noszę jej panięskie nazwisko. Gdy byłem na studiach, próbowałem go szukać. Bez skutku. Zniknął z Janiszewa trzy miesiące po naszym wyjeździe. Nie wiem, gdzie go przenieśli. W metryce zamiast ojca mam NN. Żałuję, że ci nie powiedziałem wcześniej, ale bałem się, że będziesz przerażona. Pół dzieciństwa spędziłem w domu dziecka, bo ona w ogóle sobie nie radziła, i jeszcze taki ojciec... Sama powiedziałaś, że jestem popierdolony.

– Bo byłam wściekła... tylko dlatego... Skończyłeś dwa kierunki studiów... robisz karierę! To, co przeżyłeś jako dziecko, nic w tobie nie zniszczyło. Zbudowało cię. Jesteś cholernie ambitny... i czuły. Odziedziczyłeś po rodzicach tylko to, co najlepsze. Twoja matka przecież już nie pije.

– Widziałem ją na rauszu chyba trzy lata temu. Nie mam pojęcia, jak udało jej się rzucić chłanie po tylu latach?

– Jest silna. I masz to po niej. A twój ojciec... Sam mówiłeś, że miał charyzmę. Może naprawdę się kochali, ale on nie chciał odejść z Kościoła. Może dlatego twoja matka miała dość i wyjechała?

– Tak... tak mogło być... Mów do mnie jeszcze, Iga... Proszę cię, mów do mnie...

Szeptę mu do ucha, że jest wspaniałym człowiekiem. Tylko niech nie kłamie. Niech nie boi się moich ataków złości, bo czasem nad sobą nie panuję. Słucha mnie uważnie. Rozpinają mi sukienkę. Drżą

mu palce, gdy szarpie guzki na wysokości moich piersi. Kochaliśmy się prawie całkiem ubrani. Teraz już nie myślimy o seksie. Chcemy, żeby nasze nagie ciała wtuliły się jedno w drugie. Poczuły swoje ciepło. Gdy nie mamy już nic na sobie, nakrywam nas białą, puchową narzutą. Andrzej zasypia natychmiast, obejmując mnie w talii. Jest wykończony. Syn księdza? Nie jestem wierząca. Nie wierzę już w nic. Oprócz miłości.

KSENIA

23 LUTEGO – OKĘCIE (WARSZAWA)

Szumi mi w głowie, chociaż nic nie piłam. Jest pierwsza w nocy i studniówka dawno powinna się skończyć. Dyrektorka i jej zastępczyni zmyły się trzy godziny temu. Menedżer hotelu podszedł do naszego nauczycielskiego stolika i zagadał trochę beczelnie, że młodzież się zrzuciła i chcą, żeby zabawa trwała do drugiej w nocy, i co my na to. W kuchni jest jeszcze zapas pierogów i coli, a oni chcą tańczyć, bo jak mówią, didżej jest zajebisty. Oczywiście część kadry była przeciw, a część za. Zauważyłam, że niektórym dziwnie błyszczą oczy. Jestem pewna, że dyskretnie pomieszalili soki z czymś jeszcze i nas zakrzyczeli. Ustaliliśmy, że powiemy dyrektorce dopiero w poniedziałek. Zresztą czy przedłużenie studniówki o dwie godziny to zbrodnia? Przecież nasza młodzież bawi się kulturalnie. Tańczą, robią zdjęcia, śmieją się, nagrywają filmiki. Bez problemu każdy z nich wyjął z portfela stówę, żeby przedłużyć zabawę. Uparli się, że nauczyciele nie powinni płacić.

– Czy mogę poprosić do tańca panią profesor? – Bartek Michalski staje przede mną i szeroko się uśmiecha.

To najgorszy uczeń w mojej klasie, ale swoje braki nadrabia poczuciem humoru.

– Tylko żadnych zdjęć! – śmieję się i wychodzę z nim na parkiet.

Kocham tańczyć i świetnie czuję rytm. Kilka osób bije nam brawo. Olgierd także. I aktor, który przyszedł z Beatą. Po chwili udaje mi się porozmawiać z nim przy szwedzkim stole, na którym zostały już tylko resztki.

– Chciałam się panu przedstawić... – próbuję przekrzyczeć muzykę.

– Wiem, kim pani jest. Oskar Fijał. Mówmy sobie na ty.

– Widziałam serial, w którym pan gra. Chciałam tylko powiedzieć, że martwiłam się o Beatę, wszyscy się martwiliśmy, i cieszymy się, że czuje się lepiej.

– Beata jest dorosła.

– Tak od pół roku mniej więcej.

– Czy mi się wydaje, czy wtrąca się pani w prywatne sprawy swojej dorosłej uczennicy?

– Nie wtrącam się. Chciałam tylko się upewnić, czy pan zdaje sobie sprawę...

– Zdaję sobie sprawę, że nasz związek budzi niezdrową sensację. Niepotrzebnie pani się tym przejmuje. Proszę zająć się swoimi uczniami, którzy mocno przeginają, wciągając coś w toalecie.

– Słucham?!

Zostawiam go i wybiegam z sali restauracyjnej. Przerażona zaglądam do męskiej toalety. Pusta. Uspokojona otwieram drzwi do damskiej i zamieram. Grupa moich uczennic otacza przerażoną Beatę, która klęczy na posadzce. Ma rozmazany makijaż i ślady łez na policzkach. Podarte rajstopy, jej szpilki z połamanymi obcasami leżą rzucone pod jedną z umywalk. Jagoda, śmiejąc się, macha jej przed nosem nożyczkami do paznokci. Widzę, że obcięły już jej trochę włosów, bo pełno ich na posadzce.

– Chryste! Co wy robicie?! Przestańcie!

Odpycham Jagodę, która chce obciąć Beacie kolejny pukiel włosów.

– Zostawcie ją w spokoju! Wszystkie będziecie miały kłopoty! Wynoście się stąd!

Obejmuję trzęsącą się od płaczu Beatę. Sprawdzam jej ramiona, szyję, policzki, czy nie pokaleczyły jej nożyczkami.

– Nic nam pani profesor nie udowodni. – Jagoda spokojnie myje dłonie przy umywalce i rzuca spojrzeń w lustro. – Nasze słowo przeciwko pani! Beata też nic nie powie!

– Wyjdź stąd! Zabawa skończona!

– Impreza dopiero się zaczyna!

Trzaskają drzwi toalety. Słyszę ich chichoty na korytarzu.

MAKS

9 CZERWCA – ŚRÓDMIEŚCIE (WARSZAWA)

– Udało mi się uzyskać dostęp do maili pana ojca – mówi Janicki, podsuwając mi szklanę z wodą. – Dobrze się pan czuje? Żle pan wygląda.

– To przez upał i brak snu.

Macham lekceważąco ręką. Udało mi się wyrwać do niego w przerwie na lunch, bo w firmie mamy sajgon, a ja rzeczywiście ostatnio stałem się mało kreatywny i prawie się nie odzywam. Podziwiają mnie, że wróciłem do roboty. Zapewniłem ich, że to dla mnie najlepsza terapia.

– Odkrył pan coś interesującego? Mam cholernie mało czasu. Urwałem się z pracy.

– Rozumiem. Ogólnie rzecz ujmując, pana ojciec bardzo rzadko używał poczty mailowej. Zapewne z racji wieku. Odkryłem jednak coś zastanawiającego. Na tydzień przed śmiercią zaczął wysyłać krótkie wiadomości na następujący adres: andrbiel@gmail.com.

Wpatruję się w niego zszokowany. To adres, który napisała mi na skrawku gazety Iga Bernard.

– To mail Andrzeja Bielendy! Czego od niego chciał? Wiedział, że Wanda ma syna? Miał z nim kontakt?

– Na pewno próbował nawiązać z nim kontakt. Jednak nie znaleźliśmy żadnej odpowiedzi pana Andrzeja. Być może wiadomości pana ojca wpadły mu do spamu.

– Co w nich było?!

– Wydrukowałem je dla pana. Proszę przeczytać je na spokojnie i skontaktować się z panem Andrzejem. Oczywiście proszę nie wspominać mu, że my także go sprawdzamy. Ale potrzebujemy nieco więcej czasu. Sprawa jest dużo bardziej skomplikowana, niż sądziłem. W miejscu, w którym ostatnio pracował, popełniono przestępstwo. Śledztwo cały czas trwa i sprawa jest częściowo utajniona. Za kilka dni wyjeżdżam z moim współnikiem do Janiszewa. Zamierzamy spędzić tam trzy dni. Oczywiście będę pana informował na bieżąco.

Przesuwa w moją stronę dwie zadrukowane kartki. Wpycham je do kieszeni lnianej marynarki i po chwili wychodzę na załaną słońcem ulicę. Wolnym krokiem wlokę się Chmielną, nie zwracając uwagi na roześmiane tłumy z dziećmi i psami, na gwar, na muzykę z okolicznych ogródków kawiarnianych. Na Nowym Świecie wpadam do jakiegoś baru serwującego wyłącznie wódkę. Zamawiam dwie setki i zaczynam czytać.

KSENIA

23 LUTEGO – BIELANY (WARSZAWA)

Spałam tylko trzy godziny. Wyglądam strasznie. Zapuchnięta od płaczu, z nieumytymi włosami, próbuję przygotować sobie kawę w kuchni pani Wandy. Nie mogę przestać myśleć o tym, co się stało w nocy podczas studniówki. Beata nie chciała, żebym komukolwiek powiedziała, co zrobiły jej koleżanki z klasy. Zaczesałam jej włosy tak, żeby nie było widać tych krzywo obciętych tuż nad uchem, i przyniosłam jej kozaki z szatni. Cały czas przekonywałam ją, że nie możemy tego tak zostawić. Ale ona się uparła. Jeżeli nagłośnię sprawę, to nie wróci do szkoły. Nie podejździe do matury.

Po powrocie na salę restauracyjną wzięłam do ręki mikrofon i ogłosiłam koniec studniówki. Usłyszałam jęki zawodu, jakieś prośby, ale byłam na nie głucha. Jagoda i jej przyjaciółki gdzieś zniknęły. Olgierd był przy mnie cały czas i odwiózł mnie do domu.

Pani Wanda zagląda do kuchni. Włosy uczesane w piękny kok, oryginalne kolczyki, błękitne cienie na powiekach, błyszczący na wargach.

– Miałymy upiec ciasto... ale ja chyba nie dam rady – wzdycham.

– Młodzież dała pani w kość? Wiem, co to znaczy. Sama byłam nauczycielką. W dodatku to było żeńskie liceum. Dorastające dziewczyny... co ja ci będę mówić...

– I jak sobie pani z nimi radziła?

– Metodą kija i marchewki, kochanie. Konsekwencja przede wszystkim. Ale także nagrody. Jeżeli zasługiwały. Rozumiesz?

– Tak.

– Mój syn niedługo wpadnie i mam nadzieję, że zjesz z nami. Sernik kupię w cukierni. Możemy mu wmówić, że razem upiekliśmy. I tak nie zauważy różnicy. Nie jest wielkim amatorem słodczy.

– Zauważyłam... To znaczy... Jest szczupły, wysportowany.

– Przyjrzałaś mu się? To bardzo dobrze.

– Dlaczego dobrze?

– Pasujecie do siebie. Ta kobieta, z którą jest... Widziałas ją! Te kapelusze, ten makijaż! Jej się wydaje, że kim niby jest?!

– Chyba jest poetką.

– A co to za zawód?! Udaje artystkę. Jej energia i jej ciało... To go pociąga, ale to go zniszczy. Ta kobieta kocha gry z mężczyznami. Manipuluje nimi. Nim też. A teraz umaluj się i załóż sukienkę. Krótką. I perfumy!

Nie mówię jej, że nie mam już perfum i nieprędko kupię nowe, bo oszczędzam. Marzę o własnym mieszkaniu. O kawalerce na zadupiu. Może być mikrokawalerka. Ale na razie muszę mieć wkład własny, a ceny mieszkań szybują w górę. O trzeciej po południu słyszymy dzwonek do drzwi. Uśmiechnięta otwieram i zamieram. Widzę ich oboje. Ona w beżowym kapeluszu z szerokim rondem i w eleganckim płaszczu, który ma kołnierz obszyty sztucznym futrem. On nieśmiało uśmiechnięty z dwoma bukietami i pudełkiem z logo drogiej, włoskiej cukierni.

– Dzień dobry. – Iga uśmiecha się w moim mniemaniu złośliwie. – Zastaliśmy panią Wandę? Możemy wejść?

Od razu daje mi do zrozumienia, że się nie liczę, że przyszli tylko do niej. Jestem tu chyba tylko po to, żeby zabrać od nich płaszcze i zaprowadzić do salonu. Pani Wanda wita się z nimi, ukrywając zaskoczenie. Także myślała, że Andrzej przyjdzie sam.

– Usiądź z nami, Ksenia. – Mam wrażenie, że w głosie Igi brzmi kpiący ton.

– Nie chciałabym przeszkadzać. To rodzinne spotkanie.

– Nie do końca rodzinne. – Pani Wanda rzuca szybkie spojrzenie dziewczynie syna.

Iga udaje, że nie widzi jej zmarszczonych brwi. Zdejmuje kapelusz, potrząsa głową tak, że długie, ciemnoblonde włosy rozsypują się na jej ramiona. Piękna, kolorowa sukienka opina jej ciało. Podkreśla biust, talię, biodra. Gdy siada obok Andrzeja, on od razu chwytą ją za rękę. Uzależniła go od siebie. Mogę tylko obserwować ich i cierpieć. Widzę, jak jego kciuk lekko gładzi skórę na jej dłoni.

– Chciałabym zaprosić panią... a także Ksenię oczywiście... na premierę spektaklu złożonego z moich wierszy. – Iga wyjmuję z małej torebki ozdobne koperty.

– Czyli twoja kariera nabiera tempa? Oplaca się być poetką w dzisiejszych czasach? – Pani Wanda spogląda na nią, marszcząc brwi.

– Nie wiem, co to znaczy „opłaca”. Robię to, co kocham. I cieszę się, że to podoba się także innym.

– Jeszcze tego nie wiesz, bo przecież tomik twoich wierszy będzie miał premierę za dwa tygodnie.

– Mamo... – Andrzej krzywi się.

Jest spięty. Wyczuwam to natychmiast. Obracam zaproszenie w dłoniach. Czytam, kto wyreżyserował to widowisko i kto bierze w nim udział. I przeżywam szok!

– Oskar Fijał?!

– Kojarzysz go? – Iga uśmiecha się do mnie uprzejmie. – Myślałam, że Daniel Wierzbicki jest bardziej znany.

– Oskar Fijał był na studniówce zorganizowanej przez liceum, w którym uczę. Przyszedł z moją uczennicą... Beatą Sokolnicką. Oni są parą!

– Beata bierze udział w naszym przedstawieniu. To znaczy ma poprowadzić licytację kolacji ze mną. Cel jest naprawdę szczytny...

– Słucham?! – krzyczę i wszyscy patrzą na mnie zaskoczeni. – Nie przeszkadza ci, że ta

dziewczyna została uwiedziona przez pięćdziesięcioletniego aktora, gdy była jeszcze niepełnoletnia?! Przecież ten człowiek nią manipuluje! Ona niedawno przeszła załamanie nerwowe! W tym roku ma maturę, a jest trzeci tydzień na zwolnieniu! A ty mi mówisz, że bierze udział w jakimś idiotycznym przedstawieniu, bo ten facet ma taki kaprys?!

– Ksenia... – Iga mruży oczy i widzę, że jest naprawdę wściekła. – Poznałam ją. Beata była dwa razy na próbie. Wiem, że między nimi jest duża różnica wieku. Ale jeżeli ktoś kimś manipuluje, to bardziej ona nim.

– Przestań mówić takie idiotyzmy! Jesteś ślepa! Może wśród artystów to normalne, że chłopakiem osiemnastoletniej wrażliwej dziewczyny jest facet po pięćdziesiątce?! Dla mnie to nie jest normalne! To chore!

– Obserwowałam ich podczas próby – mówi spokojnie Iga. – Był wobec niej bardzo opiekuńczy. A ta dziewczyna wypada świetnie. Ma donośny głos i dużo uroku osobistego. Jestem pewna, że ta aukcja...

– Czy możesz przestać pieprzyć o tej aukcji?! Beata potrzebuje profesjonalnej pomocy! Ktoś musi ją odciąć od niego, bo...

– Ksenia... – Andrzej nagle mi przerywa i przestraszona milknę. – Rozumiem, że przejmujesz się swoją uczennicą, ale nie rozumiem, dlaczego atakujesz Igę? Pogadaj z matką tej dziewczyny, skoro jesteś jej wychowawczynią, i powiedz, co cię niepokoi.

– I jest jeden problem. Ona jest już pełnoletnia. – Iga bębni palcami w blat stołu. – Nie rozumiem, dlaczego wpadasz w histerię? Moim zdaniem ten związek długo nie potrwa. I... ona wcale nie wyglądała na kogoś, kto przeszedł załamanie nerwowe. Sypała dowcipami na próbie, była zalotna, pewna siebie. Oskar ma rację, że powinna zdawać do szkoły teatralnej.

Bez słowa wstaję od stołu i zostawiam ich samych. Zamykam się w łazience. Po chwili słyszę śmiech Igi. Lekko chrapliwy, bardzo seksowny. I głos Andrzeja. Na pewno śmieją się ze mnie. Znowu stałam się pośmiewiskiem. Niczym więcej!

IGA

1 MARCA – ŻOLIBORZ (WARSZAWA)

Poranne słońce zalewa naszą niewielką kuchnię. Miotam się po niej w szlafroku, bo tym razem to ja robię śniadanie. Za dwie godziny mam próbę. Andrzej o trzeciej w nocy zakończył jakieś ważne negocjacje po angielsku na Skypie i zasnął na małej kanapie w gabinecie. Nie jestem dobrą gospodynią. Gdyby nie on, to pewnie w wynajmowanym przez nas mieszkaniu wciąż panowałby artystyczny nieład. Ale to człowiek, który nawet kubki układa kolorami na blacie w kuchni. Gdy chciałam się wyprowadzić i spakowałam niewielką walizkę, następnego dnia rano, gdy jeszcze spałam, wypakował moje rzeczy. Idealnie rozwiesił w szafie. Czasem jego pedantyczność budzi we mnie złośliwą przekorę i specjalnie rozrzucam kosmetyki w łazience. Andrzej jest cierpliwy. Wydaje mi się, że zarówno terapia, jak i moje awantury i groźby zerwania związku zadziałały. Teraz zagląda do kuchni opasany ręcznikiem, z mokrymi włosami, tłumiąc ziewanie.

– Dlaczego mnie nie obudziłaś? – Obejmuje mnie w talii.

Zaczynam chichotać, bo dmucha mi w szyję i okropnie łaskocze.

– Pracowałeś w nocy, więc miałeś prawo się wyspać.

– I tak się nie wyspałem. Ale najważniejsze, że się udało!

– Co się udało?

Siadamy przy stole. Andrzej pochłania w ekspresowym tempie kanapki, które przygotowałam.

– Negocjacje. Mam od nich zielone światło. To amerykańska spółka, która otworzyła sieć butikowych hoteli w całej Europie.

– Co miałyby dla nich robić? Chcą otworzyć hotel w Polsce?

– Jeszcze nie. Ale potrzebują kogoś, kto będzie sprawdzał, jak działają ich hotele, które są prowadzone na zasadzie franczyzy.

– I ty masz być tym kimś? Masz jeździć do tych hoteli, które są w całej Europie... czyli... Często

cię nie będzie? Wyjazdy służbowe? Tak to ma wyglądać?

– Zakładam firmę, w której chciałbym cię zatrudnić. Jeżeli będziemy wyjeżdżać, to razem.

– Kim miałabym być w twojej firmie? Nie chcę, żebyś zatrudniał mnie z litości, bo na razie nie mam żadnej sensownej pracy. Bycie poetką to bardziej hobby.

– Pracowałeś już w hotelu. Wiem, co potrafisz. Świetnie zarządzasz zespołem. Masz oko do detali i niesamowity smak i styl.

– Pracowałam tam miesiąc. Kompletnie się na tym nie znam.

– Przeszkolę cię. Wiem, że ta praca ci się spodoba. To działalność na zasadzie *Mystery Client*. Wygrałem z trzydziestoma kandydatami z regionu Unii Europejskiej, cały proces rekrutacji trwał prawie dwa miesiące, ale...

– Ale co?

Cieszę się, że oczy mu błyszczą i że w końcu wtajemnicza mnie w swoje plany. Chociaż wydają mi się trochę szalone.

– Ale nie zdecyduję się na tę pracę bez ciebie. Tylko z tobą ma to sens. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym zniknąć na kilkanaście dni co miesiąc. Ale z tobą... przecież wiersze możesz pisać wszędzie, a podróże zawsze są natchnieniem. Ta praca to nie zwykła kontrola działalności hotelu. Zachowujemy się jak goście hotelowi, nie zdradzamy swojej tożsamości. Ale sprawdzamy wszystko. Jak zachowuje się obsługa, czy opis na stronie internetowej odpowiada rzeczywistości...

Monolog Andrzeja trwa jeszcze kilka minut. Gdy mówi o pracy, staje się nagle gadułą. Spoglądam przez okno w kuchni z filiżanką w dłoni. Kocham podróże. Od lat nie potrafię wytrzymać dłużej w jednym miejscu. Za oknem już wiosna, śnieg zniknął. Gdy Andrzej wspomina, że jeżeli podpisze umowę, to w kwietniu pierwsze zlecenie to Wenecja, zaczynam czuć ekscytację. Odwracam się i siadam mu na kolanach.

– Czy to znaczy, że się zgadzasz? Bo wyglądasz, jakbyś dostała skrzydeł? – Mocno obejmuje mnie w talii. – Nawet nie zapytałeś o wynagrodzenie?

– Mogę to robić za darmo.

– Jestem dobrym szefem i nikt nie będzie u mnie zasuwał za darmo. Podświadomie czułem, że się zgodzisz. Trochę cię znam.

Nie możemy się od siebie odkleić, ale nie ma czasu na poranny seks. Andrzej chce mnie zawieźć na próbę generalną. Do premiery pozostało tylko dziesięć dni. Podpytałam Piotra Rajmera, czy mój partner może zjawić się dziś na próbie, i nie miał nic przeciwko. Mam wrażenie, że po nocnych wydarzeniach na placu Zamkowym nabrał do mnie jakiegoś przedziwnego respektu, chociaż zarówno ja, jak i Daniel próbowaliśmy bagatelizować całą sprawę. Wierzbicki już jest na miejscu, jak zawsze trochę niechlujny i z nieodłącznym telefonem w dłoniach. Przedstawiam mu Andrzeja, który jest lekko spięty.

– Twoja laska uratowała mi życie. A właściwie resztę zębów. – Daniel rechocze, pokazując nam nowe licówki. – Iga... chyba lepiej nie być twoim wrogiem, co?

Andrzej siada w pierwszym rzędzie. Niesamowicie skupiony wycisza telefon. Reżyser razem z Piotrem miotają się na scenie. Brakuje jednego mikrofonu, a akustyk gdzieś zniknął. Domyślam się, że mój facet jest lekko zszokowany tym chaosem, jaki panuje na scenie przed próbą. I tą liczbą przekleństw, jakie wyrzucają z siebie i reżyser, i Daniel, który ma za dwie godziny zdjęcia próbne do nowego serialu Netflixa i stres go dziś zżera. Jedynie Oskar Fijał jest spokojny. W sztruksowym garniturze z łatami na łokciach, pachnący drogą wodą toaletową. Macha w stronę Beaty, która właśnie zagląda do sali. Mocno umalowana, włosy obcięte na pazia, obcisła mini. Wchodzi w plamę światła rzucaną przez reflektor. Widzę, że ma duży plaster na prawej dłoni. Krew zaczyna przesączać się przez opatrunek.

– Co się stało? – pytam półgłosem.

Potrząsa głową. Bierze do ręki mikrofon.

– Dobry wieczór! Rozpoczynamy licytację, której cały dochód zostanie przekazany na konto fundacji Demeter.

Moduluje głos, szczerzy ładne zęby w uśmiechu. W jej całym ćwiczonym wiele razy występie

jest trudna do zdefiniowania sztuczność. Dostrzegam za kulisami zapatrzonego w nią Oskara. Unosi kciuk do góry.

MAKS

10 CZERWCA – ŻOLIBORZ (WARSZAWA)

Rozpoznaję go z daleka, chociaż w parku Żeromskiego przy placu Wilsona są prawdziwe tłumy. Wszędzie na trawnikach leżaki z logo okolicznej knajpy. Ludzie na rolnkach, z dziećmi i psami. Piknikowa atmosfera. Andrzej Bielenda ma styl, to trzeba mu przyznać. Lniana koszula z krótkim rękawem, błękitne dżinsy, rozczochrane blond włosy, dwudniowy zarost. Rozłożył leżak pod wielkim klonem, więc mamy odrobinę cienia. Dostrzegam na trawniku tuż obok jego stóp dwa kubki z mrożoną kawą i drugi leżak. Zadał o wszystko.

– Będziemy się opalać?

– Pomyślałem, że to dobre miejsce na rozmowę. – Zsuwa na chwilę okulary przeciwsłoneczne.

Rozsiadam się obok niego. Spocony, zziąjany, bo pędziłem przez park jak szalony, bojąc się, że sobie pójdzie. Spóźniłem się przecież ponad półgodziny.

– Dlaczego ma być dobre?

– Bo nikt nas nie usłyszy.

– Mam mało czasu, więc od razu przejdę do rzeczy. Nie ma sensu, żebyśmy mówili sobie, kurwa, per pan, bo przecież się znamy.

– Oświecisz mnie skąd?

– Z Janiszewa.

Milczy przez chwilę. Jego smukłe palce zaciskają się na szklance z mrożoną kawą.

– Nie powiesz mi, że coś mi się uroiło! Pochodzisz z tej dziury! Ja też się tam urodziłem! Pamiętasz wydmy? Pamiętasz starą szkołę w tym poniemieckim budynku? Konie tam hodowali! Pamiętasz kościół Świętego Marcina?!

– Mów ciszej.

– Czego ty się, kurwa, boisz?!

– Miałem pięć lat, gdy wyjechałem stamtąd z matką. Niewiele pamiętam.

Otwieram moją skórzaną teczkę. Andrzej nie spuszcza ze mnie wzroku. Wyciągam poźółkłą kopertę, którą znalazłem w mieszkaniu ojca. Kilka kolorowych zdjęć na papierze Kodaka. Stary ceglany budynek miejscowego liceum. Na schodach kilka osób. Wysoki, jasnowłosy mężczyzna w sutannie, mój ojciec z wąsami uśmiechający się szeroko do obiektywu, ja jako czternastoletni gówniarz, grubawy, z okropnym trądzikiem, moja matka z niemodną trwałą i jeszcze piękna kobieta z włosami zaczesanymi w koński ogon, trzymająca dłonie na ramionach małego chłopca.

– To ty... kurwa, poznajesz? I twoja matka!

Bielenda zdejmuje okulary przeciwsłoneczne. Widzę, że stara się opanować emocje, ale jego dłonie lekko drżą.

– Poznaję... Bardzo mało pamiętam... Prawie nic...

– Może i lepiej... może i lepiej. Trochę gnoiliśmy cię z chłopakami. Nigdy się matce nie poskarżyłeś. Nawet przy nas nie ryczałeś. To mój stary. Tu, obok mnie. Ja twojej matki prawie w ogóle nie pamiętam, ale ciebie tak. Mały gówniarz, który wszędzie pałętał się bez opieki. Bo twoja stara wiecznie była zajęta. Nie mam pojęcia, dlaczego mój ojciec nie powiedział mi, że ją zna, ale jestem pewien, że specjalnie kupił mieszkanie obok niej!

– Był lekarzem? Psychiatrą?

– Czyli, kurwa, udajesz, że nie wiesz, o co chodzi?! Doskonale go pamiętasz?

– Nie pamiętam. Sprawdziłem twojego ojca. Przecież policja sugerowała, że moja matka mogła mieć coś wspólnego z jego śmiercią.

– Więc to nie jest dla ciebie żadna nowość, że spędziliśmy dzieciństwo w tej samej dziurze? – Zrezygnowany chowam zdjęcie do teczki. – I nie jest to dla ciebie dziwne, że mój ojciec został

zamordowany, a twoja matka w tym samym czasie zniknęła?!

– Prawdopodobnie popełniła samobójstwo.

Ledwo go słyszę, bo mówi tak cicho. Znowu zakłada okulary. Nie chce, żebym widział jego oczy. Może pomaga jej się ukrywać, bo naprawdę zrobiła coś strasznego?!

– Moim zdaniem ona żyje! Przeczytaj to... – Znowu otwieram teczkę.

Nad naszymi głowami frunie latawiec w kształcie gigantycznej ważki. Andrzej na chwilę unosi głowę.

– Mój ojciec wysłał ci trzy wiadomości przed śmiercią. W sumie nie muszę ci pokazywać wydruku, bo przecież masz w skrzynce mailowej.

– Nic od niego nie dostałem...

– Sprawdź spam!

Bielenda wzdycha i wyjmuje telefon. Czuję, że będzie ciężko. Waży każde słowo, które wypowiada. Chce mnie wy badać, tak jak ja jego.

– Rzeczywiście są w spamie.

– Policja pewnie już cię o to pytała. Ale ja muszę to wiedzieć. Poznałeś kiedykolwiek mojego ojca? Może odwiedziłeś matkę i on tam był?

– Nigdy go nie poznałem. Moja matka chyba raz wspomniała, że robi zakupy dla jakiegoś sąsiada. Nie wiem, skąd twój ojciec miał mój adres mailowy.

– Przeczytałeś te wiadomości?

Lekko kiwa głową.

– No i, kurwa, co?! Co ty na to?!

– Nie wierzę w ani jedno słowo. Twój ojciec miał osiemdziesiąt siedem lat. Miał urojenia!

– Urojenia?! Ostrzega cię w nich przed śmiercią! Uważa, że coś ci grozi! Może dlatego zginął?!

Śledczy ci powiedzieli, jak to się stało?! Nie cios w głowę... ale powolna śmierć... wstrzyknięcie do żyły środka zwiotczającego mięśnie. Był jeszcze przytomny, ale nie mógł się ruszyć! Wiedział, że umiera!

Zaczynam przy nim płakać, chociaż, kurwa, tak, wiem... faceci nie płaczą. Ale nie potrafię zrozumieć, co się dzieje! Dlaczego Bielenda zachowuje się, jakby w ogóle nie miał serca, nie miał emocji?! Siedzi rozparty na tym cholernym leżaku i patrzy gdzieś w niebo nade mną.

– Dziękuję, że powiedziałeś mi o tych mailach. Nie miałem o nich pojęcia.

– Zapamiętałeś to zdanie? „Zaczną od niej, a ty będziesz następny”. „Specjalna ofiara z okazji otwarcia sanktuarium. Krew dzieci za grzechy ojców!”. Albo to: „Czerwcową ceremonią wigilia Świętego Jana...”. To jakaś jebana sekta!

– Zbór.

– Zbór?! Wynająłem detektywa i powiązał pewne fakty! Trzydzieści lat temu twoja matka i mój ojciec spotykali się co piątek w miejscowej parafii w Janiszewie, bo jakiś nawiedzony ksiądz przeprowadzał egzorcyzmy, wmawiając mieszkańcom, że zło się panoszy! A źródłem zła byli pacjenci mojego ojca i uczennice twojej matki! Znalazłem u niego kilka starych kart wypisów! Słyszysz, co mówię, do kurwy nędzy?!

– Tak.

– Zachowujesz się tak, jakby cię w ogóle nie obchodziło, czy twoja matka żyje, czy nie! Ktoś zamordował mojego ojca, bo próbował cię ostrzec, a ty...

– To tylko hipoteza. Jeżeli zbór nadal istnieje, to są raczej starsi ludzie, którzy nie zabijają.

– A jeżeli wciągają w to młodszych? Swoje rodziny i nie wiem jeszcze, kurwa, kogo?! Mój ojciec zapisał im pół miliona w testamencie! Czerwcową ceremonią! Raz w roku! Przeczytaj te maile uważnie! Wigilia Świętego Jana! To już niedługo!

– Rzeczywiście to jakiś trop ... Moja matka od jakiegoś czasu zachowywała się dziwnie. To znaczy dziwniej niż zwykle. Miałem wrażenie, że cierpi na jakąś manię prześladowczą – mówi, wstając z leżaka.

– To nie była mania! Nic nie rozumiesz! Twoja matka i mój ojciec trzymali się razem, bo się bali! Czuli, że coś im grozi!

Trawnik, na którym rozłożone są leżaki, pulsuje śmiechem, gwarem rozmów, piskiem

dzieciaków. Andrzej spogląda gdzieś za mną. Odwracam się natychmiast. Kilkanaście metrów od nas przystanął młody mężczyzna na rowerze, w ręce trzyma aparat z szerokokątnym obiektywem. Chyba czuje, że go dostrzeżliśmy, bo nagle celuje obiektywem w górę. Nie mam pojęcia, czy to przypadek, czy ktoś naprawdę nas obserwuje... Żałuję, że odkryłem przed Bielendą wszystkie karty. Powiedziałem mu, że wynająłem detektywa. Teraz będzie czujny.

IGA

2 MARCA – ŚRÓDMIEŚCIE (WARSZAWA)

Dochodzi pierwsza w nocy. W jednej z otwartych jeszcze winiarni na Nowym Świecie omawiamy z reżyserem szczegóły naszego przedstawienia. Zajmujemy stół tuż pod ścianą, na której tapeta przedstawia gigantyczny krajobraz Toskanii. Andrzej obejmuje mnie ramieniem. Naprzeciwko nas siedzi Oskar ze swoją młodszą dziewczyną Beatą, a z boku Piotr Rajmer, brodaty reżyser, i mocno już nawalony Daniel nierozstający się ze swoim telefonem.

– Niech twój chłopak powie nam, jak to w ogóle wypadło, bo był naszym pierwszym widzem! – Wierzbicki wierci się na niewygodnym krześle i macha w stronę kelnera.

– Już mówiłem Idze. Jestem zachwycony. – Andrzej uśmiecha się szeroko. – Szkoda, że zagracie tylko raz.

– Dwa razy. – Piotr szuka czegoś w kieszeni zarzuconego na oparciu płaszcza. – Gdzieś mam wizytówkę. Trzy dni temu zgłosił się do mnie przedstawiciel firmy Vip Press. Robią event w maju w Biało-brzegach i chcieliby...

– Beata ma w maju maturę, prawda? – Spoglądam na licealistkę, która wtula się w Oskara.

Na lewej dłoni ma skórzaną, czarną rękawiczkę. Pewnie nie chce, żebyśmy komentowali jej opatrunek. Zastanawiam się, czy wróciła już do szkoły. Jeśli tak, to powinna jechać do domu. Nie chcę zachowywać się jak jej matka czy nauczycielka, ale szkoda, gdyby zaważyła maturę przez próby do mojego przedstawienia.

– Wszystko jest pod kontrolą. Cały czas jestem najlepsza w klasie. Nic się nie zmieniło, odkąd jestem z Oskarem.

– Moja Beti jest megazdolna! – Fijał unosi kieliszek.

– Poznaliśmy twoją wychowawczynię. Jest sublokatorką mojej mamy. – Andrzej też uśmiecha się do Beaty.

Dziewczyna spogląda na kieliszek, który trzyma w ręku.

– Powiecie jej, że piłam?!

– Jesteś dorosła! Masz dowód osobisty, mała, nie? – Oskar śmieje się i całuje ją w policzek.

Dzwoni mój telefon. Zaskoczona spoglądam na wyświetlacz. To matka Andrzeja. Natychmiast wstaję z krzesła, zarzucam płaszcza na ramiona i wychodzę na zewnątrz, gdzie jest odrobinę ciszej. Po Nowym Świecie snują się jeszcze imprezowicze. Księżyc odbija się w kałużach. Marcowe noce są bardzo chłodne.

– Iga? To ty?

– To ja! Co się stało?!

– Dzwoniłam do Andrzeja. – Jej głos drży, jakby z trudem tłumiała płacz. – Ale nie odbiera, już ode mnie nie odbiera...

– Wyłączył dźwięk w telefonie, bo mamy spotkanie ze znajomymi. Co się stało?!

– Ona mnie szpieguje! To oni ją przysłali!

– O kim pani mówi?! Co się stało?!

– Przyłapałam ją, jak grzebała w moich dokumentach! Przeglądała moje osobiste rzeczy! Podśłuchuje! Szpieguje mnie w moim własnym domu! A teraz...

– Mówi pani o Kseni?

– Kazałam jej się natychmiast wyprowadzić! Ma się wynieść z mojego mieszkania, a ona nie chce! Mówi, że mamy umowę najmu! Nie chce się stąd ruszyć, a ja nie zasnę, dopóki ona tu jest!

– Zaraz przyjedziemy. Niech się pani nie martwi! Zaraz u pani będziemy!

– Ona mnie uderzyła! Rozumiesz?!

Przestraszona wracam do winiarni. Przepycham się przez tłumek przy barze. Beata śmieje się histerycznie, bo Oskar właśnie skończył opowiadać dowcip. Próbuję szeptem wytłumaczyć Andrzejowi, co się stało. Błyskawicznie zegnamy się i szukamy samochodu zaparkowanego niedaleko placu Trzech Krzyży.

– To moja wina! Prosiłem tylko Ksenię, żeby po prostu zwracała uwagę na gości mamy czy ewentualnie na jej picie. Ale za bardzo się zaangażowała.

– Zwolnij trochę! – przerywam mu. – I przestań się obwiniać! To nie jest twoja wina, że się w tobie zakochała! No i przesadziła... Natomiast nie wierzę, że mogła uderzyć twoją matkę. To jakaś bzdura!

– Może to pretekst, żeby się jej pozbyć. Nie mam pojęcia, gdzie ona teraz pójdzie... Jest środek nocy! Sama mówiłaś, że moja matka kazała się jej natychmiast wynieść.

Półgodziny później wchodzę do kuchni w mieszkaniu matki Andrzeja. Potykam się o skorupy zbitego półmiska, które walają się po podłodze. Wanda stoi zgarbiona pod oknem. Bawełniana koszula nocna w maleńkie stokrotki, rozpuszczone siwe włosy. Nad czołem coraz większy siniak. Słyszę głos Andrzeja w przedpokoju. Pewnie próbuje rozmawiać z Ksenią przez drzwi, bo zamknęła się w swoim pokoju.

– Pani Wando... – Obejmuję ją delikatnie. – Trzeba przyłożyć coś zimnego, odkazić... ja to zrobię. Gdzie ma pani apteczkę?

Wskazuje małą szafkę na zlewem.

– Ksenia już się pakuje. – Andrzej zagląda do kuchni. – Przyznała się, że cię uderzyła, mam, ale twierdzi, że zrobiła to niechcący.

Oboje pochylamy się nad Wandą, która bezgłośnie płacze. Obejmuję ją mocno, a ona wtula się we mnie przez moment. Czuję zapach jej pasty do zębów i ziołowego szamponu. Zalewa mnie fala współczucia. Bardzo chcę wierzyć, że ta kobieta nie jest zła. Zniszczyła dzieciństwo jedynemu synowi, ale przecież wyszła z nałogu. Próbuje sobie radzić.

– Zostanę z panią całą noc. – Gładzę jej siwe, rozczochrane włosy. – Niech się pani nie martwi. Nie będzie pani teraz sama.

Andrzej zaskoczony unosi głowę.

– Odwieź Dembską do znajomych albo do hotelu czy hostelu. Na pewno tu nie zostanie. Powiedz, że oddamy jej kaucję i opłatę za ten miesiąc. Nie może tu zostać! Po tym, co zrobiła twojej mamie, to niemożliwe...

KSENIA

6 MARCA – BIAŁOLEKA (WARSZAWA)

Od trzech miesięcy czuję się jak laleczka wudu, w którą ktoś raz po raz wbija szpilki. Całe moje życie i osobiste, i zawodowe jest porażką. Od czterech dni mieszkam u Olgierda, śpiąc na niewygodnej kanapie, podczas gdy on rozkłada sobie karimatę. Bezskutecznie próbuję znaleźć niedrogi pokój do wynajęcia niedaleko liceum, w którym pracuję, ale to nie jest łatwe. Mogłabym ruszyć oszczędności i wynająć nawet sporą kawalerkę, ale to ostateczność. Są na lokacie i stracę procenty.

Pierwszą noc u Olgierda przepłakałam, próbując wytłumaczyć mu, co się stało. Rzeczywiście zaczęłam przeszukiwać szafki w przedpokoju, bo byłam pewna, że pani Wanda śpi. Podeszła do mnie bezszelestnie w tych swoich żalonych, przydeptanych kapciach, szarpnęła mnie za ramię i śmiertelnie wystraszyła. Chciała odebrać mi teczkę, którą trzymałam w dłoniach. Wrzeszczała na mnie, wyzywając od najgorszych. Odepchnęłam ją z całej siły i uderzyła się w głowę. Chciałam jej pomóc, ale zamknęła się w kuchni. Nie sądziłam, że mam w sobie tyle siły. Nie wiedziałam, że jest tak krucha! Chciałam ją przeprosić, ale Iga Bernard nie wpuściła mnie do kuchni. Kazali mi się natychmiast spakować. Andrzej zaoferował, że zapłaci mi za dwie noce w hotelu, jeżeli nie mam dokąd jechać, i rano przeleje mi kaucję za pokój, którą wpłaciłam jego matce. Obiecał mi, że zawiezie mnie, dokąd zechcę. Zaręczana, o drugiej w nocy zjawiłam się u Olgierda. Bez uprzedzenia, bo, owszem, dzwoniłam po drodze, ale spał.

Próbowałam mu coś tłumaczyć, ale w milczeniu przeniósł moje walizki z samochodu Andrzeja do swojego mieszkania. Nie wiem, dlaczego wciąż wszystko robię źle! W pracy dostałam ochrzan za przedłużenie studniówki o dwie godziny bez zgody dyrekcji. Beata do tej pory nie pojawiła się na lekcjach, a mój wykład na godzinie wychowawczej o skandalicznym zachowaniu niektórych osób wobec wrażliwej koleżanki skwitowany został nerwowym chichotem. Większość uczniów bardziej lub mniej demonstracyjnie bawiła się telefonami.

Andrzej przestał odpowiadać na moje wiadomości. Próbowałam w nocy w samochodzie wytłumaczyć mu, co się stało. Ale skwitował to jednym zdaniem, że „chyba się nie zrozumieliśmy”. Jestem pewna, że jego dziewczyna teraz triumfuje. Pani Wanda także przestała odbierać telefony ode mnie. Podjechałam do niej wczoraj z bukietem kwiatów, zadzwoniłam domofonem, ale nie otworzyła. Była w mieszkaniu, bo widziałam światło.

Dlaczego martwię się o innych, a nie myślę o sobie? Jestem cieniem człowieka. Mało jem, mało śpię. Wszystko przeżywam od nowa. Olgierd próbuje mnie czasem rozśmieszać, ale słabo mu to wychodzi. Powiedział, że kilka tygodni mogę u niego pomieszkać, ale przecież on nie może wiecznie spać na karimacie tuż przy drzwiach balkonowych!

– No co?! – stawia przede mną puszkę z piwem. – Masz minę, jakby runął ci cały świat. To są przejściowe problemy.

– Nie wiem, czy przejściowe! Zastanawiam się, czy w ogóle nadaję się do zawodu nauczycielki... Znowu odwołano mi korepetycje! Matka jednego z uczniów powiedziała, że moje prywatne lekcje są nudne, a tak się staram!

– Dlaczego nie wyjechałaś do domu na ferie? Nic nie mówisz o swoich starych, o rodzeństwie? Może powinnaś wybrać się na weekend?

– Chcesz się mnie pozbyć? Pewnie zaplanowałaś sobie randkę, a moja obecność...

– Twoja obecność dobrze mi robi. – Obejmuje mnie ramieniem. – Nie randkuję ostatnio. Nie za bardzo mam czas i siły. Ta zima mnie dobiła.

– Niedługo wiosna.

– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Dwa dni temu opowiedziałem ci o moich starych. Jak mnie wkurwiają, bo gdy do nich przyjeżdżam, to chcą mnie swatać i karmić mnie tak, że po powrocie od nich muszę przechodzić na dietę. A ty...

– Mam ci się zwierzać, bo masz taki kaprys?

– Jesteśmy przyjaciółmi. Opowiedziałaś mi nawet o facecie, w którym się zakochałaś.

– Próbuję się odkochać! A jeżeli chodzi o moją rodzinę, to sprawa wygląda tak: moja mama zmarła na raka siedem lat temu, a ojciec błyskawicznie ożenił się drugi raz. Nienawidzę i jego, i tej baby, z którą był już, gdy mama umierała w szpitalu! Dlatego jeżdżę do nich tylko raz w roku na Boże Narodzenie! Taką mam zasadę!

– Rozumiem.

– Nie rozumiesz! Zostałam sama z tym bajzlem w moim życiu! Mogłam być tłumaczką, ale moja mama chciała, żebym była nauczycielką!

– Możesz wrócić do tłumaczenia.

– Też uważasz, że nie nadaję się do pracy w szkole?!

– Uważam, że jesteś bardzo wrażliwa. To czasem przeszkadza. Za bardzo się przejmujesz sprawami swoich uczennic.

Gada jeszcze przez godzinę, a ja udaję, że słucham. Dziękuję mi, że zrobiłam generalne porządki w kuchni, i zapewnia, że spanie na karimacie jest idealne dla kręgosłupa. Gdy idzie wziąć prysznic, przekopuję jedną z moich walizek, które stoją pod kuchennym blatem. Nie wypakowałam wszystkiego, bo szafa Olgierda nie jest zbyt duża i nie chciałam zabierać mu miejsca. Klękam przy walizce. Wyciągam z niej mój nauczycielski kalendarz. Wepchnęłam do środka pożółkły wycinek z gazety. Gdy w nocy po naszej awanturze roztrzęsiona pani Wanda zamknęła się w kuchni, ja próbowałam sprzątać. Z jednej z jej teczek wysypały się stare rachunki za prąd. Monity. Domyśliłam się, że nie płaciła na czas. Pewnie potem Andrzej wszystko uregulował. I jeszcze wycięty z gazety artykuł sprzed trzydziestu lat. Pożółkły pomięty papier. Rozprostowuję go w dłoniach: TRAGEDIA PODCZAS UROCZYSTOŚCI

KOŚCIELNYCH PROWADZONYCH PRZEZ PROBOSZCZA PARAFII ŚWIĘTEGO MARCINA W JANISZEWIE. LOKALNA POLICJA PROWADZI ŚLEDZTWO. Czytam artykuł od deski do deski. Opisana jest ceremonia na wydmach, ale bez żadnych szczegółów. Jaka tragedia? Dlaczego ta uroczystość odbyła się na plaży, na wydmach, a nie w kościele? Obracam skrawek gazety w dłoniach. „Wieści Janiszewa”. Ciekawa jestem, czy ta gazeta jeszcze istnieje? Rozkładałam się z telefonem i artykułem na kanapie. Przypomina mi się krzyż w piwnicy pani Wandy. I ludzie, którzy ją odwiedzili, krzyczący o sędzie ostatecznym. Andrzej powinien wiedzieć, że coś grozi jego matce. Powinien wiedzieć, że martwię się o nią, chociaż niesłusznie mnie oskarżyła. Powinien wiedzieć, że mam w sobie dużo empatii i mogę mu się przydać. Robię zdjęcie wycinka z gazety i mu wysyłam. Oddzwania natychmiast.

MAKS

14 CZERWCA – BIAŁOŁĘKA (WARSZAWA)

Zaciąłem się przy goleniu. Nie mogłem znaleźć golarki. Przekopałem całą łazienkę, robiąc jeszcze większy bałagan. W końcu natknąłem się na maszynkę w jednej z szafek. Drżą mi ręce? Od pięciu dni moja żona jest w Krakowie na szkoleniu dla agentów nieruchomości. Udaję, że w to wierzę. Pochowałem zdjęcia, na których jesteśmy razem. Teściowa zabrała dzieciaki do siebie. Wszyscy traktują mnie, jakbym był zrobiony ze szkła. Dom nagle wydaje się obcy i pusty. W sypialni leżą teraz na łóżku poźółkle teczki z mieszkania mojego ojca z kartami wypisu ze szpitala psychiatrycznego w Janiszewie. Wszystkie zeskanowałem i przesłałem Janickiemu na maila. Na razie się nie odzywa. Wiem, że już jest w Janiszewie ze swoim współnikiem, którego widziałem raz w przelocie u niego w agencji detektywistycznej. Łysy, potężny, wyglądający jak jeden z zawodników KSW. Nie mam pojęcia, po co chcą węszyć w tej dziurze? Ta zabawa kosztuje mnie coraz więcej.

Poprawiając plaster na policzku, przeglądam poźółkle karty szpitalne. Nie mam pojęcia, dlaczego mój ojciec zabrał je do Warszawy. Nie wiem, jakie są teraz procedury, ale dokumentacja medyczna nie powinna być raczej wynoszona z kliniki. Przeglądam je kilka razy. Profesjonalne słownictwo. Wiele zwrotów po łacinie. Wszystkie sprzed prawie trzydziestu lat. Pacjenci w różnym wieku. Jedenaście kobiet. Ośmiu mężczyzn. Najmłodsza to siedemnastolatka. Kartkuję szpitalne dokumenty jeszcze raz. Sandra Mazur. Na pisanej na maszynie karcie są ręczne dopiski, które staram się rozszyfrować. Ozdobne zawijasy mojego ojca. *Uczennica liceum im. Bożnańskiej. Kolejny przypadek. Zgłosić!* Jaki „kolejny”, skoro to jedyna karta dziewczyny z tej szkoły w Janiszewie? Wiem, że Wanda Bielenda uczyła tam matematyki. Wiem, że osiemnaście lat temu szkołę zamknięto. O ponemiecki budynek upomnieli się potomkowie dawnego właściciela. Gdy słyszę dźwięk wideodomofonu, podskakuję jak oparzony. Żałuję, że nie mamy psa, ale moje dzieciaki by go zamęczyły. Nawet królik nie przeżył z nimi dwóch miesięcy. Wyglądam przez okno i dostrzegam przy bramie Alinę. Krótki, czarny top na ramiączkach, dżinsowe szorty, mały plecak. Unosi głowę. Natychmiast wyczuła, że ją obserwuję. Po chwili otwieram jej drzwi, drapiąc się po niedogolonej szczęce.

– Byłam w twojej firmie, bo napisałeś mi, że dziś zapierdalasz od rana do wieczora. A tymczasem mój misio wziął wolne i siedzi w chacie. Unikasz mnie?

– Nie.

– Mogę wejść? Przecież wiem, że jesteś sam! Nie ma samochodu twojej Darii, a dzieciaki w szkole, tak?

– Chyba tak.

Wciąż mam opory, żeby wpuszczać ją do mojego świata. Dręczą mnie jakieś przecucia, że Alina zostawi ślady w moim domu, które odkryje żona. Co innego seks w miejscach, których nie znam, które mnie nie obchodzą. Ale mój dom, przesiąknięty energią moich dzieciaków, w którym w każdym kącie widać ślady ich obecności, nie jest dobrym miejscem na spotkania z moją o dwadzieścia lat młodszą kochanką.

– No, misiu! – Zarzuca mi ramiona na szyję, gdy zamykam za nią drzwi. – Dlaczego mnie unikasz? Chcesz ze mną zerwać?!

Alina idzie tanecznym krokiem do salonu, żeby zrobić sobie drinka. Po ostatniej wizycie już wie, gdzie co jest, i czuje się jak u siebie. Bezczelna i sprytna. Penis mi twardnieje. Jesteśmy sami. Co z tego, że mieszkam tu z żoną i dziećmi. Jesteśmy sami.

– Negroni. Wermut, campari, dżin. Robię dla siebie. Też chcesz?

Mogę pić w południe. W końcu mam dziś urlop. Za to w weekend będę zapierdalał w Mikołajkach. Szykuje się nam koncert plenerowy i muszę być na miejscu.

– Co odkrył twój detektyw? Wiadomo coś więcej na temat Andrzeja Bielendy?

– Dlaczego ciągle o niego pytasz?

– Bo wyobraź sobie, wczoraj mnie przesłuchiwali! Dwóch półmózgów maglowało mnie przez dwie godziny! Podejrzewam, że ten skurwiol podsunął im ten trop! Nie wiem, czy nie powinnam poszukać sobie adwokata!

– Żartujesz! – Krztuszę się drinkiem i połowę rozlewam na kanapę. – Dlaczego według nich miałybyś coś zrobić starszej kobiecie, u której wynajmowałeś pokój?!

– Pytali, czy miałyśmy jakiś konflikt! No i, kurwa, owszem! Wściekała się, gdy wracałam w środku nocy i hałasowałam albo jak brałam długo kąpiel czy nie gasiłam światła! Powiedziałam im, że ta starucha była bardzo konfliktowa, pewnie dlatego, że rzuciła chłanie. Czepialska. Złośliwa.

– Zła strategia.

– Złą strategią jest mówienie prawdy?! Powinni pogadać z jej poprzednią lokatorką, którą wyrzuciła w środku nocy, bo grzebała w jej rzeczach. Opowiedziała mi kiedyś o tym.

– W ogóle nie rozumiem, dlaczego Wanda Bielenda wynajmowała pokój w swoim mieszkaniu... Jej syn ma mnóstwo kasy.

Nie mówię jej, że z nim rozmawiałem. Czuję, że Alina próbuje mną manipulować i nastawiać przeciwko niemu. Zapewne ma powody, zwłaszcza po dzisiejszym przesłuchaniu, ale wciąż coś mnie niepokoi. Nie do końca wierzę, że młoda dziewczyna mogła się zainteresować takim kolesiem jak ja. Dwadzieścia lat starszy, trochę zapuszczony, żonaty, dzieciaty.

– Czemu się tak na mnie gapisz? Nie zapytasz, o co jeszcze mnie pytali?

– Zapytam.

– Miliony pytań, misiu... Czy ktoś ją odwiedzał...? Czy się kogoś bała...? Kogo u niej widywałam...?

– I co powiedziałaś?

– Nikt do niej nie przychodził, oprócz syna i jego dziewczyny. Samotna, złośliwa starsza pani! I pytali też o ciebie.

Robi mi się gorąco. Wypijam mojego drinka do dna. Strach mija.

– Powiedziałam, że nigdy wcześniej cię nie widziałam. To znaczy zobaczyłam cię po raz pierwszy, gdy włamałeś się do jej mieszkania. Nie pisałam im, że się widujemy, bo to nie ich sprawa!

– Dokładnie. Czego chcą ode mnie...?

– Może myślą, że wszedłeś tam, żeby zacierać ślady? Przecież mogłeś poprosić syna pani Wandy, żeby sprawdził, co się dzieje w mieszkaniu. Ale ty się tam włamałeś! Jesteś jednym z podejrzanych!

– Ja?!

– Jej ostatni telefon był do ciebie. Dzień przed śmiercią twojego starego. Nie odebrałeś. Nie nagrała się. Może chciała ci powiedzieć coś ważnego? Oprócz telefonu znaleźli też jej portfel... nic nie zginęło... Ona nie żyje, Maks...

– Skąd ty to, kurwa, wiesz?!

– Mam oczy i uszy. Ty też potrzebujesz adwokata! Najlepszego! Wiem, że żona ci jakiegoś załatwiła, ale czy ty jej ufasz? A może, gdy cię o coś oskarżą, to jej będzie łatwiej zabrać ci wszystko... dzieci, dom, oszczędności... Wciąż jej ufasz? Naprawdę jesteś aż takim idiotą?!

IGA

8 MARCA – ŻOLIBORZ (WARSZAWA)

Matka Andrzeja jest u nas pierwszy raz. Pomagam jej zdjąć płaszcz w przedpokoju, gadając cały

czas o pogodzie, o paelli, którą przygotował jej syn, bo ja mam słabe pojęcie o gotowaniu. Przepraszam ją, że się spóźni. Zadzwoił do mnie godzinę temu, że spotkanie się przeciąga. To był mój pomysł, żeby ją do nas zaprosić. Tej nocy, gdy szlochała w swojej kuchni, zrobiło mi się jej potwornie żal. To tylko stara kobieta, która zniszczyła sobie życie. A miała przecież potencjał. Wykształcenie i urodę. Wydaje mi się, że lubiła swoją pracę, skoro do tej pory pamięta sukcesy swoich uczennic. Jednego tylko nie rozumiem, i to mnie boli. Dlaczego nie widzi sukcesów syna? Andrzej był zawsze najlepszy w klasie, najlepszy na roku, robi karierę. Czy ją to w ogóle obchodzi?

– Ładnie urządziliście to mieszkanie. – Wanda rozsiada się na kanapie. – Masz gust i styl. To muszę przyznać. Pod tym względem Andrzej dobrze trafił.

– A pod jakim względem trafił źle?

Jej złościwości już mnie tylko śmieszą. Wiem, ludzie albo mnie uwielbiają, albo nienawidzą. Albo na podstawie mojego wyglądu wysnuwają teorie, które niewiele mają wspólnego z rzeczywistością. Studiuję jej twarz. Siniak na czole na szczęście zbladł. Cieszę się, że Dembska już z nią nie mieszka. Sprawiała wrażenie potwornej histeryczki, a jej uczucie do Andrzeja chyba wymknęło się spod kontroli.

– Trafił źle, bo takie kobiety jak ty szybko się nudzą.

– Ja się nie nudzę. Mam swoje pasje, plany, marzenia.

– Mam na myśli, że nudzą się w związkach.

– Andrzej jest miłością mojego życia. Chciałam zapytać panią o jedno, skoro o nim rozmawiamy. Zrobiła mu pani potworną krzywdę. Zniszczyła mu pani dzieciństwo. W związku z tym mam proste pytanie. Dlaczego pani nie kocha jedyne syna?

– Tak ci powiedział?

Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Zaprosiłam ją, żeby ją atakować?

– Nie. Bardzo mało mówi o swoim dzieciństwie. Ale to, co wiem, jest wstrząsające. Wieczne libacje. Gdy chciał się uczyć, chował się w piwnicy. Sam się zgłosił do domu dziecka, gdy miał dwanaście lat! Czy panią to wstrząsnęło?! Coś pani zrobiła?!

– Próbowалам nie pić. Ale oni przychodzili, częstowali...

– Oczywiście, zawsze są winni jacyś oni!

Zaczynam chodzić po salonie, coraz bardziej gestykulując. Zalewa mnie fala wściekłości. Za moment przestanę kontrolować swoje słowa. Otwieram szeroko okno.

– Niech pani nie robi z siebie ofiary! Po tym, co pani zrobiła, mógł zerwać z panią kontakt! Mógł się odciąć! Przecież ograniczono pani prawa rodzicielskie! Przez lata kontaktowała się z nim pani tylko po to, żeby prosić o pieniądze!

– Nie tylko... Chciałam go zobaczyć... ale nie mogłam! Robiłam wszystko, żeby mnie odwiedzał jak najrzadziej.

– Dlaczego?!

– Ja też się wstydziałam! Było tak, że jak on przyjeżdżał, to w ogóle nie otwierałam drzwi... bo nie chciałam, żeby mnie taką widział... zarzyganą... chwiejącą się na nogach. Płakałam pod tymi drzwiami, ale nie otwierałam! Widziałam go przez wizjer, jak dzwoni, puka... aż mi ręka szła, żeby otworzyć... żeby zasuwę szarpnąć... Słyszałam jego głos: „Mamo, otwórz, wiem, że tam jesteś, wiem, że piłaś...”. Lepiej, żeby nie miał matki, niż miał taką szmatę... bo obiecywałam mu milion razy, że się zaszyję, że rzucę...

Głos załamuje się jej na chwilę. Moja wściekłość opada. Oddycham głęboko. Zamykam okno, bo widzę, że trzęsie się z zimna.

– I mu nie otwierałam! A gdy słyszałam, jak winda zjeżdżała na dół... to wiedziałam, że już mogę płakać... że nie usłyszy... Ja mu kiedyś zegarek zabrałam. Coś mi naprawiał w kuchni... podwinął rękawy koszuli... zegarek zdjął, na stole położył... Zapomniał o nim... następnego dnia pytał... Powiedziałam, że nic nie wiem. Że u mnie go nie ma!

– Pani Wando...

– Bo w lombardzie już był. W firmie Andrzejowi dali na pożegnanie, gdy dostał lepszą pracę w hotelu na Mazurach. Bardzo drogi. Taka ze mnie szmata... co syna jedynego okradła... Taka szmata!

Lepiej, żeby mnie w jego życiu nie było... Nienawidzi mnie i ma prawo... ma takie prawo...

Kuli się. Garbi. Patrzy gdzieś nade mną. Pierwszy raz tak się otworzyła. Nie mogę tego zepsuć.

– Ale przecież pani już nie pije. I to jest pani sukces! Przepraszam za te krzyki. Staram się panią zrozumieć, ale widzę, jak Andrzej cierpi. Nigdy nie miał nikogo, kto by go wspierał. Kto by kochał go bezwarunkowo i cieszył się z jego sukcesów! Czy pani wie, ile osiągnął?! Powiedziała pani kiedyś, że jest z niego dumna?

– Teraz już za późno... to nic nie da... nie naprawi tylu lat.

– Niech pani nie mówi takich głupot! W każdej chwili może mu pani powiedzieć, co czuje! On na to czeka! Wie pani, że on się zapisał na terapię dla DDA? Wie pani, co to jest?

– Wiem.

– Dwa dni temu był tam pierwszy raz. Terapeutka prosiła, żeby każdy napisał do siebie list... do siebie w dzieciństwie... żeby napisał list do małego chłopca, którym kiedyś był. Andrzej pokazał mi ten list. Bardzo krótki.

– Co napisał...?

– „Wytrzymaj, mały, strach i wstyd miną. Nie będą trwać przez całe życie”. Sam musiał sobie to powiedzieć, bo nigdy tego od nikogo nie usłyszał. „Wytrzymaj, mały. To minie...”.

Wczoraj w nocy pokazał mi ten list i nie mogłam zasnąć. Pytał tylko, czy tak może być, bo nie umie pisać. To znaczy raporty biznesowe jak najbardziej. Ale pisać o uczuciach i emocjach...? Przypomniał sobie dwa uczucia, które nim rządziły, jak miał dwanaście lat. Chcę jeszcze coś powiedzieć, ale słyszę dzwonek do drzwi. Wanda wyciera łzy serwetką. Z łomoczącym sercem otwieram Andrzejowi, który ku mojemu zdumieniu ma świetny humor. Jego włosy są lekko wilgotne od wiosennego deszczu. W dłoniach trzyma dwa bukietki konwalii.

– Jest Dzień Kobiet!

– Już jest twoja mama... chodź do salonu! – Ciągnę go za rękaw.

Muszę wykorzystać tę chwilę do maksimum, bo może się nie powtórzyć. Bardzo ciężko jest mi do nich dotrzeć. Sama mam traumy i tajemnice, ale moi rodzice już nie żyją. Gdyby żyli, zawsze byłaby szansa na szczerą rozmowę i przeprosiny. Na pewno zmusiłabym do nich mojego ojca. Ale go nie ma. Mamę też. Obserwuję Andrzeja, jak wita się z matką. Dużo chłodu w tym powitaniu.

– Zostawię was na chwilę. Muszę dopilnować paelli. Kiepska ze mnie kucharka.

Szybko wychodzę do kuchni. Jedzenie w ogóle mnie nie obchodzi. Spoglądam na szybę zalaną deszczem. Słyszę ich głosy. Zamykam drzwi. Nie wiem, czy jej wybaczy, czy ją zrozumie? Ale może, gdy spróbuje, to będzie mu lżej? Chociaż tyle...

Mija pół godziny. Andrzej zagląda do kuchni. Siedzę przy stole z bosymi stopami opartymi o parapet. Zapomniałam o całym świecie. Piszę wiersz o tym, jak wybaczenie może zmienić nasze życie. O tym, jak sama próbuję być kimś szlachetniejszym, niż jestem. Chociaż są we mnie oceany egoizmu i próżności.

– Przepraszam... – mówi cicho. – Mama się rozgadała, a teraz płacze.

– Idź do niej. Przytul ją.

– Już przytuliłem. Nie jesteś zła?

– Nie jestem. Bądź z nią teraz i mną się nie przejmuj.

– Powiedziała... – Głos drży mu przez chwilę. – Powiedziała, że dałaby wszystko, żeby cofnąć czas. Bo zniszczyła mi dzieciństwo. Wiesz, co mi dziś przyniosła?

Wkłada mi w dłoń żółty, przetarty, drewniany klocek.

– Co to jest?

– Lokomotywa z mojej kolejki. Właściwie to, co z niej zostało. Moja ukochana zabawka w Janiszewie. Powiedziała mi, że to był jej talizman.

– Nie rozumiem?

– Gdy za mną tęskniła, jak byłem w domu dziecka.

– Nie wiedziałam, że wtedy za tobą tęskniła?

– Ja też nie. – Uśmiecha się. – Mama stawiała ją sobie na stole i wpatrywała się w nią godzinami.

– Dlaczego?

– Bo już nic mojego nie miała. Ludzie z opieki społecznej wszystko spakowali do jednej walizki, moje ubrania, książki, zabawki, i zawieźli mi do domu dziecka. Tydzień później znalazła tę lokomotywę za moim tapczanem. Mówiła, że ta cisza, ta pustka, ta tęsknota za mną ją zabijały. Chciała mnie odwiedzać, ale zabronili jej, bo przysłała kilka razy na rauszu, awanturowała się i krzyczała. Jeszcze pogorszyła całą sytuację.

– Wybaczysz jej?

Milczy przez chwilę. Bez słowa mnie przytula i wraca do salonu. Zamyka drzwi. Po chwili słyszę jego spokojny głos. Powtarza kilka razy słowo „mamo”. Nic więcej nie musi mówić. Wiem, co czuje. Stawiam małą, drewnianą lokomotywę obok jego ulubionego kubka. To przecież prezent od jego mamy. Tylko z pozoru bezwartościowy. Dla niego najcenniejszy.

KSENIA

10 MARCA – BIELANY (WARSZAWA)

Dostrzegam siostrę Joannę Soliman dopiero, gdy marcowe słońce przestaje oślepić mi oczy. Już dawno chciałam z nią porozmawiać, ale nie miałam okazji. Dziś mam okienko w moim planie lekcji, bo jedna z klas wyszła na lekcję muzealną. Nie wepchnięto mi żadnego zastępstwa. Miałam sprawdzać testy w pokoju nauczycielskim, gdy zobaczyłam jej sylwetkę przez okno. Narzuciłam płaszcz, chwyciłam torebkę i wybiegłam. Udaje mi się dogonić ją niedaleko bielańskiego ratusza. Idzie szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie. Brzydkie męskie buty na grubych podszewkach, prosty, czarny habit. Materiał łopocze na wietrze. Jeżeli wsiądzie do autobusu, to nie dam rady za nią jechać, bo nie zdążę wrócić do szkoły. Widzę, jak przebiega przez ulicę na czerwonym świetle. Odwaga czy głupota? Jest tu naprawdę spory ruch, więc czekam na zielone, starając się nie stracić jej z oczu. Po chwili śledzę ją pomiędzy starymi kamienicami. Idzie tak szybko, że dostaję zadyszki, trzymając się w bezpiecznej odległości. Kolejna ulica i szereg starych willi. Niemal pusto, bo jest południe. Siostra Joanna skręca w lewo. Popycha zardzewiałą furtkę. Czekam, aż zniknie w czeluściach porośniętej dzikim winem willi. Podchodzę bliżej, udając, że rozmawiam z kimś przez telefon. Okna zasłonięte są nowoczesnymi żaluzjami, co mocno kontrastuje z opadającym tynkiem. Dostrzegam niewielką tabliczkę przy drzwiach wejściowych. Wyteżam wzrok. „ZBÓR ŚWIĘTEGO MARCINA – SIEDZIBA FUNDACJI”. Naciskam dzwonek domofonu. Odpowiada mi tylko cisza i gruchanie gołębi dochodzące z ogrodu na tyłach budynku. Odczekuję chwilę i popycham zardzewiałą furtkę. Przy drzwiach wejściowych jest dzwonek, ale zanim zdążę go naciskać, drzwi się otwierają. Widzę chudego mężczyznę w niemodnym swetrze. Patrzy na mnie z wyraźną niechęcią.

– Czego?

– Dzień dobry. Nazywam się Ksenia Dembska. Uczę z siostrą Joanną Soliman w tym samym liceum. Chciałam z nią porozmawiać.

– Jej tu nie ma!

– Widziałam, jak wchodziła pięć minut temu!

Przerywam, bo dostrzegam jej pulchną sylwetkę za jego plecami. Spogląda na mnie bez uśmiechu. Jakbyśmy się nie znały, jakbyśmy nigdy nie żartowały w pokoju nauczycielskim.

– Dziękuję, bracie. – Zakonnica dotyka ramienia mężczyzny. – Niech brat wraca do pracy. Porozmawiam z tą kobietą. Znam ją.

– Ja jej nie znam. – Ten człowiek lustruje mnie przez chwilę, ale odpuszcza.

Znika w czeluściach willi. Stoję na niewielkim ganku i mierzymy się wzrokiem.

– Coś się stało?

– Chciałam porozmawiać o Beacie Sokolnickiej.

– Beata od dwóch lat nie uczęszcza na lekcje religii. Niewiele mam do powiedzenia na jej temat.

– Czyżby? Chyba siostra jej nie lubi, bo...

– Skąd takie przypuszczenie?

– Ktoś widział siostrę przy jej szafce koło sali gimnastycznej! Mam list, który siostra tam zostawiła! Takie groźby są karalne! Ta dziewczyna przeżyła załamanie nerwowe! Powiem dyrekcji,

że siostra...

- Proszę wejść do środka. Wyjaśnimy sobie wszystko. To zapewne jakieś nieporozumienie.
- Mam mało czasu.
- Ja też. Ale przecież dobro naszych uczennic leży nam na sercu, prawda?

Nie wiem, dlaczego zaczynam się nagle bać. Nie wiem, dlaczego mam w sobie jakiś opór, coś w głowie mówi mi, żebym nie wchodziła do środka. Idę za nią przez wąski przedpokój obwieszony świętymi obrazami. Prowadzi mnie do dużego, rozświetlonego wiosennym słońcem pokoju. Potężna biblioteka, duży stół z ozdobnym wazonem, wszędzie kwiaty doniczkowe. Drzwi na taras otwarte. Wiatr szarpie długą firankę.

- Zaraz kogoś zawołam. Niech pani siada.

Obserwuję ją, jak wychodzi na zewnątrz do ogrodu. Słyszę głosy. Po chwili zakonnica wraca. Za nią dostrzegam wysoką, męską sylwetkę. To ksiądz. Ma koło sześćdziesiątki, gęste, siwe, lekko falujące włosy, koszula z koloratką, ciemne dżinsy. Policzki muśnięte słońcem, zielone oczy, serdeczny uśmiech. Bierze moją rękę w swoje dłonie. Zaskoczona nie wiem, co powiedzieć.

– Ojciec Tomasz będzie świadkiem naszej rozmowy. – Zakonnica siada przy stole, wygładzając fałdy habitu. – Jest moim przełożonym. Jeżeli chce mnie pani o coś oskarżyć, musi zrobić to pani w jego obecności.

Ksiądz wskazuje mi krzesło.

– Zanim zaczniemy rozmowę, musimy się czegoś napić. Pracowałem w ogrodzie, a słońce dziś szaleje. – Sięga po dzwonek leżący na parapecie.

Ma czyste, piękne dłonie. Zadbane paznokcie. Elegancko uprasowaną koszulę. Nie mogłam mu przerwać żadnej pracy w ogrodzie. Nie jest ani spocony, ani zmęczony. Kłamie.

– Napije się pani lemoniady? – Znowu potrząsa dziwnym dzwonkiem i chudy mężczyzna, który otworzył mi drzwi, zjawia się natychmiast.

- Poproszę szklankę wody.

Gdy czekamy na napoje, ksiądz Tomasz nie przestaje monologować. Mówi, jak dobrą i lubianą katechetką jest siostra Joanna Soliman. Nie wiem, jak mu przerwać. W końcu udaje mi się wyjąkać kilka zdań.

– Mówi pani, że trzy tygodnie temu odkryła, że nasza siostra Joanna podrzuciła do szafki nieobecnej wtedy w szkole uczennicy Beaty Sokolnickiej jakiś obrzydliwy anonim i martwe zwierzę?

- Szczura. Tak mi powiedziano.
- Widziała pani to martwe zwierzę?
- Tylko list... ja...

Upijam łyk wody. Ma dziwny smak. Jest lekko kwaśna, ale może to dlatego, że piłam niedawno kawę.

– Dlaczego przez trzy tygodnie nie zawiadomiła pani dyrekcji liceum? Powinna pani to zrobić natychmiast! – Wbija we mnie piękne, zielone oczy.

Musiał być kiedyś bardzo przystojny. Nie mogę przestać na niego patrzeć. Regularne rysy twarzy, zmarszczki, które układają się w tajemniczy wzór. Krzaczaste siwe brwi. Bardzo chce mi się pić. Nie wiem, dlaczego ksiądz Tomasz zamknął w tym pokoju wszystkie okna i drzwi na taras. Kręci mi się w głowie. Wciąż słyszę jego głos. Ale nie widzę już nic. Wszystko znika.

MAKS

16 CZERWCA – ŚRÓDMIEŚCIE (WARSZAWA)

Walę pięściami w drzwi. Naciskam dzwonek pięćsetny raz. Kilka osób mija mnie, przyspieszając kroku, bo wyglądam jak wariat albo jak pijany. Przecież na kracie osłaniającej drzwi jest kłódka. A ja i tak szarpie drzwi i znowu dzwonię. Mam ochotę zerwać ten cholerny szyld „Kormoran. Agencja detektywistyczna Janicki i wspólnicy”, ale wisi za wysoko. Znowu dałem się nabrać! Żałosny, naiwny frajer! Cztery dni temu przelałem im dodatkową kasę i miałem nadzieję, że w końcu się odezwą, a tu cisza! Janicki nie odbiera moich telefonów, nie odpowiada na maile, a co najgorsze, oprócz moich

pieniędzy ma także część dokumentów, które udało mi się znaleźć w mieszkaniu ojca! Zaczynam szarpać kraty, coraz bardziej wkurwiony. Wyrwałem się z mojej firmy w przerwie na lunch, mając nadzieję, że zastanę tutaj chociaż ich sekretarkę. Ale nie ma nikogo! Żadnej kartki, informacji, że, kurwa, nie wiem, urlop, remont... cokolwiek! Oszukali mnie i zniknęli z moimi pieniędzmi! Będę musiał znowu iść na policję i przyznać, że sam zacząłem węszyć! W bardzo nieudolny sposób, z ludźmi, którzy koncertowo mnie wydymali!

– Maks? – Jakaś kobieta macha do mnie po drugiej stronie ulicy.

Mrużę oczy, bo słońce razi mnie niemiłosiernie. Podnoszę z chodnika okulary przeciwsłoneczne.

– Maks!

Kobieta po sześćdziesiątce, bardzo elegancka, spuchnięte od botoksu usta, blondynka w pudrowej garsonce. Anna Komornicka. Druga żona mojego ojca. Podchodzi bliżej, obejmuje mnie bez słowa.

– Tak mi przykro! Nie mogę uwierzyć w to, co się stało! Byłam na pogrzebie Jakuba, ale tyle osób składało ci kondolencje, że pomyślałam, że innym razem...

– Co ty tu robisz?

Dusi mnie zapach jej orientalnych perfum. Nigdy nie była tak wylewna wobec mnie, a teraz gładzi moje ramię, nie przestając mówić.

– Byłam umówiona z Janickim w południe. Tydzień temu zaprosił mnie na rozmowę... Powiedział, że działa w twoim imieniu.

Po chwili siadamy w kawiarnianym ogródku na Chmielnej. Nie mam zbyt wiele czasu, ale chcę skorzystać z okazji i ją wy badać. Przyznaje mi, że składała zeznania na policji. Oczywiście pytali ją, co robiła w noc morderstwa mojego ojca. Była w sanatorium w Nałęczowie.

– Czy mój ojciec wspominał ci kiedykolwiek o swoich pacjentach z Janiszewa?

– Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co się stało! Twój ojciec nigdy mi nie opowiadał o pacjentach z tamtego szpitala... chyba nie miał za dobrych wspomnień... Tylko kilka razy mówił, że metody tamtego ordynatora były...

– Jakie?

– Nie wiem... kontrowersyjne... chyba takiego słowa użył. To był mały szpital psychiatryczny, nad morzem, z widokiem na wydmy.

– Trochę pamiętam... nie mogłem tam wchodzić... czasem czekałem na ojca przed bramą. A fundacja, której zapisał część swoich oszczędności? Zbór Świętego Marcina? Janicki miał powęszyć i sprawdzić, kim są. Ale podejrzewam, że...

– Powinieneś mieć więcej zaufania do ludzi. Mówiłeś, że ta agencja detektywistyczna istnieje dwanaście lat. To profesjonalista. Na pewno prędzej czy później się do ciebie odezwie. A o zborze, owszem, słyszałam kilka razy.

– Od ojca? Nigdy nie był religijny!

– Mówił, że zajmują się krzewieniem historii, że organizują spotkania z młodzieżą w szkołach.

– Jak sto innych stowarzyszeń i fundacji! Nie widzę powodu, żeby dzielić się z nimi kasą! Mówił ci, gdzie mają swoją siedzibę? Bo w internecie nie ma o nich ani słowa! To także jest podejrzane!

– Jeżeli czegoś czy kogoś nie ma w internecie, to jest podejrzany? Ja nie mam nigdzie konta, na żadnym portalu. I nie robię przelewów internetowych. Listonosz przynosi mi emeryturę. Czy jestem od razu podejrzana?

– Nie rozumiesz! Fundacja powinna mieć swoją stronę internetową! Przecież istnieje tyle lat!

– To chyba nieformalne stowarzyszenie... więc nie muszą działać tak jak inne...

– Ale kasę chętnie przytulą, tak? Bywałaś na ich spotkaniach? Należysz do nich?

Spogląda na mnie zaskoczona, bo podnoszę głos.

– Oczywiście, że nie! Radzę ci, odpuść. To było ostatnie życzenie twojego ojca. Dlaczego chcesz działać wbrew temu, o co prosił w testamencie? Zaufał ci, że wypełnisz jego wolę do końca.

IGA

14 MARCA – TARCHOMIN (WARSZAWA)

– Nie wiem, jak ci dziękować! – Agnieszka Sałacka podaje mi kubek z kawą.

Obecna prezeska fundacji Demeter to dawna wolontariuszka. Poznałyśmy się rok temu, gdy zgłosiłam się tu do pracy. Drobna, bez makijażu, próbuje ogarnąć bałagan, który panuje w niewielkim pokoju.

– Kasa z twojej licytacji pójdzie na nowe tapczany dla dziewczyn w ośrodku w Chotomowie. Musiałyśmy wyrzucić dwa, bo narzekały, że sprężyny wbijają im się w tyłki.

– Dużo macie podopiecznych?

– Teraz to szesnaście kobiet w wieku od dwudziestu jeden do sześćdziesięciu lat. Dojdzie jeszcze jedna, jak wyjdzie ze szpitala. Ma zwichnięty bark. Tym razem to ojciec okazał się oprawcą. To są cholernie skomplikowane sprawy. Anka nie ma wykształcenia, jest bez kasy i nie ma dokąd wrócić. Ale podobno umie szyć.

– To już coś! Przekazałaś dziewczynom zaproszenia na mój wieczór poetycki? Przyjdą?

– Będą wszystkie oprócz pani Stefanii. Powiedziała, że woli telewizję od teatru. Myślę, że jeszcze ma traumę, ale starannie to ukrywa. A dziewczyny chcą oczywiście zobaczyć Daniela Wierzbickiego na żywo.

– Myślałam, że chcą posłuchać wierszy. Rozerwać się. Pobawić na bankiecie po licytacji. – Parskam śmiechem.

– Na bankiecie będzie alkohol? Bo wiesz, że one są zawsze wieczorem badane alkomatem. Żadna z nich nie może wrócić na rauszu. Taka jest zasada w naszym ośrodku.

– Będzie szampan. Ale ustaliłam z Piotrem, że megarozwodniony. Spodobał mu się ten pomysł, bo wyjdzie dużo taniej. Coś, co wygląda jak szampan, ale ma właściwie zerowe procenty.

– Sprytna jesteś!

Agnieszka mruga do mnie. Widzę, jak jest zmęczona. Ma małego synka, który ciągle choruje, i męża, który nie jest zachwycony jej pracą w fundacji. Ale ona to kocha. Rozumiem ją. Ja także chcę pomagać. Pierwszym etapem ma być licytacja kolacji ze mną oraz trzech tomików wierszy z dedykacjami. Wiem, że ośrodek w Chotomowie to rudera, nawala ogrzewanie, przecieka dach. Muszę pomyśleć, jak ściągnąć darczyńców. Wiem, że fundacje wspierające dzieci nie mają z tym problemu. Ale te, które wspierają kobiety będące ofiarami przemocy, kobiety często bez wykształcenia i wychodzące z nałogów... cóż, bywa różnie. Zamyślona wychodzę z bloku na warszawskim Tarchominie i wsiadam do mercedesa, którego Andrzej kupił w komisie tydzień temu. Obejmuje mnie natychmiast i wsuwa mi dłoń pod płaszcz.

– Zmarzłaś?

Doskonale wie, jak bardzo jestem ciepłolubna. Przez całą drogę na Żoliborz mówi o naszym wyjeździe do Włoch. Opowiada mi o Wenecji. Byłam tam lata temu. W domu Andrzej szykuje nam gorącą kąpiel. Wanna jest spora i jakoś się w niej mieścimy. Gdy siadam tyłem do niego i opieram plecy o jego kolana, myje moje długie włosy powolnymi, kolistymi ruchami.

– Mam dwa pytania.

– Pytaj... nie przestawaj.

– Przeczytałaś materiały, które przesłałem ci na maila? Miałem cię przeskolić przed wyjazdem. A lot do Wenecji mamy na początku kwietnia. To jest ponad sto stron...

– I po angielsku. Więc czytam trochę dłużej niż po polsku. To biznesowy angielski na dodatek.

– Ile stron przeczytałaś? – Wsuwa dłoń między moje nogi.

– Tylko spis treści. Niecały.

– Bardzo niedobrze... bardzo... w ogóle nie szanujesz swojego szefa, który załatwił ci pracę... – Wsuwa palec wskazujący nieco głębiej.

– Wcale jej nie chcę!

– Ale on nie wyobraża sobie, żeby inna to robiła. Może to robić tylko z tobą. Masz się go słuchać, bo jak nie... to kara będzie bolesna...

– Jaka to będzie kara?

– Przywiąże cię do łóżka, zawiąże ci oczy.
– Uderzy mnie? Bardzo się boję... okropnie bardzo...
– Nie uderzy. Nie chce uszkodzić twojej pięknej skóry. Będzie się tobą bawił jak lalką. Będzie ci wkładał do ust różne rzeczy.

– Do jedzenia?
– Nie do jedzenia. Do lizania i do ssania.

Dawno nie widziałam go tak zrelaksowanego. Jestem pewna, że cieszy go nasz wspólny wyjazd do Włoch. To tylko cztery dni. Niby praca, ale na pewno uda nam się trochę pozwiedzać i wreszcie odpocząć. Kilka minut później rzeczywiście przywiązuje mnie do łóżka paskami od szlafroka. Kompletnie naga udaję przerażenie, chociaż okropnie chce mi się śmiać.

– Szef musi cię ukarać, bo jesteś bardzo leniwa.
– Mam do ciebie mówić panie dyrektorze?
– Może być panie prezesie.
– Władza uderzyła ci do głowy i... – Nie jestem już w stanie mówić, bo zaczyna mnie lizać.

Metodycznie, zaczynając od pępka i powoli schodząc w dół.

– Panie prezesie! Co pan robi?! I dlaczego pan robi to tak wolno? Jestem tak mokra w środku, że już nie wytrzymam! – Wije się na łóżku, gdy Andrzej mocno rozchyła moje uda.

– To właśnie kara. Doprowadzę cię do granicy rozkoszy i zostawię... pójdę pooglądać telewizję.
– Tak nie wolno! – Udaje mi się zerwać jeden z pasków.

Ale Andrzej ma szybki refleks. Błyskawicznie we mnie wchodzi. Porusza się coraz bardziej spazmatycznie. Dochodzimy jednocześnie. Szczęśliwi. Spoceni, podrapani i z policzkami czerwonymi z gorąca.

– Wypadłeś z roli. Kiepski z ciebie aktor.

– Nie mogę być dobry we wszystkim. – Wzdycha, opadając na plecy. – Za trzy dni zrobię ci egzamin, bo kompletnie olewasz polecenia swojego szefa.

– Zaczyna się! Chcesz być groźnym szefem, tylko jest jeden problem. Zawsze wszystko robię po swojemu. Miałaś zadać mi dwa pytania, a zadałaś jedno.

– Zapomniałem, bo tak na mnie działasz. Za dziesięć dni Wielkanoc. Wiem, że zaprosiłaś do nas córkę i siostrę, a ja może...

– No?

– Chciałem tylko zapytać, czy miałabyś coś przeciwko, gdyby moja mama spędziła z nami święta?

Kolejny raz słyszę, jak używa słowa „mama”. Wcześniej nazywał Wandę „matką” albo „tą kobietą”. To dobry znak. Jeden z najlepszych znaków ostatnio.

KSENIA

15 MARCA – BIELANY (WARSZAWA)

Siedzę w gabinecie dyrektorki, zmęczona, bo ostatnio prawie w ogóle nie śpiam. Byłam na kilku rozmowach w sprawie pokoju, ale zawsze wybierano kogoś innego. Nie cierpię, gdy właściciele mieszkań robią casting na najlepszą kandydatkę na lokatorkę.

– Wezwałam panią na rozmowę w trybie pilnym, bo zmuszona jestem wystawić pani upomnienie z wpisem do akt.

– Co ja takiego zrobiłam?!

– Kilka dni temu zostawiła pani swoją klasę bez opieki! Wyszła pani z budynku szkoły podczas okienka bez zgłaszania tego komukolwiek! Nie wróciła pani na lekcję! Pojawiła się pani dopiero prawie dwie godziny później!

Gdy ocknęłam się wtedy na tarasie starego domu na Bielanych, stała nade mną nie tylko siostra Joanna, lecz także Beata. Uderzył mnie cały absurd tej sytuacji. Śpiewające ptaki w zapuszczonym ogrodzie, moja sukienka tak przepocona, że zrobiło mi się koszmarnie zimno. Podobno straciłam przytomność tylko na kilka sekund i wyprowadzono mnie na świeże powietrze. Została przy mnie tylko

Beata, bo siostra Joanna spieszyła się na zgromadzenie zakonne. Zapewniała mnie, że się przyjaźnią, chociaż nie chodzi na religię. Była na piętrze, bo chciała pożyczyć jakieś książki. Tłumaczyła mi, że cała klasa jej nie znosi i dlatego nie wróciła jeszcze do szkoły, i to zapewne któraś z jej złośliwych koleżanek podrzuciła do jej szkolnej szafki różne rzeczy.

– Siostra Joanna wie, że one to robią! Chciała to wyjąć, zanim zobaczę, bo wiedziała, że ostatnio miałam małe załamanie... Ona jest wspaiałą osobą. Sama pani profesor wie, że można z nią pogadać o wszystkim. Często tu przychodzę, żeby się wyciszyć. Ojciec Tomasz dał mi klucze.

– Ci ludzie... którzy byli u twojej mamy... ci ubrani na czarno... Oni także należą do zboru?

– Martwili się o mnie po prostu. Tylko tyle. Mama niepotrzebnie zrobiła aferę.

Teraz mam przed oczami wykrzywioną twarz mojej dyrektorki. Próbuje jakoś się bronić.

– Przecież nic się nie stało!

– To, że młodzież miała na tyle rozumu w głowach, że siedzieli cicho i sobie grali na telefonach, to nie znaczy, że ma dochodzić do takich sytuacji! Sprawa wypłynęła przypadkiem, dzięki Jagodzie Jańczak! Zataiła pani przede mną swoją nieobecność na lekcji!

– Przepraszam. Tego dnia poczułam się bardzo źle... Wysłałam ze szkoły, spotkałam Beatę... Ona może zaświadczyć, że zemdlałam.

– Wróciła pani do szkoły, jak gdyby nigdy nic, cała i zdrowa! Nie zadzwoniła pani do sekretariatu, żeby poinformować, że źle się pani czuje i żeby inny nauczyciel wziął za panią lekcję! Proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie. Czy jest pani w ciąży?

– Nie jestem!

Drżą mi ręce. Upomnienie z wpisem do akt? Jeżeli będę szukała pracy w innej szkole, to wszyscy się dowiedzą, jak jestem nieodpowiedzialna!

– Niestety, nieusprawiedliwiona nieobecność na lekcji, którą miała pani poprowadzić, to niejedyny zarzut wobec pani. Młodzież się skarży, że robi im pani testy, a potem zapomina je sprawdzić i ocenić! Na godzinie wychowawczej podobno często nie robi pani nic! Patrzy w okno. Milczy. Oni gadają, siedzą z telefonami, a pani...

– Tak było tylko raz! W dniu, gdy się źle poczułam!

– Widzę, że bycie wychowawczynią panią przerasta! Dochodzą jeszcze skargi... także od obcych osób. Kilka dni temu była u mnie starsza kobieta, która mieszka niedaleko naszego liceum. Podobno wynajmowała pani u niej pokój. Powiedziała, że została przez panią uderzona, gdy nakryła panią na przeszukiwaniu swoich szafek.

– To był wypadek! Szarpnęła mnie za ramię i...

– Szarpała się pani ze starszą kobietą?! Jeżeli rodzice naszych uczniów dowiedzą się o tym, cała szkoła może mieć problemy! Bogu dzięki ta kobieta nie zadzwoniła na policję! Ale chciała mnie ostrzec, że jedna z moich nauczycielek nie nadaje się na wychowawczynię młodzieży!

– Ta sytuacja wyglądała zupełnie inaczej... ja wszystko wytłumaczę... – Zaczynam szlochać.

– Niech się pani uspokoi – mówi dyrektorka, podsuwając mi jakiś dokument. – Proszę tu podpisać. Gdyby nie to, że do końca roku zostało tak mało czasu, to natychmiast odebrałabym pani wychowawstwo! Zwłaszcza że jedna z pani uczennic nie pojawia się w szkole od sześciu tygodni, a pani nie robi z tym nic! Beata Sokolnicka podobno ma wziąć udział w przedstawieniu teatralnym. Słyszała pani o tym? Jest w świetnej formie i psychicznej, i fizycznej, ale prawdopodobnie nie zostanie dopuszczona do matury, bo ma ogromne zaległości!

– Spróbuję ją namówić, żeby wróciła!

– Większość nauczycieli jest pewna, że ona już nie nadrobi materiału. Jako wychowawczyni poniosła pani klęskę!

To słowo boli najbardziej, bo jest podsumowaniem całego mojego dotychczasowego życia. Z czerwoną twarzą i zapuchniętymi od płaczu oczami wychodzę z gabinetu dyrektorki. Na szczęście trwają lekcje. Zamykam się w nauczycielskim kiblu. Szlocham tak, że trzęsą mi się ramiona. Przemywam twarz lodowatą wodą. Szukam kosmetyczki, bo muszę doprowadzić się do porządku. Za chwilę mam lekcję w mojej klasie. Moi uczniowie na mnie donoszą. Wydają się mili i uczynni, ale to tylko pozory. Śmieją się ze mnie i mnie nienawidzą. Szukając kosmetyczki w torebce, wymacuję jakiś

kształt. To koperta z zaproszeniem wydrukowanym na drogim papierze.

Serdecznie zapraszamy na wieczór poetycki Igi Bernard – 17 marca, godzina 18 – Teatr Impresaryjny Moira, ul. Marszałkowska 20, Warszawa.

Premiera tomu poezji „Łagodne oko błękitu” połączona z aukcją charytatywną na rzecz ośrodka dla kobiet ofiar przemocy Demeter.

W rolach głównych: Iga Bernard, Daniel Wierzbicki, Oskar Fijał. Reżyseria: Mateusz Janoch. Prowadzenie aukcji: Beata Sokolnicka. Opieka artystyczna i medialna: Piotr Rajmer – wydawnictwo Aramis”.

To już za dwa dni! Zobaczę Andrzeja i może uda mi się z nim porozmawiać! Nie przejął się w ogóle wycinkiem z gazety, który znalazłam u jego matki. Powiedział tylko, żebym to wyrzuciła i że jego matka zbiera różne rzeczy. Ale muszę zamienić z nim kilka słów, bo cała sprawa nie daje mi spokoju! Może się uda, gdy jego dziewczyna będzie zajęta brylowaniem w tym celebryckim towarzystwie? Świetna strategia marketingowa. Wspieranie fundacji dla kobiet plus emanujące seksem wiersze o penisach! Widziałam jej profil na jednym z portali internetowych. W ekspresowym tempie przybywa jej obserwujących. A ona wydyma tylko wargi na zdjęciach. Pewna siebie, pewna swojej urody, pewna zwierzęcej seksualności. Nigdy taka nie byłam. Takie kobiety są niebezpieczne! Andrzej nie potrzebuje kogoś takiego, bo ona może zniszczyć mu życie! Bardzo możliwe, że to Iga przysłała do mojej szkoły matkę Andrzeja! Ta biedna stara kobieta dała się zmanipulować! Ale nie poddam się! Nie wtedy, gdy chodzi o miłość!

IGA

17 MARCA – ŚRÓDMIEŚCIE (WARSZAWA)

Mam gigantyczną treść, co zdarza mi się bardzo rzadko. Stoję za kulisami, wsłuchując się w gwar rozmów na widowni. Za pięć minut zaczynamy. Przesuwam delikatnie purpurową kotarę. Dostrzegam Andrzeja w pierwszym rzędzie. Modny garnitur, starannie ogolony. Pokazuje coś swojej mamie w teatralnym programie. Obok niej moja siostra Olga. I moja córka, drobna brunetka. Mocno umalowana, w czerwonej minisukience. Zalewa mnie fala wzruszenia. Zrobiła się bardzo ambitna, a profesor, który przygotowuje ją do egzaminu na studia, bardzo ją chwali. Wynajęła niewielką kawalerkę niedaleko Sadów Żoliborskich i dwa dni temu pomagałam jej się urządzać. Dorabia sobie jako kelnerka w weekendy w jednej z najdroższych warszawskich restauracji. Moja córeczka. Mój skarb. Lustruję kolejne twarze osób, które siadają blisko sceny. Wiem, że Rajmer zaprosił literatów, malarzy, aktorów, reżyserów, muzyków. Wmówił im, że odkrył niezwykłą poetkę, kobietę z – jak to ujął – „oszałamiającą aurą i talentem”. Trochę mnie to rozśmieszyło. Nie wydaje mi się, że moje wiersze są jakoś specjalnie dobre. Ale mam jeden cel dzisiejszego wieczoru. Będę błyszczeć, żeby zebrać jak najwięcej pieniędzy dla dziewczyn z fundacji Demeter. Dostrzegam całą grupę w jednym z ostatnich rzędów. Razem z nimi uśmiechnięta Agnieszka, z marchewkowymi włosami spiętymi w kucyk. Została tylko minuta. Oddycham głęboko. Moja sukienka ma duży dekolt, połyskuje srebrem. Podkreśla talię i biodra, przykuwa uwagę. Rozpuściłam włosy. Widzę, jak Piotr poprawia mikrofon. Serce łomocze mi w piersiach. Czuję, jak ktoś dotyka mojego ramienia. Nie muszę się odwracać. Mężczyzn często poznaję po zapachu. To Oskar.

– Będzie dobrze. Zaczynaj!

Wychodzę na scenę, kołysząc biodrami. Oślepia mnie blask reflektorów. Wyczuwam energię ludzi na widowni. Słyszę brawa, szmery, szepty.

Twoja skóra to moja mapa.

Błądzą, gdy umyka mi jej zapach, jej smak.

Błądzą, gdy czekam na jej ciepło,

na jej wilgoć, na pulsowanie pod moimi wargami.

Sprawdzam, czy całowało ją już słońce?

*Chcę być jak ono. Dotrzeć ustami wszędzie.
Mieć jej smak w sobie. Na sobie. We mnie.
Twoja skóra to melodia moich nocy. Teraz drży. W delikatności swojej już nieśpiąca...*

Tylko przez sekundę głos mi drży. Bez problemu jestem w stanie nad nim zapanować, chociaż nie jestem aktorką. Mówię ten wiersz do jednego mężczyzny. Powoli, przez ostre światła reflektorów, przebija się jego sylwetka w pierwszym rzędzie. Gdy kończę, ogłusza mnie huragan braw. Idę za kulisy, czując drżenie kolan. W ciemnościach Daniel obejmuje mnie w talii.

– Jesteś zajebista! Zazdroszczę temu hotelarzowi, że cię wyrwał.

Odpycham go lekko. Za chwilę wyjdziemy na scenę razem. Ten spektakl to erotyczna gra kobiety i dwóch mężczyzn. Moje intymne przemyślenia mają stworzyć portret bohaterki, która trochę jest mną, a trochę nie jest. Po godzinie oddycham z ulgą. Udało się! Wychodzimy do braw, trzymając się za ręce. Po mojej lewej Oskar, po prawej Daniel, który chyba w przerwach za kulisami dodawał sobie odwagi, popijając whiskey. Publiczność wstaje. Andrzej z uśmiechem wchodzi na scenę z bukietem purpurowych róż, drugi mniejszy bukiet dostaję od Piotra. I bukietek frezji od mojej córki. Pół godziny przerwy. Publiczność może napić się szampana w foyer i ewentualnie zakupić tomiki z moimi wierszami, bo Rajmer zadbał, żeby wyeksponować dwa stoiska z książkami jego wydawnictwa. Oglądam swoją twarz w garderobie. Poprawiam makijaż. Zmieniam sukienkę. Za chwilę licytacja. Upinam włosy. Słyszę pukanie do drzwi garderoby. Z uśmiechem otwieram, pewna, że to Andrzej. Ale to Daniel, który ledwo trzyma się na nogach.

– Chodź do naszej garderoby! Coś z Oskarem! Nie wiem, co mu jest, kurwa, nie wiem... no chodź, Iga! Pospiesz się, do kurwy nędzy!

KSENIA

17 MARCA – ŚRÓDMIEŚCIE (WARSZAWA)

Cały czas go obserwuję. Przedstawienie w ogóle mnie nie obchodzi. Wiersze Igi Bernard są obrzydliwe. I gdy recytuje je zachrypniętym głosem, chce mi się śmiać. Naśladuje Poświatowską, Pawlikowską-Jasnorzewską, nawet Sylvię Plath. Nie potrafi pisać o niczym innym, tylko o seksie! To nimfomanka! Rozumiem, że niektórych facetów może to kręcić, ale tak wrażliwy mężczyzna jak Andrzej nie powinien się nabierać na jej sztuczki. Jestem pewna, że przespała się z tymi dwoma aktorami, którzy brylują obok niej na scenie. Ale Andrzej tego nie wie. Wpatruje się w nią z uśmiechem, oszołomiony tym beczelnym uwodzeniem. Bo ona nie uwodzi tylko jego. Uwodzi każdego, kto się na nią gapi. Lekko wykręcam głowę, żeby wciąż obserwować jego profil. Gdy kończy się spektakl i wbiega po bocznych schodkach na scenę, coś ściska mi serce. Całuje Igę w usta, wręcza jej różę. Robi to z takim wdziękiem, jakby był jednym z aktorów, a nie biznesmenem. Gdy przy nieustającym dźwięku braw obejmuje ją w talii, jakieś nieznane uczucie kiełkuje mi w sercu. Chyba nigdy tak mocno nikogo nie nienawidziłam! Ta kobieta ma wszystko, a ja nie mam nic. Nikt mnie nie podziwia. Nie szanuje. W szkole, w której pracuję, mam już opinię tej, z którą nie liczą się ani uczniowie, ani dyrektorka. Gdy ostatnio próbowałam coś powiedzieć na radzie pedagogicznej, zakrzyczeli mnie, przzerwali w bardzo niegrzeczny sposób. Jakby moje pomysły były niewarte nawet omówienia!

Przerwa. Przepycham się do foyer i szybko sięgam po kieliszek szampana. Z wielkich banerów umieszczonych na wszystkich ścianach patrzy na mnie Iga Bernard. Czarno-białe prowokujące zdjęcia. Jej skośne, wielkie oczy powiększone przez grafika. I prawie nagie piersi przysłonięte tylko jakimś tiulem. Szukam wszędzie Andrzeja, ale zniknął. Za to dostrzegam jego matkę przy szwedzkim stole.

– Dobry wieczór, pani Wando. Chciałam zapytać, dlaczego pani mnie oczernia? Dlaczego była pani w mojej szkole? Dlaczego mnie pani prześladowa?!

Kilka osób odwraca głowy.

– Trzymaj się z daleka ode mnie, od mojego syna i jego dziewczyny. Wiem, co chodzi ci po głowie!

– Pani nic nie rozumie! To Andrzej prosił mnie, żebym sprawdziła, kto panią odwiedza, czy pani pije, czy...

– Zapłacił ci za to? Łatwo cię kupić! Oni też o tym wiedzą! Znają twoje słabe strony. Łatwo cię rozgryźć. Jesteś słaba!

Odchodzi, zostawiając mnie oszołomioną i przestraszoną. To wariatka! Nikt nie powinien zwracać uwagi na jej słowa, a zwłaszcza dyrektorka, która mnie zatrudnia! Gdy dostrzegam wysoką, barczystą sylwetkę Andrzeja, oddycham z ulgą. Przeglądam się w szybie okiennej. Specjalnie dla niego włożyłam mini i obcisły, błyszczący sweterek. Szybko poprawiam włosy.

– Andrzej!

Odwraca się zaskoczony. Sięgam po drugi kieliszek szampana z ozdobnej tacy. Podchodzę do niego szybkim krokiem.

– Kiedyś byliśmy przyjaciółmi – mówię cicho, bo mam wrażenie, że w ogóle nie chce ze mną rozmawiać.

– Źle mnie zrozumiałas. Za bardzo się zaangażowałaś. To na pewno także moja wina. Bo pewnie źle się wyraziłem, źle ci opisałem, o co mi naprawdę mi chodzi.

– Nie mów do mnie takimi okrągłymi zdaniami! Bądź sobą! Przecież potrzebujesz kogoś takiego jak ja! I wiesz, że nic nie zrobiłam!

– Wierzę, że nie uderzyłaś specjalnie mojej mamy, i wierzę, że niełatwo ci się z nią mieszkało. Ale zawsze będę po jej stronie.

– Była w mojej szkole i opowiedziała dyrektorze, co jej zrobiłam! Rozumiesz?! Wyrzucą mnie z pracy! Przepraszałam ją milion razy! A ona mnie oczernia! Nie mam gdzie mieszkać i niedługo będę bezrobotna! Przez nią!

Krzyczę teraz tak głośno, że nie zagłusza mnie nawet muzyka dochodząca z głośników. Andrzej rozgląda się nerwowo.

– Porozmawiajmy na zewnątrz. Gdzie twój płaszcz?

MAKS

18 CZERWCA – BIAŁOŁĘKA (WARSZAWA)

Oszupiała wpatruję się w ekran laptopa. Wróciłem ledwo żywy z narady w firmie. Przywitałem się z dziećmi, które w salonie oglądały telewizję, i zamknąłem się w swoim gabinecie na kilka godzin. Z Darią prawie nie rozmawiam. Moja żona myśli, że wciąż przeżywam śmierć ojca. Nie wie, że przeżywam także jej zdradę i kłamstwa. Ale teraz czuję, jak ciśnienie skacze mi do jakiegoś szaleńczego poziomu. Artykuł na jednej ze stron internetowych przedstawiających wiadomości z kraju jest dość enigmatyczny:

Tragiczny wypadek na drodze lokalnej trzy kilometry od Janiszewa (kujawsko-pomorskie). Audi prowadzone przez właściciela warszawskiej agencji detektywistycznej Kormoran Edwina J. (46) prawdopodobnie uderzyło w drzewo. Pasażer siedzący obok, współwłaściciel firmy Robert R. (37), został ciężko ranny. Jak ustalili śledczy, mężczyźni znaleźli w rozbitym aucie dwa dni po wypadku. Roberta R. przetransportowano śmigłowcem pogotowia ratunkowego do szpitala rejonowego w Gdańsku. Policja bada okoliczności wypadku oraz zdumiewający fakt, że rannym próbowano udzielić pomocy dopiero dwa dni po wypadku, chociaż zniszczony samochód stał niedaleko lokalnej drogi prowadzącej na dziką plażę na wydmach.

– Zrobiłam lemoniadę. – Podskakuję wystraszony, bo nagle Daria dotyka mojego ramienia.

– Możesz mi nie przeszkadzać?

Stawia szklankę na blacie biurka. Wychodzi z gabinetu, lekko trzaskając drzwiami. Czytam artykuł kilka razy. Szukam informacji na temat wypadku na innych stronach. Tylko powtarzająca się informacja, że ktoś znalazł martwego Janickiego i jego umierającego współnika dopiero dwa dni po wypadku, sądząc po stanie zwłok. Nie wierzę, że to był wypadek! Prosta droga i piękny, upalny dzień!

I miejscowość, w której wynajęci przeze mnie faceci mieli węszyć. Za ledwie trzydzieści kilometrów dalej jest miejsce, w którym spędziłem pół mojego dzieciństwa. Kościół pod wezwaniem Świętego Marcina, liceum dla dziewcząt imienia Olgi Boznańskiej, nieduży szpital psychiatryczny, trzy sklepy, poczta i dzika plaża. Czy Janicki zginął przeze mnie? Tysiące natrętnych myśli rozsada mi czaszkę! Najpierw zostaje zamordowany mój ojciec, a teraz prywatny detektyw, który prowadzi własne śledztwo w sprawie jego śmierci! Być może odkrył coś, co kogoś wkurwiło! Jestem pewien, że zbór nadal istnieje! Wiem, że mój ojciec do niego należał, ale miał dość i pewnie dlatego wyjechał z Janiszewa. Podobnie jak matka Andrzeja. A teraz nikt nie wie, gdzie jest ta kobieta! Może też nie żyje? Powiniennem pójść na policję i opowiedzieć o swoich podejrzeniach? Czy jak pójdę, to narażę moją rodzinę? Robi mi się słabo. Wstaję na miękkich nogach, żeby szerzej otworzyć okno. Mam wrażenie, że ktoś stoi po drugiej stronie ulicy i patrzy prosto na mnie. Cofam się natychmiast. Sięgam po okulary rzucone na biurko. Nikogo już nie ma. Znowu szczekanie psów. Zaczynam wpadać w paranoję. To ja zabiłem Janickiego! To ja wysłałem go do Janiszewa! Zbliża się pierwsza w nocy. Cisza w moim domu jest obezwładniająca. Piszę wiadomość do Aliny, prosząc o spotkanie za kilka godzin. Słyszę ciche pukanie. Spinam się natychmiast, myśląc, że to moja żona. Ale to Julka w piżamie w zielone jednorożce, której nogawki przydeptuje bosymi stopami.

– Tato... nie śpisz?

– Nie, mała. Pracuję.

– Tato... Kacper zsikał się do łóżka! Już drugi raz w tym tygodniu!

IGA

18 MARCA – ŻOLIBORZ (WARSZAWA)

W jedwabnym szlafroku, z kieliszkiem chardonnay w dłoni opadam na fotel. Jest druga w nocy. Niedawno wróciliśmy z premierowego bankietu i mam szampański humor. Andrzej także. Rozpina koszulę, rzucając od czasu do czasu okiem na moje nogi, którymi macham prowokująco. Poły szlafroka odsłaniają uda. I nie tylko. Nie mam na sobie majtek.

– Wygrałem licytację i należą mi się specjalne względy. – Przesuwa dłonią po moim kolanie.

– Wygrałeś kolację ze mną, a nie seks!

– Jedno łączy się z drugim. Przynajmniej tak zrozumiałem.

– I dlatego tak ostro licytowałeś? Trzydzieści siedem tysięcy! Bez przerwy podbijałeś stawkę!

– Lubię rywalizację. Poza tym żaden idiota nie będzie jadł kolacji z moją dziewczyną. Ja ją będę jadł! Ale najpierw sprawdzę, czy było warto...

– Czy co było warto?

– Zainwestować...

Bierze mnie na ręce i zanoszą do sypialni. Jest lekko wstawiony. Ja także. Przyjemnie było być gwiazdą udanego wieczoru. Nie zepsuł go nawet incydent z Oskarem, który zamknął się w garderobie i szlochał. Udało mi się wejść do środka. Pokazał mi wiadomość od Beaty. Zerwała z nim esemesem w przerwie między przedstawieniem a licytacją. To pokolenie nastolatków mnie zdumiewa! Mogła chociaż pogadać z nim w cztery oczy i zrobić to po premierze. Ale chyba nie wie, co to jest wyczucie taktu czy empatia.

– Ruchałeś sobie gówniarę przez parę miesięcy i powinieneś się cieszyć, a nie płakać! Ciesz się, stary, że przez pół roku dawała ci dupy! – Daniel w swoim stylu próbował postawić Oskara do pionu.

W końcu wylał mi szklankę lodowatej wody na kark. Oskar się wściekł. Wyrzuciłam Daniela z garderoby i starałam się uspokoić starszego aktora, który nagle uświadomił sobie, że jakoś będzie musiał żyć bez osiemnastolatki u boku.

– Ogarnij się. Jesteś profesjonalistą! Za pięć minut musimy wyjść na scenę. Błagam, nie zepsuj tego! To jest licytacja na ważny cel!

– Nie rozumiesz, Iga! Myślisz tylko o sobie! Nic nie rozumiesz! Dawałem Beti wszystko! Miała to, co chciała...

Zaczęłam rozpinać mu koszulę.

– Co robisz?! – Odepchnął moje ręce.

– Jesteś cały mokry! Założysz koszulę Daniela! Za dwie minuty musimy wyjść na scenę! Jesteś genialnym aktorem! Dasz radę! Wyjdiesz z nią na scenę i poprowadzisz licytację! Te kobiety tego potrzebują! Nie ja!

– Jakie kobiety?!

– Dziewczyny z fundacji Demeter! Bite przez partnerów! Wykopane ze swoich mieszkań przez tych skurwieli! Mieszkają w ośrodku w Chotomowie, bo nie mogą wrócić do swoich domów! Nie mają nic, tylko rany na duszy i ciele! Rozumiesz?!

– Iga... – mamrotał, mrugając nerwowo.

– Opowiem ci o Elenie. Ofiara zbiorowego gwałtu. Cudem przeżyła. Też jest pod opieką naszej fundacji. Mieszkała u mojej siostry, a teraz powoli staje na nogi... to są prawdziwe tragedie! A nie to, że jakaś małolata dała ci kosza. Rozumiesz?! One tu są, na widowni. Zaprosiłam je! Twoja tragedia życiowa jest niczym w porównaniu z ich przeżyciami! Ty sobie zaraz wrócisz do ślicznego apartamentu na Bemowie...

– Na Mokotowie.

– No właśnie. A one wrócą do rozpadającego się budynku niedaleko Chotomowa! Wiesz, co to za budynek? Gówniana ruderka z cegły! Możesz dziś im pomóc! Dasz radę?

Spojrzał mi w oczy trochę przytomniej. Zabrział ostatni dzwonek. Nie było czasu! Chwycałam go za rękę. Miał lodowate dłonie.

– Wychodzimy na scenę. Teraz nie myślisz o Beacie! Myślisz o tym, co możesz zrobić dla tych kobiet! Bo jesteś profesjonalistą i dobrym człowiekiem!

Wyszliśmy uśmiechnięci na scenę. Z drugiej strony kulisy dołączył do nas Daniel, który także okazał się profesjonalistą, bo nikt się nie zorientował, że jest mocno pijany. Obserwowałam Beatę. W ogóle nie patrzyła na Oskara. Była trochę onieśmielona, ale gdy emocje licytujących rosły, ona także dała się ponieść chwili. Po kilkunastu minutach wszyscy krzyczeliśmy do mikrofonów, widząc uniesione na widowni ręce.

– Dziesięć tysięcy osiemset po raz pierwszy... po raz drugi!

– Dwadzieścia tysięcy! – Natychmiast rozpoznałam głos Andrzeja.

Licytował ostro. W końcu zostało ich tylko dwóch. Właściciel agencji PR, grubas z kasą i znajomościami w branży, którego w przerwie przedstawił mi Rajmer, i mój Andrzej.

– Wygrałem... – szepcze do mnie teraz, liżąc skórę na moich piersiach. – Chcę...

– Jakieś specjalne życzenie?

Przeciągam się jak kotka w pościeli. Jestem taka szczęśliwa. Ludzie chwalili moje wiersze. Ustawiła się długa kolejka do stanowiska z tomikami. W ciągu jednej nocy przybyło mi ponad czterystu obserwatorów, bo Piotr oznaczał mnie, gdy wrzucał relacje z premiery na stronie wydawnictwa Aramis.

– Położę się... a ty mnie ujeżdżaj...

– Z przyjemnością, panie prezesie.

Zmieniamy pozycję, obmacując się i chichocząc. Mój telefon wibruje, ale nie mam czasu go sprawdzać. Rozpinam rozporek jego eleganckich spodni. Wzdycha. Jego klatka piersiowa unosi się i opada. Siadam na nim już całkiem naga. Odginam jego ramiona do tyłu, chociaż próbuje pieścić moje piersi, ugniatać pośladki.

– Nie dotykaj mnie... – szepczę mu do ucha.

Zaciska dłonie na poręczy łóżka, gdy kołyszę się na nim w przód i w tył. Długo czekałam na kogoś takiego jak on. Straszny z niego introwertyk. Ale jest wrażliwy, inteligentny i czuły. Ma temperament w łóżku i ciągle nowe pomysły. Wyginam się, czując, jak dochodzi we mnie, drżąc, próbując nie krzyknąć. Mój orgazm nadchodzi po chwili. Odczuwam rozkosz nie tylko między nogami, także w ustach. Wszędzie.

– Ten wiersz... – chrypi po chwili, gdy leżymy objęci w wygniecionej pościeli. – Ten pierwszy wiersz, który mówiłaś... Był dla mnie?

– Każdy był dla ciebie. Mówiłam wyłącznie dla ciebie i o tobie.

– To dobrze... Tak czułem, że mówisz tylko do mnie i dla mnie... Nigdy wcześniej nie byłem

z kimś takim... z taką kobietą, nigdy...

Zasypia. W rozpiętych spodniach. Bez koszuli. Sięgam po mój kieliszek, który postawiłam obok łóżka. Dopijam wino. Sprawdzam telefon. Mnóstwo wiadomości z gratulacjami. Entuzjastyczne esemesy od Agnieszki.

Dzięki tobie mamy kasę na zaległy czynsz w Demeter i na tapczany! I starczy na nowy telewizor do świetlicy! Nie masz pojęcia, co dla nas zrobiłaś! Z całego serca dziękuję!

I jeszcze jedna wiadomość sprzed pięciu minut. To Oskar.

Dzięki, że postawiłaś do pionu starego pijaka, czyli mnie! Naprawię wszystko z Beti. Właśnie przelałem trzy tysiąki na rzecz tej twojej fundacji. Znam życie.

Szybko odpisuję:

Dziękuję! Powodzenia z Beti! Trzymam kciuki!

Nie wiem, dlaczego nie mogę zasnąć aż do rana. Jakieś dziwne myśli nie dają mi spać.

KSENIA

23 MARCA – BIELANY (WARSZAWA)

Pokój pielgrzyma w bielańskiej willi zboru Świętego Marcina to duża sypialnia, cała w bieli, której drzwi balkonowe wychodzą na taras. Siostra Joanna i Beata przekonały mnie, że powinnam przenieść się tu, zamiast waletować u Olgierda. Do liceum, w którym uczę, to zaledwie dwanaście minut szybkim krokiem, a cena wynajmu tego ślicznego pokoju to kwota podobna do tej, jaką płaciłam u pani Wandy. Gdy wczoraj obudziłam się tu po raz pierwszy i wiosenne słońce zalało ściany, poczułam niesamowity spokój. Wadą jest jedynie wspólna łazienka na korytarzu, ale siostra Joanna zapewniła mnie, że rzadko ktoś tu nocuje i często będę całkiem sama. Tuż obok mojego pokoju znajduje się duża kuchnia połączona z jadalnią. A po drugiej stronie korytarza jest pokój ojca Tomasza, który czasem tu nocuje, gdy jest w Warszawie. Olgierd uznał, że mi odbiło. Ale przestałam go słuchać i odpowiadać na jego wiadomości. Jestem pewna, że mnie okłamał, bo gdy zapytałam, czy mogę zobaczyć film z monitoringu pokazujący, jak siostra Joanna zostawia coś w szafce Beaty, odpowiedział, że agencja ochrony niszczy te filmy po miesiącu. Postanowiłam nie jechać do domu na Wielkanoc. Chcę się solidnie przygotować, bo niedługo zakończenie kursu na egzaminatora maturalnego, a poza tym mam zaległe testy do sprawdzenia. Uśmiecham się na myśl, że będę uczyć się w ogrodzie. Teraz też w samym szlafroku wychodzę na taras. Dostrzegam grubego kota, który podbiega natychmiast, miaucząc i ocierając się o moje nogi.

– Masz nowego przyjaciela.

Na tarasie dostrzegam ojca Tomasza, spokojnie popijającego kawę. Starannie ogolony, z gęstymi, siwymi włosami zaczesanymi do tyłu. W koszuli z krótkimi rękawkami i koloratką oraz w czarnych spodniach.

– Szczęść Boże.

– Nie musisz być tak oficjalna. – Uśmiecha się ciepło. – Mówmy sobie na ty. Wiem, że cię przestraszyłem, i od razu za to przepraszam. Przyjechałem o piątej rano, a za dwie godziny mam wykład. Cieszę się, że u nas mieszka. A tego pieszczocha lepiej nie bierz na kolana.

– Dlaczego?

Spoglądam na grubego kocura, który wciąż łąsi się o moje nagie łydki. Jestem okropnie zażenowana, bo szlafrok ledwo osłania mi uda. Jest ponad dwadzieścia stopni.

– Bo linieje. Musiałem zmienić spodnie, gdy wskoczył mi na kolana. Wszędzie miałem jego kłaki.

– Rozumiem... Ja przepraszam za ten strój, ale myślałam, że jestem sama.
– Czuj się jak u siebie w domu. To miejsce ma w sobie niezwykłą energię, harmonię i spokój. A tobie jest to potrzebne. Słyszałem, jak płakałaś... dziś nad ranem...

– Bez sensu użalam się nad sobą.
– Czasem trzeba się nad sobą pochylić. Nad swoimi uczuciami i nad swoim bólem. Przez łyżę przemawia znękana dusza. Ona krzyczy. Nie można tego tłumić.

Słucham go coraz bardziej urzeczona. Ma w sobie mnóstwo ciepła i empatii. Przysuwa swoje wiklinowe krzesło do mojego i obejmuje mi dłoń.

– Nie tłum swoich uczuć... Daj im mówić... Co było przyczyną twojego płaczu?
– Ja... Kocham... kocham mężczyznę, który tego... nie odwzajemnia.
– Skąd wiesz, że to miłość?
– Myślę o nim bez przerwy, chcę być obok niego i z nim... Wciąż zastanawiam się, gdzie jest i z kim... Czytam jego wiadomości, ale on już przestał mi odpowiadać, bo go nimi zasypywałam. Nie mogłam się powstrzymać.

– Wie, że go kochasz?
– Na pewno się domyśla. On jest z kobietą, która na niego nie zasługuje! To jest dobry człowiek, bardzo wrażliwy... a ona... to dziwka...

– Miłość to dar. Nie trzeba się tego wstydzić. To dar dany przez Boga tylko wybranym. Tak nas Bóg stworzył. Kochamy i pożądamy. Pożądasz go?

Cieszę się, że mogę w końcu porozmawiać z kimś o moich uczuciach. O tym, co się dzieje w moim sercu i z moim ciałem. Bo wczoraj w kąpielni też myślałam o Andrzeju. Dotykałam się. Mówię o tym teraz. Coraz ciszej. Może to moja spowiedź? Gdy zmarła moja mama, odeszłam z Kościoła. O tym też mówię. Że grzeszę i nie wierzę. To znaczy wierzę, ale nie praktykuję. I grzeszę myślą, mową i uczynkiem.

– Chodźmy do twojego pokoju – mówi ksiądz Tomasz. – Pomodlimy się razem. Nawet jeżeli straciłaś wiarę, modlitwa będzie jak medytacja. Będzie ulgą dla twojej zbłąkanej duszy.

MAKS

19 CZERWCA – ŻOLIBORZ (WARSZAWA)

Zasnąłem w pokoju dzieciaków dopiero nad ranem. Na fotelu, z nienaturalnie przekrzywioną głową. Wcześniej namówiłem Kacpra, żeby wyszedł spod łóżka, gdzie się schował zaryczany i w zasikanych spodniach od piżamy. Oczywiście była to wina Julki. Najpierw wyśmiała go, gdy odkryła, co się stało. A potem się przestraszyła i pobięła po mnie. Zrozumiałem, że moje dzieci, chociaż chwilami wrzaskliwe i niezdolne, wyczuwają, że w naszym domu dzieje się coś niedobrego. Stąd to nocne moczenie się Kacpra, wieczne przepychanki i awantury między nimi. Powinniśmy urządzić im oddzielne pokoje, zaadaptować wreszcie poddasze. Ale sam nie wiem, czy zostaniemy w tym domu... Czy ja zostanę w tym domu? Przecież moje małżeństwo powoli przestaje istnieć.

W żoliborskim mieszkaniu, które Alina wynajmuje z przyjaciółką, czuję się już jak w domu. Wiem, gdzie trzymają kawę, wiem, że zlew się zapycha. I wiem, że zawsze zastanę w nim potworny bałagan, czyli butelki po winie, wódzie i aperolu na podłodze, a ubrania na łóżkach, krzesłach, na pralce i pod pralką. Teraz moja Alina, zupełnie naga, otwiera szeroko okno. Słyszę śpiew ptaków, wrzaski dzieciaków z okolicznego parku.

– Ubierz się – mamrocze, zapalając papierosa. – Nie mam pojęcia, dlaczego nie macie tu ani żaluzji, ani zasłon...

– Lubię, jak jest przestrzeń i światło.
– I lubisz, jak sąsiedzi widzą twoje cycki?
– Przyzwyczaili się.

Przed chwilą mi obciągnęła. Zrobiła to tak profesjonalnie i z taką gracją, że teraz każde jej słowo i każdy ruch budzi mój zachwyt. Jest niesamowita! Pewna siebie samiczka, która leje na konwenanse, na to, co wypada, czego nie. Próbowałem się jej odwdziżyć w ten sam sposób, ale zupełnie mi nie

wyszło. Leżała naga i znudzona z szeroko rozrzuconymi nogami, obserwując mnie i paląc papierosa. Okazało się, jeśli chodzi o lizanie kobiet, to muszę się jeszcze wiele nauczyć.

– Mógłbym wynająć ci kawalerkę gdzieś tu w okolicy. Bo chciałbym wpadać częściej, a nie tylko wtedy, gdy nie ma twojej współlokatorki.

– Chcesz się bawić w sponsoring? Za kogo ty mnie masz?!

– Nic takiego nie powiedziałem. Miałem na myśli, że chętnie pomogę ci w opłatach za kawalerkę, bo chciałbym w niej pomieszkiwać. Podoba ci się ten pomysł?

– Może być. – Gasi papierosa w doniczkę i zaczyna mocno ugniatać moje jądra.

– Daj spokój. Dziś już nie dam rady więcej.

Znowu się śmieje. Podsuwa mi butelkę wina. Paląca gardło rioja. Pijemy z gwinta.

– Moim zdaniem nie powinienes zdradzać policji, że wynająłeś Janickiego. Pewnie sami do tego dojdą, jeżeli przesłuchają jego współnika.

– Jeżeli ten człowiek przeżyje. Na razie jest w śpiączce.

– Możesz udawać przed śledczymi, że dowiedziałeś się o ich wypadku dopiero od nich. Jesteś w żalobie, tak? Pod opieką psychologa.

– Powiedzmy. U psychologa byłem raz.

– Wystarczy. Kto jeszcze wiedział, że Janicki razem ze współnikiem pojechali węszyć do Janiszewa?

Zamyślam się. Znowu jestem na rauszu. Gdy jestem z nią, mój świat, który się rozpadał, zaczyna się składać.

– Oprócz ciebie wiedzieli jeszcze była żona mojego ojca i Andrzej Bielenda.

– No właśnie.

– Ale jemu nie wspomniałem, jak się nazywa ten detektyw. Natomiast Anna знаła jego nazwisko i nazwę agencji. Ale to przypadek.

– Czyli zostaje Bielenda. Facet, który sra kasą i ma ją nie wiadomo skąd! Facet, którego poznałeś w Janiszewie, gdy byliście jeszcze gówniarzami... Facet, którego ostatnie miejsce pracy, czyli luksusowy hotel na Mazurach, poszedł z dymem.

– I dochodzenie w tej sprawie wciąż jest utajnione. Próbowałem przekopać internet. Bardzo mało informacji. Zorganizowana grupa przestępcza. Jacyś poparzeni. Chyba znajomi właściciela. Janicki miał się zająć sprawdzaniem Bielendy po powrocie z Janiszewa.

– Myślisz, że on ci ufa?

– Nie wiem. Powiedziałem mu o mailach mojego ojca. Chyba byłem za bardzo szczery?

– Dobrze, że byłeś szczery. Powinieneś się z nim zaprzyjaźnić. W końcu wiele was łączy, nie? Wasi rodzice się przyjaźnili... No i ta przeszłość w Janiszewie... słodkie dzieciństwo nad morzem.

Przez moment przypominają mi się zabawy na wydmach, które organizowaliśmy z chłopakami. Kiedyś wrzuciliśmy małego Bielendę do wody. Miał ze cztery lata. Był marzec. Ale przecież było płytko, tylko kurewsko zimno. Nic mu się nie stało. Nawet nie zapłakał. Wyrwał się nam jakimś cudem i przemoczony pobiegł do domu. Mam nadzieję, że on tego nie pamięta. Ja widzę moje wspomnienia jak przez mgłę. Miałem czternaście lat i chyba wtedy pierwszy raz w życiu piłem wódkę z kumplami.

– Musisz się z nim zaprzyjaźnić, Maks. A wtedy poznasz odpowiedzi na wszystkie pytania. On cały czas coś ukrywa. Tak jak jego matka! Może to przez nią twój ojciec został zamordowany? Zadzwoń do niego! Oczywiście nie mów mu, że posuwasz dawną lokatorkę jego matki.

Alina masuje mi podbrzusze i podaje telefon, który wcześniej rzuciłem na parapet.

– Bądź podłamany. Na skraju depresji. Powiedz mu, że żona cię zdradza.

– A to, kurwa, po co?!

– Solidarność plemników. Zacznie ci naprawdę współczuć. W końcu się otworzy. Zobaczysz!

IGA 24 MARCA – ŻOLIBORZ (WARSZAWA)

Za oknami już prawdziwa wiosna. Mamy widok na park Żeromskiego, w którym przyroda zaczyna szaleć, bo zrobiło się naprawdę ciepłutko. Za tydzień lecimy do Wenecji i obkupiłam się w nowe sukienki, bieliznę, perfumy. Urządzamy u nas Wielkanoc i właśnie obserwuję, jak Irenka ustawia na stole potrawy, które przywiozła moja siostra. Olga zagląda do nas do salonu przepasana kolorowym fartuszkim. Wygoniła mnie z kuchni, bo jak twierdzi, więcej ze mnie szkody niż pożytku.

– Mój syn... słuchajcie... słuchajcie... przesyła wam życzenia i zgodził się na nasz wspólny wyjazd na kajty na Rodos w sierpniu! – Macha telefonem, wyraźnie ucieszona.

– Pozdrów go od nas! I nie rób takiej miny. Ty będziesz się wylegiwać na plaży, a on będzie szalał na desce.

Godzinę później jemy uroczyste śniadanie wielkanocne. Obserwuję matkę Andrzeja, która jest wyraźnie onieśmielona, chociaż poznała już na premierze Olgę i moją córkę. Ubrana w żakiet z podwiniętymi rękawami, włosy spięła w kok na czubku głowy. Jestem pewna, że kiedyś była naprawdę piękną kobietą.

– Czy mogłybyście... wszystkie mówić mi na ty? Wiem, że jestem starą babą, ale nie mówcie mi per pani.

– Oczywiście! – Olga uśmiecha się szeroko. – Nie ma sprawy! Zaraz wypijemy toast! Przyniosłam chianti. Jest w kuchni.

Widzę, jak Andrzej się spina, jak zaciska dłońe na filiżance z kawą.

– Jest południe! Zwariowałaś?! Wypijemy toast sokiem! Tak wcześnie nie będziemy pić alkoholu – mówię beztroskim tonem i unoszę dzbanek.

Kilkanaście minut później w kuchni zawstydzona Olga zaczyna mnie przeproszać szeptem.

– Zapomniałam, co mi mówiłaś o Wandzie! Wyleciało mi z głowy, że piła przez tyle lat!

– Po prostu ustaliliśmy z Andrzejem, że jak zapraszamy jego mamę, to alkohol znika ze stołu.

I żadnych rozmów na temat picia.

– Jasne. Przepraszam!

– Ty też trochę przyhamuj. Mówiłam ci milion razy.

– Już nie piję sama. Tylko w towarzystwie. Dwa razy w tygodniu może.

– Jakieś nowe towarzystwo? Nowe znajomości?

– Jest taki jeden... Wprawdzie starszy ode mnie o osiem lat, ale całkiem sensowny. Zabrał mnie do opery i gadał bez przerwy. Jeszcze ze sobą nie spaliśmy. Ale były pocałunki... nie tylko w policzek, więc pewnie za kilka dni wylądujemy w łóżku.

Olga pokazuje mi zdjęcie w telefonie. Brodaty, z kucykiem, w opiętym markowym swetrze. Przypomina mi mojego poprzedniego partnera, o którym dawno zapomniałam.

– Może nie powała urodą, ale jest naprawdę inteligentny i zabawny. Archeolog z doktoratem. Rozwiedziony. Dorosła córka, która mieszka w Berlinie.

– Bierz! Masz moje błogosławieństwo!

Śmiejemy się jeszcze głośniej, ale gdy Wanda zagląda do kuchni, natychmiast poważniejemy.

– Zaniosę owoce do salonu – mamrocze moja siostra i wychodzi z jednym z półmisków.

– Chciałam ci podziękować. – Matka Andrzeja patrzy mi w oczy. – Za to, co robisz dla mnie i dla mojego syna.

To jeden z nielicznych momentów, gdy nie wiem, co powiedzieć. W salonie słyszę, jak Andrzej opowiada o naszej podróży do Wenecji i wspólnej firmie. W jego głosie da się wyczuć entuzjazm, zapał i radość.

– Powiedział mi, że z żadną kobietą nie był nigdy tak szczęśliwy jak z tobą. A on nigdy mi się nie zwierzał. Próbowalam pytać, to mnie zbywał. Zawsze chciałam, żeby mu się lepiej ułożyło w życiu niż mnie.

Zaczyna płakać. Obejmuję ją mocno i sadzam na krześle.

– Układa ci się coraz lepiej. Nie ma sensu ciągle myśleć o przeszłości.

– Ale przeszłość wraca. Nie daje o sobie zapomnieć. Do śmierci mi nie zapomną!

Jej szept mnie przeraża. Patrzy gdzieś nade mną. Odwracam się. Andrzej stoi w drzwiach. Nie spuszcza z niej wzroku.

KSENIA

24 MARCA – BIELANY (WARSZAWA)

Beata wpada do willi zboru Świętego Marcina, gdy jemy z ojcem Tomaszem wielkanocne śniadanie na tarasie. Po ostatniej rozmowie z nim naprawdę stanęłam na nogi. To było jak oczyszczenie, jak olśnienie! Opowiedziałam mu o traumach, o tym, jak byłam gnojona w podstawówce, bo moja mama była głucha i mnie także wyzywano. O tym, jak odkryłam, że ojciec ma kochankę, naszą sąsiadkę, która pomagała nam, gdy mama miała chemię. Opowiedziałam mu, że nigdy nie byłam w szczęśliwym związku, że obsesyjnie odkładałam pieniądze, że nie jestem dobrą nauczycielką i wychowawczynią mojej klasy, bo wszyscy śmieją się i szydzą ze mnie. Nie potrafię wprowadzić żadnej dyscypliny! I mężczyzna, którego kocham, ma mnie gdzieś! Ojciec Tomasz słuchał mnie i nie oceniał.

– To prawda, że masturbacja jest grzechem. Ale także jest wołaniem o pomoc – powiedział, gdy wyznałam mu, co sobie robię w nocy, gdy myślę o Andrzeju. – Jest krzykiem samotności. A może nie jest niczym zdrożnym, jeżeli robisz to delikatnie... Jeżeli szanujesz swoje ciało... Jeżeli jest to relaks, a nie samogwałt.

Kiwałam głową, coraz bardziej zachwycona zrozumieniem, jakie mi dawał. Nie był dla mnie mężczyzną. Tylko kapłanem. Autorytetem. Był jak lekarz dla mojej duszy, która wciąż boli.

– Pokaż mi, jak to robisz. Ocenię, czy jest to grzech, czy delikatna gra z ciałem.

Wsunęłam dłoń pod szlafrok. Delikatnie odsunął jego poły, nie dotykając mojej skóry na wewnętrznych stronach ud. Wsunęłam dłoń w majtki. Pocierałam w górę i w dół. Obserwował mnie z delikatnym uśmiechem.

– Pomyśl o nim... Pomyśl, że on tu siedzi, obok ciebie... Nie ja...

Myślałam o Andrzeju. O jego smukłych palcach, które mógłby wsuwać mi coraz głębiej. Nie byłam jednak w stanie rozluźnić się i zapomnieć do końca. Zrozumiał od razu.

– Dziękuję, że mi zaufałaś. To dla mnie bardzo ważne. Zostanę tu kilka dni, żebyś w Wielkanoc nie była sama. Jestem twoim przyjacielem. Pamiętaj o tym. Wszyscy są tu twoimi przyjaciółmi.

Szybko wyszedł z mojego pokoju. Potem nie było go aż do wieczora.

W niedzielę zjedliśmy razem śniadanie, podzieliliśmy się święconką, którą zaniiosłam poprzedniego dnia do kościoła. Poczułam, że potrzebuję znowu wiary w moim życiu. Czegось, co da mi nadzieję i zrozumienie. Olgierdowi wysłałam esemesa z życzeniami i informację, że wszystko u mnie w porządku. Odpisał po kilku godzinach. I jeszcze wczoraj o północy wysłałam wiadomość do Andrzeja:

Życzę Ci, żebyś potrafił odróżniać dobrych ludzi od złych, i żebyś zrozumiał, że jestem jedyną osobą, której naprawdę potrzebuje twoja dusza.

Nie odpisał do tej pory, ale dzięki temu, że nie spędzam tyle czasu sama, nie myślę o nim obsesyjnie. Beata przynosi specjały zrobione przez swoją mamę: żurek, pierogi, babkę. Wciąż ją pytam, kiedy wróci do szkoły, ale unika tego tematu. Rozczochrana, bez makijażu, z kotem na kolanach słucham opowieści ojca Tomasza o siedzibie jego zboru nad Bałtykiem. Mówi, że powinniśmy wszyscy pojechać tam w czerwcu. Są tam są najpiękniejsze wydmy w Polsce. I morze jest ciepłe. Można kąpać się nago – dodaje ze śmiechem. Nagle dostrzegam męską sylwetkę w ogrodzie. Uświadamiam sobie, że gdy wpuściłam Beatę, zapomniałam zamknąć bramę. Rozpoznaję go od razu. Nieogolony, przekrwione oczy, wymięta koszula.

– Chodźmy do mojego pokoju. – Ojciec Tomasz dotyka mojego ramienia. – Niech oni porozmawiają sobie w cztery oczy.

Jestem pełna podziwu, że jest tak wyrozumiały dla ludzkich słabości. Beata jest błada. Natychmiast podbiega do Oskara, gwałtownie gestykuluje. Bardzo chciałabym wiedzieć, o czym

rozmawiają.

– Chodźmy... – Ojciec Tomasz zabiera półmisek z ciastem ze stołu. – Chciałbym, żebyśmy się lepiej poznali, a teraz jest idealna okazja. Jutro rano muszę jechać do Janiszewa.

Posłusznie wchodzę za nim do budynku willi. Czuję, że zaczyna mnie fascynować. Nigdy nie spotkałam tak dobrego człowieka.

MAKS

20 CZERWCA – BIELANY (WARSZAWA)

Zaprosiłem go do mieszkania mojego ojca, żeby pokazać, jak bardzo mu ufam. Obserwuję, jak Andrzej Bielenda rozgląda się niepewnie po prawie pustym wnętrzu. Meble ojca zostały już wywiezione do magazynów na Okęciu, które wynająłem tydzień temu. Tylko kartony z książkami, dokumentami i bibelotami zajmują całą przestrzeń w salonie.

– To już miesiąc. Nadal nie wiadomo, co się stało z twoją matką?

– Śledczy dzięki mnie dotarli do ostatniej osoby, z którą rozmawiała po wyjściu z mieszkania. To jej dawna lokatorka Ksenia Dembska. Spotkała moją matkę na bazarku przy Hali Marymonckiej. Mówi, że była przygnębiona, ale na pewno trzeźwa. Rozmawiały o jakiś bzdetach. Parę minut, i tyle. Podobno moja matka nie powiedziała jej, dokąd idzie. Poszła w stronę stacji metra. Ale potem nie uchwyciły jej żadne kamery monitoringu. Sprawdziliśmy wszystko. Szpitale, ośrodki dla bezdomnych, kostnice.

– Zastanawiałeś się, czy nie powinieneś jej szukać w innym miejscu? Nie w Warszawie?

Unosi głowę. Powiedziałem mu przez telefon o wypadku Janickiego. Na początku nie dowierzał. Jak to on. Podważa każdą moją teorię, każde moje słowo!

– Gdzie według ciebie miałbym jej szukać?

– W Janiszewie. Mogła tam wrócić.

– Moja matka nienawidziła tego miejsca. Ale być może masz rację.

– Zbór nadal działa. Obaj o tym wiemy. Mój ojciec przecież zapisał im sporo kasy. Pamiętasz, co organizowali co roku na wydmach?

Blednie. A może mi się wydaje? Jest cholernie opanowany. Czytałem, że ci DDA potrafią się niesamowicie kontrolować. On przecież jest synem alkoholiczki, który miał zjebane dzieciństwo, tylko samokontrola doprowadziła go do miejsca, w którym jest teraz. Podobno znowu założył firmę, gra na giełdzie. Bystry koleś.

– Nie pamiętam, co organizowali na wydmach.

– Zawsze w noc świętojańską, z dwudziestego trzeciego na dwudziestego czwartego czerwca. Gdy miałem trzynaście lat, zakradliśmy się tam z kumplami. Płonęły ogniska i, kurwa, to, co się tam działo...

Nie odpowiada. Próbuje więc inaczej.

– Ojciec Tomasz Mossakowski. Pamiętasz go? Proboszcz w kościele Świętego Marcina w Janiszewie. Mówili, że on i twoja matka...

– Jeszcze jakieś inne plotki czy insynuacje?! Nie za bardzo mam czas na słuchanie tych bzdur!

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że dwudziestego drugiego czerwca moja firma robi nagłośnienie na koncercie plenerowym w Łebie. To rzut beretem od Janiszewa.

– No i?

– Mam zamiar trochę powęszyć. Nie podoba mi się, że muszę oddać część spadku po ojcu jakimś zjebom, którzy mają krew na rękach. Nie wierzę, że Janicki zginął przypadkiem! Kurwa, nie wierzę!

Zaczynam chodzić po pokoju. Odpalam papierosa od papierosa. Wszystkie okna w tym mieszkaniu są otwarte, ale i tak jest zaduch. I śmierdzi trupem.

– Znajdę coś na nich, kurwa, i będzie proces! Sprytnie się kamuflują. Oczywiście nigdzie nie ma ani słowa na temat ojca Tomasza Mossakowskiego! Przeczytaj sobie historię parafii w Janiszewie w internecie!

– Czytałem.

Bez trudu wytrzymuje moje spojrzenie. Domyślam się, że już wie. Może jest w zмовie z tym pojebanym księdzem, który założył sektę? Przecież to jego ojciec! Tak o nim tam mówili. Bękart księdza!

– No więc zniknęła stamtąd informacja na temat proboszcza sprzed trzydziestu lat... ojca Tomasza...

– Wiem, o co chcesz zapytać. Nigdy nie miałem z nim kontaktu. A chętnie zadałbym mu parę pytań. Zwłaszcza teraz.

– Jest okazja! Jest szansa, że zjawi się w Janiszewie za trzy dni. Oni wszyscy tam będą... cały zbór! Wszyscy, którzy jeszcze żyją!

Próbuję przypomnieć sobie ich twarze. Znajomi mojego ojca. Lekarze z jego szpitala, pielęgniarki, nauczyciele z miejscowego liceum, właściciele dwóch sklepów, naczelnik poczty, kilku z nadleśnictwa, bo koło Janiszewa utworzono park narodowy. I jeszcze właściciele smaźalni ryb, którzy mieli swoje kutry. Janiszewo. Nie przyznaję się przed sobą, jak bardzo boję się tam jechać. Jak przeraża mnie wizja odwiedzenia miejsca, w którym nie byłem trzydzieści lat! To prawda, że moja firma nagłaśnia koncert w Łebie. Ale mógłbym zostać tam i nie węszyć. Jakiś wewnętrzny głos, jakaś intuicja, w którą przecież nie wierzę, szepcze mi, żeby odpuścić. Niech policja zajmuje się śledztwem w sprawie śmierci mojego ojca.

– Dam radę wyjechać z Warszawy dwudziestego drugiego rano – mówi nagle Bielenda. – Możemy spotkać się w Łebie. Zorganizuję sobie tam kilka noclegów.

– Lepiej, żebyś był sam.

– Będę sam.

IGA

5 KWIETNIA – MOKOTÓW (WARSZAWA)

– Nie rozumiem, dlaczego nie otwiera? I trzeci dzień włącza się poczta głosowa. To do niego niepodobne. – Daniel rzuca niedopałek papierosa w kratkę wentylacyjną.

Stoimy na wprost bramy osiedla, na którym mieszka Oskar. Ochroniarz nie chciał nas wpuścić. Nawet nie wyszedł ze swojej budy. Znowu zaczyna padać. Nerwowo szukam w torebce parasolki.

– Może jego dziewczyna coś wie? Dzwoniłeś do Beaty?

– Nie mam jej numeru! Oskar pilnuje jej na każdym kroku! Widziałas, jak na mnie patrzył, gdy na próbie przyniosłem jej kawę z automatu!

– Może jego agentka coś wie? Dzwoniłeś do jej biura?

– Powiedziała, że jak Oskar nie odbiera, to pewnie śpi i trzeźwieje. Gdyby nie pojawił się na planie filmowym, to co innego. Ale on ma wejść w zdjęcia dopiero za tydzień.

– Znam wychowawczynię Beaty. Spróbuję wydobyć od niej jej numer telefonu. No i wiem, do którego liceum chodzi ta panna. Może gdzieś razem wyjechali?

– Może.

– Nie wiedziałam, że się tak zaprzyjaźnicie?

– Gadaliśmy dużo po próbach. To mądry facet.

– Mądry facet nie wiąże się z osiemnastolatką.

– Zakochał się. Nagle ci to przeszkadza?

– Nie przeszkadza mi. Oboje są dorośli. Jak się czegoś dowiem, to dam ci znać – rzucam, wsiadając do taksówki.

Zamyślona wpatruję się w zalaną wiosennym deszczem Warszawę, gdy jedziemy na Bielany. Nie sądziłam, że Daniel jest zdolny do jakichś wyższych uczuć, takich jak empatia. Być może pod warstwą wulgarnego egocentryka kryje się wrażliwiec? Uśmiecham się do siebie. Dziś po południu Andrzej wyznaczył termin kolacji ze mną, którą wylicytował. Chce, żeby to było coś w rodzaju erotycznej gry między nami. Ma niesamowitą fantazję w łóżku i temperament jak ja. Gdy kilka miesięcy temu dopiero poznawaliśmy swoje ciała, wydawał mi się nieśmiały jak chłopiec. Teraz widzę, że rozpałałam w nim coś, co i jemu, i mnie się podoba. Chwilami lubi dominować, a chwilami się poddaje. Ja też bywam

w łóżku i małą dziewczynką, i demonem. Ciekawe, jak będzie dziś?

Deszcz przestaje padać. Okrażam boisko liceum, szukając głównego wejścia. Dostrzegam potężnego trzydziestolatka w zielonym dresie z gwizdkiem na rzemyku na szyi. Obserwuje chłopaków na bieżni. Podchodzę do siatki, uśmiechając się zalotnie.

– Dzień dobry. Szukam Beaty Sokolnickiej. Była dziś w szkole?

– Dzień dobry. Nie udzielamy informacji na temat naszych uczennic.

– Nazywam się Iga Bernard. Znam Beatę, bo występowała na wieczorze mojej poezji.

Pokazuję mu nasze wspólne zdjęcie w telefonie.

– To dziwne. Zna ją pani tak dobrze, a nie ma pani jej numeru i nie wie pani, że ona od trzech miesięcy nie pojawia się w naszej szkole. Nie podejździe do matury w tym roku.

– A co na to jej wychowawczyni Ksenia Dembska? Poznałam ją, bo mieszkała u pani Wandy, a to matka mojego partnera.

– Chce pani z nią pogadać o Beacie?

– Dałoby się to załatwić? – Uśmiecham się czarująco. – Ma teraz lekcję? Mógłby pan ją poprosić, żeby wyszła tu do mnie na moment, gdy będzie przerwa?

– Załatwię to. Musi pani poczekać z piętnaście minut.

Zostawia mnie i idzie w stronę ćwiczących chłopaków, którzy mają jeszcze koszulki mokre od deszczu. Ale wychodzi piękne słońce i od razu wraca mój optymizm. Nie trawię Dembskiej, z wzajemnością, chociaż wiem, że ma zerowe szanse u mojego Andrzeja. Niepokoi mnie tylko jej determinacja i coś dziwnego w oczach. Dostrzegam to także teraz, gdy podchodzi do ogrodzenia. Poszarżała twarz, sińce pod oczami, nieumyte włosy.

– Czego chcesz?

– Miłe powitanie. Myślałam, że jako wychowawczyni dajesz swoim uczniom przykład kultury osobistej.

– Nie mam czasu! Mam dyżur na korytarzu! Mów, po co tu przysłaś?! Pójdiesz do dyrektorki i zaczniesz mnie oczerniać, bo Beata nie pojawia się w szkole?!

– Nie chodzi mi o Beatę, tylko o Oskara. Chyba coś się stało... Jego telefon nie odpowiada. Nie ma go w mieszkaniu. Boimy się, że coś się mogło wydarzyć.

– A co mnie obchodzi ten aktor? Co ja mam z tym wspólnego?!

– Może Beata coś wie?

– Trzymaj się od niej z daleka! – Zaciska dłonie na siatce, aż bieleją jej kciuki.

Jej oczy są pełne nienawiści. Spluwa mi pod nogi. Jestem pewna, że oszalała.

– Szatan zasiewa kąkol! Gromienie jego grzechu przewiny odkupi!

W potężnym gmachu białąńskiego liceum słychać dźwięk dzwonka. Dembska odwraca się na pięcie i zostawia mnie osłupiałą przy siatce ogradzającej boisko. Deszcz znowu zaczyna kropić.

MAKS

20 CZERWCA – BIAŁOŁĘKA (WARSZAWA)

Szukałem Sandry Mazur, dawnej pacjentki mojego ojca, przez kilkanaście dni. W jej karcie wypisu ze szpitala psychiatrycznego w Janiszewie znalazłem parę śladów, które dały mi do myślenia. Data i miejsce urodzenia. Rodzaj zaburzeń psychicznych i sposób ich leczenia. Gdy ją zamknięto na oddziale, miała zaledwie siedemnaście lat i była uczennicą liceum imienia Boznańskiej w Janiszewie. *Osobowość o cechach nieprawidłowych. Słaba kontrola reakcji emocjonalnych. Egocentryzm. Konfabulacja. Zdolności aktorskie, udawana pewność siebie. Prymuska. Laureatka olimpiad artystycznych. Dwie nieudane próby samobójcze.* To ręczne dopiski mojego ojca na napisanej na maszynie karcie wypisu sprzed ponad trzydziestu lat. Jak ułożyło jej się życie? Grubo po czterdziestce, zdolności artystyczne? Kim jest? Malarką? Aktorką? Portale społecznościowe to nieocenione źródło informacji. Przekopałem je kilkanaście razy i zarwałem na to dwie noce. Ale i tak nie mogę spać. Nie pomagają ziołowe prochy, które Daria podsuwa mi nieśmiało. Nie pomaga myślenie o Alinie i o najpiękniejszych chwilach z nią. Budzi we mnie dzikie instynkty, których wcześniej nie

znałem i najwyraźniej bardzo jej się podoba brutalny seks, który uprawiamy. Nie robię jej wielkiej krzywdy. Lubi mocne klapsy w tyłek, lubi, jak ją gryzę i drapię. Lubi, jak nazywam ją milionem wulgarnych określeń. Sama rewanżuje się w dość ostry sposób. To zabawy dwojga dorosłych ludzi, którzy nie robią sobie krzywdy. Cieszę się, że mogę z nią rozmawiać o śmierci mojego ojca, bo jest jedyną osobą, która wierzy, że nie ogarnia mnie paranoja.

Teraz dopiero uświadamiam sobie, że nie mam żadnego przyjaciela. Mam kumpli z roboty, z którymi mogę iść na piwo czy whiskey. Kiedyś moim przyjacielem była żona. Ale to już dawno i nieprawda. Nie mam nikogo oprócz Aliny. Widujemy się co dwa, trzy dni. Czasem w przerwie na lunch gnam jak szalony z Mokotowa na Żoliborz. Taksówką. Bo seks z Aliną połączony jest z piciem. Czasem ostrym, czasem to tylko łyk sangrii i łądujemy w łóżku. Bo taksówka pod żoliborską kamienicą czeka, żeby odwieźć mnie z powrotem do firmy. Jestem coraz lepszym kochankiem. Lubię, jak krzyczy, jak wije się pode mną. Spocona, o skórze, której smak znam i uwielbiam. Wszędzie spenetrowałem ją językiem. Jej ciało kręci mnie coraz bardziej. Bo jest młode i chętne. Jasne włoski na rękach, obgryzione paznokcie pomalowane tanim lakierem, krzywo wygolone podbrzusze, podrapane kolana, bo wszędzie jeździ na rowerze.

Znalazłem kawalerkę przy placu Wilsona, w której będziemy mogli zamieszkać. Daria jeszcze nie wie, że chcę się wyprowadzić. Dowie się w odpowiednim momencie. Dowie się, że jej mąż nie jest idiotą, którego można okłamywać. Dowie się, że jej mąż ma rewelacyjne życie erotyczne z młodszą o dwadzieścia lat kobietą. Wynajmę dobrego prawnika. Przemyślałem wszystko. Chcę mieć dzieciaki w co drugi weekend i dwa dni w tygodniu. Gdy wszystko się ułoży, wynajmę coś większego. Dla mnie, dla Aliny, z pokojami dla dzieciaków. Powiedziałem jej o tym ostatnio. Kiwała głową, rysując coś palcem na moim owłosionym brzuchu. Domyślałem się, że ma mało kasy, więc zawsze jak wpadam, zostawiam jej parę stów. Jasne, że nie płacę za seks. Przecież to studentka, dorabia gdzieś jako barmanka. Ale wiadomo, jak jest. Poza tym zawsze mnie czymś częstuje. To znaczy do picia, bo do żarcia w tym mieszkaniu prawie nic nie ma. Raz znalazłem bezcukrowe krakersy i spleśniały ser feta. Jej przyjaciółka ma faceta, z którym często wyjeżdża. Alina nie wpuszcza mnie do jej pokoju. Nigdy jej nie poznałem.

Prawie zasypiam przed laptopem, bo dochodzi północ. Wysłałem wiadomości na Fejsie do trzech kobiet, które nazywają się Sandra Mazur i są w zbliżonym wieku, co pacjentka mojego ojca. Na razie cisza. Cały dom śpi. Nagle coś pika mi w laptopie i w telefonie. To wiadomość od jednej z kobiet, do których napisałem. Sandra Mazur z Grodziska Mazowieckiego. Jedno krótkie zdanie: *Jutro w południe w Moko*. I link do strony modnej knajpy na Mokotowie. Nie mam pojęcia, czy to naprawdę dawna pacjentka mojego ojca, ale pójdę na to spotkanie, kimkolwiek jest. Na zdjęciu profilowym stoi tyłem. Fioletowa kurtka. Włosy ufarbowane na czarno, związane w koński ogon. Nie mam już siły przekopywać internetu i sprawdzać, kim jest Sandra Mazur z Grodziska. Najwyżej będzie to ślepy strzał. Może myśli, że szukam erotycznych przygód? Dziesięć minut później kładę się w sypialni obok lekko pochrapującej Darii. Moje życie mnie przeraża. Czuję, że wchodzę w labirynt, którego nie rozumiem! Czuję, że coś mi grozi. Ta myśl od śmierci Janickiego pojawia mi się w głowie jak brzęcząca mucha. Odganiam ją. Bez przerwy wraca.

KSENIA

9 KWIETNIA – BIELANY (WARSZAWA)

– Pani ma bardzo zły wpływ na moją córkę! – Głos Wioletty Sokolnickiej niesie się po szkolnym korytarzu.

Na szczęście jest pusty, bo już po dzwonku na lekcję.

– Nie chodzi pani na zebrania dla rodziców! Dzwoniłam do pani kilkanaście razy, ale mogłam tylko zostawić wiadomość. Próbowałam dotrzeć do Beaty na różne sposoby i udało mi się! – dodaje z dumą. – Można powiedzieć, że jesteśmy przyjaciółkami!

– Ona powinna przyjaźnić się z osobami w swoim wieku! Pani powinna być jej wychowawczynią, a nie przyjaciółką!

– Beata podjęła już decyzję, że nie przystąpi do matury w tym roku, ale to naprawdę nie powód

do tragedii.

– O czym pani mówi?! Co z pani za nauczycielka?! Powiedziałam jej już wcześniej, że jak nie podejdziesz do matury, to przestanę ją utrzymywać, ale...

– Finansowy szantaż to nie jest dobra droga, żeby dotrzeć do zbuntowanej nastolatki.

– Niech pani przestanie serwować mi pseudomądrości z gównianych podręczników dla nauczycieli! Pani nie ma dzieci i nie ma pojęcia, o czym mówi!

– Myślałam, że będzie pani wdzięczna, że pani córka doszła do siebie po załamaniu nerwowym. Jest wspaniałą, pełną życia, młodą kobietą. Chce zacząć prywatne kursy aktorskie, a do matury podejdziesz za rok, a potem...

– Nie zapłacę za te kursy! Kosztują dobrych kilka tysięcy! Sama ją wychowuję!

– To może jej przyjaciel?

– Oskar Fijał?! Przecież on nie żyje!

Patrzę na nią osłupiała. Przedwczoraj rozmawiałam z Beatą, śmiała się. Nagrywała filmiki, trzymając kota w ramionach.

– Nie rozumiem? To żart?

– Żart?! – Wyjmuje telefon z eleganckiej torebki. – Od dwóch dni trąbią o tym wszystkie portale plotkarskie! A pani żyje w jakiejś bańce, w jakimś...

Podsuwa mi telefon pod nos. Widzę czarno-białe zdjęcie Oskara i nagłówek artykułu: *Aktor serialowy Oskar Fijał (+51) nie żyje. Ze wstępnych ustaleń policji wynika, że popełnił samobójstwo. Jak się nieoficjalnie dowiedzieliśmy, przeciął sobie żyły podudzi. Powodem dramatycznego kroku prawdopodobnie były problemy osobiste. Aktor od kilku miesięcy związany był z Beatą S. (19). Jego agentka potwierdza, że miesiąc temu podpisał umowę dotyczącą głównej roli w filmie kinowym. Ciało aktora znaleziono w jego mieszkaniu w wannie. Mimo reanimacji nie udało się go uratować. Fijał nie miał dzieci, jego była żona Renata D. (49) przebywa na stałe w Stanach Zjednoczonych.*

– Dotarło?! W moim banku już wiedzą, że to moja córka! Kazali mi iść na urlop! Teraz! Zaraz! Ktoś ich widział razem, ktoś się wygadał! Boję się, że znowu zaczną się jej problemy psychiczne... jej ataki...

– Ona wie?

– Nie wiem! Ja jej tego nie powiem! Beata nie nocuje w domu! Myślałam, że jest z nim, że ten związek się robi coraz poważniejszy. Ale teraz... już dawno przestała odbierać ode mnie telefony... Jak pani się z nią zobaczy, niech jej pani powie, żeby wróciła do domu... Błagam...

Prowadzę ją do pokoju nauczycielskiego, który teraz jest zupełnie pusty.

– Boję się, że ludzie, z którymi ona się zadaje, zrobili jej jakieś pranie mózgu! Może chcieli, żeby zerwała z Oskarem?

– O czym pani mówi?

– Wysłał do niej list. Zwyczajnie, pocztą. Nie wiem, dlaczego nie napisał esemesa albo maila. A może nie chciał, żeby miała kłopoty, a może był staromodny. Wczoraj wyjęłam go ze skrzynki, a wieczorem dowiedziałam się, że on nie żyje.

Znowu otwiera torebkę. Biała koperta. Bielański adres, pod którym mieszka Beata ze swoją mamą. Ładne pismo. Okrągłe litery. W środku wyrwana z zeszytu kartka.

Beti, moje kochanie, moja najśladza. Życie bez Ciebie jest bez sensu. Śmiałaś się, że nie zdobędę się na taki krok, że moja miłość minie, że zapomnę, że to histeria. Nie, kruszynko. To miłość. Nie mogę bez Ciebie żyć. Nic nie ma sensu. Rozumiem Cię. Masz wszystko. Całe życie przed Tobą. Ja już nie mam nic. Już nie mam Twojej miłości.

– Niech pani pokaże ten list policji!

– Nikomu tego nie pokażę! Nie chcę, żeby ktokolwiek obwiniał moją córkę! Miała dość starego dziada, to z nim zerwała! Miała takie prawo!

Sokolnicka podchodzi do okna. Otwiera je szeroko. Słyszę jakieś wrzaski, gwizdek i głos Olgerda, bo boisko jest tuż pod nami. Sokolnicka wyjmuje list z torebki. Ostatnie słowa Oskara

do Beaty. Drze go na drobne kawałki, które porywa wiosenny wiatr.

– Niech pani ją przekona, żeby nie szła na jego pogrzeb! Dziennikarze będą węszyć! Im mniej o niej wiedzą, tym lepiej!

Bez pożegnania wychodzi z pokoju nauczycielskiego. Zostawia mnie z mętlikiem w głowie, przerażoną i smutną. Wybieram numer Beaty. Odbiera natychmiast.

IGA

8 KWIETNIA – ŻOLIBORZ (WARSZAWA)/WENECJA (WŁOCHY)

Czekałam na niego w niewielkiej kafejce na Sadach Żoliborskich z widokiem na park. Spóźniłam się ponad pół godziny, ale to był element naszej gry. Położyłam kapelusz na krześle i wpatrywałam się w sylwetki mężczyzn w parkowej alejce. W końcu go dostrzegłam. Dzień był dość chłodny, więc miał na sobie płaszcz z wielbłądziej wełny, jasny golf i piaskowe spodnie. Upiłam łyk wina. Założyłam nogę na nogę. Czerwona sukienka opinała moje biodra i biust. Uśmiechnął się, gdy mnie dostrzegł.

– Chciałbym wiedzieć – spytał, przysuwając sobie krzesło – czy aukcja, którą wygrałem, obejmuje coś jeszcze oprócz kolacji z panią?

– Co ma pan na myśli?

– Deser? Specjalny.

– Co to znaczy?

– Chcę, żeby pani była tym deserem. Dlatego tak ostro licytowałem podczas aukcji.

– Rozumiem. Miał pan w tym swój interes. W każdym razie dziękuję za pana zaangażowanie.

Kelner przyniósł mu kieliszek wina. Wciąż nie zdejmował ciepłej dłoni z mojego uda. Zamówiłam dla nas pizzę.

– Pan rozumie, że jako artystka zarabiam bardzo mało, więc mam nadzieję, że nie jest pan rozczarowany, że nie zamówiłam na przykład owoców morza, skoro mam płacić?

– Będę rozczarowany tylko jak nie dostanę deseru.

Z trudem zachowywałam powagę. Andrzej grający obcego mężczyznę, który wylicytował kolację ze mną, był przekonujący. I seksowny!

– Czy mogę trochę przesunąć rękę?

– W jakim celu, proszę pana?

– W celu sprawdzenia, czy ma pani na sobie pas do pończoch?

– A jeżeli mam?

– To ja go pani zdejmę.

Parsknęłam śmiechem. Po zjedzeniu pizzy i wypiciu butelki wina poszliśmy w stronę naszej kamienicy przy placu Wilsona, wciąż mówiąc do siebie per pani i pan. Zaczęliśmy się całować jeszcze na schodach.

– Musi pan zdjąć koszulę, żeby obejrzeć mój striptiz.

– Będzie striptiz?! – Natychmiast zaczął szarpać guziki.

Pociągnęłam go do sypialni. Położyłam na łóżku i bawiłam się suwakiem jego rozporka. Po chwili był całkiem nagi. Spoglądał na mnie spod przymkniętych powiek. Próbował mnie dotykać, ale odsuwałam jego dłonie. Potem włączyłam muzykę. Neil Diamond i *Girl You'll Be a Woman Soon*. Kołysząc się w rytm muzyki, powoli zdejmowałam płaszcz i sukienkę.

– Tańczysz lepiej niż Uma Thurman w *Pulp Fiction*. – Uniósł się na łokciu, ale przyłożyłam palec do ust.

Po chwili, tylko w bieliźnie i wciąż kołysząc biodrami w rytm muzyki, przespacerowałam się do kuchni. Przyniosłam tacę, na której stały pucharki z tiramisu, kieliszki z szampanem i bita śmietana w tubce.

– Zamówił pan deser. Może być słodki i może być ostry. Którą wersję pan wybiera?

– Obie.

Rzucałam mu zalotne spojrzenia, wirując po pokoju i zdejmując powoli pończochy, potem stanik.

– Czy mogę panią dotknąć, bo oszaleję?

– W grę wchodzi tylko jedzenie i lizanie. Bez dotykania.

Po chwili na moim podbrzuszu pojawił się zygzak z bitej śmietany. Gdy Andrzej zaczął ją zlizywać, nie mogłam powstrzymać śmiechu. Okropnie mnie łaskotał, a jego zarost delikatnie drapał moją skórę.

– Proszę się tak nie wiercić. Bo bita śmietana spływa niżej, a nie wiem, czy tam mi wolno...

– Jak najbardziej panu wolno. Ten deser jest tylko dla pana.

Rozsunął mi uda jednym ruchem. Poczułam krople szampana na pępku i jego język penetrujący mnie coraz szybciej. Potem zawiązałam mu oczy kaszmirowym szalem i karmiłam, zlizując czekoladę z jego policzków. Na końcu usiadłam na nim i kołysaliśmy się coraz szybciej, lizając swoje ciała. Wspólna kąpiel była zakończeniem szalonego deseru, bo lepiliśmy się od cukru i potu.

Przypominam sobie teraz nasze erotyczne szaleństwa, gdy w samolocie lecącym do Wenecji Andrzej kładzie mi dłoń na udzie. Dawno nie byłam tak szczęśliwa! Wszystko w moim życiu nareszcie układa się tak, jak sobie wymarzyłam. Wreszcie jestem w związku, który nie jest toksyczny i chory. Mam świetny kontakt z córką i stałyśmy się przyjaciółkami. Andrzej powoli nawiązuje więź z matką, której wcześniej nienawidził i miał do niej ogromny żal. I tomiki z moimi wierszami świetnie się sprzedają. Mam ponad pięć tysięcy obserwatorów i ich liczba ciągle rośnie. To w większości ludzie, którzy lubią moją poezję albo moje zdjęcia. Nie wrzucam fotek z Andrzejem. Dbam o naszą prywatność. Czasem tylko fotografuję nasze splecione dłonie. Jak teraz, tuż przy okrągłym, niewielkim oknie samolotu, z którego rozpościera się widok na Zatokę Wenecką.

MAKS

21 CZERWCA – MOKOTÓW (WARSZAWA)

Wielka, modna knajpa w dawnej zajezdni autobusowej. Tłumy hipsterów z psami, wózkami, na rolkach. Tęczowa flaga nad barem. Zamawiam latte i zastanawiam się, jak ją poznam. Nie dała mi swojego numeru telefonu i nie mam pojęcia, jak wygląda. Spóźnia się. Dopijam kawę i wstaję. Nagle czuję, że czyjeś spojrzenie wbija mi się w plecy. Odwracam się gwałtownie. Stoi na wprost mnie. Kruczoczarne, długie włosy. Czarna sukienka na ramiączkach, która podkreśla wszystkie niedoskonałości jej figury.

– Maks Hoffman? Chciałeś się ze mną spotkać.

– Tak, to ja. Proszę... – Przysuwam jej krzesło. – Napije się pani kawy?

– Jesteśmy na ty. Nie pamiętasz?

Po chwili przynoszę jej kawę. Jest w niej coś niepokojącego. Jej nabrzmiała twarz wygląda okropnie, bo makijaż częściowo rozmazał się od upału.

– Słyszałam o śmierci twojego ojca. Wybierałam się na pogrzeb. Miałam nadzieję, że zobaczę znajome twarze. Ale nie dałam rady dojechać. Nie mogłam zostawić mojej suki. Właśnie się wtedy oszczeniła.

– Nie chciałbym rozmawiać o pogrzebie ojca. Wolałbym porozmawiać o tym, co się stało trzydzieści lat temu w Janiszewie.

– Nie pamiętasz mnie? – pyta, kładąc swoją dłoń na mojej.

– Słucham?! – Natychmiast cofam rękę.

Jej dłonie są lepkie od potu.

– Przyjechałam do Janiszewa z Łeby, jak miałam czternaście lat. Dostałam się do liceum imienia Boznańskiej. Pamiętasz tę szkołę?

– Tak.

– Zamieszkałam w internacie. Na początku było... w porządku. Fajnie. Zdolne, sympatyczne dziewczyny, a nauczyciele wymagający, bo ta szkoła miała renomę. Kilku dorabiało sobie jako wychowawcy w internacie.

– Ja nie byłem uczniem tej szkoły. To była szkoła dla dziewczyn.

– Poznałam cię, gdy wpadałeś do ojca do szpitala. Chciałeś od niego kasę na automaty,

na cymbergaje, które ustawiali latem w smaźalniach. Kiedyś słyszałam waszą rozmowę w gabinecie. Strasznie darł na ciebie ryja... chyba już wtedy nie mieszkał z twoją matką.

Nie za bardzo chcę, żeby robiła wiwisekcję małżeństwa moich starych. Dobrze wiem, że było nieudane i że ojciec notorycznie ją zdradzał.

– Pamiętasz nauczycielkę matematyki? Nazywała się Wanda Bielenda. To ona wysłała mnie na terapię do twojego starego. To ona zrobiła ze mnie wariatkę. Często brała noce w naszym internacie. Dziewczyny jej nie znosiły i trochę się jej bały. Kontrolowała nas... Robiła naloty o pierwszej, drugiej w nocy.

– Po co?

– No jak to po co? Czy miejscowi chłopcy nie włączą przez ogrodzenie! Kilka miesięcy po moim przyjeździe, zimą... była straszna afera. Nakryła moją przyjaciółkę, szesnastolatkę, w jednej z toalet z jakimś miejscowym rybakiem. On był pełnoletni, nie wiem dokładnie, ile miał lat... chyba był przed trzydziestką. Wiesz, co zrobiła?

– Wyrzuciła dziewczynę ze szkoły?

– Skąd! Zawsze najgorszą karą była terapia.

– Nie rozumiem?

– Wysłała ją do twojego ojca na badanie psychiatryczne. A potem do miejscowego księdza. Żeby jej uświadomił, jakie wartości są w życiu najważniejsze.

Zamyśla się. Wyjmuję notes i szukam długopisu w teczce.

– Co chcesz zapisać?

– Pamiętasz nazwisko tej twojej przyjaciółki? Ciebie też w ten sposób ukarali? Za to samo przewinienie?

– Nie. Mnie ukarali za coś innego.

Przysuwa swoje krzesło do mojego i czuję jej oddech na policzku.

– Napisałam do moich starych, żeby mnie zabrali z tej popierdolonej szkoły, bo dzieją się tam dziwne rzeczy. Przyjechali natychmiast i zrobiła się afera... Muszę zapalić.

Wychodzimy na zewnątrz. Fala gorąca uderza mnie w twarz. Jest prawie trzydzieści stopni. Częstuję ją papierosem, ale woli swoje.

– Dyrekcja liceum przekonała moich starych, żeby podpisali zgodę.

– Na co?

– Na zamknięcie mnie na obserwacji w szpitalu psychiatrycznym. Bo konfabuluję i oskarżam niewinne osoby. Pamiętasz te dwa budynki, Maks? Stały tuż obok siebie. Stare ceglane gmaszysko z boiskiem i tuż obok trochę mniejszy ceglany budynek ogrodzony drutem, czyli szpital. Przed wojną to wszystko należało do Niemców. Baronowie jacyś. A wydmy pamiętasz? Ulica się kończyła przy szkole i dalej tylko piach, las sosnowy... i te wydmy.

– Pamiętam.

– Weronika nadal tam mieszka. Po tym, co jej zrobili, nie skończyła żadnej szkoły, nie ułożyła sobie życia. I dalej tam tkwi!

– O kim teraz mówisz?

– O mojej przyjaciółce. Weronika Nowicka. Była jedną z pierwszych pacjentek twojego starego. To na niej testował swoje nowe metody.

– O moim starym można powiedzieć wszystko, ale nie to, że był złym lekarzem!

– Czy twoim zdaniem dobry psychiatra łączy terapię z egzorcyzmami?

Spuszczam wzrok. Myślę o śmierci mojego ojca. O tym, jak okrutnie pozbawiono go życia. Kim naprawdę był, do jasnej cholery? Co jeszcze zrobił?!

KSENIA

9 KWIETNIA – BIELANY (WARSZAWA)

– Nie jesteś z tym sama. Pamiętaj.

Póśleżymy na moim łóżku w pokoju pielgrzyma. Szaleje wiosenna, wieczorna burza. Gałęzie

drzew uderzają w szybę. Ojciec Tomasz przygotowuje się do prelekcji w swoim pokoju. Wróciłam z korepetycji, posprzątałam we wspólnej kuchni i z radością odkryłam, że w moim pokoju śpi Beata. Przepraszała mnie, ale wiedziałam, że potrzebuje czyjejś bliskości, i tą osobą jestem ja.

– Nie wiedziałam, że Oskar to zrobi... Jakbym wiedziała...

Nie powiedziałam jej o jego ostatnim liście, bo obwiniałaby się jeszcze bardziej. Poza tym chcę, żeby naprawiła relacje ze swoją mamą.

– Był chorobliwie zazdrosny. Zapisałam się do agencji aktorskiej. Dostałam małą rolę w studenckim filmie, który ma być kręcony latem w Krakowie. No i się wściekł. Zobaczył zdjęcia ekipy, reżysera, operatora. Sami faceci. Miałam tam grać... no wiesz... nieletnią prostytutkę, a on dostał szału. Chciał, żebym grała zawsze z nim. Chciał wybierać mi role! Rządzić moim życiem!

Przez chwilę płacze. Przytulam ją mocno. Trzy dni temu zaczęłyśmy mówić sobie na ty. Przecież i tak Beata nie jest już moją uczennicą. Stanowczo oświadczyła, że nie wróci do szkoły, bo cała klasa jej nienawidzi i nie jest już w stanie nadrobić materiału.

– Wróć do domu. Twoja mama na pewno ci pomoże.

– Jeszcze nie... jeszcze nie teraz. Nocowałam u siostry Joanny w jej klasztorze na Żoliborzu. Ale wolę tu. Tam na mnie dziwnie patrzą... te inne zakonnice.

Słyszymy ciche pukanie. To ojciec Tomasz tym razem w dresie, z włosami zmoczonymi wiosennym deszczem.

– Chodźcie do mojego pokoju. Zrobiłem kanapki, sałatki i kot się znalazł. Siedzi u mnie na parapecie i was woła. To gaduła.

Godzinę później po wspólnej kolacji słucham jego monologu. On także przejął się śmiercią Oskara i zgadza się ze mną, że Beata nie powinna iść na jego pogrzeb.

– Pójdziemy na cmentarz razem za kilka dni. Pożegnasz go, tak jak będziesz chciała. Wybrał śmierć i trzeba uszanować ten wybór. Musisz się z tym pogodzić i przestać pytać dlaczego.

Beata jest już tak śpiąca, że ledwo trzyma się na nogach. Prowadzę ją znowu do mojego pokoju. Pomagam się rozebrać. Widzę w drzwiach sylwetkę ojca Tomasza.

– Jestem waszym przyjacielem. Nie mężczyzną. Lekarzem waszych dusz.

Pomaga mi zdjąć jej koszulę i spodnie. Gdy jest w samych majtkach i staniku, nakrywamy ją kocem. Kot mości się na poduszce tuż obok niej.

– Trzeba dać mu jakieś imię. – Ojciec Tomasz dotyka mojego ramienia. – To twoje zadanie. I jeszcze jedno...

– Tak?

– Wiesz, jak bardzo jesteś wyjątkowa? Potrzebuję takiej osoby jak ty! Mój zbór cię potrzebuje. Uważasz, że nie jesteś religijna, ale przecież masz Go w sercu. To widać. Przejmujesz się innymi bardziej niż sobą. To jest niezwykła i piękna cecha.

Ujmuje mój podbródek i patrzy mi w oczy.

– Twoje miejsce jest tutaj. Ja ciebie potrzebuję. W końcu znalazłaś swoją drogę. To On cię tu przywiódł. On przyprowadził cię do mnie. Musimy się lepiej poznać. Chcę, żebyś co wieczór, gdy tu jestem, przychodziła do mojego pokoju. Opowiem ci o zborze... o naszych celach... Dziś też będę czekał. Rozumiesz?

Posłusznie kiwam głową.

– Daj mi godzinę, bo muszę skończyć przemówienie na spotkanie zboru. Potem przyjdź. Czekam... Przyjdź w szlafroku, tak jak ostatnio... To będzie znak, że mi ufasz. Bardzo pragnę, żebyś mi zaufała. Twoje zaufanie jest dla mnie najcenniejsze. Rozumiesz?

IGA

10 KWIETNIA – WENECJA (WŁOCHY)

Wiatr od laguny delikatnie porusza serwetkami z logo Caffè Florian. Zespół tuż przy naszym stoliku na niewielkiej estradzie pod białym baldachimem gra po mistrzowsku i na przekór temu, gdzie

jesteśmy, *New York, New York*. Łopoczą czerwone proporce z herbem jednej z najstarszych kawiarni na świecie. Imponujący lew ze skrzydłami. Wenecja jest dla mnie campowa. *Show Must Go On* to pochwała życia ponad stan wbrew wojnom i zarazom. Wenecja jest jak stara, szalona kobieta z resztkami dawnej urody, mocno umalowana i pomarszczona. Można ją kontemplować do utraty tchu, gubiąc się w labiryncie wąskich uliczek, tak jak my wczoraj.

Wystawiam twarz do słońca. Czekamy na naszą mrożoną kawę, wpatrując się w niemym zachwycie w bazylikę Świętego Marka, w jej szaleńczą, obłądną fasadę, jak dekorację ze snu obłąkanego architekta.

– Chyba lubię przesadę. We wszystkim. Dlatego Wenecja tak mnie fascynuje.

Andrzej śmieje się i po włosku zagaduje kelnera. Dostajemy czarną kawę w szklankach z kostkami lodu. Wypija ją błyskawicznie i wyjmuję mały laptop z niewielkiego plecaka.

– Będiesz pracował tutaj? To kawiarnia, w której bywali Byron, Hemingway! I Casanova!

– Marzenie, żeby mieć tyle kobiet co on.

– Masz potencjał, więc kto wie? Wszystko przed tobą – śmieję się.

– Dasz mi chwilę? Pogadam z tym facetem i zaraz wracam.

Obserwuję, jak zagaduje starszego siwego kelnera. Poprawiam mój wielki, słomiany kapelusz i chłonę leniwy poranek w jednym z najpiękniejszych miast świata. Cieszę się, że włożyłam sukienkę na ramiączkach z wizerunkami Fridy Kahlo. Znalazłam ją w małym butiku tuż obok Teatro Goldoni i naszego hotelu La Libellula. Andrzej gdzieś znika. Zespół na scenie przestaje grać. Widzę poruszenie wśród muzyków. Myślę o wczorajszym wieczorze w naszym pokoju hotelowym, gdy odpoczywaliśmy na balkonie, obserwując przepływające gondole z japońskimi turystami. Nam też robili zdjęcia, bo olewając konwenanse, leniwie rozparłam się na krześle z wytartym, czerwonym obiciem, mając na sobie tylko czarny, jedwabny szlafrok. Bezcelnie popijałam szampana z ozdobnego kieliszka, opierając bosc stopy o kamienną balustradę. Oczywiście pokój usytuowany tuż nad kanałem ma swoje wady, bo wilgoć ma specyficzny zapach, a hałas rano bywa uciążliwy. Ale w ogóle mi to nie przeszkadza. Musimy wypełnić stopy ankiet oceniających standard hotelu, bo na tym polega nasza praca. Zostawiam to sobie na ostatni dzień. W przeciwieństwie do Andrzeja, który wieczorami i rano prawie nie rozstaje się z laptopem. Zaczynam go wypatrywać, bo chciałabym dziś jeszcze obejrzeć jedną z wystaw w muzeum Peggy Guggenheim. Nagle zamieram, bo widzę, że z mikrofonem wchodzi na podest, na którym przed chwilą grała orkiestra.

– *Buongiorno. Mi scuso con te... Questa e la donna, che amo. Vorrei che fosse mia moglie* – mówi lekko schrypniętym głosem, patrząc prosto na mnie.

Policzki mi płoną. Zdejmuję okulary przeciwsłoneczne, bo nie wierzę, że to się dzieje naprawdę! Goście przy stolikach wyjmują telefony. Filmują go, jak schodzi ze sceny i z gracją klęka przede mną.

– Zwariowałeś?! Wstań!

– Kocham cię – mówi, uśmiechając się czarująco. – Wyjdiesz za mnie, Iga? Robię to pierwszy raz w życiu...

– Też cię kocham i zgadzam się na wszystko! Tylko wstań!

Wyjmuję małe, ozdobne pudełko z kieszeni lnianych spodni. Słyszę brawa, okrzyki w różnych językach, gratulacje. Muzycy znowu rozsiadają się na podeście dla orkiestry. Grają *I'd Do Anything for Love Meat Loaf* tylko dla nas.

I know you can save me

No one else can save me now but you...

MAKS

21 CZERWCA – ŻOLIBORZ (WARSZAWA)

– Powinienem pójść z tym wszystkim na policję. – Zrezygnowany opieram się o parapet.

Okna są potwornie brudne. Nie wiem, dlaczego właściciele tej kawalerki nie zrobili generalnych porządków po wyprowadzce poprzednich lokatorów. Ale Alinie to nie przeszkadza. Drugie piętro, stara klepka na podłodze. Mała, wąska kuchnia z dawną służbówką, z której zrobiono spiżarnię. W łazience

płytki, które pamiętają chyba czasy Peerelu.

– Co im powiesz? – Parska śmiechem, rozsiadając się na kanapie.

W pokoju nic więcej nie ma. Dlatego właściciele nie chcieli wielkiej kasy za wynajem tego syfiastego mieszkanca w idealnym punkcie Żoliborza. Dwie minuty do stacji metra na placu Wilsona. Okna wychodzą na ruchliwe rondo. Widać kinowy neon po drugiej stronie placu.

– Puszczę im to nagranie. Włączyłem dyktafon w telefonie, gdy Sandra Mazur zaczęła się otwierać.

– Słuchałam tego dwa razy, i to jest bełkot! W dodatku leczyła się psychiatrycznie! I pewnie dalej się leczy.

Macha nogą, z której spada przybrudzony kłapek. Cholernie seksowna w tych kusych, dzinsowych szortach i czarnym topie. Okazało się, że tak naprawdę ma mało ciuchów. Nie przywiozła żadnej walizki, tylko dwie sportowe torby. Do tego trzy pudła z książkami, przenośny wieszak na ubrania i dwa pluszowe stare misie, które posadziła teraz na parapecie. Cieszę się, że mamy już swoją miejscówkę, ale to mieszkanie mnie przygnębia. Muszę pogadać z właścicielami, czy można pomalować ściany. Chcę też dokupić tu trochę mebli. Nie wyobrażam sobie mieszkania w takim syfie. Kręcę się po wielkim pokoju, potykając o pudła i torby Aliny rzucone na skrzypiącą podłogę.

– Jeżeli chcesz sobie zaszkodzić, to oczywiście idź na policję. Pogrzebią jeszcze trochę i wyjdzie na jaw, na przykład, że twój stary stosował nielegalne metody leczenia... A może dotrą do innych pacjentów i pacjentek, którzy zaczną go oskarżać o kiepski stan psychiczny, bo im się życie nie ułożyło tak jak tej, co podobno została w Janiszewie. Jak ona się nazywa?

– Weronika Nowicka.

– No właśnie. Skoro twój stary nie żyje, to będą mogły szantażować na przykład ciebie, że wszystko nagłośnią i zniszczą ci karierę. Zwłaszcza jak wywęszą, że masz kasę. Chcesz, żeby twoje dzieciaki czytały w brukowcach, co wyprawiał ich dziadek?! Naprawdę chcesz iść na policję czy jaja sobie robisz?

– Robię sobie jaja.

Alina ma rację. Wygląda jak piętnastolatka, ale ma zajebiście bystry umysł. Chwaliła się, że ma stypendium na studiach. I to studia dzienne, uniwersytet. Kiedyś wyobrażałem sobie, że studentki historii wyglądają inaczej. Okulary, niemodne ciuchy. Alina jest inna. Wulgarna i inteligentna. Pomagałem jej spakować książki. Cyceon, Petrarca, Proust, Dostojewski i ciężkie, stare tomy dotyczące historii drugiej wojny światowej. To ją kręci.

Siada obok mnie i obejmuję ją ramieniem. Zaczynam zdawać sobie sprawę z tego, że czuję do niej coś więcej niż tylko zwierzęce pożądanie. Fajnie nam się rozmawia o wszystkim. O życiu, o polityce. Polubiła zespoły rockowe, których fanem jestem od lat. Nie wspominam jej o planowanym wypadzie do Janiszewa. Pewnie próbowałaby wybić mi to z głowy, bo wie, że to niebezpieczne. Czuję, że jej na mnie zależy. Przecież ona pierwsza powiedziała, że mnie kocha. Nagle zrywa się z kanapy. Przynosi pół słonecznika i skubimy go przez chwilę w milczeniu. Opowiadam jej, że w weekend będę zajęty w robocie. Wpycham jej do ręki zwitek banknotów. Chcę, żeby kupiła sobie fikuśną bieliznę. Alina śmieje się chrapliwie. Przekornie pokazuje mi w telefonie zdjęcia stron porno. Zapominam na moment, jak bardzo się boję wyjazdu do miejscowości, w której spędziłem pierwszych piętnaście lat życia. Część wspomnień się zatarła. Ale niektóre, te najmroczniejsze, czają się pod powierzchnią świadomości. Ceremonie na wydmach, na które my, gówniarze, nie mieliśmy wstępu. Kiedyś nocą, przedzierając się przez las z moim psem, słyszałem potworny krzyk niosący się od strony dzikiej plaży. Byłem zamroczony wódką pitą z kumplami. Zostawiłem ich kompletnie pijanych przy szałasie zrobionym z gałęzi. To była nasza kryjówka. Tu robiliśmy rzeczy nieprzeznaczone dla oczu dorosłych. Gdy krzyk się powtórzył, mój Dingo zaczął skomleć. Nie chciał iść dalej. Zdyszany zataczał koła, podkulił ogon i nasłuchiwał. Zacząłem bać się cholernej ciemności, chociaż ten sosnowy las znałem doskonale i bywałem w nim milion razy. Coś czaiło się bardzo blisko. Trudne do zdefiniowania zło, które kazało mi wtedy zawrócić i nie biec w stronę plaży. Ale tamten krzyk pamiętam do dziś. Wycie śmiertelnie przerażonej kobiety.

KSENIA

17 KWIECIEŃ – BIELANY (WARSZAWA)

Sprawdzam listę obecności. Już mnie nie peszą ich kpiące spojrzenia, ich złośliwe uśmiechy. Mam w sobie coraz więcej siły, żeby znosić przeciwności losu. Dzięki wieczornym rozmowom z ojcem Tomaszem już nie jestem słaba. Ktoś wreszcie docenił moją empatię. Mam prawdziwego przyjaciela. Nie wiem, dlaczego nie czuję przy nim żadnego wstydu. Mogę być wreszcie sobą. Zawsze przysuwa sobie krzesło do łóżka, na którym leżę. Bez makijażu, tylko w szlafroku... A ostatniej nocy całkiem naga. Przełamałam ostatnią barierę wstydu. Otworzyłam się. Przecież zostaliśmy stworzeni bez ubrań. Tak mi powiedział. Nagość oznacza zaufanie. Otwarcie duszy i ciała. Przy nim nie myślę, jaką jestem kobietą, bo kobiecość nie ma tu znaczenia. Mówi mi codziennie, że podziwia moje zaufanie i wiarę w niego. Że jest to dla niego ogromnie cenne. Jestem pewna, że nie zwariowałam. Przecież w ogóle mnie nie dotyka. Tylko leżę z zamkniętymi oczami i mówię o tym, co czuję. Czasem pokazuję części ciała, w których coś czuję, gdy myślę o Andrzeju. Według ojca Tomasza muszę zdefiniować swoje uczucia, wyrzucić je z siebie, żeby zacząć je kontrolować. Mówiłam mu, że gdy myślę o Andrzeju, mój oddech przyspiesza, serce łomocze w piersiach i policzki płoną. Nie potrafię wyrzucić go z pamięci, chociaż próbowałam. I przyznałam się, że rośnie we mnie nienawiść do kobiety, z którą jest. Zwłaszcza gdy zobaczyłam na jej profilu zdjęcia z Wenecji. Nie było jego twarzy, tylko splecione dłonie. Kobieta i mężczyzna. Poznałam jego rękę i skórzany rzemyk na przegubie. Bardzo często myślę o jego dłoniach, bo są piękne. Opalone, smukłe palce. Są mocne. Gdyby otulił nimi moje piersi, mógłby...

– Pani profesor? – Głos Jagody budzi mnie z zamyślenia. – Kiedy dowiemy się, jak poszły nam ostatnie testy?

– Już mówiłam.

– Nic pani profesor nie mówiła.

Dzwoni dzwonek i zrywają się z miejsc. Po chwili zostaję w klasie zupełnie sama. Miotam się po sali, bo wszędzie walają się ogryzki i papierki po batonach. Przecież sto razy prosiłam, żeby zostawiali po sobie porządek! Wczoraj odkryłam, że włączyli mi coś obrzydliwego do kawy, bo zostawiłam kubek na biurku w klasie na dużej przerwie. Upiłam łyk i o mało nie zwymiotowałam. Ale nie dostarczyłam im tej satysfakcji i nie dałam po sobie poznać, że coś jest nie tak. To samo było z pinezką, którą zostawili na moim krześle. Zupełnie nieświadoma usiadłam na niej, ale nie pokazałam po sobie, jak cholernie zabolęło! Po sesjach z ojcem Tomaszem jestem cierpliwa. Całe zło do nich wróci! Do dyrektorki także wróci. Już wiem, że nie przedłużę ze mną umowy na następny rok szkolny, i wcale nie wpadłam w panikę. Spokojnie przeglądam ogłoszenia o pracy dla anglistów na internetowych stronach kuratorium.

– Ksenia? – Olgierd zagląda do klasy. – Można?

– Można, ale chyba mam dyżur na korytarzu.

– Nie masz! Sprawdziłem na tablicy dyżurów. Co się z tobą dzieje? Mieszkasz dalej w tym zborze? Zupełnie upadłaś na głowę? Byłem tam... chciałem z tobą pogadać, to jakiś oszołom próbował mi wmówić, że tam nie nocujesz i że nie wie, kim jesteś!

– To był brat Michał. Po prostu dba o naszą prywatność. Mogłeś zadzwonić.

Natychmiast sobie przypominam, że chyba rzeczywiście nie mógł się do mnie dodzwonić, bo ojciec Tomasz prosi mnie, żebym na czas sesji z nim wyłączyła telefon.

– Coś ci powiem... Jesteśmy przyjaciółmi i dlatego to mnie martwi. Obszedłem cały budynek dookoła. Z jednej strony jest zapuszczony ogród, ale z drugiej – okna wychodzą na ulicę.

– Po co to zrobiłeś?!

Na szczęście na szkolnym korytarzu jest hałas, więc pewnie nikt nie zwróci uwagi na moje wrzaski. Zaczynam wpadać w jakąś paranoję i wścibstwo Olgierda doprowadza mnie do szału.

– Przez chwilę zobaczyłem siwego faceta w koloratce i ciebie zupełnie naga! Potem zasłonił firankę! Co tam się, do cholery, dzieje?!

Próbuję wyjść z klasy, ale błyskawicznie zasłania sobą drzwi.

– Sypiasz z księdzem? I to w dodatku z facetem starszym od ciebie o trzydzieści lat?! Tak nisko upadłaś?! Co ci odbiło?!

– Nic nie rozumiesz! Twoje myśli są obrzydliwe! Złe! Ohydne! Z nikim nie sypiam! Żyję jak mniszka! Nie uprawiam seksu! Nie piję alkoholu! Chodzę tylko do pracy i z radością wracam tam!

– Gdzie?! Do zboru?! Kim są ci ludzie? Co to jest?! – Dotyka wisiorka na mojej szyi.

Wczoraj ojciec Tomasz dał mi to maleńkie, srebrne oko na łańcuszku. Symbol mądrości i otwarcia na prawdę. Bez tej świadomości jesteśmy jak martwi. Skazani na powolną śmierć. Oczy są przecież zwierciadłem naszej duszy.

– Zostaw to!

Przez moment szarpiemy się, bo próbuję otworzyć drzwi. Olgierd chwyta łańcuszek. Odwracam się gwałtownie. Za późno. Maleńkie srebrne oko zostaje w jego dłoni. Wybiegam z klasy na zatłoczony, pulsujący hałasem szkolny korytarz. Nikt nie zwraca na mnie uwagi. Jestem tu przezroczysta. Tylko w zborze staję się kimś! Kimś wartościowym, czyje zdanie zawsze się liczy!

IGA

11 KWIETNIA – WENECJA (WŁOCHY)

Noc jest gorąca, a klimatyzacja nie działa. W naszym pokoju hotelowym sufit jest tak wysoki, że wiszący na nim żyrandol wydaje się zrobiony z cieni, które odbijają się od weneckich kanałów. Odsunęłam powłóczystą firankę i światło księżycy liże delikatnie ciało śpiącego Andrzeja. Śpi na wznak, z ramionami skrzyżowanymi nad głową. Nie znosi poduszek, więc potężne, purpurowe poduchy w La Libellula nie wzbudziły jego wielkiego entuzjazmu. Tak jak pajęczyny w rogach pokoju i splewiałe arrasy, które zdobią wszystkie ściany naszego pokoju. Wyszywane złotą nicią, przedstawiają czarne gondole z podzielonymi na sześć zębów okuciami dziobów, które symbolizują sześć dzielnic Wenecji.

Otulona jedwabnym szlafrokiem wychodzę na balkon. To miasto nocą migocze tysiącami świateł, które odbijają się w wodzie. Kuszą. Pokazują drogę, której nie ma. Tajemnicze, przekorne. Sięgam po zeszyt, który zostawiłam na stoliku kawowym, i po długopis. Piszę wiersz, ledwo dostrzegając litery. Zaręczynowy pierścionek połyskuje na moim palcu i jest moim małym symbolem szczęścia i stabilizacji. Wiem, że nie nadaję się na żonę, ale dla Andrzeja nie ma to żadnego znaczenia. Żyję po swojemu. Ale pierwszy raz nie zdradzam mężczyzny, z którym jestem. Pierwszy raz naprawdę ktoś jest dla mnie ważny. Rozmawialiśmy o ślubie i planujemy go w przyszłym roku. Spokojnie sobie wszystko zorganizujemy, zwłaszcza że nasze rodziny się polubiły. Tak jak przypuszczałam, nie do końca nadaję się do pracy w charakterze Mystery Client, bo wszystko mi się podoba i nic mi nie przeszkadza. Nawet to, że śniadania serwowane są w dusznej, zaciemnionej sali pełnej posążków koszmarków, które odkurzane były zapewne w poprzednim stuleciu. Andrzej wypunktował wszystkie wady tego dziwnego przybytku nazywanego butikowym hotelem w swoim kilkunastostronicowym raporcie. Dla mnie jedyną niedogodnością jest to, że w ogromnej łazience pokrętko od prysznicza czasem zostaje w dłoni.

– Gdzie jesteś?

Rozczochrały, zaspany chrypi, wiercąc się na łóżku.

– Przestraszyłam się, że mnie zostawiłaś. Spakowałaś się i zniknęłaś.

– To był tylko sen – śmieję się, siadając obok niego. – Jest strasznie duszno.

– Nie zostawisz mnie?

Kładzie mi głowę na kolanach.

– O czym ty mówisz? Zgodziłam się na ślub, chociaż myślałam, że nigdy...

– Bo jestem dla ciebie kimś specjalnym, tak?

– Bardzo specjalnym.

– Chcę, żebyśmy mieli swoje miejsce.

– Co to znaczy?

Pochylam się nad nim. Delikatnie muskam palcem jego wargi. Udaje, że chce ugryźć mnie w palec.

– To bez sensu płacić tyle za wynajem.
– Możemy przeprowadzić się do mniejszego mieszkania.
– Iga... ja pierwszy raz w życiu czuję, jak bardzo chcę mieć dom. Bo go nigdy nie miałem!
– Nie mam takiej kasy, żeby się dołożyć. Dom to gigantyczne pieniądze. I nie chcę, żebyśmy się zadłużali.

– Mam pieniądze. Dostałem ostatnią transzę za sprzedaż ziemi i tamtego hotelu.

Specjalnie nie wymienia jego nazwy. Temat przeszłości i miejsca, w którym się poznaliśmy, nie istnieje w naszych rozmowach. Tak postanowiłam. Bo przeszłość i to, co tam się wydarzyło, jest dla mnie traumą. Roztrząsanie tego rozwaliloby mi psychikę i pewnie musiałabym brać jakieś leki. A tego nie chcę.

– To twoje pieniądze. Nie pozwolę, żebyś płacił za wszystko. Nie jestem tego rodzaju kobietą.

– Jaką?

Robi mi się gorąco. Czuję jego oddech na brzuchu, bo wciąż ma głowę na moich kolanach. Jego włosy łaskoczą skórę na moich udach.

– Nie jestem kobietą bluszczem. Może zamiast domu pomyślimy o małym mieszkaniu z ogródkiem? W Krakowie w wynajętych magazynach są obrazy mojego ojca. Podobno ich ceny bardzo wzrosły.

– Nie chcesz ich?

– Nie nadają się, żeby powiesić je gdziekolwiek. Przedstawiają jego senne koszmary. A ja mam dość koszmarów. Gdy je sprzedamy, zobaczymy, na czym stoję, i wtedy zaczniemy czegoś szukać.

– Dobrze. Tylko chcę mieć coś z tobą... nasze cztery ściany... dom.

– Dobrze.

– Chcę mieć dom... chcę...

Cały czas to powtarza. Coraz ciszej. Zasypia. Chce mi się śmiać, bo w ogóle nie mogę się ruszyć. Sięgam po telefon rzucony na szafkę nocną, żeby sprawdzić, która godzina. Czytam wiadomości. Nagle robi mi się zimno. Tępo wpatruję się w czarne gondole na ściennym malowidle. W jednej z nich postać Pierrota w białej masce. I jego czarne łyzy. Oskar nie żyje! Wybrał potworną śmierć!

KSENIA

22 KWIEŃNIA – BIELANY (WARSZAWA)

– Bardzo mnie rozczarowałaś!

Głos ojca Tomasza mnie przeraża. Nigdy nie słyszałam, żeby zwracał się do kogokolwiek w tak ostry sposób. W jego gabinecie pali się tylko lampka na biurku. Siedzę skulona na krześle.

– Liczyłem na twoją pomoc. Jagoda Jańczak była w naszym zborze przez kilka miesięcy, ale odeszła. Miałaś z nią porozmawiać.

– Próbowałam!

Jestem pewna, że ojciec Tomasz wyczuwa, że kłamię. Wciąż mam opory, żeby rozmawiać z moimi uczniami na temat zboru, chociaż naciski są. Coraz mocniejsze. Zwłaszcza że siostra Joanna ma sukcesy. Wielu dawnych absolwentów liceum, w którym uczę, należy do zboru. Właśnie dzięki niej. A mój wkład na razie jest żaden.

– Ksenia... posłuchaj... Masz talent. Nie pojmuję, dlaczego nie chcesz go użyć. Beata twierdzi, że potrafisz docierać do swoich uczennic, do niej dotarłaś w sposób perfekcyjny. Masz w sobie tyle cierpliwości i empatii.

Uśmiecham się z wdzięcznością, ale nagle uderza mnie w twarz. Policzek mi płonie. Dotykam go przerażona.

– Przepraszam cię! Ale to twoja wina! Widzisz, do czego mnie doprowadzasz?! Masz talent, masz możliwości! Przez dziesięć dni prowadziłem z tobą sesję, żeby wzmocnić twoją pewność siebie! I wiem, że mi się udało! Czy może się mylę?! Przyjęliśmy cię tu ze względu na twoją niezwykłą empatię! A ty marnujesz ten boży dar! Naturalny dar! Myślałem, że jesteś wyjątkowa i szybko się uczysz!

– Przepraszam...

Wiem, że zbor potrzebuje młodych ludzi, zwłaszcza młodych kobiet. Bo to one są najbardziej narażone na pokusy dzisiejszego świata, ale to właśnie one są także jego największą wartością. Tak ojciec Tomasz mówił mi na każdej sesji.

– Rozbierz się. Zrobimy jeszcze jedną sesję. Dłuższą! Może coś do ciebie dotrze. Zawiodłaś mnie bardzo... ale nie tracę nadziei, że jest w tobie iskra... i ja ją rozpalę...

Wciąż przerażona zdejmuję powoli bluzkę, rozpinam spódnicę. W jego gabinecie jest niewielki tapczan. Sesje zawsze były w moim pokoju. Tu czuję się niepewnie. Wszędzie półki z książkami, krzyże. Łzy przez chwilę zasnuwają mi oczy. Wierzył we mnie, a ja go zawiodłam! Dlaczego marnuję swój dar? Przecież to jedyna rzecz, w której jestem dobra. Drżącymi rękami składam starannie spódnicę i bluzkę, na tym stosiku kładę jeszcze majtki i stanik.

– Połóż się – mówi lodowatym głosem. – Zamknij oczy.

Trzęsę się, chociaż na dworze jest ponad dwadzieścia stopni. Przysuwa ciężkie, drewniane krzesło do tapczanu, na którym leżę zupełnie naga. Natychmiast otwieram oczy.

– Zamknij oczy! Ufasz mi?

– Tak.

– Dotknij teraz miejsca, które według ciebie powinno być ukarane!

– Nie rozumiem?

– Dotknij miejsca na twoim ciele, które powinno być ukarane! Rozumiesz moje słowa?

– Tak.

Z wciąż zamkniętymi oczami dotykam lewego ramienia. Nie wiem, czy chce mnie znowu uderzyć? Nasze sesje nigdy tak nie wyglądały. Były pełne zrozumienia, ciepła, cudownej atmosfery. Słyszę skrzypienie drzwi. Natychmiast otwieram oczy. Widzę chudą dwudziestoparolatkę w dżinsowych spodenkach i w czarnym topie. W dłoni trzyma ozdobny świecznik. Zapalona na nim świeca wydziela dziwny zapach. Nigdy wcześniej nie widziałam tej dziewczyny. Wpatruje się we mnie z bezczelnym uśmiechem.

– To Alina. – Ojciec Tomasz wstaje z krzesła i sięga po jedną z książek leżących na biurku. – To ona cię ukarze. Ja nie mam na to siły. Zbyt jesteś mi bliska. Mam nadzieję, że zrozumiesz swoją karę i zaczniesz działać zgodnie ze swoim powołaniem. Wciąż się o to modlę.

Alina, wciąż trzymając świecę, siada tuż obok mnie. Ojciec Tomasz zaczyna czytać:

– *W czynieniu dobrze nie ustawajmy, bo gdy pora nadejdzie, będziemy zbierać plony, o ile w pracy nie ustaniemy...*

Jak zahipnotyzowana wpatruję się w płomień świecy coraz bliżej mojego nagiego ramienia. Alina wciąż się uśmiecha. Jej oddech sprawia, że płomień migocze. Głos ojca Tomasza staje się coraz mocniejszy.

– *Dlatego radujcie się niebiosa i ich mieszkańcy! Biada ziemi i biada morzu, bo zstąpił do was diabeł, palając wielkim gniewem, świadom, że ma mało czasu...*

Gdy płomień świecy liże moje ramię, staram się nie krzyknąć. Muszę być silna. Wbijam paznokcie w uda. Ból palonej żywcem skóry jest potworny!

MAKS

22 CZERWCA – BIAŁOŁĘKA (WARSZAWA)

– Szkoda, że musisz wyjechać na weekend. – Daria obejmuje mnie w pasie, gdy szczotkuję zęby. – Mamy wolną chatę. Dzieciaki będą przez dwa dni u mojej mamy.

– Mówiłaś jej, że Kacper moczy się w nocy?

– Zsikał się dwa razy. Nie moczy się notorycznie.

– Moim zdaniem tych razów było więcej. Julka mówiła...

– Zmyśla.

Gdy wychodzę z łazienki, idzie za mną do salonu. Zagaduje mnie, przymila się. Wiem dlaczego, ale milczę. Wczoraj wróciła bardzo późno. Myślała, że już śpię, ale w gabinecie słuchałem nagrania rozmowy z Sandrą Mazur. O sposobach, jakich używał mój ojciec, żeby pomóc nieletnim pacjentkom. Nie wiem, czy mogę jej wierzyć, ale jej opowieść była przerażająca. Faszzerowanie psychotropami, a potem egzorcyzmy na wydmach.

– Nie słuchasz mnie... Mówiłam, że cię podziwiam.

– Nie masz żadnego powodu, żeby mnie podziwiać.

– Owszem, mam. Twój ojciec zmarł tak tragiczną śmiercią, a ty się pozbierałeś, jesteś silny...

Dziwne tylko, że...

Sprawdzam służbowy neseser i małą, czarną walizkę. Jej monolog jest jak brzęczenie muchy, którą mam ochotę zabić jednym uderzeniem. Nie mogę na nią patrzeć! Zbiera mi się na wymioty. Wczoraj dawała dupy innemu, a dziś to uosobienie słodyczy.

– Śledczy w ogóle się do ciebie nie odzywają? Wiadomo, czy są jakieś postępy w tej sprawie?

– Nic o tym nie wiem. Przesłuchali mnie dwa razy.

Nie mówię jej o śmiertelnym wypadku Janickiego, którego wynająłem, żeby powęszył. Przelałem mu kasę z konta firmowego, nie z tego, które dzielę z Darią. Oficjalnie jechał nie do Janiszewa, tylko do Łeby, żeby sprawdzić agencję ochrony przed koncertem, który ma dziś nagłośnić moja firma. Wystawił mi za to fakturę. Pewnie śledczy się do tego dokopią. Ale jednocześnie, czy to karalne? Moja firma odpowiada za sprzęt nagłaśniający wart prawie milion złotych.

– Nie zastanawiałeś się ani razu, kto mógł to zrobić? – Daria poważnieje.

– Staram się myśleć o tym jak najmniej. Bo mnie to rozwała. Wciąż mam problemy ze snem.

– Wyjedźmy gdzieś tylko we dwoje. Chociaż na dwa, trzy dni.

– Pomyślę. Wiesz, że będę zapierdalać przez całe wakacje. Dlatego w maju byliśmy tydzień na Kanarach.

Idzie za mną do przedpokoju. Wydaje mi się, że jej twarz jest ostatnio nienaturalnie gładka. Ale może to przywidzenia.

– Wrócisz w poniedziałek po południu?

– Albo wieczorem. Będę się odzywał po drodze. To ponad trzysta sześćdziesiąt kilometrów.

Całuje mnie w policzek. Dostrzegam zaczerwienie na jej szyi. Musiało być ostro. Może zaprosi go do domu, gdy mnie nie będzie? Cały czas ma mnie za idiotę, który nie wie, co się dzieje!

– Bądź bardziej dyskretna.

– Słucham?!

Patrzy na mnie osłupiała.

– Nie opowiadaj znajomym o śledztwie w sprawie śmierci mojego ojca – mówię po chwili, unosząc walizkę.

Delektuję się jej zakłopotaniem. W myślach oceniam jej grę aktorską, jej emocje, które musi tłumić, i jej kłamstwa, które serwuje mi codziennie.

– Z nikim o tym nie rozmawiam.

Całuję ją w policzek na do widzenia. Jeszcze nim pachnie. Wszędzie zostawił smród swojej spermy.

IGA

16 KWIETNIA – LIDO DI JESOLO (WŁOCHY)/BIELANY (WARSZAWA)

Ostatni dzień spędziliśmy w Lido di Jesolo. Dopłynęliśmy tam w godzinę turystycznym stateczkiem z Wenecji, bo właśnie tu Andrzej umówiony był w jednym z hoteli na ważne spotkanie. Przywitał się z nami korpulentny Włoch mówiący po angielsku z komicznym akcentem. Starłam się uczestniczyć w rozmowie, nie zdradzając, jak bardzo mnie nudzi. Nie mogłam przestać myśleć o Oskarze i o przyczynach jego samobójstwa. Ani Piotr, ani Daniel nie byli za bardzo rozmowni, gdy zadzwoniłam do nich, pytając o termin pogrzebu. Im także wydawało się, że rozpad związku z Beatą nie

mógł być główną przyczyną tak desperackiego kroku. Przecież Oskar był już wcześniej porzucany przez kobiety. I przyjmował to po męsku. Obaj nie byli w stanie mi powiedzieć, jak Beata zniosła wiadomość o jego śmierci. Nie chcieli do niej dzwonić. To przecież nastolatka. A ja nie mam jej numeru. Potem na szerokiej, piaszczystej, prawie pustej plaży w Lido di Jesolo obserwowałam pływającego Andrzeja. Robił wszystko, żebym nie myślała o Oskarze. Wprawdzie to był tylko mój daleki znajomy, ale jego śmierć nie dawała mi spokoju. Coś mi nie pasowało, czegoś nie rozumiałam! Wiedziałałam, że muszę porozmawiać z jego dziewczyną. Wiele razy próbowałam ją rozgryźć. Czasem wydawała mi się naturalna, zabawna i charyzmatyczna, a czasem sztuczna aż do bólu, nieobecna myślami. Byłam pewna, że to dlatego, że miała tremę przed naszą premierą, ale teraz wiem, że chodziło o coś więcej. Być może zamierzała go zostawić, ale nie pojmowałam, dlaczego w ogóle straciła dla niego głowę? Co się między nimi wydarzyło? Dlaczego Oskar tak potwornie się ukarał? Dlaczego nie powiedział nikomu, jak bardzo cierpi? Dlaczego nie powiedział, że chce się zabić?

– Jesteś smutna. – Andrzej wyszedł z wody i wycierał się ręcznikiem tuż przy moim leżaku.

– Nie jestem.

– To chodź popływać.

– Woda jest lodowata.

– Nie przesadzaj. Jest całkiem ciepła.

Pociągnął mnie za rękę i po chwili zapomniałam o wszystkim, co mnie gryzie. Fal prawie nie było. Morze było spokojne. Andrzej cały czas był tuż obok, bo wiedział, że marnie pływam. Przez moment zakrztusiłam się słoną wodą i natychmiast objął mnie w talii.

– Wszystko w porządku?

– Jasne!

Zanurkowaliśmy jednocześnie, wpływając pod nadchodzącą falę i muskając swoje dłonie pod wodą. Pływanie było jak medytacja, jak unoszenie się w bańce, gdzie nie istnieje nic, tylko rytm, który kołysze twoim ciałem. Pływanie jest jak seks. Daje lekkość i radość. Potem w ogóle nie chciałam wyjść z wody i zachowywaliśmy się jak dzieci. Cieszyło mnie, że jesteśmy na plaży całkiem sami, bo w Lido di Jesolo było sennie przed sezonem. Błyskawicznie zdjęłam mokry kostium kąpielowy, gdy Andrzej zasłaniał mnie ręcznikiem. Gdy rzucałam mu groźne spojrzenia, odwracał głowę z przekornym uśmiechem i wpatrywał się w krążące nad nami mewy. Z mokrymi włosami poszliśmy poszukać knajpki serwującej ryby z porannego połowu. Udało nam się ją znaleźć dopiero po godzinie kręcenia się po głównym deptaku. Jako przystawkę zamówiliśmy sarde in saor, czyli sardynki marynowane w sosie słodko-kwaśnym z cebulką z Chioggii i aperol spritz w pękaty kieliszkach.

– Coraz bardziej podoba mi się ta praca – śmiałam się, gdy Andrzej skubał frytki z mojego talerza. – Podróżowanie do najpiękniejszych miejsc w Europie. Nocowanie w uroczych hotelach.

– W których śmierdzi wilgocią. Mam nadzieję, że na Capri będzie lepiej.

– Co powiedziałaś?!

– Co ja przed chwilą powiedziałam? Chyba wyleciało mi z głowy?

– Powiedziałaś „Capri”!

– Takie jest następne zlecenie. Zastanawiam się, czy je przyjąć? Butikowy hotel La Donna Misteriosa, dwa kroki od La Piazzetta. Prawdopodobnie na początku lipca. Pasuje ci?

– Co w ogóle za pytanie?! – parsknęłam śmiechem. – Capri z tobą zawsze mi pasuje!

Teraz, w windzie, gdy wjeżdżamy na trzecie piętro bloku, w którym mieszka matka Andrzeja, przypominam sobie naszą rozmowę. Chcę osobiście zaprosić ją na obiad, na którym pochwalimy się zaręczynami. Dzwonię do jej drzwi kilka razy. Zaczynam się zastanawiać, czy nie zapomniała o naszym spotkaniu... W końcu słyszę zgrzyt przekręcanej zasuw. Widzę w progu chudą dziewczynę ze słuchawkami na uszach. Ma na sobie tylko kusy top i dżinsowe szorty. Włosy zamotane w kucyk na czubku głowy.

– Dzień dobry. Czy jest pani Wanda? Byłam z nią umówiona.

– Proszę wejść. Jest w kuchni. Jestem Alina Galner. Jej nowa sublokatorka. Dużo o pani słyszałam.

Jej głos jest niski, chrapliwy. Gdy zdejmuję płaszcz w przedpokoju, nie spuszcza ze mnie

wzroku.

KSENIA

26 KWIECZNIA – BIELANY (WARSZAWA)

Z pęcherza na moim ramieniu sączy się płyn. Nie mogę nosić żadnych opatrunków, bo jest jeszcze gorzej. Jestem w stanie spać tylko w jednej pozycji. Za oknami rozszalała się wiosna, a ja nie mogę nosić bluzek z krótkim rękawem. Teraz, cała spocona i śmiertelnie blada, obserwuję Olgierda, który nerwowo pakuje moje ubrania do walizki. Wciąż namawiał mnie, żebym do niego wróciła, i dziś, po kolejnej nieprzespanej nocy, podjęłam decyzję. Jesteśmy sami w willi należącej do zboru. Siostra Joanna ma dziś po lekcjach próbę chóru w naszym liceum. Ojciec Tomasz wyjechał zaraz po karze, którą mi wymierzył. Alina pomogła mi dotrzeć do mojego pokoju, bo było mi słabo z bólu, a przez łzy nie widziałam prawie nic. Nie wiem, kim jest ta dziewczyna. Słyszałam jej głos w nocy, ale nie mam pojęcia, z kim rozmawiała. Uświadomiłam sobie, że jestem słaba, i dalej nie dam rady! Olgierd podnosi moją walizkę.

- Za kilka dni podjadę tu z tobą i zmusimy ich, żeby oddali ci kaucję.
- Nie chcieli żadnej kaucji.
- To sekta! Musimy iść na policję! Opowiesz, co ci zrobili!
- Sama się poparzyłam.
- Przestań!
- Nikt mi nie uwierzy. Chcę tylko...

Urywam, bo dostrzegam grubego kota w ogrodzie. Wskakuje na parapet, włazi przez otwarte okno do mojego pokoju. Kręci mi się w głowie. Przez ostatnie cztery dni prawie nie spałam i zjadłam tylko kilka kromek chleba. Poparzenia potwornie bołą. To chyba najgorszy ból, jakiego doświadczyłam.

– Po drodze zahaczmy o przychodnię na osiedlu – mówi Olgierd, pakując do sportowej torby moje kosmetyki stojące na stole. – Tam jest dobry dermatolog. Już sprawdziłem. Musi obejrzeć twoje ramię. Zostawisz klucze temu ciciowi?

- Zostawię je w kuchni na stole.
- Powinnaś pójść na zwolnienie. Wyglądasz strasznie.

Olgierd obejmuje mnie delikatnie. Jest tak silny, że pewnie mógłby unieść mnie jedną ręką.

– Znowu będziesz spał na karimacie na podłodze i znowu będę ci przeszkadzać w umawianiu się na randki? Naprawdę tego chcesz?

- Kupiłem rozkładany fotel. Dla ciebie jest kanapa. Jak zawsze.

Kilka minut później, gdy pakujemy moje rzeczy do bagażnika samochodu Olgierda, słyszymy dźwięk klaksonu. Po drugiej stronie willowej uliczki, tuż obok siedziby zboru, parkuje czarne volvo. Wiem, czyj to samochód.

- Ksenia, wsiadaj! – Olgierd zajmuje siedzenie kierowcy.
- Ksenia! – Ojciec Tomasz już mnie widzi.

Czy ktoś go zawiadomił? Dlaczego zjawił się tu właśnie teraz, gdy chcę opuścić jego zbór, bo przegrałam? Już jest przy mnie. Biała koszula z koloratką, czarne spodnie. Zaczesane do tyłu gęste, siwe włosy. Serdeczny uśmiech.

- Co robisz? Opuuszczasz nas?
- Niech pan ją zostawi, do kurwy nędzy, bo wezwę policję!

Olgierd wysiada z samochodu. Ojciec Tomasz w ogóle nie zwraca na niego uwagi. Patrzy mi w oczy. Delikatnie dotyka mojego poparzonego ramienia.

– Wiem, że kara była bolesna. Ale dla mnie jesteś bohaterką, bo zniosłaś ją bardzo dzielnie. To była lekcja. Takich bohaterek potrzebuję w moim zborze. Bez ciebie moje działania nie będą miały sensu. Jesteś moim skarbem, moim odkryciem...

– Zostaw ją w spokoju, do jasnej cholery! – Olgierd chwyta mnie za rękę. – Ona ma dość ciebie i twojej jebanej sekty! Zgłosimy na policję, co tu się dzieje!

- Praktyki religijne to nie czyny karalne. Ksenia już podjęła decyzję, bo wie, jak bardzo jej

potrzebujemy. Jest silna. Jest niezwykła. Dopiero tu u nas odkryła, jak wartościowym jest człowiekiem.

– Ksenia, wsiadaj do samochodu! Nie mamy czasu!

– Twoja dusza nas potrzebuje. Tylko tu rozkwitnie, rozwinie się, dojrzeje. Bardzo cię proszę, wróć do nas. Wiesz, że to właśnie tu jest twoje miejsce. Chciałbym powierzyć ci więcej obowiązków, chciałbym, żebyś była moją zastępczynią na spotkaniach zboru...

– Nie słuchaj go! Jedziemy do mnie!

– Twoja empatia jest niezwykła. I wiesz, że to twoje przeznaczenie. Wróć do nas! Bardzo cię o to proszę.

Jego ciepły głos brzmi coraz ciszej. W jego oczach widzę tylko dobro i miłość.

MAKS

22 CZERWCA – SOPOT

Cieszę się, że wyjechałem z Warszawy po szóstej rano, bo udało mi się szybko dojechać na Pomorze. Zrobiłem przystanek tylko raz, na stacji benzynowej, żeby się odlać, rozprostować kości i wypić obrzydliwą kawę z automatu. Teraz skręca mnie z głodu. Chcę coś zjeść w Sopocie i potem dojechać do Łeby. Wiem, że ekipa z mojej firmy już tam jest i rozstawiają nagłośnienie. Sprawdzili prognozę pogody, na pewno nie będzie lało. Burze to zawsze dla nas problem, chociaż mamy różne metody, żeby chronić sprzęt i kable. Zarezerwowałem nocleg w pensjonacie na uboczu, bo wiem, że w centrum Łeby będzie głośno przez całą noc. Właśnie zaczęły się wakacje, a koncert znanego zespołu disco polo przyciągnął do niej watahy wczasowiczów. W Sopocie też jest tłoczno. Z trudem udaje mi się znaleźć wolny stolik w niewielkiej smażalni. Jem szybko, wciąż spoglądając na telefon. Delikatne mięso smażonego turbota rozplywa mi się w ustach. Kolejna kawa i spacer po molo. Siadam na jednej z ławek. Bezmyślnie wpatruję się w morskie fale. Cudowny dzień, ani jednej chmury. Kocham morze, urodziłem się nad morzem i nad morzem spędziłem dzieciństwo. Jest i piękne, i groźne, tajemnicze i uwodzicielskie. Wyciągam z aktówki zdjęcie, które znalazłem w papierach ojca. On i ja, chyba dwunastoletni. Na dzikiej plaży w Janiszewie. Roześmiani, w krótkich spodenkach. Obejmuje mnie ramieniem. Przypomina mi się, jak uczył mnie pływać. Był cierpliwy, spokojny. Podobnie było z nauką jazdy na rowerze. Mówił mi, że dam radę, bo jestem pojętny. Teraz rzadko używa się tego słowa. Wyglądam zdjęcie. Był naprawdę przystojnym facetem, bardzo wysoki, mocne ramiona i te wąsy. Cienki pasek zarostu nad pełnymi ustami. Uśmiecham się do zdjęcia, bo przypomina mi się więcej zdarzeń z tego czasu. Wspólne wyprawy na grzyby albo jak zabrał mnie do wesołego miasteczka w Łebie, gdy miałem dziewięć lat, i zgubił mnie w tłumie. Zaryczany, czekałem przy kasie ponad dwie godziny. Pamiętam jego oczy, gdy mnie zobaczył. Podbiegł i wziął mnie na rękę. Przepraszał z tysiąc razy. Prosił, żebym nie mówił mamie. Oczywiście obiecał mi za to wiele nagród. Dostałem komplet samochodzików bez okazji i kolejny weekend spędziliśmy, podziwiając „Dar Młodzieży” w Gdyni. Był fajnym ojcem. Mądrym i zabawnym. Wtedy. W Janiszewie. Po rozwodzie rodziców wszystko się zmieniło. Chociaż po jakimś czasie zarówno on, jak i my z matką zamieszkaliśmy w Warszawie. Nie było tak jak dawniej. Gdy się widywaliśmy, bywał milczący, pograżony we własnych myślach. Miałem wrażenie, że niewiele go obchodzi.

– Tato...

Nie mogę uwierzyć, że był złym człowiekiem! Wdepnął w jakieś gówno, poznał ludzi, którzy wciągnęli go w coś, z czego nie mógł się wycofać. Jak mógł krzywdzić swoje pacjentki?! Dla niego etyka lekarska była najważniejsza! Dlaczego nie powiedział mi, że zna Wandę? Dlaczego nie rozpoznałem tej kobiety, gdy płaciłem jej za opiekę nad nim?! Marszczę brwi, wysilam pamięć. Wyjechałem z matką z Janiszewa, jak miałem piętnaście lat. W tym wieku bardziej interesują nas rówieśnicy, a nie dorośli, którzy stają się tylko jedną wielką, czasem wkurzającą masą. Tak było ze znajomymi mojego ojca. Miał ich naprawdę wielu. Pamiętam nazwisko tylko jednego. Ale on już nie żyje. Reszta to była elita Janiszewa. Nauczyciele, lekarze, początkujący biznesmeni i ten pierdolnięty ksiądz! Pół godziny później w samochodzie zamiast radia jeszcze raz włączam nagranie monologu Sandry Mazur. Wiem, że powinienem zapytać ją o zgodę, ale nie jestem takim dżentelmenem jak

Bielenda. Myślę o nim ze złością, bo czuję, że coś ukrywa pod uprzejmymi słowami i gładkimi zwrotami. Doskonale się maskuje. Ciekawe, czy laska, z którą jest, rozgryzła już jego osobowość? Wiem, że jego spokój jest udawany. Tak spokojni bywają tylko psychopaci. Zaciskam dłoń na kierownicy. Słucham głosu dawnej pacjentki mojego ojca przerywanego atakami kaszlu. Typowy kaszel długoletniej palaczki.

– *Gdy pielęgniarka kazała mi się rozebrać, myślałam, że to będzie badanie, ale nie rozumiałam, dlaczego to się odbywa w szpitalnej piwnicy... Było tam potwornie zimno. Trzęsłam się tak, że latała mi szczeka. Zaczęłam się wrywać, ale był silniejszy. Uderzył mnie w twarz... gdy się ocknęłam, przywiązana do metalowego łóżka za ramiona i nogi... zupełnie naga... zsikałam się ze strachu... To pamiętam doskonale, bo to był podwójny wstyd... Nigdy nie byłam wcześniej z mężczyzną... miałam piętnaście lat... chciałam krzyczeć, ale wepchnął mi jakąś szmatę do ust. I wtedy do tej piwnicy wszedł twój ojciec w lekarskim fartuchu...*

IGA

26 KWIETNIA – BIELANY (WARSZAWA)

– Daj spokój. Nie rozmawiajmy już o tym – powiedziała, spinając siwe włosy w fantazyjny kok.

– Nie musisz wynajmować pokoju obcym kobietom! Andrzej zawsze chętnie ci pomoże i...

– Dość już wyciągnęłam od niego pieniędzy. Poza tym nie lubię mieszkać sama. A Alina jest bezproblemową lokatorką, bo zwykle jej nie ma. A jak jest, to śpi.

Opowiadałam Wandzie o naszym pobycie w Wenecji, pokazywałam jej zdjęcia. Słyszałam jakies szuranie za ścianą i głos jej sublokatorki kłócącej się z kimś przez telefon. Może rzeczywiście Wanda zdecydowała się wynajmować mniejszy pokój, żeby nie czuć dojmującej samotności?

– Nie martw się o mnie. Jestem starą kobietą, ale jakoś daję sobie radę. I powiedziałam Andrzejowi... wtedy w marcu, u was... wreszcie przeszło mi to przez gardło... że go przepraszam... za to, co mu zrobiłam.

– Jak zareagował?

– Słuchał. Ja wcześniej myślałam, że takie słowa nic nie dadzą. Po co tłumaczyć cokolwiek własnemu synowi, który mnie nienawidzi? Słowa to tylko słowa. On nigdy dużo słów ode mnie nie usłyszał. Jak był mały, jak jeszcze ze mną mieszkał, to chciał opowiadać... co w szkole... chciał się chwalić... to mu mówiłam tylko, że...

Zagryza wargi. Upija łyk herbaty.

– Mówiłam, żeby tyle nie gadał, bo mnie głowa boli. Wiecznie byłam na kacu... wyrzucali mnie z każdej szkoły, w której zaczynałam pracę. W końcu w jakiejś świetlicy pod Warszawą się zatrudniłam... Wiesz... mam takie dziury w pamięci z tamtego okresu.

– Był ktoś w twoim życiu? Ktoś ważny? Kto mógł ci pomóc wyjść z nałogu i byłby dobrym ojczymem dla Andrzeja?

– Było wielu, o których myślałam, że może... Samych alkoholików do siebie przyciągałam. A ci niepijący nie byli w stanie ze mną wytrzymać. Kradłam im pieniądze na wódkę z portfela, jednemu nawet po wspólnej nocy zwinęłam obrączkę... jak spał. Możesz mnie oceniać. Ale jemu też nie przeszkadzało, że ma żonę i troje dzieci. A ja właśnie straciłam kolejną pracę i dziecko... bo Andrzej już wtedy był u rodziny zastępczej. Dałam tę obrączkę znajomemu, który zawsze mi pomagał, i dostałam jakieś pieniądze. Jestem alkoholiczką i złodziejką... Taka to prawda o mnie...

– Nie jesteś! Byłaś!

– Tylko jeden człowiek mnie kochał tak jak mój Andrzej ciebie... Ale on...

– Tak?

– Za bardzo się bał.

– Nie rozumiem?

– Wiesz, co to żyć w strachu przez tyle lat? Uciekać przez tyle lat?

– Przed kim?

– On zawsze mi mówił, że jest w nas część osobowości, której nie pojmujemy. Ta mroczna

strona, ciemna strona, która, gdy ktoś nami manipuluje, to wychodzi, panoszy się. Zwycięża. Tak mówił.

- Kim on był?
- Dlaczego mówisz o nim w czasie przeszłym? On żyje.
- Nadal cię kocha?
- Strach zabija miłość. Zabija wszystko!

Przeraziła mnie ta rozmowa, ale nie powtórzyłam jej Andrzejowi. Jego matka chwilami jest bardzo racjonalna, konkretna. Czasem jednak odpływa i mówi dziwne rzeczy. Myślę o niej, gdy moja taksówka parkuje przed kamienicą na Mokotowie, w której mieszka Daniel Wierzbicki. Wczoraj zadzwonił, mętnie opowiadając, że trzeba omówić kolejny wieczór poetycki moich wierszy. Mam nadzieję, że Piotr też będzie. Dostajemy coraz więcej zaproszeń. Tylko Oskar już z nami nie wystąpi. Czuję ukłucie w sercu. Oskara nie ma. Beata nie przyszła na jego pogrzeb. Dostrzegłam tylko mały wieniec z białą szarfą z napisem: „ŻEGNAJ. NIGDY O TOBIE NIE ZAPOMNĘ. BETI”.

Drzwi do mieszkania Daniela nie są zamknięte na zasuwę. W środku panuje potworny bałagan. Rozrzucone ciuchy i winyle w salonie. Pełno petów na talerzach i w donicach. Puste opakowania po pizzy na parapetach i na dywanie. Znajduję go w łazience w samych spodniach od dresu. Nie golił się pewnie od tygodnia. Śmierdzi. Olśniewa mnie, że wszystko zmyślił. Zaprosił mnie do siebie, wmawiając, że to spotkanie w sprawie kolejnego spektaklu. Kucam przy nim, wściekła i jednocześnie zaintrygowana tym, co robi. Zapala małe świece na ozdobnych podstawkach i ostrożnie wkłada je do wanny napełnionej wodą.

- Co to ma być? Co robisz...?
- To dla Oskara... Pamiętasz *Popiół i diament*? Ten film, pamiętasz? Widziałaś?
- Tak.

– Powinienem podpalić kieliszki ze spirytusem... Cztery... Oskar jest czwarty... Czwarty mój kumpel, który ziemie już, kurwa, gryzie od spodu... Jezu, czwarty!

Boję się, że nie tylko wypił whiskey, bo prawie pustą butelkę zobaczyłam na blacie w kuchni, ale że wachał czy wstrzyknął sobie coś, co rozwali mu organizm. Próbuję go namówić, żeby wstał. Kurczowo trzyma się wanny i wpatruje nieprzytomnym wzrokiem w pływające świece. Przewracają się, gasną. Próbuje znowu je zapalić. Błyskawicznie wrywam mu zapalniczkę. Ma w oczach łzy. Pochyla głowę. Zaczyna uderzać nią o krawędź wanny, z łuku brwiowego sączy się krew.

Jestem przerażona. Telefonuję do Andrzeja. Zjawia się dwadzieścia minut później. Chwyta Daniela mocno w pasie, unosi go i prowadzi do sypialni. Wysła wiadomość do znajomego lekarza. Dwie godziny czekamy, aż się zjawi, a Daniel w tym czasie śpi, pochrapując lekko z wielkim guzem na czole.

– Żal mi go, ale musi chcieć sobie pomóc. Nie możesz wiecznie go ratować! – mówi półgłosem zdenerwowany Andrzej, chodząc po salonie i potykając się o kartony po pizzy.

KSENIA

1 MAJA – ŻOLIBORZ (WARSZAWA)

Nawet nie mam wpisanego w telefonie numeru mojego ojca. Od trzynastu lat jest dla mnie obcym człowiekiem. Zawsze miałam lepszą więź z mamą, chociaż buntowałam się czasem, bo za bardzo mnie pilnowała i mocno próbowała ingerować w moje życie. Była zawsze w domu, na rencie z powodu niedosłuchu. Wszyscy w rodzinie znaliśmy język migowy, żeby mamie było łatwiej. Rodzina ojca wiecznie podkreślała, jak się poświęcił, wiążąc się z inwalidką, jak mówili za jej plecami. I przecież istniało ryzyko, że ja urodzę się z wadą słuchu. Nie chodziłam do przedszkola, bo mama mogła się mną zajmować. Ojca wiecznie nie było. Założył biuro tłumaczeń, zdobył wszystkie możliwe certyfikaty tłumacza symultanicznego. Inwestował w moje kursy języków, żebym stała się taka jak on. Ale się zbuntowałam i zostałam nauczycielką. Nie jest dla mnie wzorem, chociaż na pewno w swoim zawodzie wiele osiągnął. Dla mnie jest zerem. Gdy odkryłam, że zdradza mamę z naszą sąsiadką, to było jak cios w serce. Zobaczyłam ich nagich w jego gabinecie siedem lat temu, gdy wróciłam wcześniej z wykładów w Warszawie. Otworzyłam drzwi i natychmiast zamknęłam. Na miękkich nogach poszłam do sypialni

mamy. Prawie nie wstawała już z łóżka. Zanurzona w jakimś niespokojnym śnie, z rudą peruką leżącą obok na szafce nocnej i z aparatem słuchowym rzuconym na parapet. Ojciec i jego młoda kochanka wiedzieli, że mogą sobie hałasować do woli. Wiedzieli, że mama zdejmuje aparat do snu. Sąsiadka przychodziła do nas pomagać ojcu w porządkach i gotowaniu... Nie byłam na ich ślubie. Unikam tej kobiety, jak mogę.

Teraz, gdy dzwoni mój telefon, jestem tak zamyślona, że odbieram natychmiast. Jest piękny, upalny dzień. Majowy weekend. W parku Sady Żoliborskie przyroda rozszalała się tak, że nie mogę oderwać wzroku od rozkwitających pąków. Denerwują mnie tylko wrzaski dzieciaków, chociaż na placu zabaw jest ich mniej niż zwykle, bo mnóstwo ludzi wyjechało z Warszawy na długi weekend.

– Ksenia... – Od razu poznaję głos mojego ojca.

Chcę się natychmiast rozłączyć, ale coś w jego głosie mnie zastanawia.

– Czego chcesz?

– Rzadko dzwonisz. Masz wolne... Może byś nas odwiedziła? To tylko godzina pakaesem od Warszawy.

– Półtorej.

– Mogę po ciebie przyjechać. Gdzie teraz mieszkasz? Wynajmujesz coś z koleżankami?

– Wynajmuję. Coś się stało?

Próbuję odgonić osę, która nie daje mi spokoju. Przez moment znowu boli mnie poparzone ramię. Chociaż ostatnio ból ucichł, dzięki maści, którą dostałam od ojca Tomasza. Smarował mi poparzenie kilka razy. I przeproszał. Mówił, że Alinę poniosło. Miała mnie tylko przestraszyć. Opowiadał mi, że pomógł jej uciec z patologicznego domu. Na szczęście w siedzibie zboru zjawia się rzadko. Nie trawię jej. Ale to, że tak dzielnie zniosłam ból, sprawiło, że zyskałam w ich oczach. Nie jestem już nikiem! Niedługo ojciec Tomasz przedstawi mnie oficjalnie przedstawicielom zboru.

– Jesteś tam? Właśnie powiedziałem, że Dorotka poroniła. Czwarty raz.

– Jest za stara na dzieci. Ty też.

– Nigdy mi nie wybaczysz, prawda? Po tylu latach nie stać cię na taki gest?!

– Zabiłeś ją!

Kilka osób odwraca głowy. Zrywam się z leżaka i odchodzę parę metrów od kawiarnianego ogródka. Nie chcę, żeby inni słyszeli, że nazywam mojego ojca mordercą.

– Rozmawialiśmy o tym milion razy. Próbowałem ci wytłumaczyć... mama miała przerzuty, wszędzie...

– Ale ciebie to nie obchodziło! Świetnie się bawiłeś, gdy ona umierała za ścianą! Idealny mąż i ojciec! Nie rozumiesz, że poronienia twojej Doroty to kara?! To jest karma, która wraca! Przeznaczenie i oko opatrności! Ona nigdy nie urodzi ci dziecka! A jeżeli ci urodzi, to nie będzie normalne! Taką mam nadzieję! I o to codziennie się modłę!

Głos załamuje mu się kilka razy, gdy próbuje coś powiedzieć. Jest żalony. Rozłączam się. Trzęsę się z wściekłości. Nagle dostrzegam sylwetkę Andrzeja w kawiarnianym ogródku. Lniana koszula, granatowe spodenki do kolan, trampki, trzydniowy zarost. Przyjechał na rowerze, który teraz przypina do ogrodzenia. Nie mogę przestać na niego patrzeć. Na grę mięśni na jego ramionach, na muśnięte słońcem policzki, na nieśmiały uśmiech przeznaczony dla kelnerki, która podchodzi do niego z kartą dań. Wiem, że będzie mój! To tylko kwestia czasu. „Uwierz w siebie”, powtarza mi wciąż ojciec Tomasz. I zaczynam wierzyć.

IGA

2 MAJA – MOKOTÓW (WARSZAWA)

Siedzimy z Andrzejem na wprost Daniela w ogródku kawiarnianym na Mokotowie. Wierzbicki założył ciemne okulary, jeszcze bardziej schudł. Wierci się na krześle.

– Chciałem wam podziękować. To, co zrobił Oskar, mnie rozwaliło. Zwłaszcza że rok temu mój kumpel ze szkoły teatralnej rozpierdolił się na motorze. To jakieś jebane fatum!

– To nie fatum – przerywam mu. – Oskar chciał się zabić...

– Ale mogliśmy go powstrzymać!
– Nikt nie wiedział, co mu chodzi po głowie! Mówił ci, że chce się zabić?
– Nie... Ale mówił dużo o Beacie!
– Co ona mu zrobiła, twoim zdaniem? Zerwanie związku to nie powód, żeby odbierać sobie życie!

– Wiesz, że pod jej wpływem Oskar zmienił testament? – Daniel zapala papierosa i dmucha mi prosto w twarz. – Na trzy tygodnie przed śmiercią poszedł do notariusza. Razem z nią.

– Zapisał jej wszystko?

– Nie jej, kotku! Wiem to od byłej żony Oskara. Przyleciała ze Stanów na jego pogrzeb. Koniecznie chciała wiedzieć, kim jest Beata Sokolnicka i dlaczego zawsze racjonalnemu Oskarowi tak odjechało...

– Po prostu ta kobieta jest wściekła, że nie zapisał jej mieszkania.

– Jest wściekła, bo zapisał mieszkanie jakiejś organizacji!

– To decyzja Oskara. Jego była żona nie ma prawa podważać jego testamentu. – Andrzej dyskretnie rzuca okiem na swój telefon.

– Nie zapytasz, co to za organizacja? W sumie nawet się nie dziwię, że nie zapytasz, bo już, kurwa, pewnie wiesz!

– O co ci chodzi?! – przerywam mu.

– Niech twój chłopak ci powie! Oskar wszystko, co miał, zapisał stowarzyszeniu czy jakiejś, kurwa, fundacji o nazwie zbór Świętego Marcina!

– A co to ma wspólnego z Andrzejem?!

Daniel śmieje się. Zastanawiam się, czy znowu coś brał, bo jego opowieści stają się coraz bardziej nieprawdopodobne.

– Trochę mi się spieszy. – Andrzej macha w stronę kelnerki. – Pogadamy innym razem.

– Teraz ci się spieszy? – Daniel unosi brwi. – Iga wie, kto jest w zarządzie tej fundacji? Była żona Oskara wynajęła kogoś, żeby trochę powęszył. Zwłaszcza że jej Oskar nigdy nie był specjalnie religijny.

– Iga... zbieramy się...

Zaskoczona spoglądam na Andrzeja, który wyciąga kluczyki od samochodu z kieszeni džinsów.

– Jedno nazwisko wydało mi się znajome! Wanda Bielenda! To nie jest twoja matka przypadkiem?! Przecież była na naszej premierze! Zapamiętałam ją!

Andrzej bez trudu znosi jego spojrzenie.

– To jest zbieg okoliczności. Nie odpowiadam za to, co robi moja matka.

– Za dużo tu zbiegów okoliczności, do kurwy nędzy! Podsunąłeś Oskarowi Beti i zapłaciłeś jej kupę kasy, żeby zrobiła mu wodę z mózgu! Miała mu dawać dupy, a potem go zostawić! Tak jej kazałeś zrobić?! To było twoje zadanie, żeby fundacja twojej starej się wzbogaciła, kurwa?! Tylko nie rozumiesz, pojebie, że masz jego krew na rękach!

Nagle Andrzej uderza Daniela tak mocno w ramię, że ten przewraca się na zastawiony stolik. Zaczynają się szarpać. Nigdy w życiu nie widziałam go tak wściekłego. Jest dużo silniejszy od Daniela. Zaczynam wpadać w panikę, że zrobi mu krzywdę. Chwytam go za łokieć. Krzyczę, żeby przestał. Odpycha mnie, zamroczony wściekłością. Upadam na kolana, boleśnie raniąc się w łydkę o szkło z rozbitej butelki.

MAKS

22 CZERWCA – ŁEBA

Na bezkresnej polanie na obrzeżach Łeby wyrosły scena, podesty, szereg metalowych ogrodzeń i cały ten szajs, który jest potrzebny, żeby koncert odbył się profesjonalnie i bezpiecznie. Właśnie trwa próba. Wokalista zespołu disco polo markuje, że śpiewa, bo wszystko pójdzie i tak z playbacku. Jego głos a głos przetworzony przez programy do obróbki dźwięku to niebo i ziemia. Facet w żółtej marynarce beczy i miota się na scenie. Słońce mnie oślepia, ale morska bryza dociera aż tutaj. Zapomniałem, jak pachnie, jak odświeża umysł. Już nie jestem śpiący i padnięty po kilkugodzinnej

podróży z Warszawy. Zostawiłem walizkę w pensjonacie i przeszedłem się tu, mijając na promenadzie tłumy z lodami, goframi, dziećmi i psami. Łeba się zmieniła. To już nie jest taka dziura jak trzydzieści lat temu, ale nadal jest hałaśliwie, kiczowato, tłoczono i przasnie.

– Jak ekipa? Dają radę? Wiedzą, że za chłanie wypierdalam na zбитy pysk? – zwracam się do kierownika sceny, który chodzi za mną krok w krok.

Wie, że jestem tu ważniejszy od Boga. I wie, że jedna moja decyzja i może stracić świetną robotę, więc jest niezwykle uprzejmy i włazi mi w tyłek. Nie cierpię tego typu osobników. Lubię w robocie ludzi konkretnych, którzy mało mówią, ale dużo robią. Nie trawię przymilania się i włożenia w dupę. On jeszcze tego nie wie. Pracuje z nami od kilku miesięcy, bo robiliśmy nabór na wiosnę. Ale na pewno wie, że zamordowano mi ojca. Cała firma już wie. Choć udają, że nie wiedzą.

– Chłopaki mają być trzeźwi w robocie. Wziąłem alkomat. Będę sprawdzał wyrywkowo.

– Na razie wszystko gra. Idę się przejść. Wracam za godzinę.

Kiwa posłusznie głową. Obserwuję grupki turystów, którzy właśnie zeszli z plaży i przywlekli się tutaj, by podziwiać swojego idola podczas próby. Chyba są rozczarowani, że beczy jak zdychający baran. Stoją przy ogrodzeniu, filmują go telefonami, chociaż ochroniarze próbują ich odsuwać i zasłaniać scenę. Kilkanaście minut później znajdują zajazd, oddalony od promenady, niedaleko polnej drogi. Kilka samochodów na parkingu, na zewnątrz drewniane stoły. Chcę pogadać z miejscowymi o wypadku Janickiego, ale nie mam pojęcia, jak zacząć. Nie mam w sobie takiego spokoju i uroku osobistego jak Bielenda, a bardzo chciałbym mieć. Moje życie byłoby łatwiejsze.

– Dzień dobry. Sporo ludzi przyjechało na koncert, co? – zagaduję tłustawą dziewczynę za drewnianą ladą.

– Ryb już nie mamy. Zestawy lunchowe się skończyły. Kurczak jest.

– Chciałem się tylko napić piwa i kawy. Można?

– Zawsze można.

Jej twarz łąni od potu. Pryszcze na brodzie i wylewający się biust z różowej, obcisłej bluzki. Myśli, że jest seksowna, ale nie jest.

– Byłem w Łebie trzydzieści lat temu. Ale się zmieniła!

– Wszystko się zmienia przez tyle lat. Pan też się pewnie zmienił.

Nalewa mi piwo z nalewaka i przeciera blat brudną szmatą.

– Nie pan, tylko Maks. – Rozsiadam się przy barze i zanurzam usta w piwie.

Dobrze, że się wykapałem i przebrałem po podróży. Markowa koszulka polo, lniane spodnie, zapach drogiej wody toaletowej. Do tego zajebiście drogi telefon, który kładę obok kufla z piwem, i niezły zegarek. To wszystko chyba się jej podoba. Wciągam brzuch. Uśmiecham się.

– Ewa.

– Piękne imię. Zawsze kojarzy mi się z pierwszą kobietą.

– Z czym?

– Nieważne. Słyszałem o tym okropnym wypadku niedaleko Janiszewa. Coś potwornego!

– Jakim wypadku? Tu się ciągle rozpierdalają po pijaku. Dziś też kontrole będą na drogach, bo koncert.

– Widziałem próby, wakacje się zaczęły... Ten wypadek był inny. Walnęli w drzewo i przez dwa dni nikt im nie pomógł.

– Jak wszystko wiesz, to po co pytasz? Na warszawskiej rejestracji jechali. Ten starszy umierał dwa dni, młodego zabrali do szpitala.

– Dlaczego nikt im nie pomógł? To dziwne, że nikt nie zauważył rozbitego samochodu na polnej drodze.

– A ja tam wiem? Ale to nie u nas. To koło Janiszewa. Tam mniej ludzi jeździ. Może ktoś i widział samochód, ale myślał, że jest pusty. A to wiadomo? Nie można miejscowych osądzać.

– Gdyby ktoś wcześniej wezwał pomoc, to może...

– Gdybać to sobie zawsze można, nie? Ludzie mówili, że oni musieli nieźle chlać, skoro na prostej drodze wjechali w drzewo. Ale ja wiem, że oni tylko kawę tu pili.

Zamieram na chwilę i patrzę na nią osłupiały.

- Byli tu? Zatrzymali się tu w zajeździe przed wypadkiem?
- No mówię przecież! Zamówili kawę. Bez mleka. Wiem, że to oni, bo samochód widziałam przez okno. Zielone audi. Nowiutki. U mnie nie pili alkoholu. Chyba że w samochodzie. Rozłożyli tu laptopa, jakieś papiery. Pogadali godzinę. Wypili kawę i pojechali dalej.
- Czyli ich wypadek miał miejsce zaraz, jak wyszli z zajazdu?
- Ja wiem, czy zaraz? Z pół godziny później pewnie. Też mną to tąpnęło, bo poznałam samochód.
- Policja z tobą rozmawiała o tym wypadku?
- Skąd! Żadnych psów tu nie było. A co ty tak pytasz o tych dwóch z audi? Znałeś ich?

KSENIA

2 MAJA – BIELANY (WARSZAWA)

Moja rozmowa z Andrzejem była krótka. Oczywiście grzecznie dawał mi do zrozumienia, że się spieszy.

- Myślisz, że mogłabym z powrotem wprowadzić się do twojej matki?
- To niemożliwe. Mieszka już u niej nowa lokatorka.
- Mogłaby zerwać z nią umowę.
- Nie mogłaby. Nie za bardzo rozumiem, co kombinujesz.

Był coraz bardziej zdenerwowany. Irytowało mnie, że nie widzę jego oczu, bo siedział w kawiarnianym ogródku na Sadach Żoliborskich w ciemnych okularach.

- Mogłabym ją chronić.
- Przed kim?
- Przed ludźmi ze zboru.
- Uważasz, że coś jej grozi?!

– Ja to wiem. Mieszkam w zborze Świętego Marcina na Bielanych. Jestem prawą ręką ojca Tomasza...

Milczał dłuższą chwilę. Obserwował dzieciaki w parku jeżdżące na rolkach.

- On cię do mnie przysłał?

– Nigdy z nim o tobie nie rozmawiałam – skłamałam natychmiast. – Ale wtedy ci ludzie, którzy przychodzili do twojej matki w nocy, gdy u niej mieszkałam... dwie osoby rozpoznałam wczoraj na zebraniu zboru. Ojciec Tomasz mnie przedstawił, potem mnie wyprosił, ale podsłuchałam ich rozmowę.

- O czym była ta rozmowa?
- Nie o czym, tylko o kim. O twojej matce.
- Co mówili?
- Nie słyszałam wszystkiego, ale są na nią wściekli...
- Nie mam pojęcia, kim naprawdę jesteś, ale trzymaj się z daleka od mojej rodziny!
- Rozumiem. – Uśmiechnęłam się złośliwie. – Iga to także twoja rodzina?
- To nie jest twoja sprawa.

Zamachał w stronę kelnerki.

- Myślałam, że będziesz mi wdzięczny za ostrzeżenie!

– Ja też cię ostrzegam. Nie wiem, co robisz w zborze i jaką dał ci rolę do odegrania. Ale to skończy się źle także dla ciebie. On wszystkim robi pranie mózgu!

– To jest dobry człowiek! Po prostu niektóre jego metody są trochę niekonwencjonalne, ale oparte są nie tylko na religii, ale też na psychologii!

- Gdzie dokładnie mieści się siedziba zboru? Powiedziałaś, że na Bielanych?

– Może twoja matka ci powie? Chcą ją zaprosić na jedną z ceremonii. Chcą sprawdzić jej lojalność.

- Nie pojmuję jednej rzeczy! – Zacisnął szczęki. – Co ty tam robisz, skoro uważasz, że ci ludzie są niebezpieczni?! Ostrzegasz mnie i moją matkę przed nimi, a sama tam mieszkasz?!

- Nie rozumiesz jednej rzeczy! Ojciec Tomasz panuje nad ich złymi instynktami, złymi

emocjami. Ale często wyjeżdża, a niektórzy z nich są nadgorliwi. Intrygują, kłamią. Próbowałam z nim rozmawiać na ten temat.

– Moim zdaniem powinnaś jak najszybciej opuścić to miejsce. Ale nie sądzę, że on tak łatwo da ci odejść.

– Dlaczego?

– Jesteś nauczycielką. Czy twoim zadaniem nie jest wciąganie uczennic do zboru? To samo musiała robić moja matka. Tylko dlatego jesteś mu potrzebna.

Zapłacił rachunek. Obserwowałam go, jak odpina rower od ogrodzenia otaczającego budynek kawiarni. Chciałam, żebyśmy jeszcze rozmawiali. Chciałam słuchać jego głosu. Miałam mętlik w głowie. Marzyłam, żeby go przekonać, że ojciec Tomasz nie jest złym człowiekiem, że można wpłynąć na ludzi ze zboru, żeby nie byli mściwi. Jestem gotowa na to zadanie! Mam misję!

– Andrzej, poczekaj! Zbór to nie jest żadna sekta! To jest tylko grupa ludzi, która wyznaje prawdziwe wartości! To są ludzie i wierzący, i niewierzący! Oczywiście, że są wśród nich osoby trochę nawiedzone, ale można nad nimi zapanować, tylko...

– Tylko co?

– Tylko nie wiem, dlaczego... jeszcze tego nie rozumiem do końca... dlaczego tak nienawidzą twojej matki? Może powinna wyjechać na jakiś czas? Zwłaszcza teraz, przed czerwcową ceremonią, to byłoby wskazane, bo oni...

– Co?

– Rozmawiali o składaniu ofiar. To oczywiście metafora, ale może lepiej, żeby wyjechała. Niech wróci, jak wszystko się uspokoi.

Tak bardzo chciałam mu pokazać, że mu dobrze życzę, że chcę pomóc! Nie jestem złym człowiekiem. Zbór to jest piękna idea oparta na miłości i szacunku. Niektórzy wypaczają te piękne idee, przez żądzę zemsty, przez nienawiść.

– Nie wiem, kim jesteś, ale mimo wszystko dziękuję.

Zostawił mnie oszołomioną, ale z wielkim spokojem w sercu. Teraz próbuję zasnąć w moim pokoju pielgrzyma, ale nie mogę. Słyszę ich głosy w kuchni, w ogrodzie, w gabinecie ojca Tomasza. Przyszło ich naprawdę wielu. Większość to mężczyźni. Wszyscy ubrani na czarno. Chcą się odpowiednio przygotować do czerwcowej ceremonii. Tylko o tym mówią. Ojciec Tomasz powiedział mi, że to ceremonia oczyszczenia z grzechów przeszłości, grzechów naszych i naszych przodków. Uzdrawienie międzypokoleniowe. Daje energię i wiarę na cały następny rok. Ale jest bolesne. Bo istnieje związek między chorobami duszy a siłami zła. Oczyszczenie z brudu, którym są grzechy, jest bolesne. Trzeba je najpierw wyznać, wykrzyczeć, wyrzucić z siebie. Czasem potrzebna jest pomoc innych. Bardzo chcę wziąć udział w tej ceremonii i ojciec Tomasz się zgodził. Znowu słyszę szuranie pod moimi drzwiami. Jakies szepty. Jeszcze nie jestem jedną z nich. Ale niedługo będę! Dzięki mnie staną się lepszymi ludźmi. Muszę mieć tylko siłę. Charyzmę. Jak on!

IGA

4 MAJA – ŻOLIBORZ (WARSZAWA)

Już drugi dzień milczę. Nie chcę, żeby mnie dotykał. Nie chcę słuchać jego głosu. Czuję, że kłamię. Pierścionek zaręczynowy rzuciłam na parapet w kuchni, koło doniczki z bazylią. Drugą noc spędzam na kanapie w salonie. Z opatrunkiem na łydce. Skaleczenie tak bardzo nie boli, ale rozczarowanie uwiera mocniej. Bo mój ukochany zawiódł mnie tak, że gdy o tym myślę, to zatyka mnie z wściekłości. Na szczęście nikt w kawiarni nie wezwał policji. Andrzej zapłacił za rozbite szklanki i rozwalony stolik. Danielowi też nic się nie stało. Klnąc pod nosem, powlókł się w stronę postojów taksówek. Jedna z kelnerek przyniosła apteczkę z zaplecza kawiarni. Pomogła mi zatamować krwawienie. Andrzej chciał mnie zawieźć na ostry dyżur, ale powiedziałam mu, żeby spierdalał. Pierwszy raz użyłam wobec niego takiego zwrotu. Czulałam, że za moment zrobię coś potwornego. Chciałam się opanować. Wołałam milczeć. Zaciśnąć zęby. Przemyśleć wszystko, gdy ból i wściekłość miną.

Teraz już drugą noc nie mogę zasnąć. Zastanawiam się, czym jest miłość? Ile warto dla niej znosić? Najgorsze są dla mnie kłamstwa. Bo wiem, że Andrzej kłamie, gdy mówi, że niewiele wie na temat tego zboru. Domyślam się, że to ludzie, których jego matka poznała jeszcze w Janiszewie. Czy jest wśród nich jego ojciec?!

– Iga? Śpisz? – Trzeci raz tej nocy zagląda do salonu, który tonie w mroku. – To jest dziecinne. Porozmawiajmy jak dorośli ludzie... proszę cię... błagam...

– Wyjdź stąd! Wynoś się!

– Jednak nie śpisz. Tak myślałem.

Przysuwa sobie krzesło do kanapy. Nieogolony, w samych dżinsach. Pochyla się nade mną.

– Jak twoja noga?

– To tylko skaleczenie.

– Przepraszam cię... przepraszam... Wiesz, że nie zrobiłem tego specjalnie... Wiesz o tym, prawda?

– Uderzyłeś człowieka, który nic ci nie zrobił!

– Powiedział, że mam krew na rękach!

Głos mu drży. Przypominam sobie słowa jego matki. O tym, że każdy człowiek ma ciemną stronę, którą można obudzić, którą można manipulować. Zawsze wydawał mi się niesamowicie opanowany. Może to tylko pozory? Kim jest naprawdę? Co ukrywa?!

– Coś we mnie pękło... nie wiem co... Przecież jego oskarżenia są śmieszne!

– Skoro są śmieszne, to po co ta agresja?!

– Bo nie miał prawa oskarżać mnie o śmierć Oskara! Nie miałem pojęcia, co i komu zapisał w testamencie! Widziałem go może trzy razy w życiu! Tak jak jego dziewczynę! I... uświadomiłem sobie... że to się znowu dzieje... że oni nie odpuszczają...

– Jacy oni?! Kim są ci oni?!

Znowu milczy. Próbuje dotknąć mojego policzka. Odsuwam się.

– Moglibyśmy wyjechać. Wyprowadzić się za granicę.

– Nigdzie nie wyjadę! Mam w Warszawie córkę i siostrę! Przed czym chcesz uciekać?! Co się dzieje?!

Nie wiem dlaczego, ale moja złość znika.

– Chodź do mnie... – Odkrywam koc.

– Nie jesteś już na mnie zła?

– Jestem potwornie zła.

Kładzie się obok mnie. Nieśmiało bawi się moimi włosami.

– Opowiedz mi o nich. Całą prawdę! Kim są ci ludzie? Jak twoja matka ich poznała? Opowiedz mi... otwórz się w końcu... jestem najbliższą ci osobą! Pamiętasz o tym?!

– Tak.

– Jak to się zaczęło?

– Opowiedziała mi o tym zimą, a potem... dwa miesiące temu, wtedy u nas, dowiedziałem się jeszcze więcej... To się zaczęło, jak dostała swoją pierwszą pracę w liceum w Janiszewie. Mama urodziła się w Szczecinie. Tam studiowała, ale pracy nie było. Zwłaszcza dla nauczycielek bez doświadczenia, bo miała tylko praktyki na studiach. W liceum w Janiszewie był wakat. I służbowe mieszkanie w gmachu szkoły. Pokój z małą łazienką, ale zawsze coś. Moja babka jej doradziła, żeby wzięła tę pracę, bo w domu była straszna bieda. Dziadek był maszynistą na kolei, ale stracił nogę i już go nie chcieli. Babcie trochę pamiętam. Dorabiała szyciem, ale potem miała palce już tak powyginane, że szło jej coraz gorzej. Odwiedzała nas jeszcze potem w Warszawie. Rzadko, bo nie chciała dziadka zostawiać samego. Mama wtedy robiła wszystko, żeby jej udowodnić, że żyjemy normalnie i daje radę. Ale jak dziadkowie zmarli, to ona popłynęła... Nie było dnia, żeby nie piła.

– Twoi dziadkowie wiedzieli, kto jest twoim ojcem?

– Mama to ukrywała. I tak to był dla nich straszny wstyd. Córka jedynaczka, pierwsza w rodzinie po studiach, a tu dzieciak nie wiadomo z kim. Rzadko do nich jeździliśmy, bo mama bała się pytań. Prości ludzie nie owijają w bawełnę, a oni i ich sąsiedzi tacy właśnie byli. Zawsze próbowała im

wmówić, że robi karierę w Warszawie, że ma szansę zostać zastępczynią dyrektorki szkoły i takie tam bajki... A wyjazd do Warszawy to była tylko...

– Ucieczka?

– Tak. Ludzie ze zboru byli na nią wściekli, bo ostrzegała przed nimi miejscowych. Śmiali się z niej, że przepowiada, że to się źle skończy... że listy do wojewody... do kurii pisze i ostrzega. Nie chciała, żeby nowe osoby wstępowały do zboru. Bo ludzie tracili rozum i pieniądze! Byli jak zaczadzeni. On robił z nich chorych z nienawiści fanatyków. Nie wiesz, czym jest prawdziwy fanatyzm, Iga... Widziałem ich wiele razy... ich oczy... ich krzyki podczas ceremonii... Śniło mi się to potem... nawet jak byłem w domu dziecka, to czasem po takich snach sikałem do łóżka. Ze strachu.

– Dlaczego do nich wróciła?! Co się stało?! Porozmawiaj z nią! Powinna to nagłośnić! Pójść na policję, jeżeli ją do czegoś zmuszają!

– Przecież wciąż jest jedną z nich. Stamtąd się nie odchodzi. Nie pozwalają na to. Teraz wiem, że ją szantażują... dlatego nie chciałem, żebyś ją poznała, żebyś ją odwiedzała. Powiedziała mi, że płaciła im za święty spokój. Na to potrzebowała pieniędzy. Prosiła mnie, żebym przestał ją odwiedzać, żebym się nie mieszał do tego, bo to się źle skończy dla nas wszystkich.

– A twój ojciec? Ten ksiądz? Niech da jej spokój, niech...

– Nie chcieli mnie do niego dopuścić. Znalazłem siedzibę zboru na Bielanach. Próbowałem z kimś porozmawiać. Była tylko siostra zakonna, która mnie szybko spławiła. Ale wiem, że przygotowują się do czerwcowej ceremonii i on tam na pewno będzie. Co roku przyjeżdżają tam ludzie z całej Polski. Oczyszcza ich ze zła. Właśnie on! Sam jest wcielonym złem! Manipuluje ludźmi. Wmawia im różne bzdury. Zarząd fundacji istnieje tylko na papierze. Jego nazwisko tam nie figuruje, sprawdziłem to. Zmusili moją matkę, żeby wzięła na siebie całą odpowiedzialność, razem z grupą fanatyków. Codziennie się zastanawiam, jak ją wyciągnąć z tego bagna! Kilka razy rozmawiałem z prawnikiem. Nie mogę jej ubezwłasnowolnić, żeby nie podpisywała dokumentów. Nie mam do tego żadnych podstaw. Rzuciła chłanie, jest zdrowa na umyśle i sprawna fizycznie. Nie wiem, jak z nią o tym rozmawiać! Ona prawie zawsze zmienia temat!

– A Beata?! Skąd się wzięła w tym zborze?!

– Wciąż potrzebują młodych ludzi, bo ci, którzy zakładali zbor, zaczynają chorować, mają już swoje lata. Nie musieli szukać daleko. Liceum, do którego chodziła ta dziewczyna, mieści się na Bielanach. Siedziba zboru także... Ksenia Dembska mieszka teraz w siedzibie zboru. Być może to ona wciągnęła Beatę. Przecież była jej wychowawczynią.

– Teraz zaczynam rozumieć jej zachowanie... Przecież twoja mama przyłapała ją, jak grzebała w jej rzeczach! Udawała taką chętną do pomocy! Nie dawała ci spokoju! Próbowałam ją pytać o Oskara i Beatę, ale była wręcz agresywna! Musimy przede wszystkim wyciągnąć z tego twoją matkę! Może lepiej, żeby się przeprowadziła do innego miasta?! Może powinna sprzedać mieszkanie i wyjechać?

– Proponowałem jej to kilka razy, ale jest cholernie uparta. Właściwie normalnie z nią rozmawiam tylko dzięki tobie. I dzięki tobie zaczęła mi w końcu mówić, co się dzieje w jej życiu. Wcześniej widywaliśmy się może trzy, cztery razy w roku. Rzadko się odzywała. I to były tylko prośby o pieniądze. Staram się ją zrozumieć, naprawdę się staram... Przepraszam cię za tę awanturę. Nie wiem, co mi odbiło! Jak chcesz, to przeproszę Daniela... Przecież z nim pracujesz... Nie chcę, żebyś przeze mnie miała problemy.

– Nie przepraszaj go! Sprowokował cię i oskarżył o potworne rzeczy, chociaż oczywiście wolałabym, żebyś więcej nie rzucał się z pięściami na moich znajomych. To był dla mnie szok... Ty taki superopanowany, dżentelmen w każdym calu...

– Czasem sam nie rozumiem, co we mnie siedzi – odpowiada po chwili.

– Zapomnijmy o tym. Chciałam ci coś powiedzieć... coś ważnego.

Czuję, jak jego ramię, którym mnie obejmuje, mocno się napina.

– Chcesz mnie zostawić? Nie dziwię się, że cała ta historia cię przeraziła i moje zachowanie... Rozumiem, ale zawsze mówiłaś... zawsze to mówiłaś... że będziesz ze mną, że będziesz po mojej stronie... Zawsze tak powtarzałaś. Zawsze!

– Nie zostawię cię, bo cię kocham. I jeszcze coś... Zrobiłam dziś rano test. Wyszły dwie kreski.

- To żart?! – Oszołomiony patrzy mi w oczy.
- Drugi test zrobiłam trzy godziny temu. Też dwie kreski.
- Masz je?! Czy wyrzuciłaś?!
- Mam...
- Gdzie są?!
- W łazience. Szafka nad lustrem.

Andrzej zrywa się z kanapy i na bosaka biegnie do łazienki. Słyszę hałas. Pewnie zrzucił coś niechcący, bo drżą mu ręce. Po chwili wraca. Trzyma w dłoniach dwa opakowania testów ciążowych.

- Są dwie kreski! To twoje?!
- A czyje?! Twoje?!

Śmieję się głośno. Przeciagam się na kanapie. Znowu czuję się silna. Będzie dobrze. Wszystko się ułoży. Tylko jego matka musi zostawić tych oszołomów i żyć normalnie. A my będziemy rodziną. Kiełkuje we mnie nowe życie. Nie byłam pewna, czy chcę znowu zająć w ciążę, ale teraz czuję niesamowitą ekscytację i radość.

- Muszę go pocałować. – Andrzej siada tuż koło mnie.
- Kogo chcesz pocałować?

– Nasze małżeństwo, które tam jest. W środku. Niczym się nie przejmuj. Zadbam o was. O ciebie i o to...

- Ziarenko? – podpowiadam mu, znowu się śmiejąc.

Całuje mój pępek. Po godzinie zasypia, otulając mnie ramionami. W końcu uspokojony i szczęśliwy.

MAKS

22 CZERWCA – ŁEBA

– Nie znałem ich. Ale cały ten wypadek mną wstrząsnął, bo wyobraziłem sobie, że mógłbym skończyć tak jak oni. Często wyjeżdżam służbowo.

- Skąd jesteś? Warszawka, co? – Stawia przede mną drugie piwo.

Rozglądam się po zajędździe. Brzęczą muchy. Tylko dwa stoliki zajęte, bo większość osób woli siedzieć na zewnątrz. Dochodzą tu odgłosy próby koncertu, która odbywa się na polu z kilometr stąd.

- Tak. Przyjechałem z Warszawy. Na weekend. Rozerwać się i odpocząć. Rozwodzę się.
- No to współczuję, nie? Miałaś ślub kościelny?

Zamyślam się. Przypomina mi się mój ślub w katedrze na warszawskiej Starówce i ojciec, który się spóźnił. Nie wszedł do środka. Stał na zewnątrz. Wytłumaczył mi później, że był tłum i zrobiło mu się słabo.

– Sorry. Nie moja sprawa. Ja też już miałam dane na zapowiedzi, po czym wszystko się rozpierdoliło.

- To znaczy?

Jestem już wstawiony, chociaż kończę dopiero drugie piwo. Tłustawa Ewa zostawia mnie na chwilę, żeby zanieść parze przy stoliku na zewnątrz porcje kurczaka. Nie wiem, dlaczego wydaje mi się, że mięso na półmiskach się rusza. Po chwili dziewczyna znów jest za barem. Kręci tyłkiem w obcisłej czarnej mini. Nie nosi rajstop, a biel jej ud uderza w oczy.

- Narzeczony mnie rzucił.
- Dlatego jesteś taka blada? W sensie nieopalona?

– Przyjrzałeś mi się? Każdy facet, który zamawia coś przy barze, gapi się na moje cycki. Takie fajne są?

- No są – kłamię.

– Chciałabym być z kimś takim jak ty. Z poważnym facetem, który ma kasę i wie, jak ją zarobić. A nie ze szczyłem, który w dodatku łąduje w pierdłu. Od razu coś powinno mnie tknąć, ale ja głupia byłam i wierzyłam, że go zresocju... jak to się mówi?

- Zresocjalizowali. A za co siedział? Jeśli to nie tajemnica?

– Nie. Wszyscy wiedzą. Rok temu było o tym głośno w całej Polsce. Pobili na śmierć proboszcza.

– Tu, w Łebie?!

– W Janiszewie. Mój były przy oknie stał przy plebanii. Nie dotknął tego wielebnego, tylko pilnował, żeby psy nie podjechały.

– Czyli to był napad rabunkowy?

– Wypadek, i tyle. W sensie... wcale go mocno nie uderzyli w głowę, tylko jak upadł, to o kant blatu uderzył... On miał siedemdziesiąt lat. A mój były tam nawet w środku nie był... w sensie – na plebanii.

– Rozumiem.

– Bo ja z mordercą to nigdy nie mogłabym być! Nawet jakby potem gadał, że żałuje!

Milknij, bo drzwi do zajazdu otwierają się szeroko. Do środka wchodzi jakaś para z dziećmi, które dojadają gofry. Tłoczą się przy barze, hałasując. Za nimi jeszcze ktoś. Od razu poznaję jego wysoką, barczystą sylwetkę. On też czuje moje spojrzenie. Andrzej unosi wzrok. Nasze oczy spotykają się na moment. Nie wiem dlaczego, ale czuję ulgę, że nie jestem tu sam.

KSENIA

15 MAJA – BIELANY (WARSZAWA)

Patrzy na mnie z kpina w oczach. O głowę ode mnie wyższa, ze świeżo zrobionym kolczykiem w nosie. Wie, że teraz może pozwolić sobie na wszystko, bo egzaminy maturalne niedawno się zakończyły, a jej rodzice bez problemu zapłacą za jej prywatne prawnicze studia. Umówiłam się z nią w parku niedaleko zboru, ale po chwili zaproponowałam jej rozmowę właśnie tam. W naszym ogrodzie.

– Pani profesor tu mieszka? – Jagoda rozgląda się po skąpanym w słońcu tarasie. – Bo siostra Joanna coś wspominała.

– Mówmy sobie na ty. Mieszkam tu i błogosławię każdy dzień, który tu spędzam. Wielka szkoda, że odeszłaś z naszej wspólnoty.

– Chce mnie pani... chcesz mnie przekonać, żebym wróciła? Gdyby nie rzucił mnie chłopak, to w ogóle bym tu nie trafiła. Jesienią siostra Joanna zobaczyła, że zaczęłam się ciąć i...

– Dlaczego nie przysłaś z tym do mnie?!

– A ty wiesz, jak o tobie mówią? Co mówią?

Patrzy na kota, który leniwie spaceruje pomiędzy kosiarką a łopata opartą o ceglana ścianę willi.

– Mówią, że dyrektorka chce cię wyrzucić. Tylko ciężko kogoś znaleźć na twoje miejsce tuż przed wakacjami.

– Sama postanowiłam nie przedłużać z nią umowy!

– Nie widzisz, że wszyscy uczniowie się z ciebie śmieją? Mówią o tobie Ryba... Ryba na haju...

– Nie rozumiem...

– To od śniętej ryby. Bo jak prowadzisz lekcje, to się zawieszasz, czasem na dziesięć, piętnaście minut. Czasem na dłużej. Dwa tygodnie temu przykleili ci do swetra kartkę: „Ryba na haju”. W ogóle się nie zorientowałam. Odkleiłam ją, bo nie mogłam na to patrzeć. Nie nadajesz się do zawodu nauczycielki.

Sięga po jabłko, które leży na ozdobnym półmisku. Zanurza w nim białe, piękne zęby.

– Dziękuję za opinię na temat mojej pracy – odpowiadam chłodno. – Miałam trudny okres w życiu, ale powoli dochodzę do siebie. Właśnie tutaj. Chciałam powiedzieć, że wszyscy cię tu potrzebujemy. Jesteś bardzo bystra.

– O, dzięki. Ale ja już zboru nie potrzebuję.

Milknij, bo na taras wychodzi ojciec Tomasz. Nie miałam pojęcia, że tu jest. Myślałam, że w willi jesteśmy same.

– Szczęść Boże. Cieszę się, że jesteś u nas z powrotem, Jagoda.

– Nie wrócę do was! Wasze modlitwy nie pomogły!

Ojciec Tomasz wciąż uśmiecha się ciepło. Jagoda jest coraz bardziej zdenerwowana. Zrywa się

z krzesła, ale on zagradza jej drogę.

– Zapraszam do mojego gabinetu! Porozmawiamy w cztery oczy.

Chwyta ją za ramiona. Wykręca je mocno do tyłu. Jagoda próbuje się szarpać, ale jest silniejszy. Jej pewność siebie nagle się ulatnia. Próbuje krzyknąć, ale podchodzę do nich i kładę jej dłoń na ustach.

– Chcemy dla ciebie jak najlepiej. Ci, którzy wiatr sieją, zbierać będą burzę.

Jej oczy nie są już pełne kpiny. Boi się mnie. W końcu mam nad nią władzę. W końcu dowie się, jak okazywać szacunek tym, którzy są od niej mądrzejsi!

IGA

16 MAJA – BIELANY (WARSZAWA)

Nic na razie nie czuję i nie mam żadnych dolegliwości związanych z ciążą. Odstawiłam wino i kawę. Bywam senna, ale to pewnie przez upał. Andrzej po pierwszej euforii opłacił mi natychmiast abonament dla ciężarnych w najdroższej, prywatnej klinice w Warszawie. Badania, które mi zrobili, wyszły dobrze. Mam tylko niewielką anemię, więc mój narzeczony codziennie robi szaleńcze zakupy i wraca obładowany torbami z najlepszymi produktami, jakie jest w stanie znaleźć w sklepach ze zdrową żywnością. Po spędzeniu kilku nocy na przekopywaniu internetu stał się nagle ekspertem od ciąży i porodu, co mnie okropnie śmieszy. To klasyczny typ prymusa zgłębiający każdy interesujący go temat dokładnie i od podstaw. Zamówił kilka podręczników dla rodziców, mówiąc mi z rozbijającą szczerością, że nie ma pojęcia, jak być dobrym ojcem. Bo ojca nigdy nie miał. Przekonywałam go, że wszystko dzieje się intuicyjnie i sama nie mam takich obaw. Pomimo że mam mgliste pojęcie, jak być matką noworodka. Moją Irenkę wychowywali adopcyjni rodzice. Odnalazłam ją, gdy była już dorosła. Teraz przejdę przez wszystkie etapy bycia mamą, i to mnie ekscytuje.

Ziarenko jak maleńka łza,

jak skrzydełko motyla migoczące w moim brzuchu.

Jak drobinka piasku, jak okruch chleba,

jak muszelka, którą wylawiasz ze swoich myśli.

Rano, gdy uświadamiasz sobie, że oprócz siebie w sobie

jest ktoś w tobie, złączony tętnicami,

marzeniami, myślami, krwią, genami,

tysiącem połączeń, splotami twoimi i jego.

Jak niemożliwe staje się możliwe.

Moje ziarenko pulsujące jeszcze delikatnie, ale codziennie.

Gdy kładziesz dłoń na moim brzuchu i mówisz do ziarenka,

ono słyszy i czeka na jeszcze więcej słów, myśli, dotyku.

Moje Twoje Ziarenko. Moje Twoje Maleństwo.

Dziś rano wysłałam ten wiersz Andrzejowi. Umówił się na jakieś biznesowe spotkanie. Porządkuję szafki w kuchni i co chwilę gładzę dłonią skórę na brzuchu, chociaż jeszcze nic nie widać. Postanowiliśmy, że pochwalimy się moją ciążą dopiero, jak minie krytyczny trzeci miesiąc. Mam trzydzieści sześć lat. Czeka mnie mnóstwo badań. Także te prenatalne. Tak więc moja ciąża jest na razie dla wszystkich tajemnicą. Mam zamiar pracować do szóstego czy siódmego miesiąca, o ile coś się nie skomplikuje. Postanowiłam także, że trzy miesiące po porodzie wrócę do pracy w naszej firmie. Przecież jak wyjadę raz w miesiącu na trzy dni, to nic się nie stanie. Mam nadzieję, że wtedy Olga mi pomoże. Ma wolny zawód, nie pracuje na etacie i wychowała całkiem fajnego syna. A moja Irenka na pewno się ucieszy, że będzie miała rodzeństwo. Uśmiecham się, gdy wyobrażam sobie jej minę, jak się dowie. Sięgam po telefon leżący na parapecie, bo znowu do mnie pisała. Wiem, że jej nowy chłopak już u niej pomieszkuje i dorzuca się do rachunków, co bardzo mnie cieszy. Irenka jest dziecinną kokietką, ale jednocześnie ma w sobie tyle uroku, że bez trudu owija sobie mężczyzn wokół małego palca.

Po zrobieniu drobnych porządków postanawiam pójść na spacer. Kocham żoliborskie parki.

Ostatnio są dla mnie wielkim natchnieniem. Wybieram ławki w cieniu i piszę wiersze. Rajmer zdradził mi datę mojego kolejnego wieczoru poetyckiego. To już za tydzień w Białobrzegach nad Zalewem Zegrzyńskim. Znalazł zastępstwo za Oskara. Jakiś mało znany aktor po czterdziestce, ale ma świetny głos, prawie dwa metry wzrostu i mroczną urodę. Gdy pokazałam Andrzejowi jego zdjęcie na stronie agencji aktorskiej, od razu się najeżył. Ale swoją zazdrość okazuje jedynie drobnymi złośliwościami wobec moich partnerów scenicznych. Daniel w ogóle nie rozmawia ze mną o bójkę w kawiarni. Jakby temat nie istniał. A może wyleciało mu to z pamięci, bo gra teraz w serialu kryminalnym i jest bardzo zajęty? Nie sprawia wrażenia obrazonego, bo wczoraj na czacie rozmawialiśmy o przedstawieniu w Białobrzegach i sypał dowcipami. Wkładam błękitną sukienkę na ramiączkach, wielki słomkowy kapelusz i japonki. Chcę przejść się na Sady Żoliborskie, bo tam umówiłam się z Wandą. Wie już, że zaręczyłam się z jej synem, i bardzo nam gratulowała.

Idę tanecznym krokiem przez plac Wilsona w stronę parku. Kilka miesięcy temu wynajmowałam kawalerkę całkiem niedaleko, ale byłam wtedy sama i chyba byłam też inną osobą. Bez światła w sobie, bez tej energii, bez nadziei. Rozpaczliwie szukałam mojej córki i bałam się, że nie znajdę jej żywej. Moja dusza była skurczona z bólu. Teraz jestem jak dziecko zachwycające się światem. Pełne naiwnej, ale promiennej nadziei. Dostrzegam Wandę na jednej z ławek w parku Sady Żoliborskie. Nie jest sama. Obok niej przysiadł starszy, bardzo wysoki mężczyzna opierający dłoń na drewnianej lasce. Przygarbiony, w jasnej koszuli z krótkim rękawem i ciemnych spodniach. Karmią gołębie. Rzucają im okruchy chleba wyciągane z podniszczonej reklamówki. Widzę, jak ten człowiek chowa po chwili torebkę do kieszeni. Mówi coś do Wandy. Gładzi jej policzek. Odgarnia kosmyk, który wymknął się z jej włosów spiętych w elegancki kok. Kciukiem gładzi jej usta.

MAKS

22 CZERWCA – ŁEBA

– Jak mnie tu znalazłeś? – pytam półgłosem, gdy siadamy na zewnątrz przy najmniejszym stole.

Tuż obok grill ozdobiony drewnianymi balami i kilka rodzin, które właśnie wróciły z plaży. Przyglądam mu się, jak moczy usta w kieliszku z białym winem. Założył zwykły, sportowy T-shirt ozdobiony rysunkiem z płyty *Razamanaz* Nazareth i błękitne džinsy. Zrezygnował z wyszukanej elegancji, żeby wtopić się w tłum. I tak się wyróżnia. Widzę, jak Ewa za barem gapi się na niego rozmarzona. Co kilka minut podchodzi do naszego stolika, a to poprawiając wazonik na stole, a to podsuwając talerzyki z orzeszkami. Bielenda w ogóle nie zwraca na nią uwagi.

– Dzwoniłem do ciebie godzinę temu, ale włączała się poczta głosowa. Pokręciłem się niedaleko sceny. Kilku techników gadało o tobie. Jeden z nich widział, jak idziesz w kierunku zajazdu.

– Co niby gadali?!

– Nie chciałyś wiedzieć. I nie wrzeszcz tak. Wolałbym, żebyśmy nie rzucali się w oczy.

– Ty od razu rzucasz się w oczy, kurwa! Zamów piwo, jak wszyscy faceci tutaj, zamiast popijać winko! Bo wyglądamy jak para pedałów, szepcząc przy tym kieliszku!

– Przystopowałem z alkoholem jakiś czas temu. Moja matka piła wiele lat. Nie chcę skończyć jak ona.

– Rozumiem. Nieważne. Janicki ze współnikami zatrzymali się tu w zajeździe tuż przed wypadkiem. Ta panna za barem mi opowiedziała. Sądzę, że tobie powiedziałaaby więcej.

– To jeszcze niczego nie dowodzi.

– Rozbili się samochodem pół godziny jazdy stąd! Ta cycata Ewunia powiedziała, że pili tylko kawę. Rozłożyli się tu na godzinę z laptopem i gadali. Dzień był piękny. Pusta polna droga. A ich rozpedzony samochód wjechał prosto w drzewo?!

– Awaria hamulców? Coś nie tak z tym audi?

Znowu słyszymy huk ze sceny niosący się po okolicznych polach. Zespół wciąż ma próbę.

– Gdyby hamulce się zjechały, mogliby skręcić w bok, a nie jechać prosto na drzewo. Ciekaw jestem, czy rodzina Janickiego dostała już wyniki jego sekcji. Co on, kurwa, miał we krwi, skoro nie zareagował od razu... Albo chciał się zabić, albo...

– Albo miał jakąś substancję we krwi, która spowolniła reakcję. Nie sędzę, żeby na coś chorował. Sprawdziłem go. To dawny policjant. Zamiast przejść na emeryturę, rozkręcił agencję ochrony, a potem przerzucił się na usługi detektywistyczne.

– Dużo mógłby powiedzieć jego współnik. Tylko że, kurwa, ciągle leży w śpiączce. Jeżeli ktoś im pomógł i spowodował ten wypadek... jeżeli walnęli w inny samochód, a potem ktoś przestawił samochód z rannymi tak, żeby wyglądało, że rąbnęli w drzewo... to i tak coś mi tu nie pasuje!

– Bo?

– Bo Janicki i ten drugi nawet nie zdążyli powęszyć! Nie zdążyli dojechać do Janiszewa! Kurwa, co za fatum, nie?

Zamawiam jeszcze jedno piwo, bo zalewa mnie strach. Barmanka, kołysząc zalotnie biodrami, przynosi nam pestki słonecznika i chipsy.

– Kto wiedział, że go wynająłeś?

Nie ufam mu. Wiem, kim jest jego ojciec. Wiem, że dawałem jego starej pieniądze za opiekę nad moim starym. Ta kobieta zniknęła. A on nie wygląda na załamane, tylko na cholernie skupionego. Jakby analizował i zapamiętywał każde moje słowo.

– Była żona mojego starego wiedziała. I ty. Nikt więcej.

– Na pewno? Widziałem cię dwa dni temu pod kamienicą przy placu Wilsona. Z była sublokatorką mojej matki, Aliną Galner. Znasz ją dobrze?

– Bardzo słabo.

Nie wierzy mi. Jego kpiący uśmiech mówi mi wszystko.

– Pomogłem jej wtedy, gdy się struła... Pamiętasz? Była mi bardzo wdzięczna. Mamy sporadyczny kontakt, i tyle.

– Rozumiem. Chciałbym, żebyśmy teraz pogadali z barmanką. I wolałbym, żebyś mówił niewiele. Uśmiechaj się tylko. I powiedz jej komplement od czasu do czasu.

Wracamy do środka. Uderza mnie panujący tu zaduch. Andrzejowi to nie przeszkadza. Nawet się nie poci, w przeciwieństwie do mnie. Opiera łokcie o blat baru. Uśmiecha się do barmanki, która natychmiast robi się czerwona.

– O której pani dziś kończy?

Dziewczyna próbuje ukryć zaskoczenie. Wypina swój potężny biust.

– O dziesiątej. Jak zawsze. Może trochę później, bo po koncercie tu jeszcze będzie sporo klientów.

– Mój przyjaciel i ja chcielibyśmy poznać okolicę, rozerwać się. Nie byliśmy tu trzydzieści lat. Wróciły stare wspomnienia. Jestem Andrzej.

– Ewa.

– Lubisz tańczyć, Ewa?

– No lubię. Jasne, że lubię!

– Znasz fajną miejscówkę, gdzie można się poruszać? Obaj przyjechaliśmy tu na weekend, żeby...

– Leczyć złamane serca – wtrącam szybko. – Rozwodzę się, jak wiesz. A Andrzej...

– Jestem singlem od niedawna. Zaproś jakąś fajną koleżankę i potańczymy sobie we czwórkę, pogadamy. I my stawiamy, oczywiście.

Oszołomiona Ewa cały czas kiwa głową. Policzki jej płoną. Uśmiecha się zalotnie.

– A może... – Andrzej zamyśla się na chwilę. – W Łebie pewnie w nocy po koncercie w knajpach będą tłumy... Może wybierzemy się gdzieś niedaleko, gdzie jest mniej ludzi? Mogę prowadzić, bo wypilem tylko jeden kieliszek. Co proponujesz?

– No... W Janiszewie jest teraz nowy hotel i tam jest dansing. Gniazdo Piratów się nazywa. Nie byłam tam jeszcze, bo ludzie mówią, że drogo.

– Świetny pomysł!

– To ja tylko do tej koleżanki zadzwonię!

Dziewczyna natychmiast biegnie na zaplecze. Uśmiech Andrzeja gaśnie. Spogląda na mnie.

– Nie spierdol tego. Stawiamy im drinki, ale sami stopujemy z chlaniem. Rozumiesz?

– Nie wiedziałem, że w Janiszewie jest hotel.
– Trochę się tam zmieniło. Ale ludzie są ci sami – mówi cicho. – Nie będziemy oficjalnie węszyć, bo to niebezpieczne. Przyjechaliśmy się zabawić. Rozumiesz, Maks?
Natychmiast kiwam głową.

KSENIA 19 MAJA – BIELANY (WARSZAWA)

Próbuję zasnąć, gdy za oknami szaleje wiosenna burza. Już druga w tym tygodniu. Podczas tej pierwszej konar złamanej gałęzi spadł na taras, niszcząc stół i dwa krzesła. Na szczęście nikomu nic się nie stało. Konar był tak ciężki, że mógłby kogoś zabić. Ojciec Tomasz mówi, że to znak. Znak jego opieki nad nami. Willa, w której mieści się zbór, powstała w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Nie lubię piecyków gazowych, które są w łazience. Nie znoszę pajęczyn i starych ram okiennych z wilgotnego po deszczu drewna. Ale nie narzekam. Każdego dnia budzę się z radością, że moje życie w końcu ma sens. Już nie boję się przyszłości. Zupełnie nie przejęłam się, gdy dyrektorka szkoły oświadczyła, że nie przedłuży ze mną umowy na kolejny rok szkolny. Mam oszczędności i mogę w końcu żyć tak, jak chcę. Marzenie o uzbieraniu kasy na wkład na własne mieszkanie jakoś się ulotniło. To egoistyczne myśleć tylko o sobie i swoich potrzebach! Trzeba myśleć, jak pomóc innym, gdy ma się ten dar.

– Ty masz niezwykły dar. – Ojciec Tomasz wchodzi teraz do mojego pokoju bez pukania.

Jest pierwsza w nocy. Strumienie ulewnego deszczu spływają po szybie. Na pewno domyślił się, że nie śpię. Siada na moim łóżku. W czarnym szlafroku i piżamie. Zawsze z tym ciepłym uśmiechem, który koi moje serce.

– Miliony spraw rozsadzają mi czaszkę. Stąd ten ból głowy. Ale ból jest znakiem, że coś trzeba zmienić. Nie wiesz nawet, jak bardzo nasz zbór potrzebuje sanktuarium. Miejsca, które mogłoby gościć setki pielgrzymów. Ta willa tutaj to zaledwie siedem pokoi. To wynajęte miejsce. Nie nasze. Za bardzo na widoku. Za bardzo kłuje ludzi w oczy.

– Nie rozumiem?

– Ktoś doniósł, że bywają tu dziewczyny. Nieletnie. Że słyhać krzyki.

– To jakaś bzdura! Wszyscy w zborze są pełnoletni! Kto to wymyślił?!

– Był u mnie dzielnicowy. – Ojciec Tomasz zdejmuje szlafrok i wiesz na poręcz krzesła. – Mogę się położyć obok ciebie? Chcę po prostu poczuć, że nie jestem sam, bo ogarniają mnie obawy, wątpliwości...

Czuję zapach jego wody toaletowej, gdy jego ramię muska moje ramię. Kładzie głowę na poduszce, zamyka oczy. Starannie ogolony, zaczesane do tyłu, lekko falujące siwe włosy, regularne rysy twarzy. Wiem, że ma ponad sześćdziesiąt lat, ale wygląda dużo młodziej. Ma sporo zmarszczek w kącikach oczu, ale to oznaka mądrości.

– Jest pewna kobieta, która od lat chce nas zniszczyć. Kobieta opętana przez nałóg alkoholowy, nierozumiejąca, jakie dobro czynimy. Wiesz, o kim mówię.

– Wiem.

– Wydawało mi się, że zrozumiała swoją winę. Wybaczyłem jej. I to był mój największy życiowy błąd! Okłamała mnie kolejny raz. Jestem dobrym człowiekiem i ludzie tacy jak ona to wykorzystują.

Czuję jego oddech na policzku. Dotyka moich włosów. Muska skórę na mojej szyi.

– To szatan wymyślił alkohol. To jego diabelska trucizna. Ta kobieta jest uzależniona od alkoholu, czyli jest na usługach szatana. Ale ty jesteś czysta.

Jego dłoń zsuwa się niżej. Pomiędzy moje piersi.

– Jesteś jedyną osobą, która może mi pomóc. Jesteś na to gotowa?

Kiwam głową.

– Bez ciebie nasze sanktuarium nie powstanie. Bez twojej pomocy dzieło mojego życia zostanie zniszczone. Właśnie przez nią. Jesteśmy jak wojownicy... wojownicy o dobro... w walce ze złem...

Czuję jego ciepłą dłoń na moim pępku. Muska go kciukiem. Po chwili jego palce są pod

materiałem moich majtek. Masują mi podbrzusze.

– Wyobraź sobie nasze sanktuarium... tuż nad morzem... las... sosny... wydmy. Piękno natury boskiej i ludzkiej. Bez wścibskich spojrzeń, bez tej zawiści, zazdrości. Pokażę ci to miejsce już niedługo. Chcesz? Powiedz, czy chcesz?

– Chcę.

– Nie ruszaj się teraz. Tylko leż. Bądź ze mną.

Rozbiera mnie powoli. Rozpina guzki swojej piżamy. Gasi nocną lampkę przy moim łóżku. Za oknami wciąż słychać grzmoty i pioruny. Wsuwa język pomiędzy moje usta. Kładzie się na mnie. Nie robię żadnego ruchu. Jestem jak sparaliżowana.

– Powiedz, czy chcesz? Powiedz to!

– Chcę.

Wchodzi we mnie brutalnie i ostro. Jego konwulsyjne ruchy są coraz szybsze. Nie ruszam się. Nie krzyczę. To moje poświęcenie dla niego. To niezwykły człowiek. Jeżeli tak go uspokoję, jeżeli dzięki mnie nabierze sił, to wszystko ma sens. Tylko tacy ludzie zmieniają świat. Świat, który jest pełen zła. Czuję, jak dochodzi. Błyskawicznie wysuwa się ze mnie, gdy jest już po wszystkim. Słyszę jego ciężki oddech w ciemnościach. Dotykam mokrej skóry na moim brzuchu.

– Teraz na zawsze jesteśmy razem – mówi po chwili. – Staliśmy się jednością. Należysz do zboru i nigdy już go nie opuścisz. To twoje przeznaczenie i twoja misja. Być ze mną.

Z uśmiechem kiwam głową. Nie wiem, dlaczego jakaś zagubiona łąza spływa mi po policzku.

IGA

22 MAJA – BIELANY (WARSZAWA)

– To Jakub Hoffman. Mój sąsiad i dobry znajomy. – Wanda uśmiechnęła się natychmiast, gdy mnie zobaczyła.

Usiadłam obok nich na ławce. Nie miałam pojęcia, że nie będziemy same.

– Jakub mieszka na tym samym piętrze co ja.

– Wandzia czasem mi gotuje.

Słuchałam go coraz bardziej zaniepokojona. Zastanawiałam się, czy Andrzej go zna? Nigdy nie wspominała, że jest tak zaprzyjaźniona z jednym z sąsiadów. Miał krzaczaste, całkiem posiwiałe brwi. Przenikliwe spojrzenie. Na pewno lata temu musiał być przystojny. Bardzo wysoki, lekko przygarbiony.

– Można zapytać, gdzie się poznaliście?

– To było tyle lat temu, a moja pamięć już szwankuje... Tylko ten pierwszy moment pamiętam, jak wiatr od morza rozwiewał jej włosy... Zawsze miała długie... zawsze...

– Wiatr od morza? Gdzie to było? W Janiszewie?

Wpatrywał się w swoją laskę zawieszoną na poręczy ławki.

– Poznaliście się w Janiszewie?

– Iga... Jakub jest zmęczony... odprowadzę go na przystanek autobusowy i tu wrócę. Porozmawiamy sobie wtedy, bo on męczy się, gdy jest upał.

– Przecież siedzimy w cieniu... Poznaliście się w zborze Świętego Marcina, prawda? Pan jest jednym z nich?!

Jakub Hoffman wstał z ławki. Ignorował moje pytania.

– Czy pan wie, co robią ci ludzie?! Co robią w liceum na Bielanych?! Manipulują młodymi dziewczynami, one...

– Dość! Przestań! – Matka Andrzeja rzuciła mi gniewne spojrzenie i podała mężczyźnie laskę. – Myślałam, że masz więcej taktu! Jak możesz atakować starszego człowieka?

– To tylko pytania! Martwimy się z Andrzejem...

Jakub Hoffman odwrócił się nagle. Spojrzył mi w oczy. Wsunął dłoń do kieszeni niemodnych, pogniecionych spodni. Wyjął nieduży kamyk. Położył na ławce, na której siedziałam.

– Daj mu to. On będzie wiedział.

- Co to jest? Jakiś amulet?
- Będzie wiedział... On będzie wiedział...

Zniknęli w jednej z alejek. Czekałam na Wandę, mając nadzieję, że wróci. Nie pojawiła się. Przestała odbierać moje telefony. Mały, czarny kamień ubrudził mi ręce. Miałam go wyrzucić, ale owinęłam go chustką i schowałam do torebki.

To było kilka dni temu. Dziś po bezskutecznych próbach dodzwonienia się do Wandy wysiadam z taksówki przed jej blokiem. Słyszę sygnał karetki pogotowia. Widzę tłum ludzi na ulicy i wozy straży pożarnej. Dziwny niepokój wkrada mi się w serce.

MAKS

22 CZERWCA – ŁEBA

Oparty o metalowe ogrodzenie, mrużąc swoje oczy krótkowidza, obserwuję tłum, który wylewa się po koncercie na okoliczne pola. Moja ekipa spisała się na medal. Jutro powtórka. Przez całą niedzielę będziemy związać sprzęt. Oni po południu ruszą do Warszawy, a ja zamierzam zostać tu jeszcze na jedną noc. Trochę wytrzeźwiałem. Ale pomysł jazdy nocą do Janiszewa nie napawa mnie szczególnym entuzjazmem. Słyszę klakson. Odwracam się natychmiast. Podjechał pod samo ogrodzenie, chociaż nie ma przepustki. Srebrny, na oko kilkuletni mercedes CLS. Opuszcza przednią szybę.

– Wsiadaj! Podjedziemy jeszcze do twojego pensjonatu, żebyś zmienił ciuchy.

– Po co?

Nieporadnie moszczę się na siedzeniu obok niego. Andrzej wystroił się w lnianą, jasną koszulę, która jeszcze podkreśla jego opaleniznę. Do tego dżinsy, droga woda toaletowa. Przy nim cokolwiek bym założył, i tak będę tym starszym, grubym i żalonym frajerem.

– Jedźmy po te dziewczyny. Nie mam zamiaru się przebierać.

– Śmierdzisz fajkami i potem. Pokaż, że ci zależy, to będą bardziej rozmowne.

Parkuje przy Kościuszki, niedaleko mojego pensjonatu. Czeka w samochodzie, gdy przekopuję walizkę i próbuję znaleźć elegancką koszulę. Wciąż jest bardzo gorąco, chociaż za godzinę wybije północ. Tłumy podpitych turystów kręcą się po ulicach, wokół słychać wrzaski i muzykę. Wracam do jego mercedesa.

– Twoja kobieta wie, że tu jesteś? – pytam, ścisząc radio.

Nie odpowiada, zręcznie manewrując pomiędzy innymi samochodami.

– Możesz zamknąć się na chwilę? Próbuję się skupić.

Milknę obrażony. Domyślam się, że mnie nie trawi, i jedyne, co nas łączy, to przeszłość i tajemnice naszych rodziców. I wspólne dzieciństwo w Janiszewie. Tylko że wtedy gnoilem go, bo był dużo młodszy. Teraz to on ma przewagę. I mam nadzieję, że nie ma traumy po tym, co robiliśmy mu z kumplami. Z rozmyślań wyrывa mnie gwałtowne szarpnięcie. Bielenda parkuje niedaleko zatłoczonego kawiarnianego ogródka. Dostrzegam machające do nas dziewczyny. Barmanka Ewa założyła czarną sukienkę na ramiączkach. Ledwo zakrywa jej tłusty tyłek. Obok niej mała, trzydziestoletnia brunetka wymalowana tak, że można się przestraszyć. Chuda, płaska, spalona na solarium. Srebrne legginsy, koturny, biały top. Tatuaz z kotwicą na ramieniu. Chce mi się śmiać, bo dostrzegam cały absurd tej sytuacji. Następuje szybka prezentacja i zamieniamy się miejscami w samochodzie. Szczebocząca Ewa siada obok Andrzeja, ja zagaduję na tylnym siedzeniu nieśmiałą Paulinę.

– Chyba nie jesteście jakimiś zboczeńcami, co? – pyta mnie, wyjmując puszkę taniego piwa z wieczorowej torebki.

– Paulina, popierdoliło cię? – Jej koleżanka chichocze nerwowo i kładzie dłoń na ramieniu Andrzeja. – To żart.

– Nie jesteśmy groźni – odpowiada jej spokojnie. – Potańczymy sobie trochę i odwieziemy was z powrotem. Kiedy tylko będziecie chciały.

– Nie możemy, kurna, zabalować w Łebie? – Paulina cały czas jest sceptyczna. – Po co dymać do Janiszewa? To kawał drogi!

– W nocy nie ma korków. Dojedziemy w pół godziny.
– Nie lubię tam jeździć!
– Dlaczego? – Andrzej rzuca jej szybkie spojrzenie w lusterku.
– Nie słuchaj jej, bo jej się nic nigdy nie podoba! Zabalujesz sobie za free z podwózką w obie strony i jeszcze ci się nie podoba?! – Ewa wierci się na przednim siedzeniu coraz bardziej wściekła.
– Moi starzy mówią, że to przeklęte miejsce!
– Bo, kurde, mieli tam kiosk koło poczty i zbankrutowali?! – Ewa śmieje się jeszcze głośniej.
– Tam mało kto jeździ. Turystów jak na lekarstwo, chociaż plaża ładna.
– I wydmy – wyrywa mi się.
– No! – Paulina podsuwa mi puszkę z piwem, ale kręcąc głową. – To niezły browar. Dlaczego nie chcesz?
– Napijemy się na miejscu – odzywa się Andrzej. – A kolega nie chce przesadzić, bo wtedy gubi rytm w tańcu.

Dziewczyny śmieją się głośno. Wyteżam wzrok, próbując coś dojrzeć w ciemności, która nas oblepia. Wyjechaliśmy już z Łeby. Sznury samochodów kierują się w stronę Gdyni. My jedziemy w przeciwnym kierunku. Radio w mercedesie zaczyna tracić zasięg.

KSENIA

23 MAJA – BIELANY (WARSZAWA)

– Na pewno nie byłam ostatnią osobą, która widziała twoją matkę – mówię spokojnie, starając się ukryć, jak bardzo się cieszę, że przyszedł do liceum, w którym pracuję.

Poprosiłam jedną ze stażystek, aby zastąpiła mnie przez piętnaście minut podczas lekcji i zaprosiłam Andrzeja do pustego pokoju nauczycielskiego, udając, że jest rodzicem jednej z uczennic. Wygląda na zmęczonego i niewyspanego.

– Co ci dokładnie mówiła? Kiedy to było? Wiem od jej sublokatorki, że nie nocowała w domu.
– To jeszcze nie znaczy, że coś się stało.

Nie uprzedził mnie, że przyjdzie. Ale będzie teraz często do mnie przychodzić. Uśmiecham się ze współczuciem. Nie mówię mu całej prawdy. Nie mówię mu, że powiedziałam jego matce, że zбір nie zapomina, że zło, które zasiała, obróciło się przeciwko niej. Nie mówię mu, że gdy zjechała po schodach ruchomych na stację metra, ktoś czekał na nią na peronie. Mężczyzna i kobieta ubrani na czarno. Wsiadli do tego samego wagonu co ona. Po dziesięciu minutach usiedli na wprost niej. Był potworny tłok, bo pociąg jechał w kierunku centrum. Wiem, że gdy ich rozpoznała, wiedziała, że to koniec. Że nie ma ucieczki od kary.

– Powiedziała ci, dokąd się wybiera?
– Nie. Przywitałam się z nią i jeszcze raz przeprosiłam. Wiesz za co. Była bardzo chłodna.
– Zmarł jej sąsiad, którym się opiekowała. Ma klucze do jego mieszkania. Zastanawiam się, czy coś jej nie wystraszyło, czy znowu nie pije?
– Wróci.
– Skąd taka pewność?! Sama mnie ostrzegałaś, że w zborze często o niej rozmawiają. Może to oni?

– Starsza, uzależniona od alkoholu kobieta miałaby być dla nich takim zagrożeniem? Nie przesadzaj! W zborze jest kilku fanatyków, ale Tomasz... ojciec Tomasz świetnie sobie z nimi radzi.

– Nadal tam mieszkasz? Zrobili ci pranie mózgu? Wierzysz w te bzdury?!
– Lepiej w coś wierzyć, niż nie wierzyć w nic! Rozmawiałeś z jej sąsiadami?
– Nikt nic nie wie. Chyba za nią nie przepadali.
– Wcale się nie dziwię! Sam mi mówiłeś, jakie przez nią miałeś dzieciństwo!
– Zostaw tych ludzi! Są niebezpieczni.
– Zależy ci na moim bezpieczeństwie? – Uśmiecham się. – Tak właśnie myślałam, że czujesz coś do mnie. Tak właśnie czułam! Nie walcz z tym...
– Zrobisz coś dla mnie? Daj mi znać, kiedy Tomasz Mossakowski przyjedzie do zboru

na Bielanach! Muszę z nim porozmawiać w cztery oczy! Proszę cię!

Gdy patrzy na mnie zielonymi, ciepłymi oczami, wiem, że zrobię dla niego bardzo dużo. Wiem, że go kocham. Wiem, że powinien być jednym z nas. Jest uczciwym człowiekiem, zmanipulowanym tylko przez zdemoralizowaną intrygantkę. Muszę mu pomóc!

– Zrobisz to dla mnie?

Przytulałam się do niego całym ciałem. Tak bardzo go pragnę. Tak bardzo!

IGA

25 MAJA – BIAŁOBRZEGI

Nie poznaję swojej twarzy w lustrze. Zapuchnięta, blada. To nie ciąża odbiera mi urodę. To stres i czarne myśli, które kołują mi w głowie jak czarne kruki. Nie chciałam odwoływać mojego drugiego wieczoru poetyckiego, bo przy jego organizacji jest zaangażowanych wiele osób. Andrzej od wczoraj jest na szkoleniu w Berlinie. Jutro wraca. Ciągłe martwimy się o jego matkę. Nadzieja, że wyjechała gdzieś i w końcu wróci, powoli się ulatnia. Przyznał mi, że miewała już takie epizody. Szła w miasto i piła z przypadkowymi ludźmi. Ale ostatni taki przypadek miał miejsce, gdy Andrzej kończył studia. Zniknęła z mieszkania na dwa tygodnie. Wynosząc przy okazji trochę cennych rzeczy.

– Przestań się o nią martwić. Przestańmy analizować każdą jej decyzję, każdy krok, jej znajomych, jej wydatki. Od kilku tygodni bez przerwy o niej rozmawiamy! Niech robi, co chce! Postanowiła sobie wyjechać, nie mówiąc nam ani słowa, to jej sprawa! – mówił, miotając się po naszej kuchni, gdy taksówka czekała na ulicy, żeby zawieźć go na lotnisko.

– Ale jej sąsiad nie żyje... przyjaźnili się...

– Miał osiemdziesiąt siedem lat!

– Coś jest nie tak! Ostatni raz widziałam się z nią w parku szesnastego maja! Była tam z Jakubem Hoffmanem! Nie wiem, dlaczego potem nie oddzwaniała do mnie, chociaż pisałam do niej kilka razy.

– Sama widzisz, że niespecjalnie się przejmuje, że ktoś się o nią troszczy i martwi! To na razie chyba cztery dni, Iga... Bardzo możliwe, że nic jej nie jest.

– Ale przecież twoja mama nie zabrała żadnej walizki, ubrań! Rozmawiałam z jej sublokatorką. Nie wspominała jej, że zamierza wyjechać! A przecież wiedziałyby, że będziemy się martwić, gdy wyłączy telefon!

– Już to przerabiałem! Od kiedy ta kobieta liczy się z uczuciami bliskich osób?! Z moim nie liczyła się przez trzydzieści kilka lat! Więc się nie spodziewaj po niej empatii ani dobrych manier! To nie ten typ człowieka!

W przedpokoju sprawdzał swój neseser, dokumenty, karty kredytowe. Ręce mu drżały.

– Policja cały czas jej szuka! W związku ze śmiercią Jakuba Hoffmana. Wciąż ma klucze do jego mieszkania, bo podobno się nim zajmowała. O czym też nie wiedziałem! Jego syn ma jakieś chore podejrzenia.

– Rozmawiałeś z nim?

– Mój adwokat z nim rozmawiał. Nie masz pojęcia, jak... Jak mam dość tej kobiety! Teraz, gdy ty jesteś w ciąży, ona...

– Coś się musiało stać! Może ci ludzie z tego zboru... Może oni coś wiedzą?

– Iga... nie sądzę, żeby im podpadła. Przez lata wpłacała na ich konto spore kwoty. Jej zniknięcie czy śmierć naprawdę nie jest im na rękę.

Objął mnie w talii. Zanurzył twarz w moich włosach.

– Myśl o sobie i o dziecku. Nie o niej! Znajdzie się. Wiesz, gdzie ją wtedy znalazłem? Dziesięć lat temu, gdy już myślałem, że nie żyje, i miałem potworne wyrzuty sumienia?

– Gdzie?

– W przytułku Caritasu na Żytniej. Jakiś patrol ją tam zawiózł. Zaczepiała ludzi na ulicy. Trochę piła i wszystko jej się mieszało. Powiedziała mi, że nie chciała im mówić, że ma mieszkanie i syna, bo poznała tam ciekawych ludzi. Poza tym codziennie wieczorem badali ją alkomatem. Uznała, że to świetna metoda, żeby rzucić chłanie. Siedzenie w ośmioosobowej sali i słuchanie opowieści innych

bezdomych. Tylko...

– Tylko co?

– Nie przyszło jej do głowy, że będę chory ze strachu! Telefon zgubiła albo sprzedała. Przez dwa tygodnie obwinałem się, szukałem jej, zawałem ważny egzamin na studiach. Teraz mam dość! Za wiele mam do stracenia! Niech robi, co chce! Ona się nigdy nie zmieni!

Pocałował mnie. Szybko zszedł na dół z walizką. Znowu mówi o niej „ta kobieta”. Nie mama. Matka. Jego miłość do niej jest tak skomplikowana i pełna żalu, że trudno mi czasem o niej z nim dyskutować. Oby miał rację, że się znajdzie. A może udaje, że bagatelizuje jej zniknięcie, żebym się nie zamartwiała ze względu na moją ciążę? Może szuka jej na własną rękę? Tak naprawdę nie mam pojęcia, jaką osobą była Wanda, gdy piła. Mam wielką nadzieję, że nie wróciła do nałogu. Andrzej opowiadał mi kiedyś zimą, w nocy, jak wiele razy wydawało mu się, że przestała pić, a potem po miesiącu czy dwóch wszystko zaczynało się od nowa.

Teraz maluję usta czerwoną szminką. Rozpuszczam włosy w pokoju na pierwszym piętrze niewielkiego hotelu w Białobrzegach z widokiem na Zalew Zegrzyński. To nasza prowizoryczna, damska garderoba. Za pół godziny zaczynamy wieczór poetycki połączony z licytacją. Staram się skupić na tym, co mam robić. Nasz występ to wieczorny relaks dla grupy biznesmenów z całej Polski. Branża jachtowo-motorowa. Wątpię, czy lubią poezję i czy ją docenią. Rajmer rozkłada już na stolikach na dole w restauracji tomiki moich wierszy. W południe mieliśmy próbę i jakoś poszło, chociaż warunki są dużo trudniejsze niż w teatrze. Nie ma sceny, podestu. Słaba akustyka i wysiadające mikrofony. I ta świadomość, że Oskara już z nami nie ma. Oglądam jeszcze raz swoją twarz w lusterku. Za oknami robi się ciemno. Światła na przystani gasną. Przez otwarte okna słychać męskie, podbite głosy i rechoty z tarasu. Robię kreski na powiekach, poprawiam brwi i pieprzyk nad górną wargą. W lusterku dostrzegam cień za moimi plecami. Beata dotyka moich ramion. Muska moje włosy spływające na plecy aż do pasa.

– Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką znam – mówi cicho.

MAKS

22/23 CZERWCA – JANISZEWO

Słyszę, jak rozwścieczone fale uderzają w skalne urwisko. Zerwał się wiatr, ale noc jest wciąż ciepła. Zanurzam stopy w wilgotnym, chłodnym piasku. Podwijam nogawki spodni. Kilkanaście metrów dalej rozświetlony budynek z tarasem wychodzącym prosto na plażę. To jedyny w Janiszewie hotel Gniazdo Piratów. Architektoniczny koszmarek z biało-czarnymi wieżyczkami. Dziewczyny chciały tam dojść plażą, więc z butami w rękę, brodząc w piachu i przekrzykując szum morza, próbujemy za nimi nadążyć. Andrzej zaparkował na jednej z bocznych, willowych uliczek. Jak tu się wszystko zmieniło! Łzy napływają mi do oczu. Pewnie od wiatru, który szarpie mi koszulę. Ewa klęka na piasku i wlewa sobie do gardła ostatni łyk piwa. Namówiły nas przed chwilą na wizytę w jedynym czynnym tu sklepie, w którym zaspana ekspedientka zza osłaniającej wejście kraty sprzedawała wódkę miejscowym pijaczkom. Andrzej kupił dziewczynom dwa najdroższe piwa, dla nas wziął wodę. Obserwuję je teraz, jak chichocząc, robią sobie telefonami zdjęcia tuż nad brzegiem wzburzonego morza. Myślałem, że jest dziś spokojne. Witam się z nim po cichu. Gdy byłem nastolatkiem, przyłąziłem tu na plażę późno w nocy z psem i obserwowałem fale. Hipnotyzowały mnie. Andrzej siada obok mnie na piasku.

– Wspomnienia, co? Dopadły cię? Bo mnie tak.

– Nie możesz nic pamiętać! Co się, kurwa, pamięta, jak się ma pięć lat? Bo ja z tego czasu nie pamiętam nic!

– Pierwsze nasze wspomnienia kształtują się mniej więcej z okresu, gdy mieliśmy trzy, cztery lata.

– Przestań pierdolić i robić mi jakieś wykłady!

– Bardzo dużo pamiętam. Na przykład to, że zgryza nastoletnich gówniarzy wrzuciła mnie tu do wody. Dlatego teraz świetnie pływam. Na całe życie zapamiętałem sobie ten strach, że nie wypłynę.

– Nie zrobiliśmy ci żadnej krzywdy! Fale sięgały nam do kolan!

– Trzymaliście mi głowę pod wodą. Dość długo.

Bielenda otrzepuje dżinsy. Zostawia mnie bez słowa, idzie w kierunku dziewczyn, które machają do niego, chichocząc. A więc pamięta, co mu zrobiliśmy! To taki typ, który potrafi mścić się po latach. Przypomina mi się, kto jest jego ojcem. Bękart księdza! Obserwuję go teraz i zaczynam się bać. Może to pułapka? Może miał coś wspólnego ze śmiercią Janickiego?! Przecież był jedną z nielicznych osób, które wiedziały, że wynająłem prywatnego detektywa!

– Maks! – Głos Ewy niesie się teraz po plaży i jest głośniejszy od krzyku spłoszonych mew. – Zostajesz tu, kurna, czy idziesz z nami?!

Są już daleko ode mnie. Idą, brodząc w piachu, w stronę Gniazda Piratów. W stronę tarasu, nad którym wiruje rozświetlona kula rzucająca migające cienie na piasek. Widać sylwetki tańczących. Wstaję i otrzepuję spodnie. Myślenie o przeszłości mnie dobija. Nie jestem złym człowiekiem! To były tylko nastoletnie wygłupy. Każdy gówniarz ma na swoim koncie złośliwe żarty. Mój syn notorycznie dźgał cyrklem na przerwach kolegę z młodszej klasy. Załatwiłem to szybko. Nie dostał żadnego prezentu na dziewiąte urodziny. Muszę wytłumaczyć Andrzejowi, że nie chcieliśmy go utopić! Chcieliśmy tylko dać mu nauczkę, bo był zawsze inny. Odstawał od wszystkich znanych mi gówniarzy. I tym odstawaniem, tą innością, się wywyższał. Jakby wystarczało mu własne towarzystwo, jakby nie potrzebował ludzi dookoła! Jakby był z innego, lepszego świata. Jak jakiś mały, pierdolony arystokrata. A to był tylko bękart księdza! Próbuję sobie przypomnieć, jakim cudem się nam wtedy wyrwał? Przecież nie miał szans! Śmiertelnie wystraszony pięciolatek. Miałem nadzieję, że będzie płakał, że będzie prosił. Nie wydusił ani słowa. Nawet nie krzyknął. Nagle zamieram. Mam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Wydaje mi się, że zarośla tuż przy plaży poruszają się nie tylko od wiatru. Strużka lodowatego potu spływa mi po plecach. Zaczynam biec przed siebie, jak szalony przewracając się w piach kilka razy.

KSENIA

30 MAJA – BIELANY (WARSZAWA)

W jego gabinecie zapach świec przypomina mi zapach kadzidła. Lubię siadać za jego masywnym biurkiem i wyobrażać sobie, co czuje i w jakim nastroju zaczyna dzień. Nie jest dla mnie człowiekiem z krwi i kości, tylko kimś więcej. Kimś, kogo dotknęła boska dłoń, kimś, kto ma dar naprawiania świata. Dotykam rozrzuconych dokumentów na biurku. To plany architektoniczne i przelewy. Wiele osób go wspiera, a marzenie o własnym sanktuarium w lesie niedaleko Janiszewa staje się coraz bardziej realne. Opowiedział mi, jak to planował od lat, jak chciałby zostawić po sobie dzieło życia. Miejsce dla pielgrzymów, którzy poniosą w świat jego idee, jego dar i przemyślenia. Po pierwszej naszej wspólnej nocy mnie pochwalił. Że moje ciało i moje ramiona są jego oazą. Są miejscem, które daje mu siłę, gdy ma wątpliwości, gdy jest zmęczony problemami. Pytał, czy będę mu oddawać moje ciało jak dar. Natychmiast się zgodziłam. Nie muszę nic robić, tylko leżeć. Czasem milczy i tylko zdejmuje mi ubranie, jakbym była manekinem czy lalką. A czasem mówi dużo. Nie odpowiadam i nie ruszam się. Jestem, ale jakby mnie nie było. Czasem wykonuję jego prośby. Nie rozkazy. To nie trwa długo. Bardzo uważa tuż po. Każe mi natychmiast brać prysznic. I wraca do swojej sypialni.

Nagle ktoś otwiera drzwi gabinetu. Przestraszona odsuwam się od biurka. Nie jest sam. Dwóch ubranych na czarno mężczyzn wchodzi do środka i nie spuszcza ze mnie wzroku. Ojciec Tomasz jest zmieszany. Nie patrzy mi w oczy.

– Cieszę się, że tu jesteś. Rozmawialiśmy o tobie. Musimy sprawdzić, jak bardzo możemy ci ufać. Dopuszciliśmy cię do wielu tajemnic. – Wskazuje na dokumenty leżące na biurku. – To tylko mały sprawdzian przed wyjazdem.

Mam wrażenie, że rozbierają mnie wzrokiem. To mężczyźni, sporo od niego młodszy. Chyba po pięćdziesiątce. Jeden jest tłusty. Poci się obficie.

– Przekonałem moich współpracowników, że zabranie cię do Janiszewa i pokazanie sanktuarium, które właśnie powstaje, to doskonały pomysł... mimo że krótko się znamy.

– Za krótko – mówi chrapliwym głosem jeden z nich.

– Dlatego przeprowadzimy sprawdzian ufności.

– Co to znaczy?
– W piwnicy mamy małą salę. Zejdź z nami na dół.
– Teraz?
– Pokaż im, jak bardzo jesteś oddana naszej sprawie. – Ojciec Tomasz nerwowo przeczesuje włosy. – Popracuję w gabinecie, a ty...
– Nigdzie nie pójde!
– Jeżeli tego nie zrobisz... jeżeli nie pozwolisz im na sprawdzian ufności, to będziesz musiała opuścić zbór. Przecież tego nie chcesz, prawda?
– Idziesz z nami czy pakujesz swoją walizkę? Zawsze masz wybór – mówi jeden z nich, odsuwając się od drzwi.
– Myślałam, że jestem ci potrzebna?! – krzyczę do ojca Tomasza, który podchodzi do okna i przesuwą firankę.
– Jesteś potrzebna wszystkim ze zboru. Nie mogę egoistycznie korzystać z twojego zaufania i twojego daru. Nie dzieląc się z innymi braćmi.
– Rozbierz się. Albo wyjdź, spakuj się i nigdy nie wracaj. Masz wybór. Zawsze masz wybór.
Nie potrafię powstrzymać drżenia rąk, gdy rozpinam sukienkę. Muszę to wytrzymać. Gdy stoję przed nimi całkiem naga, ojciec Tomasz wyjmuję coś z kieszeni spodni i wkłada mi w dłoń. To opakowanie prezerwatyw.

IGA

1 CZERWCA – BIAŁOBRZEGI/BIELANY (WARSZAWA)

Nie wiem, dlaczego ich spojrzenia, ich szeptu wzbudziły we mnie tak wielką furję? A może poprzedzony rechotem komentarz „pokaż cycki”, który usłyszałam z pierwszego rzędu? Poezja?! Czy było tu miejsce na poezję, gdy wciąż trawili w żołądkach prosiaka z rożna, golonkę, kaszanke, a w przełyki paliła ich wódka pita bez umiaru? Rajmer nie uprzedził nas, że będziemy grać do kolacji, do kotleta. Widzowie żarli, bekali, a my recytowaliśmy wiersze. Piotr z początku próbował uciszać publiczność, ale śmiali się z jego próśb. Chcieli disco polo! Chcieli kołysać swoje cielska, żeby pozbyć się gazów po trawionym żarciu.

– Po chuja nam twoje wiersze?! – wrzasnął jeden z nich, gdy znów podeszłam do mikrofonu.
– Nie rozumiesz poezji? Wiem, że to trudne nie być chamem, gdy się nim jest od urodzenia. Ale spróbuj wznieść się ponad to. Może oni śmieją się z ciebie, a nie ze mnie?

Miał koło pięćdziesiątki, czerwoną, nalaną twarz i białą koszulę z plamami po bigosie. Gdy zaczęłam do mikrofonu mówić prosto do niego, stracił rezon. Piotr dawał mi znaki, ale udawałam, że ich nie widzę. Beata schroniła się za jedną z kolumn, przestraszona, bo przecież zaraz miała poprowadzić aukcję. Wiedziałam, że muszę ją zastąpić. Wiedziałam, że Daniel mi nie pomoże, bo za kulisami upił się na smutno. A mój nowy partner sceniczny oniemiał jak słup soli i nie był w stanie wykrztusić z siebie słowa.

– Możesz mnie przeprosić. Możesz nawet zjeść ze mną kolację. – Uśmiechnęłam się do grubasa, który po chamsku przerywał mój występ. – Ale musisz pokazać klasę. Wiesz, jak się zachowuje facet z klasą? Wiesz, co znaczy to słowo? Może kiedyś próbowałaś, ale nie wyszło, i masz uraz?

Teraz śmiali się już tylko z niego. Kręciłam się wciąż wokół jego stolika z mikrofonem w dłoni. W mojej białej, obcisłej sukni z ogromnym dekoltem.

– Zaczynamy licytację na szczytny cel, panowie! To kolacja ze mną.

– Ze śniadaniem?

– Na to was nie stać. Ale stać was na pomoc dla osób, które naprawdę tego potrzebują. Fajnie się bawimy, ale niech to ma jakiś głębszy sens. W życiu liczą się tylko chwile! Najbardziej te, podczas których pokazujemy swoje człowieczeństwo!

Zaczęli licytować. Najpierw nieśmiało. Potem przekomarzając się i wulgarnie sobie dogryzając. A później zaczęła się prawdziwa rywalizacja. Beata kręciła się z mikrofonem po sali, żeby wyłapać licytujących. Na szczęście w większości byli tu faceci. Ich partnerki czy żony pewnie próbowałyby ich

powstrzymać. Kolacja ze mną została wylicytowana na sześć tysięcy, dwa tomiki wierszy z dedykacjami poszły po pięćset. Wygrał grubas, który sztychował ze mnie i przerywał mi występ. Dopilnowałam, żeby przy mnie zrobił z telefonu przelew na konto fundacji Demeter. Potem krzyknęłam do mikrofonu, że zaczynają się tańce. Rzuciłam grubasowi na talerz serwetkę z numerem telefonu, obiecując, że na wylicytowaną kolację umówimy się w lipcu w Warszawie. Był zachwycony. Nagle stał się dżentelmenem. Gdy z głośników huknęło disco polo, wyszłam na pomost, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Maleństwo w moim brzuchu łaskotało i kłuło. Tęskniłam za Andrzejem. Nie chciałam tu nocować. Wiedziałam, że za godzinę wezwę taksówkę i wrócę do Warszawy. Beatę dostrzegłam kilka metrów dalej. Nie spuszczała ze mnie wzroku.

– Podziwiam cię – powiedziała cicho. – Masz taką charyzmę, Iga. Ludzie cię słuchają... improwizujesz... powinnaś zostać aktorką, nie poetką.

– Wolę pisać wiersze. Wolę mówić swoim tekstem, nie cudzym.

Przez chwilę milczała. Wytarła policzek wierzchem dłoni.

– Tęsknisz za nim? – Objęłam ją ramieniem. – To nie twoja wina...

– Tylko ty tak mówisz! Poczytaj sobie portale plotkarskie w internecie! Robią ze mnie kurewkę, która poleciała na znanego aktora! Oskar był moim pierwszym facetem! I wcale nie żałuję! Był taki delikatny... taki czuły... on...

Usiadłyśmy na jednej z ławek z widokiem na przystań. Tuż obok zacumowanej łodzi, z której dobiegały skrzypienie, stukanie i szmery.

– W pewnym momencie chciał, żebyśmy się rozstali... Przestraszył się plotek, zerwał ze mną! To był dla mnie szok! Robiłam wszystko, żeby do mnie wrócił! Ale potem miałam dość jego zazdrości...

– Rozumiem.

– Nie rozumiesz! Nic nie rozumiesz, tak jak inni! Oskar się nie zabił! Ktoś mu pomógł!

– Przecież policja uznała, że to samobójstwo!

– Wiesz, jaka to bolesna śmierć przez podcięcie sobie żył podudzi?! To jest tak bolesne, bo dochodzi do uszkodzenia ścięgien. On nie mógł sobie tego zrobić! To nie przeze mnie! Został zamordowany, a wszyscy uważają, że to moja wina! Przyjdź do mnie, do domu, Iga... Wtedy porozmawiamy... Już nie mogę dłużej, już dłużej tego nie wytrzymam!

Zapisuję w telefonie jej adres na Bielanach. To niedaleko bloku Wandy. Dziś zjawiam się w tym mieszkaniu. Otwiera mi jej matka. Nie muszę się przedstawiać. Mówi, że Beata zaraz przyjdzie. Prowadzi mnie do jej maleńkiego pokoju. Czekam.

MAKS

23 CZERWCA – JANISZEWO

Na tarasie taki tłum, że spocone, tańczące ciała zlewają mi się w jedną masę. Stoję przy barierce nieco na uboczu i rzygam na piasek. Nie mam pojęcia, po co tu przyszliśmy z tymi dwiema idiotkami, z którymi teraz Andrzej gada przy jednym ze stolików z widokiem na wzburzone morze. Tańczyliśmy godzinę we czwórkę, ale okazało się, że mam marną kondycję. Starałem się kołysać w rytm muzyki i nadążać za tą małą Pauliną. Bielenda oczywiście okazał się mistrzem parkietu. Myślałem, że przyjechał tu, żeby szukać matki, a nie zabawiać się z dwiema miejscowymi kretynkami. Gniazdo Piratów nie jest tak luksusowym miejscem, jak sądziłem. Raczej zajazd, nie hotel. Wszyscy już mocno pijani. Wycieram usta serwetką. Przepycham się w stronę kibla, który mieści się przy recepcji. Do damskiej toalety kolejka, ale męska jest pusta. Staję przy uchylonym oknie, próbując obejrzeć się w lustrze. Na szczęście nie zarzygałem sobie koszuli. Piję wodę z kranu. Słyszę jakieś szmery za oknem.

– Jest? Przyjechał? – chrypi jakiś facet na zewnątrz, tuż przy oknie.

– Wczoraj wieczorem. Mieszka na plebanii. Tam, gdzie zawsze. Proboszcz nie robił problemów.

Umywa ręce. Oficjalnie, kurwa, o niczym nie wie.

– No i dobrze. Bo tamten stary za konfliktowy był. Nie współpracował. Nie rozumiał.

– Ten rozumie. Nawet kasy nie chciał. Wypożyczy krzyże i monstrancje na ceremonię.

Wyszarpuję telefon z kieszeni spodni. Nie mam pojęcia, czy uda mi się ich nagrać, ale

przypomina mi się, co barmanka mówiła o napadzie na starego księdza. Może specjalnie zaaranżowano ten napad jako rabunkowy? Może to była zemsta na staruszkę, który nie chciał współpracować ze zbrodnią?!

– Szatan zasiewa kłopot.

– Gromienie jego grzechu przewiny odkupi!

Słyszę ich cichnące kroki na tarasie. Wypadam z toalety. Wybiegam na zewnątrz. Morska bryza chłodzi mi policzki. Próbuję okrążyć hotelowy budynek, ale na tyłach jest ogrodzenie. Wytężam wzrok. Nikogo. Wracam na taras z drugiej strony Gniazda Piratów, gdzie wciąż trwa szaleńcza dyskoteka. Znajduję Andrzeja przy barze z filiżanką espresso w dłoni.

– Oni tu są!

Patrzy na mnie, jakbym postradał rozum.

– Próbowałem ich nagrać! Nie udało się! Dwóch facetów rozmawiało o ceremonii! I o księdzu z miejscowej parafii!

Słucha mnie w milczeniu, rozglądając się co jakiś czas. Na szczęście nikt nie zwraca na nas uwagi. Opowiadam mu o tym, co usłyszałem od Ewy. Jej były chłopak siedzi za napad na starego księdza z parafii w Janiszewie.

– Zabili go – mówi cicho Andrzej, po czym nagle uśmiecha się czarująco do kogoś za moimi plecami.

Ewa i Paulina przepychają się przez tłum w naszą stronę. Poprawiły makijaże w kiblu i wyglądają groteskowo.

– Pora coś zjeść, bo na pewno umieracie z głodu. – Bielenda sięga po karty dań leżące na barze.

Wracamy do stolika. Rozglądam się nerwowo, mając nadzieję, że rozpoznam mężczyzn, którzy rozmawiali o ceremonii. Ale przecież widziałem tylko ich plecy w ciemnościach.

– Flądrę z grilla bym zjadła. Do piwa pasuje, nie? – Paulina drapie się po nosie.

– Wszystko pasuje do piwa. – Ewa wzrusza ramionami.

– Maks mówił mi o twoim byłym chłopaku. – Andrzej spogląda nagle na nią w jakiś dziwny sposób.

– Powiedział ci, że siedzi w pierdłu?! Tuż przed naszym ślubem go zamknęli! Nie wiem w ogóle po co, kurna, o nim rozmawiamy!

– Chciałem tylko powiedzieć, że ci współczuję. Wiem, co czujesz, bo ja przechodziłem przez coś podobnego.

Podpuszcza ją w czarujący sposób. Gładzi kciukiem jej palce zaciśnięte na kuflu z piwem.

– Dowiedziałem się o zdradzie mojej dziewczyny tuż po zaręczynach.

– Kurwa! – Ewa wzdycha ze współczuciem. – Ja długo myślałam, że się nie pozbieram! Dopiero niedawno się pozbierałam, nie, Paula?

– Co mu odbiło, żeby brać udział w napadzie na księdza? – Andrzej kręci głową.

– Jak coś koledzy wymyślą, to święte jest! Oni wszyscy byli stąd, tylko mój były nie. On wcześniej niekarany. W piekarni robił. A wszyscy mu powtarzali, żeby od tych z Janiszewa to trzymać się z daleka!

– Dlaczego?

– Że to diabelskie nasienie. Tak mówią.

– Co to znaczy?

Jego zielone oczy przeszywają ją na wylot.

– Nie wiem. Ci z Janiszewa zawsze trzymają się razem. Mało kto stąd wyjeżdża na przykład na studia czy coś ze sobą zrobić, nie? Zostają tu.

– Dlaczego? – wtrącam się.

– Chuj wie dlaczego! Popierdoleni są. – Paulina tłumy ziewnięcie. – Mówiłam wam, że moi starzy mieli tu kiosk. Woleli zamykać przed zmrokiem. Dziwnie się tu czuli. Czasem nawet latem to w centrum na tym małym rynku pusto było... jakby ludzie całkiem zniknęli.

– Mówią, że oni się po chałupach chowają latem. Mało kto tu pokoje letnikom wynajmuje.

– Kiedyś chyba była tu szkoła... w poniemieckim budynku... – przerywa jej Andrzej.

– Szkoła? – Ewa marszczy brwi.
– I szpital psychiatryczny. Tuż obok. Tam, gdzie ulica się kończy i zaczynają się wydmy – dodaję.

– Szpital na Brzozowej? – Jakaś kobieta przy sąsiednim stoliku odwraca się w naszą stronę. – Już go dawno nie ma. Szkoły także. Budynki stoją puste. W zeszłym roku tam szyby wybili.

Przestraszony spoglądam w jej stronę. Kobieta przy sąsiednim stoliku wygląda dziwnie. Jest sama, ale na blacie stołu kilka pustych butelek po piwie i talerze z resztkami frytek. Pewnie jej towarzysze poszli potańczyć.

– Pamiętam cię, Maks.

Jej głos brzmi chrapliwie. Powoli zdejmuję ciemne okulary. Fala mdłości napływa mi do gardła. Jej twarz jest cała w bliznach. Zdeformowana powieka jednego oka. Zniekształcona skóra na nosie i na policzkach. Wpatruję się w nią przerażony. Jakby była widmem z przeszłości, która właśnie mnie dogania.

KSENIA

5 CZERWCA – BIELANY (WARSZAWA)

Ocknąłem się, gdy ten drugi skończył i zapiął spodnie. Zostawili mnie na stole do ping-ponga, który był tak lodowaty, że nie mogłam przestać się trząść. Nie wiedziałam, gdzie jest moje ubranie. Czułam tylko zapach kadzidła i widziałam ich cienie. Słyszałam szepty. Jeden z nich uniósł gumowy wąż zwinięty pod oknem. Gdy poczułam lodowate strumienie wody na twarzy, na piersiach i między nogami, zaczęłam kaszleć. Zwijać się jak embrion. Pośmiali się i poszli. Cała mokra, z trudem trzymając się piwnicznych ścian, wróciłam na górę. Słyszałam ich głosy w kuchni. W moim pokoju zamknęłam się od środka. Otworzyłam drzwi starej, skrzypiącej szafy. Skuliłam się w środku, jakby była bezpiecznym, wielkim brzuchem, w którym nikt mnie nie znajdzie i nie zrobi mi krzywdy. Miałam do siebie pretensje, że nie jestem dość silna, że poświęcenie się dla zboru tak dużo mnie kosztuje. Moje ciało nie było moje! Gdy we mnie wchodził, miałam wrażenie, że widzę wszystko z lotu ptaka. Że mnie w moim ciele nie ma. Nie jestem sobą i w sobie. Gdy ojciec Tomasz zajrzał do mnie o północy, był przerażony. Miał klucz do mojego pokoju, jak do wszystkich pomieszczeń w willi. Otulił mnie kocem i zaprowadził do łóżka.

– Dopełniło się. Zdałaś sprawdzian zaufania. Oddałaś swoje ciało naszej sprawie. Jesteś silna, waleczna. Jesteś już gotowa.

– Nie wiem, czy wytrzymam drugi raz... Nie wiem...

– Nie będą cię testowali w nieskończoność. Wiedzą, że jesteś dla mnie kimś ważnym. Już się nie odważą. Już wyjechali. Jesteśmy tylko my.

Gdy zjawiłam się rano w szkole na radzie pedagogicznej z okazji zbliżającego się zakończenia roku, niektórzy nauczyciele gapili się na mnie, jakby zobaczyli widmo.

– Ma pani bluzkę założoną na lewą stronę – powiedziała dyrektorka przez zęby. – Zaczniemy za piętnaście minut. Musimy poczekać, aż pani Ksenia doprowadzi się do porządku.

Dwie starsze nauczycielki zaczęły szeptać, że zabalowałam w nocy. Że to niedopuszczalne, bo mamy być wzorem dla młodzieży, a ja wyglądam jak z krzyża zdjęta. Tak właśnie powiedziały. W lustrze w toalecie dla personelu zobaczyłam swoją twarz. Zapuchnięte oczy, sińce, ślady ugryzień na szyi. Drżącymi rękami wyjęłam kosmetyczkę. Pamiętałam, że wieki temu kupiłam szminek, puder i tusz. Gdy się malowałam, ogarnęła mnie fala mdłości. Zwymiotowałam dwa razy do umywalki. Nagle ktoś wpadł do środka, bo nie zamknęłam drzwi na zasuwę. To był Olgierd. Przestraszony chwycił mnie za ramiona.

– Co się stało?! Co oni ci robią? Co się dzieje?!

Próbowałam się uśmiechnąć. Ale bardzo bolały mnie wargi, bo jeden z nich gryzł i ssał je, gdy dochodził. Całe ciało miałam obolałe. Skostniałe. Twarz Olgierda falowała mi przed oczami. Jak ściany w toalecie. Raz białe. Raz sine.

– Zawiozę cię do swojego mieszkania, dobrze? Powiem dyrektorce, że jesteś bardzo chora.

Zostałam w toalecie, a on poszedł nakłamać, że strasznie się strułam. Być może to była prawda,

bo ciągle wymiotowałam białą mazią. Wrócił po kilku minutach i wyprowadził mnie na powietrze. Zachłysnęłam się nim, tym słonecznym, rozgrzanym dniem, tym pięknym lata. Bo przecież życie jest piękne, trzeba tylko wiedzieć, jak spożytkować ten dar, który mamy. Nie odzywałam się do niego w samochodzie. A on wciąż mówił, pytał, przekonywał. Gdy dojechaliśmy na miejsce, powiedział, że zamówi jakieś jedzenie, bo ma tylko wodę, napoje izotoniczne i dwa jogurty. Pytał, na co mam ochotę, ale mi było wszystko jedno. Pokarm dla ciała nie jest ważny. Ważny jest pokarm dla duszy. Gdy wyszłam z łazienki owinięta jego wielkim ręcznikiem, był przerażony. Znowu pytał, skąd siniaki i zadrapania. Chciał dzwonić na policję, ale wyjęłam mu telefon z ręki. Zjadałam kawałek pizzy, która miała smak tektury. Zasnęłam. A gdy się obudziłam o północy, mój telefon był zapchany wiadomościami od ojca Tomasza. Napisałam mu, gdzie jestem. Przyjechał po mnie po godzinie. Wróciłam do zboru silniejsza, pewniejsza siebie. Ojciec Tomasz nie miał do mnie pretensji. Obiecał mi, że tamci mężczyźni już mnie nie dotkną. Po prostu musieli to zrobić dla dobra całej społeczności. Musieli sprawdzić, czy można mi zaufać. I zdałam ten egzamin! Zdałam!

Dziś kilka dni po tych wydarzeniach czuję się o niebo lepiej. Sprawdzam ostatnie testy młodszych klas, bo do dziesiątego czerwca musimy wystawić końcowe oceny. Piękne słońce zalewa pokój nauczycielski. Cieszy mnie, że ojciec Tomasz zgodził się porozmawiać z innymi braćmi na temat zaproszenia Andrzeja do zboru. Chcą z nim omówić temat jego matki. Wiem, gdzie ona jest, ale jeszcze mu nie powiem. Chcę go trochę potrzymać w niepewności... Teraz często do mnie pisze. Jak dawniej. Nagle zastanawia mnie dziwna cisza. Przed chwilą słyszałam śmiechy, pokrzykiwania i gwizdek Olgierda dochodzący z boiska. Teraz wszystko zamilkło, chociaż nie było jeszcze dzwonnka na przerwę. Zdziwiona, podchodzę do otwartego okna. Pokój nauczycielski mieści się na drugim piętrze. Nagle przeraźliwy krzyk świdruje mi w uszach. Potem kolejny. Widzę, jak dwóch nauczycieli wufu biegnie w stronę grupki uczniów stojącej po drugiej stronie boiska. Ktoś krzyczy, żeby wezwać pogotowie. Jakaś dziewczyna słańia się na nogach. Druga ją podtrzymuje. Skąd to zbiegowisko? Co się stało?! Wychyłam się przez okno.

– Bramka się przewróciła! Jezu! On nie żyje! – słyszę krzyk jednej z uczennic.

IGA

12 CZERWCA – BIELANY (WARSZAWA)

Spóźniła się ponad godzinę. Jej matka przeproszała mnie kilka razy i proponowała kawę. Tłumaczyła, że Beata już z nią nie mieszka, że wpada do niej tylko zostawić ciuchy do prania. Nie mogła jej wybaczyć, że nie podeszła do matury w tym roku. Powiedziałam jej, że pracowałam z Beatą, i mam córkę niewiele od niej starszą. Tłumaczyłam, że my, matki, musimy mieć niewyobrażalną cierpliwość do swoich dzieci wchodzących w dorosłość. Mimowolnie gładziłam swój brzuch, mając nadzieję, że tego nie dostrzeże. Nie wspomniała ani słowem o Oskarze, który dwa miesiące temu wykrwawił się we własnej wannie. W końcu zjawiła się Beata, zdyszana, w przepoconej bluzce i wymiętej spódnicy. Zamknęłyśmy się w jej pokoju, w którym panował potworny bałagan.

– Gdzie teraz mieszkasz? Może lepiej, żebyś wróciła do mamy?

– Nocuję u koleżanki. Oni już tu byli dwa razy! Ktoś za mną chodzi! Dlatego się spóźniłam. Codziennie w nocy ktoś do mnie dzwoni. Nigdy nie nagrywa wiadomości. To za każdym razem inny numer, rozumiesz?! Muszę wyłączać telefon!

– Jak to się zaczęło? Kiedy trafiłaś do zboru?

– Jesienią w zeszłym roku. Chyba za dużo na siebie wzięłam. Zawsze musiałam być najlepsza, a na sprawdzianach szło mi coraz gorzej. Uczylałam się po nocach, a potem w dzień byłam jak zombie.

– Poszłaś z tym do wychowawczynie? To Ksenia Dembska wciągnęła cię do tej chorej sekty?

– Ona? Nie! To siostra Joanna Soliman zaczęła mnie na korytarzu na przerwie, jak wyszłam zaryczana z kibla. Bo jeszcze kumpele z mojej klasy się ode mnie odwróciły! Jagoda, jedna z nich, je nakręciła! Przeszkadzało jej, że ze wszystkiego jestem najlepsza! Siostra Joanna pytała, dlaczego przestałam chodzić na próby chóru. Mówiła, że mam piękny głos, że to dar dany od Boga. Ale musiałam z czegoś zrezygnować, bo za dużo na siebie wzięłam. Bałam się, że zawałę maturę...

Opowiadała mi o konkursach przedmiotowych, o szkolnym teatrze, którego była gwiazdą. O presji, która była wręcz nieznośna, bo nie miała czasu dla siebie, a nawet na sen.

– Siostra Joanna powiedziała mi, że pewien ksiądz stosuje metodę relaksacji, która pomaga. I na początku było cudownie... Ojciec Tomasz ma dużo ciepła i ogromną charyzmę.

Charyzma. To słowo pojawiało się już w opowieściach Andrzeja. Jego ojciec to wybitnie inteligentny i niebezpieczny człowiek. Zastanawiałam się, ile młodych kobiet uwierzyło w jego dar i dało manipulować sobą i swoim życiem?

– Kiedyś na jednym ze spotkań w zborze pojawiło się kilku mężczyzn. Bardzo eleganckich... Jeden z nich podobno jest wykładowcą historii starożytnej. To dzięki nim poznałam Piotra Rajmera, a on poznał mnie z Oskarem.

Patrzyłam na nią osłupiała, próbując zrozumieć, co do mnie mówi. Nie miałam pojęcia, że znała wcześniej mojego wydawcę!

– Zaczynam się gubić. Rajmer nigdy mi nie wspominał, że poznał cię w zborze, że w ogóle do niego należy... Nigdy o tym nie wspomniał!

– Zakazali mi o tym mówić. A ja nie bywałam na nocnych spotkaniach zboru, bo takich jak ja tam nie dopuszczają. Oskar poznał Rajmera na jakiejś premierze rok wcześniej. Kazali mi... być z nim... uwodzić go. Ale nie musiałam prawie nic robić, bo Oskar od razu się we mnie zakochał i zaczął zapraszać na spektakle, na randki... Zakochałam się w nim! Był moim pierwszym mężczyzną! Zmusili mnie, żebym mu powiedziała, że zbór uratował moją mamę, że wymodlili remisję jej choroby nowotworowej! Ona nigdy nie była na nic chora... ale wiedzieli, że umiem grać! I dlatego Oskar zrobił ten zapis w testamencie, dlatego oddał im pieniądze! Nie wiedziałam, że to przyspieszy jego śmierć! Że wszystko sobie zaplanowali! Jezu... ja naprawdę tego nie wiedziałam! Przecież on nie miał dzieci, to co to za problem zapisać majątek jakiejś fundacji?! Tak wtedy myślałam...

Dociera do mnie cała przerażająca prawda tej historii. Cały dramat nastolatki, która z niewinnej prymuski zmieniła się w kobietę cynicznie rozkochującą w sobie dużo starszego partnera.

– Zapisał im wszystko u notariusza. Zaprowadziłam go tam, gdy był na rauszu i miał świetny humor. Tak jak mi kazali. Oni mówią, że alkohol to narzędzie szatana. Tej nocy, gdy zginął, też dużo wypił... bo kazali mi z nim zerwać, wysłać mu okrutne wiadomości... Boże, jak ja za nim tęsknię! To był dobry człowiek! Czasem testowałam jego cierpliwość, raz nawet mu przysłałam zdjęcia, jak całuję się z innym chłopakiem. Zerwał ze mną na chwilę, ale to było tak na pokaz. Bo mnie kochał! To był jedyny człowiek, który mnie naprawdę kochał! To moja wina!

Rozszlochała się na dobre. Przez kilkanaście minut siedziałyśmy skulone na tapczanie, słuchając gołębi gruchających na parapecie. Myślałam o Piotrze. Jak bardzo byłam naiwna! Byłam narzędziem w ich ręku! Chcieli zbliżyć się do Andrzeja, znać jego plany, jego każdy krok. Wszystko układało mi się w całość. Rajmer na próbach kontrolował, na jakim etapie jest związek Beaty i Oskara. Czy wybrana przez sektę dziewczyna działa według planu.

– Już raz próbowałam odejść! Ale nikt nie odchodzi ze zboru. Zastraszili mnie, nie dawali mi spokoju! To było na początku roku, bałam się wychodzić z domu i mama w końcu wezwała pogotowie, bo dostałam jakiegoś ataku. Ale jak wyszłam ze szpitala, to zmusili mnie, żebym wróciła do Oskara, a potem... Nie chcę brać udziału w tej ich czerwcowej ceremonii! Jezu, ja tylko chcę, żeby dali mi spokój!

Opowiedziałam jej o Wandzie. Zapewniała mnie, że nigdy nie widziała jej w zborze i nie słyszała, żeby o niej rozmawiali.

– Myślisz, że matka mojego Andrzeja nie żyje?

– Oni są zdolni do wszystkiego... oni... zabili Oskara... To nie przez moje wiadomości sobie coś zrobił! Na pewno cierpiał, ale nikt nie zabija się w taki sposób! Jego sąsiadka powiedziała mi, że był u niego kurier w dniu, gdy popełnił samobójstwo. Widziała go przez moment na korytarzu, miał ciemne okulary, czapkę, kaptur. A wtedy było gorąco! Był upa! Przysłali kogoś do niego! Zabili go!

– Tego nie wiemy na pewno. – Próbowałam ją uspokoić, bo była w coraz gorszym stanie. – Znam miejsce, gdzie możesz się schronić na kilka tygodni. Ważne tylko, żeby twoja mama tam nie jeździła, bo cię znajda.

Opowiedziałam jej o Demeter, o ośrodku dla kobiet ofiar przemocy. Stary budynek ukryty

w lesie niedaleko Chotomowa. Jego mieszkanki to kobiety, które uciekły od znęcających się nad nimi mężów, partnerów, ojców. W różnym wieku i często pokaleczone przez życie. Bezdomne. Ofiary przemocy. Ona ma różne oblicza. Beata także jest jej ofiarą. Przy niej zadzwoniłam do Agnieszki. Ustaliłyśmy, jak i kto zabierze dziewczynę do ośrodka. Jego adres jest utajniony, bo oprawcy tych kobiet próbowaliby je nachodzić i zmuszać do zmiany zeznań. Nie wiedziałam, czy się uda... ale nie znałam innego sposobu.

Teraz leżę na naszym ogromnym łóżku, gładząc nagi brzuch. Jest bardzo gorąco. Andrzej pracuje w gabinecie, ale nie chce powiedzieć mi, co robi. Schudł. Ma coraz więcej zmarszczek. Jest druga w nocy. Znowu słyszę szmery. Wstaję, otulam się prześcieradłem i zaglądam do niego. Siedzi przy biurku z ramionami skrzyżowanymi na blacie. Unosi głowę, gdy mnie widzi.

– Śpij, Iga...

Bez słowa obejmuję go w pasie. Odgarniam mu włosy ze spoconego czoła.

– Zaraz mi przejdzie. Nie przejmuj się mną. Najgorsza jest ta niepewność. Chciałem zeznać na policji wszystko, w co moja matka wplątała się wiele lat temu, ale boję się o nią... bo jeżeli żyje i moje zeznania jej zaszkodzą... i jeżeli zaszkodzą tobie, nam... Nie wiem, czy mówić im o wiadomościach od Jakuba Hoffmana? Przecież jeżeli ludzie ze zboru dowiedzą się, że pokazałem je śledczym, to nigdy jej nie odnajdziemy!

– Mam jedną zasadę w życiu. Nigdy się nie poddam! A byłam czasem w takiej dupie, w takim bagnie... Musimy działać spokojnie i po swojemu. Moim zdaniem twoja matka wciąż żyje. Pamiętasz, co mówiła Beata? Szykują się do ceremonii w Janiszewie.

– Sprawdziłem Rajmera. Założył wydawnictwo dwa lata temu. Żadnych oficjalnych powiązań ze zbozem Świętego Marcina. Chociaż w zapowiedziach wydawniczych znalazłem coś interesującego.

Odpala laptop. Pokazuje mi stronę wydawnictwa Aramis. Zakładka zapowiedzi. *Ojciec Tomasz. Wąż chytrą swą zwiódł Ewę*. Biała okładka. Na niej dziwaczna grafika. Jakby namalowane przez dziecko wielkie oko.

– Właśnie dlatego potrzebny mu był Rajmer i jego wydawnictwo. Sądząc po streszczeniu, to jego chore teorie mówiące o upadku młodych kobiet i o tym, jak jego zbor może je uratować. Chociaż w opisie nie pada nazwa fundacji. Premiera zapowiadana jest na piętnastego czerwca.

Czytam opis na stronie wydawnictwa. To pseudoreligijny bełkot oskarżający kobiety o grzechy tego świata. I zachęcanie do praktykowania oczyszczania międzypokoleniowego. Do ceremonii, które zdejmują z nas grzechy przodków.

– Episkopat tego nie uznaje. Nawet przed tym ostrzega. Dogrzebałem się do ich opinii teologicznej na jakiejś stronie. Zakazują tego typu mszy świętych i ceremonii. On nie używa swojego nazwiska, nigdzie w internecie nie znajdziesz jego zdjęć... I pisze o reinkarnacji grzechu?! Wyjaśnienie jest tylko jedno.

– Jakie?

– Suspendowali go. Bo nie byli w stanie już go kontrolować.

– Co to znaczy?

– Między innymi zakaz odprawiania mszy. Dziwi mnie tylko, że jego nazwisko zniknęło. Nigdzie nie ma ani słowa, że przez dwa lata był proboszczem w kościele Świętego Marcina w Janiszewie. Wyjechał stamtąd trzydzieści lat temu, trzy miesiące po nas. Nie mogłem od mojej matki wyciągnąć nic więcej.

– Co się tam stało?! Przecież ona próbowała donosić na niego do kurii, do miejscowych władz. I nikt się nie przejmował! Nikt jej nie wierzył!

– Modlitwy na wydmach nie są zakazane. Uważali pewnie, że młody proboszcz może mieć niekonwencjonalne metody umacniania wiary swoich wiernych. Ale przegiął...

– Co to znaczy?

– Musiał popełnić poważne przestępstwo i już nie mogli go kryć. Nie wiem, co tam się stało. Są tylko stare artykuły w lokalnej prasie. Jeden z nich Dembska znalazła u mojej matki. Ale nie ma w nim żadnych szczegółów! Być może były zbyt drastyczne, a może ktoś go krył. Cały czas szukam jakiejś informacji, ale minęło trzydzieści lat... Na pewno będą rozdawać te broszury swoim wyznawcom

podczas ceremonii. Być może Rajmer także wybiera się do Janiszewa. Będę musiał tam pojechać. Chciałbym, żebyś na ten czas przeniosła się do Olgi.

Siadam mu na kolanach. Obejmuje mnie mocno w talii.

– Nie przejmuj się. Już mi przeszło. Czasem jestem na nią wściekły... a czasem potwornie się o nią boję. Kiedyś, pamiętasz, powiedziałem, że jej nienawidzę... nienawidzę własnej matki...

– Gdyby tak było, to nie przejmowałbyś się, co się z nią dzieje!

– Sama widziałaś, że teraz się starała, prawda? Nie piła, układała sobie życie, sama widziałaś, że nie jest złą kobietą. Sama widziałaś!

Wycieram mu kciukiem kąciaki oczu. Uspokaja się. Wiem, że kolejnych kilka godzin spędzi przed komputerem. Ale ja także mam swój plan! Ktoś, kto mną manipulował i traktował mnie jak marionetkę, poniesie karę! W sypialni światło księżycy zalewa moje nagie ciało. Rozkładałam ramiona, bo chcę, żeby wniknęło mi w skórę. Nie pozwolę, żeby życie moich bliskich i moje przepełnione było strachem! Nigdy więcej na to nie pozwolę!

KSENIA

14 CZERWCA – BIELANY (WARSZAWA)

Gdy karetka zabrała nieprzytomnego Olgierda i na sygnale odjechała spod budynku szkoły, byłam jak odrętwiała, jakbym znowu widziała wszystko z lotu ptaka. Budynek naszego liceum, bezchmurne niebo, płacząca grupa nauczycielek, uczniowie gestykulujący przy ogrodzeniu. Dyrektorka jest przerażona. Na dniach ma być kontrola. Bramka była przytwierdzona kotwami. Ktoś je wyrwał i postawił ją kilka metrów dalej. Monitoring nie obejmuje tej części boiska. Opowiedziałam ojcu Tomaszowi o tym, co się stało. Modliliśmy się razem w jego gabinecie. Dowiedziałam się, że Olgierd jest w śpiączce. Nie wiadomo, czy przeżyje. Zaczęłam uświadamiać sobie, że mogę stracić przyjaciela. Nigdy nie wracał do tematu naszej jedynej wspólnej nocy. Martwił się o mnie. Jak mało kto w moim życiu.

– Ja się o ciebie martwię i ja jestem teraz twoim przyjacielem. – Ojciec Tomasz zareagował natychmiast na moje płaczliwe opowieści.

W szkole huczy od plotek. Ogólnie panuje atmosfera zupełnego luzu, bo oceny już wystawione, maturzyści zakończyli rok szkolny. Dyrektorka nie wychodzi ze swojego gabinetu. Dostałam wezwanie na bielański posterunek. Przyszło na adres szkoły, sekretarka wręczyła mi je drżącymi rękami za plecami dyrektorki. Była pewna, że będą nas wzywać po kolei w sprawie wypadku w naszym liceum. Nie wyprowadziłam jej z błędu.

Dziś w bielańskim komisariacie siadam na wprost młodej policjantki.

– Kiedy ostatni raz rozmawiała pani z Wandą Bielendą?

– Dzień przed jej zaginięciem, czyli dwudziestego pierwszego maja. Tak jak zeznałam wcześniej. To było koło czwartej po południu niedaleko bazarku przy Hali Marymonckiej. Całkiem przypadkowe spotkanie. Szła w stronę stacji metra. Już to mówiłam!

– Sprawdziliśmy monitoring. Widać, jak wsiada do pociągu o szesnastej trzydzieści cztery, który jedzie w stronę stacji Centrum.

– Czyli mówię prawdę!

– Niestety, nie jesteśmy w stanie sprawdzić, na której stacji wysiadła. Przejrzeliśmy zapisy z monitoringu. W wagonach był tłum. Pod Pałacem Kultury miał być tego dnia festyn.

– Czyli ślad urywa się w metrze? Ale są kamery na ulicach! Można zlokalizować jej telefon!

– Pewne fakty wskazują na to, że wysiadła w okolicach bulwarów wiślanych. Znalaziono jej telefon w jednym z koszy nad Wisłą. Czy wspominała pani kiedykolwiek, że myśli o odebraniu sobie życia?

– Nigdy!

– Jej syn zeznał, że rozstałyście się w atmosferze konfliktu. Musiała pani opuścić jej mieszkanie w środku nocy, doszło do szarpaniny. Uderzyła ją pani. A tego nie ma w pani zeznaniach. Podobno drugiego maja ostrzegła pani jej syna, że coś się jej może stać? Mówiła mu pani, że ma ona kontakt

z ludźmi, którzy jej zagrażają. Chodziło o jakąś organizację religijną?

Wiercę się na krześle. Nerwowo skubię skórki przy paznokciach.

– Zadzwoiła do niej pani w południe w dniu, w którym zaginęła. Mam zapis połączeń z jej telefonu. Rozmowa trwała dwie minuty. Tak więc wasze spotkanie kilka godzin później nie było chyba przypadkowe, jak pani twierdzi?

– Czy potrzebuję adwokata, bo ja...?

– O nic pani nie oskarżam. Zarówno ja, jak i jej syn chcielibyśmy wiedzieć, skąd pani przyszło do głowy, że grozi jej niebezpieczeństwo na trzy tygodnie przed jej zniknięciem?

Nie odpowiadam. Spuszczam głowę.

– Mam jeszcze ostatnie pytanie. – Policjantka bębni palcami w biurko. – Czy znała pani Jakuba Hoffmana, sąsiada pani Wandy, którym się opiekowała? Mieszkał na tym samym piętrze co ona.

– Nigdy go nie spotkałam. Pewnie był tak stary, że w ogóle nie wychodził z domu.

– Skoro go pani nie spotkała, to skąd pani wie, że był stary? Rozmawiała pani z nią na jego temat?

– Nie!

Mam dość! Konsekwentnie już milczę do końca. Chciałam pomóc Andrzejowi i teraz za to płacę! Zdradził mnie! Okłamał! Oczernił!

Gdy po godzinie wychodzę na zalaną słońcem ulicę Żeromskiego, serce wali mi jak oszałałe. Zaczynam się bać, że oskarżą mnie o składanie fałszywych zeznań! Albo że zrobiłam coś Wandzie! Dlaczego Andrzej tak mnie nienawidzi?! Dlaczego nie rozumie, że moja miłość może uzdrowić jego życie?!

Zdradziłeś mnie! Naopowiadałeś policji bzdur na mój temat i teraz będę miała kłopoty! A ja chciałam ci pomóc!

Jego odpowiedź przychodzi natychmiast:

Rozmawialiśmy trzy tygodnie temu! Obiecałaś, że zaaranżujesz mi spotkanie z Mossakowskim. Nic nie zrobiłaś!

Bez zastanowienia odpisuję:

Nigdy więcej nie zobaczysz swojej matki!

Natychmiast żałuję tych słów, ale jest już za późno. Nie dostaję żadnej odpowiedzi. Wlokę się na przystanek. Zbór mieści się zaledwie cztery przystanki od posterunku policji. W autobusie opieram głowę o szybę. Klimatyzacja chłodzi mi policzki. Chcę, żeby ktoś zaczął za mnie myśleć, żeby podejmował za mnie decyzje. Bo ja wszystko robię źle! Bez sensu i w emocjach, których nie rozumiem! Gdy po kilkunastu minutach popycham furtkę i wchodzę do ogrodu, zaczynam się uspokajać. Ojciec Tomasz macha do mnie z tarasu. Dziś przycinamy krzewy róż. A potem modlitwa. Jak zawsze.

MAKS

23 CZERWCA – JANISZEWO

– Odchyl głowę! To przestanie lecieć!

Najpierw widzę różowobiałe puchate chmury odsłaniające nieziemski widok. Słońce wychodzące z morza. Potem jego twarz. Wilgotnie, rozczochrane blond włosy. Podkrążone oczy. Trzydniowy zarost. Uświadamiam sobie, że leżę na piasku. Krzyki mew wbijają mi się w czaszkę. Tak jak ten szum. Morze jest niespokojne. Fale liżą moje bose stopy. Czuję, że się trzęsę. Mam mokrą koszulę. Z nogawek spodni spływa woda. Nie wiem, gdzie moje dokumenty, telefon?! Cały czas leci mi krew z nosa. Czuję, jak krzepnie mi na wargach.

- Chciałeś mnie utopić! – Próbuję złapać go za rękaw koszuli, ale ma błyskawiczny refleks.
- Wyciągnąłem cię w ostatniej chwili! Trzeba było mi powiedzieć, że masz strasznie słabą głowę!

Andrzej też jest cały mokry. Ale w przeciwieństwie do mnie nie trzęsie się z zimna. Nieporadnie próbuję wytrzeć twarz dłonią. Jest cała we krwi.

– Przewróciłeś się o konar na brzegu. Dobrze, że nie złamałeś sobie nosa. Wypadło ci to z kieszeni, gdy wybiegłeś z tarasu na plażę. Ale telefonu nie dało się uratować.

Kładzie obok mnie portfel cały w piachu. Sprawdzam, czy wszystko jest w środku, próbując opanować drżenie rąk.

- Kurwa... Nic nie pamiętam!
- Zamówiłeś rum. Potem whiskey. Potem tequillę.
- Mogłeś mnie powstrzymać!

– Nie mogłem! Odprowadziłem dziewczyny do taksówki. Trochę to trwało. Odchyl głowę!

Przeraża mnie fakt, że nic nie pamiętam. Tylko to, że szarpałem się z nim w wodzie. Byłem pewien, że chce mnie utopić! Kurwa, jest naprawdę silny. Nie miałem pojęcia, że aż tak.

- Wracamy do hotelu. Zarezerwuję nam jakieś pokoje – mówi Bielenda, wstając.
- Mamy iść do recepcji cali mokrzy?!
- Masz inny pomysł? Nie zdążymy wrócić do Łeby.

Znajduję swoje buty kilka metrów dalej. Muszę gdzieś zadzwonić i zastrzec telefon. Chociaż chyba to i tak nie ma już żadnego znaczenia. Bałtyk go pochłonął.

– Była pacjentka twojego starego chce z nami porozmawiać. Zaprosiła nas na ósmą do siebie. To dwa kilometry od Janiszewa. Gospodarstwo agroturystyczne.

– To ta z poparzoną twarzą? – Próbuję sobie przypomnieć, co mówiła mi o niej Sandra Mazur, ale w tym stanie nie myślę logicznie.

Idę za nim, powłócząc nogami, wciąż starając się trzymać odchyloną głowę. Przy zejściu z plaży są dwie drewniane przebieralnie pomalowane sprośnym graffiti i metalowy, zardzewiały prysznic. Andrzej odkręca wodę. Myje dłonie, wyciera twarz.

– Teraz ty. Masz pod nosem zaschniętą krew. Umyj się!

Nabieram lodowatej wody w dłonie. Piję łąpczywie. Wciąż się trzęsę. Andrzej zakręca prysznic.

– Włóż buty. Nie odzywaj się przy recepcji. Ja to załatwię.

W Gnieździe Piratów panuje cisza. Według recepcyjnego zegara dochodzi piąta rano. Ruda dziewczyna w granatowym uniformie mruga nerwowo na nasz widok.

– Dzień dobry. – Andrzej z gracją odgarnia mokrą grzywkę z czoła. – Czy znajdzie się chociaż jeden wolny pokój? Na jedną dobę. Zapłacimy gotówką z bonusem.

– Z jakim bonusem?

– Z bonusem dla pani. Bo będzie pani musiała wytrzeć podłogę w holu. Zabalowaliśmy tu w dyskotecę. A potem kolega przegrał zakład. Ja pływam lepiej i szybciej trzeźwieję.

Wyjmuje z portfela pięć stów i kładzie na ladzie. Dziewczyna uśmiecha się nieśmiało. Domyślam się, że zanim zaczął wyciągać mnie z wody, wyjął portfel i telefon z kieszeni i zostawił na brzegu. Zapobiegliwy skurwiel.

– Rozumiem. Mamy wolną tylko dwójkę na pierwszym piętrze z widokiem na morze.

– Może być bez widoku.

– Pokój ze śniadaniem. Od siódmej w restauracji. Na pewno kawa panom pomoże. Nie macie żadnego bagażu?

– Jest w samochodzie – odpowiada Andrzej. – Najpierw musimy wyschnąć i trochę się ogrzać.

– Mogę przynieść do pokoju dodatkowe ręczniki, dzbanek herbaty i wodę.

– Pani jest aniołem. Pięknym aniołem. – Andrzej uśmiecha się czarująco.

– Rozumiem, że panowie trochę poszaleli w nocy. To często się zdarza. Ale dziś wieczorem już dyskoteki nie będzie. – Chowa pieniądze do kieszeni i kładzie klucz na ladzie.

– Wielka szkoda. Dlaczego? – wzdycham teatralnie.

– Większość naszych gości przyjechała tu z jednego powodu.

– Z jakiego?

– Spotkanie wspólnoty religijnej. Zbór Świętego Marcina. Chcą się przygotować, medytując w skupieniu. Dlatego dziś przy posiłkach w restauracji też nie będzie muzyki.

IGA

23 CZERWCA – ŚRÓDMIEŚCIE (WARSZAWA)

Przyglądam mu się, gdy wychodzi przed bramę Uniwersytetu Warszawskiego, rozglądając się po Krakowskim Przedmieściu. Jak zawsze ubrany ze staromodną elegancją, letnia marynarka, idealnie wyprasowane spodnie, pod szyją zamotana apaszka. Podchodzi do mnie natychmiast i całuje w policzek. Piotr Rajmer. Prezes wydawnictwa Aramis. Wykładowca akademicki. Szanowany w środowisku literackim. Mało o nim wiadomo. Zbliża się do pięćdziesiątki. Nigdy nie miał żony. Nie ma dzieci.

– Daniel przekazał mi świetną nowinę! – Uśmiecha się, gdy siadamy pod jednym z wielkich parasoli w kafejce na Nowym Świecie. – Chce wziąć udział w twoim kolejnym wieczorze poetyckim. Obiecuję ci, że tym razem zagramy dla bardziej wyrafinowanej publiczności niż ostatnio. I jeszcze raz cię przeproszam za to, co stało się w Białobrzegach.

– To nie twoja wina.

– Mogłem przewidzieć całą sytuację. Ale wybrnęłaś z tego rewelacyjnie. I sama poprowadziłaś aukcję!

– Kolejną też poprowadzę, bo Beata jest na kursach aktorskich w Krakowie.

– Tak ci powiedziała? – Unosi brwi i spogląda na telefon, który położył tuż obok filiżanki z kawą. Jest południe. Wiem, że ma niewiele czasu. Dopijam sok. Kładę dłoń na jego dłoni.

– Chciałam ci podziękować. Za to, że dzięki tobie uwierzyłam w swój talent. I za niezwykłą przygodę, jaką są dla mnie wieczory poetyckie.

– Kolejny już w lipcu. – Uśmiecha się zaskoczony, bo nigdy nie byłam tak wylewna. – Nasza wakacyjna przygoda zacznie się piątego lipca w Domu Pracy Twórczej w Puławach.

– Niezupełnie. Nasza wakacyjna przygoda zacznie się dziś.

– Nie rozumiem?

Macham w stronę kelnerki. Płacę rachunek. Wrzucam portfel do mojej wielkiej, kolorowej torby z frędzlami w stylu boho.

– Nasza wakacyjna przygoda, jak to pięknie ująłeś, właśnie się zaczyna. Gdzie zaparkowałeś?

– Mam cię podwieźć?

– Masz mnie zawieźć.

– Dokąd?

– Do Janiszewa.

Błyskawicznie sięgam po jego telefon i wrzucam do torby. Szkła jego okularów w designerskich oprawkach są lekko zaparowane. Ale i tak widzę jego oczy. A w nich i szok, i wściekłość.

– Czy władze uczelni, która cię zatrudnia, wiedzą, czym się zajmuje pan profesor w wolnych chwilach?

– Masz na myśli wydawnictwo?

– Mam na myśli twoją współpracę z księdzem oskarżonym o morderstwo.

Rajmer nie wie, że blefuję. Nie mam zielonego pojęcia, czy Tomasz Mossakowski popełnił tak potworne przestępstwo, ale wiem, że muszę tam jechać! Andrzej wyruszył do Janiszewa wczoraj rano. Nie spałam całą noc. Boję się o niego. Czuję, jak skronie mi pulsują. Może to atak choroby, która uściła się na jakiś czas?

– Co ty mi, kurwa, sugerujesz?!

Pierwszy raz odzywa się tak wulgarnie. Uderzyłam w czuły punkt! Mój blef się udał.

– Przemoc seksualna. To także lubisz i popierasz, prawda? Tak się bawią twoi znajomi pod pretekstem ceremonii religijnych. Mam nagrania jednej z ofiar i jednego ze świadków.

– Czyje?!

– Dowiesz się czyje, jak to wypłynie. A wypłynie, jeżeli nie wrócę z Janiszewa cała i zdrowa.

Moi przyjaciele wiedzą, komu wysłać te nagrania i dowody, jeżeli cokolwiek mi się stanie...

– Po co, do kurwy nędzy, chcesz tam jechać?!

Teraz się poci. Zawiesił marynarkę na poręczy krzesła, a na jego koszuli pod pachami rosną obrzydliwe plamy.

– Dawno nie byłam nad morzem. Słyszałam, że tam jest pięknie. I chcę go poznać.

– Kogo?!

– *Waż chytrą swą zwiódł Ewę...* Chcę poznać człowieka, który tak nienawidzi kobiet.

KSENIA

22 CZERWCA – OSETNIK/JANISZEWO

– Czyż nie jest piękna? – Ojciec Tomasz podtrzymuje mnie za ramię, bo potykam się o wystający konar.

Chciałam obejść latarnię morską Stilo, ale z tyłu jest siatka. Unoszę głowę. Majestatyczna. Położona na wierzchołku wydmy czterdzieści metrów nad poziomem morza.

– Ostatni niemiecki latarnik pracował tu do tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego. Kocham latarnie morskie. Mają w sobie coś boskiego. Chociaż to tylko technika. I te barwy. Czerwona, biała i czarna.

Kropi deszcz, ale jest ciepło. Wyruszyliśmy z Warszawy o szóstej rano. Tylko we dwojkę. Tomasz ubrał się po cywilnemu. Kremowa koszulka polo, jasne dżinsy. Żadnej koloratki. A ja w zielonej sukience na ramiączkach wyglądam jak jego córka. Cieszy mnie ta nasza podróż. Jest świetnym kierowcą i gadułą. Bardzo oczytanym człowiekiem.

– Wiesz, dlaczego latarnia ma takie kolory? To barwy odwróconej flagi państwowej z okresu Cesarstwa Niemieckiego. Stąd wzdłuż plaży to pół godziny na piechotę do Janiszewa.

– Mamy iść pieszo?

– Skąd! Tu przy parkingu jest świetna smażalnia. Zawsze tam wpadam. Znają mnie. A potem ruszymy dalej. Zanocujemy na plebanii.

– Myślałam, że w sanktuarium.

– Tam jeszcze nie ma wody, prądu. To plac budowy. W środku lasu. Jutro wszystko ci pokażę.

– Mam mówić, że kim jestem? Tam na plebanii... przecież to dziwne, że ksiądz przyjeżdża z kobietą?

– Jesteś członkinią zboru. Moją prawą ręką. Moim światłem. Nikt nie będzie o nic pytał.

Schodzimy po zapiaszczonej ścieżce w stronę parkingu. Odwracam się. Latarnia Stilo ma w sobie magię. Jest jak świątynia na cześć bogów morza.

– Nie możesz przestać na nią patrzeć? Prawda, że hipnotyzuje? Każda latarnia morska może działać w ten sposób. Wystarczy patrzeć tylko w snop światła, który wysyła.

Bierze mnie za rękę, żebym się nie potknęła. Jest silny. Bardzo sprawny fizycznie. Bez trudu załadował do bagażnika swojego volvo nasze walizki i moją torbę z prowiantem. Mówił mi, że w Janiszewie jest mało sklepów, więc zabrałam jego ulubioną kawę, owoce, jogurty i kremowe ciastka. Już tyle o nim wiem. Gdy Olgierd odzyskał przytomność, coraz mocniej wierzę w jego dar! Jest dla mnie jak prorok. Nie byłam jeszcze w szpitalu, ale kilka dni temu dostałam wiadomość od jednej z nauczycielek.

Olgierd został wybudzony ze śpiączki!

Złamał obojczyk i miał krwiaka w mózgu,

który się wchłonął! Niedługo zacznie rehabilitację.

Plakałam, gdy czytałam tego esemesa. Trzy noce spędziłam z ojcem Tomaszem, modląc się o to, żeby Olgierd wybudził się ze śpiączki. I dokonało się! To dla mnie ostateczny dowód, że Tomasz jest prorokiem! Uświadomiłam sobie, jakie szczęście mnie spotkało, że mnie wyróżnił, że mnie lubi, że pozwala mi spędzać czas w swoim towarzystwie. Ma kontakt z najwyższym dobrem

i z wszechpotężną miłością. I chce przekazywać dar innym. Stąd pomysł na sanktuarium. Ale na to potrzeba funduszy. Gdy mówił o pieniądzach, był zatroskany. Materiały budowlane drożeją. Miejscowe władze robią trudności, gdy próbuje skupować ziemię wokół sanktuarium. Chciałam go pocieszyć. Następnego dnia przelałam na jego prywatne konto połowę moich oszczędności, które odłożyłam na wkład mieszkaniowy. Myślenie o własnym mieszkaniu jest teraz egoistyczne! Przecież niewiele mi trzeba do szczęścia. Wystarczy mały pokój, jak ten w zborze. Pokój pielgrzyma. Wszyscy nimi jesteśmy. Pielgrzymujemy, szukamy, gonimy za czymś, co czasem nic nie jest warte. Już odkryłam, o co powinno się walczyć! Ojciec Tomasz mówi, że jesteśmy wojownikami królestwa. To królestwo dobra i miłości. Wojownicy muszą być pełni odwagi i męstwa. Muszą przechodzić próby. Przeszłam moją próbę i wiem, że jestem silna. Wiem, że mężczyźni, którzy mnie wtedy mieli, będą na ceremonii. Ale jestem ponad to. Zdałam ten egzamin! Wybrałam życie w zborze. Nie pojawiłam się na zakończeniu roku szkolnego, bo nie będę już nauczycielką. Ojciec Tomasz potrzebuje tłumaczki. Chce zarażać świat swoim darem, swoimi ideami, przemyśleniami. Nasza wspólnota będzie coraz większa. Potężna! Nie setki, ale miliony dusz! Także dzięki mnie!

Po obiedzie jedziemy dalej. Do Janiszewa. Gdy wysiadamy przed niewielkim kościołem pod wezwaniem Świętego Marcina, ojciec Tomasz unosi głowę. Wiatr od morza rozwiewa jego falujące, siwe włosy.

– Nareszcie jestem u siebie. Tu jest moje miejsce. Moje korzenie. Moje źródło. Moje sanktuarium. Moja ziemia!

IGA

23 CZERWCA – TRASA WARSZAWA – GDAŃSK

– Czy Wanda żyje? – To było pierwsze pytanie, które zadałam mu, gdy jego samochód ruszył.

Myślałam o mojej mamie, którą straciłam, gdy miałam dwanaście lat. Jaka byłaby dzisiaj? Zaledwie o dwa lata młodsza od matki Andrzeja. Wanda jest starą kobietą. Los starych ludzi nikogo nie obchodzi. Starzy ludzie się gubią, starzy ludzie nagle umierają. A jeżeli ktoś nie wybaczył im grzechów z przeszłości, to nawet ich zniknięcie czy śmierć nikogo nie będzie obchodzić. Wanda jest mi bliska. Bo urodziła Andrzeja. Bo ostatnio starała się żyć normalnie. Bo pamiętam, jak pewnej nocy płakała, opowiadając, że syn jej nigdy nie wybaczy. Kiedyś napisałam w moim wierszu: *Wybaczenie to ulga dla serca. Człowieczeństwo składa się z wybaczenia*. Dlatego wciąż o niej myślę.

Nie spuszczałam wzroku z Rajmera. Wiedziałam, że jest wściekły, chociaż milczał, gdy wyjeżdżaliśmy z Warszawy. Wciąż miałam w torbie jego telefon. Rano zapakowałam do niej kilka najpotrzebniejszych rzeczy, bo wiedziałam, że spędzę jedną lub dwie noce w Janiszewie. Jego telefon zadzwonił kilka razy. Zignorowałam to. Nie chcę, żeby uprzedził kogokolwiek, że się tam zjawię. Zauważyłam w bagażniku jego toyoty małą walizkę. Wybierał się na ceremonię, ale nie przewidział, że nie pojedzie tam sam.

– Sprawdziliście izby wytrzeźwień na terenie Warszawy i okolic? Ośrodki dla bezdomnych? – Zabębnił palcami w kierownicę, gdy samochód stanął na światłach. – Matka twojego Andrzeja cierpi na chorobę alkoholową. Jak to się nazywa, gdy się znika z domu i pije na umór przez kilka tygodni? Ciąg alkoholowy?

– Chcę wiedzieć, czy Wanda żyje! A głędzenie o alkoholu zostaw dla studentek! Jeżeli jeszcze będziesz je miał w nowym roku akademickim! Wszystko może się zmienić!

Ruszył tak gwałtownie, że przestraszona zacisnęłam dłonie na kolanach. Coś mnie musnęło, zakłuło w okolicach podbrzusza.

– Co się może zmienić?!

– Twoja reputacja budowana latami. W sumie to szokujące, że tak wykształcony człowiek jak ty wierzy w jakiś religijny bełkot! Co tam szykujecie na wydmach? Oczyszczanie z grzechów? A to, co zrobiliście Wandzie, nie jest grzechem?!

– Jest karą.

– Czyli ona żyje?!

Serce waliło mi jak szalone. Coś znowu kłuło mnie w brzuchu. I kolejny raz czułam falę mdłości. Musiałam zrobić wszystko, żeby się nie zorientował, że jestem w ciąży. Prośenie go co godzinę o postoje na stacji benzynowej nie było dobrym pomysłem. Ucisk w pęcherzu robił się nie do zniesienia.

– Po co ci mój telefon? Wiesz, że mogę ci go odebrać siłą?

Wjechaliśmy na trasę szybkiego ruchu. Uchyliłam okno, bo pot zaczął spływać mi po szyi. Błyskawicznie wyszarpnęłam z torby jego telefon i wyrzuciłam przez okno samochodu. Z satysfakcją obserwowałam, jak szybuje w powietrzu i spada z wiaduktu.

– Jesteś jeszcze bardziej pierdolnięta, niż myślałam! – krzyknął.

– Nawet pierdolnięte kobiety myślą czasem racjonalnie. Mój telefon jest zablokowany. Nie możesz zmusić mnie siłą, żebym go odblokowała.

– Dlaczego nie?!

– Ktoś za nami jedzie. Masz ogon. Nie jestem idiotką, która wyrusza sama z takim pojebem jak ty.

– Jaki to samochód? – rzucił spojrzenie w lusterko.

– Zawieź mnie do niej!

Zamilkł. Przez dziesięć minut w ogóle się nie odzywał.

– Zrobimy postój na najbliższej stacji benzynowej. I oddasz mi kluczyki – odezwałam się po dłuższym namyśle.

Teraz, po godzinie, obserwuję go, stojąc w kolejce do kibla. Cały czas trzymam drzwi tak, żeby widzieć sylwetkę Rajmera przy kasie, gdy płaci za benzynę. Starannie maskuje zdenerwowanie. Uwierzył, że ktoś za nami jedzie. Potrafię dobrze kłamać. Przez całe życie kłamałam. Zwłaszcza okłamywanie mężczyzn dobrze mi szło. Nie wiem, czy zawiezie mnie tam, gdzie chcę, skoro wie, że ktoś nas śledzi. Pewnie myśli, że to Andrzej. Dlatego ani razu o niego nie zapytał. O Wandzie także nie chce mówić. Ale go zmuszę. Przez moment w lustrze widzę swoją twarz. Mam rozmazany makijaż. Drobinka w moim brzuchu znów łaskocze. Coś się napina i rozciąga. Muszę być spokojna. Działać po swojemu. Dopóki mi wierzy, będzie robił to, do czego go zmuszę. Wychodzę z toalety. Rozglądam się. Nigdzie go nie ma. Zniknął.

MAKS

23 CZERWCA – JANISZEWO

Walcząc z kacem, powtarzam sobie: „Myśl, kurwa, myśl”! Opieram czoło o szybę samochodu. Bielenda prowadzi jak mistrz kierownicy. Nie przespał ani jednej godziny, tak jak ja, ale nie widać po nim zmęczenia. Natychmiast gdy dostaliśmy pokój w Gnieździe Piratów, poszedł po swoje rzeczy do samochodu. Okazało się, że zabrał ze sobą sportową torbę z T-shirtami i dżinsami na zmianę. W jego ciuchy się nie mieszczę, więc na śniadanie poszedłem w wygniecionej i wilgotnej koszuli, chociaż próbowałem ją doprowadzić do porządku, używając łazienkowej suszarki. Tak żałuję utraty telefonu! Bielenda pożyczył mi swój na chwilę i zastrzegłem to, co się dało. Pytał, czy nie chcę zadzwonić do żony lub dzieci. Oczywiście, że nie chciałem. Żona i dzieci mają się dobrze. Wszyscy mają się dobrze, jak w tym filmie, który widziałem z moim ojcem lata temu. Zabraliśmy go na Boże Narodzenie do naszego domu i siedział prawie cały czas przed telewizorem. Nie przypuszczałem wtedy, że mój kochany staruszek ukrywa przede mną różne dziwne rzeczy. Na przykład to, że należał do organizacji religijnej, albo to, że krzywdził swoje pacjentki. Wracają do mnie na chwilę słowa Sandry Mazur. Terapia połączona z egzorcyzmami. Chciałbym zadzwonić do Aliny, ale nie zrobię tego z telefonu Andrzeja. Nie chcę, żeby wiedział, że coś nas łączy. Przecież mieszkała u jego matki. Brakuje mi jej, bo tylko ona stawia mnie do pionu.

– Zatrzymaj się, bo zarzygam samochód!

Mercedes staje. Andrzej obserwuje mnie bez słowa, gdy wytaczam się z wnętrza i próbuję wymiotować na cudownej łące. Robi się cieplej, chociaż dopiero dochodzi ósma. Nie rzygam. Płacę. Kucam na ziemi. Obserwuję mrówki drepczące między podeszwami moich butów. Dlaczego mrówki zawsze się tak spieszą? Zapiierdalają jak szalone.

– Wstań! Nie mamy czasu!

Chwyta mnie za łokieć i pomaga mi wstać. W T-shircie z logo płyty *Expect No Mercy* Nazareth. A na nim łysy facet z rogami kozła i z mieczem.

– Twój stary jest diabłem! – mówię przez zęby, ładując się znowu na siedzenie dla pasażera.

– Co mówisz?

Sprawdza GPS w telefonie.

– Mówię, że twój stary jest, kurwa, diabłem! Wcielonym, jebanym diabłem! To przez niego...

– To, co mówisz, nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Zaraz będziemy na miejscu.

– Nie pojmuję, do czego jestem ci potrzebny?! Czego ode mnie chcesz?! Chcesz się zemścić, kurwa?! Zemścić za to, co robiliśmy ci z kumplami, jak byłeś gówniarzem?!

– Jesteś mi potrzebny. Właściwie nie konkretnie ty, ale... sprzęt...

– Jaki sprzęt?!

– Potrzebuję wzmacniacza mocy z wydajnym zasilaczem impulsowym. Plus cztery kolumny głośnikowe. Na wieczór.

– A po chuj?! Pojebało cię?!

– Zadzwoń do swoich techników. Niech przywiozą wszystko do Janiszewa po południu.

– Kurwa, po pierwsze, nie wiem, czy mają zapasowy sprzęt, a po drugie...

– Mają. – Zatrzymuje samochód na niewielkiej polanie.

Widać zabudowania. Za ogrodzeniem szczeka pies. Na bramie niewielka, drewniana tabliczka „Wolne pokoje. *Zimmer frei*”.

– Byłem w jednym z wozów technicznych, gdy trwały wczoraj próby, a ty wyrywałeś barmankę w zajeździe.

– Wpuścili cię do wozu?!

– Nikt mnie nie widział. Akurat montowali kable na scenie. Ile waży taki wzmacniacz mocy?

– Z siedemnaście kilo na pewno.

– A kolumny?

– Te mniejsze to każda ze dwadzieścia. Po chuj ci to wszystko?! I co mam im powiedzieć?

– Cokolwiek. Robisz prywatną imprezę na przykład.

– Robię prywatną imprezę miesiąc po śmierci ojca?! Nie uwierzą!

– Od kiedy obchodzi cię, czy uwierzą, czy nie? Jesteś ich szefem. Dzwoni do nich, bo nie mamy czasu!

Podaje mi swój telefon. Wybieram z pamięci numer jednego z techników, którego znam od lat. Schrypnięty, zaspany głos. Mówię mu to, co każe mi Bielenda. Obiecuję premię. Nie potrzebuję ludzi do podłączenia. Mają tylko przywieźć sprzęt z Łeby do Janiszewa i wrócić po niego w poniedziałek rano. Sam to podłączę.

– Co nagłaśniamy? Plener, jakieś disco w remizie czy prywatny dom?

Andrzej słyszy to pytanie, bo facet drze się do telefonu.

– Nic z tych rzeczy. Ważne, żeby sprzęt działał. Jak będą dojeżdżać do Janiszewa, niech dzwonią na mój numer – mówi cicho.

Przekazuję wszystko i kończę rozmowę. Wysiadamy z mercedesa. Przy bramie domu widzę kobietę, z którą rozmawialiśmy w Gnieździe Piratów. Wyciera dłonie w kraciasty fartuch. Nie założyła okularów przeciwsłonecznych. Jej blizny są przerażające.

KSENIA

22 CZERWCA – JANISZEWO

Kościół jest niewielki. W nowoczesnym stylu. Czarne ogrodzenie. Figura białego Chrystusa uginającego się pod krzyżem. Na tyłach plebania. Ojciec Tomasz ma klucze. Nikt nas nie wita. Trochę to dziwne, że nie ma tu proboszcza, gospodyni, ministrantów. Ale tłumaczy mi, że msze odprawiane są tu tylko kilka razy w tygodniu. Dostaję pokój na poddaszu. Maleńki, z cudownym widokiem na zatokę i na wydmy. Wychodzę na balkon. Wiatr rozwiewa mi włosy. Słyszę muzykę z daleka. W Janiszewie

jest tylko jeden hotel. Ojciec Tomasz powiedział mi, że tu także panoszy się zło, ale gdy zamieszka tu na stałe, to dobro wróci. Ludzie odwrócą się od szatana, porzucą niemoralne praktyki i alkohol. To diabeł go wymyślił. I zmienia ludzi w demony.

Idę na spacer, bo wiem, że dopiero wieczorem rozpocznie się pierwsze spotkanie zboru. Jedyne dla najbliższych współpracowników ojca Tomasza. Omówimy przygotowania do jutrzejszej nocnej ceremonii na wydmach. Wiem, że będzie to dla mnie ostateczne oczyszczenie i duchowa przemiana. Podekscytowana kręcę się po miasteczku, które wygląda jak wymarłe. Pusty rynek, na którym tylko apteka, mały spożywcza i monopolowy. Trochę to dziwne, bo przecież zaczął się sezon i taka miejscowość powinna być pełna turystów. Deszcz już nie kropi, zrobił się upał i cieszę się, że założyłam japonki. Zagaduję tęgawą kobietę, która mija mnie z wózkiem.

– Dzień dobry. Jak dojść na plażę?

– Szuka pani kwatery? Niech pani popyta w Gnieździe Piratów.

– Nie szukam kwatery. Chciałam dojść na plażę. Właśnie przyjechaliśmy i jestem tu pierwszy raz. Poznają dopiero okolicę.

– A gdzie pani nocuje?

– Na plebanii.

– To z nim pani przyjechała?!

– Chcę tylko dojść na plażę. To w tamtym kierunku, tak?

– To się nigdy nie skończy! Nie mają wstydu! Lata temu Boga z serc wypędzili!

– O kim pani mówi?!

– O was! Diabelskie nasienie! Cierpienia ludzi wam mało?! Krwi wam mało?!

Chwyta mnie mocno za ramię.

– Niech pani mnie puści, bo wezwę policję!

– Policję?! – śmieje się chrapliwie. – Żaden patrol tu nie przyjedzie!

W końcu mnie puszcza. Na ramieniu zostaje mi czerwony ślad po odcisniętych palcach. Zostawiam ją bez słowa. Próbuję biec przez rynek, ale w japonkach to niemożliwe. Odwracam się przez ramię. Zniknęła! Jestem pewna, że miejscowi nie rozumieją ojca Tomasza i jego zboru. Jego idei, założeń, jego nowatorskiego podejścia do religii. Docieram na plażę po kilkunastu minutach. Z japonkami w dłoniach biegnę w stronę morza. Jest pusto. Gdzieś daleko widać pokraczny budynek hotelu. To stamtąd niesie się muzyka. Chcę poleżeć na piasku, złapać trochę słońca. Pomedytować. Rozglądam się. Nikogo. Zdejmuję sukienkę, zostaję w majtkach i w staniku. Pewnie turyści rozłożyli się na plaży bliżej Gniazda Piratów, bo tam można kupić piwo. Uśmiecham się pobłaźliwie. Mnóstwo ludzi nie rozumie, jak ważna jest duchowość. Żyją tylko dla nic nieznaczących, a czasem szkodliwych przyjemności. Kładę się na piasku i wpatruję w niebo. Szum morza mnie uspokaja. Koi moje smutki. Wciąż mam żal do Andrzeja, że mnie zdradził. Rozumiem, że martwi się o matkę, ale dlaczego nie rozumie, że jestem dla niego stworzona?! Nagle czuję lekkie uderzenie w udo. Przestraszona, otwieram oczy. Kolejna szyszka ląduje na moim brzuchu. Dostaję w ramię muszlę. Zarośla za wydmami poruszają się i znowu w moim kierunku lecą szyszki. Jedna za drugą.

– Niech się pani nimi nie przejmuj.

Dopiero wtedy ją dostrzegam. Tuż nad brzegiem morza. Wysoka kobieta z czarnosiwymi włosami niedbale związanymi nad karkiem, w ubrudzonej piaskiem sukience, na bosaka.

– To gówniarze. Nudzą się. Szkoła się skończyła. A oni nie lubią obcych.

– Pani jest stąd?

Unoszę dłoń do czoła, bo słońce mnie oslepia. Wydaje mi się sympatyczna. Chcę coś powiedzieć, ale zamieram. Nie mogę oderwać wzroku od jej twarzy. Od blizn na jej policzkach, na czole, na powiekach.

– Mieszkam tu od trzydziestu lat.

IGA

23 CZERWCA – WEJHEROWO/JANISZEWO

Znalazłam go kilkanaście metrów dalej od parkingu przy stacji benzynowej. Pił kawę z plastikowego kubka, dopalając papierosa.

– Myślałam, że zwiąłeś.

– Jak? Autostopem? – Rajmer skrzywił się i rzucił niedopałek na spalony słońcem trawnik.

Wokół nas nie było nic. Tylko trasa szybkiego ruchu i stacja benzynowa. Nigdy wcześniej nie widziałam go z papierosem.

– Co ma w sobie Tomasz Mossakowski, że od lat narażasz dla niego swoją karierę i reputację? – spytałam, gdy ruszyliśmy.

Nie odpowiedział. Uchylił okno i spojrzał mi przez ramię. Potem w lusterko. Żadnego samochodu za nami, gdy wyjeżdżaliśmy spod stacji benzynowej.

– Mam włączoną lokalizację w telefonie. Wiedzą, gdzie jestem. Jeżeli coś kombinujesz, to zmień tok rozumowania – odezwałam się natychmiast.

– Dlaczego obca kobieta jest dla ciebie taka ważna? Od zawsze chłapała na umór. Lata temu opieka społeczna zabrała jej jedyne syna. Pomyśl, Iga, czy warto się narażać dla kogoś takiego?

– Grozisz mi? Czy mi się tylko wydaje?

– Wydaje ci się.

– Skoro jest takim ludzkim śmieciem, to dlaczego jest tak ważna dla was?

– Bo założyła nasz zbór.

– Przestań pierdolić!

– Mało wiesz.

– Chcę wiedzieć więcej!

Nie odzywał się ponad godzinę. Wiedziałam, że kombinuje, jak się mnie pozbyć, bo byliśmy coraz bliżej Janiszewa.

Teraz mijamy ogromne pole niedaleko Łeby, na którym ustawiono scenę i montowane są głośniki przed kolejną wieczorną imprezą z okazji nocy świętojańskiej. Wszędzie wiszą kolorowe banery informujące o koncercie zespołu disco polo. Zrobił się korek. Coraz więcej samochodów skręca na prowizoryczny parking kilkanaście metrów dalej. Piotr rzuca mi szybkie spojrzenie.

– Źle wyglądasz.

– Nie lubię upałów.

– Nie pasuje mi, że twój Andrzej wmanewrował cię w tak niebezpieczną sytuację.

– Uważasz się za niebezpiecznego? Pan profesor ma broń w bagażniku?

– Nie mam broni. Ale oni nie lubią nieproszonych gości.

– To spraw, żeby mnie polubili. Ojciec Tomasz wie, kim jestem, prawda?

Nie odpowiada. Kładę mu dłoń na kolanie.

– Zabierz rękę!

– Nie lubisz kobiet?

Widzę, że robi się czerwony ze złości. Rusza. Po dwudziestu minutach korków już nie ma. Droga pomiędzy topolami robi się prawie pusta. Dostrzegam na tablicy informacyjnej napis: JANISZEWO 5.

– Jeszcze możesz się wycofać. Zostawię cię na najbliższym przystanku pekaesu. Co godzinę tu jest autobus do Łeby. Zapomnimy o całej sprawie.

– Dzięki za troskę. Mam inne plany!

– To nie są żarty, do kurwy nędzy!

Samochód staje na pustej drodze.

– Jedź!

Nie reaguje. Wyrывam kluczyki ze stacyjki i wysiadam z jego toyoty.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz?!

– Zamieńmy się miejscami! Gdzie ją trzymają? Mów, do jasnej cholery, gdzie ona jest?!

Bez słowa zajmuje siedzenie dla pasażera.

– W sanktuarium. Trzy kilometry od Janiszewa. W lesie. Skręć za chwilę w lewo. Polna droga.

MAKS 23 CZERWCA – JANISZEWO

– Moja matka zaginęła miesiąc temu. Ma siedemdziesiąt lat. Nazywa się Wanda Bielenda. – Andrzej pokazuje kobiecie zdjęcie w telefonie.

Siedzimy na tarasie. Drewniany dom wydaje się całkiem pusty. To dziwne, bo właśnie zaczął się sezon, a tu jest całkiem przytulnie. Trochę daleko od plaży i na uboczu, ale ogród jest piękny. Może jej twarz odstrasza letników? Staram się na nią nie patrzeć. Andrzej odwrotnie. Patrzy jej w oczy.

– Uczyła mnie matematyki. Piękna kobieta. Taka naturalna uroda. Nie malowała się, a mężczyźni i tak tracili dla niej głowy. Ciebie też pamiętam. – Uśmiecha się do Bielendy, jeżeli ten dziwny grymas można nazwać uśmiechem. – Chwaliła się tobą.

– Naprawdę?!

Coś w jego głosie brzmi inaczej. Jakby chciał się upewnić, że nie kłamie.

– Szybko nauczyłeś się czytać. Potem liczyć. Śliczne dziecko. Dlaczego szukasz jej tutaj? Przecież wyjechaliście stąd trzydzieści lat temu.

– Może postanowiła na starość wrócić do miejsca, w którym się urodziłem? Nie wiem, co robić! Sprawdziliśmy już wszystko. Szpitale, kostnice, ośrodki dla bezdomnych, noclegownie.

– Nie widziałam jej tutaj, ale rzadko wychodzę... Ciebie bardziej pamiętam, Maks.

Robię się czerwony.

– Mój ojciec został zamordowany. Miesiąc temu we własnym mieszkaniu w Warszawie.

– Śmierć zawsze jest tajemnicą.

– Nie mamy czasu na słuchanie filozoficznych rozważań! I jego matka, i mój ojciec należeli do zboru! Wiesz, co się tu dziś wieczorem będzie działo, czy udajesz, że nie masz o tym pojęcia?!

Nie jestem dyplomatą. Od miesiąca prawie nie sypiam. Brutalna śmierć ojca i cholerna bezsenność zrobiły ze mnie pozbawione uczuć zombie! Dlaczego mam się przejmować jej poparzoną twarzą i prowadzić jakąś konwersację nie wiadomo o czym?! Chcę poznać fakty! Chcę wiedzieć, co się tu działo i co się odbywa co roku! Chcę wiedzieć, dlaczego mam część pieniędzy po ojcu oddać tym pojebom! Wyrzucam z siebie te słowa z prędkością światła. Chrypię. W końcu milknę.

– Śmierć zawsze jest tajemnicą. – Nowicka mówi coraz ciszej. – Nie dali mi go nawet pochować. Zabrali go. Jakby go nie było. Jakby nigdy nie istniał.

– O kim pani mówi? – przerywa jej Andrzej.

– Wyciągnęłam go z ognia... Nie czułam bólu. Ale było za późno...

Wymieniamy spojrzenia. Przed chwilą wydawała się nam całkiem normalna. Teraz obaj mamy wrażenie, że ta kobieta wpada w trans.

– Na każdej ceremonii składają ofiarę. *Przygotujcie rzeź dla jego synów z powodu niegodziwości ich ojca! Niech nie powstaną i nie wezmą świata w dziedzictwo! Niech...*

– Kogo wyciągnęła pani z płomieni? – Andrzej dotyka jej dłoni.

Na niej też są blizny. Ma zdeformowane palce.

– Dziecko... moje dziecko... noworodka...

– Kiedy to było?

– Trzydzieści lat temu. Chciał, żeby się dopełniło. Żeby patrzyła jak inni! Potrzebowali ofiary... a o nim nikt nie wiedział... Rodziłam w szpitalu...

– Tu w szpitalu? – Przełykam nerwowo ślinę.

Domyślam się, co usłyszę. W Janiszewie był tylko jeden szpital.

– Twój ojciec był przy porodzie. – Jej oczy przeszywają mnie na wylot. – Zabrali mi go od razu. Nikt nie wiedział, że jestem w ciąży. Miałam siedemnaście lat. Trzymali mnie tam, aż urodziłam. Mojej matce powiedzieli, że nikt nie może mnie odwiedzać, bo to pogorszy mój stan. Paczki tylko zostawiała. Tylko paczki... nawet listów żadnych nie... bo nie wolno... nie wolno było...

Kilka łez spływa po jej zdeformowanym policzku. Jest mi tak kurewsko wstyd za ojca, że gdyby siedział teraz tu przede mną, to dałbym mu w mordę! Jeżeli to, co mówi ta kobieta, jest prawdą. A może nie jest?! Jestem jak tonący, który chwyta się brzytwy. Przetrzymanywane w szpitalu psychiatrycznym młode dziewczyny, odcinane od rodzin i gwałcone?! I jeszcze to dziecko, które zginęło podczas ceremonii? To niemożliwe, żeby byli zdolni do czegoś takiego! I żeby mój ojciec o tym wiedział!

– Próbowwała pani ratować dziecko i stąd te poparzenia? – Andrzej przerywa ciszę kolejnym pytaniem.

– Zabrali mnie śmigłowcem aż do Siemianowic Śląskich. Bo tam najlepiej leczą oparzenia. Niewiele pamiętam z tego czasu. Wtedy lekarze odkryli, że niedawno rodziłam. Bo miałam piersi pełne mleka... tylko dziecka nie było.

Chce mi się wyć! Jeżeli za chwilę ta kobieta powie, że to mój ojciec zrobił jej dziecko, to, Chryste, nigdy więcej nie pójdę na jego grób! Nie będę szukał człowieka, który go zamordował! Pobłogosławię go!

– Policja zaczęła wtedy sprawdzać i pytać. Nawet z Gdańska śledczy przyjechali. Trochę miejscowych było na ceremonii i ktoś w końcu się wygadał.

– To dlatego ksiądz Tomasz tak nagle wyjechał z Janiszewa?

– Przestał być proboszczem. Zniknął stąd na osiem lat.

– A potem? – pytam szybko.

– Wrócił. Raz w roku wraca... Sanktuarium teraz buduje...Wróci pewnie na dobre.

– To on był ojcem pani dziecka?

Andrzej podchodzi do balustrady otaczającej taras. Przerażeni czekamy na jej odpowiedź. Obaj teraz myślimy o naszych ojcach. Czujemy to samo. Ten sam gniew.

– On był ojcem. Innego mężczyzny nigdy nie miałam.

Andrzej zbiega z tarasu. Próbuję go dogonić. Przy bramie jest ogrodowy szlauch, odkręca go i leje sobie lodowatą wodę prosto w twarz. Wyrzucam mu go błyskawicznie i rzucam na zadbane grządki. Jeżeli on zacznie świrować, to stracę jedyne go człowieka, który wie, co robić!

– Spokojnie! Tylko spokojnie! – Potrząsam go za ramiona. – To nie twoja wina! Grzechy naszych ojców to nie nasza wina! Nie ma czegoś takiego jak dziedziczenie grzechów!

– Jest dziedziczenie genów – mówi przez zęby.

Odwraca się, bo słyszymy dziwny dźwięk. Jakby śpiew niosący się po polach. Podchodzimy do ogrodzenia. Andrzej przeciera twarz dłońmi. Gdzieś daleko na ukwieconej łące widać dużą grupę ludzi. Wszyscy ubrani na czarno. Procesja zmierza w stronę lasu. Ich śpiew nie jest radosny. To zawodzenie pełne bólu.

KSENIA

22 CZERWCA – JANISZEWO

W ostatniej chwili wyrzucam mu pejcz, który rani jego skórę. Gdy wróciłam z plaży na plebanię, uderzyła mnie panująca tu cisza. Nie wiem, dlaczego nawet mewy, których stada widziałam nad brzegiem, omijają okolice kościoła. Usłyszałam szuranie i szepty z pokoju ojca Tomasza. Uchyliłam drzwi. Klęczał zwrócony twarzą do okna. W samych spodniach. Biczując swoje plecy pejczem, aż do krwi. Otuliłam go ramionami.

– To za moje grzechy i grzechy wszystkich, którzy w nas nie wierzą!

Teraz siedzimy w niewielkiej kuchni. Przemyłam mu spirytusem rany na plecach. Zrobiłam herbatę. Nigdy wcześniej się nie biczował.

– To mój rytuał przed ceremonią. Przed ostatecznym oczyszczeniem. Ból, który sami sobie zadajemy, jest innym bólem. Bólem z wyboru i karą, która nie może nas ominąć, bo jesteśmy grzesznikami. Sama mówiłaś, że cięłaś się, gdy byłaś nastolatką.

Wie o mnie wszystko. Opowiedziałam mu, co znaczyło dla mnie bycie córką głuchej kobiety. Jak bardzo wpłynęła na mnie jej niepełnosprawność. Od zawsze słyszałam, że jestem upośledzona tak jak ona. Mama wciąż chciała, żebym z nią była. Nie lubiła, jak szłam do koleżanek albo na podwórko.

Bo byłam jedyną osobą, która rozumiała jej miganie. Byłam do niej przyrośnięta. Tłumaczka świata, który był dla niej wrogi. A ojca ciągle nie było. Gdy poważnie zachorowała, zabawiał się z jej sąsiadką. Nienawidzę go! To także wyznałam.

Nagle spinam się, bo dostrzegam przez okno parkujący pod kościołem samochód. To czarny nissan. Widziałam go w okolicach zboru. Ojciec Tomasz staje za moimi plecami. Trzech mężczyzn wyjmuję walizki z bagażnika. Dwóch poznaję. Robi mi się zimno, chociaż na zewnątrz jest upał.

– Nie powiedziałaś mi, że oni też będą tu mieszkać! – krzyczę histerycznie.

– Na gorze są trzy wolne pokoje. Nie noś nienawiści w swoim sercu. Miej w nim tylko pogodę i radość, bo ceremonia coraz bliżej. Ona zmieni cię na zawsze.

Kładzie mi dłoń na ramieniu. Z nissana wysiada jeszcze ktoś. Chuda, w krótkich spodenkach, z małym plecakiem na ramionach. Zapala papierosa. Czeka, aż mężczyźni wyjmą walizki z bagażnika. Po chwili rzuca peta na pięknie przystrzyżony trawnik. I patrzy prosto na mnie. Alina ma w oczach coś, czego nie potrafię zapomnieć.

IGA

23 CZERWCA – JANISZEWO

Rajmer każe mi zaparkować na polanie w środku lasu. Staram się ukrywać, jak bardzo się boję. Muszę myśleć racjonalnie, ale rozpraszają mnie fale mdłości. Coraz mocniej kłuje mnie w podbrzuszu. Nie zdejmuję okularów przeciwsłonecznych, bo nie chcę, żeby widział moje oczy. Mogą zdradzić mu prawdę. Zagryzam wargi. Wsiadam z toyoty. Zamykam samochód i wrzucam kluczyki do torby. Rajmer spogląda w stronę lasu. Nasłuchuje. Nie słycać niczego poza śpiewem ptaków i bzyczeniem owadów. Jest wczesne popołudnie. Dociera do mnie jeszcze jeden dźwięk, na który początkowo nie zwróciłam uwagi. Szum. Morze jest blisko. Idę za nim, starając się nadażyć, bo przyspiesza kroku. Wchodzimy do lasu. Gdzieś widzę połamane konary drzew. Pewnie niedawno była burza. Dostrzegam zabudowania, które wyglądają jak plac budowy. Mur tylko częściowo ogradza potężną bryłę powstającego budynku. Betoniarki, rusztowania. Na zardzewiałej bramie ogromny transparent: „UWOLNIENI OD GRZECHU, SŁUGAMI SPRAWIEDLIWOŚCI BĘDZIECIE”. Robię kilka zdjęć telefonem. Żadnych samochodów dostawczych, żadnych robotników. Rajmer bez słowa popycha bramę.

– Miejscowi wiedzą, co planujecie dziś w nocy?

– Miejscowi biorą w tym udział. Tomasz ma niezwykły dar. Kochają go. Wiedzą, że należą do wybranych.

Budynek, który tu powstaje, jest ogromny. Podpiwniczenia są gotowe. Nie ma szyb w oknach na piętrach, są tylko w piwnicach. Wśród stert desek poniewierają się puszki i butelki po piwie. Gdy Rajmer się odwraca, robię kolejne zdjęcia i wysyłam Andrzejowi razem ze współrzędnymi GPS. Nagle słyszę dziwny dźwięk. Kilka metrów dalej dostrzegam w piwnicznym okienku dłoń. Uderza przybrudzoną szybę.

– Ktoś tam jest? To ona?!

Rajmer nie odpowiada. Wbiegam do środka czegoś, co jest tylko szkieletem budynku. Szukam schodów prowadzących na dół. Miotam się po wielkich pomieszczeniach zawalonych deskami i workami z cementem. Nagle fala mdłości wstrząsa mną tak mocno, że kulę się z bólu. Rzygam na swoje stopy w niewygodnych sandałach, na łydki, na sukienkę. I na męskie, eleganckie mokasyny, które nagle pojawiają się tuż obok. Unoszę głowę. Jednym ruchem wyrывa mi torebkę. Wytrząsa jej zawartość na spróchniałe deski. Uderzenia dochodzące z piwnicy są coraz głośniejsze. Jestem tak słaba, że nie mam siły protestować, gdy wykręca mi ręce.

MAKS

23 CZERWCA – JANISZEWO

– Nie możemy za nimi jechać! – tłumaczę mu, gdy wsiadamy do samochodu. – Zobaczą nas!

Andrzej nie odpowiada. Widzę, że jego udawana pewność siebie zaczyna rozpadać się

na kawałki. Bękart księdza! Gdyby ta kobieta nie straciła dziecka, to miałby rodzeństwo! Nie wiem, czy to, co powiedziała, jest prawdą... Wolałbym, żeby nie było! Nigdy nie słyszałem czegoś tak potwornego! Dlaczego ludzie milczeli przez tyle lat?! Powiedziała nam, że dochodzenie szybko umorzono. Mossakowski wmówił śledczym, że jej dziecko urodziło się trzy miesiące przed terminem, i pochował je na przykościelnym cmentarzyku. Nawet grób pokazał. Krzyż, kopiec, kilka białych wieńców i tabliczka. „+ Jaś Nowicki”. Nazwisko panińskie tej kobiety. Bała się powiedzieć komukolwiek, kto był jego ojcem. Podobno grób jest pusty. Kości dziecka są w sanktuarium. Andrzej był tak śmiertelnie blady, że zrobiło mi się go potwornie żal. Zrozumiałem, że jest tak samo przerażony jak ja. Odkrywanie tajemnic naszych ojców staje się torturą! Może lepiej byłoby odpuścić? Zostawić to i wyjechać?

– Pójdziemy za nimi na piechotę. Idą do sanktuarium. Muszę wiedzieć, gdzie to jest!

– Uważasz, że to bezpieczne? Tam jest gromada fanatyków! Jeżeli będziesz chciał stamtąd wyprowadzić matkę, to mogą być agresywni.

– Coś ci pokażę.

Wysiada z samochodu. Robię to samo i rozglądam się niepewnie. Kobieta, z którą rozmawialiśmy, już zniknęła w swoim domu. Wokół tylko pola i łąki. Procesja już jest w lesie. Andrzej otwiera bagażnik. Widzę podłużne pokrowce moro. Odsuwa materiał.

– Odpierdoliło ci? Co to jest?! Broń?!

– Sztucery myśliwskie. Zostały mi z poprzedniej roboty.

– Myślałem, że pracowałeś w hotelu na Mazurach?!

– Pracowałem. Właściciel lubił polować.

– Nie umiem strzelać! I, kurwa, nie chcę tego nawet dotykać!

Andrzej wyjmuje z pokrowca jeden ze sztucerów. Biorę go do ręki. Naprawdę lekki.

– Masz pozwolenie na broń?! Jak zgarbie nas jakiś patrol, to...

– Widziałeś tu policję? Najbliższy posterunek jest w Łebie. Mają pełne ręce roboty przez koncert.

A tu też ludzie polują.

– A to? – Dotykam niewielkiego, czarnego worka z płótna.

– Cztery noże myśliwskie. Mają klipsy do paska spodni. Weź jeden.

Po kilkunastu minutach szybkiego marszu nie mogę już za nim nadążyć. Wchodzimy do lasu, w którym gdzieś daleko rozbrzmiewa monotony śpiew. Czuję się jak idiota z zawieszonym na ramieniu w pokrowcu karabinkiem myśliwskim. Obserwuję Andrzeja. Jest skupiony i w ogóle przestał się do mnie odzywać. Może to pułapka? Może wkręca mnie, żeby się zemścić?!

– Co się dzieje? – Odwraca się nagle. – Masz dość? Możesz wrócić do samochodu. Możesz...

– Nie wrócę do samochodu. Zabili mojego ojca! Zamordowali go! Nie zasłużył na taką śmierć!

Nie wierzę, żeby...

– Zamknij się! Ktoś tu jest!

Rozglądam się wystraszony. Kilkanaście metrów dalej poruszają się zarośla. Nie od wiatru. Jest cholernie gorąco. Żadnej morskiej bryzy. Powietrze stoi. Nagle Andrzej popycha mnie mocno. Tracę równowagę. Spadam kilka metrów po wydmie, uderzając się boleśnie w kolano. Krztuszę się piachem. Chcę unieść głowę, ale jego uścisk jest mocniejszy.

KSENIA

22 CZERWCA – JANISZEWO

Tonąca w morzu purpurowa tarcza. Tak dziś wygląda słońce. Rozsiadam się na piasku i słucham kojącego szumu. Wiem, że za godzinę spotkanie najważniejszych osób zboru. Czuję się nieswojo na opustoszałej plaży. Wprawdzie z Gniazda Piratów dobiegają dźwięki muzyki, ale nie podoba mi się to miejsce. Trzymając klapki w dłoniach, idę w stronę hotelu, bo skręca mnie z głodu. Nie wiem, kto zaprojektował ten ohydny budynek. Psuje całe naturalne piękno okolicy. Wysłałam z plebanii, gdy Tomasz i jego trzech znajomi zasiadali do kolacji w kuchni. Słyszałam jej głos. Jej chrapliwy śmiech. Zastanawiam się, jak długo jest w zborze? Alina Galner budzi mój strach. Myślałam, że jestem jedyną bliską Tomaszowi kobietą. Ale wodził za nią wzrokiem, a ona kołysała tyłkiem w obcisłych, dżinsowych

krótkich spodenkach. Jestem zakochana w Andrzeju. W jego zielonych oczach i ciepłym głosie. Ale ojciec Tomasz jest moim autorytetem. Kimś ważniejszym niż kochanek. Kimś specjalnym! Dlaczego zaczął mnie ignorować, gdy pojawiła się ta dziewczyna? Nawet nie zauważył, że wyszłam z plebanii.

Zasmucona doszłam do bramy. Dostrzegłam staruszkę przeglądającą ogłoszenia parafialne rozwieszane na niedużej tablicy.

– Dziś wieczornej mszy nie ma? – odezwała się po chwili.

– Nie. Ksiądz proboszcz wyjechał. Wróci w niedzielę.

– Ale ktoś jest na plebanii!

Na parterze zapaliło się światło. Z kuchni dobiegał chrapliwy śmiech Aliny.

– Jesteśmy gośćmi księdza. Ojciec Tomasz korzysta z jego gościnności. Miał klucze i...

– Szatan!

Splunęła mi pod nogi. Nie chciałam wysłuchiwać jej obelg. Szła za mną aż na plażę. Dreptała. Drobiła małe kroczki, mamrocząc coś pod nosem. Chuda, zgarbiona, w białej chustce na głowie, w szarym swetrze i spodnicy do kostek. Miałam nadzieję, że ją zgubię. Ale dostrzegam ją znowu. Zrywa się wiatr od morza, więc przytrzymuje chustkę. Biegnę w stronę Gniazda Piratów, w stronę tarasu, na którym tańczą trzy pary. Przy barze zamawiam zupę rybną. Robi się coraz ciemniej. Mam nadzieję, że jakoś trafię z powrotem. Bo kościelną wieżę z dzwonnica widać z daleka.

– Smakuje? – Barmanka stawia przede mną szklankę wody. – Dziś przyjechałaś?

– Skąd wiesz?

– Bo nie jesteś opalona. U nas od tygodnia upały. Można tu wypożyczyć leżaki i parasole.

Przez ogromne, przybrudzone okno dostrzegam na tarasie staruszkę, która napluła mi pod nogi.

– Kto to jest? Zaczepiała mnie kilkanaście minut temu i...

– Nie przejmuj się. To stara Nowicka. Ma demencję. W głowie jej się miesza. Zimą to w ogóle z domu nie wychodzi. A latem gości nam straszy. Wszędzie jej pełno. Już wielu mówiło jej córce, żeby w zakładzie ją zamknęła.

Jedzenie rośnie mi w ustach. Staruszka już dostrzegła mnie przez szybę.

– Nie wiem, czego ona ode mnie chce?!

– Nie zwracaj uwagi na to, co mówi.

Wybiegam z Gniazda Piratów na parking zastawiony samochodami z rejestracjami z całej Polski.

Dzwoni mój telefon w torebce. To ojciec Tomasz.

– Wracaj natychmiast! Zaraz zaczynamy! Jesteśmy w sali rekolekcyjnej tuż obok kościoła.

– Oni... oni tam będą?

Doskonale wie, o kogo pytam.

– Wszyscy będą! Czekamy tylko na ciebie!

IGA

23 CZERWCA – JANISZEWO

Jego uścisk słabnie. Zalewa mnie fala strachu, ale nie czuję już mdłości. Klęka przy mojej torbie rzuconej na deski. Wypadło z niej kilka przedmiotów. Portfel, telefon. I jeszcze coś. Kamyk, który dostałam miesiąc temu od Jakuba Hoffmana. Zupełnie o nim zapomniałam. Zawinięty w serwetkę leżał gdzieś na dnie. Zapomniałam dać go Andrzejowi, tak jak prosił ten stary sąsiad jego matki. Uznałam, że to brednie i zabobony. Rajmer ogląda kamyk z każdej strony. Oddycham głęboko. Muszę odzyskać telefon! Mówię do siebie w myślach: „Opanuj się! Bądź spokojna! Improvizuj! Graj!”.

– Skąd to masz? – Rajmer kładzie kamyk płasko na dłoni.

Widzę na nim znak. Wygląda jak odwrócona, rozdwojona gałąź. Próbuję odzyskać pewność siebie. Mam wrażenie, że Rajmer zwariował. To nie jest człowiek, którego poznałam pół roku temu! Zachowuje się, jakby był w transie.

– Dostałam. Od bardzo ważnej dla mnie osoby. – Patrzę mu prosto w oczy.

– Dlaczego nie powiedziałaś od razu?! On daje je tylko wybranym!

– Widocznie mnie wybrał!

– Mówiłaś, że nie znasz Mossakowskiego.

– Testowałam cię! Tak jak mi kazał.

Cały czas gram. Dobrze, że minęły mi mdłości. Jestem mokra od potu, ale mój oddech się uspokaja.

– Wiesz, że tylko z takim kamieniem można wejść na ceremonię?

– Wiem.

Nie spuszczając z niego wzroku, klękam i zbieram rozrzucone drobiazgi do torebki.

– Wciąż cię testuje. – Uśmiecham się do Rajmera. – Wiesz, że nikomu nie ufa.

Znowu słyszę uderzenia o piwniczną szybę. Jestem pewna, że to Wanda! Tak się cieszę, że żyje!

– Wypuść ją!

– Zadzwoń do Mossakowskiego! Niech potwierdzi twoje słowa!

– Myślisz, że dał mi swój numer? Za krótko się znamy. Wyślę wiadomość do Andrzeja. Przecież wiesz, że jest jego synem.

Rajmer jest tak zaskoczony, że błyskawicznie z tego korzystam. Wybieram numer w telefonie. Nie odbiera. „Abonent poza zasięgiem sieci”. Rajmer słyszy ten komunikat.

– Napisz mu wiadomość! Powiedziałaś, że za nami jedzie! Gdzie on, kurwa, jest?!

Zaczynam układać sobie w głowie plan. Cieszy mnie, że nie wstawili tu jeszcze szyb. Parter tej budowli to właściwie gruzowisko desek i cegieł. Dopiero zaczęli budować piętra.

Przyjedź natychmiast do sanktuarium.

Twoja matka tu jest. Kocham cię.

Wysyłam.

– Oddaj mi ten kamień. Wiesz, że on będzie zły, gdy nasiąknie twoją energią.

Wiem, że mówię jakieś pompatyczne bzdury, ale na Rajmera to działa. Wrzucam kamyk do torby. W myślach błogosławię Jakuba Hoffmana, kimkolwiek był.

– Tomasz kazał mi zrobić zdjęcia widoku, jaki rozpościera się dziś z sanktuarium. Chodzi o niebo. I o to, czy widać stąd dym. – Uśmiecham się. – Mam wysłać mu na maila. Nie na telefon. Więcej nie mogę ci powiedzieć. Sprawdza cię. Tak jak nas wszystkich. Zrobmy te zdjęcia, a potem zadzwonisz do niego z mojego telefonu. Doskonale wiesz, że potwierdzi moje słowa.

Rajmer słucha mnie w milczeniu. Już nie zadaje pytań. Teraz moja szalona, spontaniczna podróż z nim wydaje mu się całkiem logiczna. Wiem, że muszę zachować zimną krew. Sprawić, żeby głos mi nie zadrżał. Wchodzimy po betonowych schodach na pierwsze piętro. Szkielet budynku jest zbudowany prowizorycznie. Wszędzie deski, druty, kable.

– Wyżej! Będzie lepszy widok – mówię spokojnie.

Na drugim, ostatnim piętrze czuję już na policzkach wiatr od morza. Starając się omijać deski, podchodzę do ogromnej wyrwy w betonowej ścianie, w której mają być zamontowane okna. Widać korony drzew. Sosnowy las. Słysząc szum morza. Wiatr rozwiewa mi włosy.

– Mam lęk wysokości i chorobę lokomocyjną. Dlatego rzygałam. Zrób dla niego kilka dobrych zdjęć.

Podaję mu mój telefon. Modlę się, żeby Andrzej nie zadzwonił, gdy będzie trzymał go w dłoniach. Modlę się, żeby natychmiast zaczął robić zdjęcia! Żeby nie przyszło mu do głowy, by gdziekolwiek dzwonić! Rajmer robi krok do przodu.

– Co ci kazał sfotografować?

– Niebo. Patrz w niebo!

Gdy się odwraca, popycham go z całej siły. Próbuje złapać mnie za ramię, ale błyskawicznie się cofam. Traci równowagę. Spada z wysokości dwóch pięter na gruzowisko desek tuż przy wejściu do sanktuarium. Mój telefon, który miał w dłoniach, rozbija się na miliony kawałków. Przestraszone ptaki wzbijają się do lotu. Robię krok do przodu. Spoglądam w dół z oszalałym ze strachu sercem. Nie mam pojęcia, czy jeszcze żyje... Wykręcone nienaturalnie ciało. Smuga krwi wypływająca spod czaszki. Nic nie czuję. Tylko ulgę. Przecież jestem wariatką. Zawsze nią byłam. Nie leczę się... Żałuję tylko

telefonu. Dotykam brzucha przez sukienkę. Żadnego bólu, żadnego klucia. Oddycham głęboko. Trzymając się betonowych ścian, schodzę w dół. Jest tylko cisza. I brzęczenie owadów.

MAKS

23 CZERWCA – JANISZEWO

– Są nad nami! Nie ruszaj się!

Przerażony unoszę głowę. Dostrzegam dwie sylwetki mężczyzn ubranych na czarno. Nie rozróżniam ich słów. Lodowata strużka potu spływa mi po plecach. Po chwili odchodzą. Andrzej, wciąż półożąc na ziemi, odpala mapę w telefonie.

– Niedaleko jest polana. Pewnie tam się zbierają. Patrolują okolicę. Ale nie spodziewają się nieproszonych gości.

Słucham go, próbując nie zwracać uwagi na ból kolana. Zaczynam się zastanawiać, ile w nim jest szaleństwa? Czy odziedziczył cokolwiek po swoim ojcu? Co naprawdę chce zrobić? Co planuje?!

– Dasz radę wstać? Złe wyglądasz.

Macham lekceważąco ręką. Mój kark jest czerwony i od słońca, i od ugryzień komarów. Żrą w tym lesie jak szalone. Jemu to nie przeszkadza. Nic go, kurwa, nie powstrzyma! Tylko przed czym? Co chce zrobić?! Przedzieramy się przez las kolejne pół godziny. W końcu drzew jest coraz mniej. Zalaną słońcem polanę opanowały czarne cienie. Jest tam kilkadziesiąt osób w różnym wieku. I drewniany, prowizoryczny podest. Część ludzi śpiewa i klaszcze, część rozmawia w małych grupach. Kilku mężczyzn montuje transparent nad podestem. Na nim ogromne oko i napis: „Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, lecz duszy zabić nie mogą!”. Skryci w zaroślach obserwujemy ich przez kilkanaście minut. Andrzej robi zdjęcia telefonem.

– Na co czekamy? – dopytuję się.

– Na niego. Lub na któregoś z jego zastępców.

– To może trwać godzinami!

– Może. Masz dość?

Potrząsam głową. I tak nie dałbym już rady wrócić do samochodu. Nie wiem, gdzie jestem, i nie mam telefonu.

– Nie wierzę, że co roku składają ofiary z ludzi. Może ta sprawa... z tym dzieckiem... to był wypadek? Nie mogliby zabijać bezkarnie przez trzydzieści lat! Kurwa, myśl logicznie!

– Ceremonie odbywają się tu od jedenastu lat. Przerwał je na jakiś czas, pewnie po tej tragedii. Sprawdziłem lokalne gazety sprzed lat. Szukałem informacji o zaginionych osobach, o morderstwach, o tragicznych wypadkach...

Obserwuję drewniany podest. Nie podoba mi się słup przytwierdzony na tyłach podestu i zwisające z niego sznury.

– W ciągu ostatnich sześciu lat zaginęło czterech miejscowych pijaczków. Dwóch właściwie nie miało bliskich, a rodziny pozostałych nie szukały ich.

– Dlaczego?

– To byli dość męczący żule, którzy wyłudzali kasę od miejscowych. Lali swoje żony, znęcali się nad dziećmi.

– Znaleziono ich ciała?

– Do tej pory nie.

– Czyli miejscowi mogą być mu wdzięczni, że oczyszcza miasteczko z szumowin! Od razu żyje się, kurwa, spokojniej!

– Na pewno. Do tego dochodzi jeszcze zabójstwo księdza, o którym mówiła ta barmanka. To już piąta ofiara, o której cokolwiek wiadomo.

– Ale przecież ksiądz zginął przypadkowo, podczas napadu rabunkowego na plebanię!

– Możliwe, że zabili go podczas ceremonii, a ciało podrzucili później, aranżując napad rabunkowy.

– Kiedy to się stało?

– Rok temu w czerwcu.

Urywa nagle. Spoglądam ponad jego ramieniem. Dostrzegam młodą kobietę w czarnej sukience na ramiączkach z rozpuszczonymi włosami. Natychmiast ją poznaję! Andrzej rzuca mi szybkie spojrzenie. Domyśla się wszystkiego.

– Jezu, to niemożliwe?! Jezu?! – mamroczę do siebie.

Alina uśmiecha się do mężczyzn poprawiających transparent na scenie. Wydaje im krótkie rozkazy. Dziewczyna, której uratowałem życie! Która mówiła, że mnie kocha! Która zjawiała się na pogrzebie mojego ojca! Nic, co robiła, nie było przypadkowe! Dawała mi dupy, żeby wiedzieć, jak przebiega śledztwo!

– Trzymasz się?

– Muszę zapalić – mówię szeptem.

Próbuję wymacać w kieszeni paczkę papierosów, ale czuję tylko nóż myśliwski zawieszony na pasku.

Zaciskam na nim dłonie. Aż bieleją mi palce.

KSENIA

22/23 CZERWCA – JANISZEWO

Dochodzi północ. Ich śpiew nie cichnie. Zawiazali mi oczy, tłumacząc, że gdy wyciszę zmysł wzroku, skupię się tylko na duszy. Cała się trzęsę. Nie potrafię powstrzymać tego drżenia. Jakieś silne ramiona unoszą mnie i kładą na stole. Słyszę śmiech Aliny, która nagle liże moje ucho i szepcze coś, czego nie rozumiem.

– Odpowiesz nam na kilka pytań i zakończymy inicjację – mówi ojciec Tomasz i dotyka mojego czoła.

– Odpowiem na wszystko, tylko mnie puście! Rozwiążcie mi oczy!

– To element rytuału. Wytrzymaj! Za chwilę każdy z członków zboru zada ci jedno pytanie. Będziesz z nami szczerą?

– Będę!

– Powiedz nam, kogo kochasz. Wymień te osoby.

– Kocham... Kocham... ojca Tomasza... jest dla mnie...

– Kogo jeszcze? – Alina znowu liże moje ucho.

Dym drażni mi gardło.

– Andrzeja.

– Kogo jeszcze?

– Nikogo.

– Dlaczego nie wymieniłaś nikogo z rodziny? – Poznaję ten męski głos i czuję ból w dole brzucha.

– Moja mama zmarła. A ojciec...

– Co do niego czujesz?

– Nic!

– Nie ma takiego uczucia jak nic. Co czujesz, gdy o nim myślisz? – Ojciec Tomasz dotyka mojego czoła. – Nienawidzisz go?

– Tak!

– Jak bardzo? Pokaż nam swoim krzykiem, jak bardzo! Uwolnij te uczucia! Im szybciej to zrobisz, tym szybciej skończymy.

Zaczynam krzyczeć tak głośno, że po chwili mój krzyk zmienia się w chrapliwe wycie. Próbuję się im wyrwać, ale są silniejsi.

– Niech twoja nienawiść opuści duszę i zmieni się w działanie! Tylko oczyszczenie cię uleczy. Masz chorą duszę, która potrzebuje nawrócenia. Chora dusza oznacza grzechy międzypokoleniowe. Nosisz w sobie ciężar grzechów swoich przodków. Dlatego cierpisz... To przodkowie z linii twojego ojca... ludzie źli, którzy skazili kolejne pokolenia...

Dochodzi do mnie zapach kadzidła. Nagle czuję lodowate, drobne palce między nogami. Chrapliwy śmiech Aliny niesie się po sali katechetycznej i odbija od ścian. Dziewczyna wsuwa mi dłoń w majtki.

– Niech ona przestanie! Niech przestanie!

– Twoje ciało jest nasze. Należysz do nas. Tak jak twoja dusza. Oddałaś się nam cała! Już nie ma ucieczki.

Czuję coś w środku. Między nogami. Bardzo głęboko. Zimny, gumowy kształt i okropny ból. Alina się śmieje. Oni także. Dociera do mnie, że to wibrator! Ogarnia mnie wściekłość, jakiej dawno nie czułam. Szarpie się gwałtownie. Uwalniam jedną z nóg. Kopię ją mocno w pierś. Słyszę hałas. Jej przekleństwa. Ich śmiechy. Ojciec Tomasz pomaga mi zejść ze stołu, zdejmuje mi z oczu przepaskę. Widzę siedmiu mężczyzn, w tym dwóch, których poznałam już wcześniej. Przewrócone krzesło na podłodze. I Alinę, której jeden z nich pomaga wstać. Ma taką wściekłość w oczach, że ogarnia mnie strach. Wybiegam z sali, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Biegnę przez korytarz. Potrzebuję powietrza! Po chwili, zapłakana, oddychając ciężko, okrążam tonący w mroku kościół. Unoszę głowę. Potężna dzwonnica wbija się w rozgwieżdżone niebo. Muszę być silna i to wytrzymać! Ciało jest marnością, niczym ważnym. To dusza jest ważna! Nic mi nie zrobili. Jestem ponad to! To był test! Tylko test! Ciało jest niczym! Marnością! Uspokajam się trochę. Widzę ojca Tomasza, który idzie w moim kierunku.

– Wiedziałem, że wytrzymasz. Inicjacja się udała – mówi, przytulając mnie mocno. – Chodźmy do mojego pokoju. Opowiem ci o naszej ceremonii. Jesteś już spokojna? Wystawiamy naszych członków zboru na niezwykle ciężkie próby. Nie przyjmujemy byle kogo. Przyjmujemy tylko tych najsilniejszych i wybitnie inteligentnych. Będiesz moją tłumaczką. Przetłumaczysz moje dzieła na angielski. Dzięki tobie grono naszych wyznawców wzrośnie! Jesteś dla mnie ważna! Najważniejsza!

Obejmuje mnie ramieniem. Unoszę głowę. Patrzę na nieruchomy dzwon i na gwiazdy. Tęsknię za Andrzejem. Gdyby tylko należał do zboru, moje życie byłoby pełniejsze. Ale na pewno go przekonam! Na pewno zrozumie, gdzie jego miejsce. A wtedy się dopełni!

IGA

23 CZERWCA – JANISZEWO

Trzymając się ścian, schodzę do piwnicy. Krzyczę jej imię. I znowu ten dźwięk. Łomotanie w piwniczne okno. Zakratowane drzwi po jednej i drugiej stronie. Kłódki. Słyszę szmer i odwracam się przerażona. Panicznie boję się szczurów.

– Iga! Jesteś tam?! Słyszałam cię! Jesteś sama?! – dobiega jej wołanie.

Ostatnie drzwi po lewej stronie. Cała piwnica jest zabudowana. To jedyne pomieszczenie, które zostało ukończone. Gdzieniedzie wiadra z wapnem.

– Gdzie jest Andrzej?! Gdzie mój syn?! – krzyczy znowu.

– Wysłałam mu wiadomość! Zaraz dojedzie!

– Dlaczego nie przyjechaliście razem?!

– Nic ci nie jest?! Nie wiem, jak dostać się do środka! Wszędzie są kłódki! Spróbuję z drugiej strony!

Po kilku minutach obchodzę budynek dookoła. Wanda wciąż uderza dłońmi w piwniczne okno. Rozglądam się. Wszędzie tylko deski. Przypominają mi się wiadra i cegły leżące na parterze. Wracam z jedną z nich.

– Odsuń się od okna! – wołam głośno.

Uderzam w piwniczną szybę raz za razem. W końcu pęka. Szkło boleśnie kaleczy mnie w rękę.

– Wrzucę ci deski! Stań na nich! Musi się udać!

Kiwa głową. Rozczochrana, w potwornie brudnym swetrze i w poplamionych wapnem spodniach. Musieli trzymać ją tu kilka tygodni. Ciągnę deski jedna za drugą. Tak bym chciała, żeby Andrzej już tu był! Przecież wysłałam mu namiary GPS, zdjęcia budynku! Co się z nim dzieje?! Kolejna deska i kolejna. Ciągnę je z coraz większym trudem. Sukienka lepi mi się do ciała. Znajduję jeszcze płyty paździerzowe, podkłady z tektury. Wszystko to wrzucam przez piwniczne okno. Kucam przy nim.

Wyciągam ramiona.

– Pomogę ci! Spróbuj!

Jest słaba, jej ciało drży. Za drugim razem się udaje. Oddycham ciężko, ledwo żywa i cała we krwi, bo z rany na mojej dłoni leje się coraz mocniej. Odwracam się, gdy słyszę nadjeżdżający samochód. Serce trzepocze mi z radości! Chcę biec w jego kierunku, ale zamieram. To dostawczy van na gdańskiej rejestracji.

MAKS

23 CZERWCA – JANISZEWO

Upalne popołudnie. Skręca mnie z głodu. Moja Alina zniknęła. Wsiadła do jednego z terenowych samochodów. Ukryty w zaroślach, obserwowałem, jak jej jeep odjeżdża, wzbijając tumany pyłu na leśnej drodze.

– Co ona wie na twój temat? – Andrzej nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Wie wszystko.

– Spałeś z nią?

– To nie jest, do chuja jasnego, twoja sprawa!

– Czyli spałeś. Ona to zainicjowała, tak?

Przypominam sobie, jak jedna z sąsiadek mojego ojca podpuściła mnie, żebym przez jej balkon wszedł do mieszkania Wandy. Teraz sobie uświadamiam, że to nie był przypadek, że właśnie wtedy znalazłem półprzytomną Alinę. Udawała czy naprawdę się struła?! Chciała wzbudzić moje współczucie? Chciała, żebym uważał ją za niewinną ofiarę splotu okoliczności?! Żebym o nic jej nie podejrzewał?! Jak mogłem być tak ślepy?!

– Wynajmowała pokój u mojej matki. Pewnie codziennie dostawali od niej raporty, co robi, z kim się spotyka. Milion razy mówiłem jej, że nie musi wynajmować pokoju obcym osobom!

– A może twoja matka wiedziała, kim jest Alina?! Może wiedziała, że prędzej czy później oni przyślą kogoś, kto będzie ją szpiegował?! Może robiła wszystko, żeby wprowadzić ich w błąd?!

– Nie wiem, czy jej nie przeceniasz... Ma siedemdziesiąt lat.

– Myślisz, że ludzie w tym wieku nie myślą logicznie?!

– A ty myślałeś logicznie, gdy nagle młoda dziewczyna zaczęła się tobą interesować? Pewnie pytała o szczegóły śledztwa w sprawie śmierci twojego ojca? Wiedziała, że wynajęła prywatnego detektywa?

– Wiedziała, kurwa... wszystko! Nie wiem, dlaczego mówiłem jej o każdym szczególe...

– Musiała być dobra.

– Dobra, kurwa, w czym?!

– Ty mi powiedz. W czym Alina Galner była tak dobra, że straciłeś rozum?!

Ogarnia mnie niepokonana wściekłość. Była nawet na pogrzebie mojego ojca! Stała pomiędzy nagrobkami! Nie założyła stanika, żeby mnie otumanic! Uświadamiam sobie własną, bezbrzeżną głupotę! Andrzej wyjmuję z kieszeni brzęczący telefon. Robi się blade. Nie spuszcza z niego wzroku.

– To technicy ode mnie?

Odchodzi kilka metrów. Dzwoni do kogoś kilka razy, ale widocznie ta osoba nie odbiera.

– Wracamy do samochodu! – krzyczy.

– Co się dzieje?!

– Wracamy do samochodu! Ruszaj się, kurwa, bo cię tu zostawię!

Tak szybko biegnie przez las, że nie jestem w stanie za nim nadążyć. Bola mnie noga, ramiona, kręgosłup. Jest młodszy ode mnie o dziesięć lat, ma świetną kondycję. Czuję się teraz jak staruszek, zwłaszcza po tym jak uświadomiłem sobie, że kobieta, w której się zakochałem, wykorzystwała mnie i być może ma coś wspólnego ze śmiercią mojego ojca. Na szczęście jego samochód już widać na polanie. Nie rozumiem, dlaczego Andrzej kłeka przy jednym z kół.

– Powiesz mi, do chuja jasnego, co się dzieje?!

– Przebili nam opony! Ślepy jesteś?!

Jego mercedes ma także potężną rysę na przedniej szybie. Ktoś próbował ją zbić, ale nie zdążył.

– Co się, kurwa, dzieje?

– Wiedzą, że tu jesteśmy!

Znowu próbuje gdzieś dzwonić. Bezskutecznie. Robi ruch, jakby chciał rzucić telefonem o drzewo. Opanowuje się w ostatniej chwili.

– Powiesz mi, kurwa, co się dzieje, czy nie?!

– Moja Iga jest w Janiszewie! – mówi cicho. – Już nie odbiera! Za późno!

KSENIA

23 CZERWCA – JANISZEWO

Po porannej kawie prawie wszyscy zniknęli. Zostałam na plebanii tylko z Aliną i czuję się coraz bardziej nieswojo. Robię porządki w kuchni. Obserwuję przez ozdobione koronkową zazdrostką okno staruszkę, która poprawia kolorowe wstęgi obok krzyża tuż przy bramie kościelnej. Gdy ktoś dotyka mojego ramienia, podskakuję przerażona. To Alina. W rękę trzyma butelkę piwa.

– Chcesz?

– Jest dziesiąta rano!

– Nagle jesteś chodzącą świętą? A w nocy, co się działo w pokoju ojca Tomasza?

– Nic się nie działo!

– Nieźle rucha, nie? Jak na jego lata to prawdziwy ogier. Przetestowałam go kilkanaście razy.

Alina bierze łyk piwa i wciąż krąży wokół mnie.

– Kręcisz go, bo jesteś nowa. Za miesiąc czy dwa mu się znudzisz. Znajdzie inną.

– Nie rozumiesz, co nas łączy!

– Co niby was łączy?! – śmieje się chrapliwie. – Wierzysz w jego gadki o zbawieniu świata?!

Wierzysz, że jest kimś wyjątkowym?! To pojeb! Wywalili go z Kościoła lata temu. Już dawno nie jest księdzem!

– Jest!

– Bo nosi koloratkę?! – Alina obejmuje mnie w talii i próbuje dotknąć moich piersi.

Z trudem się wyrwam. Uświadamiam sobie, że jest mocno na rauszu. Pewnie piła przez całą noc.

– No popatrz, Ksenia... Też jestem teraz księdzem. A nie? Nie jestem?

Sięga po koloratkę Tomasza rzuconą na parapet. Zapina sobie ją pod szyję. Rechocze i zaczyna tańczyć. Próbuje zejść jej z drogi, ale chwyta mnie za ramię.

– Jeżeli nie wierzysz w zbór... jeżeli nie wierzysz w to, co mówi Tomasz, to co tu w ogóle robisz?!

– A co się w życiu liczy?! Nie wiesz, kurwa?! Tylko kasa! – Alina bierze kolejny łyk piwa. – Zaczynałam na sekskamerkach. Byłam camgirl! Tak mnie znaleźli.

– Kto?!

– Jego znajomi ze zgromadzenia. Byłam zaraz po maturze, ale potrzebowałam kasy na życie... Powiedziałam sobie, że nigdy w nędzy egzystować nie będę. Tak jak cała moja pojebana rodzina!

– Puść mnie!

– Wiesz, co się w życiu tylko liczy?! Kasa i ruchanie!

Alina kuca przy lodówce i wyciąga z dolnej półki butelkę wódki.

– Chcesz?

– Alkohol to wynalazek szatana!

– O tak! Zajebisty wynalazek!

Otwiera butelkę i chlusta na mnie. Chce mi się płakać. Może jej zachowanie to test? Sprawdzian mojej lojalności wobec zboru? Ona jest jak diabeł! Płacze moje myśli, zasiewa wątpliwości wobec ojca Tomasza, który przecież dziś w nocy powiedział, że mnie kocha. Odpowiem jej siłą spokoju. Wytrzymam to! Alina wyjmuje zapalniczkę z jednej z kuchennych szuflad.

– Mogłabym cię teraz podpalić! Nikt by po tobie, kurwa, nie płakał! Twój stary zapomniał, że ma córunię, bo ma nową rodzinę, nie?! Nie masz nikogo! – krzyczy, machając mi zapalniczką przed nosem.
– Podpalę cię... podpalę...
– Nie zrobisz tego!
– Już raz zabiłam człowieka za ładne pieniądze... bardzo, kurwa, ładna kasa... Nie trzymam jej w banku! Nie można trzymać w banku kasy za zajebanie starucha! Wiesz, gdzie są moje pieniądze?
– Nie wiem! – Odpycham jej dłonie, gdy pstryka mi zapalniczką przed nosem.
– Misiaczki są kasą jebaną wypchane. Misie z mojego dzieciństwa... które nie mają bebechów w środku, kurwa, tylko kasa w nich jest... Misie moje jedyne, kurwa, bo innych zabawek nie miałam. To je zabrałam ze sobą do Warszawy. I przydały się. A jak szeleszczą!
Odpycham ją i wybiegam z kuchni. Wychodzę na powietrze, żeby odetchnąć. Nie dam się sprowokować! Nie zniszczą mojej wiary! Wiatr od morza rozwiewa mi włosy. Staruszka przy krzyżu zniknęła.

IGA

23 CZERWCA – JANISZEWO

Nie jest w stanie szybko iść, bo kuleje. Jej spuchnięte stopy ledwo mieszczą się w brzydkich, ubrudzonych wapnem półbutach. Podtrzymuję ją ramieniem. Przedzieramy się przez las, w stronę polany, gdzie zaparkowałam samochód Rajmera. Bardzo boli mnie lewa ręka. Znalazłam chustki w torebce i zrobiłam prowizoryczny opatrunek. Mam nadzieję, że w samochodzie jest apteczka. Słońce zaczyna zachodzić, gdy wychodzimy na polanę. Z ulgą otwieram samochód. Wanda siada tuż obok mnie. Sięgam po butelkę wody leżącą na tylnym siedzeniu. Podaję jej, bo boję się, że zemdleje. Wygląda strasznie. Zasinienia na szyi i pod okiem. Sweter i spodnie w plamach krwi. Pewnie też mojej, bo opatrunek zaczyna przeciekać.

– Powinam zawiadomić Andrzeja, żeby już tam nie jechał, ale straciłam telefon. Znasz kogoś zaufanego w okolicy, kto nam pomoże? Musimy poczekać na Andrzeja w bezpiecznym miejscu! Znasz takie miejsce?! Mam jechać do Janiszewa?

– Nie! Skręć dwa kilometry przed Janiszewem – odpowiada po chwili.

Ruszam zgodnie ze wskazówkami. Nagle w lusterku dostrzegam jakiś kształt.

– Jadą za nami! Skręć w prawo! – krzyczy Wanda, odwracając się gwałtownie.

– Tam jest las! Nie ma drogi!

– Skręć w prawo! Jest droga do leśniczówki!

Gdy skręcam i przejeżdżam kilkanaście metrów, widzę leśną, utwardzoną drogę. Po chwili wyłączam silnik. Zapada cisza. Zasuwa szybę. Czeka kilka minut. Po chwili słychać ryk silnika. Pomiędzy drzewami widać przez moment rozpędzonego vana. Znika, wzniesając chmury piachu.

– Już wiedzą, że Rajmer nie żyje! – mówię przez zęby.

– Co się stało?! Przecież przyjechaliście razem?!

– To był wypadek... Zmusiłam go, żeby mnie tu przywiózł! Wiedziałas, że on też jest w zborze?!

– Nie! Znam tylko tych, którzy zakładali zbór.

– Rajmer twierdził, że to był twój pomysł!

– Kłamał! Lata temu Tomasz wpadł na pomysł, żeby pomóc moim uczennicom i zorganizować nieformalne rekolekcje. Miałam się nie zgodzić? Wiesz, co niektóre z nich wyprawiały?! Nie byłam w stanie ich upilnować! Nie dawałam rady! Dostawałam upomnienia od dyrekcji, bo robiły, co chciały! Nudziły się po lekcjach... to była mała miejscowość... to było żeńskie liceum... one... kusiły młodych rybaków! Nawet nago opalały się na plaży!

– Ojciec Tomasz miał je uczyć moralności?!

– To był mój największy życiowy błąd! Chciałam w coś wierzyć! Chciałam naprawiać ludzi, naprawiać świat! Miałam straszne kompleksy z powodu biedy moich rodziców. Bardzo się zaangażowałam. Za bardzo! Tylu ludzi w to wciągnęłam! A on był mi wdzięczny. Myślałam, że razem robimy coś pięknego! Ważnego! W kościele, jak głosił kazanie, zawsze były tłumy. A pięknie mówił...

– I pięknie wyglądał, co? Chyba był szczęśliwy, że może być takim guru wśród ślicznych nastolatek i jeszcze ich atrakcyjna nauczycielka na niego leci. Czego chcieli od ciebie tym razem? Mścili się za to, że od nich odeszłaś?

Uruchamiam samochód. Auto wyjeżdża z lasu, trzęsąc się na wszystkie strony.

– Razem z Jakubem... mieliśmy plan, jak to wszystko zniszczyć, zakończyć. Znaleźliśmy świadków, którzy chcieli mówić. Spisaliśmy ich wyznania. Nagraliśmy.

– Gdzie to teraz jest?

– Nie wiem! Jakub trzymał to w mieszkaniu. Mówiłam mu, że to zły pomysł! Wydawało mu się, że jest ostrożny. Rzadko wychodził, nie chciał zatrudnić gosposi. Wolał, żebym to była ja... tylko mnie wpuszczał do mieszkania. I syna.

– Rozmawiałam z Maksem Hoffmanem. Wydaje mi się, że nic nie wie. Był przerażony tym, co się stało. Byłam w mieszkaniu jego ojca. Widziałam całe mnóstwo pudeł. Znalazł w jednej z kopert pieniądze. Czterdzieści tysięcy.

– To moje. Trzymałam je u Jakuba. Zamierzał otworzyć konto za granicą i przelać swoje oszczędności tam. Ale nie zdążył! Zaczęli nam grozić! Pobrałam wszystkie pieniądze z konta. Zaczęłam przygotowywać nasz wyjazd na południe Polski, do mojej dawnej przyjaciółki. Bałam się trzymać je w mieszkaniu. Wiedziałam, że moja sublokatorka donosi im, co robię! Udawałam przed nią, że nie planuję wyjazdu, że nie planuję uciec...

– Dlaczego, do jasnej cholery, nie powiedziałaś ani słowa Andrzejowi?! Mógł ci pomóc!

– Iga... ani ja, ani Jakub nie chcieliśmy, żeby nasze dzieci cierpiały z powodu tego, co zrobiliśmy trzydzieści lat temu! Jakub wtedy przez chwilę wierzył, że ceremonie religijne mogą pomóc jego pacjentkom! Potem uświadomił sobie, jak wielką zrobił im krzywdę! Miał potworne wyrzuty sumienia. Pomogłam mu odnaleźć dwie z nich. Wynagrodził im...

Wjeżdżamy teraz na szosę w kierunku Janiszewa. Wanda cały czas tłumaczy mi, jak jechać.

– To bez sensu trzymać tak ważne nagrania czy zeznania świadków w mieszkaniu! Zwłaszcza gdy się mieszka samemu! I gdy ma się dziewięćdziesiąt lat!

– Chyba że są tak dobrze ukryte, że nie wpadną w niepowołane ręce. Jakub był piekielnie inteligentny. I to się nie zmieniło nawet tuż przed jego śmiercią. Nawet nie wiesz, jak bardzo za nim tęsknię! Jak mi go brakuje! Boże... gdybym wiedziała...

Spogląda na moją lewą dłoń.

– Zatrzymaj się! To źle wygląda! Masz apteczkę w samochodzie? Zrobię ci profesjonalny opatrunek. Robiłam kursy pierwszej pomocy, jak byłam nauczycielką.

– Zatrzymam się dopiero, jak będziemy na miejscu!

Otwieram okno. Chłodne powietrze smaga mnie po twarzy. Robi się coraz ciemniej. Prawie nic nie widzę, bo droga jest słabo oświetlona.

– Czyje to były zeznania? Kto zgodził się mówić? Gdzie to może być? Próbowali cię zmusić, żebyś im powiedziała?!

– Próbowali. Zamknęli mnie tam najpierw bez jedzenia. Tylko z...

– Z czym?

– Dwie butelki wódki. I sok. Przez dwa dni i dwie noce nikt do mnie nie zaglądał.

Spoglądam na nią przestraszona.

– Godzinami patrzyłam na te butelki. Wiesz, co znaczy dla alkoholika, gdy po prostu może sięgnąć i się napić? Zwłaszcza w takiej sytuacji? Gdy wie, że wszystko się kończy.

– Co zrobiłaś?

– Zamykałam oczy. Wbijałam sobie paznokcie w skórę. I tylko myślałam...

– O kim?

– O synku myślałam. Skąd on ma siłę, której ja nigdy nie miałam? I to pomagało. Butelki stały. Nietowarte. Do końca.

MAKS

23 CZERWCA – JANISZEWO

Andrzej otwiera bagażnik mercedesa. Wyciąga z niego kurtkę moro, pudełko z nabojami, noktowizor. I duży sweter, który rzuca w moim kierunku. Bo widzi, jak się trzęsę. Wkładam go nieporadnie. Obserwuję go bez słowa. Zachowuje się jak robot. Wiem, że w głębi duszy jest przerażony jak ja.

– Co robimy?

– Idziemy na piechotę. To dwa i pół kilometra stąd.

Spogląda jeszcze raz na telefon. Dzwonił do niej z piętnaście razy. Abonent poza zasięgiem sieci. Chujowo to wygląda. Nie pojmuję, dlaczego jego kobieta tu przyjechała?! Ta zrozumiała artystka, której ciało jest tak kuszące, że każdemu facetowi staje na jej widok. Gdybym miał taką dziewczynę, to nie wypuszczałbym jej z domu. Znowu myślę o Alinie. Nie jest moja i nigdy nie była. Nie jest piękną jak Iga Bernard. Jest nijaka. Tylko ta jej beczelność była seksowna. Idąc za Andrzejem, trzęsę się z wściekłości. Przypomina mi się, jak pokazała mi w telefonie zdjęcia mojej żony z młodym kochankiem. Nawet to nie było dla mnie podejrzanę! Łaziła za mną, a jej znajomi łazili za moją żoną. Myślę o Darii i coś dusi mnie w gardle. Nie wiem, która zdrada jest bolesniejsza? Żony czy kochanki?

Unoszę głowę. Na nocnym niebie kłębią się coraz ciemniejsze chmury. Poprzednia noc była ciepła. Teraz zanosi się na deszcz. Nie wiem, gdzie jestem. Na pewno daleko od głównej drogi łączącej Janiszewo z resztą świata. Za nami las i przed nami las. Gdy myślę, że mamy do niego wejść, zaczynam wpadać w panikę. Widziałem twarze tych ludzi! Nie ma nic gorszego niż fanatyzm! Wyłącza myślenie, robi z ludzi oszołomów pogardzających innymi.

– Po chuj twoja dziewczyna tu przyjechała?! Przecież to wszystko komplikuje!

Nie zwraca uwagi na moje wrzaski. Po półgodzinie szybkiego marszu widzimy w oddali na polanie szkielet budynku okolony częściowo tylko zbudowanym murem. Andrzej rozgląda się nerwowo. Okrążamy w pewnej odległości budynek dookoła. Dostrzegam na bramie transparent: „UWOLNIENI OD GRZECHU, SŁUGAMI SPRAWIEDLIWOŚCI BĘDZIECIE”. Panuje upiorna cisza. Nie słychać żadnych głosów ani samochodów.

– Spierdalajmy stąd. Jej tu nie ma!

Andrzej ma jak zwykle w dupie to, co myślę. Wyciąga sztucer z pokrowca. Pokazuje, że mam zrobić to samo.

– Zaczekaj tu. Podejdę bliżej. Gdy zobaczysz któregoś z nich, to strzelaj.

– Mam, kurwa, strzelać do człowieka?!

– W powietrze. W cokolwiek.

Pokazuje mi, jak użyć broni. Jestem pewien, że w nic nie trafię, tak trzęsą mi się dłonie. Rusza, zostawiając mnie w zaroślach chorego ze strachu. Przeraża mnie ta ciemność. Oblepiająca, groźna, tajemnicza. Każdy szmer wywołuje u mnie palpitacje serca. Wyjmuję nóż myśliwski z futerału zawieszona na pasku od spodni. Mija dwadzieścia minut. Pocę się jak świnia. Może go zabili i idą teraz po mnie?! Tysiące idiotycznych myśli krąży mi po głowie. Może dlatego, że nie przespałem ani godziny poprzedniej nocy? Może dlatego, że zdrada Aliny wbija mi się w serce mocniej niż zdrada żony? Jak żalosnym trzeba być frajerem, żeby zostać tak podwójnie zdradzonym? I jeszcze, Chryste, zamordowano mi ojca! Myślę teraz o moich dzieciach i zaczynam bezgłośnie płakać. Bogu dziękuję, że są bezpieczne! Mija kolejne dwadzieścia minut. Słyszę szmer. Spanikowany chowam się w zaroślach. To Andrzej. Ma kurtkę ubrudzoną błotem i wapnem.

– Co się dzieje?!

– Nikogo tam nie ma! Przy wejściu do budynku tylko stos desek, cegieł i kałuża krwi.

Opiera się o pień drzewa. Osuwa się i siada na ziemi, ukrywając twarz w dłoniach.

– Dzwonię na policję! Mają moją matkę i moją Igę... Niech, kurwa, coś zrobią, bo ja już...

Przerywa, bo brzęczy mu telefon w kieszeni spodni.

– Odbierz! – Kucam przy nim. – No odbierz, kurwa!

Wyszarpuje telefon z kieszeni. Marszczy brwi. Nie kojarzy numeru. Słucha przez chwilę, podnosząc się z ziemi.

IGA 23 CZERWCA – JANISZEWO

Gdy Wanda kazała mi zaparkować przed niewielkim otoczonym ogrodem domem z tabliczką „Zimmer frei”, wysiadłam z samochodu na nogach jak z waty. Miałam w głowie tylko jedno marzenie. Niech ktoś da mi telefon na minutę! Muszę zadzwonić do Andrzeja! Muszę go ostrzec! Muszę wiedzieć, gdzie jest! Jakaś kobieta otworzyła bramę i wpuściła nas do środka. W ciemności jej twarz wyglądała dziwnie. Jakby była jedną, wielką, potworną blizną.

– Czy może mi pani pożyczyć telefon? Błagam! Zapłacę!

– W przedpokoju na stoliku jest stacjonarny. Nic nie trzeba płacić.

Wbiegłam do środka, nie zwracając uwagi na płaczącego się pomiędzy nogami spaniela. Znalazłam telefon i wybrałam numer Andrzeja, trzęsąc się od tłumionego szlochu. Odebrał po drugim sygnale. Radość zalała mi serce. Krzyczałam do słuchawki. Zapewniałam go, że nic mi nie jest, chociaż rwący ból dłoni nie pozwalał mi logicznie myśleć. Potem podałam telefon Wandzie, która tłumaczyła mu, gdzie jesteśmy. Gdy się dowiedziała, że nie ma samochodu, poprosiła tę kobietę z bliznami, żeby po niego pojechała. Nie wiem, kim ona jest, ale w myślach będę ją błogosławić do końca życia. Teraz z Wandą siedzimy przy kuchennym stole. Zrobiła herbatę, wyjęła chleb i sprawnie pokroiła go na małe kromki, bo ja mogę używać tylko jednej dłoni.

– Jedz. Źle wyglądasz. Umyj twarz, bo jak mój syn cię zobaczy, to jego trzeba będzie reanimować.

Po chwili znikam w łazience. Ładnie urządzona, niebieskie kafle, wielka wanna. Przez moment mam ochotę wejść do niej, ale tylko myję się jak kot, wycieram twarz, szyję, pachy. Z mojej kolorowej torby wyjmuję letnią sukienkę z długim rękawem, która zwinięta byle jak leży na dnie tuż obok kosmetyczki. Przez moment delikatnie masuję dół brzucha. Gdy to robię, dostrzegam Wandę w drzwiach łazienki.

– Jesteś w ciąży?

Nie mam siły jej okłamywać. I tak to nie ma sensu. Od dwóch tygodni moje piersi są jeszcze większe. Obejmuje mnie bez słowa.

– Przyjechałaś po mnie w takim stanie? Andrzej wie?

Opowiadam jej wszystko. Wiem, że postąpiłam głupio. Nieodpowiedzialnie. Taka jestem. Tak mam od zawsze. Jej synowi nie będzie ze mną łatwo. Jestem impulsywna. Moje życie to jeden wielki impuls. Pomaga mi włożyć sukienkę. I wtedy słyszę samochód parkujący tuż pod domem. Natychmiast wybiegam z łazienki. Gdy przy ogrodzeniu widzę wysoką, barczystą sylwetkę w przybrudzonej kurtce moro już wiem, że to on! Andrzej też mnie dostrzega. Nieogolony, zmęczony, rozpromienia się, przytula mnie tak mocno, że przez sekundę nie mogę oddychać.

– Nic ci nie jest? Dobrze się czujesz? Kochanie moje...

– Nic mi nie jest. Znalazłam twoją mamę... jest w środku... Była bardzo głodna, ale nie masz pojęcia, jaka ona jest dzielna... jaka...

Widzę Maksa Hoffmana wysiadającego z samochodu. Jego ubranie jest całe w błocie i w piachu.

– Nie miałem pojęcia, że tu przyjedziesz. – Próbuje się uśmiechnąć na mój widok.

– Jestem nieprzewidywalna. Tak już mam. Chodźcie do środka.

– Co ci się stało w rękę?

Andrzej próbuje coś mówić, ale ciągnę go do kuchni.

– Mamo?

Obejmuje ją mocno. Gładzi ją po głowie. Wanda wtula się w niego i zaczyna płakać. Wcześniej się trzymała, ale już nie ma siły. Po chwili chce koniecznie zrobić mi opatrunek. Weronika Nowicka przynosi apteczkę z łazienki. Słysząc hałas na werandzie. Szczekanie psa.

– To tylko moja matka – mówi kobieta z twarzą pooraną bliznami. – Napisałam jej wiadomość,

że mam gości. Pewnie chce sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Widzę, że Wanda wita się ze staruszką, jakby ją doskonale знаła. Matka Weroniki Nowickiej ma z osiemdziesiąt lat, ale z jej oczu emanuje niezwykła energia.

– Zaczynają za godzinę! Pojechali na ceremonię dwoma samochodami – mówi cicho. – Zamieszkali jak zwykle na plebanii. Są z nimi dwie młode kobiety. W poprzednich latach ich nie widziałam.

– Czyli plebania jest już pusta? – przerywa jej Andrzej. – Zainstalowano tam jakiś alarm, monitoring po napadzie na proboszcza w zeszłym roku?

– To nie był napad. Jego ciało podrzucili na plebanie po ceremonii. Był ofiarą. Bo chciał to całe towarzystwo przepędzić. Wiedział, że diabeł ich opętał! Wiedział, że ludzi krzywdzą! I zapłacił za to! Nic nie zainstalowali po tym niby-napadzie.

– Skąd pani to może wiedzieć? – Maks dopija wodę z wielkiej butelki. – Skąd ta pewność?

– Na poranne msze chodzę. Ale i kwiatki przy drodze krzyżowej układam. Wazoniki czyszcę przy obrazkach świętych. Nikt na mnie uwagi nie zwraca.

– Od lat uważają mamę za niegroźną wariatkę. – Weronika gładzi chude ramiona staruszki. – Tak jest bezpieczniej.

– Jestem jak ten kundel bezdomny czy kot, który wszędzie łązi i staje się przezroczystry, bo jest jak element krajobrazu. Po tym, co zrobili mojej córce, wiedziałam, że przyjdzie dzień, gdy zapłacą! Zapłacą za krzywdy wszystkich... Za to, co zrobili z naszego Janiszewa... Siedlisko szatana!

– Coraz więcej osób ma odwagę, żeby w końcu mówić – przerywa jej Wanda. – Bo zabitego dziecka wybaczyć nie mogą! Nie mogą zapomnieć!

Andrzej wkłada kurtkę. Wymieniamy spojrzenia.

– Chciałbym, żebyście z mamą już wracały do Warszawy. Nie możecie tu zostać. Może Maks mógłby...?

– Przykro mi, ale ja nie. – Hoffman także wstaje. – Zamordowali mi ojca. Muszę skończyć to, co zaczął przed śmiercią. Tylko tyle mogę dla niego zrobić.

Wychodzimy na werandę. Noc jest chłodna. Na rozgwieżdżonym niebie kłębi się coraz więcej czarnych chmur. Andrzej obejmuje mnie w talii. Puszczą, gdy słyszymy z lasu dziwny dźwięk. To śpiew. Monotonne zawrosczenie.

KSENIA

23 CZERWCA – JANISZEWO

Polana niedaleko sanktuarium oświetlona jest pochodniami. Tłum ludzi ubranych na czarno ustawił się wokół potężnego, drewnianego podestu. Ojciec Tomasz zapewnił mnie, że ceremonia sprawi, że grzechy naszych przodków i cały ból z nimi związany opuści nasze dusze. Kilkadziesiąt osób pod sceną klaszcze i śpiewa. Przy bramie odebrano im telefony, które rano dostaną z powrotem. Nie widzę Aliny i mam nadzieję, że jej nie zobaczę. Przekonała się, że mieszanie mi w głowie nic nie da! Zdałam kolejny sprawdzian. Ojciec Tomasz już wie. Opowiedziałam mu wszystko. Jest ze mnie dumny. Przemawia do tłumu. Ubrana w czarną sukienkę stoję obok niego, chłonąc każde słowo. Mówi, że jesteśmy wybrani, niezwykli, a jego dar sprawi, że za chwilę zostaniemy oczyszczeni. Słuchają go w skupieniu. Płaczą. Nagle zamieram. Dwóch ubranych na czarno mężczyzn wciąga na scenę Alinę. Jest zupełnie naga, podrapana, posiniaczona. Ma związane z tyłu ręce. Co oni jej robią?! Co się dzieje?!

– Dziś złożymy ofiarę z kobiety, która zgrzeszyła! Zamordowała człowieka! Oddawała swoje ciało za pieniądze! To zło w najczystszej postaci! Dzieło szatana, który ukrył się w jej umyśle i w jej duszy i w jej zbrukanym ciele! To nie człowiek! To szatan! Mamy go tu! W jej zbrukanym ciele! – Tomasz krzyczy, szarpiąc ją za włosy.

– Mamy go! Mamy! – Tłum zaczyna wyć w ekstazie.

Nie mogę uwierzyć w to, co widzę! Nic nie rozumiem! Tomasz kuca przy klęczącej Alinie. Szarpie ją za włosy do tyłu i do przodu tak mocno, że jej czoło uderza o deski na podeście. Ludzie wyją, wygrażają jej. Kilku mężczyzn na scenie podbiega do niej, gdy Tomasz jednym szarpnięciem odchyła

jej głowę do tyłu. Plują jej w twarz. Ma całą brodę we krwi, bo pękła jej warga. Jeden z nich gasi papierosa na jej szyi. Nie wiem, co robić! Boże drogi, nie wiem! Nagle tuż pod sceną dostrzegam znajomą sylwetkę. Czarna kurtka. Jasny zarost. Jako jedyny wśród tego tłumu nie krzyczy. Nie skanduje. Patrzy mi prosto w oczy. Wokół niego faluje tłum ludzi w czerni. Kilka minut później dostrzegam, jak Andrzej, niezauważony przez nikogo, powoli wchodzi na scenę. Rozpina kurtkę. Wiem, że mogłabym ostrzec Tomasza, ale nie robię tego. Nie wyduszam z siebie słowa, gdy Andrzej wyjmuje broń i celuje w jego kark. Drugą ręką wyciąga nóż myśliwski i rzuca w moją stronę.

– Rozwiąż jej ręce – zwraca się do mnie spokojnie.

Ojciec Tomasz odwraca się zaskoczony. Kilku mężczyzn wymienia przerażone spojrzenia.

– Cofnąć się, bo jak nie, to rozjebię mu czaszkę! Rozwiąż ją!

– Ksenia... daj mi ten nóż... – Głos ojca Tomasza także jest spokojny. – Daj mi nóż! On jest słaby.

Nie zabije mnie! Nie zabije mnie na oczach tylu ludzi! Podaj mi nóż!

Schylam się błyskawicznie. Podnoszę nóż z ziemi. Obaj nie spuszczają ze mnie wzroku.

– Jesteś jedną z nas! Rób, co mówię!

– Rozwiąż ją! Przetnij sznury!

Ich głosy zlewają mi się w jeden głos. Twarze zlewają się w jedną twarz. Łzy zalewają mi oczy. Przypomina mi się moja mama. Pogubiłam się po jej śmierci. Zgubiłam siebie. Nie wiem, kim jestem. Nie wiem, kim powinnam być! Jezu, nic już nie wiem! Kucam przy Alinie, która zwinięta w kłębek szlocha na podeście. Przecinam sznur zaplątany na przegubach jej rąk.

– Kolejny raz chcecie zamordować człowieka?! W imię czego?! W imię religii?! W imię zbawienia?! Chcecie zostać mordercami?! Zapisaliście mu ziemię i mieszkania?! Jak długo ten morderca będzie rządził waszym życiem?! – krzyczy Andrzej do mikrofonu.

Zapada cisza. Po chwili słychać krzyk.

– Kim jesteś?!

– Jego synem! Od lat opowiada wam o czystości ciała, a sam grzeszy! Zawsze grzeszył! Wykorzystuje was! Waszą wiarę, wasze pieniądze i wasze ciała! Obudźcie się! Przerwijcie to szaleństwo! Ten człowiek jest nikim! Jest zerem! Jest jebanym śmieciem! Jest mordercą!

Coraz bardziej boję się o Andrzeja, bo mężczyźni stojący przy scenie mają oczy pełne nienawiści! Chore! Niektórzy zaciskają pięści, wygrażają mu. Jeżeli rzucą się na niego, nikt oprócz mnie mu nie pomoże. Kątem oka obserwuję ubranych na czarno członków zboru za plecami ojca Tomasza. W ręku jednego z nich błyska nóż. Wymieniają spojrzenia. Andrzej wciąż trzyma broń na wysokości czaszki Mossakowskiego, nie wiedząc, co się dzieje za jego plecami.

– Chcecie znaków?! Chcecie znaku, że to ostatnia ceremonia w waszym życiu?! Za minutę nastąpi przebudzenie! Odzyskacie człowieczeństwo! Przestaniecie być niewolnikami! Przestaniecie być mordercami! Obudźcie się! Ten znak was uwolni! To przebudzenie!

Krąg się zacieśnia. Krzyczę ostrzegawczo, gdy jeden z mężczyzn robi zamach, chcąc ugodzić Andrzeja w ramię. Ojciec Tomasz próbuje wyrwać sztucer, ale pada strzał. Mężczyźni natychmiast się odsuwają. Mossakowski kuli się na podeście, dotykając krwawiącego ucha. Andrzej staje nad nim, celując w jego klatkę piersiową.

– Cofnijcie się, bo go zabiję!

Teraz wiedzą, że nie żartuje.

– „Krew dzieci za grzechy ojców”?! Najwyższa pora zapłacić własną krwią za własne grzechy!

– słyszę ostry głos Andrzeja. – To twój dzień sądu! Koniec chorego cyrku! Rozumiesz, skurwielu?! To jest koniec! Twój i tego miejsca!

Na moment zapada cisza. Po chwili rozsadza ją potężny hałas. To dźwięk dzwonów. Przerażliwy! Rozdzierające dźwięki wbijające się w mózg. Pomiędzy drzewami błyskają światła radiowozów. Zrywa się chłodny wiatr. Słychać grzmoty. Ludzie zaczynają wpadać w panikę. Tłum faluje. Kilku mężczyzn w strumieniach deszczu zbiega z podestu. Andrzej kuca przy Mossakowskim, który ma twarz zalaną krwią. Rozgląda się nerwowo. Podaję mu kawałki sznurka, które wciąż mam w dłoniach. Andrzej błyskawicznie wykręca ramiona Mossakowskiego i związuje mu ręce. Zapłakana spoglądam na sygnet w kształcie małego oka na serdecznym palcu człowieka, który jeszcze przed chwilą był mi tak bliski.

Zdradziłaś mnie... – mówi jego spojrzenie.

Nawet nie spogląda na swojego syna krzyczącego coś do policjantów, którzy właśnie wbiegli na scenę. Wciąż patrzy na mnie.

– Przeklinam cię! Przeklinam na wieki twoje ciało i twoją duszę!

Słyszę jego krzyk wewnątrz czaszki. Ale przecież tak naprawdę nie mówi nic! Jest nikim w zalanej krwią białej koszuli, z mokrymi od deszczu siwymi włosami. Skulony na podeście, wygląda jak zniedołężniały starzec. Odarty ze swojej władzy, ze swojej charyzmy, ze swojej siły. Zmęczony. Upodlony. Żalony. Łykam już nie łyzy, ale krople deszczu, obserwując, jak po chwili policjanci pomagają Mossakowskiemu wstać i prowadzą go do radiowozu. Andrzej obejmuje mnie ramieniem. Nie słyszę jego słów, ale wiem, że mi dziękuje. Oboje jesteśmy przemoczeni. Śmiertelnie zmęczeni po tym, co się stało. Po chwili sięga po strzelbę leżącą na podeście. Widząc moje spojrzenie, wyjmuję z kieszeni dzinsów okrągłe pudełko.

– To śrut. Nic mu nie będzie. To tylko draśnięcie – słyszę, gdy potworny hałas w końcu cichnie.

Nie mam pojęcia, skąd dobiegał ten przeraźliwy dźwięk?! Rozsadzał mi mózg! Wbił się, wżerał aż do bólu w moją głowę. Czuję, jakbym obudziła się z głębokiego snu. Jakbym stała się w końcu sobą. Jakbym po długiej podróży powróciła do siebie, w swój umysł i w swoje ciało. Jakbym odzyskała duszę. Jakbym przestała być bezwolną lalką, z którą można zrobić wszystko. Przebudziłam się! Nareszcie!

MAKS

23 CZERWCA – JANISZEWO

Zbiegam po schodach dzwonnicy, trzymając się kamiennych ścian, które drżą od potężnego dźwięku dzwonów wzmocnionego koncertowymi kolumnami, które przywieźli moi technicy. Bogu dzięki nie zapomnieli o słuchawkach wyciszających dźwięk, bobym ogłuchł. Przez małe okno spoglądam na okolicę. Zrywa się silny wiatr. Kilkanaście osób zgromadziło się przy kościelnej bramie. Spoglądają w górę. Po kilku minutach jestem na zewnątrz. Słysząc grzmoty. Widzę ich za ogrodzeniem. Zrywam słuchawki z uszu. Kaszlę. Trzech młodych mężczyzn podbiega do mnie, ale cofają się, gdy wyszarpuję zza paska nóż myśliwski.

– Odsunąć się! Won ode mnie! Odsunąć się, gnoje! To koniec, kurwa!

Cofają się, bo wyglądam jak szaleniec. Śmieję się do siebie. Nie czuję już strachu. Zalewają nas strumienie deszczu. Dzwony cichną. Słysząc grzmoty. I sygnały nadjeżdżających radiowozów.

– To przebudzenie dla Janiszewa! Obudźcie się! To koniec zła! Przebudzenie!

W euforii biegnę na plażę. Nikt mnie nie goni. Spędziłem tu pół dzieciństwa. Błyskawice rozbłyskują na rozgniewanym niebie. Mam nadzieję, że Andrzejowi się udało. Morze się wścieka. Fale pienia się i rozbijają u moich stóp. To koniec gehenny tego miejsca i jego mieszkańców! Policja zaczęła obławę. Nawet tu słysząc syreny radiowozów. Zamieram. Widzę w oddali grupę ludzi próbujących wejść w pośpiechu do rybackiego kutra kołyszącego się na falach tuż przy brzegu. Wypłynięcie teraz w morze grozi śmiercią! Nie podczas burzy! Nie w nocy! Oszaleli?!

– Stójcie! Wracajcie! Jest sztorm! – krzyczę, biegnąc w ich stronę.

Brodzą po pas w spienionych falach, próbując wejść do kołyszącego się kutra. Dwóch mężczyzn i dziewczyna. Ma na sobie tylko męską kurtkę do kolan. Mokre długie włosy oplatające policzki. Poznają ją! Krzyczę jej imię z brzegu. Odwraca się na moment. Krzyczę, żeby wróciła! Jest sztorm! Nie jestem w stanie przekrzyknąć grzmotów, huku fal. Nie słyszy mnie, chociaż na brzegu wciąż macham rękoma, aż bolą mnie ramiona. Po kilkunastu minutach widzę, jak fale przewracają kuter. Potem nie widzę już nic. Ale wciąż krzyczę jej imię. Zapamiętam je na zawsze. Do końca życia.

IGA

8 LIPCA – ŻOLIBORZ (WARSZAWA)

Podczas nocnej burzy w Janiszewie utonęły trzy osoby. Dwóch mężczyzn i kobieta. Bałtyk następnego dnia wyrzucił na brzeg martwe ciała. Nie wiem, dlaczego Alina Galner próbowała z nimi

uciec. Maks już wie, że zamordowała jego ojca. Jakub Hoffman prawdopodobnie wpuścił ją do mieszkania, bo wiedział, że jest sublokatorką Wandy. Może się domyślał, że należy do zboru, ale nie sądził, że miła, drobna dziewczyna może zrobić mu jakąś krzywdę. Śledczy z Pomorza przesłuchiwali Mossakowskiego wiele godzin. Został tymczasowo aresztowany na trzy miesiące razem z dwunastoma innymi mężczyznami i czterema kobietami. Stało się to nie tylko dzięki zeznaniom Wandy, lecz także Kseni, która opisała szczegóły jej porwania. Udało im się także przesłuchać współnika Janickiego, który został ciężko ranny w wypadku pod Janiszewem, ale odzyskał już przytomność. Ostatnie, co zapamiętał sprzed wypadku, to dostawczy samochód jadący pod prąd prosto na nich i krzyk swojego współnika. Najważniejsze jednak, że mieszkańcy Janiszewa w końcu odważyli się mówić. Wznowiono śledztwo w sprawie śmierci Oskara.

Rozkładałam się z laptopem na balkonie. Andrzej grzecznie wyprosił mnie z kuchni, bo szykuje coś na obiad. Maleństwo w moim brzuchu jest zdrowe, ładnie rośnie. Myślę o nowym życiu. I o tym, że prawie zabiłam człowieka. Rajmer ma złamaną kość udową, wstrząs mózgu i połamane żebra. Zeznał śledczym, że przywiózł mnie do sanktuarium do Janiszewa, żebym mogła zobaczyć się z Wandą. Jak twierdzi, planował uwolnienie starszej kobiety, bo nie podobały mu się metody jego mentora. I spadł z rusztowania. Nie powiedział im, że ktoś zepchnął go z wysokości dwóch pięter. Mam nadzieję, że będzie siedział. Marnie kończą mężczyźni, którzy próbują zrobić krzywdę mnie lub moim bliskim! Powiedziałam mojej Irencie, że będzie miała rodzeństwo. Jest szczęśliwa. Rozmawiałam i z psychologiem, i z psychiatrą. W końcu zdiagnozowano mnie prawidłowo. Nie cierpiałam nigdy na borderline. Moja próba samobójcza, gdy miałam siedemnaście lat, była tylko pokazówką i wołaniem o pomoc. Stałam zapłakana na dachu i po namowach strażaków zesłam. Na pewno cierpiałam wtedy na depresję. Ale w końcu, gdy postanowiłam odnaleźć córkę, którą mi odebrano, moje życie nabrało sensu. Nigdy nie byłam od niczego uzależniona, pieniądze, które miałam, przeznaczałam na szukanie córki. Gdy byłam splukana, znajdowałam jakąkolwiek pracę. Nie byłam uzależniona od seksu, mężczyzn traktowałam przedmiotowo... dopóki się nie zakochałam. Od momentu odnalezienia mojej córeczki dobrze śpiam, nie wpadam w koszmarny doły, mam plany i marzenia. I związek, o który staram się dbać. Moja siostra wyznała mi, że gdy próbowałam popełnić samobójstwo jako nastolatka, postraszyła trochę lekarzy. Wymyśliła niektóre moje objawy, a ja niczego nie sprostowałam. Bo w ogóle nie chciałam z nimi gadać. Teraz już wiem, że wystarczą mi spotkania z psychologiem raz w tygodniu. Żeby się wyciszyć, żeby zacząć kontrolować swoje emocje, bo czasem mnie ponosi. Cieszę się, że wytłumaczono mi, że moje zachowanie wobec Rajmera było spowodowane strachem o życie i o dziecko, które noszę pod sercem. Przecież zaatakował mnie, wiedząc, że nie będę w stanie się bronić. Moja terapeutka twierdzi, że wystarczą mi spotkania z nią i prosty trening: jak panować nad emocjami, jak się nie dać ponieść histerii i szalonym pomysłom, jak rozmawiać z partnerem o tym, co czuję, zamiast zniknąć bez słowa lub grozić zerwaniem związku.

– Mam pomysł na imię – mówię, gdy Andrzej pojawia się na balkonie. – Imię dla ziarenka.

– Nie wiadomo jeszcze, czy ziarenko to chłopczyk czy dziewczynka.

– A co byś wolała?

– I jedno, i drugie. Najchętniej bliźniaki.

– Robię się gruba, więc bardzo możliwe, że są dwa.

– Wczoraj na USG było jedno. To jakie imię wybrałaś? Mam coś do powiedzenia? – śmieje się.

– Może masz. Ale i tak ja zdecyduję. Podoba mi się Maja albo Apolonia dla dziewczynki, dla chłopca Nikodem.

– Bardzo dobry wybór! Za pięć minut będzie spaghetti z delikatnym sosem. Bez glutenu i...

– Nie przesadzaj. Mogę jeść prawie wszystko z wyjątkiem surowych ryb. – Pokazuję mu język.

– Jest więcej wyjątków. Mówiłem ci, ale jak zwykle nie słuchasz. Będę twoim kucharzem. Chcę, żeby ziarenko zdrowo się rozwijało.

– Ja też chcę. I jeszcze jedno. Chcę mieć własne wydawnictwo. Chcę sama wydać kolejny tomik moich wierszy!

– Zakładamy wydawnictwo? Nie ma sprawy! Zrobię mały research i działamy!

– A wyjazd na Capri? To już za cztery dni! Powinam się do niego przygotować... Powinam...

– Przeszkolę cię dziś wieczorem. Tak jak wczoraj, położysz się naga na łóżku... – Mruga do mnie, kładąc mi ciepłą dłoń na udzie.

KSENIA

9 LIPCA – BIELANY (WARSZAWA)

– Wybrałam panią, bo pracuje pani w szkole – mówi kobieta z niemodną trwałą, która pokazuje mi mój pokój. – A nauczycielki są takie spokojne.

To klitka na parterze z widokiem na osiedlowy śmietnik. Mam strasznie mało kasy. Połowę moich oszczędności przelałam na konto zboru. Rozglądam się po skromnie urządzonej sypialni. Powtarzam sobie, że wszystko się ułoży. Zapisalam się do psychologa, tak jak doradził mi Andrzej. Nie wiem, czy to pomoże... Jestem kłębkiem rozpaczki. Nie rozumiem swojej głupoty, swojego otumanienia. Może lekarz wytłumaczy mi, dlaczego dawałam się wykorzystywać i seksualnie, i finansowo? Dlaczego tak bardzo chciałam być ważna dla kogokolwiek? Boże mój, co jest ze mną nie tak?! Gdy dowiedziałam się, jakie krzywdy wyrządzali ludziom przez lata członkowie zboru, byłam przerażona. Wanda miała być ich kolejną ofiarą podczas ceremonii, bo przecież nikt miał nie szukać starej pijaczki. Miała tylko syna, który przez lata wystarczająco napatrzył się na jej ekscesy. Chcieli ją ukarać za zdradę. Przygotowali nawet drewnianą tabliczkę, która miała zawisnąć na jej szyi podczas ceremonii. Prześmiewczy napis: „Casandra”. Nie wiem, dlaczego przez „C”. Rajmer ma wyobraźnię, i to on reżyserował od kilku lat przebieg każdej ceremonii. Nawet specjalnie nie pilnowali Wandy, bo przecież ledwo chodząca staruszka nie mogła daleko uciec. Dawali jej tylko wodę, stary chleb czy owoce, bo chcieli, żeby była przytomna podczas ceremonii. Żeby była do końca świadoma kary. Gdy zniknęła, potrzebowali nowej ofiary. Alina stała się dla nich problemem, bo mogła się komuś wygadać, że zapłacili jej za zamordowanie Jakuba Hoffmana. Skończyła liceum pielęgniarstwa w Bytomiu. Nie chciała pracować w zawodzie. Wybitnie inteligentna, z patologicznej rodziny. Jej śmiech do tej pory brzęczy mi w uszach. Dwaj mężczyźni ze zboru, którzy próbowali uciekać podczas sztormu, to ci, którzy wmówili mi, że gdy się im oddam, to stanę się jedną z nich. Dowiedziałam się, że mnie wtedy nagrali. Bardzo często nagrywali członków zboru. Ich wyznania, ich spowiedź, ich stosunki seksualne. Dlatego byli pewni, że nikt nie powie ani słowa o tym, co dzieje się w Janiszewie w każdą noc świętojańską. Powoli zapominam ich twarze... powoli...

Złożyłam zeznania. Na razie o nic mnie nie oskarżono, ale chyba tylko dlatego, że Andrzej opowiedział policjantom, jak pomagałam mu podczas ceremonii. Z trudem wyznałam śledczym, jak mnie wykorzystywano. Olgierd potwierdził moje słowa. Będę mu dożgonnie wdzięczna. Po powrocie z Janiszewa prawie codziennie odwiedzałam go w szpitalu. Tak się cieszę, że wypisali go dwa dni temu! Jestem pewna, że jego wypadek w szkole to nie przypadek. Ale nie mam żadnych dowodów. Moje serce jest tak pokaleczone, że nieprędko otworzy się na nową miłość.

Otwieram szeroko okno. I widzę znajomą sylwetkę kilkanaście metrów dalej. Patrzy prosto na mnie. Obok kule oparte o ławkę.

– Olgierd?! – Wychyłam się przez okno. – Co ty tu robisz?!

– Wczoraj napisałaś mi, gdzie będziesz mieszkać, to chciałem sprawdzić, co to za miejscówka.

– Chodź do środka!

– Ledwo łażę, więc mam zamiar teraz posiedzieć sobie na słońcu. Jak chcesz pogadać, to zapraszam! – Klepie dłonią w oparcie ławki.

Po chwili siadam obok niego. Podaję mu butelkę wody. Obejmuje mnie ramieniem.

– Marnie wyglądasz.

– Bo tak się czuję. Od jutra będę szukać pracy.

– Pomogę ci. Mam mnóstwo czasu, bo na żaden obóz treningowy w te wakacje nie pojedę.

– Też nigdzie się nie wybieram.

– Widzisz! Tyle nas łączy.

Brzęczy mój telefon wepchnięty do kieszeni sukienki. To mój ojciec. Uświadamiam sobie, że chociaż przez wiele lat oskarżam go, że przyczynił się do śmierci mamy, to on wciąż dzwoni. Co kilka

dni. Może czas wybaczyć? Karałam go przez siedem lat. Odbieram. Słyszę radość w jego głosie, gdy mówię, że wpadnę na weekend. Olgierd wciąż mi się przygląda, gdy z telefonem w dłoni spaceruję po placu zabaw.

MAKS

10 LIPCA – BIELANY (WARSZAWA)

Otwieram mu drzwi, gdy ekipa remontowa ma przerwę. Poszli do baru z kebabami. Cała podłoga w mieszkaniu mojego ojca zawalona jest tekturowymi podkładami. Kręcę się tu, sprawdzając, czy robią wszystko, jak należy. Zdecydowałem się na totalny remont. Wymiana instalacji elektrycznej, kafli, hydrauliki i szafek w kuchni. Podłogi też będą nowe. Jutro robią wylewki. Andrzej jest w świetnym humorze. Przed chwilą był u swojej matki.

– Nie skarżyła się na hałas? Wywiesiłem kartkę na klatce przy wejściu, że remont potrwa pewnie co najmniej z miesiąc...

– Nic nie mówiła. Ciągle jej nie ma w domu. Zaczęła pomagać w fundacji mojej Igi. Zwłaszcza kobietom, które mają problem alkoholowy. Jest przykładem, że można z powodzeniem rzucić chłanie. Chciałem ci o czymś powiedzieć. Chodź na balkon, zapalisz sobie.

Po chwili drżącymi palcami wyszarpuję paczkę papierosów z kieszeni spodni. Andrzej opiera dłonie o balustradę. Przez chwilę gapimy się na dzieciaki bawiące się na placu zabaw. Piękny dzień. Jak wtedy, gdy strażacy weszli do mieszkania mojego ojca i znaleźli jego martwe ciało. Przez moment myślę o Alinie. Oddałem śledczym klucze do kawalerki, którą z nią wynająłem. Nie jestem w stanie oglądać jej sukienek, jej staników, jej majtek. Czasem mi się śni. I wtedy słyszę jej śmiech, jej głos. Nienawidzę siebie za to, że czasem za nią tęsknię. Jestem pewien, że całkiem poważnie myślała o naszym związku, dlatego zależało jej, żebym błyskawicznie się rozwiódł. Trafiła na frajera z kasą, który dla niej zwariował. Zamordowała mojego ojca. W snach czasem próbuję ją udusić, wbijam jej nóż pomiędzy drobne piersi. A potem budzę się, trzęsąc się od tłumionego szlochu. Czasem wydaje mi się, że żyje. Chociaż jej pogrzeb odbył się w Będzinie tydzień temu.

Mrugam nerwowo. Słońce świeci mi prosto w twarz.

– Sprawdziłem pewne fakty dotyczące Mossakowskiego – odzywa się Andrzej po chwili.

– Myślałem, że śledczy już to zrobili?

– Jeden detal ich jakoś specjalnie nie interesuje. A mnie tak.

– Jaki detal?

– Chciałem mieć pewność... czy jest moim ojcem.

– Jak to sprawdziłeś?! Gadałeś z nim? Przecież w areszcie może go odwiedzać tylko adwokat?

– Mogłem to sprawdzić inaczej. Potrzebny był mi tylko przedmiot, który do niego należał...

i udało mi się.

– Jak?!

– Dzięki Kseni Dembskiej. Dała mi kilka jego drobiazgów, które zostały na plebanii w Janiszewie.

– Na przykład co?

– Pejcz, którym się biczował. Była na nim jego krew.

– Biczował się?! Chryste! Masz wynik?

– Mam. Nie jest moim ojcem!

– Kurwa! A jednak! Co na to twoja matka?

– Powiedziała, że tak przeczuwała. Była wtedy z dwoma mężczyznami. Z Mossakowskim i z twoim starym.

– Nie wiem... nie wiem, co ci powiedzieć...

– Możemy zrobić badania i sprawdzić to na spokojnie. Nie na wariata.

Wszystko układa mi się w całość! Dlatego mój ojciec kupił na stare lata mieszkanie tuż obok mieszkania swojej dawnej kochanki! Dlatego wysyłał do Andrzeja maile przed śmiercią! Ostrzegał go! Dużo pisał o Mossakowskim i o jego zamiłowaniu do kamieni z runicznymi znakami.

– Mój stary chyba się domyślał, że jesteś jego synem. Ale nie chciał nikomu komplikować życia.

– Moja matka też tak mówi. Kochała twojego ojca, a Mossakowski zmusił ją kilka razy, żeby się z nim przespała. Szantażował ją. Po latach bała się prosić mnie o zrobienie badań, chociaż twój stary nalegał. Była pewna, że Mossakowski nic mi nie zrobi, bo będzie myślał, że ma syna. Dla mnie to ulga... gigantyczna ulga, że nie mam z tym oszołomem nic wspólnego. Jesteś wkurwiony, że ci to mówię?

– Dlaczego?! Wybaczyłem staremu, zwłaszcza że chciał naprawić swoje grzechy przed śmiercią. Coś ci pokażę.

Idzie za mną do pomieszczenia, które było sypialnią mojego ojca. Teraz nic tu nie ma. Kable zwisają ze ścian.

– Wczoraj zdemontowali plastikowy grzejnik w pokoju. Okazało się, że zabudowa się rusza, bo coś jest w środku.

Pokazuję mu leżącą na parapecie torbę foliową. W niej mały dyktafon, pendrive, teczka z dokumentami. Andrzej zaczyna przeglądać papiery.

– Co to jest?

– Wszystko, co dotyczy zboru Świętego Marcina. Wszystkie brudne sekrety Mossakowskiego! Zeznania ofiar, świadków i mieszkańców Janiszewa. Mój stary był tam kilka razy na dwa miesiące przed śmiercią. Nawet zachował sobie bilety kolejowe w obie strony. Za każdym razem po cztery. Czyli twoja matka tam z nim jeździła. Był zajebiście skrupulatny. Zresztą tak samo prowadził dokumentację lekarską.

– Ukrył to tutaj?! Przecież mógł zdeponować u notariusza?!

– Nikomu nie ufał. Nawet twojej matce nie powiedział, gdzie to jest. Dlatego, gdy ją przetrzymywali w Janiszewie, nie byli w stanie nic od niej wyciągnąć.

– Trzeba oddać to śledczym!

– Ty to zrób. Jestem tym wszystkim zmęczony. Chcę przestać o tym myśleć. Chcę w końcu sypiać normalnie... chcę zapomnieć.

– Dobrze! Jasne!

Zabiera wszystko z parapetu. Odprowadzam go do drzwi.

– Sprzedasz to mieszkanie po remoncie? – pyta jeszcze. – I to jest niewinne pytanie. Nie myśl, że mam ochotę na zachówek po nim. Chciałem tylko, żebyś wiedział, że prawdopodobnie jesteśmy braćmi.

Teraz, gdy słońce zalewa przedpokój, wydaje mi się, że widzę jego podobieństwo do mojego ojca. Jest tak samo wysoki jak on.

– Chyba pierwsza dobra wiadomość od jakiegoś czasu. Nie zamierzam sprzedawać tego mieszkania. Chcę się tu wprowadzić. Rozwodzę się. Zmieniam swoje życie.

– Powodzenia!

Klepie mnie po ramieniu. Wychodzi. Młodszy o dziesięć lat. Brat. Straciłem ojca, ale mam jego. Pewnie się domyśla, że odezwę się za jakiś czas. Teraz muszę ochłonać.

Nie powiedziałem mu, że w ukrytej teczce z dokumentami znalazłem coś jeszcze. To niepozorna, biała koperta. Adresowana do mnie pełnym zawijasów pismem mojego starego. Czytałem ten list kilkanaście razy. Nikomu go nie pokażę. Teraz z papierosem w ustach otwieram go jeszcze raz, obserwując Andrzeja z balkonu. Czuje mój wzrok na plecach. Odwraca się na chwilę, wsiadając do mercedesa zaparkowanego pod blokiem. Macha do mnie. Uśmiecham się. Także unoszę dłoń.

Warszawa, 17 maja, godzina 2.30 w nocy

Synku, gdy będziesz czytał te słowa, mnie już nie będzie. Czuję ulgę, że mogę opowiedzieć Ci o wszystkim, co mnie męczyło przez tyle lat. Nie byłem dobrym mężem ani ojcem. Nie byłem dobrym lekarzem, bo zawiodłem moje pacjentki. Tomasz Mossakowski, ksiądz, którego poznałem w Janiszewie, dał mi złudne poczucie, że możemy naprawić świat, zmienić ludzi, pokazać im lepszą drogę. Był moim zaufanym przyjacielem, któremu pierwszemu opowiedziałem o rodzącym się uczuciu do Wandy. Miałem ogromne wyrzuty, Synku, że przestałem kochać Twoją Mamę, że bez przerwy myślałem o innej kobiecie. Ją także w to wciągnąłem. W coś, co rodziło się w salach katechetycznych na plebanii mojego przyjaciela w Janiszewie. Gdy nocami rozmawialiśmy tak szczerze, tak śmiało, wierząc, że robimy coś,

co ma niesamowitą wartość. To była pycha, Synku. Oznaką pychy jest wiara, że wiemy lepiej od innych ludzi, co powinni myśleć, co czuć i w co wierzyć. Uwierz mi, że nigdy nie chciałem skrzywdzić żadnej z moich pacjentek. Byłem pewien, że pomogą im specjalne modlitwy będące rodzajem transu, połączone z terapią i lekami. Rodzice moich nieletnich pacjentek w szpitalu w Janiszewie podpisywali zgody na moją eksperymentalną terapię, gdy opowiadałem im o sile, jaką ma w sobie ksiądz Tomasz Mossakowski. Nie protestowali, gdy mówiłem im o potędze uzdrawiania, oczyszczania umysłu. Ufali mi, a ja ich zawiodłem. To była pycha, Synku, duma, że odkryłem coś, co potem przyniesie mi sławę w świecie nauki i medycyny. Byłem chorobliwie ambitny. Do czterdziestego roku życia istniały dla mnie tylko praca i kariera. Byłem pewien, że czeka mnie świetlana przyszłość w psychiatrii. Nawet gdy poznałem Twoją Mamę i dość późno założyłem rodzinę, nie przestawałem marzyć, że mogę osiągnąć coś, co poprowadzi psychiatrię na nowe tory. I obsesyjnie o tym myślałem! Wierzyłem, że duchowość jest ważna i młody ksiądz, którego poznałem w Janiszewie, utwierdzał mnie w tym przekonaniu. Obaj potrzebowaliśmy dowodów, że nasze teorie mają sens. Tak zaczął się ten eksperyment połączenia medycyny z religią, złudna symbioza oparta na prowadzonej na oślep, w szaleńczym zapale terapii. Dlaczego przerwałem to szaleństwo dopiero, gdy doszło do tragedii? Dlaczego nie zrobiłem tego wcześniej? Dlaczego nie słuchałem Wandy? Dlaczego bagatelizowałem jej ostrzeżenia, że mój najbliższy przyjaciel pogrąży się w szaleństwie i bezkarnie krzywdzi ludzi? Dlaczego ona sama musiała jeździć do kurii, do wojewody, do burmistrza i ostrzegać, że młody ksiądz w Janiszewie, zamiast prowadzić rekolekcje, tworzy sektę? Chciała, żeby jak najwięcej osób wiedziało, że mój przyjaciel z otwartego, serdecznego człowieka stał się bestią szantażującą tych, którzy w niego wierzyli. Dlaczego wtedy nie wsparłem Wandy? Dlaczego została z tym sama? Synku... Twój ojciec był wtedy tchórzem. Bałem się, że to wszystko zniszczy moją karierę, że zacznie się szum, który mnie pogrąży. Woląłem stać z boku. Nie mieszać się. Udawałem, że nie dostrzegam, jak organizacja religijna, którą razem stworzyliśmy, staje się niebezpieczną sektą. Starłem się po jakimś czasie nie uczestniczyć w ceremoniach, ale Mossakowski nie odpuszczał. Jego pewność, że jest bezkarny, rosła. Gdy jedna z uczennic Wandy twierdziła, że nosi jego dziecko, nie wierzyłem. Błagał mnie o dyskrecję. Twierdził, że dziewczyna chce go zniszczyć, bo odrzucił jej uczucie. Przekonywał mnie, że nasila się jej choroba psychiczna, choroba, której przyczyną są demony. Bardzo chciałem jej pomóc. Tomasz twierdził, że dziewczyna wciąż grozi samobójstwem i pokaleczyła swój ciężowy brzuch. Dlaczego uwierzyłem jemu, nawet wtedy, gdy jej wersja była inna? Dlaczego byłem pewien, że pomoże jej pobyt w naszym szpitalu z widokiem na morze i wydmy? Wierzyłem, że Weronika Nowicka (bo tak się nazywała) wyciszy się, uspokoi i będzie z radością czekać na narodziny dziecka. Gdybym wtedy dał jej wyjechać, nie doszłoby do tragedii! Przekonałem jej matkę, która mieszkała w sąsiedniej miejscowości, że działamy dla dobra jej córki, że Weronika musi zostać w Janiszewie, bo tu ma najlepszą opiekę. Dlaczego byłem tak słaby? Dlaczego chciałem wierzyć Tomaszowi, bo tak było mi wygodniej? Nigdy nie zapomnę tamtej czerwcowej nocy trzydzieści lat temu. Nie wiedziałem do końca, co planuje Tomasz... Synku, ja dopiero gdy zobaczyłem w jego ramionach to dziecko, nagie i płaczące... zrozumiałem, że coś nie jest w porządku! Gdyby chciał ochrzcić tego chłopczyka, zrobiłby to w kościele. Nie na wydmach, nie w nocy, przy ogniskach palonych tuż przy brzegu. Do końca nie wierzyłem, że chce mu zrobić krzywdę! Przemawiał i modlił się godzinę, potem kolejną. Matka chłopczyka, półprzytomna z rozpacz, wciąż krzyczała, ale trzymało ją kilku mężczyzn. Dlaczego tego wtedy nie przerwałem? Dlaczego Mossakowski chciał, żebyśmy wszyscy byli świadkami zbrodni, która zamknie nam usta na zawsze? Bo robi z nas współwinnych morderstwa, okrutnych świadków dzieciobójstwa! Wiedział, jak nas zastraszyć! Wiedział, jak nam mieszać w głowach, jak nas szantażować i przykuć do siebie na wieki! Wanda próbowała odebrać mu to dziecko, bo zerwał się chłodny wiatr, a ciałko malutkiego chłopczyka stawało się sine z zimna. Odciągnęli ją od niego. Kilka razy dostała w twarz. Ale miała odwagę protestować! Ja tej odwagi nie miałem. Stałem jak kamieniały, wierząc, że to się zaraz skończy, że gdy zacznie świtać, Tomasz uspokoi się i odda dziecko matce. Ale on wciąż szalał z wściekłości. Krzyczał o krwi dzieci przelewanej za grzechy ojców. Nagle stało się coś potwornego, czego nie zapomnę do końca życia! Wrzucił chłopczyka do ognia. Iskry sypnęły nam w twarz. Nigdy nie zapomnę wycia jego matki. Nadludzka siłą wyrwała się tym, którzy trzymali ją za ramiona. Mossakowski krzyczał do niej, że spłonie razem z demonami, które rozszarpują ją od środka.

Widziałem, jak Wanda biegnie w jej stronę. Jak dziewczyna, próbując ratować dziecko, staje się żywą pochodnią. Przeżyła tylko dlatego, że byliśmy tak blisko morza. Wanda błagała mnie, żebym jej pomógł. Udało nam się, bo woda była blisko, tylko dlatego... Ale to małe dziecko nie przeżyło. Przez nasz fanatyzm, naszą bierność, nasz strach. Gdybyśmy zaczęli działać wcześniej, to nie doszłoby do tragedii. Gdyby ktokolwiek wsparł Wandę, gdy starała się ostrzegać ludzi przed Mossakowskim, ten chłopiec by żył! Ale nikt nic nie zrobił. Niektórzy śmiali się, że Wanda mści się, bo podobno Tomasz zrobił jej dziecko, ale nie chciał dla niej odejść ze zboru i z Kościoła. Znałeś Andrzeja Bielendę, Synku. Na pewno pamiętasz go z Janiszewa. Mały, drobny, jasnowłosy, bardzo podobny do Wandy, młodszy od ciebie o dziesięć lat. Czasem obserwowałem go, gdy nikt nie widział. Szukałem w nim siebie, swoich gestów, swojego uśmiechu. Wiedziałem, że Mossakowski zmusił Wandę do zbliżeń, chciałem po tym odejść ze zboru. Ale próbował mnie przekonać, że zrobił to dla mojego dobra! Żebym nie grzeszył z nią, bo przecież miałem rodzinę! Próbował mi wmówić, że to ona go uwiodła, to ona go kusila. Udawałem, że w to wierzę. Błagałem go, żeby dał jej spokój i w końcu mnie posłuchał. Wydaje mi się, że Andrzej jest moim Synem, że jest Twoim Bratem. Porozmawiaj z nim. Opowiedz mu o mnie. Dla niego zawsze byłem obcy. Pewnie wcale mnie nie pamięta z Janiszewa.

Ale mam wobec niego jakieś przeczucie, prawie pewność. Wiem, że skrzywdziłem tyle osób i nic tego nie naprawi. Ale chciałbym, żebyście i Ty, i On... żebyście mieli szczęśliwsze życie. Jestem z Ciebie dumny, Synku, bo tak wiele osiągnąłeś. Skończyłeś studia z wyróżnieniem, założyłeś firmę, która świetnie się rozwija, i masz wspaniałą Rodzinę. Chociaż nie było Ci łatwo. Nie było mnie przy Tobie, gdy mnie potrzebowałeś. Nie słuchałem Twojej Mamy, gdy mówiła, że angażuję się za bardzo w sprawy zboru. Byłem ślepy i głuchy na wszystkie uwagi, ostrzeżenia, znaki, że to, co robię, skończy się tragicznie. Na szczęście Ty i Andrzej jesteście inni. Wiele bym dał, żebyście się zaprzyjaźnili. Wiem, że jemu było jeszcze ciężiej. Odnalazłem Wandę po ponad dwudziestu latach, gdy Andrzej był już dorosły, a ona nie chciała mieszać mu w głowie i sugerować, że może ma ojca całkiem blisko. Miałem do niej pretensje, że przez jej nałóg on wychowywał się w rodzinach zastępczych, że nie próbowała mnie znaleźć, że nie poprosiła wtedy o pomoc. Ale ona się mnie bała. Co noc koszmary nie dawały jej spać. Powoli po latach znowu zdobywałem jej zaufanie. A nasze uczucie okazało się silniejsze niż wieloletnia rozłąka, niż żal, wyrzuty, niedomówienia, kłamstwa. Wróciliśmy do siebie, wierząc, że prawdziwa miłość zawsze znajdzie drogę, cierpliwa jest i daje siłę. Wanda chciała, żeby Mossakowski wierzył, że ma syna, mając nadzieję, że to go ochroni. Przez lata tak było, ale podczas jednego ze spotkań członków zboru w jej mieszkaniu wyczuła, że zakończenie budowy sanktuarium w Janiszewie wymaga od Mossakowskiego specjalnej ofiary. „Krew dzieci za grzechy ojców”. Powtarzał to coraz częściej. Trzydzieści lat temu, wtedy na wydmach, z zimną krwią zamordował swojego synka. Nawet gdyby Wanda próbowała go teraz przekonać, że Andrzej nie jest jego, to nie uwierzyłby, ogarnięty swoim szaleństwem. Zaczęliśmy się domyślać, że Twojemu przyrodniemu bratu grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Dlatego musieliśmy działać szybko. Wanda wiele razy opowiadała mi o Andrzeju. I prawie zawsze, gdy ją odwiedzał w bloku na Bielanych, starałem się chociaż przez moment być blisko, jechać razem z nim windą, minąć go na schodach. Gdy było ciepło, siadałem na ławce na wprost wejścia do bloku i obserwowałem go, jak wychodzi od matki. Nie czuł mojego spojrzenia. Nie domyślał się nawet, że jego rodzony ojciec chce być blisko nawet, gdy jest obcym człowiekiem. Że to starzec stojący nad grobem, który tak bardzo chciałby naprawić krzywdy, które wyrządził. Czuję, że Andrzej jest mój. I Wanda to czuje. Jej także zniszczyłem życie. Mówiłem jej o miłości, ale gdy byliśmy młodzi, nie robiłem nic, żeby tę miłość okazać. Nie zostawiłem żony, nie złożyłem papierów o rozwód. Wiele lat ją zwodziłem. Milion razy ją zawiodłem. W końcu wtedy, w tę noc czerwcową trzydzieści lat temu, Wanda wyjechała nagle z Andrzejem i zerwała ze mną kontakt. Nie chciała mieć ze mną nic wspólnego, skoro nie byłem w stanie zapobiec tej tragedii na wydmach, skoro nawet po tym, co się stało, kryłem Mossakowskiego, gdy przesłuchiwała nas policja. Słyszała, jak potwierdzałem jego kłamstwa. Byłem chory ze strachu, że jak powiem prawdę, to zniszczę życie sobie i swoim bliskim. Twój ojciec, Synku, był oportunistą, potwornym tchórzem, współwinnym zbrodni. Bo bierność, gdy dzieje się zło, jest niewybaczalną zbrodnią. Starałem się to naprawić po wielu latach, starałem się zebrać dowody zbrodni Mossakowskiego. Odnalazłem dwie moje pacjentki z Janiszewa i pomogłem im finansowo. Napisałem list do Weroniki Nowickiej i wciąż czekam

na odpowiedź. Może kiedyś nadejdzie. Może pomyliłem adres i dlatego milczy? A może potrzebuje czasu, bo przypomniałem jej coś, co chciałaby zapomnieć? Napisałem jej szczerze to, co Tobie, napisałem o swoich wyrzutach sumienia, o żalu, że nie można odwrócić czasu. Błagałem ją, żeby mi wybaczyła, żeby wybaczyła mi terapię, która nie miała żadnych podstaw medycznych, bierność i to, że kryłem mordercę jej dziecka. W osobnej kopercie, Synku, jest jej karta szpitalna z danymi i kwota, którą chciałbym jej przekazać. Proszę Cię, zajmij się tym, zrób to dla mnie, żebym mógł spoczywać w pokoju.

Gdyby nie Wanda, nie miałbym odwagi zmierzyć się ze starymi grzechami. Zaczęła wierzyć, że pod koniec życia pojąłem, jakie zło wyrządziłem. Wiedziała, że musimy być bardzo ostrożni. Udawała, że wróciła do zboru, organizowała ich spotkania w swoim mieszkaniu. Wiedziała, że wciąż ją sprawdzają, i robiła wszystko, żeby jej zaufali. Przynosili czasem krzyż na te spotkania, ale wierz mi, że to, co stworzyli, to była religia pełna okrucieństwa i przemocy. Wiedziała, że gdy zacznie wynajmować pokój sublokatorom, w końcu przyślą kogoś, kto będzie ją szpiegował. Ale była pewna, że może ich zwodzić i przekonać, że nie robi nic i wciąż wierzy w to, co głoszą. Przekaż, Synku, te materiały śledczym, Czuję, że zbór już wie, co się dzieje, że nas przejrzeni, że zrozumieli, co chcemy osiągnąć. Zrobią wszystko, żeby prawda nie wyszła na jaw. Uważaj na siebie. Próbowałem ostrzec Andrzeja, tak jak umiałem. Bez wyznawania mu prawdy. Bo przecież nie mam pewności, kim jestem dla niego. Mam tylko pewność w swoim sercu... Kocham Was i wiem, że zawiodłem jako ojciec... Ale proszę tylko o jedno... proszę o wybaczenie. Nie jestem złym człowiekiem. Pamiętaj, Maks... pamiętaj, Synku, że Twój ojciec na stare lata chciał wszystko naprawić... Pamiętaj, Synku, tylko to, co najlepsze... nasze wspomnienia. Pamiętasz nasze wypadki we dwójkę do Gdyni i spacerów w porcie godzinami? Chciałeś wiedzieć wszystko o każdym statku, a ja udawałem, że coś wiem. Opowiadałem Ci, do jakich egzotycznych portów zawijają po drodze. Obiecowałem, że kiedyś popłyniemy w taki rejs. Tylko my dwaj. W taki męski rejs pełen przygód. Nigdy tak się nie stało. Ale gdybym mógł cofnąć czas, Maks... w taką podróż wyruszylibyśmy razem. Już za późno.

Pamiętasz Dingo? Zawsze chciałeś mieć psa, owczarka niemieckiego, i to był mój prezent dla Ciebie. Pamiętasz, jak uczyłem Cię jeździć na rowerze i rozróżniać grzyby, które zbieraliśmy wcześniej rano, gdy Mama jeszcze spała? Kochałem ją, Synku. Połączyła nas wielka miłość i Ty jesteś owocem tej miłości. Ale potem gdzieś tę miłość zgubiłem, gdzieś zaniedbałem. Nie obwiniaj Wandy. To nie ona rozbila moje małżeństwo. Bardzo długo trzymała mnie na dystans, nie chciała romansować z żonatym. Byłem uparty, nie potrafiłem o niej zapomnieć. Ranilem i ją, i Twoją Mamę, która szybko domyśliła się prawdy. Tyle osób cierpiało przeze mnie. A ja byłem ślepy, wciąż myślący egoistycznie o swojej karierze i o zborze, który jeszcze wtedy wydawał mi się czymś wspólnym, czymś, o co warto walczyć. W swojej pysze próbowałem nawet pisać artykuły naukowe o tym, jak z sukcesem można łączyć terapię poznawczo-behawioralną z egzorcyzmami, nie pojmując, co to naprawdę oznacza i jak wiele pacjentek mogą skrzywdzić. Wybacz mi, Synku! Nie wiem, czy jesteś w stanie to zrobić... ale teraz, czując, jak niewiele czasu mi zostało, tylko o to Cię proszę, Maks... Oni już wiedzą... przyjdą po mnie...

Kocham Cię, Synku. Myśl o mnie dobrze.

Błagam Cię.

Tata

PS Bez trudu podważysz w moim testamencie zapis dotyczący pieniędzy dla zboru Świętego Marcina. Zrobiłem ten zapis, żeby udawać, że wciąż wierzę w ich idee i żeby chronić Ciebie, Twoją Rodzinę, Andrzeja i Wandę. Do listu załączam dowody działalności zboru Tomasza Mossakowskiego i jestem pewien, że Ci się uda. Uda Ci się zakończyć to, co zacząłem. Kocham Cię, Synku. Zawsze tak było, mały. W tę ostatnią podróż wyruszam sam, ale zawsze będę przy Tobie.

Tata

Wycieram policzek wierzchem dłoni. Gaszę papierosa w starej donicy i wracam do mieszkania. Wieczorem zadzwonię do Weroniki Nowickiej, której numer dała mi Iga, chociaż potwornie boję się tej rozmowy. Dźwięk domofonu wyrывa mnie z letargu. Pewien, że to wraca ekipa remontowa, naciskam przycisk. Ale po kilku minutach w drzwiach wejściowych stoi moja żona. Chce porozmawiać. Chce

wszystko naprawić. Chce, żebym w końcu jej wysłuchał.

IGA

16 LIPCA – LOTNISKO IM. CHOPINA OKĘCIE (WARSZAWA)

Wachluję się wielkim, słomkowym kapeluszem, spoglądając na nasz samolot, który stoi już na płycie lotniska. Ustawiła się wielka kolejka do odprawy, więc rozsiadłam się na ławce, na wprost Andrzeja, który ciągle dopytuje się, czy nie jestem głodna, czy nic mnie nie boli i tak dalej. Pięć razy upewniał się u mojej ginekolog, czy mogę lecieć do Neapolu. Tam spędzimy jedną noc, a później wybieramy się na Capri. Powinam tylko unikać słońca. Mama Andrzeja także przeżyła się naszym krótkim wypadem i od razu zaoferowała, że wpadnie do nas podlać kwiaty. Bardzo się zmieniła, odkąd z jej życia zniknęli ludzie, którzy nie dawali jej spokoju. Andrzej zabrał ją do kilku lekarzy po powrocie z Janiszewa. Okazało się, że opuchlizna na nogach była spowodowana małą ilością ruchu i można ją leczyć. Na szczęście nie cierpi na marskość wątroby, co jest nagminne u nałogowych alkoholików.

Pewnego wieczoru opowiedziała mi o Jakubie, o ich miłości, która trwała przez lata. O tym, że próbowali o sobie zapomnieć, ale nie potrafili. Trzydzieści lat temu podczas potwornej ceremonii w Janiszewie, gdy został śmiertelnie poparzony noworodek, Wanda w nocy spakowała siebie i małego synka i uciekła do Warszawy. Po latach Jakub ją odnalazł. Namówił na terapię AA. Kibicował jej, gdy rzucała nałóg. Oboje nie potrafili żyć ze świadomością, że skrzywdzili osoby, które im zaufały. Jakub swoje pacjentki, a ona uczennice. Po latach Wanda zrozumiała, że jej synowi także grozi niebezpieczeństwo, gdy ktoś z członków zboru wyniósł z jej mieszkania stare albumy. Była pewna, że to Mossakowski wysłał Andrzejowi zniszczone zdjęcia z dzieciństwa. Zawsze miał obsesję na punkcie oczu. Oko stało się symbolem jego zboru i znalazło się na okładce zbioru jego kazań wydanych przez Rajmera. Wydłubane oczy na zdjęciach miały być znakiem. Symbolem, że czas na specjalną ofiarę z okazji otwarcia sanktuarium. Mossakowski był pewien, że w przyszłym roku to się uda. Pamiętam ten budynek. Brakowało tam tylko szyb w oknach. „Krew dzieci za grzechy ojców”. To zdanie często pojawiała się w broszurze, którą rozdawał wiernym. Mossakowski był wybitnie inteligentnym szaleńcem, który bezkarnie działał przez lata. Jego religia stała się chorą mieszaniną założeń katolicyzmu, symboli celtyckich, masońskich i satanistycznych. Jego ceremonie były prawdziwym teatrum, podczas których tłumy ludzi wpadały w trans. Kilkadziesiąt osób zapisało mu swoje majątki, kobiety oddawały mu się, wierząc, że w ten sposób zyskują uzdrowienie i zbawienie. Perfekcyjnie manipulował wiernymi, nagrywał ich i szantażował. Wyszukiwał osoby samotne, słabe, będące w kryzysie psychicznym lub bardzo młode, niedojrzałe emocjonalnie. Na początku stawał się ich pełnym współczucia przyjacielem. Potem przytulał, dotykał, powoli badał granice, które może przekroczyć. Staram się myśleć o nim coraz rzadziej, bo skacze mi ciśnienie i zalewa mnie wściekłość. Częściej myślę o Wandzie. Nie poznaję jej, wcześniej była skryta i szorstka. Teraz potrafi opowiadać godzinami o swojej nowej sublokatorce. Sprowadziła się do niej Weronika Nowicka. Fundacja Demeter wzięła ją pod swoje skrzydła i razem z Maksem sfinansują jej operacje plastyczne. Na razie miała konsultacje w prywatnej klinice chirurgii plastycznej. To będzie długi i bolesny proces. Mama Weroniki została w Janiszewie, bo pojawiło się kilku letników. Miejscowość po obławie na członków sekty okryła się mroczną sławą, ale niektórzy turyści lubią takie klimaty. I jest tam tak piękna plaża. Wanda wciąż jest dla mnie kobietą tajemnicą. Skryta i introwertyczna jak mój Andrzej. Casandra. Tak o niej mówili w zborze, który miał być tylko nieformalnym stowarzyszeniem osób, które chciały krzewić dobro. A opętało je zło.

– Odprawa się kończy. O czym myślisz? – Andrzej obejmuje mnie ramieniem.

– O Beacie. Dostała się na prywatne kursy aktorstwa. I dopytywała się o przedstawienie złożone z moich wierszy. Powiedziałam jej, że mam pomysł na coś zupełnie nowego. Nowe wiersze w nowej aranżacji muzycznej.

Gdy rozsiadamy się w samolocie, zajmuję miejsce przy oknie. Andrzej wierci się, bo ma długie nogi, więc będzie cierpiał podczas lotu. Dostaje także moim kapeluszem w oko, gdy próbuję ułożyć go na kolanach.

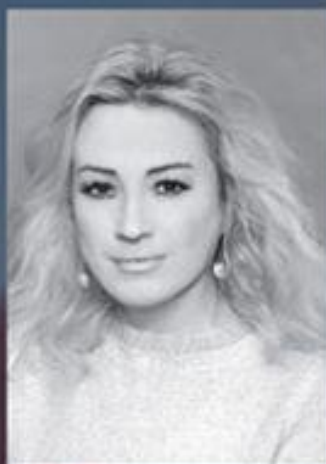
– Kobieta w kapeluszu. Kapelusze zimą, kapelusze latem. Powinnaś mieć przenośne pudła na kapelusze.

Gdy samolot wzbija się w powietrze, myślę, jak bardzo potrzebuję odpoczynku. Jakie koło zatoczyło moje życie. Jak to dobrze, że Andrzej przebaczył swojej matce. Myślę, co to znaczy wybaczyć i kiedy trzeba to zrobić, żeby uwolnić się od nienawiści. Przypomina mi się zdjęcie skopiowane z albumu Jakuba Hoffmana, które wczoraj widziałam w jego telefonie. Plaża w Janiszewie, Wanda, Andrzej, może pięcioletni, wysoki mężczyzna z wąsami, a obok grubawy nastolatek. Maks Hoffman. Mój Andrzej ma przyrodniego brata. Wiem, że niedługo napiszę o tym wiersz. Powoli we mnie kiełkuje.

Gdy nastoletnie uczennice opalają się nago, kusząc młodych rybaków, nie wiedzą, że czeka je brutalna kara. Ktoś z mieszkańców nadmorskiej miejscowości chce walczyć ze złem niszczącym ich dusze tworząc religijną wspólnotę. Ceremonie na wydmach zmieniają się w obrzędy pełne seksualnej i fizycznej przemocy. W upalną czerwcową noc dochodzi do tragedii. Trzydzieści lat później w bloku na warszawskich Bielanach policja znajduje zwłoki emerytowanego doktora psychiatrii. Opiekująca się nim sąsiadka znika. Okazuje się, że wspólnota religijna wciąż działa...

Jest jak pajęczyna oplatająca ludzi, którzy kiedykolwiek się z nią zetknęli. Co łączy ekscentryczną poetkę Iłę Bernard, pełną kompleksów nauczycielkę Ksenię Dembską i właściciela firmy Maksa Hoffmana? Co się działo w liceum w nadmorskim Janiszewie? Dlaczego szkołę nagle zamknięto, podobnie jak szpital psychiatryczny znajdujący się tuż obok? Czy ktoś nadal organizuje czerwcowe ceremonie?

**Senna miejscowość. Okrutne obrzędy na wydmach.
Sekta, której ofiary chcą mówić i... płacą za to najwyższą cenę.**



Malwina Chojnacka – pisarka, dramatopisarka i scenarzystka. Autorka serii „Karma” oraz powieści „Syndrom starszej siostry” i „Demeter”. Dwukrotna finalistka konkursu Teatroteki, Wytworni Filmów Fabularnych i Stowarzyszenia Autorów ZAiKS na dramat telewizyjny. Autorka scenariusza filmu Joanny Szymańskiej „Przestrach”. Napisała kilkadziesiąt zrealizowanych odcinków seriali telewizyjnych. Oprócz kina i teatru jej pasją są podróże, joga i taniec.



www.wydawnictwolira.pl

Patronat medialny:

ISBN: 978-83-67388-77-1

LIRA
WYDAWNICTWO

**PORTAL
KRYMINALNY**



Cena: 46,99 zł
(w tym 5% VAT)